Wrzesień 1939

Nowe spojrzenie

Grzegorz Górski

Monografie
Kolegium Jagiellońskiego

Jagiellońskie Wydawnictwo Naukowe

Wrzesień 1939

Nowe spojrzenie

Grzegorz Górski

Monografie
Kolegium
Jagiellońskiego

JAGIELLOŃSKIE
WYDAWNICTWO NAUKOWE

Redakcja:
Grzegorz Górski

Copyright by © Grzegorz Górski

Opracowanie graficzne:
Beata Króliczak-Zajko
Machina Druku

Korekta:
Anna Filpska

Skład i łamanie:
Mariusz Syguła

Wydawca:
Machina Druku na zlecenie Jagiellońskiego Instytutu Wydawniczego

Machina Druku
ul. Szosa Bydgoska 50
87-100 Toruń
tel. 56 651 97 87

ISBN 978-83-65824-02-8

Druk:
Machina Druku
www.machinadruku.pl

Spis treści

Wstęp 5

1. Kanclerz... wysoce zadowolony 13

2. Kanclerz wyraża... jak największe zaufanie 27

3. Sugestie w sprawie Gdańska 57

4. To proste: BĘDZIEMY SIĘ BIĆ 117

5. Czy warto umierać za Gdańsk? 147

6. Zkrwawić... nieprzyjaciela, zyskać czas... 175

7. Słońce wschodzi... 231

Zakończenie 271

Bibliografia 283

Indeksy 285

Indeks nazwisk 285
Indeks instytucji 287
Indeks geograficzny 289

Wstęp

Kampania wrześniowa, poprzedzająca ją walka dyplomatyczna, toczące się w jej trakcie działania zbrojne, wreszcie jej następstwa dla Polski – to wszystko ciągle jest przedmiotem niezmiernie pasjonujących badań i studiów. Problematyka ta od dawna mnie interesowała, więc starałem się zawsze możliwie na bieżąco śledzić najważniejsze, pojawiające się sukcesywnie publikacje naukowe czy wspomnienia poświęcone tej tematyce. Jednak od bardziej pogłębionego zajmowania się tym zagadnieniem odpychała mnie wciąż swoista monotonia niemal wszystkich ujęć, począwszy od wspomnień i pamiętników różnych uczestników toczących się wydarzeń, na pogłębionych studiach skończywszy.

Latami zastanawiałem się, dlaczego budowany jest w polskiej historiografii tak jednorodny obraz, zarówno skomplikowanej gry dyplomatycznej w okresie poprzedzającym wybuch wojny, jak i aspektów militarnych przygotowań do wojny oraz przebiegu kampanii wrześniowej. Pomijając nieliczne wyjątki, tak wybitnych historyków onej, krytycznej analizy poszczególnych, złożonych przecież wątków. Z czasem stało się to już denerwujące. O ile bowiem do 1989 roku pewne schematy pisania opracowań historycznych były jeszcze wytłumaczalne kontekstem politycznym, o tyle po tej dacie otworzyły się przecież możliwości rzetelnych, nie determinowanych takimi czy innymi potrzebami badań. Jednak skutek tego okazał się niewielki. Może poza solidnymi opracowaniami niemieckiej polityki zagranicznej okresu hitlerowskiego autorstwa Stanisława Żerki, większość pozostałych opracowań ciągle razi brakiem świeżości i odwagi w podejmowaniu nowych wątków, a zwłaszcza brakiem niemal jakiegokolwiek krytycyzmu zarówno wobec przekazów pamiętnikarskich, jak i wcześniejszych opracowań.

Odnosi się wrażenie, że stoimy – jako polska historiografia – w tym obszarze w miejscu, a większość twórczości ogranicza się do mniej lub bardziej ambitnego powtarzania ugruntowanych poglądów[1]*. Trudno się*

[1] Przykładem takiego podejścia jest choćby opracowanie H. Batowskiego, *Rok 1938 – dwie agresje hitlerowskie*, Poznań 1985 i wiele innych publikacji tego autora. Nie jest on jednak wyjątkiem – przeciwnie, stanowi egzemplifikację szerszego, opisanego wyżej zjawiska.

dziwić, że w takiej sytuacji ekspansywnie promująca swoje wizje przeszłości historiografia niemiecka, sufluje międzynarodowym odbiorcom coraz bardziej jednostronny obraz także tego aspektu historii Europy. Wtórująca jej historiografia rosyjska współtworzy dzisiaj obraz Polaków, tradycyjnie winnych wszelkim problemom europejskim, a ministra Becka czyni odpowiedzialnym za wybuch II wojny światowej. Taki ton towarzyszył „historycznej" publicystyce rosyjskiej podczas wizyty Władimira Putina na Westerplatte w 2009 roku. Można się spodziewać, że z obu stron podobny przekaz, służący współczesnym celom politycznym, będzie się wyraźnie nasilał.

Trudno się temu dziwić, skoro sformułowane jeszcze w latach 50. i 60. XX wieku twarde stanowisko polskiej historiografii jest całkowicie impregnowane na jakąkolwiek próbę twórczej rewizji.

Jak bardzo tkwimy w tym niebezpiecznym stanie (nie tylko zresztą w tym obszarze naszej historiografii), dowodzi reakcja historyków na książkę Piotra Zychowicza „Pakt Ribbentrop–Beck". Dzieło to, niebędące klasycznym opracowaniem historycznym, powinno stać się stymulatorem do wielkiej dyskusji wokół meandrów polskiej polityki zagranicznej w okresie poprzedzającym wojnę. Także zawarte w nim rozważania, dotyczące możliwych wariantów rozwoju sytuacji międzynarodowej, powinny zmuszać do weryfikowania rzeczywistych posunięć polskiej dyplomacji oraz ponownej oceny skutków podjętych decyzji. To właśnie historycy powinni podjąć wysiłki, aby kwestie te na nowo rozważać i wyjaśniać.

Tymczasem ważkie, z pewnością kontrowersyjne, ale niewątpliwe pobudzające do refleksji i polemiki dzieło Zychowicza, nie spotkało się praktycznie z żadną reakcją historyków zajmujących się interesującą nas epoką. Uznano zgodnie, że zajmowanie się tzw. historią alternatywną, do tego pisaną przez dziennikarza (choć historyka), nie jest godne marnowania ich cennego czasu.

Szkoda, bowiem kolejna okazja do twórczego posunięcia naszej wiedzy o niezwykle ważkich i brzemiennych do dziś w skutki wydarzeń, przechodzi koło nas. Nie świadczy to najlepiej o kondycji tej części polskiej nauki historycznej.

Co interesujące, sytuacja taka trwa od lat. Kiedy kilkanaście lat temu, dzięki życzliwości ówczesnego wiceministra obrony narodowej prof. Romualda Szeremietiewa, Wydawnictwo Bellona wydało mój esej „Wrzesień 1939. Rozważania alternatywne", to – podobnie jak wielki

esej J. Łojka[2] *– nie spotkał się on z niemal żadnym odzewem czy polemiką. W ciągu tych kilkunastu lat książka ta była i jest niezwykle żywo komentowana poza środowiskiem zawodowych historyków epoki* (*o czym świadczą choćby tysiące wpisów na różnych forach i portalach internetowych*). *Stała się też – co jest dla mnie niezwykle nobilitujące – obiektem wielkiego pożądania na wtórnym rynku książki* (*choć wydano ją w bardzo wysokim jak na obecne standardy przy publikacjach naukowych nakładzie*). *Jednak i w tym wypadku nie było chętnych, którzy chcieli „zejść" do poziomu „rozważań alternatywnych". Nawet mimo tego, że w mojej książce ilość takich refleksji była zupełnie znikoma, najważniejsze jej tezy, w ogóle nie zostały podjęte. Uznano zapewne, że zamiast z nimi dyskutować, lepiej je omijać i to szerokim kołem. Trwa więc w najlepsze powtarzanie ciągle tych samych, choć inaczej opakowanych, tez i twierdzeń.*

Uznałem jednak, po pewnym zamieszaniu spowodowanym edycją dzieła Zychowicza, że trzeba jeszcze raz spróbować wrócić do tematu. Tym bardziej, że podobnie niezauważona (*czy zlekceważona*) *weszła w obieg inna praca. W 2011 roku wydana została książka Roberta Michulca „Ku wrześniowi 1939"*[3]. *Ta niezwykle obszerna monografia jest trudna do oceny. Jest w niej wiele emocji, przesycona jest epitetowaniem nie tylko polskiej elity władzy sprzed września, ale i w ogóle Polaków i Polski. Autor nie stroni też od epitetowania „nazistów" i Hitlera, ale ogólny przekaz tego dzieła interesująco współbrzmi z podstawowymi tezami współczesnej historycznej propagandy niemieckiej. Wyłania się bowiem z kart tej pracy obraz Polaków, którzy przez swoją wrodzoną głupotę i zacietrzewienie doprowadzili do wybuchu II wojny światowej. Co warte również szczególnej uwagi, praca Michulca jest rzetelnie dokumentowana, oparta o wiele nowatorsko interpretowanych źródeł. Na szczególną uwagę zasługuje to, że w wielu ważkich kwestiach odwołuje się on ewidentnie do materiałów niemieckich, jednak nie przytacza ich jako bazy źródłowej. Potwierdza to przypuszczenie, że autor ów jest raczej przekaźnikiem pewnej wyraźnie zorientowanej propagandy historycznej.*

Niemniej brak reakcji polskiej nauki historycznej na dzieło Michulca, wydane w solidnym nakładzie, musi tym bardziej dziwić. Zaakceptowanie w obiegu naukowym takiego opracowania, bez choćby słowa komentarza, musi budzić najdalej idące zdumienie.

---

[2] J. Łojek, *Agresja 17 września. Studium aspektów politycznych,* Warszawa 1990.

[3] R. Michulec, *Ku wrześniowi 1939 roku,* Gdynia 2011.

Zdecydowałem się zatem raz jeszcze zmierzyć się z tematem, a przy okazji poddać pewnej weryfikacji swoje własne poglądy i opinie, wyrażone w publikacji sprzed lat. Okazało się, że w wielu elementach należało dokonać pewnej rewizji zajętego stanowiska. Przede wszystkim uznałem, że należy znacząco złagodzić przedstawione oceny dotyczące ministra Józefa a. Wynikało to głównie z tego, że w pierwotnych rozważaniach zasadniczo pominąłem niezwykle ważkie uwarunkowania jego sytuacji w obrębie obozu sanacyjnej elity władzy. Wydaje się, że wzorem niemal wszystkich badaczy uznawałem, że minister Beck miał całkowitą swobodę i autonomię w działaniach dyplomatycznych w 1938 roku i – zwłaszcza – w 1939 roku. Jest jednak oczywiste, iż rosnąca w siłę – niestety – postać marszałka Śmigłego-Rydza wywierała wybitnie negatywny wpływ na wiele poczynań ministra spraw zagranicznych. Uwzględnienie tego wątku w sposób naturalny musiało relatywizować wiele błędów przypisywanych (zresztą dość powszechnie) samemu Beckowi.

Starałem się też odstąpić od nadmiernego epitetowania głównych aktorów opisywanych wydarzeń. Przyznaję, że w pierwszej edycji książki poddałem się tej manierze, co z pewnością nie służyło wyrazistości przekazu merytorycznego. Mam nadzieję, że ułatwi to obecnie odbiór zasadniczych tez zawartych w tej pracy.

Wreszcie mam wrażenie, że w sposób przekonujący udało mi się zrekonstruować właściwą przyczynę zasadniczego zwrotu kierunku działań dyplomatycznych Polski na przełomie 1938/1939 roku na odcinku niemieckim. Problem słowacki jawi się tu jako podstawowa kwestia polityczna i strategiczno-wojskowa, determinująca postępowanie strony polskiej aż po nieszczęsne wydarzenia drugiej połowy marca 1939 roku.

Starałem się też uwzględnić wątek w mojej ocenie ważki, a konsekwentnie pomijany w polskich opracowaniach. Wskazuje bowiem, że po odzyskaniu Zaolzia oraz po jesiennych wyborach 1938 roku, elita sanacyjna osiągnęła stan kompletnego oderwania się od rzeczywistości. Zwłaszcza środowisku skupionemu wokół marszałka Śmigłego-Rydza udzieliło się przekonanie, że Polska stała się już mocarstwem światowym, na tyle silnym, iż może lekceważyć wzmagającą się potęgę militarną Niemiec.

Jakkolwiek jest faktem, że wydarzenia, jakie miały miejsce w polityce europejskiej na przełomie 1938/1939 roku, wyniosły znaczenie Polski do niewyobrażalnych z dzisiejszej perspektywy poziomów, a Polska, jak nigdy od ponad dwustu lat, stała się kluczowym elementem na kontynencie,

to jednak ani Beck, ani tym bardziej pozostali członkowie elity ówczesnej władzy, nie okazali się zdolni do podźwignięcia ciężaru takiej pozycji. Wskazuję na to ze smutkiem, konstatując, że nawet tak wybitny w skali europejskiej (i w skali polskiej historii) polityk, jakim był bez cienia wątpliwości minister Beck, nie był w stanie sprostać temu wyzwaniu.

W tym kontekście wskazać trzeba, że niezdolność do bardziej realistycznego podejścia do ostatecznego ukształtowania naszych ówczesnych relacji z Niemcami wynikała przede wszystkim z przesłanek irracjonalnych. Minister Beck i elita sanacyjna świadomi byli szansy, jaką otworzyła przed nimi historia, zrozumieli też, że szansy tej nie wykorzystali. Jednak zamiast natychmiast zweryfikować swoje postępowanie i przejść do działań, które powinny chronić państwo i naród przed wojenną pożogą, „rzucili los na stos". Zrobili to, mimo że nie było ani takiej potrzeby, ani takiej konieczności.

Wskazuje jednak także, jak wielkie znaczenie dla relacji polsko-niemieckich w 1938 i 1939 roku miała walka, która rozgorzała w obrębie obozu sanacyjnego o zwalniany najpóźniej wiosną 1940 roku urząd prezydenta RP. Zarówno akcja zaolziańska, kombinacja słowacka, jesienne wybory parlamentarne 1938 roku, stawianie wojska w stan wojskowej mobilizacji, wreszcie konsekwentne zaostrzanie linii wobec Niemiec, stało się elementem toczącej się kampanii politycznej. Pułkownik Beck odgrywał w niej pierwszoplanową rolę, najpierw jako protagonista płka Walerego Sławka, a po jego śmierci jako główny zapewne konkurent marszałka Śmigłego-Rydza ze strony grupy pułkowników. Tylko w tym kontekście można zrozumieć treść i sens słynnego wystąpienia ministra Becka w Sejmie 5 maja 1939 roku. Jestem przekonany, że uzyskane w następstwie tego wystąpienia przez płka Becka społeczne poparcie stanowiło nie tyle, czy nie przede wszystkim, jakąkolwiek demonstrację wobec Niemiec, ile uwerturę jego kampanii wyborczej przed spodziewanymi powszechnymi wyborami prezydenckimi. Świadomość prowadzenia takiej gry przez ministra spraw zagranicznych także determinowała postępowanie obozu marszałka, a w konsekwencji zintensyfikowanie swoistego nadzoru nad poczynaniami ministra Becka oraz narzucanie mu pomysłów raczej charakterystycznych dla obszaru wojskowego niż subtelności dyplomatycznych.

Dlatego jednak moja ocena pozostaje i dla Becka, i dla pozostałych członków ówczesnej elity władzy, maksymalnie krytyczna. Jest ona tym bardziej krytyczna, że – jak próbuję to wykazać – najsilniejsza w historii Polski

armia nie musiała ulec Niemcom w 1939 roku. Kolejne błędne założenia dotyczące sposobu prowadzenia tej wojny doprowadziły do niepotrzebnej katastrofy, niszcząc na dziesięciolecia nasz niepodległy byt oraz zmiatając z powierzchni ziemi niemal całą elitę społeczną Rzeczypospolitej. Takiego kataklizmu Rzeczpospolita nie doznała w dziejach, zatem ocena tych, którzy nieroztropnym działaniem doprowadzili do takich skutków, musi być jednoznaczna i wyrazista.

Podobnie jak we wcześniejszym opracowaniu, skupiam się głównie na okresie od kryzysu czechosłowackiego do maja 1939 roku. Był on bowiem, w moim utrwalonym przekonaniu, czasem decydującym dla Polski. To wtedy pojawiły się wielkie, niewykorzystane przez polską dyplomację szanse na odegranie kluczowej roli w polityce europejskiej. Ale także, a może przede wszystkim, był to okres, w którym istniały szanse najpełniejszego zabezpieczenia polskiej niepodległości, poprzez stworzenie wraz z Wielką Brytanią szerokiego bloku antyniemieckiego. Bloku, który mógł powstrzymać ekspansję Hitlera zanim ten jeszcze zdołał wzmocnić III Rzeszę drogą podbojów i aneksji, zanim zdołał dzięki temu doprowadzić do skrajnego otumanienia właściwie całej niemieckiej opinii publicznej i niemieckiego społeczeństwa.

Podtrzymuję, niezależnie od powyższych uwag, w całości zasadnicze tezy postawione w poprzednim opracowaniu. Przypomnę je po kolei.

Po pierwsze, jestem jeszcze bardziej przekonany o tym, że we wrześniu 1939 roku nie musiała wybuchnąć wojna światowa, a z całą pewnością nie musiała ona zacząć się od Polski.

Po drugie, jest dla mnie oczywiste, że do wybuchu wojny niemiecko-polskiej doszło wskutek karygodnych błędów w ocenie własnego położenia i własnych interesów, popełnionych przez polską elitę władzy, zwłaszcza w 1938 roku w trakcie kryzysu czechosłowackiego i na przełomie 1938/1939 roku.

Po trzecie, podobne błędy polskiej elity władzy doprowadziły do tego, że wojna wybuchła w najgorszym dla Polski momencie i w najgorszych dla niej warunkach, to jest przy aktywnym zaangażowaniu przeciw niej obu potężnych sąsiadów.

Po czwarte, bardzo poważne błędy polskiego dowództwa wojskowego, popełnione w wyjściowym ustawieniu naszych armii oraz kompletne nieprzygotowanie zaplecza walczących oddziałów do prowadzenia wojny

w warunkach defensywnych, doprowadziły w sposób nieuzasadniony i niekonieczny do takiego przebiegu kampanii wrześniowej, który zakończył się kompletną i zaskakującą klęską militarną strony polskiej.

Dodatkowo podkreślam z całą mocą znaczenie polskiej rozgrywki dyplomatycznej o uzyskanie samodzielnego protektoratu nad państwem słowackim jako czynnika decydującego o ukształtowaniu relacji polsko-niemieckich od początku 1939 roku. Wskazuję, że właśnie złamanie pierwotnych ustaleń dotyczących tej kwestii przez stronę niemiecką spowodowało gwałtowny zwrot dotychczasowej polskiej polityki wobec Niemiec.

Kończąc te wstępne rozważania, czuję się w obowiązku złożyć kilka podziękowań.

Po pierwsze, raz jeszcze wyrażam wdzięczność Fundacji Lanckorońskich, która współpracując z moim macierzystym Katolickim Uniwersytetem Lubelskiem w ramach prowadzonego przez lata programu stypendialnego, umożliwiła mi pobyt w Londynie. Dzięki temu udało mi się przeprowadzić solidną kwerendę archiwaliów rzucających nowe światło na politykę brytyjską w interesującym nas okresie.

Po drugie, dziękuję wspomnianemu prof. Romualdowi Szeremietiewowi, który wiele lat temu wsparł moje wysiłki o opublikowanie wcześniejszej pracy. Jest to tym bardziej godne podkreślenia, że Romuald Szeremietiew z wieloma tezami tej pracy z pewnością się nie zgadzał, uznał jednak jej publikację za ważną dla pobudzenia dyskusji naukowej.

Po trzecie, jestem wdzięczny prof. Stanisławowi Salmonowiczowi, mojemu Nauczycielowi, który pokazał mi jak być krytycznym badaczem historii.

1.

Kanclerz... wysoce zadowolony

Uregulowanie wzajemnych relacji polsko-sowieckich w 1932 roku[4] i polsko-niemieckich w 1934 roku[5], stworzyło warunki do ustabilizowania międzynarodowej pozycji Polski. Oba, zawarte z sąsiadami, traktaty były prawdziwymi kamieniami milowymi polskiej polityki zagranicznej[6] w okresie międzywojennym. Rzeczpospolita, osamotniona po porozumieniu w Locarno[7], musiała dokonać olbrzymiego wysiłku, aby osiągnąć taki rezultat. Był to wielki sukces marszałka Piłsudskiego oraz dwóch ściśle z nim współpracujących ministrów spraw zagranicznych: Augusta Zalewskiego i Józefa Becka.

Traktaty te wyraźnie wpłynęły na uspokojenie sytuacji międzynarodowej w Europie, zwłaszcza zaś w jej środkowo-wschodniej części. Nie licząc drobnych komplikacji, panował tu, w otoczeniu Polski, względny spokój praktycznie do końca 1937 roku.

W tym momencie, jako najważniejsze problemy w polityce europejskiej, postrzegano przebieg i następstwa wojny domowej w Hiszpanii oraz agresywną politykę Włoch w basenie Morza Śródziemnego[8].

---

[4] Tekst paktu o nieagresji pomiędzy Rzecząpospolitą Polską a ZSRR został opublikowany w Dzienniku Ustaw RP (dalej: DzU RP) z 1932 r., nr 115, poz. 951.

[5] Tekst deklaracji o niestosowaniu przemocy między Polską a Niemcami, opublikowany w DzU RP z 1934 r., nr 16, poz. 124.

[6] Taka opinię sformułował m.in. w swojej ważnej monografii S. Żerko, *Stosunki polsko-niemieckie 1938–1939,* Poznań 1998, s. 15.

[7] Tzw. układy locarneńskie, zawarte w październiku 1925 roku, oznaczały przede wszystkim dwa porozumienia: francusko-niemieckie i belgijsko-niemieckie – w sprawie uznania granic. Dodatkowo wprowadzały nowe porządki w relacje państw zachodnich (sygnatariuszami były także Włochy i Wielka Brytania). W powszechnym odczuciu, uregulowanie relacji Niemiec z zachodnimi sąsiadami i przeciwnikami z okresu Wielkiej Wojny, stanowiło jednocześnie czytelny sygnał, że na wschodzie Niemiec podobne reguły nie obowiązują, *ergo* Niemcy otrzymały swoistą *carte blanche* dla prowadzenia swojej polityki względem, przede wszystkim, Polski i Czechosłowacji wedle innych zasad.

[8] Wydaje się, że twierdzenie takie jest uprawnione, jeśli za jego podstawę przyjąć fakt zainteresowania powyższą tematyką gabinetu brytyjskiego. Na przełomie 1937/1938 roku to właśnie te kwestie były bez przerwy rozpatrywane jako zagadnienia najwyższej wagi na posiedzeniach angielskiej Rady Ministrów. Patrz protokoły z posiedzeń gabinetu w zbiorach londyńskiego Public Record Office 613, CAB 23/91, 92 i 93 (dalej PRO, CAB). Podobnie postrzegały sytuację

Konflikt w Hiszpanii[9] przyciągnął wielką uwagę najważniejszych mocarstw europejskich, za które w tym czasie uchodziły Wielka Brytania, Francja, Włochy, Niemcy i Związek Sowiecki. Była to bowiem pierwsza, ujawniona na tak wielką skalę, konfrontacja pomiędzy, z jednej strony, dwoma kształtującymi się totalizmami: niemieckim nazizmem i włoskim faszyzmem, związanymi współpracą antykominternowską[10] oraz – z drugiej strony – rosyjskim totalizmem komunistycznym.

Jednocześnie silne zaangażowanie Włoch w wojnę Hiszpanii po stronie sił narodowych gen. Franco w najwyższym stopniu niepokoiło Anglię i – zwłaszcza – Francję. Obok spektakularnej rozbudowy potencjału floty włoskiej obecność Włoch w Hiszpanii stanowiła niezmiernie ważny czynnik wzmacniający ich pozycję w basenie śródziemnomorskim.

Dla Francji oznaczało to dodatkowo potencjalne oskrzydlenie tak na lądzie, jak i na morzu i to w najczulszym punkcie – tam gdzie prowadziły najkrótsze szlaki do jej najwartościowszych kolonii w Afryce Północnej i Zachodniej. Ewentualne usadowienie się Włochów, sprzymierzonych z Niemcami w Hiszpanii, ożywiało najgorszy okres francuskiej historii – okrążenia przez imperium Habsburgów w XVI i XVII wieku.

Podobnie dla Anglii, obecność Włoch w Hiszpanii oznaczała wielkie zagrożenie dla jej szlaków komunikacyjnych, wiodących poprzez Kanał Sueski oraz, a może przede wszystkim, dla jednej z najważniejszych baz wojskowych imperium – Gibraltaru. Dodatkowo, włoska akcja w Abisynii[11] wskazywała na to, że zagrożone są interesy brytyjskie w koloniach afrykańskich.

O ile zatem w tej części Europy główną rolę w interesujących wielkie mocarstwa wydarzeniach odgrywał włoski *Duce* – Benito Mussolini – o tyle

---

europejską gabinety francuskie, jednak ich stanowisko było już w tym okresie oczywistą funkcją poglądów Londynu.

[9] Konflikt w Hiszpanii rozpoczął się latem 1936 roku, rok później siły gen. Franco wspierane przez Włochów kontrolowały już większość obszaru kraju.

[10] Pakt antykominternowski podpisały Niemcy z Japonią 25 listopada 1938 roku. Niemal rok później, 6 listopada 1937 roku, sygnatariuszem paktu stały się również Włochy, a połączonych tym porozumieniem sojuszników nazywano potocznie „Osią". Pakt skierowany był jednoznacznie przeciwko Związkowi Sowieckiemu, który firmował na gruncie międzynarodowym stworzony przez siebie Komintern (*Komunisticzeskij Internacjonał)*, czyli międzynarodową organizację partii komunistycznych.

[11] Włochy zaatakowały Etiopię na początku października 1935 roku, czym bardzo zaniepokoiły Anglię. W maju 1936 roku armia włoska zajęła stolicę Etiopii Adis Abebę, po czym Włochy zaanektowały ten kraj.

przełom 1937/1938 roku miał przynieść zdarzenia, które błyskawicznie przerzuciły ciężar zainteresowania opinii międzynarodowej do centrum Europy.

Rządzone od 1933 roku przez Hitlera Niemcy kończyły bowiem okres względnie spokojnego, oczywiście z punktu widzenia ich późniejszych poczynań, działania w polityce międzynarodowej. Trzeba tu zauważyć, że postawa Hitlera, po którym w momencie gdy obejmował w 1933 roku władzę spodziewano się najgorszego, była do pewnego stopnia pozytywnym rozczarowaniem. Bardzo wyraźna orientacja i retoryka antykomunistyczna zjednywały wręcz pewną sympatię dla Niemiec. Wprawdzie niemieckie akcje w Zagłębiu Saary i Nadrenii[12] wzbudzały niepokój Anglii i Francji, ale w powszechnym przekonaniu nawet samych Francuzów, rewindykacje niemieckie uchodziły za oczywiste. Francja, ku zaskoczeniu znacznej części opinii europejskiej, w tym czynników polskich[13] bez większych zatem oporów oddała Niemcom swoje pozycje w obu, niezwykle ważnych z punktu widzenia gospodarczego, obszarach.

Także inne naruszenia postanowień wersalskich, dokonywane przez Niemcy, były do pewnego momentu bagatelizowane. Wydaje się nawet, że i Anglia, i Francja dawały tym wyraz swego rzeczywistego stosunku do tego traktatu. Z drugiej bowiem strony, dokonana przez Hitlera reorientacja stosunków z Polską, podpisanie tzw. paktu czterech[14] i okazywany przezeń szacunek, zwłaszcza dla Anglii, budziły poważne nadzieje, co do możliwego okiełznania jego ambicji. Ambicji nietraktowanych ciągle zresztą, jak się zdaje, przez znaczącą część opinii międzynarodowej do końca poważnie.

---

[12] W następstwie plebiscytu w Zagłębiu Saary, na początku stycznia 1935 roku, Niemcy odzyskali ten obszar. Po upływie pewnego czasu, 7 marca 1936 roku, ich wojska wkroczyły do Nadrenii, w obu przypadkach łamiąc regulacje wersalskie. W obu też przypadkach akcje te były swoistym sprawdzianem zdolności oporu ze strony Francji, której fatalne niezdecydowanie przy obu okazjach było jedną z głównych zachęt dla dalszych działań Hitlera.

[13] Jest charakterystyczne, że, po stronie polskiej zwłaszcza, akcja w Nadrenii wywołała skłonność do ożywienia koncepcji tzw. wojny prewencyjnej. Nawet niechętny Francji Beck sondował skalę determinacji Francji w obronie jej nadreńskich pozycji, ulegając niejako presji polskich środowisk wojskowych, przekonanych, że armia francuska będzie czynnie przeciwdziałać wkroczeniu wojsk niemieckich. Zaskoczenie pasywnością Francji było w Polsce całkowite, a w konsekwencji wywołało poczucie silnego dystansu do zdolności Francji do działania nawet w części kół wojskowych.

[14] „Pakt czterech" został podpisany w czerwcu 1933 roku w Rzymie pomiędzy Niemcami, Francją, Włochami i Wielką Brytanią. Był on ze strony Anglii i Francji swoistą próbą „ucywilizowania" obu dyktatorów, ale też spacyfikowania artykułowanych przez nich zamiarów kolonialnej ekspansji.

Dla Anglików taka postawa Hitlera dawała z jednej strony nadzieję, że będzie on swoistym straszakiem na wypadek jakichś reorientacji polityki francuskiej bądź próby jej nadmiernego usamodzielnienia się. Dodatkowo, skrajnie antykomunistyczne Niemcy potrzebowały wzmocnienia, aby stanowić skuteczną zaporę dla ewentualnych prób sowieckiej penetracji Europy.

Równocześnie szacunek i pewną zazdrość budziły wewnętrzne sukcesy Niemiec. Przezwyciężenie ciężkiego kryzysu społeczno-ekonomicznego, niezwykle dynamiczny – na tle innych krajów europejskich – rozwój gospodarki niemieckiej, likwidacja olbrzymiego bezrobocia czy skuteczna pacyfikacja najsilniejszego w Europie ruchu komunistycznego budziły powszechny szacunek. Jeśli dodamy do tego autentyczne poparcie dla reżimu nazistowskiego ze strony przygniatającej większości społeczeństwa niemieckiego, które od stanu głębokiej frustracji przeszło zasadniczą ewolucję w kierunku pełnego entuzjazmu dla celów polityki narodowej Hitlera, były jego wielkimi osiągnięciami i budziły prawdziwą zazdrość rządów demokratycznych w Europie.

Dla Polski odprężenie w stosunkach z Sowietami i Niemcami było – niestety – krótką chwilą wytchnienia po okresie pełnym napięć i niepokojów. W tym momencie, spośród bezpośrednich sąsiadów, jedynie relacje Polski z Litwą i Czechosłowacją nie były w pełni unormowane i wymagały poważnych działań. Jednak, choć stan tych właśnie relacji ciągle psuł atmosferę wokół Polski, to w praktyce nie miało to wielkiego wpływu na międzynarodową pozycję Rzeczypospolitej.

Warto w tym miejscu zastanowić się nad ważnym i istotnym dla historii Polski i jej zagranicznych stosunków momentem. Chodzi tu, oczywiście o śmierć marszałka Piłsudskiego w maju 1935 roku. Jest to tym bardziej istotne, że płk Józef Beck, który od tej chwili przejął wyłączny ster polskiej polityki zagranicznej, na każdym kroku podkreślał, iż realizuje wskazania i wizje nakreślone przez wielkiego poprzednika.

Można powiedzieć, że to właśnie Beck najkrócej i najtrafniej scharakteryzował istotę tej polityki, mówiąc podczas swego exposé przed sejmową Komisją Spraw Zagranicznych w połowie stycznia 1936 roku:

> *Polityka polska jest prosta – tak prosta, że niektóre szczególnie podniecone wyobrażenia, nie chcą w żaden sposób w to uwierzyć. Punktem wyjścia dla tej polityki, jak też i celem ostatecznym, musi być oczywiście interes Polski, a nie co innego. Żaden wzgląd uboczny, ani żadna abstrakcyjna doktryna nie może mieć na nią*

wpływu. Rozumiejąc jednak szerzej polską rację stanu, doceniać musimy współpracę z innymi tam, gdzie się ona dla nas w formach jasnych i niedwuznacznych, a zgodnych z interesami i godnością naszego narodu otwiera. Od tej współpracy nie chcemy się uchylać. W każdym jednak poszczególnym wypadku musimy dobrze wiedzieć, jaki jest motyw i cel proponowanych układów czy działań i czy te motywy i cele nie są z naszą polską racją stanu sprzeczne. Układów politycznych podpisaliśmy niewiele, ale podpisaliśmy je po to, aby dotrzymać – wymagając oczywiście, od każdego z naszych partnerów wzajemności[15].

Marszałek Piłsudski zatem, kierując się tak zarysowanymi racjami, dążył ze wszystkich sił do ułożenia stosunków z dwoma kluczowymi sąsiadami Polski, a więc z Niemcami i Związkiem Sowieckim. W realizacji tego dążenia nie baczył na uwarunkowania historyczne czy współczesne, wynikające z napięć wokół kwestii ideologicznych. To dlatego, że kierował się właśnie takimi założeniami, opinia europejska z wielkim zdumieniem przyjęła podpisane przez niego traktaty. Podziw budziło to, że Polsce udało się wznieść ponad, jak sądzono, nieprzekraczalne bariery i różnice.

Doceniając wagę tych porozumień, Piłsudski wskazywał, że należy tak długo, jak to w praktyce będzie możliwe, utrzymać pozytywne relacje z kluczowymi sąsiadami. W konsekwencji wynikać z tego miało utrzymywanie „równego dystansu" w stosunku i do Berlina, i do Moskwy oraz nieangażowanie się w jakiekolwiek akcje podejmowane – w jakichkolwiek konfiguracjach – przeciw Niemcom czy ZSRS.

W tym właśnie kontekście marszałek Piłsudski zdecydowanie odrzucał wszelkie koncepcje tzw. bezpieczeństwa zbiorowego, uważając je, z natury swej, za nieskuteczne, a wikłające w niepotrzebne i niebezpieczne układy czy zobowiązania. Kombinacje najczynniejszej w tym zakresie polityki francuskiej uznawał za ledwo zawoalowane akcje skierowane przeciw Niemcom, i to z udziałem Rosji.

Jednocześnie jednak zachowywał dystans wobec wszelkich prób montowania bloków antykomunistycznych. Wychodził on bowiem z założenia, że jeśli dojdzie do jakichś konfliktów z Niemcami czy Rosją, to Polska będzie skazana na osamotnienie. Był przekonany, że Francja nie jest zdolna do realnego wsparcia Polski w ewentualnym konflikcie z Niemcami, przeciw

[15] J. Beck, *Przemówienia, deklaracje, wywiady 1931–1939,* Warszawa 1939, s. 191.

Rosji zaś żadnej poważniejszej pomocy ze strony sojuszników zachodnich nie można było w ogóle oczekiwać.

Uznając słabość polskiej gospodarki, a co za tym idzie niezdolność – na dłuższą metę – do sprostania potencjałowi militarnemu obydwu agresywnych sąsiadów, Piłsudski przestrzegał przed zaostrzaniem konfliktów z nimi. Wskazywał, że podjętemu przez Rosję czy Niemcy wyścigowi zbrojeń Polska nigdy nie będzie w stanie stawić czoła. Natomiast ewentualna perspektywa sojuszu obu sąsiadów przeciw Polsce traktowana była przez marszałka jako największe, ale jednocześnie wyobrażalne zagrożenie dla niepodległego bytu Rzeczypospolitej.

I wreszcie jeszcze jedno. Oceniając realnie możliwości Polski i jej pozycję, wbrew bezpodstawnie rozpowszechnianym poglądom, nigdy nie próbował aspirować do odgrywania przez Rzeczpospolitą roli mocarstwa, choćby tylko na skalę europejską.

Wydaje się, że francuska bierność wobec remilitaryzacji Nadrenii w początkach 1936 roku spowodowała, iż minister Beck stracił zupełnie wiarę w to, że kraj ten w najbliższej przyszłości będzie w stanie zdobyć się na jakiekolwiek przeciwstawienie się rosnącej aktywności Niemiec[16]. Konstatacji tej trudno byłoby, zwłaszcza dziś, odmówić racjonalnych podstaw.

Francja w tym czasie była bez wątpienia najsłabiej prezentującym się elementem spośród europejskich mocarstw. Wynikało to z postępującego paraliżu centralnych ośrodków władzy w tym państwie. Niemcy, Włochy czy ZSRS miały silne kierownictwa państwowe, nieliczące się z poglądami własnej opinii publicznej. Wielka Brytania, ze swym systemem politycznym, miała także stabilny ośrodek rządowy, choć niewątpliwie poddany momentami silnej presji opinii publicznej. Francja zaś sparaliżowana była głębokim wewnętrznym rozbiciem politycznym i brakiem mających stabilne poparcie parlamentarne rządów.

[16] Pamiętać należy, że minister Beck żywił głęboką, osobistą urazę do Francji i do polityków francuskich. Można wręcz zaryzykować twierdzenie, iż ta subiektywna niechęć istotnie paraliżowała możliwość jego działań wszędzie tam, gdzie zachodziła konieczność współpracowania z francuskim aliantem. Dlatego każdy problem wewnętrzny Francji oraz jakakolwiek niestabilność jej polityki wewnętrznej, stanowiły uzasadnienie podbudowujące jego niechęć dla tego kraju. Ta jego postawa zderzała się jednak z dominującymi w polskich kołach wojskowych zupełnie odmiennymi ocenami Francji i jej armii. Zwłaszcza Śmigły-Rydz reprezentował tu diametralnie odmienne nastawienie, a w ślad za nim udzielało się ono jego głównym współpracownikom w GISZ, Sztabie Głównym oraz MSWojsk., które po śmierci marszałka Piłsudskiego zostały raczej oczyszczone z ludzi kontestujących siłę i lojalność Francji.

Paraliż polityczny we Francji drugiej połowy lat 30. XX w.[17] także wyraźnie rzutował na postawę jej sił zbrojnych. Zwłaszcza ich dowództwo, ciągle przytłoczone reminiscencjami z konfrontacji z Niemcami podczas I wojny światowej, miało sparaliżowane właśnie tymi doświadczeniami myślenie o ewentualnej kolejnej wojnie. Rozdrobnienie polityczne w parlamencie, częste zmiany rządów, a wraz z tym brak obliczalności polityki francuskiej, do tego zaś chroniczne przyzwyczajenie do poszukiwania zbiorowych zabezpieczeń, zawsze niemal z obowiązkowym uczestnictwem Rosji, musiało budzić zrozumiałą wstrzemięźliwość Polski i nie tylko zresztą jej[18].

Wprawdzie Polska w ważnych momentach podkreślała swą wierność istniejącym zobowiązaniom sojuszniczym wobec Francji[19] i usiłowała

---

[17] Francja, podobnie jak Niemcy, rozdarta była ówcześnie przez radykalizm lewacki oraz radykalizm nacjonalistyczny. Pomiędzy nimi z trudem balansowały rozproszone siły centrum, przy czym francuski system polityczny powodował, iż właśnie w latach 30. doszło do kolejnej eskalacji wewnętrznego paraliżu politycznego. W drugiej połowie lat 30. przejściowa przewaga sił lewicy, zaowocowała silną orientacją prosowiecką Francji. Próby flirtowania rządów francuskich z Sowietami nie tylko irytowały zachodnich sojuszników tego kraju, zwłaszcza Anglię, ale przede wszystkim wywoływały skrajnie negatywne reakcje nad Wisłą.

[18] Szczególnym problemem francuskiej polityki zagranicznej był wyborczy sukces prosowieckich sił lewicowych w drugiej połowie lat 30. Przejście do otwartego wspierania polityki sowieckiej przez kolejne rządy francuskie budziło wielki niepokój wśród wielu tradycyjnych sojuszników Francji, Rumunii, Jugosławii, a nawet Czechosłowacji. Nie wspominając o Węgrzech czy krajach bałtyckich.

[19] Wyrazem tego stanowiska były dwie inicjatywy pozostające w bezpośrednim związku z niemiecką akcją w Nadrenii i wypowiedzeniem przez nie Traktatu Wzajemnej Gwarancji z Locarno w 1925 roku. 10 marca 1936 roku minister Beck w odpowiedzi na zapytanie rządu francuskiego „co do naszego stanowiska w sprawie wkroczenia wojsk niemieckich do Nadrenii" odpowiedział, „że w razie agresji na terytorium francuskie Polska będzie respektować wszystkie zobowiązania wynikające z sojuszu". Stanowisko to nie zadowalało Francji, która deklarowała gotowość wysłania swych wojsk do Nadrenii. Beck słusznie dostrzegał jednak niezdolność Francji do działania, w kontekście jej całkowitej pasywności wobec wcześniejszych polskich propozycji tzw. wojny prewencyjnej. To dlatego nie chciał on ryzykować utraty z trudem zdobytej, dobrej pozycji wobec Niemiec. Uznał zatem, iż nie ma powodu czynić pustych demonstracji na rzecz Francji. Oczywiste jest, że to nie jego stanowisko rozstrzygnęło o bierności Francji, ale było wygodnym uzasadnieniem tragicznej nieudolności Paryża do prowadzenia jakiejkolwiek aktywnej polityki wobec Hitlera. Jednocześnie ponownie dał wyraz polskiego stanowiska w sprawie układów locarneńskich, o których mówił, że „jako takie nie cieszą się sympatią opinii polskiej (...)". Wskazywał jednak, że „powodowani niezmiennie przyjaznym stosunkiem do Francji, proponujemy ścisły kontakt pomiędzy naszymi rządami dla przedyskutowania spraw wspólnie je interesujących". (Diariusz i teki Jana Szembeka [dalej: Diariusz...], Londyn 1965, t. 2, s. 403).

Niemal miesiąc później, 6 kwietnia 1936 roku, odgrywającemu fatalną rolę ambasadorowi francuskiemu w Polsce L. Noëlowi wręczone zostało memorandum w sprawie zobowiązań wynikających z sojuszu polsko-francuskiego. W punkcie trzecim tego dokumentu stwierdzano: „Zobowiązanie do bezzwłocznego wsparcia w wypadku niesprowokowanej agresji winno być rozumiane w sposób, który zapewni w każdych okolicznościach wzajemność, która winna zawierać dla obu stron takie samo ryzyko i korzyści. Gdy istnieje *casus foederis* każda

przy jej pomocy wzmacniać swój potencjał militarny[20], lecz coraz wyraźniej było widać rosnący wobec niej dystans. Na tym właśnie tle opinia europejska widziała jednocześnie rosnące zbliżenie polsko-niemieckie.

Szczególne znaczenia miały w tym kontekście dwa wystąpienia ministra Becka na forum Ligi Narodów. Widzieć je należy wyraźnie, nie tylko w kontekście wzmiankowanej francuskiej bierności w stosunku do poczynań Niemiec, ale – i to może przede wszystkim – jako reakcję na brak jakiegokolwiek zainteresowania Francji współpracą z Polską w ewentualnym powstrzymywaniu ekspansji niemieckiej.

16 kwietnia 1935 roku, przemawiając w związku ze zgłoszonym przez rząd francuski projektem potępienia decyzji Niemiec o wprowadzeniu powszechnej służby wojskowej i wypowiedzeniu przez nie części postanowień wersalskich, minister Beck w istocie otwarcie dał wyraz głębokiej rezerwy wobec Francji. Jednocześnie, całkowicie przemilczając komentowane w Lidze posunięcia niemieckie, stworzył wrażenie ich poparcia przez Polskę[21]. Beck mówił:

> *Czy można dziwić się temu, że polska opinia publiczna była niezmiernie zdziwiona poczynaniami i natarczywymi nawoływaniami, do zapewnienia pokoju na wschodzie Europy, które rozbrzmiewały właśnie w chwili, kiedy powyższe dwa doniosłe akty, przyczyniły się w sposób tak istotny i znamienny do stabilizacji stosunków między Polską a dwoma mocarstwami sąsiednimi? Nie będę ukrywał przed moimi szanownymi kolegami, że ten fakt wzbudził poważne podejrzenia polskiej opinii publicznej, która zadawała sobie pytanie, czy pewne zamierzone układy nie mogły naruszyć, jeżeli nie z punktu widzenia intencji, to z punktu widzenia możliwych skutków, stan pokoju, wytworzonego szczerym i lojalnym wysiłkiem politycznym.*

---

z »Wysokich Umawiających się Stron« winna być pewna, że druga strona nie będzie skrępowana przez żadne inne zobowiązania i będzie mogła natychmiast, bezzwłocznie przyjść z pomocą zaatakowanemu sojusznikowi". (Diariusz..., t. 2, s. 434–435).

[20] Wyrazem tego był francusko-polski układ z Rambouillet z 17 września 1936 roku, na mocy którego Polska uzyskała pożyczkę 2 mld franków na zakup uzbrojenia. Pamiętać jednak należy, że niezależnie od złych oficjalnych relacji dyplomatycznych polsko-francuskich, wojsko i jego placówki, na polskich misjach dyplomatycznych, utrzymywały cały czas bardzo dobre, regularne kontakty. Zwłaszcza właśnie na odcinku francuskim, ten swoisty równoległy kanał, był wyjątkowo często wykorzystywany przez marszałka Śmigłego-Rydza i gen. Kasprzyckiego. Wskazują na to autorzy *Historii dyplomacji polskiej*, t. 4, Warszawa 1995, s. 573–574.

[21] J. Beck, *Przemówienia...*, s. 158–160.

Niespełna rok później, 18 marca 1936 roku, podobny ton miała jego wypowiedź podczas dyskusji prowadzonej w związku z remilitaryzacją Nadrenii oraz wypowiedzeniem przez Niemcy układów zawartych w Locarno[22]. Niemcy argumentowali, że układy locarneńskie straciły sens wobec zawarcia traktatu francusko-sowieckiego, który – słusznie – postrzegali jako skierowany bezpośrednio przeciwko nim. Przy okazji Hitler chciał przetestować zdolność Francji do działań aktywnych, stąd pomysł zajęcia opuszczonej przez Aliantów w 1930 r. Nadrenii. Niezdolność do działania ze strony Francji, nawet w tak kluczowej dla niej sprawie, utwierdzała Becka w słuszności przyjętej linii postępowania.

Warto tu nadmienić, że Beck nie ukrywał właściwie swej niechęci czy wręcz lekceważenia wobec Francji, co zapewne uwarunkowane było jego osobistymi doświadczeniami[23]. Podobnie zresztą rzecz się miała we Francji, gdzie był on osobistością bardzo nielubianą. Do tego dochodziła fatalna rola francuskiego ambasadora w Warszawie Leona Noëla, który nie mógł się pogodzić z faktem, że nie jest traktowany przez Polaków jak udzielny gubernator francuskiej kolonii[24].

To wszystko, *nolens volens*, przekładało się na wzajemne relacje, co w interesującym nas kontekście miało skutki jak najbardziej fatalne. Tym bardziej, że z drugiej strony Francuzi odebrali polskie zdystansowanie się od kwestii nadreńskiej jako akt uzasadniający ewentualną pasywność Francji względem spodziewanej w przyszłości aktywności niemieckiej przeciwko Polsce.

---

[22] Minister Beck kończył swe przemówienie słowami, które nie pozostawiały wątpliwości co do tego, kto był ich adresatem i stąd były swoistym podsumowaniem francuskiej polityki symbolizowanej układem locarneńskim: „Rząd polski i opinia publiczna w Polsce przywiązują największą wagę do konsolidacji normalnych stosunków między krajami europejskimi, co stanowi istotny warunek bezpieczeństwa w Europie. Temu warunkowi nie może stać się zadość, o ile nie będzie przestrzegana ściśle zasada, której rząd polski zawsze bronił, a mianowicie, że interesy jakiegokolwiek kraju, niezależnie od jego znaczenia, nie mogą stanowić obiektu negocjacji międzynarodowej bez udziału i zgody zainteresowanego. Jedynie zastosowanie tej zasady przyczynić się może do przywrócenia i konsolidowania międzynarodowego zaufania, które jest podstawą bezpieczeństwa". J. Beck, *Przemówienia*..., s. 222–224.

[23] Józef Beck na początku lat 20. XX w. przebywał we Francji jako polski attaché wojskowy i na żądanie strony francuskiej został odwołany. Zarzucano mu popełnienie szeregu nietaktów wobec osobistości francuskich. Faktycznie jednak, w przeciwieństwie do innych polskich oficerów, Beck nie chciał dać się sprowadzić do roli francuskiego agenta i to, jak się wydaje, bardzo złościło Paryż. Wyniósł zatem Beck w związku z tym głęboki uraz do Francuzów.

[24] Z lektury wspomnień francuskiego ambasadora można odnieść wrażenie, że ten dobrze zaznajomiony z polską historią dyplomata odczuwał wielki dyskomfort z powodu tego, że nie uzyskał w Polsce statusu porównywalnego z niegdysiejszym statusem ambasadorów rosyjskich w Warszawie w XVIII w.

Równolegle, niezależnie od zewnętrznego odbioru tych wystąpień, wyraźnie następowało podniesienie dotychczasowych, w istocie ledwie poprawnych, relacji polsko-niemieckich na poziom, który uznać by można za co najmniej przyjacielski. Znajdowało to wyraz, w pierwszym rzędzie, w sposobie traktowania polskiego ambasadora w Berlinie, Józefa Lipskiego. Niemieckie gesty wobec niego nie uchodziły oczywiście uwadze tamtejszych kół dyplomatycznych[25]. Także atmosfera towarzysząca odbywającym się coraz częściej spotkaniom polskich i niemieckich decydentów, potwierdzała tę niezwykłą, zaskakującą dla opinii europejskiej, ewolucję. Przykładem są bardzo ważne w ówczesnej sytuacji konferencje, jakie odbyły się wkrótce po śmierci marszałka Piłsudskiego, a zwłaszcza wielkie uroczystości upamiętniające marszałka w Berlinie, z osobistym, istotnym udziałem Hitlera[26].

23 maja 1935 roku ambasador Lipski spotkał się z Hitlerem[27], natomiast 3 lipca 1935 roku odbyły się rozmowy kanclerza z ministrem Beckiem[28]. Podczas obu tych konferencji Hitler nie krył swego, jak się zdaje autentycznego, podziwu dla marszałka Piłsudskiego. Jednocześnie dawał wyraz wielkiemu zadowoleniu z korzystnej ewolucji stosunków polsko-niemieckich.

Zwłaszcza w rozmowie z Beckiem podkreślał wielką wagę, jaką przywiązywał do stosunków z Polską, której deklarował jak największe zaufanie. Mówił w tej rozmowie, że:

> *od chwili kiedy uzyskał wpływ na rządy w Niemczech, od razu* (...) [*wysunął*] *jako najważniejsze, a w dawnych Niemczech tak niepopularne, dwa punkty: ułożenie stosunków z Anglią i Polską. Reszta jest* (...) *kwestią drugorzędną*.

Pozostaje pytanie, jak dalece był szczery w swoich wyznaniach. Wydaje się jednak, że nie było to jedynie kurtuazyjne stwierdzenie[29]. Hitler

---

[25] J. Karski, *Wielkie mocarstwa wobec Polski 1919–1945. Od Wersalu do Jałty,* Lublin 1998, s. 236. Podkreśla to też S. Żerko, *op.cit.,* s. 20.

[26] Warto odnotować, że A. Hitler, podczas swojego przewodzenia Rzeszy, tylko raz uczestniczył w Kościele katolickim we mszy świętej. Było to nabożeństwo żałobne za duszę marszałka Piłsudskiego w berlińskiej katedrze. Wydarzeniu temu niemieckie środki przekazu nadały ówcześnie wielką wagę.

[27] Raport ambasadora Lipskiego z tej rozmowy [w:] *Diariusz...*, t. 1, Londyn 1964, s. 518–521.

[28] *Dokumenty i materiały do historii stosunków polsko-radzieckich,* t. 6, Warszawa 1967, s. 305–308.

[29] J. Karski, *op.cit.,* s. 236–238. Tak odczytuje to stanowisko Hitlera, również raczej niechętny Polsce, A. Taylor, *The Origins of the Second World War,* Londyn 1991, s. 110–111. Zwraca

i w rozmowie z Beckiem, i publicznie podkreślał, że jego głównym wrogiem była komunistyczna Rosja. Z tego punktu widzenia przychylność Polski była dlań bezcenna. Ale nie tylko dlatego.

Trudno oczywiście określić jednoznacznie, czy już w 1935 roku miał on sprecyzowaną wizję przeprowadzenia niemieckich rewindykacji. Dążył on oczywiście do, jak to określał, naprawienia szkód wyrządzanych jego krajowi w traktacie wersalskim, a następnie realizacji planów ekspansji, określonych w swoich ideologicznych rozważaniach. Jeśli jednak taki schemat istniał i obejmował to, co wkrótce miało nastąpić – objęcie Nadrenii, przyłączenie Austrii i rozbicie Czechosłowacji – to jego zademonstrowane w rozmowach podejście do Polski było całkowicie logiczne. Aby taki ambitny plan przeprowadzić, konieczna była życzliwość ze strony Polski.

Nie ma zatem specjalnego znaczenia, czy owo komplementowanie Polski w tym momencie było szczere czy nieszczere. Ważne są efekty tej polityki – i dla Niemiec, i dla Polski. Tym bardziej – o tym nie można zapominać – że Hitler dla realizacji swojego dążenia do unormowania relacji z Polską musiał ciągle przełamywać zdecydowane opory skrajnie niechętnych Polsce, zdominowanych przez Prusaków, kręgów niemieckiej dyplomacji.

Sam minister Beck nie dostrzegał ówcześnie, a może – jak się zdaje – po prostu bagatelizował niebezpieczeństwa, tkwiące w zewnętrznym okazywaniu swej sympatii wobec hitlerowskich Niemiec. I to zarówno w wymiarze wewnętrznym, jak i międzynarodowym. Z pewnością natomiast nie zauważał poważniejszych zagrożeń, wynikających z obranego kierunku ewolucji stosunków z Niemcami. Jest charakterystyczne, że w swej notatce

---

on uwagę na to, że Hitler nie tylko nie był zakładnikiem dotychczasowych niemieckich elit politycznych (zwłaszcza konserwatywnych, skrajnie antypolskich, pruskich elit dyplomatycznych), ale wręcz był ich systemowym wrogiem. Z całą świadomością odrzucał ich priorytety i uprzedzenia, szczycił się zrywaniem swoiście pojmowanej ciągłości polityki zagranicznej Niemiec weimarskich ze swoją polityką, a właśnie relacje z Polską miały być widocznym dla każdego symbolem zmiany politycznej w Niemczech, skali odejścia od znienawidzonej „demokratycznej republiki" przez narodowo-socjalistycznych rewolucjonistów. Taylor zwraca również uwagę – to istotne w kontekście naszych późniejszych rozważań – że dla Hitlera nie tyle ważne były rewindykacje terytorialne, ile poszukiwanie partnerów dla realizacji dalekosiężnych planów. Tu widział szczególną rolę sojuszy z Włochami, Polską i Węgrami. Dowodem jego konsekwencji w tym obszarze – na to także dalej zwracam szczególną uwagę – była zdolność do całkowitego poświęcenia interesów niemieckich w południowym Tyrolu na rzecz Włoch po to, aby konserwować sojusz z tym państwem.

z przywołanej rozmowy, w żaden sposób nie skomentował on następującego fragmentu wypowiedzi kanclerza Rzeszy, który wskazywał, że:

> *miałby on myśl, o której dzisiaj mówić nie można, ale która za jakieś 15 lat może by dała się zrealizować, mianowicie stworzenia specjalnej drogi kolejowej i autostrady przez Pomorze, dla celów transportowych*[30].

Trzy lata później podobna propozycja, wraz z sugestiami dotyczącymi Gdańska, doprowadziła do gwałtownego zwrotu w stosunkach polsko-niemieckich. Tu jakby jej w ogóle nie dostrzeżono.

W każdym razie, w postępującym zbliżeniu polsko-niemieckim minister Beck nie widział żadnych, poważniejszych zagrożeń. Wyrazem tego, jest jego wypowiedź na naradzie, jaką odbył ze swymi najbliższymi współpracownikami 15 czerwca 1936 r. Narada ta poświęcona była najważniejszym zadaniom polskiej polityki zagranicznej w nadchodzącym okresie. Beck wskazywał podczas tego posiedzenia w ministerstwie, że:

> *momentem zasadniczym obecnej sytuacji w Europie jest z jednej strony montowanie „wojny religijnej", a z drugiej zaś wzajemne krzyżowanie się wpływów wielkich mocarstw. Polska w sytuacji tej zajmuje pozycję kluczową, szczególnie jeśli chodzi o moment „wojny religijnej". Zmusza to politykę polską, do nieangażowania się w żadnym kierunku, gdyż tylko w ten sposób uniknie się niebezpieczeństwa, rozegrania na terytorium Polski konfliktu między przedstawicielami obu „wyznań". W razie przechylenia się Polski w stronę Sowietów, doprowadzilibyśmy do zbrojnego konfliktu na naszej granicy zachodniej i odwrotnie, w razie przechylenia na stronę Niemiec, wywołalibyśmy starcie na naszej granicy wschodniej*[31].

Stanowisko to dowodzi, że polski minister nie do końca chyba miał świadomość, jak odbierano jego wystąpienia w Lidze Narodów. Z pewnością jednak bagatelizował w sposób niebezpieczny tworzącą się w Europie wokół polskiej polityki zagranicznej opinię. Nie dostrzegał też niebezpieczeństwa w realnie postępującym, nadmiernym zbliżeniu z Niemcami, przed czym przestrzegał Piłsudski, mówiąc o „równym dystansie" wobec obu stron. Natomiast widać wyraźnie jego rosnące przeświadczenie co do

[30] *Diariusz...*, t. 1, Londyn 1964, s. 518–521.

[31] *Diariusz...*, t. 2, s. 221–222.

tego, że Polska stała się już właściwie europejskim mocarstwem. Wkrótce przeświadczenie to przekształci się w pełną wiarę, a w ślad za tym udzieli się całej ekipie rządzącej. W dalszym zaś rozwoju wydarzeń, dzięki skutecznej propagandzie wewnętrznej obozu sanacyjnego, wiara ta udzieliła się znaczącej części społeczeństwa polskiego. Skutki takiego myślenia okażą się wkrótce bardzo fatalne.

Zwieńczeniem tej polityki stało się podpisanie 5 listopada 1937 roku polsko-niemieckiej deklaracji w sprawie mniejszości narodowych[32]. Dokument ten, będący z całą pewnością niezaprzeczalnym, wielkim sukcesem polityki ministra Becka[33], był podsumowaniem z górą trzech lat trwania stosunków między obydwoma krajami, na bazie traktatu z 1934 roku.

Opinia zewnętrzna uznała jednak tę właśnie listopadową deklarację, w kluczowej do tej pory kwestii spornej między obydwoma krajami, za bardzo mocne potwierdzenie bliskich stosunków polsko-niemieckich[34]. Polska dyplomacja nie potrafiła bowiem osiągnąć w tym czasie podobnych sukcesów w kierunku wschodnim, a relacje z Francją znalazły się w stanie niemal zupełnego impasu. Wrażenie takie było więc w pełni uzasadnione.

Ważnym elementem dodatkowym był tu fakt, że Polska miała bardzo dobre stosunki z Włochami, które jak wspominałem, w tym okresie były zaangażowane w akcje przeciwko Francji i Anglii, zarówno w obszarze Morza Śródziemnego, jak i na kontynencie afrykańskim. Jednocześnie

---

[32] *Diariusz*..., t. 3, Londyn 1969, s. 345–346 – tekst deklaracji.

[33] Beck, słusznie antycypując, że Niemcy zwrócą się przeciw Czechosłowacji, wykorzystując problem mniejszości niemieckiej w Sudetach, chciał uniknąć możliwych w tym kontekście implikacji dla Polski. Polska zresztą miała tu swoje liczne doświadczenia. Do tego związana była wersalskimi zobowiązaniami, których przestrzeganie, a raczej nieprzestrzeganie, zawsze dawało Niemcom dogodne argumenty propagandowe. Dlatego uregulowanie tej kwestii w drodze zgodnych ustaleń dwustronnych było wielkim osiągnięciem polskiej dyplomacji. Beck nalegał zatem bardzo na pilne uregulowanie wzajemnych uwarunkowań polityki wobec mniejszości niemieckiej w Polsce i polskiej w Niemczech, *Diariusz*..., t. 3, s. 361.

[34] PRO, CAB 23/92, Protokół posiedzenia gabinetu z 24 stycznia 1938 roku. Rząd angielski w tym dniu analizował inicjatywę prezydenta Stanów Zjednoczonych F. D. Roosevelta, który proponował, by zwołać międzynarodową konferencję w Waszyngtonie. Celem tej konferencji miało być nadanie pokojowego kierunku ewolucji sytuacji międzynarodowej. Według planów Roosevelta, w konferencji tej, obok głównych mocarstw, uczestniczyć mieli też przedstawiciele: Szwecji, Holandii, Belgii, Szwajcarii, Węgier, Jugosławii, Turcji i trzech krajów latynoamerykańskich. Jest charakterystyczne, że w ramach tego projektowanego przez Amerykanów przedsięwzięcia, nie było miejsca dla Polski. Z perspektywy bowiem amerykańskiej, posiadającej pewien dystans emocjonalny wobec sytuacji w Europie, Polska uchodziła za ścisłego alianta Niemiec.

następowało stopniowe przełamywanie chłodnych dotąd relacji Mussoliniego z Hitlerem.

To właśnie na tym tle widzieć trzeba otwarte poparcie, jakiego udzieliła Włochom polska dyplomacja[35] podczas kryzysu abisyńskiego[36]. Stwarzało to kolejną przesłankę do postrzegania Polski przez społeczność międzynarodową jako bliskiego sojusznika Niemiec i Włoch.

Niezależnie zatem od intencji ministra Becka, u schyłku 1937 roku Polska odbierana była jako kraj blisko związany z Niemcami. Jakkolwiek dla bieżącej sytuacji nie miało to poważniejszych konsekwencji, to jednak w perspektywie nieodległych już wydarzeń miało mieć znaczenie zasadnicze.

Rok 1938 niósł bowiem wyzwania, które miały w praktyce zweryfikować umiejętność prowadzenia polityki „prostej", której „punktem wyjścia jak też i celem ostatecznym musi być oczywiście interes Polski".

[35] W liście ministra Becka do przewodniczącego Rady Ligi Narodów z 26 czerwca 1936 roku, wypowiadając się przeciwko projektowi zastosowania sankcji wobec Włoch, jednocześnie ponownie dawał on wyraz swojej zdecydowanej niechęci wobec Francji, która była jednym z tych krajów, które najostrzej występowały przeciw Mussoliniemu (J. Beck, *Przemówienia...*, s. 239–240).

[36] W szczególności chodziło tu o wkroczenie do Abisynii wojsk włoskich 5 października 1935 roku, co spowodowało zerwanie negocjacji włosko–angielsko–francuskich, a w ślad za tym kryzysy rządowe w Anglii i Francji.

2.

Kanclerz wyraża... jak największe zaufanie

Pod koniec 1937 roku Hitler uznał, że rozwój sytuacji wewnętrznej w Niemczech uzasadnia podjęcie na arenie międzynarodowej bardziej zdecydowanych kroków, zmierzających do osiągnięcia podstawowych celów politycznych swojego obozu politycznego. Warto w tym miejscu zastanowić się, czy istniało coś, co można byłoby określić jako pewne minimum stałych poglądów Führera na cele polityki niemieckiej. Patrząc bowiem z perspektywy historycznej, można odnieść wrażenie, że takich elementów nie było, albo w zasadzie nie było[37].

Wystarczy wskazać na fakt, że Hitler, uchodzący za zaciekłego wroga komunizmu i Związku Sowieckiego, bez najmniejszych problemów – gdy leżało to w interesie Niemiec – zawarł, błyskawicznie przełamując wszelkie opory ideologiczne, traktat ze Stalinem. Co więcej, nie tylko współpracował z nim przez pewien czas, ale nawet zaczął tolerować swych największych przeciwników wewnętrznych – niemieckich komunistów.

Jego stosunek do Anglii czy USA był pełen wahań i zmian – od entuzjastycznego akceptowania i prób współpracy, do okazywania ekstremalnej pogardy, nienawiści i wrogości.

To tylko dwa przykłady pokazujące, że trudno byłoby wskazać w jego postępowaniu elementy stałe, nieulegające zmianie. Właśnie taki obraz Hitlera zdaje się wynikać z niezliczonych biografii, jakie ukazały się na jego temat w latach powojennych. I właściwie wszyscy biografowie Hitlera mają ten sam problem – mimo największych wysiłków, nie są w stanie zbudować jakiegoś spójnego obrazu jego poglądów czy choćby bardziej trwałych sympatii czy antypatii (za wyjątkiem, rzecz jasna, stałej

[37] O tym, jak różne Hitler miewał koncepcje i pomysły, świadczy jego wypowiedź z czerwca 1936 r. (streszczona w dzienniku Goebbelsa) w związku z napięciem w stosunkach sowiecko-japońskich: „Japonia przetrzepie skórę Rosji. Kolos ten zachwieje się. A później wybije nasza godzina. Przez następne 100 lat będziemy musieli zająć się lądem" (Cyt. za: S. Żerko, *op.cit.*, s. 53). Takich „ostatecznych planów" Hitlera możemy w różnych okresach rozpoznać niezliczoną wręcz ilość i nie należy w związku z tym przywiązywać specjalnej wagi do jego deklaracji, składanych często pod wpływem wielkich emocji.

nienawiści względem Żydów). Ale cóż, skoro nam, patrzącym z perspektywy wielu lat, przychodzi to z takim trudem, to co mówić o współczesnych Hitlerowi?

W epoce, w której dyplomacja nawiązywała jeszcze do starych wzorców, uwzględniających okazywanie sobie przez strony prowadzące politykę zagraniczną choćby minimum szacunku, przestrzeganie i poszanowanie własnych zobowiązań, słowem nastawienie na pewną obliczalność partnerów, polityka w wydaniu Hitlera była swoistym szokiem. Dziś zapominamy o tym, ponieważ minione półwiecze przyniosło tyle doświadczeń, iż oczywiste wydaje nam się, że współcześni Hitlerowi czy Stalinowi powinni byli mieć świadomość, z kim prowadzą rokowania i jak będą oni traktowali własne słowa czy zobowiązania. Niestety, świadomość ta przychodziła stopniowo, a ów „niekonwencjonalny" sposób prowadzenia polityki, zanim został rozpoznany, doprowadził do wielu błędów i porażek, które rozzuchwalały obu cynicznych dyktatorów.

Wydaje się, że powyższe spostrzeżenia idealnie ilustruje sytuacja, której poświęcamy dalej naszą uwagę. W okresie szczytowego niemal napięcia, w trakcie trwania kryzysu sudeckiego, ambasador brytyjski w Berlinie sir Neville Henderson próbował na posiedzeniu gabinetu scharakteryzować swym kolegom Hitlera. Można powiedzieć, że pobyt w Berlinie, który dał wiele okazji do bezpośredniego obserwowania czy rozmawiania z Hitlerem, powinien czynić z niego swego rodzaju eksperta. Henderson tymczasem informował swoich kolegów z rządu brytyjskiego, że: „Nikt nie może mieć pewnej wiedzy na temat tego, co zdecydował Hitler"[38].

Jest to, jak sądzę, ocena, która najkrócej, ale i najpełniej chyba, charakteryzuje całą działalność Hitlera. Nikt nigdy nie potrafił przewidzieć, co zrobi Führer. Jego otoczenie było permanentnie zaskakiwane niespodziewanymi decyzjami, nieoczekiwanymi zwrotami, nagłymi pomysłami i inicjatywami. Towarzyszyły temu ciągłe napięcia i emocje, przeradzające się w nagłe wybuchy niekontrolowanej furii. Często właśnie w tym najbliższym otoczeniu Hitlera tych nastrojów wodza nie rozumiano, wiele razy nie akceptowano, zwykle źle interpretowano. Cóż zatem mówić o obserwatorach zewnętrznych – czyż można się dziwić ich zakłopotaniu i niemożności zrozumienia różnych poczynań wodza III Rzeszy, a w konsekwencji ówczesnej polityki niemieckiej?

[38] PRO, CAB 23/94, Protokół posiedzenia gabinetu z 30 sierpnia 1938 roku.

Sam Hitler miał zapewne także bardzo mglistą wizję „Tysiącletniej Rzeszy", zbudowanej dla narodu „Panów". Dlatego też chyba, by cel ten osiągnąć, gotów był na wszelkie kompromisy, choćby ze znienawidzonymi komunistami, pogardzanymi „burżujami znad Tamizy", czy wreszcie z różnymi „gatunkami podludzi". Wszystko, co zbliżało do ostatecznego celu, było dopuszczalne, podobnie jak dla Sowietów usprawiedliwione były wszelkie działania, które służyły zwycięstwu „światowej rewolucji". Stąd też w jego polityce znaleźć można co najwyżej pewne etapy na drodze do celu, a nie stałe, konsekwentnie realizowane działania programowe. Ale też ten skrajny pragmatyzm nierzadko ustępował irracjonalnym więzom. Bo jak inaczej tłumaczyć choćby *sui generis* niemal dozgonną przyjaźń z Mussolinim?[39].

Z tego punktu widzenia można przyjąć, że na przełomie 1937/1938 roku głównym celem na ówczesnym etapie było dla Hitlera rozbicie Francji. W jego ocenie to właśnie ten kraj, wewnętrznie sparaliżowany i zdegenerowany, nie był w stanie stawić mu czoła. Ponadto chodziło też o symboliczne odwrócenie – zmycie zwycięstwem nad Francją upokarzającej klęski Wielkiej Wojny. Wyrazem tego są jego wypowiedzi podczas spotkania, które odbył 5 listopada 1937 roku ze swymi najbliższymi współpracownikami[40].

Co szczególnie warte uwagi, był to niezwykle ważny i pracowity dzień Führera. W tym samym dniu podpisana została wspomniana polsko-niemiecka deklaracja w sprawie mniejszości narodowych, a przy okazji przeprowadził on bardzo ważną rozmowę z ambasadorem Lipskim w Berlinie. Jak piszę o tym szerzej w kolejnych wywodach, kanclerz starał się w niej zapewniać stronę polską o jak najlepszych intencjach strony niemieckiej względem Rzeczypospolitej. Z całą pewnością można powiedzieć, że koincydencja tych zdarzeń nie była żadną miarą przypadkowa.

Co szczególnie istotne, wypowiedzi Führera (nazywane memorandum Hosbach[41] od nazwiska oficera, który sporządził notatkę z tych obrad) są

---

[39] Wierność temu przymierzu pchnęła go nie tylko do arcyryzykownej akcji uwolnienia Mussoliniego, ale zwłaszcza do wspierania i obrony jego północnowłoskiej Republiki Socjalnej ze stolicą w Salo.

[40] W wieczornej konferencji brali udział m.in.: minister spraw zagranicznych Neurath, minister wojny Blomberg, dowódca armii Fritsch, dowódca lotnictwa Göring oraz dowódca marynarki Raeder.

[41] Szerzej pisze o tym William L. Shirer, *The Rise and Fall of the Reich. A History of the Nazi Germany*, Nowy Jork 1960, s. 303–308. Konferencja z 5 listopada 1937 roku przesądziła

bardzo ważnym elementem ilustrującym ówczesne koncepcje Hitlera. Całkowicie korespondują one z treścią wspomnianej rozmowy z ambasadorem Lipskim z tego samego dnia.

Myślenie Hitlera skoncentrowane było w tym momencie, przede wszystkim, wokół konieczności złamania pozycji Francji. Można tu skądinąd zauważyć, że do tego właśnie kraju jego stosunek był najbardziej chyba konsekwentny. Była to mieszanina kompleksu, wyniesionego z przegranej wojny, ale i pogardy dla postrzeganej na bieżąco słabości wewnętrznej przeciwnika[42]. Późniejsze, symboliczne gesty[43] pokazują, jak głęboko tkwiła w nim pamięć upokorzenia Niemiec, będącego rezultatem przegranej Wielkiej Wojny i – co ciągle podkreślał – hańby traktatu wersalskiego.

Tak czy inaczej, jego stosunek do Francji praktycznie nie ewoluował i od początku do końca był skrajnie negatywny. Doprowadziło go to nie tylko do pokonania Francji, ale i wielkiego jej upokorzenia latem 1940 roku.

Aby ten cel zrealizować, Hitler przyjął określoną strategię. Konsekwentne dążenia do zbliżenia z Włochami, w połączeniu z zaangażowaniem obu państw w Hiszpanii, dawało znakomitą pozycję wyjściową do rozprawy z Francją. By ten cel zrealizować, konieczne jednak było – tu kłaniały się doświadczenia Wielkiej Wojny – zapewnienie Niemcom spokoju na tyłach, na wschodzie. W tej części Europy Francja posiadała dwóch sojuszników, z którymi wiązały ją wymierzone przeciw ewentualnej agresji umowy wojskowe – Czechosłowację i Polskę.

Hitler wskazywał zatem, na konieczność neutralizacji obu elementów i wiedział, że nie może przystąpić do rozgrywki z Francją, jeśli problemu spokoju na swoich tyłach, w sposób trwały nie rozwiąże. Był też, jak się zdaje przekonany – w świetle dotychczasowych doświadczeń całkowicie skądinąd słusznie – że w rozgrywce na wschodzie będzie miał stosunkowo większą swobodę. Obserwując bowiem wewnętrzne problemy Francji,

o podjęciu decyzji o kolejnych agresjach. Nie ma tu jednak mowy o Polsce, jako choćby hipotetycznym celu jakiejkolwiek zbrojnej rozgrywki niemieckiej. Biorąc pod uwagę fakt, że była to narada w bardzo wąskim gronie i otoczona była najwyższą tajemnicą, uznać można prezentowane podczas niej plany jako w najwyższym stopniu wiarygodne.

[42] Warto zauważyć, iż Hitler spodziewał się, że wkrótce dojdzie we Francji do wojny domowej na podobieństwo konfliktu hiszpańskiego, a do tego nie wykluczał możliwości wybuchu wojny francusko-włoskiej. I jedno, i drugie dowodzi, że raczej nie należał on do dobrych analityków, dlatego też nie jest rozsądne zbyt poważne podchodzenie do jego różnych deklaracji i oświadczeń prognozujących przyszłość. Podobna opinia na ten temat: A. Taylor, *The Origins...*, s. 171–172.

[43] Okoliczności kapitulacji Francji w 1940 roku wskazują wyraźnie na chęć wymazania hańby z 1918 roku.

miał coraz większą pewność, że jest ona całkowicie niezdolna do zdecydowanego przeciwstawienia się jego poczynaniom. Zresztą, praktycznym testem owej niezdolności Francji do czynnego działania była jego wspomniana, dość zuchwała akcja w Nadrenii[44].

W takiej sytuacji wybór pierwszej ofiary wydawał się zupełnie oczywisty. Ponieważ stosunki z Polską układały się jak najlepiej, zainteresowanie Niemiec w sposób naturalny kierowało się w stronę Czechosłowacji. Ta nadawała się na ofiarę znakomicie.

Po pierwsze dlatego, że bezgranicznie zapatrzona we Francję elita czeska gotowa była wykonywać swoje zobowiązania sojusznicze względem niej, na każdych warunkach. Stanowiła więc potencjalnie realny problem, gdyby doszło do jakiejkolwiek rozgrywki z Francją.

Po drugie, dostarczała ewentualnej akcji niemieckiej niezliczonych argumentów propagandowych. Prowadzona przez Czechów polityka tłumienia mniejszości narodowych, w tym mniejszości niemieckiej, w sytuacji gdy te stanowiły, wraz ze Słowakami, większość mieszkańców państwa czechosłowackiego, była znakomitą pożywką dla niemieckich poczynań.

Nie rozstrzygniemy, jakie były w tym momencie ostateczne plany Hitlera wobec Polski i na ile szczere były jego deklaracje – i te składane publicznie, i te wyrażane poufnie wobec Lipskiego. Zaryzykuję jednak twierdzenie, że licząc na przychylność Polski w dłuższym okresie, kanclerz chciał w niej widzieć nie tylko sojusznika potrzebnego w perspektywie rozprawy z Czechosłowacją i Francją. Wydaje się, że już na tym etapie Hitler postrzegał Polskę jako potencjalnie poważnego alianta, i to nie tylko w kontekście przygotowywanej rozprawy z komunizmem sowieckim. Hitler doceniał siłę i doświadczenie bojowe armii polskiej, wykazane w wojnie z bolszewikami w 1920 roku i tym bardziej nie był skłonny do prowokowania konfliktu z Rzecząpospolitą[45]. Można w tym miejscu

[44] Przebieg operacji w Nadrenii udowodnił, jak słaba militarnie była ówcześnie III Rzesza. Działania wojskowe armii niemieckiej (a właściwie kilkunastu batalionów i niewielkiej ilości słabego sprzętu zmotoryzowanego) pokazywały dobitnie, że jakakolwiek czynna akcja ze strony francuskiej musiałaby doprowadzić do kompletnej katastrofy Hitlera. Udany *bluff* kanclerza nie tylko utwierdził go w kontynuowaniu obranej drogi, ale – przede wszystkim – odbierał wiarygodność Francji jako siły zdolnej do działania i realnego powstrzymywania hitlerowskich Niemiec.

[45] Nie ulega natomiast, w mojej ocenie, żadnej wątpliwości fakt, że długofalowym celem Niemiec było takie uwikłanie Polski, w następstwie którego stałaby się ona faktycznie elementem w pełni podporządkowanym polityce niemieckiej. W Niemczech istniały ciągle obawy, że Polska może powrócić do swych związków z Francją, które przecież oznaczały

spekulować, czy Polska miała być aliantem głównym czy *junior partner*, w każdym razie stanowiła ona na tym etapie rzeczywisty klucz do realizacji zamierzeń Hitlera.

Z tej perspektywy eliminacja Czechosłowacji wydawała się zadaniem o wiele łatwiejszym do realizacji praktycznej niż ewentualne starcie z Polską. Operację taką należało jednak poprzedzić zlikwidowaniem Austrii, bowiem dawało to Niemcom w rozgrywce przeciwko Czechosłowacji znakomitą pozycję strategiczną[46]. Ponadto w Czechach, wzdłuż praktycznie całej granicy z Niemcami, mieszkały mniej więcej cztery miliony Niemców. Był to potężny czynnik, który Hitler mógł wykorzystać do zdobycia międzynarodowej akceptacji czy choćby usprawiedliwienia swej akcji. Mógł bowiem wskazać, że jego dążeniem jest ochrona praw uciemiężonych rodaków.

Był to argument tym bardziej uzasadniony, że kierowana przez Benesa Czechosłowacja dostarczała codziennie argumentów uzasadniających potrzebę takiej opieki. Podobnie zresztą, jak w przypadku blisko miliona Węgrów na Słowacji i kilkudziesięciu tysięcy Polaków na stanowiącym przedmiot polskich pretensji Śląsku Cieszyńskim.

W tej zatem rozgrywce Hitler mógł liczyć na korzystne dla siebie elementy propagandowe, co miało wielkie znaczenie, zwłaszcza wobec wrażliwej na tym punkcie zachodniej opinii publicznej[47]. Ponadto mógł

wielkie niebezpieczeństwo. Stąd chodziło o związanie Polski w sposób uniemożliwiający jej efektywne działania antyniemieckie.

[46] Ukształtowanie granicy niemiecko-czechosłowackiej, aczkolwiek nie do końca korzystne dla Czechosłowaków, dawało szanse w konfrontacji zbrojnej z Niemcami. Czechosłowacja dysponowała silną, nowocześnie uzbrojoną armią, do tego pogranicze z Niemcami stanowiły w większości wysokie kompleksy górskie. Były one bardzo dobrze umocnione wzniesionymi wielkimi nakładami fortyfikacjami. Przy ówczesnym stanie niemieckiej armii, ten system obronny był praktycznie nie do zdobycia. Przejęcie przez Niemców Austrii zmieniało sytuację strategiczną Czechosłowacji dramatycznie na niekorzyść. Głęboko oskrzydlało pozycje obronne Czechosłowaków, otwierało ich nieumocnione nizinne tereny na atak niemiecki – wprost na tyły najbardziej uprzemysłowionych obszarów państwa, wreszcie rozcinało w praktyce kraj na dwie izolowane części, czyniąc z ufortyfikowanych obszarów granicznych niemające żadnego znaczenia zbiorowisko betonu.

[47] PRO, CAB 23/95, Protokół posiedzenia gabinetu z 17 września 1938 roku. Premier Chamberlain po powrocie ze spotkania z Berchtesgaden zrelacjonował swe spotkanie z Hitlerem. Na przedstawioną przez lorda Halifaxa informację o wielkim niezadowoleniu Francji z inicjatywy brytyjskiej i wyrażanej przez sojusznika determinacji do walki w obronie Czechosłowacji, jeden z członków gabinetu stwierdził, że nie wyobraża sobie, jak w demokratycznym kraju wykaże się, że idzie się na wojnę z Niemcami, by pozostawić 3,5 miliona Niemców pod panowaniem czeskim.

oczekiwać na mniejsze lub większe zainteresowanie Polski i Węgier rozwiązaniem drażliwego „problemu czechosłowackiego".

Można także z pewnością stwierdzić, że mimo wielu wątpliwości ówczesnych polityków[48] i opinii europejskiej, celem Hitlera było od początku rozmontowanie państwa czechosłowackiego. Natomiast problem zaspokojenia oczekiwań niemieckiej mniejszości zamieszkującej pogranicze był wyłącznie bardzo wygodnym pretekstem, do zniszczenia Czechosłowacji, a nie celem samym w sobie.

Dążąc do tego, by przyłączyć do Rzeszy tereny zasiedlone przez Niemców – a taki był oficjalny cel nacisków na Austrię i na Czechosłowację w sprawie Sudetów – kanclerz miał przecież świadomość, że pozbawia ten kraj najważniejszych podstaw systemu obronnego i głównych obszarów przemysłowych. Podsycając jednocześnie separatyzm słowacki, prowadził do faktycznego demontażu tego państwa.

Łup, który wchodził w grę, był w ówczesnej sytuacji wprost bezcenny. Chodziło bowiem o przejęcie jednego z najbardziej rozwiniętych gospodarczo obszarów Europy, nasyconego przede wszystkim wielkimi zakładami zbrojeniowymi. Do tego, przy korzystnym rozwoju wypadków, zdobyczą mogło być również znakomite wyposażenie armii czechosłowackiej (zwłaszcza wyposażenie wojsk zmotoryzowanych). Ta zdobycz miała zatem podwójną wartość i w sposób zasadniczy wzmacniała potencjał wojenny Niemiec, w tym przede wszystkim wojsk pancernych i zmechanizowanych armii niemieckiej, które ciągle były wtedy w stanie niemal embrionalnym.

Rozgrywkę taką bardzo ułatwiali Niemcom sami przywódcy Czechosłowacji. Prezydent Benes był całkowicie przeświadczony o skuteczności sojuszu swego kraju z Francją, a także o tym, że może liczyć na wydatną i efektywną pomoc Związku Sowieckiego. Czechosłowacja bowiem, utrzymywała ze stalinowską Rosją bardzo dobre stosunki. Miał zatem czechosłowacki prezydent niebezpieczną skłonność do lekceważenia zagrożenia niemieckiego. Wyrażało się to w konsekwentnym bagatelizowaniu postulatów Niemców sudeckich, podobnie zresztą jak i pozostałych mniejszości

[48] PRO, CAB 23/94, Protokół posiedzenia gabinetu z 30 sierpnia 1938 roku. Posiedzenie, podczas którego ambasador brytyjski w Berlinie dzielił się swoimi ocenami dotyczącymi sylwetki Hitlera, świadczy o tym, jak bardzo niezrozumiała była polityka Niemiec i ich cele. Ilustruje dobitnie, jak trudno politykom brytyjskim było pogodzić się z myślą, że dążeniem Rzeszy może być chęć całkowitego przebudowania czy wręcz zburzenia istniejącego porządku światowego.

narodowych, które w sumie stanowiły większość ludności państwa zdominowanego przez Czechów[49].

W ten sposób Benes pozwolił w bardzo krótkim czasie wpędzić chłodną dotąd wobec Hitlera mniejszość niemiecką w Czechosłowacji w ramiona Führera, który dzięki temu stał się jedynym protektorem tej ludności.

Jednocześnie czechosłowacki przywódca miał jak najgorsze mniemanie o Polakach i właśnie Polskę traktował niezmiennie jako najsłabsze ogniwo ładu w powersalskiej Europie. Stąd też prowokował Polskę na Zaolziu, dyskryminując mniejszość polską, a jednocześnie unikał jakichkolwiek form współpracy z Rzecząpospolitą. Co więcej, drażnił obóz rządzący po 1926 roku, dając schronienie najbardziej zaprzysięgłym przeciwnikom politycznym sanacji, czy wręcz sponsorując i stymulując ich antyrządową aktywność.

Wreszcie podobną politykę stosował – przy poparciu Słowaków – wobec mniejszości węgierskiej. Jeśli dodać do tego, że i z Austrią relacje Czechosłowacji pozostawiały wiele do życzenia, to widać wyraźnie, iż polityka Benesa wprowadziła ten kraj w bardzo trudne położenie[50].

Wskazać tu też trzeba na jeszcze jeden ważny element. Czechosłowacja i Benes uchodzili w Europie nie tylko za bliskich Związkowi Sowieckiemu. Uważano ich wręcz za sowiecki przyczółek (niektórzy używali pojęcia „sowieckiego lotniskowca") w tej części Europy. Wpływała na to nie tylko zażyłość wzajemnych relacji, ale i wyjątkowo otwarty jak na owe czasy (na tle sytuacji na kontynencie) stosunek władz czechosłowackich do ruchu komunistycznego, nie tylko zresztą własnego, ale i obcego. Praga stanowiła bowiem dla komunistów, a w gruncie rzeczy agentury sowieckiej, podstawowy punkt oparcia w ich działaniach na terenie niemal całej Europy.

Jednak, aby plan Hitlera mógł się powieść, konieczne było uzyskanie pewności co do przychylnej neutralności Polski, zarówno wobec planowanego Anschlussu Austrii, jak i wobec demontażu Czechosłowacji. To właśnie

[49] Czesi stanowili niecałe 45% ludności państwa czechosłowackiego, jednak dominowali w jego instytucjach politycznych w sposób właściwie absolutny, wyłączając praktycznie pozostałe narodowości.

[50] Paradoksem jest to, że Czesi korzystali na terenie międzynarodowym ze stałej protekcji Francji i Wielkiej Brytanii, stąd ich agresywne działania przeciwko mniejszościom narodowym były ciągle bagatelizowane i rozgrzeszane. Jednak skutki tej polityki, stawianej często przez polskich historyków jako swoisty „wzór do naśladowania" dla obozu pomajowego, były dla Czechosłowacji jak najbardziej fatalne.

stanowisko Polski miało mieć, dla powodzenia obu tych przedsięwzięć, znaczenie rozstrzygające. Zachód bowiem, chcąc wesprzeć w sposób realny Czechosłowację, musiał uzyskać co najmniej przychylne stanowisko Polski, a najlepiej jej realne współdziałanie, nie wyłączając ewentualności zaangażowania militarnego.

Hitler miał świadomość istnienia – łączących Polskę i Francję z jednej strony, z drugiej zaś Czechosłowację i Francję – umów wojskowych. Więzy te – w przypadku ewentualnego silnego zaangażowania Francji – mogły przekształcić się w czynne wsparcie Polski dla Czechosłowacji. Tym bardziej, że wśród większości polskiej generalicji panowały zdecydowanie antyniemieckie nastroje, a jednocześnie istniało bardzo duże poczucie solidarności z dowództwem armii francuskiej[51].

Polska miała wprawdzie i historyczne, i bieżące powody[52], aby do Czechosłowacji odnosić się wrogo, ale jednocześnie było oczywiste, że likwidacja tego kraju nie wpłynie korzystnie na jej położenie strategiczne względem Niemiec. Z tego punktu widzenia trudno dziwić się, że to właśnie Polakom w pierwszym rzędzie Hitler i jego współpracownicy ogłosili swe plany i sondowali ich stanowisko, szukając upragnionej neutralności Polski w zbliżającym się konflikcie.

---

[51] Oczywiście symboliczną postacią był tu gen. Władysław Sikorski oraz liczne grono związanych z nim oficerów. Ale nie tylko osoby odsunięte od realnego wpływu na armię po przewrocie majowym poczuwały się do silnych więzów z wojskowymi francuskimi. Jak już sygnalizowałem, sam marszałek Śmigły-Rydz i minister spraw wojskowych gen. Tadeusz Kasprzycki uchodzili za zwolenników silnych związków militarnych z Francją, czego zresztą nigdy nie kryli. Wojsko zatem w naturalny sposób ciążyło ku urealnianiu traktatowych więzów z Francją i nawet powszechnie żywiona niechęć do prowokacyjnie nastawionej wobec Polski Czechosłowacji, mogła nie być wystarczającym antidotum na pokusę wspólnej polsko-francuskiej rozprawy z Niemcami. Płk Beck był w pełni świadomy tych nastrojów, ale z pewnością również strona niemiecka miała pełną wiedzę, co do tych uwarunkowań po stronie polskiej.

[52] Powodem historycznym była oczywiście, budząca ciągle po stronie polskiej dążenie do rewanżu, haniebna akcja Czechosłowaków, którzy wbrew wcześniejszym porozumieniom wkroczyli w 1920 roku na Śląsk Zaolziański i oderwali go od Polski. W konsekwencji narastały problemy wokół traktowania przez Czechosłowaków polskiej mniejszości (a w istocie większości) na tym obszarze. Wreszcie Czechosłowacja konsekwentnie wspierała nie tylko sponsorowany przez Sowietów polski ruch komunistyczny, ale również każdą opozycję działającą przeciwko obozowi pomajowemu. Nie ulega zatem wątpliwości, że obóz rządzący w Polsce odbierał Czechosłowację w sposób skrajnie negatywny. Jeśli dodamy do tego, że z jednej strony Polacy, wzorem Piłsudskiego, generalnie uważali właśnie Czechosłowację za najsłabsze ogniwo systemu powersalskiego, natomiast elity czeskie w ślad za Masarykiem i Benesem w taki sam sposób postrzegali Polskę, to jest oczywiste, że wzajemne relacje obu państw nie mogły wyjść z poziomu wzajemnych niechęci i oskarżeń.

Najpierw, uznając wrażliwość strony polskiej w punkcie Gdańska, Hitler podczas wspomnianej rozmowy z ambasadorem Lipskim 5 listopada 1937 roku, z całą mocą podkreślił swój pozytywny stosunek do poszanowania praw Rzeczypospolitej w Wolnym Mieście[53]. W ślad za tą deklaracją doszło bardzo szybko do uspokojenia napiętej dotąd sytuacji na tym obszarze i do całkowitej zmiany nastawienia władz gdańskich wobec Polski[54].

Trzeba tu zresztą dodać, że rozmowa z kanclerzem poprzedzona była rozmową ambasadora z ówczesnym ministrem spraw zagranicznych von Neurathem oraz z marszałkiem Göringiem. Lipski ewidentnie weryfikował 5 listopada 1937 roku przekazywane mu we wcześniejszych rozmowach deklaracje współpracy. Sam Lipski sondował na polecenie Becka możliwości kompleksowego uporządkowania relacji polsko-niemieckich, uwzględniając również sprawę gdańską. Dla strony polskiej ta weryfikacja była niezbędna, bowiem von Neurath, reprezentujący tradycyjnie niechętne Polsce stanowisko niemieckiego MSZ, nie brzmiał dla Lipskiego i Becka wiarygodnie. Potwierdzenie przez Hitlera pozytywnej woli Niemiec uporządkowania stosunków z Polską w duchu współpracy ośmieliło Becka do przygotowania koncepcji *Globallösung*, czyli kompleksowego rozwiązania spornych kwestii polsko-niemieckich.

Równocześnie podczas tej rozmowy, Hitler starał się delikatnie wysondować u ambasadora Lipskiego stosunek Polski do Czechosłowacji i polityki Benesa. Lipski uchylił się jednak od rozwijania tego zagadnienia.

---

[53] Lipski kończył swe sprawozdanie stwierdzeniem: „Pragnę zaznaczyć, iż cała rozmowa prowadzona była w tonie bardzo przyjaznym, przy czym kanclerz wydawał się być wysoce zadowolony z osiągniętego z Polską porozumienia". W sprawie gdańskiej, która była właściwie głównym przedmiotem rozmowy, Hitler stwierdzał: „1) że w prawnopolitycznej sytuacji Gdańska nie będzie żadnych zmian, 2) prawa ludności polskiej w Gdańsku mają być poszanowane, 3) prawa Polski w Gdańsku nie będą naruszane". Cyt. za: *Diariusz*..., t. 3, s. 382–384.

[54] Wyrazem zmiany sytuacji w Gdańsku są dwa meldunki gen. Bortonowskiego, odpowiedzialnego za prace sztabowe z ramienia Generalnego Inspektoratu Sił Zbrojnych na Pomorzu, dla marszałka Śmigłego-Rydza – pierwszy z 10 grudnia 1937 roku, a drugi z 25 lutego 1938 roku. W pierwszym meldunku pisał on: „Melduję Panu Marszałkowi, że zagadnienie Gdańska wymaga śmiałego męskiego stwierdzenia i odsłonięcia rzeczywistości. O ile na niwie oficjalnych rozgrywek między Warszawą a Berlinem sprawa Gdańska jest jeszcze wygrywana, o tyle w ograniczonej walce wewnętrznej – w walce o faktyczny stan posiadania na terenie Wolnego Miasta jesteśmy stroną całkowicie przegraną". Po niespełna trzech miesiącach pisał on: „stosunek obecnych władz gdańskich do Polski zmienił się tak raptownie na naszą korzyść, że nie ośmieliłem się przedstawić Panu Marszałkowi mego raportu wysłanego dnia 10 grudnia (...) do czasu wyjaśnienia przyczyn tak gwałtownej zmiany". *Wojna obronna Polski. Wybór źródeł*, Warszawa 1968, s. 148–151.

Do zasadniczych rozmów doszło po dwóch miesiącach. Niemcy byli w dość komfortowej sytuacji, bowiem 19 listopada 1937 roku miało miejsce spotkanie Hitlera z lordem Halifaxem w Berlinie. Angielski minister sam zdiagnozował, jako podstawowe problemy europejskie, sytuację w Austrii, Czechosłowacji i Gdańsku. Halifax zadeklarował, że o ile Niemcy nie spowodują przy okazji rozwiązywania tych problemów wojny europejskiej (*general war*), to Anglia będzie uznawała ich inicjatywy w Europie Środkowo-Wschodniej[55]. W praktyce oznaczało to zgodę Wielkiej Brytanii na kontynuowanie przez III Rzeszę polityki stwarzania faktów dokonanych, pod warunkiem zachowania pokoju w skali europejskiej[56].

Bawiący w połowie stycznia 1938 roku z wizytą w Berlinie minister Beck, nie mając oczywiście żadnej świadomości, jak dalece wolną rękę od Brytyjczyków dostali Niemcy dla swej aktywności w Europie Środkowo-Wschodniej, odbył rozmowy z Göringiem (13 stycznia 1938 r.)[57] i z Hitlerem (14 stycznia 1938 r.)[58]. Można przypuszczać – wynika to też z zapisów i notatek dotyczących tych rozmów – że taki układ spotkań był zamierzony.

Göring był osobą numer dwa w Rzeszy, a jednocześnie tym, który właśnie za stosunki z Polską ponosił szczególną odpowiedzialność[59]. To właśnie on miał przygotować pozytywny grunt pod zasadnicze ustalenia. Niemcy bowiem, mimo deklaracji neutralności ze strony Anglii (która miała przemożny wpływ na politykę Francji), nie rezygnowali z zagwarantowania sobie współpracy Polski. Być może też odbierali angielskie zachęty nie tyle jako przejaw ich niemocy, ile zachętę do działań, które mogłyby sprowokować szerszy konflikt i skończyć się dla nich niekoniecznie dobrze.

Wskazać trzeba, że zapis z pierwszej z tych rozmów jest co najmniej zastanawiający. Oddaje on wiernie niemiecki plan rozwiązania „problemu austriackiego", nawet z ewentualnością użycia siły. Göring nie krył też podczas tego spotkania zamiarów niemieckich wobec Czechosłowacji.

---

55 A. Taylor, *The Origins...*, s. 175.

56 Dla Wielkiej Brytanii, z ówczesnymi jej problemami w posiadłościach zamorskich, jakiekolwiek poważniejsze zamieszanie militarne na kontynencie europejskim nie było potrzebne. Za cenę uniknięcia takiej groźby była, jak widać, gotowa na bardzo daleko idące ustępstwa.

57 Notatka ministra Becka z rozmowy z ministrem Göringiem z udziałem ambasadora Lipskiego, odbytej 13 stycznia 1938 roku, *Diariusz...*, t. 4, Londyn 1972, s. 421–423.

58 Notatka ministra Becka z rozmowy z kanclerzem Hitlerem, odbytej 14 stycznia 1938 roku, *Diariusz...*, t. 4, s. 424–428.

59 J. Karski, *op.cit.*, s. 236.

Ze strony polskiego ministra spraw zagranicznych znajdujemy natomiast pełne i bezwarunkowe przyzwolenie na przeprowadzenie przez Niemców właściwie wszelkich działań. Charakterystyczny jest następujący zapis z rozmowy:

> *Minister Beck zaznacza, że* (...) *Polska posiada tamże* [tj. w Austrii – wyjaśnienie moje – G.G.] *jedynie interesy gospodarcze.*

Polski sprawozdawca tej rozmowy nie omieszkał zauważyć dalej:

> *Göring, który całkowicie zrozumiał tę odpowiedź zaznaczył, że na tle gospodarczym znajdzie się zawsze porozumienie* [podkreślenie moje – G.G.].

Jednocześnie, jak wynika z dalszej części relacji, Göring, nie kryjąc się „z tym, że uważa istnienie państwa czeskiego w formie dzisiejszej za niemożliwe", pytał o mniejszość polską na Zaolziu.

Nie znajdujemy informacji o reakcji na tę wypowiedź polskiego ministra. Można wszakże przyjąć, że polskie interesy w tej rozgrywce zostały zaznaczone, a brak reakcji na supozycje dotyczące ocen trwałości państwa czechosłowackiego był swoistą deklaracją neutralności wobec dalszych niemieckich zamierzeń i zielonym dla nich światłem ze strony polskiej. Co jednak najgorsze, Polska udzielała Niemcom dla realizacji tych przedsięwzięć całkowitej akceptacji, i to właściwie bezwarunkowo.

Nie sposób przyjąć, że Beck został przez Göringa zaskoczony tymi propozycjami i nie potrafił w związku z tym zasygnalizować jakichś polskich warunków udzielanego właśnie Niemcom wsparcia. Nie można też przyjąć, iż nie rozumiał on, jak kluczowym warunkiem realizacji tych planów było dla nich polskie wsparcie. Zakładając, że nie chciał on otwierać się przed Göringiem, powinniśmy się spodziewać postawienia wyraźnych warunków Hitlerowi następnego dnia. Tym bardziej, że mógł już ochłonąć z ewentualnego zaskoczenia wynikającego z otwartego przedstawienia radykalnych planów niemieckich. Chociaż, w kontekście jego późniejszej wrażliwości na kwestię gdańską, mając wyraźne sygnały niemieckie o zainteresowaniu rozwiązaniem tej kwestii przynajmniej od 5 listopada 1937 roku, winien w międzyczasie mieć jakieś wyraźniejsze w tej materii stanowisko.

Jednak podczas konferencji Becka z Hitlerem poruszono zdumiewająco wiele spraw odbiegających od najbardziej żywotnych i aktualnych (także

w kontekście rozmowy Halifaxa z Hitlerem, w której poruszono sprawę gdańską) polskich interesów. Hitler rozwodził się na temat:

> *stosunku Niemiec do Francji i sytuacji wewnętrznej francuskiej, stosunku niemiecko-angielskiego przy specjalnym uwzględnieniu zagadnienia kolonialnego, nastawienia do bolszewizmu i stosunków niemiecko-rosyjskich, stosunku do Austrii i Czechosłowacji, sytuacji na Dalekim Wschodzie, stosunku rządu niemieckiego do Ligi Narodów. Podczas długich* (...) *wywodów powracał kilka razy kanclerz do spraw niemiecko-polskich.*

W tym obszarze kanclerz oświadczył:

> *że prawa Polski do Gdańska nie będą w niczym naruszone. Pragnął on jedynie, aby ludność tamtejsza niemiecka nadała sobie taką formę rządzenia, jaka by jej najlepiej odpowiadała.*

Celowo przytoczyłem tu pełen zakres omawianych tematów. Obszar poruszonych zagadnień wydaje się być czymś niezwykłym. Trudno oprzeć się wrażeniu, że kanclerz wylewnie informujący ministra Becka o zamiarach polityki niemieckiej wobec Francji, Anglii czy Rosji, poświęcający więcej uwagi sprawom Dalekiego Wschodu czy wewnętrznym sprawom Niemiec niż sytuacji w Austrii czy Czechosłowacji, dawał wyraz temu, iż w sprawie kluczowej obie strony mają już stanowisko w pełni uzgodnione.

Widać też wyraźnie, że owa szczerość i wylewność i Hitlera i Göringa miały zrobić wrażenie, iż polski minister jest obdarzany najwyższym zaufaniem. Beck zaś odbierał te swoiste niemieckie „zaloty" jako potwierdzenie znaczenia Polski jako kluczowego ogniwa w przygotowywanej rozgrywce.

I prawdopodobnie zrobiły. Beck, choć już wiedział, czego będzie oczekiwać od Polski Hitler, nie potrafił, niestety, w tej niezwykle ważnej rozmowie wyartykułować praktycznie żadnych polskich oczekiwań pod adresem niemieckim. Nie zareagował też w istocie na, będący oczywistym sondażem w wypowiedzi Hitlera, wątek gdański. To szczególnie zdumiewające. Skoro bowiem Gdańsk miał być barometrem wzajemnych relacji (jak to później z całą mocą podkreślał), to z pewnością należało już na tym etapie reagować na opinię wygłoszoną przez Hitlera. Beck musiał przecież wiedzieć, co może oznaczać swoboda miejscowej ludności w „nadaniu sobie formy rządów". Musiało to prędzej niż później skutkować deklaracją włączenia Wolnego Miasta do Rzeszy. Jednak polski minister okazał się całkowicie nieprzygotowany do rozmawiania z Hitlerem w tej żywotnej sprawie.

Niemcy wykorzystali polską bezwarunkową deklarację neutralności i przychylności w sprawie austriackiej bardzo skrupulatnie. Miesiąc po rozmowach Becka problem austriacki był już rozwiązany[60]. Niemcy włączyli Austrię do Rzeszy, Włosi uzyskali niemieckie gwarancje nienaruszalności swojego posiadania w Górnej Adydze, uległa zacieśnieniu współpraca niemiecko-włoska.

Polska na rozgrywce austriackiej nie uzyskała nic, choć jej stanowisko, podobnie jak stanowisko Włoch, było dla Niemców kluczem do realizacji swoich zamierzeń. Zachęceni taką postawą Polski Niemcy chcieli jednak potwierdzić jej pozycję w o wiele poważniejszej rozgrywce czechosłowackiej. Temu właśnie w pierwszym rzędzie służyła wizyta Göringa w Warszawie.

Bez wątpienia swoistym przygotowaniem do tej wizyty była niezwykła deklaracja Hitlera poczyniona 20 lutego 1938 roku, podczas jego przemówienia w Reichstagu. Zwracając uwagę na „przyjacielskie zbliżenie" z Polską, oświadczył on, że Niemcy respektują polskie prawa na terenie Wolnego Miasta Gdańska[61].

Było to najdalej idące uznanie interesów Polski w Gdańsku, dokonane przez Niemcy w okresie międzywojennym. I wskazać tu trzeba, że o publiczne wyrażenie przez Niemcy takiego stanowiska polska dyplomacja walczyła bezskutecznie od momentu powstania Republiki Weimarskiej.

23 lutego 1938 roku Göring odbył kolejne spotkanie z Beckiem, podczas którego usłyszał od polskiego ministra, że:

> *w przeciwieństwie do Austrii, mamy zainteresowania poważne w problemie czeskim. Zainteresowania zdefiniował minister w sposób dwojaki:*
> *1) w pewnym rejonie Czechosłowacji,*
> *2) w sposobie ewentualnego załatwienia zagadnień czeskich*[62].

[60] Formalnie Niemcy wkroczyli do Austrii 13 marca 1938 roku. Ale już miesiąc wcześniej, 12 lutego, kanclerz Schuschnigg, podczas swej wizyty u Hitlera w Berchtesgaden, zwarł porozumienie, które w praktyce oznaczało przejęcie pełnej inicjatywy politycznej w Austrii przez narodowych socjalistów. Miesiąc później kanclerz Schuschnigg, próbując ratować sytuację, ogłosił referendum, ale w konsekwencji spowodowało to wkroczenie wojsk niemieckich. Można jednak przyjąć, w kontekście relacji polsko–niemieckich, iż po 12 lutego 1938 roku obie strony uważały już sprawę austriacką za załatwioną. Warto wskazać, że Mussolini uzyskał od Niemców ustępstwa w sprawie Górnej Adygi już po lutowym porozumieniu niemiecko-austriackim.

[61] Patrz na ten temat szerzej w dość kontrowersyjnej monografii: B. Dopierała, *Gdańska polityka Józefa Becka,* Poznań 1967, s. 259.

[62] Notatka z rozmowy ministra Becka z marszałkiem Göringiem, odbytej 23 lutego 1938 roku, zob.: *Sprawa polska w czasie drugiej wojny światowej na arenie międzynarodowej. Zbiór dokumentów*, Warszawa 1965, s. 5–6.

Niemcy, po tak zapalonym kolejnym zielonym świetle, mogli spokojnie rozpocząć realizację swych planów wobec Austrii i Czechosłowacji. Göring mógł zaś z zadowoleniem podsumować ten etap stosunków polsko-niemieckich stwierdzając, że:

> *kanclerz wyraża do polityki polskiej prowadzonej przez Pana ministra Becka jak największe zaufanie"* [podkreślenie moje – G.G.].

By nie było już żadnych wątpliwości, minister Beck odparł:

> *że Polska na zasadzie wzajemności swą linię kontynuować będzie.*

Pozostaje istotną kwestia, co Beck przedstawił jako interesy polskie w ramach obu punktów („pewien rejon Czechosłowacji oraz sposób załatwienia zagadnień czeskich")? Zaryzykuję tu twierdzenie, że pod tą ogólną, celowo niedookreśloną formułą, przedstawił on Niemcom polskie oczekiwania co do przyszłości obszaru słowackiego oraz rusko-zakarpackiego. Wydaje się, że wtedy właśnie, zamiast (albo w pierwszym rzędzie) ostatecznie uregulować kwestie statusu Gdańska, Beck zasygnalizował Niemcom, iż Polska, licząc się z upadkiem Czechosłowacji, traktuje Słowację jako swój obszar wpływów oraz oczekuje, że Ruś Zakarpacka zostanie przyłączona do Węgier.

Można wyrazić przypuszczenie, graniczące z pewnością wynikającą z przebiegu rozmów styczniowych i lutowych, że w tym momencie Niemcy zaakceptowaliby – za cenę poparcia swoich działań w Austrii i w Czechosłowacji – każde, przedstawione przez Polskę, rozwiązanie problemu gdańskiego. Dowodzi tego, w moim przekonaniu, rozwój relacji niemiecko-włoskich w tym czasie.

To właśnie przy okazji uzyskania włoskiej przychylności dla Anschlussu, Włosi uzyskali ostateczną akceptację Hitlera dla posiadania przez nich terenów Górnej Adygi, zamieszkałej praktycznie wyłącznie przez ludność niemiecką. Stan ten Hitler akceptował do końca wojny, mimo że wcześniej problem odzyskania tej prowincji znajdował się na tym samym poziomie roszczeń niemieckich, co odzyskanie Nadrenii, Sudetów czy Gdańska.

Minister Beck nie zdecydował się jednak podczas rozmów styczniowych i lutowych przydusić Niemców. Prawdopodobnie z powodu, że w tym momencie strona polska, nie miała wyraźnej koncepcji rozwiązania problemu gdańskiego. Istniał wprawdzie mglisty pomysł polskiego MSZ ustanowienia w miejsce mandatu Ligi Narodów jakiejś formy wspólnego

mandatu polsko-niemieckiego, ale w połowie stycznia Beck nie był w stanie przedstawić ani Göringowi, ani Hitlerowi nawet tego pomysłu. Pomijając w tym miejscu ocenę sensowności takiego projektu, gdyby został zgłoszony, musiałby być on przedmiotem niemieckich analiz i zmuszałby ich do udzielenia jakiejś odpowiedzi. Dawałby też stronie polskiej dodatkowy czas na poszukiwanie najlepszych rozwiązań. W tamtym momencie spieszyli się Niemcy, więc musieli kupować polską neutralność ustępstwami. Niestety, w wyobraźni ówczesnych polskich decydentów nie mieściło się, że Niemcy mogliby zgodzić się nawet na przyłączenie Gdańska do Polski w zamian za jej neutralność i przychylność w kluczowych dla nich sprawach: austriackiej i czechosłowackiej. Dlatego kluczyli, szukając jakiejś nowej formuły, przez co nie mogli przedstawić z ostrożności żadnego stanowiska.

Tymczasem wniosek z rozmów styczniowych dla Niemców musiał być prosty. Polska zapaliła im zielone światło w sprawie austriackiej oraz czechosłowackiej, nie warunkując swojej przychylności właściwie w żaden sposób. Jednocześnie Hitler zasygnalizował zainteresowanie Niemiec takim uregulowaniem sprawy gdańskiej, które, przy zabezpieczeniu polskich interesów gospodarczych w Wolnym Mieście, otworzyłoby de facto drogę do przyłączenia go do Rzeszy, jednak w oparciu o jakąś formę akceptowanego przez obie strony rozwiązania politycznego. I to takiego rozwiązania, które byłoby najmniej kłopotliwe, z punktu widzenia konieczności uzasadnienia przyjętej formuły, przed polską opinią wewnętrzną.

Po bezwarunkowym zielonym świetle ze strony Anglików, Hitler dostał kolejne, praktycznie bezwarunkowe przyzwolenie – tym razem ze strony nieoczekiwanej, bo polskiej. Niemcy mieli też już zgodę ze strony angielskiej na załatwienie sprawy gdańskiej po swojej myśli, ale pod warunkiem, że nie będzie to prowadzić do europejskiego konfliktu.

Pozostaje natomiast kwestią otwartą, czy Niemcy dostatecznie zrozumieli oczekiwanie wyrażone w odniesieniu do Słowacji przez ministra Becka. Wydaje się, że tak, bo jak inaczej mogli odczytywać nagły brak zainteresowania Becka podniesionym ledwie kilka tygodni wcześniej rozwiązaniem kłopotliwej kwestii gdańskiej? Uznali zatem, że dla Polski o wiele ważniejszym zagadnieniem jest objęcie jakąś formą protekcji usamodzielnionej Słowacji, niż dalsze roztrząsanie sprawy gdańskiej.

Patrząc na to racjonalnie, było to skądinąd zupełnie zrozumiałe. Wydaje się też – jak będzie to wynikać z dalszych analiz – że jedynie przyjmując

takie założenie, będzie można zrozumieć gwałtowny zwrot, jaki został dokonany w polityce ministra Becka w marcu 1939 roku. Także zatem i on uważał zapewne w tamtym momencie, że zyski na Słowacji warte są rozwiązania kwestii gdańskiej wedle zasad proponowanych przez Niemców. Problem polegał jak się zdaje na tym, że racjonalne w tym momencie rozumowanie Becka nie było w żaden sposób uzgodnione z obozem marszałka Śmigłego-Rydza. Należy przypuszczać, że Beck prowadził na tym etapie samodzielną grę i był przekonany, że osiągnie sukces, który znacząco wzmocni jego pozycję wewnętrzną.

Za takim rozumieniem stanowiska ministra Becka mogło przemawiać w opinii Niemców również to, że polski minister zaproponował podczas rozmowy z Hitlerem:

> *by ewentualnie przy rewizycie Ribbentropa w Warszawie przedłużyć pakt z 1934 roku.*

Chciał on, aby w ten sposób dać zewnętrzny wyraz trwałości więzów polsko-niemieckich. Sądził, że „świat zewnętrzny" miał w tym czasie jeszcze jakieś wątpliwości, co do stanu relacji polsko-niemieckich.

Był to jednak poważny błąd w ocenie sytuacji, bowiem ten „świat zewnętrzny" oceniał już Polskę jako najlepszego i jedynego bodaj, tak oddanego w tym momencie, sojusznika Hitlera[63].

Stwierdzenie to może jest szokujące. Przyzwyczajeni jesteśmy przecież do traktowania Stalina jako najlepszego sojusznika Hitlera. On bowiem swoją polityką w latach 1939–1941 istotnie wspomógł ekspansję niemiecką. Chcemy też widzieć we współpracy niemiecko-sowieckiej w tym okresie źródło wszelkiego zła w Europie, bo to Polska została rozbita jako pierwsza ofiara tej zmowy.

Nasze postępowanie w 1938 roku staramy się natomiast sprowadzić jedynie do zrealizowania, słusznego skądinąd, postulatu odzyskania zabranego podstępnie w 1920 roku Zaolzia. W istocie jednak to ten, bez

[63] Pojęcie „najlepszy sojusznik Hitlera" zostało sformułowane przez Bregmana, który jako pierwszy spośród polskich badaczy opisał współpracę niemiecko-sowiecką w latach 1939–1941 w książce pod takimż tytułem. Jednak, objawiona podczas kryzysu czechosłowackiego z całą mocą współpraca polsko-niemiecka, była odbierana w Europie jako wyraz ścisłych relacji dwóch aliantów. Cytowany już Taylor w swojej pracy *Origins...*, s. 241, określa Polskę w tym okresie jako bardziej użytecznego „szakala" Hitlera na wschodzie Europy niż Mussoliniego na zachodzie Europy. Ten trudny dla nas do zaakceptowania pogląd funkcjonuje w historiografii zachodniej jako w pełni akceptowany. Polemizowanie z nim w świetle twardych historycznych faktów, jak się zdaje, nie ma większego sensu.

cienia wątpliwości, sojusz polsko-niemiecki w 1938 roku przyczynił się do rozzuchwalenia Hitlera i tak zasadniczej zmiany układu sił w Europie, że wkrótce sama Polska stała się ofiarą tej zmiany. Hitler zaś, zachęcony łatwymi sukcesami, mógł bez przeszkód prowadzić politykę dalszej ekspansji i agresji.

Jest jednak oczywiście podstawowa różnica pomiędzy tym sojuszem, jaki z Hitlerem zawarł faktycznie Beck, a sojuszem, który w sierpniu 1939 roku zawarł z nim Stalin. Stalin bowiem, dzięki temu sojuszowi, istotnie się wzmocnił, zagarnął kluczowe z punktu widzenia strategicznego pozycje nad Bałtykiem, Bukowinę, Mołdawię, stworzył też sobie dogodną sytuację pod przyszłe rozwiązania polityczne w Europie centralnej.

Minister Beck tymczasem nie tylko Polski nie wzmocnił, ale jeszcze zgodził się na takie działania niemieckie, które pozycję Polski w konsekwencji skrajnie osłabiały[64]. Wszystko, jak się zdaje, za przyrzeczoną przez Hitlera (choć w żaden sposób niezaasekurowaną) zgodę na polski protektorat nad Słowacją.

Trzeba mieć świadomość, że w rzeczywistości istnienie Czechosłowacji miało z punktu widzenia strategicznej pozycji Polski wobec Niemiec i bezpieczeństwa narodowego znaczenie zupełnie zasadnicze. Przy i tak skrajnie niekorzystnym kształcie granicy z Niemcami, istnienie, choćby nawet neutralnej w ewentualnym konflikcie z Rzeszą Czechosłowacji, bardzo wydatnie ograniczało zdolności ofensywne Niemiec na tereny Rzeczypospolitej z obszaru Dolnego Śląska.

Już wkrótce właśnie nieskrępowana możliwość prowadzenia operacji wojennych z tego właśnie terenu będzie miała rozstrzygające znaczenie w toczonej we wrześniu 1939 roku kampanii. To właśnie działanie stamtąd godziło bezpośrednio w centrum gospodarcze kraju – okręg górnośląski i praktycznie odcinało go od zasilania gospodarki wojennej Polski. Groziło też wyjściem na tyły i odcięciem wojsk broniących najlepiej rozwiniętych i najbogatszych polskich prowincji – Wielkopolski i Pomorza.

Istnienie Czechosłowacji czyniło w każdych warunkach, wykorzystanie tego kierunku działań przez Niemców bardzo problematycznym i na tyle skomplikowanym, że tym samym zasadniczo zwiększało możliwości

[64] Na tym tle warto zauważyć, że był to może jedyny moment, by rzeczywiście przeprowadzić jakieś dogodne dla Polski rozwiązanie sytuacji w Gdańsku. Wspomniana deklaracja Hitlera z 20 lutego świadczy o tym, że Niemcy byli skłonni do daleko idących ustępstw w tym zakresie. Ale do tego konieczne było posiadanie przez stronę polską jakiejkolwiek, racjonalnej koncepcji dotyczącej rozwiązania problemu Gdańska. A takiej po prostu nie było!

obronne Polski. Minister Beck – jako wysoki stopniem oficer dyplomowany – musiał mieć przecież pełną świadomość tych uwarunkowań.

Wspominałem już wcześniej, co poza powyższymi elementami oznaczało dla Niemiec przejęcie potencjału przemysłowego i militarnego Czechosłowacji. Automatycznie rzutowało to na pogorszenie i tak już bardzo niekorzystnego stosunku sił wojskowych, zwłaszcza środków technicznych armii polskiej i niemieckiej.

Oczywiście, można powiedzieć, że zakładając odzyskanie Zaolzia oraz faktyczne podporządkowanie Polsce Słowacji, istniały dalej pewne szanse strategicznej neutralizacji ewentualnego działania niemieckiego na południowo-zachodnią Polskę. Dawało to też Polsce bardzo już solidne wsparcie na granicy z Węgrami, co jednocześnie pozwalało wydatnie wzmocnić ich pozycję wobec Niemiec, a w perspektywie związać je ściślejszym sojuszem z Rzecząpospolitą. Kalkulacje strategiczne Becka, a i zapewne polskiego Sztabu Głównego, nie były zatem pozbawione racjonalnych przesłanek.

Trzeba było jednak zadbać o to, aby uzyskać właśnie wtedy, w pierwszym rzędzie, bezwarunkowe niemieckie gwarancje dla ostatecznego rozwiązania kwestii gdańskiej, a jednocześnie właśnie wtedy zagwarantować sobie, w sposób niepozostawiający żadnych wątpliwości, korzystne rozwiązanie słowackie. Można przyjąć, że gdyby ówcześnie Polska neutralność pozwoliła uzyskać definitywne gwarancje w obu zakreślonych obszarach, cała rozgrywka byłaby wielkim sukcesem polskiej dyplomacji.

Wydaje się jednak, że Beck nie tylko nie przygotował odpowiednich, nadających się do traktatowego przesądzenia rozwiązań kwestii gdańskiej, ale nie miał też pomysłu na odpowiednie obwarowanie rozwiązania słowackiego (vide: niemiecko-sowiecki tajny protokół z 23 sierpnia 1939 roku). Do tego zbytnio zaufał Niemcom i oczekiwał, że na odpowiednie, praktyczne rozwiązania traktatowe przyjdzie jeszcze stosowny czas. Za to nieprzygotowanie i nadmierne zaufanie do ówczesnego partnera przyszło zapłacić okrutnie wielką cenę.

W tych zatem warunkach, bez precyzyjnych ustaleń dotyczących nowego status quo na obszarze Czechosłowacji, zniszczenie tego państwa, a i poprzedzający je i warunkujący Anschluss Austrii, były dla Polski niekorzystne. Chyba że Beck był przekonany, iż ze strony Niemiec nic Polsce nie grozi w dającej się przewidzieć perspektywie czasowej. Trudno jednak przyjąć takie twierdzenie jako założenie prawdziwe.

Nie sposób wszakże nie zauważyć, że zachowanie Becka było mimo wszystko dziwne. Przede wszystkim dlatego, że w sprawie Gdańska, który traktował on ze szczególną wrażliwością, i pod pretekstem którego miał już wkrótce dokonać oszałamiającej wolty, nie zostały ze stroną niemiecką poczynione żadne definitywne ustalenia.

We wszystkich trzech wzmiankowanych wyżej rozmowach problem Gdańska został poruszony jako przedmiot koniecznych ustaleń w przyszłości. Strona niemiecka, w sposób wyraźny, nie tylko nie stroniła od tej kwestii. Przeciwnie, w zapisach dyplomatycznych można właściwie odczytać niemiecką gotowość do załatwienia tej sprawy na tamtym etapie (nie wykluczając zapewne rozwiązania podobnego jak w przypadku Górnej Adygi). Do tej atmosfery będzie zresztą nawiązywał minister Beck, już po zakończeniu pierwszej fazy kryzysu monachijskiego, licząc na trwałość otwartości niemieckiej.

Jak się jednak miało okazać, po załatwieniu kluczowych dla siebie spraw z Austrią i Czechosłowacją, Niemcy, nie rezygnując z załatwienia sprawy stosunków polsko-niemieckich, nie byli już skłonni do ustępstw podobnych do uczynionych względem Mussoliniego. Stało się to w momencie, gdy po stronie polskiej usiłowano skonkretyzować, na czym miał polegać ów swoisty wspólny protektorat polsko-niemiecki nad Gdańskiem. Kiedy zatem Beck wystąpił z ofertą *Globallösung* w tej kwestii, polskie propozycje – jak się o tym przekonamy – były już dla Niemców, rozzuchwalonych łatwymi sukcesami osiągniętymi przy pomocy Polski, nie do przyjęcia.

Można w tym miejscu postawić istotne pytania pod adresem ówczesnej polityki polskiej. Skoro w tak – według Becka – żywotnej dla Polski sprawie („barometr"), jaką był Gdańsk, nic nie zostało „przy okazji" spraw austriackich i czechosłowackich załatwione, skoro w Austrii, wbrew zadeklarowanej przez Niemców gotowości do różnorakich cesji na rzecz Polski, żadnych interesów nie mieliśmy i skoro z upadku Czechosłowacji, tak czy inaczej, pożytku żadnego prócz odreagowania upokorzenia nie mieliśmy, to jaki był istotny sens poparcia niemieckiej ekspansji w 1938 roku? Jakie realne korzyści odnosiła Polska, która w tym momencie w przekonaniu opinii międzynarodowej uchodziła za ścisłego alianta antywersalskiej, agresywnej polityki Niemiec? Czy w żaden sposób niezagwarantowana obietnica uznania polskiej strefy wpływów na Słowacji była wystarczającą zdobyczą wynoszoną z tej zawieruchy?

Takie postępowanie nie mogło mieć nic wspólnego z linią marszałka Piłsudskiego. Efektem bowiem poparcia celów niemieckich stało się już wkrótce wystawienie Polski wyłącznie na dobrą wolę Niemiec, do których dystans został niebezpiecznie skrócony. Beck zrozumiał tę nową sytuację bardzo szybko i już pod koniec 1938 roku wykorzystał błahe w istocie pretesty do niemal całkowitej reorientacji linii politycznej wobec Niemiec. Nie bez znaczenia była tu także presja wewnętrzna wywierana na niego przez koła wojskowe z marszałkiem Śmigłym-Rydzem na czele.

Pozostaje oczywiście zasadnicze pytanie – czy Polska, w tym krytycznym momencie, miała inne możliwości polityczne? Twierdzę z całkowitym przekonaniem, że tak, pamiętając o tym, iż nie było zapewne możliwości bezpośredniego zbliżenia pomiędzy Polską a Czechosłowacją. Był to, z jednej strony, efekt wspomnianej już polityki czeskiej, a ściślej Benesa, powtórzmy – gardzącego Polską i Polakami, podzielającego opinię sformułowaną w Niemczech weimarskich, że jest to „państwo sezonowe".

Trzeba jednak też sprawiedliwie przyznać, że podobne opinie na temat Czechosłowacji jako „wyrostka robaczkowego" panowały wśród elity rządzącej w Polsce. Ponadto większość Polaków pałała autentyczną żądzą rewanżu za nikczemną postawę Czechów na Zaolziu w lecie 1920 roku i złamanie wcześniejszych, sprawiedliwych dla obu stron porozumień. Opinie zaś samego Becka o Czechosłowacji i Czechach były podobne do opinii Benesa o Polsce. W tych zatem warunkach współpraca obu stron była rzeczywiście skrajnie nie tyle nawet utrudniona, ile właściwie w ogóle niemożliwa.

Jednak pozycja Polski w tym konflikcie była kluczowa i tak ją postrzegały wszystkie strony, chyba za wyjątkiem ministra Becka i polskiej elity państwowej, które tej kluczowości własnej pozycji ewidentnie nie spostrzegły. Tymczasem właśnie w 1938 roku Polska po raz pierwszy miała w rękach karty, i to karty tak silne, że nie wymagało to nadmiernie dużego wysiłku, by osiągnąć wymarzoną przez piłsudczyków pierwszorzędną podmiotowość europejską. Wydaje się, że właściwe zrozumienie własnej pozycji mogło dać Polsce zdecydowanie większe, realne korzyści, zaś z Becka mógł uczynić autentycznego lidera politycznego w tej części Europy.

Tym bardziej, że na korzyść Polski działała Wielka Brytania, której postawa była, z jednej strony, podstawowym wyróżnikiem polityki Czechosłowacji, z drugiej zaś – Beck traktował ją z najwyższym szacunkiem. To właśnie postawa Wielkiej Brytanii mogła doprowadzić do kompromisu

polsko-czechosłowackiego i zyskania owych realnych korzyści oraz realnego zagwarantowania naszego bezpieczeństwa na granicy zachodniej.

Jak potężny był jej wpływ na oba kraje, dowodzą wydarzenia z 1938 i 1939 roku. To w istocie rząd brytyjski doprowadził Czechosłowację do przyjęcia ugody monachijskiej i oddania, przy znikomym własnym sprzeciwie, terenów sudeckich, a wkrótce – do zniszczenia państwa. I to w istocie propozycje angielskie z końca marca 1939 roku doprowadziły Becka do ostatecznej decyzji o zerwaniu dotychczasowej współpracy z Niemcami i gotowości podjęcia z nimi wojny.

Rząd brytyjski z wielką bezradnością przyglądał się sytuacji na wschodnich granicach Niemiec od początków 1938 roku[65]. Posiedzenia gabinetu w tym czasie były świadectwem poczucia własnej, niemal zupełnej niemocy. Brytyjczycy liczyli, że w sprawie austriackiej uda się im znaleźć możliwość współdziałania z Włochami. Mussolini bowiem początkowo zdecydowanie wrogo odnosił się do niemieckich planów włączenia Austrii do Rzeszy. Pojawiła się nadzieja odbudowania sojuszu angielsko-francusko-włoskiego, zdolnego, tak jak w latach Wielkiej Wojny, do powstrzymania Niemców[66]. Rząd brytyjski gotów był płacić w tym momencie niemal każdą cenę za współdziałanie Włoch. Jak dalece sięgała zdolność kompromisu Anglików gotowych uznać wszystkie dotychczasowe poczynania włoskie, świadczy wewnętrzny kryzys gabinetu, związany z rezygnacją ministra spraw zagranicznych Edena i zastąpienie go przez całkowicie oddanego premierowi Chamberlainowi, Lorda Halifaxa. Szybkość działań niemieckich, ale i skuteczność perswazyjna Hitlera podczas jego wizyty w Rzymie, uczyniły sprawę ewentualnego porozumienia angielsko-włoskiego nieaktualną.

Miarą bezradności Brytyjczyków były ustalenia (a właściwie ich brak) francusko-angielskie natychmiast po Anschlussie. Jeszcze 12 marca Halifax dopytywał Francuzów o ich gotowość do reagowania na poczynania Niemców nie tyle już w odniesieniu do Austrii, ale – co było dla nich oczywiste – w przypadku zagrożenia Czechosłowacji. Ambasador francuski w Londynie nie był w stanie udzielić – jak odnotowali to Anglicy – „krótkiej odpowiedzi". Dla rządu angielskiego już w tym momencie nie ulegało

[65] Zob. uwagi na ten temat, ukazujące niemoc i Anglików, i Francuzów, [w:] A. Taylor, *The Origins...*, s. 195 i nast.

[66] PRO, CAB 23/92, Protokoły posiedzeń gabinetu z 19 i 20 lutego 1938. Anglia w tym dążeniu gotowa była nawet uznać dotychczasowe zdobycze włoskie w Afryce.

żadnej wątpliwości, że Francja nie kiwnie choćby jednym palcem, by ratować swego oddanego do szaleństwa czeskiego alianta. Tym samym losy Czechosłowacji były przesądzone już w momencie[67], kiedy chyba nawet sam Hitler nie miał jeszcze gotowego planu dla swego następnego kroku[68] i raczej upajał się włączeniem swego rodzinnego kraju do Rzeszy.

Tu jedynie można zauważyć, że Beck, zupełnie nie interesując się sprawami austriackimi, zaprzepaścił też możliwość wzmocnienia swojej pozycji poprzez wyzyskanie wyraźnego sprzeciwu Włoch wobec planów Niemiec. Postawa Göringa we wspomnianej rozmowie wynikała właśnie z początkowego oporu Włoch wobec zamiarów Niemiec w Austrii. Gdyby Beck rozumiał tę sytuację, mogłoby to doprowadzić na tym etapie do zasadniczych rozstrzygnięć w sprawie Gdańska i Pomorza. I to rozstrzygnięć zabezpieczających dobrze polskie interesy na długie lata, bez ponoszenia praktycznie żadnych kosztów. Wytrącałoby to bowiem na przyszłość z rąk niemieckich ewentualne punkty sporne, na których budowały one później swoje roszczenia względem Polski.

Po upadku Austrii widać wyraźnie w polityce brytyjskiej poszukiwanie, niemal za wszelką cenę, jakichkolwiek możliwości ograniczenia ekspansji Niemiec. Brytyjczycy, mimo że wcześniej dali Niemcom zielone światło dla ich poczynań na obszarze środkowoeuropejskim, mieli już w tym momencie świadomość, że zamiary Niemiec idą o wiele dalej i nie tylko prowadzą do zburzenia i tak bardzo mało stabilnej sytuacji w Europie, ale również stanowią zagrożenie dla ich pozycji imperialnej.

---

[67] Taką opinię formułuje całkowicie słusznie A. Taylor, *The Origins...*, s. 195.

[68] Warto zauważyć, że Hitler był przygotowany raczej na inną sekwencję wydarzeń. Zakładał, że po zawarciu porozumienia z Schuschniggiem, Austria już zwasalizowana będzie stopniowo przybliżać się do Niemiec. Sądził, że dopiero po rozgrywce czechosłowackiej, która raczej miała się koncentrować wyłącznie na zagadnieniu mniejszości sudeckiej, wróci do sprawy austriackiej, mając o wiele silniejszą pozycję wobec niej po zajęciu *Sudetenlandu*. Tymczasem nerwowość, ale i nadmierna pewność siebie, zgubiły Schuschnigga. Zmusiły one do zdecydowanego, choć całkowicie improwizowanego działania Hitlera, ale i dały nieoczekiwany łup – szybki, bezbolesny i całkowity *Anschluss*. Dawało to tak znakomite podstawy do ostatecznego załatwienia sprawy czechosłowackiej, że dla wszystkich na kontynencie było to właściwie oczywiste. Chyba poza samym Benesem, który wierzył, że Francja i Związek Sowiecki skutecznie obronią Czechosłowację.

Trzeba tu też zauważyć, że w tym sensie szybkość rozwoju wypadków mogła również zaskoczyć i Becka. Podobnie jak Niemcy, spodziewał się on, że rozwój wydarzeń na południu będzie jednak zdecydowanie wolniejszy, a Polska będzie miała dużo więcej czasu na wyciąganie różnych korzyści. Wierzył też zapewne, że opór zarówno austriacki jak i czechosłowacki będzie i silniejszy, i bardziej długotrwały, a to da Polsce kolejne szanse na ugranie czegoś od Niemiec. Okazało się jednak, że rozwój wydarzeń był tak błyskawiczny, że zaskoczył wszystkich, włącznie z samym Hitlerem.

Jednocześnie rząd brytyjski konstatował swoją własną niemoc i niemożność podjęcia działań zbrojnych w Europie w jakiejkolwiek formie[69]. Powstały zatem pomysły zmontowania szerokiego bloku antyniemieckiego, obejmującego Rumunię, Jugosławię, Węgry, Grecję i Turcję[70].

Jest jednak charakterystyczne, że Polska w tych kalkulacjach się nie pojawiała. Z perspektywy bowiem brytyjskiej czy francuskiej, Polska w tym momencie była traktowana jako sojusznik Niemiec, w ich austriacko-czechosłowackiej kombinacji. Z całą ostrością będzie to można dostrzec w okresie największej eskalacji konfliktu sudeckiego, a więc w sierpniu i wrześniu 1938 roku. Może nam się to nie podobać, ale Brytyjczycy i Francuzi traktowali wtedy Polskę jak ścisłego alianta Niemiec.

Trzeba powiedzieć, że nawet w takiej sytuacji dyplomacja brytyjska nie rezygnowała z prób dotarcia do polskich decydentów i wybadania możliwości ewentualnej zmiany ich nastawienia w konflikcie czechosłowackim. Stało się tak na początku sierpnia 1938 roku. Jednak – jak wiemy – powodzenie przyniosła dopiero druga z podjętych przez nich prób: podjęta w podobnie – z punktu widzenia Brytyjczyków – dramatycznym momencie, a więc w końcu marca 1939 roku.

W początkach sierpnia 1938 roku przybył do Gdyni Pierwszy Lord Admiralicji, jeden z najbardziej znaczących i wpływowych ówcześnie polityków brytyjskich, Alfred Duff-Cooper. Angielski gość podczas swojej wizyty rozmawiał z Beckiem. Mamy relacje obu stron z tej rozmowy. Przyznać trzeba, że są to relacje jakby z dwóch rożnych rozmów.

Według polskiej relacji minister Beck rozmawiał z nim:

> *wyłącznie około spraw bałtyckich, które uważa za ważniejsze dla nas od spraw związanych z terenem południowym.*

[69] PRO, CAB 23/92, Protokół posiedzenia gabinetu z 22 marca 1938 roku. Na tym posiedzeniu szef sztabu brytyjskich sił zbrojnych zaprezentował raport, w myśl którego nie było żadnych możliwości wywarcia presji tak przez Brytyjczyków, jak i przez ich aliantów na lądzie, na morzu i w powietrzu, w wyniku której można byłoby powstrzymać Niemców przed atakiem na Czechy i rozbiciem armii czechosłowackiej. Ta niewiara w możliwości – własne i aliantów – powstrzymania Hitlera będzie dominować nad wszystkimi poczynaniami Anglików w najbliższej przyszłości.

[70] *Ibidem.*

Na wzmiankę Anglika:

> *o potrzebie utrzymania status quo, co mogło być w czasie całej rozmowy jedyną jego aluzją do sprawy Czechosłowacji,* (...) *minister* [*Beck*] *nie zareagował*[71].

Zanim przejdę do relacji angielskiego ministra, nie mogę nie poczynić jednej uwagi. Wydaje się czymś niepojętym, że w momencie rozgrywania się najdramatyczniejszej bez wątpienia rozgrywki dyplomatycznej po zakończeniu wojny, polski minister, rozmawiając z przedstawicielem największego ówcześnie imperium światowego, bagatelizował konflikt mający tak ścisły przecież związek z jego krajem i z jego najżywotniejszymi interesami strategicznymi. Jak się przekonamy, zapis w tej notatce był jednak raczej próbą ukrycia rzeczywistego przebiegu tej rozmowy i możliwości, które się podczas niej pojawiły. Ich przyjęcie oznaczałoby bowiem już w tym momencie szansę na całkowitą zmianę przebiegu wydarzeń. Do tego jednak Beck w tamtym momencie nie był jeszcze w żaden sposób przygotowany.

Duff-Cooper relacjonował natomiast swojemu gabinetowi, w o wiele bardziej szczegółowej notatce, że po rozmowie na tematy bałtyckie przeszedł do omówienia swego punktu widzenia na możliwy rozwój najbliższych wydarzeń. Wskazał na duże zagrożenie wybuchem nowej wojny światowej, jeśli obecnie nie powstrzyma się Niemiec. Wyraził przekonanie, że jeśli do takiego konfliktu dojdzie, to Stany Zjednoczone przystąpią do wojny szybciej, a to doprowadzi Niemcy do większej klęski niż w 1918 roku. Zachęcał zatem, by kraje bałtyckie, do których zaliczał Polskę, uczyniły wszystko, aby powstrzymać tę katastrofę. Można skądinąd na marginesie zauważyć, że wbrew lekceważącym ówcześnie (a i obecnie) „angielskich lordów" opiniom, potrafili oni jednak formułować precyzyjnie i niezwykle trafnie długofalowe scenariusze strategiczne.

Okazuje się jednak z relacji angielskiej, że na te wyznania Duff-Coopera Beck zareagował długimi wywodami zbieżnymi z opiniami ministra angielskiego i deklarował duży szacunek do polityki brytyjskiej. Lord Admiralicji, wyraźnie zachęcony stanowiskiem Becka, zapytał w związku z tym wprost:

[71] Notatka z rozmowy ministra Becka i wiceministra Szembeka z ambasadorem RP w Londynie Edwardem Raczyńskim, odbytej 6 września 1938 roku, *Diariusz...*, t. 4, s. 258–260.

Jeśli po mojej relacji na temat pańskich opinii złożonej Lordowi Halifaxowi, ten całkowicie zgodzi się z Panem i przyjmie z zadowoleniem wyrażone stanowisko – co Pan wyobrażałby sobie jako następny krok? Wymianę poglądów? Porozumienie?

Na tę otwartą propozycję podjęcia bardzo poważnej współpracy, płk Beck zareagował gwałtowną ucieczką od kontynuowania tematu do ogólników (*„he wandered off into generalietes and has obviously unwilling to commit himself")*[72].

Co ciekawe, notatka z rozmowy, która odbyła się 8 sierpnia 1938 roku, dotarła do *Foreign Office* dopiero w ostatniej dekadzie miesiąca. Jak widać, okres wakacyjny, mimo napięcia międzynarodowego, nie zmącił specjalnie spokoju urzędników. Notatka dotarła już z opiniami urzędników ministerstwa oraz analizami ambasadora brytyjskiego w Warszawie Kennarda, którzy zgodnie uważali za nieprawdopodobne, by deklaracje Becka złożone Duff-Cooperowi traktować poważnie. Dopiero w początkach września próbowano, jak się zdaje, rozważyć możliwość podjęcia stosownych inicjatyw[73]. Ale w tym momencie było już na to za późno; wydarzenia toczyły się od początku września z olbrzymią dynamiką.

Wydaje się, że obie strony straciły niepowtarzalną okazję do odwrócenia sytuacji w tzw. kryzysie czechosłowackim. Anglicy wyraźnie zlekceważyli pojawiającą się szansę, choć na ich usprawiedliwienie dodać trzeba, że rzeczywiście trudno było im ówcześnie uwierzyć w możliwość rozerwania aliansu polsko-niemieckiego. Dowodzi to skądinąd, jak głębokie było przeświadczenie o sile tego porozumienia na Zachodzie.

Niezrozumiała jednak pozostaje postawa Becka. Jego odważnie wyrażone stanowisko sytuowało go już właściwie po drugiej stronie. Czy zabrakło mu w tym momencie odwagi, by podjąć inicjatywę, czy raczej uważał, że jest już na to za późno, czy może wreszcie był jednak ciągle przekonany o słuszności zapalonego Niemcom „zielonego światła"? Dlaczego też zataił rzeczywisty przebieg rozmowy i nie próbował nawet w ramach wąskiego kierownictwa państwowego poddać pod rozwagę możliwej inicjatywy? Tym bardziej, że wizytę Duff-Coopera starał się przedstawiać jako wyraz uznania pozycji Polski przez Wielką Brytanię. Nie zachodzi więc obawa, że traktował swego rozmówcę za mało reprezentatywnego.

---

72 PRO, FO 371/21807/ C 8719.

73 *Ibidem.*

Zakładając nawet, że Beck uważał za konieczne kontynuowanie polityki wspierania niemieckich działań przeciw Czechosłowacji, zakładając także polskie korzyści na Słowacji, to nawet zamarkowanie ewentualnej współpracy z Anglią w tamtym momencie mogło przecież tylko niewyobrażalnie wzmocnić pozycję Polski wobec Niemiec. Cena polskiej neutralności w takiej sytuacji musiała być dla Niemiec warta wszelkich ustępstw. W Gdańsku, na Pomorzu, na Słowacji i jeszcze na wielu innych obszarach.

Patrząc na to wydarzenie przez pryzmat rozwoju sytuacji na przełomie marca i kwietnia 1939 roku, nie sposób nie zauważyć, że minimalne choćby otwarcie na brytyjskie propozycje mogło już w sierpniu lub wrześniu 1938 roku doprowadzić do istotnego zbliżenia polsko-brytyjskiego. Anglicy właśnie latem 1938 roku byli nim zainteresowani tak samo, a może nawet bardziej, niż to miało miejsce w marcu 1939 roku.

Dla Polski zaś przejście do obozu alianckiego, właśnie latem 1938 roku, mogło oznaczać nie tylko uzyskanie kluczowej w nim pozycji na wschodzie Europy, ale także spełnienie tych samych oczekiwań, jakie miała, wiążąc się z Niemcami. Polska dysponowała tu bowiem jeszcze dwoma bardzo ważnymi argumentami. Po pierwsze, pozostawała w bardzo dobrych stosunkach z Węgrami, które pilnie przyglądały się postawie Polski wobec Czechosłowacji i jej aliantów. Jest wysoce prawdopodobne, że polska dyplomacja była w tym momencie w stanie wpłynąć na to, w jakim kierunku będą szły zachowania Węgrów. Po drugie, Polska miała bardzo dobre kontakty z liderami ruchu niepodległościowego na Słowacji i cieszyła się wśród nich w tym czasie bardzo dużym szacunkiem.

Dysponując zatem takimi argumentami i możliwościami, Beck mógł być dla dyplomacji brytyjskiej rzeczywistym wybawieniem z beznadziejnej sytuacji. Jednocześnie nie ulega kwestii, że bez pozytywnego stosunku Polski, Niemcy nigdy nie odważyliby się na podjęcie – i tak ryzykownej – gry sudeckiej. Wydaje się też, że w takiej sytuacji, strona polska mogła także uzyskać oczekiwane rozwiązania na Śląsku Cieszyńskim. Jej poparcie nie musiało być bowiem, tak jak w wypadku poparcia dla Niemiec, bezwarunkowe.

Skoro Anglicy byli w stanie zmusić Czechów do przyjęcia upokarzających i faktycznie niszczących ich państwo warunków niemieckich, to ile też bardziej byliby w stanie nakłonić ich do przywrócenia na Śląsku Cieszyńskim sytuacji sprzed czeskiej agresji latem 1920 roku czy unormowania

sytuacji mniejszości węgierskiej, a nawet uznania ewentualnej niepodległości Słowacji.

Polska z takiej kombinacji wyszłaby w o wiele lepszym towarzystwie, w o wiele lepszej sytuacji strategicznej, autentycznie wzmocniona i zdolna, wraz z sojusznikami do powstrzymania ekspansji Niemiec.

Warto tu zwrócić uwagę na jeszcze jeden ważny aspekt tej sytuacji. Właśnie w okresie kryzysu czechosłowackiego, dużą determinacją i nieustępliwością wobec Niemiec wykazywała się Francja. Nowy ówcześnie rząd z Daladierem i Bonnetem od początku konfliktu zachowywał niespotykaną od bardzo wielu lat twardość wobec Niemców. Wbrew opiniom Becka i błędnie kalkulującym sztabowcom niemiecko-włoskim[74], to właśnie Francja była o wiele bardziej zdecydowana na działanie niż Brytyjczycy[75]. Po kilku miesiącach od rozmowy ambasadora francuskiego w Londynie z lordem Halifaxem, Francja przeszła bardzo poważną ewolucję swojego stanowiska. Niestety, była to zmiana bardzo krótkotrwała, a po okresie prężenia muskułów, Francuzi pogrążyli się jeszcze bardziej w fatalnej dla Polski bierności.

I nie ulega wątpliwości, że bardzo duży wpływ na osłabienie tej determinacji francuskiej miała fatalna, drażniąca Francuzów bez potrzeby, postawa Becka i polskiego ambasadora w Paryżu, Juliusza Łukaszewicza[76]. Trzeba o tym pamiętać, patrząc na wydarzenia o rok późniejsze. Wtedy Francuzi nie będą przejawiali żadnej ochoty do wspierania Polski i skończy się to dla nas tragicznie.

Polska w czasie konfliktu czechosłowackiego była w istocie krajem o znaczeniu kluczowym. Pułkownik Beck nie wykazał się tu jednak pełnym wyczuciem sytuacji i znaczenia Polski. Tej fundamentalnej

---

74 *Diariusz...*, t. 4, s. 258–260.

75 PRO, CAB 23/95, Protokoły posiedzeń gabinetu z 19 i 25 września 1938 roku. Brytyjczycy, konsultujący się bez przerwy w czasie kryzysu czechosłowackiego z Francuzami, ciągle z wyraźnie rosnącymi obawami obserwowali gotowość swych aliantów do przyjmowania jak najtwardszej linii względem Niemiec. Linii niewykluczającej wręcz możliwości wystąpienia zbrojnego. Anglia, powiązana sojuszem obronnym z Francją, obawiała się takiej reakcji francuskiej, która mogłaby doprowadzić ją do konfliktu zbrojnego z Niemcami w momencie, który uważali za zbyt szybki.

76 Szerzej pisze o tym, momentami jednak wyraźnie nadinterpretując pewne fakty, H. Batowski, *Rok 1938 – dwie agresje hitlerowskie,* Poznań 1985.

pozycji Rzeczypospolitej nie potrafił, niestety, skutecznie wykorzystać dla zabezpieczenia najbardziej żywotnych interesów polskich[77].

Wybrany wariant faktycznego wsparcia Niemców w ich poczynaniach nie dał Polsce z ich strony żadnych realnych korzyści w najbardziej newralgicznych obszarach. Natomiast w oczach opinii międzynarodowej uczestniczenie w dobijaniu południowego sąsiada bardzo nam zaszkodziło. Fatalnym błędem było też niepodjęcie choćby próby materializacji możliwego wariantu brytyjskiego i zasadnicze odwrócenie sytuacji w Europie już latem 1938 roku.

W tej perspektywie polityka prowadzona przez polskiego ministra na tym etapie okazała się kompletną negacją wskazań, które pozostawił Beckowi jego mistrz – Józef Piłsudski. Jak bardzo poważny błąd popełnił, przekonał się bardzo szybko.

To właśnie monachijskie rozwiązanie, przy układaniu którego Polskę całkowicie pominięto, uzmysłowiło mu, w jak beznadziejną sytuację pchnął Polskę swym, nie do końca chyba przemyślanym, nadmiernym zbliżeniem z Niemcami.

[77] Beck, dostrzegając ewolucję sytuacji, podjął spóźnioną próbę wyzyskania położenia Niemców, nakazując Lipskiemu, by tenże wymógł od Göringa oświadczenie niemieckie, potwierdzające granicę polsko-niemiecką, jak również polskie prawa do Gdańska i status polskiej ludności w tym mieście. Lipski rozmawiał o tym z Göringiem 16 września, ale ten, chociaż w życzliwym tonie, starał się wyraźnie odsunąć na nieokreśloną przyszłość konkretne rozwiązania (*Historia dyplomacji polskiej*, t. 4, s. 565).

3.

Sugestie w sprawie Gdańska

Układ monachijski, jakkolwiek nie burzył definitywnie porządku wersalskiego, to jednak oznaczał, w istocie rzeczy, zasadniczą zmianę układu sił w Europie. Hitler, faktycznie likwidując Czechosłowację jako bardzo ważny element istniejącego dotąd stanu, wychodził solidnie wzmocniony wobec dwóch swych najważniejszych przeciwników – Anglii i Francji. Jednocześnie udało mu się pogłębić sojusz z Włochami i ostatecznie wyrwać Mussoliniego ze sfery zabiegów obu tych państw. Zdołał także przekonać Europę, że podobnie silne więzy łączą go z Polską, bez neutralności której obie operacje nie miałyby najmniejszych szans powodzenia.

Natomiast Francja i Anglia, oprócz poważnego nadszarpnięcia ich autorytetu, przede wszystkim udowodniły swoją całkowitą niezdolność do czynnego przeciwstawienia się agresywnym poczynaniom niemieckim. Dodatkowo, oba mocarstwa utraciły na zapleczu swojego głównego przeciwnika niezwykle cennego sojusznika.

Wewnętrzne, przejściowe problemy gospodarcze Niemiec sprawiły, że Hitler musiał na pewien czas skupić się na zagadnieniach krajowych. Jednocześnie jednak zastanawiał się nad swymi dalszymi posunięciami. Wydaje się, że w tym okresie rozważał dwie podstawowe możliwości.

W pierwszym rzędzie myślał on o zaatakowaniu Belgii i Holandii. Liczył bowiem, że nie napotka tam poważnego oporu wojskowego. Ale nawet gdyby oba kraje objawiły wolę przeciwstawienia się jego agresji, sądził że bez większego trudu doprowadzi do ich wyizolowania i każde z nich łatwo pokona. Po doświadczeniach czeskich był przekonany, że Francja, a zwłaszcza Anglia, nie znajdą ani dość siły, ani dość czasu, ani wreszcie woli, by efektywnie przeciwstawić się jego poczynaniom. Podbicie zaś Belgii i Holandii dawało wiele różnych korzyści.

Przede wszystkim oskrzydlało Francję i pozwalało uzyskać bardzo dogodne pozycje wyjściowe do przyszłej akcji militarnej przeciwko temu krajowi, omijające fortyfikacje Linii Maginota. Ta bowiem kończyła się właśnie na wysokości granicy belgijsko-francuskiej. Tym samym Niemcy oskrzydlali Francję i uzyskiwali swobodę w atakowaniu jej terytorium.

Po drugie, znacząco przybliżało to niemieckie bazy morskie, a przede wszystkim lotnicze, do wysp brytyjskich. Zwiększały się dzięki temu w sposób znakomity możliwości ofensywne niemieckiego lotnictwa w razie ewentualnego konfliktu z Anglią. Zajęcie Belgii i Holandii zbliżało także Niemców do kanału La Manche i pozwalało uzyskać dogodniejsze możliwości kontrolowania żeglugi pomiędzy głównymi przeciwnikami Niemiec na kluczowym akwenie.

Po trzecie wreszcie, otwierało Hitlerowi drogę do jego upragnionych kolonii. Oba kraje posiadały bowiem dość cenne posiadłości zamorskie.

Równolegle jednak rozważany był przez niego wariant przejęcia kontroli nad Rumunią. Kraj ten był zasobny w dwa bogactwa, których Niemcom bardzo brakowało – ropę naftową i pszenicę. Zwłaszcza rumuńska ropa, w perspektywie działań wojennych Niemiec, była surowcem o zasadniczym znaczeniu dla wszelkich planów ich ekspansji. Nade wszystko jednak, Rumunia dawała też bezpośredni dostęp do Związku Sowieckiego. Szczególnie cenny był zwłaszcza dostęp do Ukrainy, gdzie Niemcy ciągle planowali utworzyć związane ze sobą państwo. Wreszcie obecność w Rumunii dawała znakomitą możliwość penetracji Bałkanów, co także było niezmiennym celem polityki niemieckiej od wielu dziesięcioleci.

Ograniczeniem niemieckich możliwości w tym kierunku był jednak brak bezpośredniego dostępu do Rumunii. A zatem, chcąc nie chcąc, Niemcy musieli swe plany w tym zakresie uzależniać od przychylności i współpracy Węgier. Poza tym musieli pamiętać o wielostronnych więzach łączących Rumunię z Polską.

Dodatkowym, ważnym w kontekście interesujących nas kwestii zagadnieniem było to, że aby zmusić Węgrów do pomocy w podporządkowaniu sobie Rumunii, kluczowa stawała się przyszła pozycja Słowacji, nad której emancypacją intensywnie pracowały czynniki polskie i niemieckie. Opanowując Słowację, Niemcy w praktyce mogły zdominować Węgry, a w konsekwencji uzyskać nieskrępowany dostęp do Rumunii. Niemcy mogli tu wykorzystać autonomizującą się Ruś Zakarpacką. Dążąca do emancypacji spod wpływów upadającej Czechosłowacji Ruś, miała być *mutatis mutandis* ukraińskim Piemontem, dającym Niemcom – protektorom owego Piemontu – całkowicie swobodny dostęp do Rumunii.

Nie dziwi zatem, że jeszcze w początkach października 1938 roku, wkrótce po podpisaniu układu monachijskiego, niemieckie dowództwo wojskowe stanowczo zażądało od Hitlera, aby nie godził się na wspólną

granicę polsko-węgierską (a więc na przyłączenie Rusi Zakarpackiej, a także południowych fragmentów Słowacji do Węgier). Wskazywano, że rozwiązanie to bardzo utrudni Niemcom dalsze działania w Europie Środkowej. Wydaje się, że konsekwentny nacisk niemieckiego dowództwa wojskowego na Hitlera zaowocował w kolejnych miesiącach jego decyzją o wycofaniu się z ustaleń niemiecko-polskich, dotyczących polskiego protektoratu nad niepodległą Słowacją. Miało to mieć – jak się okazało – najdalej idące konsekwencje dla relacji polsko-niemieckich.

Niejako „po drodze" Hitler pragnął załatwić jeszcze dwie inne sprawy. Po pierwsze, chciał dokończyć rozprawę z Czechosłowacją, doprowadzając do ostatecznego unicestwienia tego państwa. Po drugie, wykorzystując słabość Litwy, pragnął odebrać im sporną, zamieszkałą w większości przez ludność pochodzenia niemieckiego, Kłajpedę (Memel).

Aby plany te zrealizować, konieczne było jednak znowu przychylne nastawienie ze strony Polski. Niemcy rozumieli bowiem, że zarówno w kwestii słowackiej, jak i na Litwie[78], muszą respektować wyraźnie wyartykułowane interesy polskie. Nie chodziło tu zatem już tylko o przychylną neutralność, jak to miało miejsce w przypadku rozprawy z Austrią oraz w pierwszej fazie operacji czechosłowackiej. W tym wypadku Niemcy mieli świadomość wkraczania w wyraźnie zarysowaną polską strefę interesów.

Dodatkowo konieczne było wyjaśnienie zadrażnienia, którego jak się zdaje, Niemcy nie mogli zrozumieć, ale które trzeba było z ich punktu widzenia jak najszybciej wyjaśnić. Wkraczając na Zaolzie, wojska polskie zajęły również niewielkie miasteczko Bogumin. Było ono zamieszkałe w większości przez ludność pochodzenia niemieckiego, więc wydawało się, że Polacy nie będą aspirować do jego przejęcia. Ponadto Bogumin miał wielkie znaczenie, przede wszystkim właśnie dla Niemców, jako niezwykle ważny dla tej części obszaru czechosłowackiego węzeł komunikacyjny. Liczyli oni zatem na to, że Polacy pozostawią Bogumin w spokoju – to znaczy, do ich dyspozycji.

[78] Pamiętać należy, że wiosną 1938 roku Beck, w okresie zamieszania wynikającego z zaostrzonej sytuacji wokół Austrii, wykorzystał dość błahy pretekst (incydent graniczny zakończony śmiercią polskiego żołnierza), aby zmusić Litwę do nawiązania stosunków dyplomatycznych z Polską. Ta wymuszona normalizacja relacji obu państw w sposób wyraźny pokazywała, że Litwa pozostaje w *sui generis* polskiej strefie wpływów. Niemcy, a właściwie cała Europa, w istocie zaakceptowali ówcześnie ten stan rzeczy.

Tak się jednak nie stało. Minister Beck uznał bowiem, że właśnie Bogumin uczyni swoistym symbolem samodzielności polityki polskiej wobec Niemiec. Być może zakładał także, że skoro spóźnił się z przygotowaniem polskiej propozycji rozwiązania kwestii gdańskiej, to właśnie dzięki tej demonstracji wzmocni swoją pozycję negocjacyjną, pokazując swoją stanowczość i determinację. Ta swoista w jego zamierzeniu prowokacja wobec Niemców miała wykazać opinii europejskiej, że Polska wcale nie idzie z Hitlerem „ręka w rękę".

Jednak tej dość skomplikowanej gry nie zauważył w Europie praktycznie nikt. Poza – rzecz jasna – Niemcami. Ci zatem, chcąc mieć jasność co do polskich pozycji, co warunkowało w istocie powodzenie kolejnych planów Hitlera, postanowili tę kwestię wyjaśnić. Nie należy więc zapominać o tym w kontekście oceny rozmowy, jaką 24 października 1938 roku odbyli minister Ribbentrop oraz ambasador Lipski[79].

Ale pamiętać także trzeba, że rozmowa ta – którą niemal cała polska historiografia uznaje za wstęp do świadomej, niemieckiej rozgrywki przeciwko Polsce[80] – nie była w żadnym razie suponowanym, pierwszym krokiem Hitlera do wojny z Polską. Nie była też w żadnym razie realizacją jakiegoś konsekwentnego scenariusza, który zakładał, że po rozprawieniu się z Czechosłowacją przy okazji sporu sudeckiego, następnym krokiem na drodze ekspansywnej polityki niemieckiej będzie Polska. Takiego scenariusza, odnoszącego się do Polski, w sposób oczywisty ówcześnie po stronie niemieckiej po prostu nie było.

Przede wszystkim podkreślić należy ze szczególną mocą, że inicjatywa do przeprowadzenia rozmowy październikowej wyszła ze strony polskiej. I nie można w żadnym razie zapominać, że była ona trzecim z kolei spotkaniem ambasadora Lipskiego z niemieckimi dygnitarzami, w ramach *sui generis* cyklu przygotowań do tzw. *Globallösung*. Poprzednie rozmowy odbyły się w sierpniu i we wrześniu, a były one następstwem sformułowania przez MSZ w miesiącach letnich 1938 roku wstępnych warunków

[79] Raport ambasadora Lipskiego dla ministra Becka na temat rozmowy z Ribbentropem odbytej 24 października 1938 roku. Polską i niemiecką wersję raportu z tej rozmowy publikuje W. T. Kowalski, [w:] *Polska w polityce międzynarodowej (1939–1945). Zbiór dokumentów 1939,* Warszawa 1980, dok. 1 i 2.

[80] Ostatnim wyrazicielem tego poglądu jest M. Kornat, *Polityka zagraniczna Polski 1938–1939,* Gdańsk 2012, s. 262–269.

porozumienia ze strony polskiej[81]. Inicjatywa zatem wychodziła ze strony polskiej i to rozstrzyga w sposób jednoznaczny o ocenie spotkania październikowego.

Wydaje się że Beck, który nie dysponował odpowiednio przygotowanymi propozycjami w początkach roku 1938, zrozumiał dostatecznie boleśnie konsekwencje tego ówczesnego, ewidentnego nieprzygotowania strony polskiej do poważnego negocjowania sprawy gdańskiej. Usiłował zatem nadrobić straconą okazję i w gorącej atmosferze negocjacji w okresie kryzysu czechosłowackiego chciał wymusić na Niemcach jakieś dalej idące deklaracje, co do akceptacji polskiego stanowiska.

Niemcy jednak, wbrew oczekiwaniom Becka, ze spokojem przyjęli te dość nerwowe – jak je odczytywali nie bez dużej dozy racji – poczynania polskie. Mieli oni już bowiem świadomość, że czas gra na ich korzyść. W każdym razie sierpniowa rozmowa Lipskiego z Göringiem odbywała się w bardzo dobrej atmosferze. Ambasador Lipski był wdzięczny stronie niemieckiej za uspokojenie sytuacji w Gdańsku. Jednocześnie przedstawił Göringowi propozycje, przekazane przez ministra Becka, które ten „zanotował"[82].

Podczas kolejnego spotkania z Göringiem, 16 września 1938 roku, ambasador Lipski przedstawił bardziej już dopracowane stanowisko polskie[83]. Przebieg tego spotkania ma znaczenie kluczowe dla prawidłowego zrozumienia treści i przebiegu spotkania październikowego, dlatego konieczny jest szerszy cytat[84]. Lipski relacjonował swojemu szefowi przebieg tej rozmowy następująco:

> *Powołując się na mowę kanclerza Hitlera w Norymberdze* [*chodzi o przemówienie z 5 listopada 1937 roku*] *wysunąłem koncepcję deklaracji w stosunkach polsko-niemieckich na wzór* [*tej*] *między*

[81] Fakt ten jest permanentnie pomijany w zdecydowanej większości polskich opracowań, *vide* cytowane wyżej opracowanie Kornata. Ten autor, wzorem niezliczonej rzeszy swoich poprzedników, wręcz sugeruje, że wyłączna inicjatywa tego spotkania i treść przekazu Ribbentropa była właśnie początkiem owej „niemieckiej gry". Nic takiego w sposób najzupełniej oczywisty nie miało miejsca.

[82] Z. Landau, J. Tomaszewski, *Monachium 1938. Polskie dokumenty dyplomatyczne*, Warszawa 1985, s. 256.

[83] Podczas narady ścisłego kierownictwa MSZ 12 września 1938 roku Beck wskazywał – żądając jednocześnie od swoich współpracowników najwyższej dyskrecji zarówno w wymiarze wewnątrzpolskim jak i międzynarodowym – podstawowe elementy polskich propozycji w ramach *Globallösung. Diariusz...*, t. 4, s. 266.

[84] Z. Landau, J. Tomaszewski, *op.cit.*, s. 302 i nast.

> *Hitlerem a Mussolinim.* (...) *Göring odniósł się całkiem pozytywnie do tej idei.* (...) *wysunąłem konieczność usunięcia stałych drażliwości na odcinku gdańskim* (...) [*podkreślając, że*] *musiałoby* [*to*] *iść w* [*takim*] *kierunku, aby interesy gospodarcze Polski w Wolnym Mieście były tak zagwarantowane, by handel polski mógł swobodnie się rozwijać.*

W relacji polskiego ambasadora Göring, akceptując jego punkt widzenia, stwierdził, że:

> *porozumienie powinno się opierać na dwóch przesłankach: Polska, jak to zostało stwierdzone, nie miesza się do rozwoju ludności niemieckiej w Wolnym Mieście, z drugiej strony Gdańsk musi się liczyć z interesami i prawami gospodarczymi Polski, bez których on rozwijać się nie może.* (...) *W konkluzji dodał, iż zaraz po załatwieniu sprawy czeskiej, powinniśmy się wspólnie zebrać ewentualnie z ekspertami gospodarczymi, do rozejrzenia spraw gospodarczych Polski w Gdańsku. Sądzi on, że nie powinno być trudności w znalezieniu odpowiedniego wyjścia.*

Ambasador Lipski, kończąc swoje wywody podkreślił, że:

> *rząd polski patrzy na stosunki polsko-niemieckie na daleką metę, że dla powodzenia tej polityki jest konieczne wytworzenie atmosfery zaufania, że widzę to w trzech aktach: 1. deklaracja na wzór włosko-niemieckiej* [*zawierająca wzajemną gwarancję nienaruszalności granic, co odnosiło się ściśle do problemu Górnej Adygi*], *2. zdjęcie drażliwości z zagadnień gdańskich w dziale gospodarczych interesów Polski, 3. przedłużenie deklaracji z 26 stycznia 1934 roku.*

Göring zasygnalizował natomiast problem eksterytorialnego połączenia Niemiec z Prusami Wschodnimi. Do tej kwestii polski ambasador nie odniósł się jednak w żaden sposób.

Z rozmowy tej musiały wynikać przynajmniej trzy, najzupełniej oczywiste dla obu stron, wnioski.

Po pierwsze, strona polska – przypomnijmy, już na podstawie instrukcji przekazanych Lipskiemu przez MSZ – nie zgłaszała zastrzeżeń, co do swobody politycznego rozwiązania przyszłości Wolnego Miasta przez Niemców. Była to kwestia postawiona w styczniu 1938 roku przez Hitlera w rozmowie z Beckiem. Nieprzypadkowo powtórzona przez Göringa,

ponownie nie została w żaden sposób – już po przemyśleniach polskiego stanowiska w okresie letnim – zakwestionowana. Nie mogło też ulegać żadnej wątpliwości ani dla Becka, ani dla Lipskiego, że polska zgoda na niemieszanie się w wewnętrzne sprawy Gdańska prowadzić będzie w prostej linii – i to prędzej niż później – do proklamowania przez władze gdańskie woli przyłączenia Wolnego Miasta do Niemiec.

Po drugie, strona polska wyraźnie zasygnalizowała swoje interesy gospodarcze w Gdańsku. Niemcy byli w pełni świadomi tego, że warunkują one w istocie jakiekolwiek funkcjonowanie tego miasta (także w przypadku włączenia go do Rzeszy). Dlatego gotowi byli nie tylko w pełni je akceptować, ale wręcz, w dobrze pojętym własnym interesie, wspierać. W tym sensie, biorąc pod uwagę racjonalność działania obu stron – a takie było ich wzajemne przekonanie na tym etapie – Polska i Niemcy były w sprawie gdańskiej po prostu skazane na swoje współdziałanie.

Po trzecie wreszcie, przedstawiciele obu państw ustalili, że natychmiast po zakończeniu rozgrywki czechosłowackiej nastąpi ostateczne, zgodne ustalenie zasad współpracy przez obie strony.

Podczas kolejnego, październikowego spotkania ambasadora Lipskiego, tym razem już z niemieckim ministrem spraw zagranicznych, ten – wychodząc naprzeciw oczekiwaniom polskim – wystąpił zatem z niemiecką propozycją ogólnego (*Gesamtlösung, Globallösung*) rozwiązania problemów istniejących pomiędzy obydwoma krajami. Była to w istocie odpowiedź niemiecka na przedłożone propozycje polskie i jakakolwiek inna próba interpretowania treści tego spotkania nie wytrzymuje żadnej krytyki.

Ribbentrop potwierdził więc wcześniejsze, znane już Polsce stanowisko Göringa (ale wyrażane również jeszcze w styczniu przez Hitlera), że respektując wolę mieszkańców Wolnego Miasta, Gdańsk powróci do Rzeszy. Niemcy jednak, świadomi uwarunkowań gospodarczych, deklarowali jednoczesne zagwarantowanie Polsce eksterytorialnych połączeń kolejowych do eksterytorialnego polskiego portu w Gdańsku oraz wszelkie ułatwienia gospodarcze w Wolnym Mieście. Polska, w odpowiedzi na tę propozycję, miałaby zgodzić się na zbudowanie eksterytorialnych połączeń drogowych i kolejowych poprzez Pomorze do Prus Wschodnich. Pozytywne załatwienie tych kluczowych postulatów stworzyłoby warunki do przedłużenia traktatu z 1934 roku na dwadzieścia pięć lat, a także uznania przez Niemcy ich granicy z Polską za ostateczną.

Ribbentrop wskazywał również na możliwość współpracy „w sprawach kolonialnych", emigracji Żydów do Palestyny, prowadzenia wspólnej polityki wobec Rosji czy wspólne rozwiązanie sprawy Rusi Zakarpackiej. Zwłaszcza ta ostatnia kwestia była ważna, znamionowała bowiem odejście Niemiec od, wywołującej w Polsce oczywistą niechęć, koncepcji ukraińskiego Piemontu. W to miejsce Niemcy godzili się już na forsowaną przez Polaków koncepcję włączenia tego regionu do Węgier. Niemcy sugerowali wreszcie przystąpienie Polski do paktu antykominternowskiego oraz klauzulę konsultacyjną.

Patrząc na treść odpowiedzi niemieckiej, widać wyraźnie, że szła ona dokładnie po linii propozycji polskich. Nowym elementem był postulat eksterytorialnych połączeń do Prus Wschodnich, który jednak należy widzieć jako ściśle związany z propozycją także eksterytorialnego połączenia kolejowo-drogowego z polskim (a więc eksterytorialnym) portem w Gdańsku.

Pojawiające się niemal powszechnie w polskiej historiografii sugestie, że propozycja przystąpienia do paktu antykominternowskiego miała dowodzić dążenia do zwasalizowania Polski, nie zasługują na jakąkolwiek dyskusję. Skoro Włochy i Japonia, a więc pozostali obok Niemiec członkowie Osi, nie były żadnymi wasalami Niemiec, a nadto były ówcześnie państwami bardzo bliskimi Polsce, można wręcz powiedzieć, że zaprzyjaźnionymi, to nie sposób pojąć, na czym miałoby polegać owo zwasalizowanie Polski w antykominternie. W istocie zatem, Niemcy mogli być absolutnie przekonani, że pełne porozumienie jest na wyciągnięcie ręki.

Gdyby przyjąć racjonalność działania Becka, to uzyskał on niebywały sukces, bowiem odpowiedź niemiecka oznaczała załatwienie problemu, którego nie załatwił kilka miesięcy wcześniej. Wprawdzie – jak pisałem – gdyby strona polska była w początkach 1938 roku lepiej przygotowana do rozgrywki z Hitlerem, to nie można wykluczyć, że w styczniu 1938 roku wywalczyłaby ona nawet włączenie Gdańska do Polski (wzorem włoskiego sukcesu w sprawie Górnej Adygi). Ale skoro nie udało się to w tamtym momencie, bo nie mieliśmy gotowej żadnej koncepcji do podyktowania Hitlerowi, który gotów był wtedy płacić każdą cenę za swobodę działania w Austrii (gdzie my nierozważnie zadeklarowaliśmy brak jakichkolwiek interesów), to po przepracowaniu w okresie letnim polskiego stanowiska, Beck osiągał tak naprawdę poważny sukces.

Dodać należy również, iż Niemcy, rozumiejąc uwarunkowania polskiej polityki wewnętrznej, gotowi byli na spokojne i nawet długofalowe załatwienie sprawy włączenia Gdańska do Rzeszy. Wprawdzie pierwotnie planowali, że po marcowych (w 1939 roku) wyborach do gdańskiego parlamentu nastąpi deklaracja o jego włączeniu do Niemiec. Jednak gdy okazało się, że nie ma co do tego ostatecznych uzgodnień ze stroną Polską, bez zmrużenia oka zmusili lokalnych polityków do nieokreślonego w czasie odłożenia tego planu.

Tymczasem, jak wskazywałem wyżej, panuje ogólne – choć niczym nieuzasadnione – przekonanie[85], że rozmowa ta i niemieckie sugestie były punktem wyjścia do gry, której celem była likwidacja Polski. Interpretację tę przyjmuje się dlatego, że tak właśnie rozmowę tę ocenił – ale z pewnością dopiero po upływie dłuższego czasu – Beck i jego współpracownicy[86].

Tym, co polski minister uznał za decydujące w swoich późniejszych interpretacjach, była rzekomo zaskakująca sugestia Ribbentropa, dotycząca włączenia Gdańska do Rzeszy[87]. Pamiętając wskazówkę Piłsudskiego, że sprawa Gdańska jest barometrem niemieckiego stosunku do Polski uznał, że właśnie nasz kraj ma być kolejną ofiarą ich ekspansji. Uważał bowiem, że Gdańsk – podobnie jak sprawa sudecka – będzie jedynie pretekstem do generalnej rozprawy z Polską, w której w grę wchodzić będzie także Pomorze, Śląsk, a może i Wielkopolska.

---

[85] Taki ton znajdujemy niemal we wszystkich opracowaniach polskich historyków do ostatnich lat (np. H. Jackiewicz, *Brytyjskie gwarancje dla Polski w 1939 roku,* Olsztyn 1979, s. 47).

[86] S. Żerko, *op.cit.,* s. 116–118 – sugeruje, że Beck w przeciwieństwie do Lipskiego był „w znacznie mniejszym stopniu pesymistą". Uważa, że dowodzi tego przemilczenie treści rozmowy z Ribbentropem podczas narady w MSZ 4 listopada 1938 roku. Wydaje się jednak, że owo zatajenie sprawy, jeśli tak to można określić, w kontekście wielu innych rysujących się problemów i coraz gorszego położenia Polski wobec Niemiec dowodzi, iż Beck miał pełną świadomość tego, co jest dalszym celem Hitlera. Chodziło o wmontowanie Polski w układ uzależniający ją całkowicie od polityki niemieckiej. Odbierał zatem te propozycje jako uwerturę do późniejszych problemów. Nawet jeśli Niemcy nie mieli w tym momencie bezpośrednio takich intencji, Beck widział, że brak zgody na zaakceptowanie dominacji niemieckiej musi prowadzić prędzej czy później do konfliktu.

[87] O tym, że ta interpretacja powstała *ex post*, dla uzasadnienia różnych późniejszych ruchów ministra, świadczy właśnie owo całkowicie nieszczere zdumienie propozycją Ribbentropa odnośnie Gdańska. Temat był bowiem „na stole" od prawie roku, więc o żadnym zaskoczeniu nie mogło być mowy. Przeczy temu zresztą tok prac w MSZ w okresie letnim, gdzie intensywnie zajmowano się właśnie problematyką gdańską i możliwymi scenariuszami rozwoju sytuacji w Wolnym Mieście. Bardziej wiarygodnie brzmiałoby „zaskoczenie" propozycją połączeń eksterytorialnych, ale na to Beck w swoich późniejszych interpretacjach nie wpadł.

Jednak nie ulega wątpliwości, że zarówno rzekome odczucia płka Becka, jak i – sformułowane na tej podstawie w polskiej historiografii jako pewnik – przekonanie, iż w taki oto sposób Niemcy rozpoczynały grę, której finałem miał być wrzesień 1939 roku, nie znajduje żadnych podstaw. Co więcej, nie ulega żadnej wątpliwości, że taka ocena sformułowana została przez Becka *ex post* – wiele miesięcy później i to dla potrzeb reinterpretacji całej jego polityki, w krytycznym okresie przełomu 1938/1939 roku.

Zarówno bowiem umiejscowienie tej rozmowy, w kontekście treści wcześniejszych kontaktów, ale również rozmowy styczniowej z Hitlerem, jak i postępowanie Niemiec w ciągu kilku kolejnych miesięcy, dowodzą w sposób nie pozostawiający najmniejszych wątpliwości czegoś zupełnie innego. Nie podejmowali oni bowiem żadnych kroków, które mogłyby być uznane za konsekwentne realizowanie jakiejś wyimaginowanej *ex post* antypolskiej linii. Przeciwnie, z poprzednich „rozgrywek" niemieckich i innych, toczonych na bieżąco, widać wyraźnie, że przynajmniej do końca kwietnia 1939 roku dążyli oni do załatwienia interesujących ich kwestii, nie prowadząc równolegle nie tylko żadnych przygotowań wojennych, ale nawet choćby elementarnej, antypolskiej akcji propagandowej.

Było to skądinąd zachowanie logiczne. Polskę, mimo incydentu w Bogumińie, traktowali jako dobrego i sprawdzonego w trudnych okolicznościach, sojusznika. To uzasadniało takie właśnie, spokojne podejście i przedłożone propozycje. Propozycje, które z punktu widzenia niemieckiego, w kontekście wszystkich doświadczeń polskich z „demokratycznymi" Niemcami weimarskimi, uwzględniając gotowość uznania nienaruszalności granic Polski, były z pewnością najdalej idącą ofertą ostatecznej normalizacji wzajemnych relacji. Ponadto, w ich przekonaniu stanowiły w istocie akceptację propozycji i oczekiwań polskich.

Dodatkowo, porównując ton i sposób przedstawienia sprawy przez Ribbentropa z innymi zachowaniami Niemców, przy okazji załatwiania ich „życiowych problemów", można stwierdzić, że różnica w tym wypadku jest aż nadto widoczna. Można przyjąć, iż nawet jeśli Niemcy mieli w tym momencie jakieś dalekosiężne zamierzenie, w postaci politycznego zdominowania Polski – na co jednak nie ma żadnych dowodów – ale na pewno nie jej zniszczenia, to chcieli je realizować o wiele później.

Warto jeszcze przez chwilę zastanowić się nad głębszymi przyczynami niewątpliwego zakłopotania strony polskiej osiągnięciem ewidentnego

sukcesu negocjacyjnego. Bo przecież tak należało traktować, właściwie w pełni spójne z przepracowanymi w lecie 1938 roku polskimi oczekiwaniami, propozycje niemieckie dla *Globallösung*. Co takiego stało się, że zachodziła konieczność gwałtownego zakwestionowania swoich własnych propozycji oraz wcześniej niekwestionowanych propozycji niemieckich?

Nerwowa reakcja Becka wynikała zapewne z tego, że uświadomił on sobie, iż przeoczył najdogodniejszy moment dla uregulowania problemu gdańskiego[88], po linii najkorzystniejszej dla Polski. Wbrew bowiem ogólnie przyjętemu przekonaniu, problemy poruszone przez niemieckiego ministra nie były ani czymś nowym, ani czymś zgoła nieoczekiwanym przez stronę polską. Przeciwnie. Pojawiały się przy różnych okazjach niejednokrotnie już wcześniej[89] i zostały wręcz wywołane przez stronę polską.

Minister Beck zrozumiał także, że w nowym, pomonachijskim układzie sił w Europie, Polska z dnia na dzień znalazła się w sytuacji, w której jej los stał się w dużej mierze zależny od stosunku do niej strony niemieckiej. Właśnie bogumińska kombinacja dowodziła, jak szybko tę zmianę sytuacji zrozumiał, ale efekty tej demonstracji były zupełnie znikome.

W istocie, położenie Polski na wypadek załamania się stosunków z Niemcami, było w tym momencie zupełnie beznadziejne. Lekceważeni przez Becka Francuzi, nie mieli po czechosłowackich doświadczeniach żadnej ochoty na współpracę z Polską[90]. Anglicy zaś, nawet w teoretycznych rozważaniach, nie widzieli Polski wśród swych ewentualnych aliantów. Zbliżenie z Sowietami w ogóle nie wchodziło w grę. Polska, na wypadek konfliktu z Niemcami, pozostawała sama, a wskutek zmian na obszarze czechosłowackim w znacznie trudniejszym położeniu strategicznym.

Kiedy więc jeszcze w Monachium, Anglicy podpisali z Niemcami deklarację o nieagresji[91], a już wkrótce, bo na początku grudnia 1938 roku,

---

[88] Trzeba tu przypomnieć, że Polska i Niemcy w pewnym sensie były skazane na konieczność uregulowania problemu gdańskiego, bowiem ustalenia regulujące sytuację prawną Wolnego Miasta zależały od stanowiska Ligi Narodów, która planowała zakończenie swojego mandatu protekcyjnego.

[89] Szerzej opisuje okoliczności, w których Niemcy podnosili wcześniej te kwestie J. Karski, *op.cit.,* s. 240–242.

[90] To właśnie w tym okresie francuski minister spraw zagranicznych Bonnet, przy aprobacie gen. Weyganda oraz gen. Gamelaina, forsował koncepcję wycofania się Francji z dotychczasowego układu sojuszniczego z Polską i zastąpienia go układem „o przyjaźni".

[91] W. Kulski, M. Potulicki, *Współczesna Europa polityczna. Zbiór umów międzynarodowych 1919–1939,* Kraków–Warszawa 1939, s. 454.

uczynili to także Francuzi[92], w końcu 1938 roku sytuacja Polski, na wypadek załamania się stosunków z Niemcami, wyglądała rzeczywiście fatalnie.

Minister Beck mógł mieć zatem uzasadnione obawy, że sugestie Ribbentropa, choć są pozytywną odpowiedzią na polskie propozycje, to pozostają też w związku z uspokojeniem sytuacji na Zachodzie, i że dzięki temu Niemcy mogą zacząć myśleć o kontynuowaniu swych rewindykacji na Wschodzie. Nie można więc wykluczać, że to właśnie obawa przed powrotem do polityki symbolizowanej układami locarneńskimi determinowała po części polskie reakcje na październikową rozmowę Lipskiego i Ribbentropa.

Ale najważniejsze dla zrozumienia i oceny tego spotkania były (i pozostają do dziś), jak się zdaje, wewnętrzne uwarunkowania polityczne po stronie polskiej. Zwróciłbym tutaj uwagę przynajmniej na trzy, niezwykłej wagi elementy.

Po pierwsze, odzyskanie przez Polskę Zaolzia wywołało w kraju stan kompletnej, niczym niepohamowanej euforii. Szczególnym profitentem tych nastrojów okazał się być marszałek Śmigły-Rydz, któremu udało się wmówić polskiej opinii publicznej, że dzieło odzyskania Zaolzia stanowiło jakiś niezwykły sukces militarny i to niemal na miarę „cudu nad Wisłą".

Oczywiście, odzyskanie Zaolzia było nieoczekiwanym triumfem i tak też zostało zinterpretowane przez niezwykle sprawną propagandę sanacyjną. Do tego dochodził wiosenny sukces na odcinku litewskim, słusznie odbierany przez wewnętrzną opinię publiczną jako podporządkowanie Polsce tego kraju, a w bardziej rozgrzanych głowach interpretowany był jako uwertura do odbudowy państwa obojga narodów.

Negatywnym skutkiem tej niezwykle euforycznej atmosfery stało się również bezkrytyczne przeniesienie tego stanu podniecenia na kręgi wojskowe, które niemal w całości uwierzyły w niezwykłą sprawność armii. Ta, która pod wodzą gen. Bortnowskiego, wykonała rzeczywiście zgrabnie całą operację zaolziańską.

Miało to jednak skutek jak najbardziej fatalny, zwłaszcza dla psychiki generalnego inspektora, który uznał te wydarzenia jako dowód niezwykłej potęgi polskiej armii. Ponadto uwierzył on w nieograniczone poparcie społeczne dla swojej osoby, a wreszcie ostatecznie uznał, skutecznie

[92] *Ibidem*, s. 455.

utwierdzany w takim przeświadczeniu przez najbliższe otoczenie[93], że dorósł do roli przywódcy narodu, na miarę marszałka Piłsudskiego.

To przekonanie potwierdziły wyniki wyborów do Sejmu i Senatu, które odbyły się odpowiednio 6 i 13 listopada 1938 roku. Mimo nawoływania całej, zjednoczonej w tym opozycji do ich bojkotu, głosowało (masowo popierając Obóz Zjednoczenia Narodowego, a więc formację stworzoną przez marszałka i jego zwolenników w obozie pomajowym) 70% obywateli. Był to wyraz olbrzymiego zaufania do sanacji, ale przede wszystkim do Śmigłego-Rydza. Pogłębiało to jego przeświadczenie o swojej szczególnej misji.

Ta sytuacja miała wielki wpływ – i to po drugie – na dalsze działania Becka. Wydaje się, że o swoich rozmowach i propozycjach *Globallösung,* Beck jednak nie informował w pełni ani prezydenta, ani premiera, ani – zwłaszcza – generalnego inspektora. Dowodzi tego następująca sytuacja. Otóż relacja ambasadora Lipskiego z jego rozmowy z ministrem Ribbentropem, w kluczowej kwestii gdańskiej, funkcjonowała w polskim obiegu wewnętrznym, w istotnie odmiennej wersji od tego, co stwierdzano w niemieckich dokumentach opisujących przebieg tego spotkania.

W niemieckiej wersji notatki, ten najważniejszy fragment rozmowy opisany został w następujący sposób:

> *W wyniku dokładnej analizy możliwe jest wyeliminowanie wszelkich tarć. Przyłączenie* [*Gdańska, Lipski*] *uważa jednak za niemożliwe, przede wszystkim ze względów wewnątrzpolskich. Beck nie byłby nigdy w stanie wytłumaczyć tego społeczeństwu*[94].

W polskiej relacji z tej rozmowy Lipski pisał:

> *Na koniec powiedziałem mu* [*Ribbentropowi*]*, że pragnąłbym przestrzec go, iż nie widzę możliwości żadnego układu, odnoszącego się do przyłączenia Wolnego Miasta do Rzeszy*[95].

Widać wyraźnie, że notatka polska jest dalece bardziej stanowcza niż niemiecka, której treści nie udostępniano polskim decydentom. Natomiast notatka Lipskiego przekazywana była do wiadomości polskich przywódców, i to ich miała uspokajać. Miało z niej wynikać, że minister Beck

[93] Szczególną rolę odgrywał tu płk Bogusław Miedziński oraz środowisko skupione wokół pisma „Polityka".

[94] *Polska w polityce międzynarodowej* (*1939–1945*), Warszawa 1989, s. 18.

[95] *Ibidem.*

i ambasador Lipski twardo opierają się rzekomo nowym, niemieckim planom przyłączenia Gdańska do Rzeszy.

Wydaje się, że Beck chciał w ten sposób kupić czas, aby doprowadzić do uspokojenia i zracjonalizowania nastrojów po stronie polskiej, zwłaszcza w kręgach wojskowych. Z drugiej strony, być może liczył też na to, że Niemcy, widząc skalę trudności po stronie polskiej dla akceptacji uzgodnionego już stanowiska, jednak się cofną, a przynajmniej wyhamują w sprawie gdańskiej. W każdym razie Beck mógł uznać, że euforyczne uniesienie polskiej opinii publicznej i kręgów wojskowych zmusi Niemców do ponownego przemyślenia uzgodnionych kwestii, a w konsekwencji doprowadzi do znalezienia jeszcze korzystniejszego dla Polski rozwiązania.

Niemcy z kolei – pokazały to kolejne miesiące – mieli wykazać się daleko idącą cierpliwością. Rzeczywiście, rozumieli wewnętrzne napięcia po stronie polskiej i mieli świadomość trudności w akceptacji wynegocjowanego z Beckiem porozumienia. Doceniając jednak wartość dokonanych uzgodnień i współpracy z Polską, gotowi byli czekać na dogodny dla siebie rozwój wypadków.

Tak zatem obie strony miały wspólny interes, aby przeczekać napięcia, które nieoczekiwanie pojawiły się na drodze uzgodnień. Dowodzą tego wydarzenia kolejnych tygodni. Przeczą one jednocześnie sformułowanej *ex post* tezie, że to właśnie październikowa rozmowa i rzekome żądania niemieckie postawiły na nogi polskie kierownictwo państwowe, które odkryło w nich dążenie do podporządkowania sobie Polski przez Hitlera.

Jednak nawet gdyby przyjąć, że do kierownictwa państwowego docierały podstawowe informacje o rzeczywistej treści uzgodnień Becka z Ribbentropem, to wydaje się, że kiedy w końcu października 1938 roku główni decydenci otrzymali wiadomość, iż pierwszym punktem porozumienia z Niemcami ma być zgoda na włączenie Gdańska do Rzeszy, odebrano to – w opisanej euforycznej atmosferze – jako klęskę Polski. Ówczesne poczucie triumfu i mocarstwowości (przy niewątpliwej wiedzy tych decydentów, co do tego, że Polska ma objąć protektoratem Słowację) prowadziło kierowników nawy państwowej do zatracenia poczucia najbardziej elementarnej racjonalności w relacjach z Niemcami.

Widać to wyraźnie po postawie samego marszałka. Jeszcze w połowie września 1938 roku głosił wszem i wobec, iż nie widzi w jakiejkolwiek perspektywie wojny z Niemcami. Jednak już miesiąc później wyznawał

biskupowi polowemu Józefowi Gawlinie, że jest gotowy bić się Niemcami nawet „na wariata".

Wydaje się, że ta irracjonalna wolta generalnego inspektora, który nie dopuszczał myśli o „oddaniu Gdańska Niemcom", spowodowała, iż w kolejnych tygodniach Beck został zmuszony do wycofania się z własnych, zaakceptowanych już w istocie przez Niemców, propozycji *Globallösung*. Marszałek wytworzył w następnych tygodniach i miesiącach wyjątkową presję na konfrontację z Niemcami, a dogodnym dlań pretekstem było suponowanie, iż polityka Becka prowadzi właśnie do „oddania" Hitlerowi Gdańska. Niewykluczone, że jakąś rolę w tym swoistym naprężeniu muskułów przez Śmigłego-Rydza odegrały francuskie kręgi wojskowe. To one intensywnie w tym czasie oddziaływały kanałami sztabowymi i wywiadowczymi na generalnego inspektora oraz dowództwo armii, sugerując konieczność wspólnego powstrzymania rosnącego zagrożenia niemieckiego.

Ozonowa propaganda wzmacniała pozycję marszałka, coraz silniej suflując opinii publicznej, że Polska jest gotowa do wojny o Gdańsk. W praktyce oznaczało to zamknięcie Beckowi drogi do jakiegokolwiek dalszego poszukiwania kompromisu. W kolejnych miesiącach będzie on jeszcze usiłował wybrnąć z tej absurdalnej sytuacji i przywrócić polskiej polityce cechy racjonalności w tej materii. Ale nie zdołał – wskutek także kolejnych błędów, jakie sam popełnił w tej niezwykle nerwowej atmosferze – już tego uczynić.

Stosunki polsko-niemieckie, za sprawą strony polskiej, wjechały w końcu października 1938 roku na równię pochyłą. Nie było już siły, która zdołałaby powstrzymać coraz szybszą ich destrukcję.

Dotykamy w tym miejscu – to problem trzeci – kwestii jak się zdaje najważniejszej, a dotąd całkowicie pomijanej jako istotny czynnik mający wpływ na przebieg interesującej nas rozgrywki. Odegrała ona kluczową rolę zarówno w interesującym nas okresie, jak w i krytycznym momencie pół roku później, kiedy to zapadły po stronie polskiej decyzje o podjęciu przygotowań do wojny z Niemcami.

Oto bowiem druga połowa 1938 roku przyniosła Polsce ostrą rozgrywkę wewnętrzną w obrębie obozu sanacyjnego. Prezydent RP Ignacy Mościcki formalnie skończyć miał swoją kadencję w kwietniu 1940 roku, jednak z uwagi na coraz bardziej szwankujące zdrowie, oczekiwano że złoży on urząd wcześniej. Prezydentura – najważniejszy urząd w państwie pod

rządami konstytucji kwietniowej – była w sposób oczywisty przedmiotem owej walki politycznej. Wbrew dość upowszechnionej opinii, sukcesja tego urzędu przez marszałka nie była ani dość oczywista, ani powszechnie akceptowana nawet, a może przede wszystkim, w samym obozie rządzącym. Wydaje się, że po zaolziańskiej wiktorii, marszałek cieszył się o wiele większym poparciem w społeczeństwie niż we własnym obozie. I tu dotykamy, jak się zdaje, istoty sprawy.

Przypomnieć należy, że zgodnie z przepisami nowej Konstytucji, wyboru nowego prezydenta dokonywać miało Zgromadzenie Elektorów. W jego skład wchodziło pięciu tzw. wirylistów (marszałkowie sejmu i senatu, premier, generalny inspektor sił zbrojnych oraz Pierwszy Prezes Sądu Najwyższego) oraz 75 przedstawicieli parlamentu (50 wybranych przez sejm i 25 wybranych przez senat). Wybraniec zgromadzenia, o ile uzyskał bezwzględną większość głosów, stawał się Prezydentem RP, chyba że kończący urzędowanie prezydent wskazał innego kandydata. W takiej sytuacji przewidywano przeprowadzenie wyborów powszechnych pomiędzy tymi kandydatami.

W realiach 1938 roku konsekwencje tych stypulacji konstytucyjnych wyznaczały przebieg wydarzeń. Przypomnieć należy, że znacząca część obozu sanacyjnego ciągle pamiętała o tym, iż prezydent Mościcki (m.in. pod naciskiem Śmigłego-Rydza) nie złożył urzędu w 1935 roku (tak jak od niego oczekiwano i do czego zobowiązywał go marszałek Piłsudski[96]). Zamknął on tym samym drogę do tego urzędu płkownikowi Waleremu Sławkowi. Co więcej, pod wpływem rozgrywek wicepremiera Kwiatkowskiego, prezydent Mościcki zawarł swoiste porozumienie ze Śmigłym-Rydzem, mocą którego zobowiązywał się do wskazania po zakończeniu swojej kadencji właśnie marszałka jako swojego następcy[97]. Osłabienie

[96] Zob. szerzej W. Pobóg-Malinowski, *Najnowsza historia polityczna Polski 1918–1938*, t. 2, Londyn 1956–1960, s. 769–790. Co do oczekiwań Piłsudskiego w tym zakresie nikt nie mógł mieć najmniejszych wątpliwości. Prezydent jednak, inspirowany przez Kwiatkowskiego, który zawarł taktyczny sojusz z nowym generalnym inspektorem, robił wszystko, by utwierdzić Mościckiego w przekonaniu, że łamanie woli marszałka Piłsudskiego jest uzasadnione ogólną sytuacją kraju. Prezydent ciągle jednak miał wyrzuty sumienia, bowiem mimo tych podsuwanych mu intensywnie „racji", miał świadomość tego, że wywraca w najważniejszym punkcie porządek planowany przez swojego wielkiego mentora.

[97] *Ibidem*. Pobóg-Malinowski wskazuje, że obóz pułkowników, wskutek niezdecydowania Sławka, zaskoczony został tym współdziałaniem Kwiatkowskiego z otoczeniem Śmigłego-Rydza. Kwiatkowski, dążąc do wzmocnienia swojej pozycji i dążąc do objęcia funkcji premiera, wymógł na Mościckim zgodę na zaakceptowanie Sławoja Składkowskiego jako przejściowego,

zdrowia prezydenta w 1938 roku zmobilizowało głównych aktorów zdarzeń do działania.

22 czerwca 1938 roku płk Sławek, po kilku latach swoistego zdystansowania się od bieżącej polityki, wszedł ponownie do gry, obejmując urząd marszałka sejmu. Pamiętać należy, że jakkolwiek już w tym momencie nie był on szefem Bezpartyjnego Bloku Wspierania Rządu[98], to jednak właściwie komplet składu obu izb pochodził w znacznym stopniu jeszcze z jego namaszczenia jako szefa BBWR[99]. W praktyce oznaczało to, że sejm i senat zdominowane przez ludzi płka Sławka oraz płka Aleksandra Prystora (jego bliskiego współpracownika, ówcześnie marszałka senatu), dokona wyboru 75 elektorów, którzy w praktyce wyłonią Prezydenta RP. W świetle napiętych ówcześnie relacji obozu prezydenta RP („Zamku") ze środowiskiem zwolenników generalnego inspektora było to raczej oczywiste. Płk Sławek w tej sytuacji mógł skądinąd spokojnie oczekiwać nawet dokończenia kadencji prezydenta w kwietniu 1940 roku, bowiem kadencja obu izb wygasała we wrześniu 1940 roku. Z jego punktu widzenia sytuacja komplikowała się po ewentualnych kolejnych wyborach, bowiem po rozwiązaniu BBWR dominację w izbach parlamentarnych musieli przejąć ludzie marszałka, którzy stworzyli Obóz Zjednoczenia Narodowego, będący jedyną polityczną organizacją całego obozu rządzącego.

Dla Śmigłego-Rydza oczekiwanie na taki rozwój wypadków mogło oznaczać całkowitą klęskę. Wprawdzie prezydent Mościcki zapewniał go o lojalności wobec przyjętych jesienią 1935 roku ustaleń, ale przecież tenże sam Mościcki podobne zobowiązania składał wobec samego marszałka Piłsudskiego. I tychże zobowiązań nie wykonał, więc nie mogło to dawać Śmigłemu-Rydzowi poczucia pewności. Tym bardziej, że wicepremier

słabego premiera. Co jednak istotne dla naszych rozważań, w tych rozgrywkach wewnętrznych w obozie sanacyjnym na jesieni 1935 roku i w 1936 roku, głównym graczem po stronie pułkowników stał się właśnie Beck. To on usiłował – bezskutecznie – pobudzić do działania Sławka, to jego opór, wręcz szantaż dymisją i komplikacjami na terenie międzynarodowym wobec prezydenta i Śmigłego-Rydza powodowały, że ówczesne porozumienie o następstwie na urzędzie prezydenta pozostało ścisłą tajemnicą, choć i Sławek i Beck domyślali się istoty współpracy tych konkurencyjnych środowisk.

98 BBWR jako polityczna reprezentacja obozu pomajowego powstał w 1926 roku. Został rozwiązany po politycznie nieudanych dla sanacji wyborach w 1935 roku, mimo tego że właściwie wszyscy posłowie w ówczesnym sejmie i senacie (poza przedstawicielami mniejszości narodowych) weszli do izb z list tej formacji.

99 Oczywiście klub BBWR w sejmie i w senacie był dość mocno zróżnicowany, jednak niewątpliwie to właśnie pułkownicy dysponowali w tamtym momencie największymi możliwościami, aby w korzystny dla Sławka sposób zdecydować o składzie Zgromadzenia Elektorów.

Kwiatkowski, będący niewątpliwie liderem obozu zamkowego, kalkulujący już wyraźnie na swoją własną przyszłość polityczną po odejściu Mościckiego, ewidentnie reorientował swoje środowisko współpracę z pułkownikami[100].

W tych warunkach do rangi kluczowej dla obozu generalnego inspektora urastało uniezależnienie się od chwiejności decyzji Mościckiego. Gwarancję udziału w walce o urząd prezydenta dawało wyłącznie przejęcie kontroli nad obiema izbami parlamentu. Stąd pod koniec lata 1938 roku, mimo początkowych wahań, Śmigły-Rydz zaakceptował inicjatywę rozwiązania izb parlamentarnych i przeprowadzenia już jesienią wyborów[101]. Ponieważ polityczną organizacją obozu rządzącego był już wtedy OZN, którym kierowali ludzie marszałka, było oczywiste że w najgorszym razie, a więc na wypadek desygnacji przez prezydenta innego kandydata, to on stanie do walki o prezydenturę w wyborach powszechnych.

To dlatego zajęcie Zaolzia stało się tak ważnym czynnikiem w działaniach Śmigłego-Rydza. Wykorzystał on euforyczną atmosferę do wmówienia elicie sanacyjnej, że warto legitymizować parlament wysokim poparciem społecznym. Tak się stało w istocie, ale jednocześnie zdołał on całkowicie zmienić w konsekwencji wyborów oblicze obu izb. Dzięki temu mógł być już pewien, że to właśnie jego wskażą Elektorzy wybrani przez jego ludzi. Natomiast podgrzewanie atmosfery wojennej, prężenie muskułów wobec Litwy czy Niemiec, było już oczywistą grą wyborczą, obliczoną wyłącznie na ewentualną konfrontację ze Sławkiem w wyborach powszechnych.

Pułkownik Beck, jako osoba w oczywisty sposób powiązana ze Sławkiem i właściwie realny lider „pułkowników", musiał w tej atmosferze ostrej walki politycznej lawirować w relacjach z Niemcami. W ten sposób stała się rzecz z punktu widzenia dyplomacji najgorsza. Ukształtowanie relacji z Niemcami w najbardziej krytycznym momencie negocjacji zostało uzależnione od wewnątrzpolskiej walki politycznej o najwyższy urząd w państwie. Nie mogło to przynieść dobrych rezultatów, a Beck był wyraźnie rozdwojony w swych poczynaniach. Każde bowiem posunięcie na odcinku

[100] W. Pobóg-Malinowski, *op.cit.,* s. 852–855. Znakomicie zorientowany w wewnętrznych stosunkach w obozie pomajowym Pobóg-Malinowski w ledwo zawoalowany sposób suponuje, że Kwiatkowski w tym czasie prowadził już nie tylko grę o swoje przyszłe premierostwo, ale mierzył w najwyższy urząd w państwie.

[101] *Ibidem*.

niemieckim musiało być rozważane w kontekście ewentualnej walki jego mentora płka Sławka z marszałkiem Śmigłym-Rydzem. Jest też w najwyższym stopniu oczywiste, że Niemcy świadomi byli tych skomplikowanych wewnętrznych uwarunkowań polskich, co ciągle znajduje wyraz w relacjach z kolejnych spotkań i negocjacji. Co istotne, przez wiele miesięcy podchodzili do tych problemów z najdalej idącą wyrozumiałością. To jeszcze jeden dowód na to, iż stworzona *ex post* koncepcja rozpoczęcia przez Ribbentropa w październiku 1938 roku gry, której pozornym celem miało być odebranie Polsce Gdańska, Pomorza i zwasalizowanie jej, a prawdziwym militarne rozbicie Polski, jest pozbawiona racjonalnych podstaw.

Powtórzmy zatem, że w zaistniałej sytuacji, świadom ograniczeń wynikających z przebiegu wydarzeń wewnętrznych, płk Beck chciał z Niemcami poruszone kwestie jeszcze negocjacyjnie kontynuować. Jednak postanowił wykazać się większym zdecydowaniem. Sądził, że w ten sposób, nie tylko zniechęci ich do ewentualnych dalszych, silniejszych nacisków na stronę polską, których całkiem poważnie się spodziewał. Tę swoją twardość wobec Niemców chciał też niewątpliwie zdyskontować w grze wewnętrznej. Problem polegał jednak na tym, że Niemcy wcale nie mieli zamiaru „dociskać" ani Becka, ani Polaków i byli gotowi cierpliwie czekać na pozytywną ewolucję strony polskiej, to znaczy zaakceptowanie przez nią swoich własnych propozycji. Więcej nawet, gotowi byli odstąpić od swoich oczekiwań na bliżej nieokreśloną przyszłość za cenę utrzymania niezwykle dla nich korzystnej współpracy z Polską. Tyle tylko, że strona polska nie chciała tego w ogóle dostrzec.

Pułkownik Beck miał też nadzieję, że uzgodnione w istocie z Niemcami stopniowe włączenie Gdańska do Rzeszy zostanie przynajmniej odsunięte w czasie, a przez to, być może, pojawi się jakaś nowa formuła, która pozwoli przekonać do tego rozwiązania marszałka i otumanioną polską opinię publiczną. Albo też doprowadzi do zmiany stanowiska Niemców w kierunku bardziej dla polskiej opinii wewnętrznej strawialnej formuły. Nie przewidział chyba jednak tego, że problem ten stanie się przedmiotem gwałtownej wewnętrznej rozgrywki politycznej i to w kontekście coraz bardziej spodziewanych powszechnych wyborów prezydenta Rzeczypospolitej. To właśnie ten kontekst powodował, że sprawa Gdańska zaczynała się wymykać z możliwości racjonalnego uregulowania.

Przesłane zatem kilka dni później, 31 października 1938 roku, instrukcje[102] dla ambasadora Lipskiego, wskazując na konieczność podejścia do problemu Gdańska „w duchu szczerości", silnie jednocześnie podkreślały polskie stanowisko, w myśl którego „każda próba włączenia Wolnego Miasta Gdańska prowadzi do konfliktu". Wtedy to powstała w MSZ jakaś alternatywna koncepcja uregulowania sprawy gdańskiej, idea współprotektoratu Polski i Niemiec nad Wolnym Miastem. Już samo postawienie tego, wcześniej już rozważanego, wariantu bez koniecznych w takiej sytuacji propozycji szczegółowych dowodziło, że była to raczej koncepcja wrzucana Niemcom *ad hoc*, dla zdobycia czasu i odwrócenia ich uwagi od wcześniejszych, obopólnie akceptowanych propozycji.

Jeśli jednak Beck rzeczywiście sądził (jak twierdził później), że Niemcy są zdecydowani na konfrontację z Polską na tle rozwiązania sprawy gdańskiej, to kolejne spotkania i rozmowy powinny to przeświadczenie poddać zasadniczej weryfikacji.

Ambasador Lipski rozmawiał z Ribbentropem po raz kolejny 18 listopada 1938 roku. Przedstawił on podczas tego spotkania nową propozycję Becka, której treść tenże zawarł w stosownej instrukcji[103]. Pisał w niej polski minister, że:

> *kwestia Wolnego Miasta jest pilna.* (...) *Rząd Polski proponuje zastąpienie gwarancji Ligi Narodów i jej prerogatyw przez obustronne polsko-niemieckie porozumienie.*

---

[102] Instrukcja ministra Becka dla ambasadora Lipskiego w sprawie żądań niemieckich [w:] *Polska w polityce międzynarodowej* (*1939–1945*). *Zbiór dokumentów*, Warszawa 1989, s. 21–24. W punkcie siódmym Beck pisał: „Biorąc pod uwagę powyższe czynniki i pragnąc osiągnąć stabilizację stosunków przez przyjazne porozumienie z Rządem Rzeszy Niemieckiej, Rząd Polski proponuje zastąpienie gwarancji Ligi Narodów i jej prerogatyw przez obustronne polsko-niemieckie porozumienie. Porozumienie powinno gwarantować istnienie Wolnego Miasta Gdańsk dla zapewnienia swobody życia narodowego i kulturalnego jego niemieckiej większości, a także powinno gwarantować wszelkie polskie prawa. Pomimo komplikacji wiążących się z takim układem Rząd Polski musi oświadczyć, że także inne rozwiązanie, a szczególnie każda próba włączenia Wolnego Miasta Gdańsk do Rzeszy musi nieuchronnie prowadzić do konfliktu, to zaś przybrałoby postać nie tylko lokalnych trudności, lecz zawiesiłoby wszelką możliwość polsko-niemieckiego porozumienia we wszystkich jego aspektach". O propozycji nowej formy protektoratu nad Gdańskiem jeszcze będę pisał. Stanowisko polskie ambasador Lipski zaprezentował Ribbentropowi podczas spotkania 19 listopada 1938 roku. Jest charakterystyczne, że niemiecki minister nie naciskał zbytnio na pozytywne przyjęcie przedstawionych sugestii. W. T Kowalski, *op.cit.*, dok. 5.

[103] *Polska w polityce...*, s. 22–24.

Istotą tego porozumienia miało być zagwarantowanie

> *istnienia Wolnego Miasta Gdańska dla zapewnienia swobody życia narodowego i kulturalnego jego niemieckiej większości.*

Tak więc zamiast zaakceptowanej wcześniej przez stronę polską koncepcji likwidacji odrębności Wolnego Miasta poprzez jego włączenie do Rzeszy, ale w ramach szerszego uregulowania relacji polsko-niemieckich, Beck obecnie proponował utrzymanie tego tworu pod wspólnym polsko-niemieckim protektoratem. Jednocześnie, wbrew wcześniejszym uzgodnieniom ze stroną niemiecką, Beck obecnie wykluczał pełnię praw politycznych Niemców w Gdańsku, a więc co za tym idzie w praktyce, prawo do samostanowienia mieszkańców Gdańska.

Najważniejszym jednak *novum* wynikającym z tej rozmowy było, że to właśnie Beck sprowadził tym samym kwestie uporządkowania relacji polsko-niemieckich do załatwienia sprawy gdańskiej. Był to wielki błąd. Siłą dotychczasowego stanowiska Polski było właśnie to, że wyszła z inicjatywą *Globallösung*. To w ramach szerszego podejścia Polska mogła uzyskać od Niemiec znacznie więcej i to właśnie, przede wszystkim, w kwestii gdańskiej. Sprowadzenie wzajemnych problemów do poszukiwania jakiejś nierealnej koncepcji współprotektoratu burzyło wypracowaną, silną pozycję Polski w tych negocjacjach. Być może jednak – znowu w kontekście rozgrywki wewnętrznej – Beck sądził, że Niemcy zgodzą się, choćby nawet przejściowo, na nowo proponowany wariant współprotektoratu. Gdyby tak było, to byłby to jego wielki sukces. Z jednej bowiem strony oznaczać to mogło faktycznie poszerzenie polskiego wpływu na sytuację w Gdańsku i wiązało się ze znacznym ograniczeniem swobody Niemców w Wolnym Mieście, z drugiej zaś strony całkowicie wytrącało oręż obozowi marszałka, który nie miał już w takiej sytuacji przed kim bronić Gdańska.

Nie może dziwić, że stanowisko to wywołało w początkowej fazie irytację Ribbentropa[104], choć znowu nie mamy ostatecznej pewności co do tego, w jakiej formie Lipski przedstawił mu dyspozycje Becka[105]. Co za tym

[104] Ribbentrop przede wszystkim zirytowany był szybkim wycofaniem się Polaków z dopiero co, w jego ocenie, uzgodnionych wspólnie stanowisk. Ponadto miał świadomość, że niedookreślona polska propozycja w istocie oznaczać będzie konieczność ograniczenia samowoli niemieckiej w Gdańsku. A jednocześnie, ze względów propagandowych, trudno byłoby Niemcom tłumaczyć, że bliższa im jest jednak formuła dotychczasowa, firmowana przez zwalczaną przez nich Ligę Narodów. W tym kontekście zagrywka Becka była bardzo trafna.

[105] W relacjach niemieckich wskazuje się, że Lipski „niejasno" mówił o poważnych dla stosunków polsko-niemieckich następstwach włączenia Gdańska do Rzeszy. Jednak wynika

idzie, nie możemy definitywnie rozstrzygnąć, czy instrukcja była skierowana bardziej do odbiorców wewnętrznych i dlatego Lipski nie przedstawił Ribbentropowi żądań Becka *expresis verbis*, czy do samych Niemców. Ale nawet jeśli Lipski w porozumieniu (czy nawet bez porozumienia) z Beckiem świadomie ograniczył się jedynie do werbalnego zreferowania nowego stanowiska Polski a nie przekazał pisemnie nowej formuły porozumienia, to i tak musiało to zirytować Ribbentropa. Trudno było bowiem Niemcom zrozumieć, dlaczego Polacy wycofują się, i to tak szybko, z własnych propozycji, które strona niemiecka dopiero co zaakceptowała. Szybko jednak zrozumieli, że takie postawienie stanowiska przez Polaków, zakładając oczywiście, iż ci nie będą parli do konfrontacji militarnej, stawia ich ostatecznie w zdecydowanie lepszej sytuacji negocjacyjnej już choćby tylko dlatego, że z łatwością mogli wyzyskać deklarowane kilka tygodni wcześniej pozytywne stanowisko Anglii dla swoich interesów w Wolnym Mieście. Mieli zatem pewność, iż przy wyrażonej wyraźnie zgodzie Anglii na rozwiązanie sprawy gdańskiej, w końcu uzyskają od Polaków satysfakcjonujące rozwiązanie.

Znowu można dodać tu uwagę, że gdyby choć takie propozycje Beck składał jeszcze na początku 1938 roku, Niemcy zapewne przyjęliby je, tak jak przyjmowali w praktyce wszystkie propozycje polskie. Jest jednak oczywiste, że w sytuacji, gdy strona polska przez ponad pół roku sprawiała wrażenie, iż jest gotowa zaakceptować prawo do samostanowienia ludności gdańskiej (co musiało w sposób oczywisty oznaczać włączenie Wolnego Miasta do Rzeszy) i w kontekście tego uzgodnione zostały inne, najważniejsze elementy porozumienia, jej nagłe wycofanie się z takiego stanowiska musiało być zaskakujące.

Wskazać tu również należy na fakt, iż właśnie w tym momencie płk Beck, zwłaszcza jak się zdaje na użytek opinii krajowej, zaczął stwarzać wrażenie, że stanowisko przekazane w rozmowie październikowej przez Ribbentropa nie jest stanowiskiem Hitlera. Dopiero zatem kanclerz, który miał więcej sympatii dla Polski niż minister spraw zagranicznych Rzeszy, ustalić miał właśnie z nim ostateczne ramy porozumienia. Dlatego też nakazał Lipskiemu podkreślenie, że ten przekazuje stanowisko „rządu

z nich wyraźnie, że nie przekazał on w całości stanowiska polskiego w formie pisemnej, a jedynie omówił je ogólnie, zaś strona niemiecka sporządziła jedynie swoje notatki na ten temat. Odbiegają one od przekazu Lipskiego relacjonującego tę rozmowę, zob. S. Żerko, *Stosunki...*, s. 173.

polskiego", pod którym to pojęciem rozumiał wszystkie (włącznie z marszałkiem) ośrodki kierownicze państwa[106]. I w tym wypadku przekaz dla Niemców miał być czytelny. Twarde są stanowiska Ribbentropa i „rządu polskiego", a elastyczni są Beck i Hitler, zatem to oni będą mogli doprowadzić do ostatecznego porozumienia. Od tej chwili Beck, koncentrował się wyłącznie na zaplanowanym na początek stycznia 1939 roku spotkaniu z Hitlerem, zakładając jego rozstrzygający charakter.

Pojawił się jednak nowy problem. Otóż Anglicy i Francuzi, ciągle poszukujący możliwości wbicia klina pomiędzy Polskę a Niemcy, postanowili, że do końca stycznia 1939 roku Liga Narodów podejmie ostateczne decyzje w sprawie opuszczenia Wolnego Miasta. Dla Polski wytworzenie próżni po wyjściu Ligi z Gdańska mogło być skrajnie niebezpieczne. Brak porozumienia z Niemcami w obliczu niewątpliwej proklamacji włączenia do Rzeszy Gdańska przez jego uwolnionych od nadzoru międzynarodowego mieszkańców byłby dla Polski katastrofą. O ile koła wojskowe naiwnie sądziły, że w drodze jakiejś operacji na wzór zaolziańskiej włączą Gdańsk do Polski, o tyle Beck rozumiał, że takie rozwiązanie pogrążyłoby ostatecznie Polskę. Dążył zatem z jednej strony do rozmówienia się z Hitlerem, ale na wszelki wypadek podjął – jak się okazało skuteczne – działania, aby odwlec decyzję Ligi Narodów. Niemniej presja tego zagrożenia wpływała niewątpliwie na nerwowość strony polskiej.

Niemcy jednak szybko ochłonęli z irytacji po spotkaniu Ribbentropa z Lipskim i już kilka dni później dali czytelny sygnał, że chcą dalej spokojnie negocjować. Wydaje się, że znowu zadziałała tu – w tym sensie Beck się nie mylił – sympatia Hitlera do Polski, ale również świadomość tego, że czas gra na korzyść Niemców. Niewątpliwie pod wpływem odpowiednich sugestii z Berlina, 22 listopada 1938 roku, ambasador Moltke zapewniał w rozmowie w Warszawie ministra Becka, że w opinii Ribbentropa:

> *stosunki polsko-niemieckie* (...) *to kapitał, który zdał egzamin i uratował pokój* (...). *Minister przywiązuje nadal największą wagę do dobrych stosunków polsko-niemieckich*.

[106] Beck, zarówno w relacjach ze swoimi współpracownikami z MSZ, jak i wobec partnerów zewnętrznych, używał określenia „rząd polski" dla odróżnienia od jego własnego stanowiska. Tłumaczył Szembekowi kilka lat wcześniej, że pojęcia tego używa, żeby „dać do zrozumienia, iż chodzi tu o wszystkie czynniki decydujące [including] gen. Rydza-Śmigłego". Zob. *Diariusz...*, t. 2, s. 248. Niemcy ten swoisty „kod" Becka dobrze znali.

Podkreślił też, że minister Ribbentrop w pełni rozumie, że:

> *Gdańsk jest zagadnieniem, w którym stanowisko Polski jest zdecydowane*
> *i że Polska nigdy nie zgodzi się na radykalne jego załatwienie. Ambasador cieszy się, że po rozmowie z Lipskim jego Minister należycie to zrozumiał*[107].

Wydaje się, że Niemcy przekazali tym samym niezwykle poważny sygnał, iż są gotowi sprawę gdańską w formule inkorporacyjnej odłożyć w czasie. Podkreślenie przez Moltkego, że jest to stanowisko samego Ribbentropa, powinno też uspokajać Becka. Skoro podkreślał, że rozumie to Ribbentrop, to tym bardziej musiał to rozumieć sam Hitler.

Można więc powiedzieć, że Beck niezwykle szybko i skutecznie wycofał się z uzgodnionych wstępnie stanowisk, a tym samym uzyskał pole do dalszych rozgrywek. Trudno zatem przecenić znaczenie tych dwóch rozmów. I znowu trzeba dodać, że Beck odniósł kolejny, wielki sukces negocjacyjny. Niemcy mimo wszystko zadeklarowali wycofanie się w nieokreśloną przyszłość z formuły inkorporacyjnej w sprawie Gdańska i dalej chcieli budować pozytywne relacje. Wprawdzie zamysł przeprowadzenia *Globallösung* się nie powiódł, ale Polska wychodziła z tych negocjacji niewątpliwie wzmocniona. W nowej sytuacji strategicznej było to niezwykle ważne, dawało pewne poczucie bezpieczeństwa i pozostawiało pole manewru na przyszłość. Beck, choć nie załatwił spraw spornych po swojej myśli, to jednak nie utracił ani milimetra z polskich pozycji. Więcej, skutecznie uwrażliwił Niemców na konieczność respektowania nastrojów polskiej opinii publicznej oraz nastrojów kół wojskowych. Wykorzystał więc znakomicie argumenty, którymi dotąd niezwykle zręcznie posługiwał się w swoich rozgrywkach Hitler. Może zresztą właśnie dlatego Niemcy tak szybko zrozumieli racje przedstawiane im przez Becka i Lipskiego.

Dowodzi tych konstatacji kolejne, niezwykle szybkie potwierdzenie stanowiska niemieckiego. 15 grudnia 1938 roku Ribbentrop przyjął ambasadora Lipskiego i podczas tej rozmowy zapytał jedynie o stosunek Polski do ewentualnej kwestii autostrady[108]. Trzymając się jednak deklaracji

[107] Instytut Polski i Muzeum im. gen. W. Sikorskiego (dalej IS), Akta MSZ A. 11. 49/n.7. Notatka z rozmowy Becka z ambasadorem von Moltke z 22 listopada 1938 roku.

[108] Raport ambasadora Lipskiego z rozmowy z ministrem Ribbentropem, odbytej 15 grudnia 1938 roku, *Diariusz*..., s. 450–454. Tu warto zauważyć, że ponowne propozycje niemieckie Ribbentrop prezentował wraz z wizją wspólnej akcji przeciw Związkowi Sowieckiemu i perspektywami łupów na Ukrainie. Można uznać, że była to swoista odpowiedź na nie do końca

złożonych kilka tygodni wcześniej przez swojego warszawskiego ambasadora, do sprawy Gdańska („musi nieuchronnie prowadzić do konfliktu"), w żaden sposób nie nawiązywał. Strona polska dostała jeszcze bardziej czytelny sygnał, iż Niemcy są jednak gotowi cierpliwie czekać na uspokojenie sytuacji, jaka powstała w Polsce wokół tego zagadnienia.

W rzeczywistości pod koniec roku 1938 Beck był raczej optymistą i zakładał, że możliwe będzie dalsze prowadzenie negocjacji, których ostatecznym celem pozostawało jednak *Golballösung*. Przeczy to tym bardziej, sformułowanym w sposób najzupełniej oczywisty *ex post,* ocenom rozmowy październikowej. Być może wtedy też powstał wstępny projekt posuwania się drobnymi krokami w celu rozwiązywania problemów polsko-niemieckich. Była to zatem radykalna zmiana koncepcji, odejście od dotychczasowego pojmowania *Globallösung* jako jednorazowego rozwiązania, na rzecz załatwiania – dzięki dobrej atmosferze – kolejnych drażliwych spraw.

Był to chyba pomysł zdecydowanie lepszy niż sprowadzanie relacji polsko-niemieckich wyłącznie do rozwiązania sprawy gdańskiej. Wydawało się, że Beck szybko zrozumiał, iż nie jest to dobra droga. Dlatego planował, że podczas zbliżającej się w Warszawie wizyty Ribbentropa, ten potwierdzi stanowisko Hitlera, w myśl którego sprawa Gdańska nie miała być powodem konfliktu polsko-niemieckiego. Ze strony polskiej gotów był natomiast zaoferować Niemcom dalsze udogodnienia w tranzycie do Prus Wschodnich[109].

Z całą jednak pewnością przygotowania do spotkania z Hitlerem na początku 1939 roku nie odbywały się w jakiejkolwiek nerwowej atmosferze, a już zwłaszcza w poczuciu postawionego wcześniej Polsce ultimatum i pod presją żądania, bez mała bezwarunkowej polskiej kapitulacji. Nie ulega wątpliwości, że tworzenie takiej atmosfery wokół tego spotkania oraz okresu je poprzedzającego jest wytworem bujnej fantazji oraz pisanych *ex post* relacji i wspomnień i nie znajduje żadnego wyrazu w równoległych dokumentach dyplomatycznych, obu zresztą stron.

jasną inicjatywę jednego z bliższych współpracowników Becka – dyrektora departamentu w MSZ Kobylańskiego, który w połowie listopada 1938 roku w rozmowie z urzędnikami ambasady niemieckiej w Warszawie sugerował możliwość wspólnej akcji polsko-niemieckiej przeciw Sowietom (zob. S. Żerko, *op.cit.,* s. 129). Być może zatem Niemcy uznali to za zachętę dla siebie, a znając wyczulenie strony polskiej na swe zaangażowanie w sprawy ukraińskie przyjęli, że porzucenie tego kierunku i wspólna akcja przeciw Rosji zachęca Becka do cesji na ich rzecz w Gdańsku. W tej perspektywie propozycje Ribbentropa nabierają zupełnie nowego wyrazu.

[109] *Diariusz...*, t. 4, s. 377.

Beck spotkał się z Hitlerem w Berchtesgaden 5 stycznia 1939 roku[110] (następnego dnia rozmawiał już tylko z samym Ribbentropem). Wiemy, że skutkiem właśnie tego spotkania była – natychmiast po powrocie Becka do Warszawy – słynna narada na Zamku z udziałem prezydenta, premiera i marszałka, przedstawiana później przez samego Becka jako punkt zwrotny w polityce polskiej i oczywista konsekwencja rzekomego październikowego ultimatum. Jednocześnie Beck sugerował, że powodem tak radykalnej zmiany myślenia o niemieckim partnerze było to, iż ten przestał być obliczalny, a jego żądania dotyczące Gdańska i korytarza prowadzą do wojny.

Jest oczywiste, że stanowisko niemieckie w tych dwóch kwestiach było znane stronie polskiej już od wielu miesięcy. Nawet jeśli przyjąć, w co jednak należy wątpić, że stanu negocjacji polsko-niemieckich w ciągu 1938 roku nie znali prezydent i premier, to z pewnością był w ich ogólnym przebiegu w pełni zorientowany marszałek. A więc w tej materii nic zaskakującego w Berchtesgaden stać się nie mogło, bo przecież po stronie niemieckiej nie pojawiły się wtedy żadne nowe, nieznane Beckowi okoliczności czy propozycje w sprawach polsko-niemieckich.

Coś się jednak stało i z pewnością wstrząsnęło to Beckiem, który po powrocie do Warszawy postawił do spółki z marszałkiem (a takie współdziałanie nie zdarzało się często) w stan gotowości wojennej Rzeczpospolitą. I na pewno nie była to ani sprawa Gdańska, ani korytarza. Tu bowiem sam Beck wcześniej sformułował koncepcję drobnych kroków, a okazją do postawienia ich miała być dopiero wizyta Ribbentropa w Warszawie. Jeżeli zatem konkurujące ze sobą środowiska sanacyjne zgodnie postanowiły, że należy rozpocząć przygotowania do wojny z Niemcami, musiało się wydarzyć rzeczywiście coś, co miało wyjątkową wagę.

---

[110] W sporządzonej przez wiceministra Szembeka notatce na podstawie relacji ambasadora Lipskiego z rozmowy min. Becka z kanclerzem Hitlerem, odbytej 5 stycznia 1939 roku, zapisano: „Przechodząc (...) do spraw gdańskich, kanclerz podkreślił, że cała trudność polega na tym, że jest to miasto niemieckie. I tu rzucił dość wyraźną aluzję, że kiedyś Gdańsk powróci do Rzeszy. Twierdził, że to jednak w niczym nie ścieśni wszelkich uprawnień Polski w Gdańsku i zapewnił, że w żadnym razie Rzesza nie zaskoczy nigdy Polski faktami dokonanymi. Zaznaczył, że – jego zdaniem – można by na drodze wspólnego porozumienia znaleźć jakieś wyjście z sytuacji i osiągnąć jakąś formę zabezpieczenia słusznych interesów tak Polski, jak i Niemiec. Gdyby udało się w tej sprawie dojść do porozumienia, to można by zupełnie i definitywnie wyczyścić i usunąć wszelkie trudności między obu państwami (...). Na to dictum [stanowczą odpowiedź Becka – wyj. moje – G. G.] Hitler nieco się cofnął ze swego stanowiska i zaczął mówić o możliwości znalezienia takich rozwiązań, które mogły zabezpieczyć słuszne interesy tak Niemiec, jak i Polski", *Diariusz...*, t. 4, s. 463–465. Podobne spostrzeżenia na temat tej rozmowy zanotował P. Schmidt.

Co istotne, spotkanie z Hitlerem, wbrew dotychczasowej praktyce relacji polsko-niemieckich, odbywało się w szerszym gronie. Obecni byli, oprócz kanclerza, obaj ministrowie spraw zagranicznych, obaj ambasadorowie oraz po dwóch dyplomatów z każdej strony. Wydaje się, że Niemcy proponując taką właśnie formę spotkania, postanowili iść o krok dalej, praktycznie realizując, będącą jeszcze w fazie negocjacji, klauzulę konsultacyjną.

Już jednak sama taka właśnie konwencja spotkania wprowadziła po stronie polskiej pewną nerwowość. Beck bowiem był nie tylko przewrażliwiony na punkcie tajemnicy negocjacji, ale również nie cierpiał spotkań w tak szerokim gronie. Ponadto oczekiwał szczerej wymiany zdań z samym Hitlerem, a konwencja spotkania to uniemożliwiała. Dopiero pod koniec tego szczytu uzyskał on, „na herbatce", możliwość tego, na co szczególnie czekał – wymiany zdań z kanclerzem w cztery oczy.

Wszystko wskazuje na to, że to właśnie ta wymiana zdań przy herbacie odegrała rolę kluczową, choć szczegółowej treści tej rozmowy nie znamy. Możemy się domyślać, o co poszło, jedynie na podstawie przebiegu całego spotkania i wydarzeń dnia następnego.

Przypomnieć należy, że spotkanie to nawiązywało w swojej istocie do wcześniejszych o rok rozmów, które poświęcone były sprawie Austrii i Czechosłowacji. Wtedy to strona niemiecka i polska uzgodniły szereg najistotniejszych kwestii, przy czym – przypomnijmy – tylko nieprzygotowanie strony polskiej do poważnego negocjowania sprawy gdańskiej spowodowało, że nie udało się jej załatwić w najbardziej korzystnym dla nas kierunku.

Tamto spotkanie było też swoistym sygnałem dla opinii europejskiej, że Niemcy swoje kluczowe posunięcia uzgadniają z Polską. Kolejne spotkanie, w obliczu planowanych następnych kroków, miało to przekonanie ugruntować. Niezależnie też od jego wyników, przynajmniej do końca marca 1939 roku, taki, właśnie sposób postrzegania styczniowych konsultacji polsko-niemieckich z 1938 i 1939 roku był właściwie w Europie powszechny.

Interesujące nas spotkanie miało być poświęcone dwóm kwestiom: sprawom ostatecznego rozkładu Czechosłowacji oraz Gdańska[111]. Co szczególnie istotne, to Beck – wbrew swojej przyjętej w MSZ koncepcji drobnych kroków – wysunął, z niewiadomych powodów, ponownie na czoło kwestię gdańską. Skutkowało to – niestety – praktycznym pominięciem

[111] *Diariusz...*, t. 4, s. 463.

kwestii czechosłowackich w tej części spotkania. Wydaje się, że być może próbował on w ten sposób nadrobić to, co stracił rok wcześniej. Albo kluczowe tak naprawdę kwestie czechosłowackie wolał uzgadniać jednak z Hitlerem w cztery oczy. Ale w tym akurat momencie był to wielki, taktyczny błąd, tym bardziej, że polski minister oddał niemal całkowitą inicjatywę w tworzeniu narracji w tym punkcie kanclerzowi.

Tymczasem to mimo wszystko Niemcy potrzebowali ponownie polskiej neutralności w sprawie likwidacji Czechosłowacji, załatwienia spraw słowackich i Rusi Zakarpackiej tak, aby pogodzić Węgrów i Słowaków, nie urażając jednocześnie Ukraińców. Byli tu niewątpliwie w roli petenta, który bez polskiej pomocy mógł sprokurować niejeden wielki problem w tej części Europy. Tego zaś bardzo się obawiali, już choćby tylko dlatego, żeby nie wykroczyć poza swoisty mandat, jaki otrzymali dla swych poczynań w tej części Europy od Brytyjczyków.

Polski minister nie chciał jednak tego – podobnie jak rok wcześniej – wyzyskać. Być może uważał, iż dysponuje w tych sprawach tak mocnymi kartami, że uda mu się zrealizować polskie oczekiwania raczej w wariancie zaolziańsko-bogumińskim. Zabrakło mu chyba też intuicji i wyobraźni i nie dopuszczał myśli, że Niemcy mogą jednak dysponować jakimś rodzajem przyzwolenia dla swoich działań ze strony rządu angielskiego.

Był to wielki błąd. Minister, toczący już wtedy bezpardonowy bój wewnętrzny z marszałkiem i jego otoczeniem, bezmyślnie prącymi do wojskowej konfrontacji z Niemcami, walczył o swoje polityczne przetrwanie i dalszą możliwość prowadzenia polityki racjonalnej[112].

[112] Nie wykluczałbym też mimo wszystko, że płk Beck nie był wolny od poważniejszych własnych ambicji politycznych. Wspomniana wyżej perspektywa zakończenia kadencji przez prezydenta Mościckiego w 1940 roku i dla niego była z pewnością mocno nęcąca. Po oczywistej klęsce płka Sławka, który po listopadowych wyborach stracił chyba definitywnie szansę na prezydenturę, płk Beck mógł być „ostatnią nadzieją" obozu „pułkowników". Rywalizacja, którą toczył z marszałkiem, mogła mieć również i taki kontekst – obie strony toczyły bój o najwyższy urząd w państwie i potrzebowały sukcesów, które mogły przesądzać o ich sukcesie w oczach opinii publicznej. Konstytucja z 1935 roku przewidywała – jak wspominałem – możliwość przeprowadzenia wyborów powszechnych, w przypadku pojawienia się dwóch kandydatów. Prezydent Mościcki miał prawo wskazać kandydata niezależnie od Zgromadzenia Elektorskiego, gdzie po wyborach 1938 roku, OZON-owa większość z pewnością wskazałaby Śmigłego-Rydza. Podziały w obozie sanacyjnym czyniły taką ewentualność wysoce prawdopodobną, stąd Beck mógł upatrywać w tym swojej szansy. Marszałek i jego otoczenie, wiedząc o tym, dążyli do eliminowania potencjalnych kontrkandydatów. Poza Beckiem najpoważniejszym (po śmierci Sławka) pozostawał jeszcze faworyt Mościckiego, wicepremier Kwiatkowski, i nieprzypadkowo i na tym odcinku – a więc relacji marszałka z wicepremierem – bardzo mocno iskrzyło. Jednak porozumienie Becka i Kwiatkowskiego przeciw Śmigłemu mogło w efekcie zamknąć Śmigłemu drogę

Do tej pory uzyskał już bardzo wiele. Mimo wszystko zabezpieczył sprawę gdańską w sposób, maksymalnie w ówczesnym momencie korzystny dla Polski. Zgrabnie wycofał się z nieopatrznie danych Hitlerowi obietnic, uznania niemieckiej suwerenności nad Wolnym Miastem, a także odsunął kwestie eksterytorialnych połączeń na odległą przyszłość, wreszcie spacyfikował nastroje antypolskie w Gdańsku. Był to wielki dorobek, a pozostawała do załatwienia sprawa Rusi Zakarpackiej oraz Słowacji. Jego najważniejszym celem było oczywiście zagwarantowanie włączenia Rusi do Węgier, co równało się w praktyce zniszczeniu koncepcji ukraińskiego Piemontu pod kuratelą Niemiec oraz samodzielny protektorat Polski nad niepodległą Słowacją. Nie wydaje się wyobrażalne, że mógł on zrezygnować z negocjowania z Hitlerem tych problemów, co utwierdza w przekonaniu, że te właśnie tematy były poruszane „na herbatce".

Oficjalnie jednak to sprawa Gdańska zdominowała spotkanie, a kwestia czechosłowacka formalnie nie zaistniała. Jak się zaraz przekonamy, musiała ona być przedmiotem rozmowy, bowiem tylko nieporozumienia wokół tej kwestii tłumaczyłyby późniejszą reakcję Becka na przebieg negocjacji. W sprawie gdańskiej nie wydarzyło się, podczas dość długiej rozmowy, praktycznie nic nowego. Nic takiego, co pozwalałoby ministrowi sformułować tezę, że Niemcy stracili przymiot obliczalności.

Hitler, w protokołowanym przez swoich urzędników przemówieniu, wyraźnie podkreślał znaczenie współpracy polsko-niemieckiej, a odwołując się do zacieśniających się więzi niemiecko-włoskich podkreślał, że Niemcy chcą mieć w Polsce silnego, zaprzyjaźnionego partnera. W tym kontekście przypomniał propozycje niemieckie dotyczące Gdańska i korytarza, podkreślając, że pragnie również najdalej idących gwarancji dla strony polskiej, zarówno w kwestiach jej interesów w Gdańsku, jak i w kwestiach tranzytowych.

Beck w swojej odpowiedzi podkreślał, wyraźnie odnosząc się do wcześniejszych o rok propozycji Hitlera, rozliczne komplikacje, jakie w stosunki polsko-niemieckie musi wprowadzić włączenie Gdańska do Rzeszy. Kontestował też dość zasadniczo niemieckie propozycje dotyczące eksterytorialnych połączeń w korytarzu. Nie był jednak bardzo stanowczy i wskazywał, że musi się jeszcze nad propozycjami niemieckimi dalej zastanawiać.

do prezydentury. Stąd parcie do sukcesów wojskowych było wyraźnie motywowane tym planem i istniejącymi obawami.

Wskazywał też, że czas potrzebny jest i polskim kołom rządzącym, i polskiej opinii publicznej.

Jest charakterystyczne, że wobec zademonstrowanej przez polskiego ministra niezgody, na pomysł włączenia Gdańska do Rzeszy oraz połączeń eksterytorialnych kanclerz podczas tej rozmowy, wedle relacji polskiej,

> *cofnął się ze swego stanowiska i zaczął mówić o możliwości znalezienia takich rozwiązań, które mogłyby zabezpieczyć słuszne interesy Niemiec, jak i Polski.*

Po raz kolejny zatem, tym razem już bezpośrednio, sam Hitler dał wyraz temu, iż nie zamierza z uwagi na Gdańsk rujnować stosunków z Polską. Ze strony Hitlera nie było zatem żadnych natarczywych żądań, nacisków czy jakichkolwiek innych form czy prób stawiania Polski pod ścianą. Kto i gdzie zatem mógłby doszukać się tu jakichkolwiek oznak utraty obliczalności polityki niemieckiej?

Dopiero następnego dnia, podczas rozmowy z Ribbentropem, to Beck bardzo zdecydowanie zakwestionował oczekiwania niemieckie. W kontekście przebiegu spotkania z poprzedniego dnia i zaprotokołowanych wypowiedzi Hitlera oraz atmosfery tego posiedzenia w części oficjalnej, uderzające było właściwie nieprzyjęcie przez Becka do wiadomości tego, że kanclerz delikatnie ze sprawy się wycofał.

Skąd zatem wzięła się ta ostrość Becka następnego dnia? Tu pojawia się problem przebiegu owej rozmowy przy herbatce. Stawiam tezę, iż to podczas niej Beck usłyszał od Hitlera, że Niemcy nie mogą się zgodzić na samodzielny polski protektorat nad Słowacją. Hitler musiał się wycofać z wcześniejszych ustaleń i to bez wątpienia pod wielkim naciskiem swoich kół wojskowych, ale i pruskich elit, dzierżących faktyczną władzę w ministerstwie spraw zagranicznych. Musiał też jednak zapewnić Becka, iż Niemcy wycofają się ze wspierania autonomii ukraińskiej na Rusi Zakarpackiej i gotowi są przystać na granicę polsko-węgierską[113].

[113] Można zaryzykować takie twierdzenie, bowiem tłumaczy ono wielkie zdecydowanie strony polskiej w kolejnych miesiącach w przekonywaniu Węgrów do zajęcia Rusi. Ci, niepewni stanowiska niemieckiego, ciągle bowiem wstrzymywali się z jakąkolwiek inicjatywą ze swej strony. Być może też Hitler wskazywał Beckowi, że w tej sprawie po stronie niemieckiej jednak są poważne problemy, a kręgi wojskowe są fundamentalnie przeciwne wspólnej granicy polsko-węgierskiej. Beck, wiedząc o tych różnicach po stronie niemieckiej, mógł tym bardziej motywować Węgrów, aby nie pozwolili na stworzenie Wehrmachtowi faktów dokonanych na tym obszarze.

Przypomnieć w tym miejscu należy, że sytuacja w odniesieniu do Słowacji zmieniła się radykalnie na przestrzeni ostatniego roku. Zmieniła się – niestety – wyraźnie na niekorzyść Polski.

Do jesieni 1938 roku dominującą frakcją w najważniejszej partii słowackiej (Słowackiej Partii Ludowej) byli politycy zdecydowanie propolscy (grupa Karola Sidora). Jednak silne związki Polski z Węgrami i wsparcie dla ich rewindykacji terytorialnych na Słowacji całkowicie zmieniły sytuację. Wpływy polskie zrujnowało najpierw zajęcie przez Polskę skrawków terytorium słowackiego w październiku 1938 roku, następnie zdecydowane, otwarte optowanie za przyłączeniem Rusi Zakarpackiej do Węgier. Dla Polski było to strategicznie niezwykle ważne, ale Słowacy i – jak wspominałem – wojskowi niemieccy traktowali taki wariant jako swoją klęskę. Do tego, w konsekwencji arbitrażu wiedeńskiego, w początkach listopada 1938 roku Słowacja utraciła bardzo znaczącą (zwłaszcza gospodarczo) część swoich południowych ziem, zamieszkałych w większości przez ludność węgierską.

Niemcy, choć sami wspierali Węgrów nie mniej niż Polacy, umiejętnie wmówili Słowakom, że utrata ważnej części ich państwa jest wynikiem pazerności Węgrów i wspierających ich Polaków. Wepchnęło to kierownicze ośrodki słowackie całkowicie w ręce Niemców. Nie można wykluczyć, że niemieckie kręgi dyplomatyczne i wojskowe poufnie straszyły Słowaków, ujawniając poczynione z Polakami ustalenia, iż pozostała część państwa zostanie wchłonięta przez Polskę, a jedynym ratunkiem dla ich planowanej niepodległości jest, w perspektywie takiej właśnie sytuacji, wyłącznie protekcja niemiecka.

Hitler, który wbrew opiniom swoich wojskowych, zgodził się na aneksję Rusi Zakarpackiej i wspólną granicę polsko-węgierską, został zapewne przekonany przez nich w końcu 1938 roku, że oddanie reszty Słowacji Polsce, w ramach ostatecznego rozbicia Czechosłowacji, będzie wielkim błędem strategicznym. Co dodatkowo istotne, w perspektywie – na wypadek możliwej przecież zmiany nastawienia Polski – mogło tworzyć dla Niemiec zagrożenie w odniesieniu do ich nowych zdobyczy w Austrii i Czechach. Musiał zatem wycofać się z dokonanych z Beckiem rok wcześniej uzgodnień. Zapewne też dlatego, widząc w tym jednak pewien problem, Hitler był gotowy odwlekać sprawę gdańską i dość miękko przyjął wymijające wypowiedzi Becka.

W moim przekonaniu, kanclerz właśnie o tym poinformował Becka podczas „herbatki", a więc bez świadków, bez protokołów. Dla Becka musiał to być straszliwy cios. To, co miało być znaczącą rekompensatą, za ewentualne posunięcie się w sprawie gdańskiej, zostało właśnie całkowicie przekreślone. Nawet jeśli Hitler nie powiedział mu wtedy o niemieckim protektoracie nad Słowacją, a przedstawił być może propozycję wspólnego, polsko-niemieckiego protektoratu, to przecież wiedział on, że nie może tam być żadnej próżni, a państwo to ówcześnie bez „opieki" trwać nie mogło. Otwarcie zaś Słowacji na wpływy niemieckie strategicznie pogrążało Polskę.

Pułkownik Beck jako wojskowy wiedział, co to znaczy. Dlatego doznał wstrząsu, uświadamiając sobie skalę okrążenia Polski. W tym kontekście plan odwlekania spraw gdańskich tylko go jeszcze bardziej pogrążał. W nowej sytuacji bowiem, okrążenia Polski, nasza pozycja negocjacyjna z Niemcami z każdym tygodniem musiała być coraz bardziej wątła. To, jak się zdaje, tłumaczy agresywność Becka wobec kompletnie zaskoczonego Ribbentropa na spotkaniu, które odbyło się kolejnego dnia.

W tym kontekście stwierdzenie, iż partner stracił cechy obliczalności, nie było na wyrost i zmuszało do radykalnej zmiany obranej strategii. I to mimo tego, że z punktu widzenia założonych celów, spotkanie z Hitlerem było jego kolejnym sukcesem. Przecież odwlekł w czasie rozwiązanie sprawy gdańskiej, oddalając groźbę jakichś gwałtownych ruchów niemieckich, uzyskał maksimum korzyści na Rusi, a sprawę słowacką, choć nie w całości po swojej myśli, mógł jeszcze rozgrywać w kierunku polsko-niemieckiej protekcji. Ostatecznie dla Polski lepszy był z pewnością wspólny protektorat z Niemcami nad Słowacją niż samodzielny protektorat niemiecki. Współprotektorat wykluczał bowiem w perspektywie możliwość samodzielnego wyzyskania militarnego terytorium słowackiego do ewentualnych działań przeciw Polsce. Już za dziewięć miesięcy głębokość południowego oskrzydlenia Polski przez wojska niemieckie będzie jednym z głównych powodów klęski wrześniowej.

Co ciekawe, w ówczesnych polskich opracowaniach MSZ, forsowano jakieś bliżej nieokreślone koncepcje wspólnej, polsko-niemieckiej odpowiedzialności za Gdańsk, które proponowano Niemcom w listopadowych i grudniowych spotkaniach. Ta koncepcja nie budziła po stronie polskiej specjalnych kontrowersji i uważano ją za realistyczne i możliwe rozwiązanie sprawy gdańskiej. Natomiast – jak się przekonamy – podobna

propozycja niemiecka w odniesieniu do Słowacji, w o wiele ważniejszej dla Polski pod każdym względem kwestii, uznawana już była za klęskę. Notabene, dla Niemców musiało to być również niemałe zaskoczenie. Trudno im było pojąć, że w drugorzędnej kwestii gdańskiej to sami Polacy inicjują podwójny protektorat, a w kluczowej dla siebie strategicznie kwestii są gotowi zrezygnować całkowicie z jakiejkolwiek kontroli. Niewykluczone zresztą, że propozycja Hitlera wspólnej protekcji nad Słowacją nawiązywała do polskiej propozycji w sprawie Wolnego Miasta. Mógł on więc być przekonany, że, co do zasady Polacy mogą bez większych problemów w ważniejszej dla siebie sprawie ten wariant zaakceptować.

Jak wiemy, refleksje Becka po obu spotkaniach były radykalnie odmienne i w tym wypadku można przyjąć, że nie były formułowane *ex post*. Bo to właśnie te oceny poczynione po rozmowach z Hitlerem i Ribbentropem spowodowały, że natychmiast po powrocie z Niemiec Beck doprowadził do wspomnianej narady na Zamku. Odbyła się ona z udziałem prezydenta Mościckiego, premiera Sławoja Składkowskiego i Generalnego Inspektora Sił Zbrojnych marszałka Śmigłego-Rydza. To na tym spotkaniu Beck przedstawił swój pogląd na ewolucję stanowiska Niemiec[114]. Jest całkowicie zrozumiałe, że w późniejszych relacjach dotyczących tej narady problem słowacki pominięto[115]. Nie było się – z punktu widzenia konfrontacji ministra Becka z marszałkiem – czym chwalić, a skoncentrowanie uwagi wyłącznie na kwestii gdańskiej oraz tranzytowej

[114] W. Pobóg-Malinowski, *Najnowsza historia polityczna Polski 1864–1945,* t. 3 (1939–1945), Londyn 1956–1960, s. 4. W swych późniejszych wspomnieniach Beck napisał, że poinformował prezydenta i marszałka „o niepokojących zjawiskach mogących prowadzić do wojny" (J. Beck, *Ostatni raport*, Warszawa 1987, s. 162). S. Żerko (s. 189) także sugeruje, że była to ocena sformułowana *ex post.* Sądzę, że taki właśnie możliwy kierunek rozwoju wydarzeń mógł on już w tym momencie rzeczywiście zakładać, a wpisywało się to w oczekiwania marszałka Śmigłego i kół wojskowych. Podkreślić też należy, że całkowicie fałszywie brzmi teza H. Batowskiego *Europa zmierza ku przepaści*, Poznań 1977, s. 264), iż płk Beck „nie potraktował dosyć poważnie" zagrożenia. Było wręcz odwrotnie – potraktował je chyba nawet z nieproporcjonalną powagą.

[115] Przyczyną pomijania wątku słowackiego we wszelkich polskich relacjach, ale i dokumentach dyplomatycznych, jest nie tylko to, że ta gra zakończyła się, w dużej mierze na własne życzenie, kompletną klęską. Ważniejsze jest to, iż polscy decydenci mieli pełną świadomość fatalnych kontekstów moralnych tej sprawy. Polska, ofiara zaborców, pozbawiona przez ponad stulecie niepodległości, partycypować miała w podobnym przedsięwzięciu w odniesieniu do Czechosłowacji, a do tego *de facto* niszczyć wraz z Węgrami zaprzyjaźnioną w końcu, zamieszkałą przez bratni naród Słowację. Skoro czyniliśmy się wkrótce ofiarą zaborczości niemieckiej i sowieckiej, trzeba było wyeliminować z pamięci wszelkie podejrzenia, że sami byliśmy autorami moralnie wątpliwych, choć politycznie uzasadnionych projektów.

było znakomitym pretekstem do mobilizowania wszystkich sił do skupienia się wokół broniących zagrożonych rzekomo polskich interesów władz sanacyjnych.

Wedle późniejszych relacji zebrani ustalili, że konieczne jest przyjęcie twardej linii wobec Niemiec[116]. W ich ocenie tylko w ten sposób można było powstrzymać rzekomą presję Hitlera na Polskę. Co interesujące, rozmówcy Becka bez żadnych wątpliwości przyjęli jego nagłą zmianę stanowiska i, jak się zdaje, akceptację konfrontacyjnej linii reprezentowanej przez marszałka Śmigłego-Rydza. Nie mamy żadnych świadectw, które mogłyby wskazywać, że któryś z polskich przywódców miał jakiekolwiek wątpliwości, co do prezentowanych przez swego kolegę opinii i poglądów. Można by nawet wskazać, że koła wojskowe, tradycyjnie antyniemieckie i mocno profrancuskie, z pewnością przyjęły tę woltę z wielkim zadowoleniem.

Taki obraz wynika – podkreślmy to – z późniejszych przekazów i relacji. Nie ulega jednak wątpliwości, że taki sens tej narady i jej ustaleń powstał w ocenach formułowanych z perspektywy czasu, choć niewątpliwie płk Beck nie krył problemów wynikających z potencjalnej obecności niemieckiej na Słowacji. Jednak elementarne fakty każą przyjąć, że nie to było głównym ustaleniem na tym spotkaniu.

Wydaje się, że bliższe prawdzie jest stwierdzenie, iż na naradzie tej postawiono Beckowi (a ściślej, postawił marszałek Śmigły-Rydz) swoiste ultimatum. Miał on w czasie zaplanowanej na koniec stycznia 1939 rok88 wizyty Ribbentropa w Warszawie ostatecznie rozmówić się z niemieckim ministrem w sprawach południowych. Brak w pełni satysfakcjonujących Polskę ustaleń – a więc przede wszystkim pełnej zgody Niemiec na swobodę Polski na Słowacji, bo sprawę Rusi traktowano już chyba jako załatwioną – miał skutkować obraniem kursu na konfrontację wojenną.

---

[116] W. Pobóg-Malinowski, *op.cit.,* t. 3, s. 4. Pamiętać jednak należy, że w okólniku z 10 stycznia 1939 roku dla polskich dyplomatów, Beck wyraźnie wskazywał, iż z rozmowy z Hitlerem wynika „niezmienna wola Niemiec kontynuowania polityki dobrego sąsiedztwa z Polską". *Polskie dokumenty dyplomatyczne, 1939 styczeń–sierpień,* Warszawa 2005, s. 17. To skądinąd kolejny dowód na późniejsze mitologizowanie przez Becka oraz polską historiografię znaczenia rozmowy październikowej i rzekomych ówczesnych „żądań" niemieckich. Ani w październiku 1938 roku, ani w styczniu 1939 roku Niemcy nie formułowali żadnych żądań pod adresem Polski. Dowodzi to również, że wyłącznym powodem niekłamanej wściekłości Becka po spotkaniach styczniowych mogła być jedynie kwestia słowacka i odejście Hitlera od wcześniejszych o rok zapewnień, co do polskiego protektoratu nad usamodzielnioną Słowacją.

Z perspektywy kół wojskowych, byłaby to prosta konsekwencja radykalnie niekorzystnej zmiany położenia na południowej granicy Polski. Podjęcie w początkach lutego 1939 roku w Sztabie Głównym prac nad planami wojny z Niemcami dowodzi[117], że było to rezultatem braku akceptowanych przez marszałka ustaleń podczas tej styczniowej wizyty niemieckiego ministra.

W takiej sytuacji podstawowym zadaniem i wyzwaniem, któremu w obliczu niepewnej perspektywy uzyskania od Niemiec zgody na realizację polskich zamierzeń, w stosunku do „pewnego fragmentu" Czechosłowacji, musiała stawić czoła polska dyplomacja, było wydobycie kraju z izolacji, w jakiej znalazł się on w następstwie postawy przyjętej podczas kryzysu czechosłowackiego. Rozwój wydarzeń w ciągu najbliższych tygodni był z tego punktu widzenia swoistym darem niebios.

Niemcom komunikat o zmieniającym się stanowisku polskim przekazany został w końcu stycznia 1939 roku, podczas wspomnianej wizyty Ribbentropa w Warszawie. Niemiecki minister podczas prowadzonych rozmów ponownie podjął kwestię próby znalezienia rozwiązania sprawy Gdańska i autostrady, ale i tym razem Beck

> *odrzucił w sposób kategoryczny postulat autostrady eksterytorialnej* [*oraz oświadczył, że*] *na ustępstwa co do Gdańska iść nie możemy*[118].

Warto jednak nadmienić znowu, że w relacji niemieckiej z tego spotkania aż takiej twardości strony polskiej nie odnotowano. Przeciwnie, Ribbentrop sprawiał wrażenie zadowolonego z przebiegu rozmów[119]. Taki też był ton relacji prasy niemieckiej, co świadczy o tym, jak daleko było w tym momencie po stronie niemieckiej nie tylko od jakichkolwiek nastrojów wojennych, ale choćby nawet poczucia zagrożenia dla stanu dotychczasowych relacji.

Może jednak Beck po kilku tygodniach ochłonął i powrócił do poprzedniego sposobu negocjowania, zakładając, że przynosił on jednak jakieś złagodzenie oczekiwań niemieckich. W każdym razie podkreślanie istniejących po stronie polskiej trudności wewnętrznych, w zaakceptowaniu

---

[117] Potwierdza ten fakt W. Stachiewicz, *Wierności dochować żołnierskiej,* Warszawa 1998, s. 382, czy omawiane dalej notatki ppłka A. Mareckiego.

[118] Relacja na podstawie notatki wiceministra Szembeka, któremu treść rozmowy przedstawił Beck, *Diariusz...*, t. 4, s. 484–486.

[119] W. T. Kowalski, *op.cit.,* dok. 18.

gdańskich i pomorskich postulatów niemieckich, zdawało ciągle egzamin. Niemcy gotowi byli czekać na sprzyjającą atmosferę i wcale, wbrew temu co myślał Beck, nie zamierzali w obliczu gwałtownie zmieniającej się w kontekście likwidacji Czechosłowacji sytuacji strategicznej wykorzystywać tego faktu do stawiania Polski pod ścianą. Beck chyba to dostrzegał, więc swoją twardością w kolejnych miesiącach chciał zyskać czas, aby z jednej strony silniej zaasekurować kraj w nowej sytuacji, ale jednocześnie, aby nie utracić jednak możliwości dalszego układania się z Niemcami.

Niemiecki minister wyraźnie też próbował dawać do zrozumienia Beckowi, że Niemcy są gotowe zrekompensować Polsce straty słowackie, kierując jego uwagę ku Ukrainie. Nie można jednak wykluczyć, że jeszcze bardziej rozsierdził tym Becka. Polski minister był przekonany – i słusznie – o tym, iż Niemcy oszukali go w sprawie Słowacji, a teraz proponują mu rekompensatę w postaci wojny z Sowietami i iluzją zdobycia Ukrainy. Tego polski minister nie mógł i nie chciał traktować poważnie, a zastanawiać może jedynie zdziwienie Ribbentropa, gdy okazało się, że Beck właściwie zbył milczeniem ten wątek.

Powtórzyć jednak trzeba raz jeszcze, że wrażenia Becka co do możliwych, bezpośrednich następstw kolejnych inicjatyw niemieckich były całkowicie błędne. Niemcy zapewne liczyli się z tym, że ich „sugestie" nie zostaną przyjęte z entuzjazmem, ale reakcja Polaków była dla nich, jak się zdaje, kompletnym zaskoczeniem. Ukazała też im ich niemal zupełną bezradność wobec zaistniałej sytuacji.

Polska była im bardzo potrzebna jako sojusznik, bez życzliwości którego realizacja dalszych planów stała pod wielkim znakiem zapytania. Stąd nie mogli bardziej naciskać strony polskiej, bo mogło to prowadzić do niebezpiecznej dla Niemiec reorientacji jej stanowiska.

Z drugiej strony, ostrość reakcji polskiej na ich „sugestie" potwierdziła niepewność, co do rzeczywistych intencji Warszawy i jej możliwych zachowań. Jednak ewentualność utraty przychylności Polski była w ocenie niemieckiej na tyle prawdopodobna, że ryzykowanie na tym etapie tak cennej i owocnej dla nich dotąd współpracy było całkowicie nieracjonalne[120].

[120] Ambasador Lipski w raporcie z 2 lutego 1939 roku podkreślał, że podczas rozmowy z Ribbentropem, podczas przyjęcia, które odbyło się 1 lutego 1939 roku, tenże „podkreślił jak bardzo przyjemny był jego pobyt w Polsce (...). Przypomniał, że Kanclerz te zagadnienia [będące przedmiotem negocjacji polsko-niemieckich] bierze 'von der hohen Warte'" (*Polskie dokumenty...,* s. 67). Natomiast 30 stycznia 1939 roku Hitler, przemawiając w Reichstagu,

Dlatego Niemcy dalecy byli od jakichkolwiek myśli o silniejszym naciskaniu strony polskiej[121].

Beck w późniejszej relacji pisał, że miał oświadczyć w Warszawie Ribbentropowi, ażeby ten zbyt optymistycznie nie przedstawiał kanclerzowi rezultatów ich rozmów[122]. W rzeczywistości, jeśli tak było, to odnosiło się to wyraźnie do wypowiedzianych różnic w kwestii gdańskiej i z pewnością prowadzonych, choć nieprotokołowanych, rozmów w kwestii słowackiej. Ribbentrop z pewnością nie musiał być przed tym przestrzegany. Znał uwarunkowania strony polskiej, ale przecież na nic nie naciskał, więc nie musiał relacji z wizyty przebarwiać. To Hitler zadecydował o tym, że Polsce należy dać czas[123]. Tyle tylko, że Beck nie miał już miejsca na jakieś poważniejsze manewry na tym odcinku. Wiedząc o tym, szukał innych opcji, a więc robił już to, czego obawiali się Niemcy. Był znowu o wielki krok przed nimi, a kolejne tygodnie miały pokazać, czy wykorzysta tę

w najwyższych superlatywach wypowiadał się o przyjaźni polsko-niemieckiej i wspominał wielką rolę marszałka Piłsudskiego.

121 Beck dysponował przed rozmową z Ribbentropem trzema wielkiej wagi dokumentami, z których wynikało niedwuznacznie, że Niemcy mocno ograniczają się, widząc polską twardość. 20 stycznia 1939 roku otrzymał on notatkę o aktualnej sytuacji na Rusi Zakarpackiej (*Polskie dokumenty...,* s. 40–41), z której wynikało, iż silnie wspierane przez Niemców w ostatnich miesiącach prace nad wykreowaniem ukraińskiego Piemontu, zostały ograniczone w konsekwencji wizyty Becka w Berchtesgaden. 23 stycznia 1939 roku wpłynął także raport ambasadora RP w Budapeszcie zawierający jego informacje ze spotkania z węgierskim ministrem spraw zagranicznych Csaky, który przebywał w Berlinie 16–18 stycznia 1939 roku (*ibidem,* s. 42–43). Węgierski minister wskazywał na podkreślanie przez Hitlera dążenia do jak najlepszych relacji Rzeszy z Polską oraz konieczność uwzględniania stanowiska Polski w ostatecznym rozwiązaniu problemów obszaru czechosłowackiego. Potwierdzeniem, a nawet rozszerzeniem tych informacji, były opinie przedstawione równocześnie przez węgierskiego posła w Berlinie ambasadorowi Lipskiemu (raport Lipskiego z 23 stycznia 1939 roku [w:] *Polskie dokumenty...,* s. 43–46).

122 J. Beck, *Ostatni raport,* Warszawa 1987, s.163. Potwierdza to polska notatka z tych rozmów (*Polskie dokumenty...,* s. 48–52). Pozostaje jednak znowu otwarta kwestia tego, czy oddaje ona rzeczywiście to, co mówił Beck Ribbentropowi, czy była raczej przekazem sformułowanym na użytek wewnętrznych odbiorców tej treści. Niemieckie dokumenty wskazują raczej na daleko idące zadowolenie Ribbentropa z rezultatów wizyty. Co istotne, Ribbentrop już w początkowej fazie rozmów potwierdził polskie informacje, z których wynikało, że po spotkaniu Becka z Hitlerem w Berchtesgaden wydane zostały rozkazy wstrzymania przez niemieckie ośrodki wszelkich prac związanych z pomocą czynnikom ukraińskim w Rusi Zakarpackiej. Musiało to utwierdzać Becka w przekonaniu, iż ewentualne ustalenia co do Rusi, zapadłe „na herbatce" w Berchtesgaden, są przez Niemców tym razem respektowane.

123 Nie można wykluczyć, że Niemcy świadomi trwającej ostrej walki politycznej w obrębie obozu sanacyjnego rozumieli, że ich postawa może mieć kluczowe znaczenie dla jej ostatecznego rozstrzygnięcia. Dlatego też woleli nie dociskać Becka, pomagać mu wręcz w osiąganiu sukcesów, aby wzmocnić go w rozgrywce w marszałkiem, dążącym przecież, w sposób oczywisty, do konfrontacji z Hitlerem. To z pewnością, z punktu widzenia ich interesów, było najbardziej oczekiwanym rezultatem.

przewagę. Na zewnątrz wszakże, wbrew późniejszym wspomnieniom, nie dawał wyrazu zaistnienia żadnych elementów kryzysowych w relacjach polsko-niemieckich[124].

Wydaje się też, że uspokojenie po stronie niemieckiej wynikało również z tego, że, w opinii Ribbentropa, w Warszawie uzgodnił on z Beckiem wspólne polsko-niemieckie stanowisko w sprawie Gdańska, na wypadek ciągle możliwego nagłego wycofania się stamtąd Ligi Narodów. Potwierdza to polska relacja z tych rozmów, w której zresztą inicjatywę w tym zakresie przypisano Beckowi. To on zaproponował formułę, iż na wypadek takiej sytuacji, „oba rządy winny niezwłocznie [24 godzin?] porozumieć się i ogłosić deklarację, że przez to *der bestehende Zustand in Danzig geändert wird*"[125]. 6 lutego 1939 roku wiceminister Szembek potwierdził to porozumienie podczas rozmowy z ambasadorem niemieckim. Zacytujmy niezwykle ważny fragment tej notatki:

> *Mówiliśmy następnie o gentelmen's agreement do jakiego doszło na temat problemu gdańskiego między obu ministrami. Ambasador zaznaczył, że – o ile wie – doszło między obu ministrami do porozumienia, że na wypadek wycofania się Ligi Narodów z Gdańska obecny stan rzeczy zostanie prowizorycznie utrzymany. Wyjaśniłem i sprecyzowałem ambasadorowi treść powyższego gentelmen's agreement w myśl informacji udzielonych mi osobiście przez Pana ministra Becka. Ambasador wyjaśnieniom moim nie negował*[126].

Taki charakter warszawskiego porozumienia został także zakomunikowany przez stronę niemiecką władzom gdańskim, które przyjęły je raczej chłodno, ale zmuszone były respektować dyspozycje płynące z Berlina[127].

---

124 W rozesłanym 31 stycznia 1939 roku okólniku do placówek dyplomatycznych (*Polskie dokumenty...*, s. 56–57) pisał wyraźnie, iż „na terenie Gdańska nie nastąpią żadne komplikacje" oraz że „między obu państwami nie ma spraw, które by nie mogły być załatwione w negocjacji z uwzględnieniem wzajemnych interesów".

125 *Polskie dokumenty...*, s. 52.

126 Notatka z rozmowy w dniu 6 lutego 1939 roku, *Polskie dokumenty...*, s. 74–75.

127 Raport Komisarza Generalnego RP w Gdańsku M. Chodackiego z 9 lutego 1939 roku (*Polskie dokumenty...*, s. 44–45). 8 lutego podczas rozmowy z Arthurem Greiserem, prezydentem senatu, tenże był „w nastroju minorowym" i potwierdził, „że wie z Berlina, że rozmowy pana ministra z ministrem Ribbentropem miały pomyślny przebieg, że w Gdańsku nie będzie niespodzianek". Tydzień później Greiser konsultował stanowisko polskie w sprawie odroczenia wyborów do Senatu. Było to oczywiste potwierdzenie tego, że Niemcy są w tym momencie zdeterminowani w utrzymaniu w Wolnym Mieście *status quo*.

Wizyta Ribbentropa przyniosła zatem Beckowi kolejny sukces. Przede wszystkim w wywołującej nerwowość sprawie gdańskiej strony uzgodniły, że do czasu wypracowania wspólnego stanowiska dla nowego rozwiązania, zachowane zostanie *status quo*, a żadna ze stron nie będzie wprowadzać jakichkolwiek faktów dokonanych[128]. Potwierdzone zostało wstrzymanie przez Niemców działań wspierających aspiracje ukraińskie na Rusi Zakarpackiej, co oznaczało *de facto* uznanie węgierskich pretensji do tego obszaru. Stanowcza postawa polska w sprawie autostrady przez Pomorze wstrzymała nacisk niemiecki, wreszcie ciągle otwarta pozostawała kwestia słowacka. To Beck trzymał w rozgrywce z Niemcami karty w ręku. Tyle tylko, że wywołane jego zdenerwowaniem po rozmowie z Hitlerem stanowisko „polskiego rządu" zobowiązywało go do definitywnego wyjaśnienia sprawy słowackiej po naszej myśli do czasu tej wizyty. Chociaż to nie nastąpiło, sprawa była dalej w grze i kolejne miesiące mogły przynieść pozytywne dla Polski sploty wydarzeń. Tak się jednak nie stało. Marszałek Śmigły-Rydz kilka dni po wizycie Ribbentropa, jeszcze w momencie gdy Beck słał ambasadorom instrukcje, w myśl których stosunki polsko-niemieckie miały się jak najlepiej, a o tym samym zapewniał świat Hitler, rozpoczął wraz z gronem najbliższych współpracowników w początkach lutego przygotowywać się do wojny z Niemcami.

Wskazać należy w tym miejscu, że równolegle, od stycznia do końca marca 1939 roku, narastało po obu stronach napięcie w kwestiach położenia mniejszości narodowych[129]. Jest charakterystyczne, że właśnie w tym czasie władze polskie, poprzez używanie bardzo silnej presji administracyjnej, reagowały na wszelkie poczynania mniejszości niemieckiej w Polsce. Mniejszość niemiecka zaś, sądząc że jest ofiarą płaconą „na ołtarzu" dobrych stosunków z Polską, próbowała wszelkimi sposobami zwrócić na

[128] Nie można zapominać o tym, że tak jak strona polska obawiała się jakiegoś faktu dokonanego w postaci proklamacji Senatu gdańskiego o włączeniu Wolnego Miasta do Rzeszy, czemu trudno byłoby przeciwdziałać bez użycia siły, tak samo Niemcy bardzo obawiali, się że Polska może zająć Wolne Miasto militarnie, a oni nie mieli praktycznie żadnych środków, aby działaniu temu się przeciwstawić.

[129] Odrębną kwestią była rozgrywająca się na przełomie 1938/1939 roku sprawa transferu ludności żydowskiej, usiłującej przedostać się z Niemiec do Polski. Koczujące na granicy, przerzucane z jednej na drugą stronę grupy ludności żydowskiej były również obiektem różnych gorących przepychanek dyplomatycznych. Ostatecznie i w tym wypadku strona polska wykazała się niezwykłą twardością i w istocie zmusiła Niemców do cofnięcia się z ich koncepcjami przerzutu do Polski Żydów.

siebie uwagę[130]. To jeszcze bardziej dowodzi prawdziwości tezy, że Niemcy robili wszystko w tym okresie, aby pozycję Becka w wymiarze wewnątrzpolskim wydatnie wzmocnić.

Tymczasem polskie władze administracyjne, mimo różnych interwencji MSZ, nie przebierały w środkach, uderzając w organizacje mniejszości niemieckiej. Mimo tych poważnych napięć, Hitler w rozmowie z Lipskim 1 marca 1939 roku „przeszedł do porządku dziennego" nad tymi sprawami. Jednocześnie komplementował Becka jako „mądrego i szlachetnego człowieka" oraz zapewniał, że nie dopuści do konfliktu polsko-niemieckiego[131].

Potwierdza to wyraźnie, że Niemcy nie mieli w tym okresie żadnych planów militarnego uzależnienia Polski od siebie, bowiem każdym takim planom – i wcześniej i później – zawsze towarzyszyło wykorzystywanie różnorakich krzywd, rzeczywiście bądź iluzorycznie wyrządzanych mniejszości niemieckiej. W przypadku Polski, przełom 1938/1939 roku dostarczał aż w nadmiaru takich ewentualnych powodów do ujmowania się za swoimi ziomkami.

Na razie zatem Niemcy uznali, jak się zdaje, że trzeba – nie wycofując się już choćby ze względów prestiżowych ze zgłoszonych propozycji – odczekać pewien czas i zorientować się, co do rzeczywistych intencji Polski. Do sprawy powrócić mieli w końcu marca. Wtedy też doszło do wydarzeń, które w sposób gwałtowny zmieniły układ sił na kontynencie i doprowadziły do zasadniczej reorientacji polityki polskiej, a w ślad za tym i niemieckiej.

W początkach 1939 roku rządy angielski i francuski, nie mając żadnej świadomości o rodzących się komplikacjach w stosunkach polsko-niemieckich, rozpaczliwie poszukiwały prób wyjścia z pozycji, na które zepchnęły je układy monachijskie. Niezależnie od podpisanych z Niemcami po Monachium porozumień, oba państwa były w dalszym ciągu w praktyce niezdolne do aktywnego powstrzymywania mającej coraz większy impet Rzeszy. Z wielkim też niepokojem oczekiwano w Londynie i w Paryżu

[130] Koniecznym jest tu wspomnienie, że w połowie lutego 1939 roku przebywał z wizytą w Warszawie Heinrich Himmler. Jakkolwiek jego rozmowy koncentrowały sie właśnie wokół spraw mniejszości narodowych po obu stronach oraz kwestii żydowskich, to miały też miejsce ważne rozważania dotyczące i kwestii gdańskiej, i Rusi Zakarpackiej oraz Czechosłowacji. Himmler potwierdził po raz kolejny dotychczasowe stanowisko niemieckie zajęte w rozmowach styczniowych (*Polskie dokumenty...*, s. 104–107 – notatki wiceministra Szembeka z rozmowy z 18 lutego 1939 roku).

[131] *Diariusz...*, t. 4, s. 710.

na następne posunięcia Hitlera. Antycypując kolejne, rysujące się zagrożenia na podstawie różnych informacji „z poufnych źródeł" w Berlinie, próbowano *ad hoc* montować układy obronne. Wskazać tu trzeba, w związku z tym, na najważniejsze obawy i cele polityki francuskiej i angielskiej w tym okresie.

We Francji, mimo problemów wewnętrznych, trafnie na ogół rozumiano, że to właśnie ten kraj jest traktowany przez Hitlera jako pierwsza przeszkoda na drodze do budowy pozycji imperialnej potęgi. Francuzi dostrzegli też, jak w krótkim czasie Niemcy zdystansowali ich pod względem rozwoju nowoczesnego potencjału militarnego. Szczególne obawy budziła rosnąca przewaga niemiecka w broni pancernej i w lotnictwie oraz niemal wyrównane siły morskie. Z powodu permanentnych problemów wewnętrznych, nadrobienie tych zaległości musiało zająć bardzo wiele lat.

To wszystko determinowało zatem wybitnie defensywną postawę Francji i – zwłaszcza – dowództwa jej sił zbrojnych, co zresztą miało silne tradycje w doświadczeniach przebiegu Wielkiej Wojny[132]. Linia Maginota dawała poczucie względnego bezpieczeństwa, coraz bardziej zaś mitologizowana niemiecka Linia Zygfryda była usprawiedliwieniem dla braku chęci jakichkolwiek działań zaczepnych[133]. Dla Francji zatem najważniejszym zadaniem było oddalenie konfliktu od swych granic i montowanie szerszych układów, które skupiałyby uwagę Niemiec na likwidowaniu w pierwszym rzędzie najsłabszych ogniw, możliwie najdalej francuskich granic.

Podobnie rzecz się miała z Anglią. Jej niezdolność do czynnego występowania była porażająca i to wymuszało określoną taktykę polityczną.

[132] W ówczesnych dowództwach angielskim i francuskim panowało przeświadczenie, wynikające z doświadczeń I wojny światowej, że aby osiągnąć zwycięstwo w konflikcie zbrojnym, konieczne jest uzyskanie przynajmniej trzykrotnej przewagi nad przeciwnikiem (niektóre studia mówiły nawet o przewadze pięciokrotnej). Alianci oceniali, że Niemcy – podzielając to myślenie – nie są jeszcze mimo wszystko gotowe do rozpoczęcia konfrontacji z nimi. Ale jednocześnie mieli oni świadomość, że jakiekolwiek ich działania względem Niemiec bez uzyskania takiej przewagi skazane są na niepowodzenie. Znając te uwarunkowania myślenia kół wojskowych aliantów, łatwiej zrozumieć również ich działania polityczne. Wydaje się jednak, że w polskich kołach wojskowych takie myślenie było całkowicie nieobecne.

[133] Dość nadmienić, że w okresie kryzysu czechosłowackiego, Francuzi tłumaczyli Anglikom, iż jakiekolwiek czynne przyjście z pomocą Pradze musi wiązać się z uzyskaniem zgody Belgii na jej rezygnację z neutralności. Francuzi bowiem atakować Niemcy mogli, w swojej ocenie, tylko poprzez ten kraj. Dowództwo francuskie stało na stanowisku, iż jego wojska nie mają żadnych szans na sforsowanie Linii Zygfryda. Szkoda że kilka miesięcy później stanowiska tego francuscy sztabowcy nie przekazali wprost swoim polskim rozmówcom. Pomoc Polsce z terytorium Belgii to była rzeczywiście bardzo ciekawa (?) koncepcja strategiczna.

Ścisły sojusz z Francją był oczywisty, dawał bowiem pewną szansę opierania własnej polityki na znacznym, mimo wszystko, potencjale francuskich sił lądowych, a więc formacji, którą Anglia mogła wystawić tylko w niewielkiej ilości[134]. Oznaczało to jednak ograniczenie w postaci uwzględniania w istotnym zakresie priorytetów polityki francuskiej.

Oba kraje, choć bez wątpienia z o wiele większym naciskiem ze strony Francji, ciągle próbowały doprowadzić do zmontowania układu antyniemieckiego z udziałem Rosji. Było to w tym wypadku oczywiste nawiązanie do koncepcji sprawdzonych w latach Wielkiej Wojny.

Jednak na początku 1939 roku możliwość stworzenia wielkiego aliansu była bardzo odległa. Rosja nie wyrażała bowiem żadnej chęci do zawarcia takiego sojuszu. Stalin miał świadomość, że oznacza to powiększenie szans Hitlera na zmontowanie szerokiego bloku antykomunistycznego w centralnej Europie. Bloku, któremu Rosja musiałaby stawić czoła w zupełnym osamotnieniu.

W połowie stycznia 1939 roku na rząd angielski paraliżująco wpłynęły informacje, wedle których w ciągu najbliższych tygodni Niemcy mieli podjąć działania w celu zajęcia Holandii[135]. Oznaczało to spełnienie najgorszego – z ich punktu widzenia – scenariusza. To właśnie w takim kontekście widziano wizytę Becka w Berchtesgaden. Docierały informacje, że Hitler podejmuje starania na rzecz uzyskania polskiej neutralności dla swej akcji na Zachodzie, w zamian za obietnice jej udziału w niemieckich zdobyczach kolonialnych[136].

---

[134] Pamiętać należy, że największe angielskie siły lądowe skoncentrowane były jako tzw. rezerwa strategiczna w Egipcie. Dowodzi to, że Anglicy największych problemów dla siebie spodziewali się wtedy w swych afrykańskich i azjatyckich posiadłościach i dlatego w Egipcie lokowali gros swoich sił interwencyjnych. Ich przerzucanie z tamtego obszaru najprostsze było właśnie we wszystkich kierunkach afrykańskich i azjatyckich. Najtrudniej zaś było przerzucać stamtąd te siły do Europy, bo rozbudowa obecności włoskiej na Morzu Śródziemnym oraz ciągle niepewna sytuacja w Hiszpanii praktycznie uniemożliwiały ich szybkie użycie na kontynencie. Na czynnik ten zwracali uwagę angielscy sztabowcy podczas rozmów z przedstawicielami polskiego Szatbu Głównego w 1939 roku.

[135] PRO, BAB 23/97, Protokół posiedzenia gabinetu z 18 stycznia 1939 roku.

[136] PRO, CAB 23/97, Protokół posiedzenia gabinetu z 25 stycznia 1939 roku. Na posiedzeniu tym Lord Halifax informował swych kolegów, powołując się na źródło z bezpośredniego otoczenia Hitlera, iż ten jeszcze w listopadzie 1938 roku miał wyjawić swym najbliższym współpracownikom, że jego największym pragnieniem jest uzyskanie kolonii, dlatego najpierw musi zająć Belgię i Holandię, „a wkrótce potem Anglię". Wprawdzie cały czas Anglicy mieli nadzieję, że Hitler będzie bardziej zainteresowany dalszymi zdobyczami na Wschodzie, ale jak zauważał, „ostatnio otrzymaliśmy raporty, że myślenie przywódców niemieckich zwróciło się bardziej w złowrogim kierunku". Według źródeł określanych jako pewne, Hitler chciał

Pamiętając o intensywnych konsultacjach polsko-niemieckich sprzed niemal roku i ich austriackich i czechosłowackich następstwach, kontakty polsko-niemieckie (także zapowiedź wizyty Ribbentropa w Warszawie) traktowano jako uwerturę do kolejnej fazy niemieckich operacji. Utwierdzało to Londyn i Paryż w przekonaniu, że wkrótce nastąpią efekty kolejnych porozumień polsko-niemieckich, tym jednak razem na zachodzie Europy.

Tu dotykamy być może najistotniejszego problemu. Dla Anglii, tak naprawdę, od początku najgroźniejszym postulatem Hitlera pozostawało powtarzane przez niego od lat pragnienie zdobycia zamorskich kolonii i związany z tym bezpośrednio postulat rozbudowy floty wojennej. W tym zakresie Niemcy na różne sposoby obchodzili ograniczenia nałożone na nie najpierw w Wersalu, potem zaś w traktacie morskim, ustalającym maksymalny pułap tonażu sił morskich Rzeszy[137].

To właśnie w tym kontekście należy widzieć zabiegi brytyjskie na rzecz zmontowania antyniemieckiego układu na kontynencie. Chodziło po prostu o to, aby tak uwikłać Hitlera w konflikty w Europie, najlepiej wschodniej lub południowej, aby maksymalnie odsunąć w czasie, bądź w ogóle wykluczyć, możliwość jego zaangażowania w demontaż istniejącego, ale i pełnego napięć wewnętrznych, systemu kolonialnego.

Jeśli zważyć bowiem, że w tym czasie Brytyjczycy mieli choćby olbrzymie problemy z opanowaniem sytuacji w swoich posiadłościach w Palestynie i w Indiach, niepokój panujący w niektórych koloniach afrykańskich, zaś na Dalekim Wschodzie coraz groźniejsza była ekspansja japońska, że wreszcie z ledwością radzili sobie z opanowaniem sytuacji w Irlandii Północnej, to widać skalę możliwych komplikacji w sytuacji, gdyby Niemcy bardziej aktywnie włączyli się w te rozgrywki. Możliwość demontażu brytyjskiego imperium pod wpływem niemieckiego nacisku była zatem realna i świadomość tej tragicznej perspektywy była silnie obecna w poczynaniach gabinetu angielskiego w 1938 i 1939 roku.

---

uderzyć na wiosnę na Zachodzie (przygotowywano według tych źródeł plany ataków lotniczych na Londyn) i w tym kontekście poszukiwać miał w spotkaniach z płk. Beckiem przyjaznej neutralności Polski w zamian za odstąpienie części zdobytych kolonii.

[137] Podpisany 18 czerwca 1935 roku tzw. traktat morski zezwalał Niemcom na budowę floty, której tonaż maksymalnie mógł wynosić jedną trzecią tonażu floty brytyjskiej. Niemcy jednak i te ograniczenia skutecznie obchodzili, choć nie ustawali w dążeniu do podniesienia parytetu tak, by akceptowali to też Brytyjczycy.

Kiedy zatem uzyskano informacje o możliwej niemieckiej inwazji na Holandię, a Francuzi alarmowali o podobnych planach w odniesieniu do Szwajcarii, sytuacja jawiła się już jako niemal beznadziejna. Do tego *Duce* ciągle straszył atakiem na Francję. Sztaby angielski i francuski nie widziały żadnej szansy obrony Holandii, choć władze tego kraju deklarowały gotowość obrony „do ostatniego rowu" (*to the last ditch*)[138]. Podobnie rzecz się miała ze Szwajcarią, a nawet groźby włoskie trwożyły kierownicze koła francuskie.

Ewentualna utrata Holandii oznaczała także duże prawdopodobieństwo utraty Belgii, a w konsekwencji tych strat nie tylko oskrzydlenie Francji, ale i możliwość objęcia kilku znaczących posiadłości zamorskich (belgijskie Kongo w Afryce czy holenderskie posiadłości w Azji Południowo-Wschodniej oraz Antyle). Ta perspektywa była już wyzwaniem najwyższego kalibru i zmuszała do zdecydowanych działań.

25 stycznia 1939 roku gabinet brytyjski, pod wpływem komplikującej się sytuacji na kontynencie, sformułował zasadnicze cele swego działania na płaszczyźnie międzynarodowej na następne miesiące. Stwierdzono, że

> *wszystko co możemy powiedzieć z praktyczną pewnością to to, że „eksplozja" Niemiec może nastąpić w bardzo bliskiej przyszłości i że jest dla nas koniecznością podjęcie bezpośrednich środków, aby obronić się przeciwko możliwości bezpośredniego skierowania jej wobec nas*[139].

Brytyjczycy w tej sytuacji mieli tylko jedną możliwość odwrócenia uwagi Niemców od kierunku zachodniego – znaleźć aliantów na wschodzie lub południu Europy. Było bowiem oczywiste, że Hitler uczyni wszystko, by właśnie takich aliantów w pierwszym rzędzie zlikwidować. To musiało zabrać mu jednak czas, na którym tak bardzo zależało Brytyjczykom.

W świetle wcześniejszych uwag można było przyjąć, że docierające do Anglii „przecieki" nie były tylko próbą zasłony dymnej. Wiele wskazuje na to, że Hitler rzeczywiście przygotowywał się w tym czasie do jakiejś akcji na zachodzie Europy. Było to zgodne z logiką wyłożoną podczas konferencji 5 listopada 1937 roku. Zatem rozmowy z Polakami były próbą ponownego uzyskania ich neutralności w przygotowywanych na okres

[138] PRO, CAB 23/97, Protokół posiedzenia gabinetu z 1 lutego 1939 roku.

[139] PRO, CAB 23/97, Protokół posiedzenia gabinetu z 25 stycznia 1939 roku.

po likwidacji Czechosłowacji przedsięwzięciach. Zaryzykowałbym nawet twierdzenie, że w tym momencie Niemcy właśnie dlatego nie przywiązali przesadnej wagi do sprawy Gdańska czy tranzytu do Prus Wschodnich. Dowodzi to pośrednio tezy, że gdyby Beck potrafił upewnić Hitlera o polskiej neutralności dla niemieckich poczynań w Europie Zachodniej, to być może – przy zasygnalizowanej twardej postawie – uzyskałby jednak, przy większej własnej cierpliwości, rozwiązanie problemu gdańskiego, w duchu wariantu południowotyrolskiego.

Hitler miał przecież świadomość, jak wrażliwa – słusznie czy niesłusznie – jest polska opinia na te właśnie sprawy. I miał także świadomość, że ze względów ekonomicznych, nie jest w stanie Polsce nic w tej sprawie narzucić. To Polska bowiem dysponowała całą gamą instrumentów, które mogły – w wypadku próby narzucenia jej siłą jakichkolwiek rozwiązań – doprowadzić do kompletnego upadku ekonomicznego Gdańska, a także istotnie sparaliżować funkcjonowanie enklawy pruskowschodniej. Jednak na zapłacenie tak wielkiej ceny za czysto propagandowy sukces przyłączenia Gdańska, Rzesza nie była wszakże zupełnie przygotowana.

W tej materii doświadczenia minionych lat, kiedy to w napiętych sytuacjach, właśnie jako odpowiedź na agresywniejsze poczynania niemieckie, Polska stosowała taką broń, były bardzo żywe. Jedynym rozwiązaniem, nierzutującym negatywnie na sytuację wewnętrzną Niemiec, byłoby więc przejęcie przynajmniej całego Pomorza Gdańskiego. Ale to wymagało wojny z Polską, a tego wariantu Hitler, oczywiście, nie brał ówcześnie w ogóle pod uwagę.

Jednak wobec rysującej się niepewności w relacjach z Polską, nie chcąc kierować swojego zainteresowania na Zachód bez zrobienia „porządku" z resztkami Czechosłowacji na swoim zapleczu, postanowił doprowadzić do końca tę sprawę Czechosłowacji, a przy okazji rewindykować Kłajpedę. Były to przedsięwzięcia stosunkowo łatwe do realizacji i mogące dać konieczne, a z punktu widzenia sytuacji wewnętrznej, istotne atuty propagandowe. Do tego wejście na teren litewski miało być swoistym testem dla Polski. Otoczenie Hitlera uświadomiło mu zapewne, że właśnie reakcja Polski na zajęcie Kłajpedy da odpowiedź, co do jej obliczalności w perspektywie działań na Zachodzie.

Rozgrywka, która miała tak zasadniczo zmienić sytuację polityczną na kontynencie, rozpoczęła się w istocie 13 marca 1939 roku. Tego dnia w Berlinie przebywał jeden ze słowackich liderów, ksiądz Józef Tiso,

którego Niemcy usiłowali przekonać do proklamowania niepodległości Słowacji na swoim terenie. Ksiądz Tiso oświadczył jednak, że takiej proklamacji może dokonać jedynie parlament słowacki. Następnego dnia, 14 marca 1939 roku w Bratysławie, po jego powrocie z Niemiec, ogłoszono niepodległość Słowacji. Oznaczało to jednocześnie secesję tego kraju z formalnie jeszcze istniejącej Czechosłowacji i w konsekwencji ostateczny rozpad tego państwa.

W tym samym czasie rozpoczęły się podobne wydarzenia na Rusi Zakarpackiej. 13 i 14 marca wojska czeskie zaczęły rozbrajać siły ukraińskiej Siczy, a więc nieformalnej armii autonomicznej w ramach Czechosłowacji Rusi Zakarpackiej. Pod wpływem tych wydarzeń oraz sytuacji na Słowacji, wyłoniony miesiąc wcześniej (18 lutego) parlament zakarpacki proklamował niepodległość Rusi, a dotychczasowy premier autonomicznego rządu, proniemiecki polityk Andrij Wołoszyn, został prezydentem. Wprawdzie Węgrzy podjęli niemal natychmiast ograniczone działania wobec nierozbrojonych przez Czechów oddziałów Siczy, jednak formalnie zwlekali z podjęciem akcji przeciw nowemu tworowi państwowemu. Wyraźnie oczekiwali na wyklarowanie się stanowiska niemieckiego, obawiając się zapewne, że ci mogą objąć, podobnym jak w przypadku Słowacji, protektoratem państwo ukraińskie. Dopiero 16 marca wojska węgierskie, dociskane dość agresywnie przez stronę Polskę, podjęły zdecydowaną akcję na Rusi i opanowały praktycznie cały obszar republiki, docierając też do południowych granic Polski[140]. Niemcy nie zrobili nic, aby ratować nowo kreowaną państwowość ukraińską.

Wkroczenie wojsk węgierskich na Ruś, w powiązaniu z akcją niemiecką na Słowacji, dało asumpt do postawienia w stan gotowości obronnej Rumunii. Dotychczasowe, dość iluzoryczne obawy Rumunii przed zagrożeniem niemieckim nagle stały się bardzo realne. To był m.in. powód, dla którego wieczorem 17 marca 1939 roku, premier Chamberlain, pod wpływem panicznych działań rumuńskiego ambasadora w Londynie Tilei, złożył bardzo wojownicze względem Niemiec oświadczenie w Izbie Gmin.

Jednocześnie dyplomacja brytyjska ponowiła wieczorem, wobec niemal wszystkich krajów europejskich, ofertę stworzenia szerokiego sojuszu

[140] Węgrzy jeszcze 14 marca wystosowali do rządu czechosłowackiego ultimatum, w którym zażądali wycofania wojsk czeskich z Rusi w terminie 12-godzinnym. Czesi ultimatum przyjęli, a w ślad za ich wycofującymi się jednostkami na Ruś wkroczyły wojska węgierskie. Nie napotykając na większy opór niemal doszczętnie rozbitych sił Siczy, bez problemów szybko zajęły cały obszar tej prowincji.

antyniemieckiego. Wspomnieć trzeba, że dwa dni wcześniej, 15 marca, a więc w momencie rozpoczęcia przez Niemców wkraczania do Czech, Chamberlain skomentował to dość łagodnie, nie widząc w toczących się wydarzeniach jakichś bardzo ważnych elementów.

Po przeprowadzeniu rozwiązań uwzględniających oczekiwania węgierskie[141], doprowadzeniu do secesji Słowacji, zajęciu praktycznie bez oporu Pragi i całych Czech oraz słowackiego pogranicza po rzekę Wag, Hitler ogłosił powstanie tzw. protektoratu Czech i Moraw, poddanego całkowitej kontroli niemieckiej. Rozgrywka czechosłowacka była więc definitywnie zakończona, a Niemcy wynosiły z niej maksimum korzyści.

Tym bardziej, że 15 marca Słowacja wystąpiła do Niemiec z prośbą o gwarancję swojej niepodległości. Działanie to było jednoznacznie wymierzone zarówno przeciwko Polsce, jak i Węgrom. Niemcy odpowiedziały pozytywnie na prośbę Słowacji 16 marca. Formalny pakt o tzw. stosunku ochronnym, zawarty został 23 marca 1939 roku w Wiedniu.

Tak przebiegał pierwszy akt marcowego dramatu. Uruchomił on po stronie polskiej lawinę, która była już nie do powstrzymania. Późniejsza o kilka dni niemiecka akcja na Litwie – zajęcie Kłajpedy – dolała tylko oliwy do ognia i dała jeszcze solidniejszą podbudowę dla podjętych decyzji. Polska odebrała bowiem działania niemieckie jako ewidentną próbę okrążenia i doprowadzenia do takiego jej wyizolowania, które zmuszałoby ją do faktycznego podporządkowania Niemcom.

Akcja marcowa, poza oczywistymi korzyściami gospodarczymi i militarnymi, jakie wiązały się z całkowitym podporządkowaniem sobie terenów Czechosłowacji, miała oczywiście dodatkowy wymiar. Przede wszystkim, uderzając w postanowienia monachijskie, Hitler raz jeszcze chciał praktycznie przekonać się, na ile gotowi do działania są i Anglicy, i Francuzi. Miało to olbrzymie znaczenie bez względu na to, w którym kierunku chciał podjąć następne działania. Chciał też przy tej okazji praktycznie zweryfikować wartość sojuszu z Polską, a zwłaszcza jego perspektywy w kontekście planowanych już, zasadniczych rozgrywek ze swoimi głównymi wrogami. Wydaje się, że zarówno akcja na Słowacji jak i na Litwie, poprzez pokazanie Polsce, jak dalece jest już izolowana przez otaczające ją Niemcy, miała w jego pojęciu ostatecznie przekonać Polaków do zacieśnienia współpracy, ale już raczej jako *junior partner*.

[141] Chodzi o wspominany już arbitraż wiedeński z 2 listopada 1938 roku, którego postanowienia pozwoliły Węgrom objąć część obszaru południowej i wschodniej Słowacji.

W tym kontekście Gdańsk i autostrada miały w mojej ocenie drugo- albo i trzeciorzędne znaczenie. Być może nawet dla Niemców były to już w tym momencie jedynie wygodne preteksty, które miały kanalizować polskie myślenie wyłącznie w tym kierunku. Niemcy zakładali więc, że po marcowych faktach dokonanych Polacy w poczuciu realizmu zrezygnują z opierania się im, włączą się do ich rydwanu, zachowają neutralność w rozgrywkach na zachodzie Europy, a w zamian za to zostaną wynagrodzeni w jakiejś formie ustępstwami niemieckimi w sprawie Gdańska. Przeliczyli się bardzo, oczekując tego, że po stronie polskiej zwycięży poczucie realizmu.

Czynników polskich akcja niemiecka przeciw Czechosłowacji nie zaskoczyła. Była ona spodziewana, a od 10 marca zarówno wywiad wojskowy, jak i MSZ, dysponowały informacjami o przygotowaniach do działań niemieckich od 15 marca[142]. Jednakże inaczej niż rok wcześniej w przypadku Austrii i Czechosłowacji, Niemcy nie mieli zamiaru precyzyjnie informować strony polskiej o swoich kolejnych planach[143].

13 marca 1939 roku minister Beck, wiedząc o podróży księdza Tiso do Berlina[144], wezwał do MSZ-u ambasadora Moltkego, któremu zarzucił brak jakichkolwiek informacji ze strony niemieckiej o planowanych działaniach na terenie czechosłowackim. Następnego dnia, a więc w dniu ogłoszenia niepodległości Słowacji, Moltke prosił o przyjęcie przez Becka, chcąc przekazać mu informacje o planowanych działaniach niemieckich. Jednak Beck postanowił go nie przyjmować w tym dniu. Była to także reakcja na odmowę przyjęcia Lipskiego przez Ribbentropa. O takie spotkanie prosił

---

142 Zob. A. Woźny, *Niemieckie przygotowania do wojny z Polską w ocenach polskich naczelnych władz wojskowych w latach 1933–1939,* Warszawa 2002, s. 251. Wskazuje on, że od 1 marca 1939 roku zaczęły napływać do Referatu Studiów Oddziału II Sztabu Głównego „lawinowo" informacje o ukrytej mobilizacji w Niemczech oraz o przemieszczaniu wojsk w kierunku granicy z Czechosłowacją, zaś „13 marca Sztab Główny przedstawił naczelnym władzom wojskowym zbiorcze zestawienie danych z odcinka niemieckiego, z którego wynikało, że w niemieckim planowaniu strategicznym los Czechosłowacji został przesądzony".

143 Ambasador Lipski został przyjęty przez Hitlera 1 marca zaś przez Göringa 2 marca 1939 roku (*Polskie dokumenty…,* s. 130–134). Polski dyplomata wskazywał, iż obaj „podkreślali, że tak długo jak kierują polityką Rzeszy, nie ma obawy by doszło do zatargu w sprawie Gdańska". Jednakże obaj w żaden sposób nie wzmiankowali choćby o z pewnością już przesądzonych planach w stosunku do Czech i Słowacji. Żadnych informacji w tej sprawie nie przekazał też ministrowi Beckowi ambasador von Moltke, przyjęty 7 marca 1939 roku (*Polskie dokumenty…,* s. 138–139).

144 Beck musiał jednak być też zaznajomiony z informacjami Sztabu Głównego o skali koncentracji wojsk niemieckich do ostatecznej rozprawy z Czechami.

on już od 10 marca, a więc od momentu powzięcia w polskiej ambasadzie decyzji o spodziewanej dacie akcji w Czechach.

Beck ponownie wezwał Moltkego 15 marca. Sytuacja była już gorąca. Wojska niemieckie wkraczały od świtu do Czech, parlament słowacki wystąpił właśnie o protekcję niemiecką, parlament ukraiński ogłaszał niepodległość Rusi, a Węgrzy szykowali się do uderzenia na Ukraińców. Jeszcze wieczorem 14 marca niemieckie jednostki SS rozpoczęły wzdłuż granicy polskiej rajd w kierunku Ostrawy, chcąc uniemożliwić ewentualne zajęcie miasta przez oddziały polskie[145]. Dodatkowo skomplikowała się sytuacja wewnętrzna. Prezydent Mościcki przechodził kolejny, tym razem bardzo poważny, kryzys zdrowotny. Niezwykle poważnie rozważano ewentualność złożenia przez prezydenta urzędu i poczyniono w tym zakresie wstępne przygotowania[146]. Sytuacja ta jednak tym bardziej wprowadzała po stronie polskiej napięcie, bowiem główni aktorzy skoncentrowani byli znowu na polityce wewnętrznej.

Być może też w tej nerwowej atmosferze przeoczono jednak szereg możliwości, jakie polskiej stronie dawały zarówno propolskie czynniki po stronie słowackiej[147], jak i czeskiej[148]. W szczególności chyba tylko tym zamieszaniem należy tłumaczyć praktyczne przeoczenie alarmującego radiotelegramu konsula z Bratysławy, wysłanego 9 marca 1939 roku[149]. Warto zacytować go w całości, bowiem pokazuje z całą ostrością, jak dalekosiężne były skutki tego zaniedbania.

---

[145] Była to ewidentnie antypolska demonstracja i swoisty sposób zabezpieczenia się przed jakąś ewentualną polską akcją na wzór akcji bogumińskiej, ale w odniesieniu do całej Słowacji. Notabene polski wywiad sygnalizował, że wojska niemieckie, operujące dość demonstracyjnie przy granicy polskiej, sygnalizowały gotowość do odparcia jakichś ewentualnych polskich działań. Zob. szerzej A. Woźny, *op.cit.,* s. 252 i nast. Nie podzielam jednak opinii tego autora, że Niemcy obawiali się polskich działań w obronie reszty Czech. Czechy były poza polską sferą zainteresowania, zaś Słowacja przeciwnie. Niemcy mogli zatem obawiać się, że polskie oddziały podejmą jakieś próby tworzenia faktów dokonanych.

[146] W. Pobóg-Malinowski, *op.cit.,* t. 2, s. 855–858.

[147] Zobacz choćby sugestie zawarte w telegramie polskiego konsula w Bratysławie z 7 marca 1939 roku, *Polskie dokumenty...,* s. 140–141.

[148] Szczególne znaczenie miała tu ewidentna próba wysondowania stanowiska Polski przez ministra spraw zagranicznych Chwalkowskiego podczas jego rozmowy z ambasadorem Papée 15 lutego 1939 roku (*Polskie dokumenty...,* s. 97).

[149] *Polskie dokumenty...*, s. 145–146.

> *Losy Słowacji ważą się. Słowacy niezdecydowani i chaotyczni. Presja niemiecka w kierunku niepodległej Słowaczyzny pod protektoratem niemieckim coraz silniejsza i natarczywsza.* ***Tiso wyraźnie szuka u nas oparcia*** [podkreślenie moje – GG]. *Najbliższe dni zdecydują o wielkiej stawce. Jeszcze raz proszę o miarodajną instrukcję dla rozmowy z Tiso jutro lub wezwanie T.*[iso] *zaraz do Warszawy. Jestem zdania, że zaofiarowanie Słowakom pełnego naszego poparcia może dziś jeszcze na sytuacji zaważyć.*

Niestety, ten ostatni, jak się zdaje, moment na to, aby zdecydowanie wejść do gry o Słowację został przeoczony.

Wyrazem nienadążania min. Becka za rozwojem wypadków, a może nadmiernej wiary w spokojne wynegocjowanie z Niemcami sprawy Słowacji, była jego instrukcja dla polskich dyplomatów z 13 marca 1939 roku. W tym dniu ksiądz Tiso znajdował się już w Berlinie, a na Rusi rozpoczęły się decydujące manewry ukraińskie i węgierskie. Tymczasem Beck wskazywał, że:

> *stanowisko polskie do państwa słowackiego, będzie zależeć od tego, w jakim stopniu państwo to będzie wyrazem normalnego rozwoju samodzielnego życia politycznego narodu słowackiego*[150].

W opisanych zatem wyżej okolicznościach rozmowa z ambasadorem niemieckim nie mogła być spokojna i rozpoczęła się od ostrych ataków Becka. Moltke jednak musiał przekonać go, że Niemcy nie poprą niepodległości Rusi. To chyba częściowo uspokoiło Becka. Niewykluczone, że Moltke wrócił też do koncepcji wspólnego protektoratu nad Słowacją. Niemcy nie chcieli – zgodnie z tym co obiecywał Hitler w styczniu 1939 roku – fundamentalnie wycofywać się z wcześniejszych ustaleń z Beckiem, ale nie akceptowali wyłącznego protektoratu polskiego. Jakkolwiek spotkanie zakończyło się już w spokojniejszej atmosferze, to jednak Beck nie udzielił żadnej odpowiedzi w sprawie wspólnego protektoratu nad Słowacją.

Być może dlatego, że min. Beck odmówił odniesienia się do tej propozycji niemieckiej, 16 marca Niemcy pozytywnie odpowiedziały Słowacji na prośbę o ochronę jej niepodległości. Wydaje się, że w tym momencie Hitler z jednej strony poświęcił niemieckie interesy na Rusi, dając zielone

[150] *Polskie dokumenty...,* s. 151. Okólnik o stanowisku Polski wobec rysującego się rozpadu Czechosłowacji.

światło Węgrom, uległ jednak presji wojskowych, żądających niewpuszczania Polski na Słowację. Jednak niemieckie oświadczenie nie zamykało jeszcze definitywnie drogi do ewentualnego wspólnego protektoratu polsko-niemieckiego. Tym bardziej, że sami Słowacy nie wykluczali analogicznego wystąpienia o „ochronę" pod adresem Polski[151].

W kontekście opisanych wyżej planów wydaje się, iż można zaryzykować twierdzenie, że to właśnie w tym dniu Hitler podjął decyzję o dążeniu do podporządkowania sobie Polski jako słabszego sojusznika. Skoro nie udało się tego osiągnąć dotychczasowymi metodami dyplomatycznymi, uznano, że presja wynikająca z okrążenia Polski od południa przekona ją ostatecznie do ścisłego współdziałania.

Udzielenie Słowacji gwarancji bezpieczeństwa przez Niemców samodzielnie, pozornie wymierzone przeciw Węgrom, faktycznie zwrócone było przeciw Polsce. Oznaczało bowiem złamanie wcześniejszych uzgodnień warunkujących przecież polską neutralność wobec akcji austriackiej i sudeckiej. Rujnowało to plany polskie leżące u źródeł zaangażowania się w akcję demontażu Czechosłowacji i czyniło położenie strategiczne wobec Niemiec tragicznym. Ale, co najważniejsze, w ocenach min. Becka oznaczało to, że Niemcy nie zamierzali respektować żadnych ustaleń i zdolni byli do – w jego ocenie – radykalnych wolt. W dalszej konsekwencji musiało to prowadzić do konkluzji, trafnie rozpoznającej intencje niemieckie, iż celem tych działań było okrążenie, a następnie pełne podporządkowanie sobie Polski. Dodatkowo, wszystko to skrajnie osłabiało pozycję Becka w układzie sił wewnętrznych w Polsce. To jego osłabienie, miał właśnie z całą mocą wykorzystać w tych dniach marszałek Śmigły-Rydz.

Nie ulega więc wątpliwości, że ze strony niemieckiej dążenie do zaskoczenia Polaków i faktyczne okrążenie Polski, miało być dodatkowym argumentem skłaniającym Polaków do pogłębienia współpracy i przyjęcia niemieckich propozycji, a właściwie w nowej sytuacji, już raczej wspaniałomyślnych jak uważali, warunków.

Tymczasem wydarzenia rozwijały się dynamicznie dalej. 17 marca Beck rozmawiał z brytyjskim ambasadorem Kennardem, który sondował polskie reakcje, na zachodzące zmiany na jej południowej granicy. Kennard

[151] Telegram *charge d'affaires* w Bratysławie po rozmowie z wicepremierem Słowacji z 17 marca 1939 roku. Według niego ksiądz Tiso był zdecydowany na natychmiastowe wystąpienie pod adresem Polski, jeśli ta wyrazi wstępnie zgodę, chciał bowiem w ten sposób zaasekurować słowacką niepodległość przed Niemcami.

instruowany z Londynu, podkreślał już determinację Anglii w tworzeniu antyniemieckiego frontu. Beck był wprawdzie bardzo ostrożny, nie ujawnił nic na temat rozbieżności polsko-niemieckich, ale inaczej niż rok wcześniej, pozostawił sprawę otwartą.

Do gry wewnętrznej w Polsce, ale w konsekwencji także i gry międzynarodowej, wkroczył jednak czynnik wojskowy. Wkroczył bardzo zdecydowanie. Marszałek Śmigły-Rydz uzyskał w tych dniach kanałami wojskowymi informacje, o rzekomo zdecydowanej woli powstrzymania Niemiec ze strony Anglii i Francji. Nie można wykluczyć, że polscy wojskowi poprzez kontakty sztabowo-wywiadowcze ze swoimi odpowiednikami we Francji i w Anglii, byli dociskani na kurs zdecydowanie antyniemiecki. Marszałek, wysuwający się na pozycję pierwszego rozgrywającego, postanowił – niestety – przejąć pełną inicjatywę polityczną. W konsekwencji tego, 18 marca, szef sztabu wydał zarządzenia stawiające w stan gotowości bojowej część sił zbrojnych, w szczególności marynarkę wojenną i lotnictwo.

Można zastanawiać się, czy ten bardzo ważki w ówczesnej sytuacji ruch był rzeczywiście pierwszym realnym krokiem ku wojnie, do tego wywołanym – jak wszystko wskazuje – przez sztaby angielski i francuski? Nie można wykluczyć, że zarządzenia te wywołane zostały informacjami o niemieckich planach na Litwie. Polski wywiad dostrzegał przygotowania niemieckie do inwazji morskiej od 17 marca[152]. Czy obawiano się niemieckiej akcji w Gdańsku? Czy gotowość bojowa całych polskich sił na wybrzeżu i marynarki wojennej miała odstraszyć Niemców od próby ataku w Wolnym Mieście[153]?

---

[152] A. Woźny, *op.cit.*, s. 253.

[153] Informacje i dokumenty, którymi dysponujemy, nie pozwalają w żaden sposób rozstrzygnąć, jaki był rzeczywisty cel podejmowanych w tych dniach działań wojskowych po stronie polskiej. Czy chodziło rzeczywiście o zabezpieczenie się na wypadek jakiejś akcji niemieckiej w Gdańsku? Czy może chodziło o jakieś działanie polskie w Prusach Wschodnich, które miało ewentualnie zaskoczyć Niemców i wyprzedzić ich przyszłe działania? Czy wreszcie może były to jakieś przygotowania do akcji na terenie słowackim? Nie mamy dostatecznej bazy dokumentacyjnej, aby przyjąć jakąkolwiek opcję, ale jedno nie ulega wątpliwości. Z pewnością nie chodziło o zapobieganie jakimś akcjom niemieckim, bo takich po stronie niemieckiej w ogóle nie planowano. Co więcej, polski wywiad miał pełną wiedzę, co do tego, że w Prusach Wschodnich, na Pomorzu Zachodnim i na Śląsku pozostały bardzo wątłe siły niemieckie (łącznie równowartość 6–7 dywizji piechoty). Większość jednostek niemieckich znajdowała się w tych dniach w trakcie przejazdów i przegrupowań z Czech w głąb Niemiec. Armia polska miała zatem idealne warunki do przeprowadzenia akcji prewencyjnej, ale nie musiała się wtedy mobilizować do jakiejkolwiek obrony przed agresją niemiecką.

19 marca sztab już wiedział, że Niemcy udają się z ekspedycją morską, by przejmować Kłajpedę. Zagrożenia dla Gdańska i Pomorza nie było (wywiad polski informował, że w Prusach nie ma żadnych ruchów wojsk w kierunku Gdańska), więc pogotowie bojowe można było odwołać[154]. Tym bardziej, że Niemcy dostrzegli natychmiast polską gotowość. Sami wpadli w panikę, bo obawiali się polskiej kontrakcji w Gdańsku, a nie mieli możliwości, aby jej w jakikolwiek sposób zapobiec. Odwrócenie zaś polskiego faktu dokonanego w Wolnym Mieście byłoby później właściwie niewykonalne.

Nerwowość zatem narastała po obu stronach. Beck oczywiście wiedział o planach niemieckich względem Kłajpedy, ale Niemcy dotąd respektowali fakt, iż Litwa jest *sui generis* polską strefą wpływów. Brak uzgodnienia akcji w Kłajpedzie, udział w niej Hitlera, wreszcie porozumienie zawarte między Litwą a Niemcami 22 marca, było kolejnym sygnałem, że Niemcy zrywają wcześniejsze ustalenia i okrążają Polskę. Trudno było uwierzyć Beckowi, że w przeddzień zajęcia Kłajpedy Niemcy ustalali z Litwinami szczegóły tej właśnie akcji. Skoro tak, to musiało chodzić o próbę zdominowania Litwy, a więc o dalsze okrążanie Polski, tym razem dodatkowo od północy.

Między 19 a 22 marca, w związku z powyższym rozwojem sytuacji po stronie polskiej, zapadły ostateczne decyzje przesądzające o kursie wojennym. Skutkowały one ogłoszeniem mobilizacji alarmowej, która uruchamiając machinę wojenną, musiała prowadzić prędzej czy później do wojny. Polskie decyzje zapadały w wielkiej nerwowości, w atmosferze wewnętrznej konfrontacji Becka ze Śmigłym-Rydzem, z niewątpliwym udziałem czynników angielskich i francuskich. Ale przede wszystkim zapadały w następstwie decyzji niemieckich. Niemiecka akceptacja słowackiej prośby o protektorat, wyrażona oficjalnie 16 marca, była dla strony polskiej ostatecznym potwierdzeniem niemieckiego dążenia do podporządkowania sobie Polski. Na to nie było zgody ani Becka ani Śmigłego-Rydza. Różnica polegała na tym, że Beck widział zapewne dalsze możliwości gry dyplomatycznej, a Śmigły chciał już „się trzaskać". 21 lub 22 marca

[154] W trakcie niemieckiej operacji marcowej polski wywiad stosunkowo precyzyjnie rozpoznał ruch zdecydowanej większości jednostek niemieckich. Po stronie polskiej była pełna świadomość tego, że Niemcy zaangażowali do tego działania gros swoich sił, więc supozycje, z których miałoby wynikać, iż równocześnie byliby oni zdolni do jakiejkolwiek innej, równoległej akcji zbrojnej, a już zwłaszcza jakiejkolwiek akcji przeciwko Polsce, mogłyby pochodzić jedynie ze źródeł całkowicie niepoważnych. Jeżeli polska mobilizacja alarmowa miałaby być odpowiedzią na zbrojne zagrożenie niemieckie, to wszelkie ustalenia polskiego wywiadu z tego okresu muszą zadawać całkowicie kłam takiej próbie interpretacji.

1939 roku górę wziął ten drugi, wpychając Polskę – bez potrzeby – na nieodwracalną ścieżkę wojenną.

W tym właśnie kontekście widzieć należy, z całą pewnością, rozmowę Ribbentropa z ambasadorem Lipskim, odbytą 21 marca 1939 roku. Ten dzień można skądinąd uznać za moment zwrotny w dziejach Europy i Polski w pełnym tego słowa znaczeniu. W tym też bowiem dniu rząd brytyjski, nad wyraz trafnie odczytujący rzeczywisty sens niemieckich działań, przesłał do Warszawy telegram, w którym proponował Polsce wspólną z Francją i Związkiem Sowieckim akcję na rzecz powstrzymania dalszej agresji niemieckiej[155]. Dla min. Becka angielski telegram był nieoczekiwanym wybawieniem ze skomplikowanej dla niego nieoczekiwanie sytuacji.

Lipski przygotowywał się do tej rozmowy w Warszawie, dokąd przybył 20 marca nad ranem, wezwany przez Becka poprzedniego dnia. Zaraz po przybyciu do stolicy odbył bardzo długą, wspólną konferencję z Beckiem i Śmigłym-Rydzem. Wspólne spotkanie z ambasadorem dowodziło, iż marszałek nie tylko przejmuje pełną inicjatywę polityczną, ale również, że nie ma zaufania do informacji płynących z berlińskiej ambasady za pośrednictwem MSZ-u. Lipski był w złym nastroju, miał świadomość, że budowane przezeń w mozole relacje polsko-niemieckie właśnie kompletnie się rozpadają. Nie wiemy, jakie instrukcje otrzymał na tym spotkaniu. Wiadomo, że później tego samego dnia konferował jeszcze długo z samym Beckiem i Szembekiem. Czy tu instrukcje były inne?

20 marca, a więc zapewne po spotkaniu Lipskiego z ministrem i marszałkiem, ale i zapewne po kolejnych rozmowach Lipskiego, Beck podpisał wewnętrzną notatkę dla najważniejszych pracowników swojego resortu. Zapowiedział w niej zasadniczą zmianę kierunku polskiej polityki zagranicznej. Pisał w niej w pierwszym, najważniejszym punkcie, że:

> *ostatnie posunięcia Niemiec zwiększyły niepomiernie i równocześnie przybliżyły groźbę wojny. W całości posunięcia te mają charakter operacji militarnej, zagrażającej w pierwszym rzędzie swobodzie politycznych i mobilizacyjnych działań Polski*[156].

[155] PRO, CAB 23/98, Protokół posiedzenia gabinetu z 18 i 20 marca 1939 roku. 18 marca premier Chamberlain powiedział, że „Polska jest kluczem do sytuacji", stąd konieczne jest znalezienie dróg do porozumienia się z Polską bardziej niż z innymi krajami. Wskazywał na konieczność zorientowania się w nastawieniu Polski i jej sposobie widzenia aktualnej sytuacji, zwłaszcza zaś pozycji krajów zagrożonych agresją niemiecką. Wychodząc z takich przesłanek, postanowiono skierować ofertę pod adresem Polski.

[156] Zob. AAN, MSZ, t. 108 a.

Dokument ten wprost dowodzi tego, że powodem zasadniczych rozbieżności polsko-niemieckich stał się rozwój sytuacji na Słowacji, a właściwie – choć z oczywistych powodów nie zostało to zapisane wprost – złamanie przez stronę niemiecką, poczynionych w tej sprawie w początkach 1938 roku ustaleń. To właśnie te wydarzenia zaważyły o wykonaniu przez min. Becka zasadniczego zwrotu politycznego.

Wiele lat wcześniej min. Beck dowodził, że „na to się jest oficerem artylerii konnej, żeby umieć zrobić zwrot baterii o 180 stopni w pełnym galopie". Tym razem dokonywał tego zwrotu pod presją swojego wojskowego przełożonego, generalnego inspektora, prącego ze swym otoczeniem do konfrontacji zbrojnej z Niemcami. W takich warunkach zwrot nie miał prawa się nie udać.

Lipski ruszył do Berlina wieczorem, by po przyjeździe udać się na spotkanie z Ribbentropem. Dwie spędzone w podróży noce i olbrzymie napięcie w Warszawie z pewnością mogą tłumaczyć trudności podczas tej rozmowy.

Spotkanie znowu koncentrowało się przede wszystkim wokół Słowacji. Potwierdza to raz jeszcze, o co toczyła się gra i o czym zapewne rozmawiał Lipski dzień wcześniej z Beckiem i Śmigłym. Gdańsk i autostrada były w tym momencie zagadnieniem nieistotnym.

Ribbentrop dał do zrozumienia, że Niemcy są gotowe – mimo poczynionych faktów dokonanych – wrócić do kwestii wspólnego protektoratu nad Słowacją. Niewykluczone, że złożył takie zapewnienie pod wpływem żądania Lipskiego, powrotu do wcześniejszych ustaleń polsko-niemieckich w sprawie Słowacji. Logika wydarzeń wskazuje na to, że Beck i Śmigły zobowiązali go do postawienia swoistego ultimatum w tej sprawie. I choć Ribbentrop, widząc nerwowość po stronie polskiej, był stosunkowo miękki i cofnął się, deklarując powrót do poprzednich propozycji niemieckich, dla Polski to było za mało.

Jakkolwiek informacje szczegółowe o przebiegu spotkania Lipskiego dotarły do Warszawy następnego dnia wieczorem, to niemal natychmiast po spotkaniu przekazał on telegraficznie Beckowi informację[157], że Niemcy nie zgodzili się na przywrócenie uzgodnionego porozumienia w sprawie słowackiej. Pod wpływem tej informacji w Warszawie zaczęły zapadać

[157] Telegram Lipskiego dotarł do MSZ ok. 15.30. Zob. AAN, Instytut Hoovera, MSZ 231.

kluczowe decyzje. Minister Beck był bowiem od południa całkowicie niedostępny dla dobijającego się o spotkanie ambasadora Kennarda[158].

Kennard chciał przekazać polskiemu ministrowi fundamentalną propozycję brytyjską. Spotkał się z Beckiem dopiero późną nocą, bowiem około godziny drugiej, już 22 marca, raportował do Londynu, że w końcu udało mu się przekazać ją polskiemu ministrowi.

Jak doszło do tego, że Brytyjczycy wystosowali tę propozycję? Wielkie podniecenie, związane ze spodziewanym atakiem na Zachodzie, ustąpiło w początkach lutego 1939 roku. Wtedy to wywiady brytyjski i francuski ustaliły, że po stronie niemieckiej brak jest wyraźnych oznak świadczących o przygotowywanym ataku na Holandię. Anglicy i Francuzi spodziewali się jednak, że to nie koniec ich obaw, równolegle bowiem pojawiły się pogłoski o niemieckich planach zajęcia Danii i Szwajcarii. Być może nie miały one takiej wagi jak zagrożenie Holandii i Belgii, ale skupiały cały czas uwagę na zachodnim teatrze działań.

Kiedy zatem Niemcy dobijali Czechosłowację i cieszyli się bezczynnością Anglii i Francji, nie mieli chyba świadomości, jak wielką sprawili im radość i ulgę. Ten brak reakcji był bowiem swoistym sygnałem zachęty do kontynuowania poczynań Hitlera w tamtym rejonie Europy.

Na posiedzeniu gabinetu 15 marca 1939 roku wyraził to najpełniej angielski minister wojny L. Hore-Belisha uznając, że zajęcie przez Hitlera po raz pierwszy terytorium nie niemieckiego, to początkowy krok w realizacji jego zamierzeń wyrażonych w haśle *„Drang nach Osten"*. Jednocześnie stwierdzał on, że

> *musimy zachęcić do nawiązania najściślejszych stosunków z nami Rumunię, Turcję i jeśli to możliwe Węgry*[159].

Trudno o precyzyjniejsze przedstawienie zainteresowań Brytyjczyków w tym czasie.

Uruchomieniu dyplomacji angielskiej, i podążającej za nią jak cień dyplomacji francuskiej w tym właśnie kierunku, miała służyć wspomniana już inicjatywa – deklaracja Anglii, Francji, Polski i Związku Sowieckiego, która miałaby wyrazić wspólną wolę powstrzymania niemieckiej

---

158 Ta chronologia wydarzeń dowodzi, że właśnie 22 marca polskie kierownicze czynniki państwowe podejmowały zasadnicze decyzje polityczne i wojskowe, które zaowocowały znanymi nam działaniami.

159 PRO, CAB 23/98, Protokół posiedzenia gabinetu z 15 marca 1939 roku.

agresji[160]. Przedsięwzięcie to w sposób oczywisty miało wzmocnić tendencję zmierzającą do odwrócenia zainteresowania niemieckiego od zachodniej części Europy. Już bowiem kilka dni wcześniej Anglicy otrzymali kolejne wiadomości, tym razem o naciskach niemieckich na rząd rumuński. Okazało się, że Niemcy chcieli zmusić Rumunię do sprzedawania im całej produkcji ropy naftowej oraz nadwyżek pszenicy.

Dla Anglików wszystko to oznaczało niezwykle korzystny, choć zupełnie nieoczekiwany, zwrot. Trzeba tu wskazać, że kiedy w połowie stycznia 1939 roku, Węgry ogłosiły przystąpienie do paktu antykominternowskiego, nie wywołało to poważniejszej reakcji i komentarzy Anglii i Francji. A fakt ten, w powiązaniu ze współdziałaniem Węgier przy likwidacji Czechosłowacji w kontekście możliwego oddziaływania także i na Rumunię, powinien już wtedy stanowić przedmiot niepokoju.

Dopiero jednak po kilku tygodniach uświadomiono sobie z całą mocą powagę sytuacji. Poza bowiem pewnym zadowoleniem z racji odwrócenia uwagi Niemiec od państw zachodnich była i konstatacja, że Rumunia ma duże znaczenie jako źródło ważnych surowców, ale także jako istotny punkt oparcia dla ewentualnej dalszej agresji na Bałkanach. Jednocześnie jednak trudno oprzeć się wrażeniu, że ów wcześniejszy brak reakcji czy zainteresowania należy widzieć łącznie ze sprawą braku reakcji na rozbicie Czechosłowacji. Przecież Rumunia nie nabrała dla Anglików znaczenia tak nagle i to tylko wskutek przecieków czy donosów wywiadowczych. Wydaje się, że był to element wspomnianej już gry na odwrócenie uwagi Hitlera, wręcz zachęcenie go do poszukiwania nowych zdobyczy w tej części Europy.

Z tego punktu widzenia owo nagłe zainteresowanie obroną Rumunii nabiera zupełnie innego wyrazu. Oto bowiem pojawiła się koncepcja sojuszu wspierającego Rumunię, z udziałem Turcji, a i może Grecji[161]. Wystarczy spojrzeć na mapę, by dostrzec nierealność tego pomysłu i brak jakiegokolwiek praktycznego znaczenia. Ale przecież nie o to tu chodziło. Chodziło o to, by Hitlera skierować na Bałkany, gdzie musiałby ugrzęznąć na dłuższy czas.

W tym też kontekście widzieć trzeba inicjatywę wspólnej deklaracji czterech mocarstw. Takie właśnie ujęcie tej propozycji było, jak się zdaje, obliczone na pozyskanie minimalnej choćby przychylności Polski. Właśnie

[160] PRO, CAB 23/98, Protokół posiedzenia gabinetu z 18 marca 1939 roku.

[161] *Ibidem.*

dlatego postawiono ją w gronie najważniejszych państw europejskich, znane bowiem było wyczulenie min. Becka na punkcie takiego właśnie traktowania Polski. Widziano też, jak boleśnie odczuł on pominięcie jego osoby przy ustaleniach monachijskich.

Nie ulega jednak wątpliwości, że w tym momencie nie tylko dla Niemców, ale może przede wszystkim właśnie dla Anglików, Polska była rzeczywistym „kluczem do sytuacji"[162]. Jednak i Anglicy, a jeszcze bardziej Francuzi, nie wierzyli zanadto w szanse tego manewru i możliwość wyciągnięcia Polski z sojuszu z Niemcami. Sam Chamberlain tłumaczył swym kolegom z gabinetu, że w inicjatywie tej chodzi tylko o to, „by dowiedzieć się, jak daleko Polska gotowa jest iść wzdłuż linii" sprzeciwu wobec dalszej agresji niemieckiej. Francuzi twierdzili, że Polacy nie udzielą pozytywnej odpowiedzi na ich propozycję. Dobrze, w opinii Brytyjczyków, zorientowany w sprawach Polski ambasador Egiptu w Londynie twierdził, że „Polska nie opuści swej centralnej pozycji"[163]. Powyższe zdanie dowodzi, jak silne było przekonanie o solidności związków polsko-niemieckich i to w okresie, kiedy od kilku miesięcy zaznaczał się istotny impas w tych relacjach[164].

Można tu dostrzec jeszcze jeden charakterystyczny element. W trwających ponad rok staraniach angielskich o zmontowanie bloku antyniemieckiego pojawiły się właściwie wszystkie kraje europejskie, nie wyłączając Włoch czy Hiszpanii rządzonej przez gen. Franco. Nie pojawiały się konsekwentnie tylko dwa kraje – uchodzące za ścisłego sojusznika Niemiec – Bułgaria i... Polska. I jest charakterystyczne, że tuż po propozycjach wobec Polski podjęto też próby pozyskania Bułgarii. Potwierdza to

---

162 *Ibidem*.

163 PRO, CAB 23/98, Protokół posiedzenia gabinetu z 22 marca 1939 roku. Ambasador francuski w Londynie wyraził Lordowi Halifaxowi opinię, że odmowa pozytywnej odpowiedzi na propozycję anglo-francuską ze strony Becka motywowana będzie brakiem ewentualnej „materialnej pomocy ze strony Zachodnich Mocarstw w przypadku konfliktu". Ciekawe, że to, czego obawiali się zachodni politycy, w ogóle nie przyszło do głowy Beckowi.

164 Świadczy to skądinąd o wyjątkowej „szczelności" dyplomacji i polskiej, i niemieckiej, bowiem praktycznie nikt w Europie nie wiedział o pojawiających się miedzy obu państwami problemach. Co więcej, uważano mające w tym czasie miejsce kontakty polsko-niemieckie za kontynuację dotychczasowych konsultacji, których rezultaty były aż nadto oczywiste. Z drugiej strony dowodzi to także o nietrafności poglądów, że Niemcy realizowali od października scenariusz konfrontacji z Polską. Gdyby tak było, to przecież oczywiste jest, iż uczyniłyby wszystko, aby poinformować Europę o swych postulatach i absurdalności stanowiska Polski. Tak stało się dopiero w końcu kwietnia, kiedy Hitler ujawnił swe żądania i to bez wątpienia rozpoczynało, wtedy jeszcze stonowaną, kampanię antypolską. Ta jednak tak naprawdę ruszyła w drugiej połowie maja.

angielską determinację w chęci odwrócenia uwagi Niemców, ale i fatalny odbiór dotychczasowej polityki Polski w tym momencie. Pokazuje to też determinację w działaniach na rzecz stworzenia układu, który w przeciwieństwie do kryzysu czechosłowackiego na długo zaangażowałby Niemców.

Stąd też zwrócenie się do Polski było, z punktu widzenia Brytyjczyków, swego rodzaju „rzutem na taśmę" czy zupełnie „ostatnią deską ratunku". Liczyli tu też i na to, że Polska powiązana była istotnie z Rumunią. I choć związek ten był zorientowany na wspólną obronę przed Sowietami, to mieli nadzieję, że uda się go poszerzyć i włączyć Polskę do tej kombinacji. Tylko bowiem z udziałem Polski planowany blok mógł mieć jakikolwiek sens militarny – bez jej pomocy nie była możliwa żadna efektywna pomoc w obronie Rumunii.

Co tymczasem działo się w Warszawie, gdzie min. Beck odczytał żądania niemieckie jako uwerturę możliwego konfliktu? Wydawać by się mogło, że w obliczu tak rozpoznanego zagrożenia, dyplomacja polska powinna podjąć intensywne wysiłki na rzecz wydobycia kraju z izolacji. Ale właściwie, poza podpisanym 19 lutego 1939 roku układem handlowym ze Związkiem Sowieckim[165], nie znajdziemy jakichś poważniejszych inicjatyw polskich. Można wręcz powiedzieć, że jak na taką skalę zagrożenia, jaką widziano w niemieckich postulatach, faktyczna reakcja polska była wyjątkowo i zastanawiająco bierna. Nagłe ożywienie nastąpiło tak naprawdę w drugiej połowie marca i to po kolejnej rozmowie Ribbentropa z Lipskim, w kontekście likwidacji Czechosłowacji. A zatem w momencie, gdy wiadomo już było, że dokonujemy owego radykalnego zwrotu politycznego.

Nie sposób oprzeć się z tego punktu widzenia wrażeniu, że wokół opisanych wcześniej rozmów polsko-niemieckich i zgłoszonych podczas nich, rzekomo kategorycznych, żądań pod adresem Polski, zbudowana została *ex post* cała otoczka mająca udowodnić dążenie Niemiec do podporządkowania sobie Polski od października 1938 roku. Jeśli tak byłoby w istocie, to owe niemal pięć miesięcy, od spotkania na Zamku w następstwie wizyty Becka w Berchtesgaden, do spotkania Ribbentropa z Lipskim

[165] Tekst traktatu [w:] DzU RP z 1939 r., nr 24, poz. 153. W „gęstniejącej" sytuacji fakt uregulowania polsko-sowieckich relacji handlowych nie został dostrzeżony jako istotny czynnik zbliżający oba kraje. Dowodzą tego późniejsze naciski francuskie i angielskie, uznawano bowiem, że stosunki polsko-sowieckie znajdują się w głębokim impasie, co było w ich opinii logiczną konsekwencją zbliżenia do Niemiec.

21 marca, stanowiłyby, jako przykład zastanawiającej bierności w dążeniu do zaasekurowania swojej pozycji względem Niemiec, dowód swoistego sabotażu.

Czyżby zatem wbrew głoszonym przez siebie opiniom, minister Beck nie traktował poważnie niemieckiego zagrożenia? A jeśli tak, to jak rzeczywiście traktował sprawę Gdańska i czego Gdańsk miał być właściwie „barometrem"? Trudno, niestety, na pytania te znaleźć dziś odpowiedź nie budzącą wątpliwości.

4.

To proste: BĘDZIEMY SIĘ BIĆ

Jak wspominałem, rozmowa ministra Ribbentropa z ambasadorem Lipskim, która odbyła się w kilka dni po unicestwieniu Czechosłowacji, miała, jak się zdaje, dać Niemcom odpowiedź na pytanie, czy po swoistym dociśnięciu w sprawie słowackiej i zapaleniu w Warszawie wątpliwości co do swoich intencji na Litwie, dalej mogą liczyć na przychylność Polski w realizacji swych planów. W szczególności chodziło im o ustalenie tego, czy w obliczu rysującego się strategicznego okrążenia Polski istnieją szanse na włączenie jej do projektowanego ściślejszego bloku polityczno-militarnego.

Wydaje się, że ostatecznie jednak Niemcy świadomie wybrali swoiste pogwałcenie wcześniejszych ustaleń ze stroną polską w sprawie Słowacji. Chodziło o to, aby przede wszystkim nie dopuścić do nadmiernego wzmocnienia Polski w Europie Środkowej. Nie ulega bowiem wątpliwości, że nowa sytuacja, w której to Polska byłaby protektorem Słowacji, prowadziłaby do solidnego wzmocnienia współpracy polsko-węgierskiej, a w ślad za tym ugruntowywałaby niezwykle silną pozycję Polski w Europie Środkowej.

Niemcy rozumieli, że nowa sytuacja wcale nie poprawiałaby ich strategicznej pozycji na wypadek konfliktu z Polską. Polska obecność w Słowacji osłabiała wydatnie dopiero co zdobyte pozycje niemieckie w Czechach i w Austrii, a nawet w południowych Niemczech. Jednocześnie ewentualne działania niemieckie przeciw Polsce ze Śląska w dalszym ciągu byłyby bardzo ryzykowne.

Były to zapewne istotne przesłanki, które powodowały, że Niemcy podjęli ryzykowną grę. Świadomie uderzali we wcześniejsze uzgodnienia, albo przynajmniej wycofywali się ze swojej milczącej zgody na samodzielną polską dominację na Słowacji, zakładając, że zmusi to Polskę do uległości. Wydaje się jednak, że nie zakładali tak gwałtownej zmiany sytuacji i nie podejrzewali Polski o możliwość dokonania tak radykalnego zwrotu. Tym bardziej, że w nowej sytuacji strategicznej Polska stanąć musiała wobec głęboko flankujących ją Niemiec.

To dlatego Ribbentrop, będąc pewny swoich pozycji, podczas rozmowy z Lipskim zachowywał spokój i zimną krew. Dlatego też to, co uderza przy analizie przesłanego przez polskiego ambasadora raportu[166] z tej rozmowy, to zupełna niewspółmierność treści i tonacji wystąpienia niemieckiego ministra do reakcji na treść jego wypowiedzi strony polskiej. W nowej sytuacji było to jednak najzupełniej oczywiste.

Ribbentrop przypomniał styczniowe propozycje złożone przez Hitlera Beckowi, podkreślając niemiecką intencję do ostatecznego zagwarantowania granicy polsko-niemieckiej. W kontekście polityki okrążenia, musiało to brzmieć już jednak bardzo cynicznie, a niemiecki minister stawiał się tu raczej w pozycji swego rodzaju łaskawcy, składającego wobec *junior partner* propozycję nie do odrzucenia.

Niemiecki minister wskazał również na niezmienną chęć utrzymania przez Niemcy dobrych stosunków z Polską i zauważył, że

> *powstające między nami trudności wynikają także z braku całkowitego zrozumienia rzeczywistych zamiarów Rzeszy.*

Zaproponował w związku z tym rozważenie interesujących oba państwa spraw „na najwyższym szczeblu".

Jeżeli zapis Lipskiego jest wiernym oddaniem przebiegu rozmowy, a nie ma podstaw, by w tym wypadku poddawać to w wątpliwość, to bez przesady można stwierdzić, że to jego wypowiedzi i ton polemik były zdecydowanie twardsze i bardziej stanowcze. Nie może to dziwić, bowiem ambasador był nie tylko świadom poczynionych co do kwestii słowackiej ustaleń, ale rozumiał także konsekwencje strategiczne nowej sytuacji na tym obszarze. Do takiej zdecydowanej postawy został zobligowany przez rząd polski, a więc całe kierownictwo państwowe, i miał on ostatecznie wyjaśnić kwestię słowacką.

Ambasador Lipski – to szczególnie ważne spostrzeżenie – formułując wnioski z tej rozmowy, wskazał na dwa elementy:

> *rozmowa* (...) *ma być może na celu zapewnienie naszej neutralności podczas kryzysu na tle Kłajpedy oraz Niemcy zdecydowały się szybko zrealizować swój program wschodni, stąd pragnę mieć jasno określone stanowisko Polski.*

[166] Raport ambasadora Lipskiego z rozmowy z ministrem Ribbentropem, odbytej 21 marca 1939 roku, *Polska w polityce...,* s. 104–108.

Trudno byłoby, jak sądzę, wśród polskich polityków znaleźć ówcześnie osobę, która miałaby lepszą znajomość realiów niemieckiej polityki i strategii ówczesnego kierownictwa Rzeszy niż ambasador Lipski. Zauważyć jednak należy, że ten, niewątpliwie wyczulony na niemiecki sposób uprawiania polityki, dyplomata nie wyniósł jednak mimo wszystko z tej rozmowy wrażenia, że Niemcy chcą:

> *uczynić pierwszy krok w dążeniu* (...) *do opanowania Polski tak pod względem gospodarczym, jak i politycznym i uczynienie z niej biernego narzędzia dla swych zaborczych planów*[167].

Owszem, dostrzegł on powagę sytuacji, widział możliwość wzmożenia nacisków w ramach realizacji celów polityki wschodniej Niemiec. Sygnalizował też wyraźnie, że w jego ocenie kwestia słowacka jest już rozstrzygnięta, a na stole rozgrywki pojawiły się zupełnie inne problemy. Niezależnie bowiem od tego, co jeszcze mogło się stać na Słowacji, oczywiste dla niego było to, że Niemcy reorientują właśnie swoją politykę z zainteresowania Zachodem, na rzecz aktywności na Wschodzie.

Ale z pewnością daleki był od kategorycznych sądów, a już tym bardziej od tworzenia obrazu stanu bezpośredniego zagrożenia bezpieczeństwa państwa. Takiego wniosku nikt na podstawie tej rozmowy wyciągnąć nie miał prawa. Chociaż z całą pewnością nowa sytuacja oznaczała znaczące pogorszenie pozycji Polski wobec Niemiec i ambasador Lipski nie miał co do tego żadnych wątpliwości.

Jednak istotą sygnalizowanego wyraźnie od momentu wizyty Ribbentropa w Warszawie zwrotu niemieckiego było przede wszystkim zainteresowanie kwestią sowiecką. Polska, wobec podjętej przez Niemców próby uzyskania bezpośredniego dostępu do Związku Sowieckiego (na północy poprzez kraje bałtyckie a na południu poprzez Słowację, a dalej poprzez węgierską już Ruś Zakarpacką)[168], musiała się wyraźnie określić. Zresztą, zarówno w przypadku aktywności Niemiec i na Zachodzie, i na Wschodzie Europy, po marcu 1939 roku miejsca dla neutralnej Polski już nie było. Z punktu widzenia Niemiec, Polska była im potrzebna jako ważny sojusznik

---

[167] W. Stachiewicz, *Pisma, Tom II,* „Zeszyty Historyczne", t. 50, Paryż 1979, s. 15.

[168] Szersze światło na skalę przygotowań niemieckich do wojny ze Związkiem Sowieckim w różnych wariantach rzuca monografia autorstwa R. Dieter-Müllera, *Wspólny wróg. Hitlerowskie Niemcy i Polska przeciw Związkowi Sowieckiemu*, Warszawa 2013. Są tam też analizy dotyczące wagi przywiązywanej przez Niemców do współdziałania z Polską w planowanym konflikcie.

na wypadek konfrontacji na obu kierunkach. Sojusznik, pod warunkiem wyrażenia przez Polskę woli występowania w takim charakterze albo *junior partner* przymuszony dojmującą od wydarzeń marcowych przewagą strategiczną Niemiec. Niemcy byli przekonani, że nie pozostawili już Polsce żadnego pola manewru i żadne niespodzianki ich nie mogą z jej strony spotkać. Zakładali zatem, że w obliczu takiego wyboru, Polska skorzysta z szansy pozostania ważkim sojusznikiem Niemiec i to była istota ich ówczesnej – jak to określali – wspaniałomyślności wobec Polski.

Lipski wyczuwał to doskonale, ale nie jest pewne, że w Warszawie prawidłowo odczytano istotę dość skądinąd subtelnego przekazu ambasadora. Wydaje się, że, zwłaszcza pod wpływem reakcji kół wojskowych mających pełną świadomość najdalej idących negatywnych konsekwencji, wynikających z nowej sytuacji na Słowacji, zapadła decyzja o podjęciu radykalnych kroków, skierowanych w istocie przeciwko Niemcom. Była to, jak się zdaje, próba zademonstrowania polskiej determinacji w utrzymaniu dotychczasowej pozycji wobec Niemiec, ale był to również wyraz gwałtownego osłabienia zaufania, co do skuteczności dotychczasowej polityki prowadzonej przez Becka. A jednocześnie manifestacja, że ani *junior partnerem* ani sojusznikiem Niemiec Polska nie zamierza być.

Nie może być najmniejszych wątpliwości co do tego, że minister Beck przekazał treść wcześniejszych ustaleń dotyczących Słowacji zarówno prezydentowi Mościckiemu, jak i marszałkowi Śmigłemu-Rydzowi. O mającej nastąpić w nieodległej przyszłości zmianie sytuacji strategicznej na południowej granicy musieli też z pewnością wiedzieć najbliżsi współpracownicy marszałka, zwłaszcza ci z Generalnego Inspektoratu Sił Zbrojnych i Sztabu Głównego. Wydarzenia marcowe musiały stanowić dla nich w tym kontekście rzeczywiście wielkie zaskoczenie, co znalazło odzwierciedlenie we wspomnieniach gen. Stachiewicza[169]. Nacisk wojskowych stał się

[169] W. Stachiewicz, *Wierności...*, s. 382 i nast. Tylko przyjmując takie założenie, można w ogóle rozumieć sens stwierdzeń Stachiewicza. W jego otoczeniu musiało istnieć silnie zakorzenione przekonanie, że zapoczątkowana destrukcją Austrii, a później Czechosłowacji, zmiana sytuacji na południowej granicy Polski, nie wywołuje zagrożenia już w ciągu 1938 roku, zwłaszcza po kryzysie monachijskim. Takie tolerowanie tych zmian przez polski sztab musiałoby zostać uznane za dowód skrajnej lekkomyślności, wręcz głupoty. Jedynym wytłumaczeniem bierności sztabu, nawet w warunkach zaangażowania gros jego sił w końcowe prace nad Planem „Wschód", może być tylko jego pewność, że poprzez faktycznie zwasalizowanie Słowacji, sytuacji Polski względem Niemiec z pewnością się nie pogorszy. Stąd też gwałtowność reakcji sztabowców w momencie, gdy okazało się że Słowacja stała się, wbrew istniejącemu przekonaniu, niemieckim protektoratem, z którego możliwe były działania przeciw Polsce.

od tej pory z pewnością bardzo istotnym, choć nie najbardziej pozytywnym elementem, mającym wpływ na działania Becka. Zmusiło go to do porzucenia dyplomatycznej subtelności w kolejnych przedsięwzięciach, ale – co zdecydowanie ważniejsze – wprowadziło do polskiej polityki zagranicznej elementy wielkiej nerwowości i, w konsekwencji, nieobliczalności. Widać to wyraźnie w kolejnych, kluczowych dla rozwoju dalszych wydarzeń, tygodniach.

Minister Beck pod wpływem kół wojskowych, ale również wskutek informacji Lipskiego oraz własnych intuicji, nabrał przekonania, że Niemcy chcą sobie Polskę podporządkować i wobec tego należy im się zdecydowanie przeciwstawić. Z pewnością na jego postawę i brak poważniejszego oporu wobec nacisków marszałka Śmigłego-Rydza i jego otoczenia wpływało to, że czuł on się osobiście oszukany przez Hitlera i Ribbentropa w sprawie o kluczowym znaczeniu – Słowacji. To, co miało stać się jego wielkim sukcesem, kamieniem milowym w utrwaleniu nowej, dominującej w Europie Środkowej pozycji Polski, ale i jego pozycji osobistej w Polsce, stało się przyczyną nie tylko jego własnej klęski. Sprowadziło również na kraj potencjalnie wielkie zagrożenie. Świadomość tego nie wpływała dobrze na jego dalsze poczynania.

Nie rozstrzygniemy czy zamiarem ministra Becka w kolejnych tygodniach było udzielenie Hitlerowi twardej nauczki po to tylko, by wzajemne relacje wróciły do stanu poprzedniej harmonii, a może nawet do odzyskania inicjatywy na terenie słowackim. Z całą pewnością chodziło też o zademonstrowanie, że Polska wasalem Niemiec, ale też sojusznikiem w ich agresywnych zamiarach na żadnym polu nie będzie. Wiele wydarzeń kolejnych tygodni wskazuje jednak na to, że w poczynaniach Becka brakowało jasnej i jednoznacznej koncepcji, wyprowadzenia kraju z sytuacji kryzysowej. Wiele natomiast było niezdecydowania i prób balansowania po coraz mniejszej przestrzeni. Dowodzi to słuszności zarysowanych wyżej hipotez. Tak czy inaczej, skutki takiej postawy były jak najbardziej fatalne.

Warto też w tym kontekście zastanowić się, skąd wynikała wyjątkowa wrażliwość Becka na sprawę Gdańska, bowiem ta kwestia miała zaważyć na dalszym rozwoju wypadków.

Przede wszystkim odrzucić należy, moim zdaniem, argument, którym posługiwał się on zawsze wtedy, gdy problem ten podnosiła strona

niemiecka. Chodzi mianowicie o jakieś szczególne wyczulenie polskiej opinii publicznej w tej materii.

Po pierwsze, dlatego że tak min. Beck, jak i ekipa polityczna, z którą był on związany, w o wiele bardziej zasadniczych kwestiach, delikatnie rzecz ujmując, niespecjalnie się tą opinią przejmowali.

Po drugie, dlatego że ówczesna ekipa rządząca dysponowała bardzo wieloma możliwościami kształtowania tejże opinii.

Po trzecie, był to akurat okres, kiedy sanacja uzyskała najwyższe i do tego autentyczne poparcie społeczne, co wynikało przynajmniej z dwóch powodów. Pierwszym była pozytywnie rozwijająca się w 1938 roku sytuacja gospodarcza w kraju, co skutkowało stabilizacją i poprawą warunków bytowania szerokich rzesz ludności. Drugim powodem była euforia, jaka ogarnęła niemal powszechnie opinię społeczną, w efekcie powrotu do Polski Śląska Cieszyńskiego. Wyrazem tej radykalnej poprawy nastrojów społecznych oraz akceptacji rządów sanacyjnych był wspomniany już rezultat wyborów parlamentarnych, które odbyły się późną jesienią 1938 roku. Obóz rządzący uzyskał w nich bardzo wysoki poziom akceptacji społecznej[170].

Wreszcie, po czwarte, dlatego że problem ten pojawiał się jako ważny w kontekście polityki min. Becka, ocenianej przez antysanacyjną opozycję jako nazbyt proniemiecka.

Zatem z pewnością to nie obawa przed Narodem kierowała polskim ministrem, gdy każdą wzmiankę Niemiec o uregulowaniu sprawy Gdańska traktował jako „barometr" ich stosunku do Polski.

Jest oczywiste, że Beck odnosił się tu do opinii sformułowanej w swoim czasie przez marszałka Piłsudskiego. Piłsudski pogląd ten wyraził jednak w zupełnie odmiennej epoce i wobec zupełnie innych Niemiec. Niemiec skrajnie agresywnych wobec Polski i niekryjących swych rewizjonistycznych postulatów wobec wszystkich właściwie ziem byłego zaboru pruskiego. Niemiec niekryjących także swej niechęci do istnienia Polski w jakiejkolwiek postaci oraz Niemiec ściśle powiązanych ze Związkiem Sowieckim także, a może przede wszystkim, właśnie na odcinku antypolskim. Niemiec wreszcie, które miały w zasadzie przyzwolenie Anglii

[170] Mimo nawoływania przez większość partii opozycyjnych do bojkotu wyborów, zwłaszcza do sejmu, gdzie odbywało się powszechne głosowanie, frekwencja w tym głosowaniu wyniosła około 70%. Było to o połowę więcej niż w poprzednich, także bojkotowanych wyborach sejmowych. Oznaczało to, że ten sposób zwalczania obozu rządzącego nie przynosił już pozytywnych rezultatów.

i Francji na swobodne kształtowanie swej polityki na wschodnich rubieżach. W takiej zatem sytuacji, na przełomie lat 20. i 30., każda niemal antypolska akcja Niemiec weimarskich miała początek właśnie w Gdańsku.

Działo się tak, bo rozwiązania wersalskie dotyczące Wolnego Miasta – tu Hitler miał niestety stuprocentową rację – były jedną z najniebezpieczniejszych bomb podłożonych pod ówczesny porządek międzynarodowy. Rozwiązanie to drażniło bowiem i Niemcy, i Polskę, i było przedmiotem stałej kontestacji z obu stron.

Trzeba jednak w tej perspektywie uczciwie stwierdzić, że sytuacja w Gdańsku od początków 1938 roku, w kontekście doświadczeń historycznych, była po prostu sielanką. Gdyby ktoś chciał być skrajnie złośliwy, mógłby w związku z tym zauważyć, że polityka Becka wobec Niemiec w tym właśnie okresie była proporcjonalna do wskazań owego „barometru". Nie ulega wątpliwości, że znając polskie wyczulenie w tej sprawie, Niemcy, w tym Hitler – znający owo polskie wyczulenie – osobiście, dokładali maksimum starań, aby nie dochodziło do zadrażnień związanych z Gdańskiem. Takie starania polityki niemieckiej powodowały, odnotowywaną i przez stronę polską, zmianę nastawienia tradycyjnie prowokujących Polskę władz Wolnego Miasta.

Biorąc powyższe pod uwagę, należałoby uznać, że inicjatywa na rzecz uregulowania sytuacji Wolnego Miasta była nie tylko racjonalna, ale i potrzebna. Zwłaszcza w kontekście ponaglania ze strony Ligi Narodów, która w niepewnej sytuacji chciała jak najszybciej wycofać się (pod niewątpliwą presją angielską[171]) z Gdańska. I trudno się dziwić, że powstała w momencie, gdy stosunki polsko-niemieckie – znowu z perspektywy historycznej patrząc – były w stanie niemal idealnym. Tę bombę trzeba było przecież rozbroić, bo nie było możliwe utrzymywanie stanu, który bez końca determinowałby te stosunki, mające przecież wiele, bez wątpienia, ważniejszych aspektów.

Tu zwróciłbym uwagę na fakt, że jeśli strona polska mogła mieć jakieś rzeczywiste podstawy do niepokoju, to powinny być one związane przede wszystkim ze sprawą proponowanych eksterytorialnych linii komunikacyjnych do Prus Wschodnich poprzez Pomorze. Choć i w tym wypadku problem ten, moim zdaniem, wyolbrzymiono, uznając go jako przejaw

[171] Anglicy, wiedząc o nieuniknionych napięciach polsko-niemieckich na tle znalezienia kompromisu wokół statusu Wolnego Miasta, zakładali, że wycofanie się Ligi z Wolnego Miasta z pewnością spowoduje rozerwanie współpracy obu tych państw.

dążenia do „odepchnięcia Polski od Bałtyku". Traktowanie postawienia tej kwestii przez Niemców jako swoistej prowokacji, w sytuacji gdy projekt tego połączenia Polska prezentowała z własnej inicjatywy w końcu lat 20., nie wytrzymuje po prostu krytyki.

Bardzo ważnym elementem oceny sytuacji w interesującym nas okresie jest spojrzenie na poczynania niemieckie bez emocjonalnych uwarunkowań, wynikających ze znanych nam wydarzeń późniejszych. Jakkolwiek trudno formułować oceny, odrywając się od tego, co wydarzyło się po 1 września 1939 roku, to jednak nie będziemy w stanie zrozumieć rozwoju sytuacji od końca 1937 roku w relacjach polsko-niemieckich, jeżeli tego nie uczynimy.

Porównując postępowanie Niemców, przy okazji załatwiania przez Hitlera przedtem i potem różnych „życiowych postulatów", z tym jak Niemcy prowadzili swoją politykę względem Polski do wiosny 1939 roku, nie sposób nie zauważyć zasadniczych różnic. Wystarczy choćby wskazać na olbrzymią rolę, jaką we wszystkich tych rozgrywkach pełniła niemiecka propaganda, zawsze wyprzedzająca faktyczne posunięcia dyplomatyczne. Była ona nie tylko bardzo skutecznym narzędziem z punktu widzenia prowadzenia polityki wewnętrznej Rzeszy. Także umiejętnie wpływała na nastroje opinii publicznej na zachodzie Europy. Wskazać tu można na łatwość, z jaką udało się jej przekonać Europejczyków, że w sprawie sudeckiej chodzi jedynie o ochronę poszkodowanej niemieckiej mniejszości czy w nieodległej przyszłości wywołać niechęć do „umierania za Gdańsk". I właśnie w tym kontekście można zauważyć, że w sprawie Gdańska i Polski niemiecka propaganda zaczęła swą swoistą, zabójczą aktywność dopiero w maju 1939 roku.

Trzeba też wskazać, iż porównując metody niemieckie stosowane przy załatwianiu spraw Nadrenii, Austrii, Sudetów czy Kłajpedy z zachowaniem wobec Polski w okresie od października 1938 do marca 1939 roku, możemy stwierdzić bez cienia wątpliwości, że uznanie tego postępowania za przejaw dążenia do bezpośredniej konfrontacji jest, delikatnie mówiąc, lekką przesadą.

W tym miejscu nasuwa się pytanie o kluczowym – jak się wydaje – znaczeniu. Chodzi mianowicie o to, czy dysponujemy wiedzą, jak Beck czy – szerzej – polskie władze i opinia publiczna wyobrażały sobie na dłuższą metę załatwienie sprawy Gdańska?

Czy uważały istniejący w Gdańsku stan rzeczy za idealny i warty utrzymania nawet za cenę wojny?

Czy sądziły, że Niemcy bez końca będą uznawali, że miasto z ponad 80-procentową populacją pochodzenia niemieckiego, połączone bezpośrednią granicą z ich obszarem państwowym, będzie mogło funkcjonować jako twór pod fikcyjną kontrolą fikcyjnej organizacji?

Czy może sądziły, że Niemcy wspaniałomyślnie zrezygnują ze swych aspiracji i zgodzą się na przyłączenie Gdańska do Polski?

Na pytania te, niestety, ani Beck, ani właściwie cała polska elita, zarówno ta rządząca, jak i ta opozycyjna, odpowiedzieć nie potrafili. Jednak dokonany wybór wskazuje na to, że przyjmowano konieczność utrzymania nieracjonalnego pod każdym względem *status quo,* nie tylko za cenę poświęcenia odbudowanych z trudem stosunków z Niemcami, ale nawet za cenę wojny.

Tymczasem o tym, że utrzymanie dotychczasowego stanu rzeczy było po prostu niemożliwe, świadczą wydarzenia następnych tygodni. Co ważne, było to przekonanie nie tylko strony niemieckiej, ale także, a może przede wszystkim, zachodnich sojuszników Polski. To oni już wkrótce skupią niemal całą swoją aktywność na poszukiwaniu dróg kompromisu w sprawie Gdańska. I w tym tkwił podstawowy problem strony polskiej.

Jednocześnie, wskutek niezrozumiałej bierności w tym względzie, to właśnie Polsce brakowało jej własnych argumentów w sprawie Gdańska. Trudno było przecież, najpierw samemu kontestując istniejący stan, nagle zacząć przekonywać, że trzeba go bronić za wszelką cenę.

Natomiast siła i sposób prezentacji argumentów niemieckich były nieproporcjonalnie wielkie. To właśnie Niemcy przedstawiali koncepcję rozwiązania sprawy, Polacy zaś takowej nie potrafili zaprezentować[172], nie mówiąc już choćby o przekonaniu do niej swych aliantów.

To zatem Niemcy potrafili z łatwością przekonać Europę, że ich słusznemu postulatowi uregulowania sprawy Gdańska z uwzględnieniem

[172] W odpowiedzi na ujawnienie przez Hitlera swych propozycji, o czym szerzej piszę dalej, Beck ponowił złożoną już wcześniej propozycję, aby w sprawie Gdańska zastąpić zwierzchnictwo Ligi Narodów wspólnym patronatem Niemiec i Polski. Była to jedyna polska propozycja – fatalna z dwóch względów. Trzeba było bowiem wykazać zbędność Ligi Narodów, a choć może pogląd taki był szerzej podzielany, to był mimo wszystko „niepoprawny" i trudny do forsowania. Po drugie, nowe rozwiązanie zupełnie przecież uzależniało Polskę w sprawie Gdańska od dobrej woli Niemiec, eliminując jakiekolwiek elementy neutralne.

interesów Polski, ta przeciwstawia koncepcję wojny o miasto, w którym nawet nie potrafi zdefiniować swoich interesów.

Minister Beck twierdził wprawdzie przez cały czas, że Polska ma interesy gospodarcze w Gdańsku, jednak swym postępowaniem strona polska temu zdecydowanie przeczyła[173]. Rozbudowując Gdynię, która stała się największym portem Bałtyku i przenosząc tam (bez wątpienia słusznie) ciężar swych interesów morskich, pozbawiała się przecież sama najważniejszego argumentu, że Gdańsk jest polskim „oknem na świat".

Tymczasem było dokładnie odwrotnie – to właśnie Gdańsk miał całość swych interesów gospodarczych w Polsce, bez współpracy z którą nie miał najmniejszych szans na ekonomiczne przetrwanie. Doskonale wiedzieli o tym Niemcy, stąd ich propozycje utrzymywania ekonomicznego *status quo* w Gdańsku. Natomiast ani Beck, ani – szerzej – polskie przywództwo państwowe nie potrafili tego fundamentalnego aspektu położenia Gdańska skutecznie przedstawić, zinterpretować i – przede wszystkim – efektywnie wykorzystać na forum międzynarodowym.

Wydaje się, że nie sposób w tym momencie nie poczynić uwagi, która zabrzmi być może brutalnie i boleśnie. Z dzisiejszej perspektywy zapewne jeszcze bardziej boleśnie niż ówcześnie. Po pierwsze dlatego, że dziś Gdańsk, jak zapewne nigdy w swej historii, jest miastem polskim, które stało się symbolem upadku zbrodniczego systemu. Po drugie dlatego, że do dziś też traktujemy niechęć naszych aliantów do umierania za Gdańsk w 1939 roku za przejaw największego wiarołomstwa.

Jednak mimo to, trzeba stwierdzić, że Gdańsk w 1939 roku, z punktu widzenia szeroko pojętych interesów polskich, nie był wart postawy, która doprowadziła do wybuchu wojny. Nie był wart tego, by zginęło ponad sześć milionów polskich obywateli, by miliony Polaków nie wróciły do kraju, by utracić niemal całą elitę intelektualną narodu, by utracić ponad

[173] Podkreślmy zatem raz jeszcze z całą mocą, że z punktu widzenia utrzymania polskich interesów ekonomicznych w Gdańsku, zdecydowany transfer polskiego handlu morskiego do Gdyni był rozwiązaniem fatalnym. Gdańsk w rzeczywistości stawał się dla Polski portem peryferyjnym, w ślad za tym przenosiły się do Gdyni firmy i interesy polskie nastawione na wymianę międzynarodową. W sposób oczywisty powodowało to kurczenie się i tak wątłych polskich instytucji i organizacji w Gdańsku, ale osłabiało także zdecydowanie wszelkie niemieckie, ale propolskie bądź tylko merkantylnie zainteresowane Polską, środowiska w Wolnym Mieście. Dawało to opinii zewnętrznej, patrzącej bez emocji na tę sytuację, argumenty dowodzące, że Polsce tak naprawdę Gdańsk nie jest już do niczego potrzebny. Nie można też było pojąć, dlaczego Polska mająca i tak już tak znaczącą ilość mniejszości narodowych, w tym mniejszości niemieckiej, dąży do jeszcze wydatniejszego wzmocnienia obcych żywiołów narodowych w swoim państwie.

połowę terytorium kraju, by wreszcie, na sześćdziesiąt lat utracić niepodległy byt.

Ponieważ nie mamy przekonujących dowodów na to, iż Niemcom na przełomie 1938/1939 roku chodziło rzeczywiście o zniszczenie Polski, to uznać należy, że decyzje podjęte przez polskich przywódców w następstwie niemieckich inicjatyw, w których Gdańsk funkcjonował jako pretekst, były jak najbardziej fatalne.

Zdumiewa w powyższym kontekście pewna łatwość, z jaką Józef Beck oraz kierownictwo państwowe Rzeczypospolitej dokonali radykalnego zwrotu w polityce państwowej. Jest zastanawiające, jak prosto podjęto decyzję, którą w każdym kraju waży się z najwyższą starannością i pieczołowitością. Dowodzi tego relacja z wystąpienia ministra w trakcie kryzysowych dni z końca marca 1939 roku.

24 marca 1939 roku, na naradzie ze swymi najbliższymi współpracownikami w Ministerstwie Spraw Zagranicznych, Beck powiedział:

> *Sytuacja jest poważna i nie można na to zamykać oczu, poważna dlatego, że jeden z tych dwóch elementów, które zawsze określały sytuację państwa tj. Niemcy, stracił cechy obliczalności, które posiadał dotychczas nawet w trudnych sprawach. Dzięki temu szereg nowych elementów zjawia się w naszej polityce i szereg nowych zagadnień w państwie. Jeśli chodzi o zasadniczą linię postępowania, to została ona ustalona z najwyższymi czynnikami w państwie – linia prosta i jasna. Określiliśmy dokładnie, gdzie są granice naszych bezpośrednich interesów i poza tą linią prowadzimy normalną politykę i podejmujemy akcje, traktując to jako nasze normalne, bieżące prace. Poniżej tej linii przychodzi nasze polskie non possumus. To proste: <u>będziemy się bić</u>* [podkreślenie moje – G.G.] *Z chwilą postanowienia sprawy w ten sposób, w chaos wkracza duża doza spokoju, a w myślenie wchodzi porządek*[174].

Można byłoby zadać w tym miejscu pytanie, na jakiej podstawie min. Beck twierdził, że dotąd „obliczalny" partner przestał nagle takim być. Przecież przed 21 marca już mało kto w Europie uważał Hitlera za partnera

[174] Notatka wiceministra J. Szembeka z konferencji u ministra Becka, odbytej 24 marca 1939 roku, *Diariusz...*, t. 4, s. 528–529. Wskazać tu trzeba, iż często podkreślano, że jakoby wbrew Beckowi, Śmigły-Rydz i koła wojskowe forsowały aktywizację przygotowań do wojny z Niemcami. Myślę, że była to jednak swoista gra obliczeniowa na odbiorcę zewnętrznego. Beck był jednak, bez cienia wątpliwości, także zdecydowany na ewentualną konfrontację zbrojną i w tym zakresie nie było specjalnych różnic między nim a marszałkiem Śmigłym-Rydzem.

obliczalnego. Można byłoby tylko sarkastycznie zapytać, kto kazał wierzyć w niezaasekurowane w jakikolwiek sposób obietnice Hitlera ze stycznia 1938 roku. Gdyby w tamtym momencie Beck, zamiast liczyć na „obliczalność" partnera, wyegzekwował krok po kroku ustępstwa niemieckie w zamian za niezbędną dla nich polską neutralność, rok później nie miałby traumatycznych przeżyć podczas wieczornej „herbatki" w Berchtesgaden.

Tym bardziej, że sam płk Beck jeszcze kilka tygodni przedtem takiej opinii z pewnością by nie sformułował. Skoro zatem wzmiankowana wcześniej rozmowa Ribbentropa z Lipskim z 21 marca podstaw do takiej konstatacji z pewnością nie dawała, to powstaje pytanie, co takiego zdecydowało o gotowości pójścia na wojnę. Przecież ostatnia rozmowa Lipskiego nie dawała powodów do uważania Hitlera za nieobliczalnego w większym stopniu niż na przykład rozmowa z końca października 1938 roku. Jednak wtedy płk Beck nie uznał, że partner stracił cechy obliczalności. A może chodziło o to, że ani w wypadku likwidacji Czechosłowacji, ani Kłajpedy, Niemcy nie radzili się Becka tak, jak robili to rok wcześniej?

Powyższe dowodzi po raz kolejny w sposób niepozostawiający żadnej wątpliwości, że relacje polsko-niemieckie rozbiły się o problem „pewnej części" Czechosłowacji, w której Polska lokowała swoje interesy. Identyfikowanie tego zainteresowania Becka ze Śląskiem Zaolziańskim nie wytrzymuje krytyki. Minister Beck nie musiał w poważnej, dotyczącej podstawowego porządku w Europie Środkowej rozmowie z przywódcami niemieckimi poruszać kwestii aż tak nadto oczywistej, jaką było odzyskanie podstępnie zagarniętej przez Czechów części państwa polskiego.

Minister Beck uznał rzeczywiście, że Niemcy po latach wytężonej i owocnej współpracy złamali poczynione w kwestii fundamentalnej ustalenia. Miało to bardzo daleko idące skutki. Rozumiejąc bowiem działania niemieckie tylko w kategoriach dążenia do zwasalizowania Polski, uznał, że strona ta straciła cechy obliczalności. A ponieważ on, i właściwie nikt w Polsce, nie dopuszczał myśli o możliwym podporządkowaniu naszego kraju Niemcom, konstatacja mogła być tylko jedna – twarda rozmowa z Niemcami, które albo przyjmą polskie warunki, albo będą zmuszone do wejścia w wojnę.

Być może min. Beck liczył na to, że Niemcy na wojnę się nie zdecydują i nie było to założenie – wbrew dzisiejszym przekonaniom – naiwne. Dla Niemiec wojna z Polską była ostatecznością i było wiele możliwości, aby konfrontacji zbrojnej uniknąć. Jednak wydaje się, że po stronie polskiej

zabrakło woli i determinacji do tego, aby tak się stało. A nawet przeciwnie. Dążący do konfrontacji z wielką determinacją marszałek, doprowadził do końca swoje dzieło.

Jednak niezależnie od wszystkich uwarunkowań ówczesnej sytuacji, nie sposób zaakceptować jakiejś niezwykłej łatwości w podejmowaniu decyzji, że „będziemy się bić". Jeśli cała ówczesna elita rządząca z takim pozornym spokojem jak płk Beck uznała, że wojna z Niemcami jest przesądzona, to z pewnością nie świadczy to dobrze o tych ludziach. Tym bardziej, że w ocenie płka Becka, a był on zapewne wyrazicielem poglądów szerszego kierownictwa państwowego i wojskowego, bić się mieliśmy w przekonaniu całej Europy, która nie rozumiała subtelności rozgrywki polsko-niemieckiej, o symbol.

Pozostaje też otwarte pytanie, czy gdy min. Beck mówił, że Niemcy „za pomocą 9 dywizji (...) promenują dziś po całej Europie, z tą siłą nikt Polski nie weźmie", to tylko próbował pocieszać swoich współpracowników, czy wypowiedź ta oddawała poziom nieświadomości ówczesnej elity rządzącej, co do rzeczywistego stosunku sił? Ale przecież gra przed swoimi współpracownikami nie miała sensu. Więc być może jednak wiosną 1939 roku panowało w Warszawie przekonanie, że Niemcy nie są w stanie militarnie pokonać Polski i dlatego nie zaryzykują konfliktu zbrojnego?[175].

Nie można też wykluczyć, że Beck miał już przekonanie, iż szykuje się zasadniczy zwrot w stosunkach Polski z Anglią. Nie ma tu wprawdzie

[175] Wiele, niestety, wskazuje właśnie na to, że podejmując w marcu 1939 roku kluczowe decyzje, zarówno Beck, jak i zwłaszcza ośrodki wojskowe, pozostawali w absolutnym przeświadczeniu o niezdolności Niemiec do militarnego pokonania Polski. Wprawdzie odnotowywano dynamikę rozbudowy niemieckich sił zbrojnych, z obawą wskazywano na przewagę Niemiec w lotnictwie, ale zasadniczo bagatelizowano i dysproporcję w siłach pancernych i artylerii. Nie oceniano też wysoko, na podstawie obserwacji działań armii niemieckiej w czasie kryzysów austriackiego, sudeckiego oraz marcowego, ani niemieckiego systemu mobilizacyjnego, ani poziomu organizacji wojsk, ich współdziałania, wreszcie wydolności systemu transportowego. Dopiero w połowie 1939 roku, a więc w momencie, gdy „kości zostały rzucone", do świadomości polskich sztabowców zaczęło docierać w pełni, jak szybko Niemcy usuwali wszelkie niedociągnięcia i jak szybko postępowało wzmacnianie armii coraz większą ilością nowoczesnego uzbrojenia. Było to niewątpliwie wynikiem dokonanej, pogłębionej analizy zwłaszcza zdolności mobilizacyjnych armii niemieckiej. Wydaje się, że największe wrażenie zrobiło na polskich sztabowcach ustalenie, że mobilizacja jednostek pancernych i szybkich przeciwnika zajmuje 12 do 24 godzin. Przy zweryfikowanej zdolności do szybkiego przerzutu tych wojsk w dowolne miejsca na polskiej granicy musiało to znacząco wpływać na nastroje polskiego kierownictwa wojskowego. Może gdyby to otrzeźwienie nastąpiło kilka miesięcy wcześniej, a polscy wojskowi z większą pokorą podchodziliby do stopnia organizacji i wyszkolenia armii niemieckiej, wydarzenia marcowe wyglądałyby zupełnie inaczej.

twardych dowodów aby przyjąć, iż istniały do tego realnie istniejące przesłanki, ale w tym wypadku intuicja ministra mogła trafnie podpowiadać mu, że Anglicy w ówczesnej sytuacji będą skłonni do szybkich decyzji. Przecież od czasu wizyty Duff-Coopera latem 1939 roku sytuacja ewoluowała w kierunku jeszcze większego zainteresowania Brytyjczyków pozyskaniem Polski jako sojusznika.

Niemniej zauważyć należy, że prawdopodobnie nikt w Europie i poza nią, ani prędzej ani później, nie podjął tak łatwo jak władze polskie decyzji o wejściu na ścieżkę wojenną. Wszyscy starali się, aby wojna ich albo ominęła, albo przyszła jak najpóźniej. Wszyscy chcieli zyskać czas, aby przygotować się do niej jak najlepiej i – jeśli już będą musieli – to zacząć w najdogodniejszym momencie. Wszyscy starali się robić to z myślą o tym, by ich kraje poniosły jak najmniejsze straty. Robili tak przede wszystkim Anglicy i Francuzi, których potencjał wielokrotnie przewyższał potencjał Polski.

Polska przyjęła jednak zupełnie inne założenie. Polskie kierownictwo państwowe uznało, że z punktu widzenia szybkości rozbudowy potencjału wojennego, czas będzie pracował na niekorzyść Rzeczypospolitej, więc im szybciej dojdzie do konfrontacji zbrojnej z Niemcami, tym lepsza będzie nasza sytuacja.

O wojskowych uwarunkowaniach tego myślenia będę jeszcze pisał. Tu nadmienię jedynie, że takie twierdzenia wynikały z określającego myślenie wojskowych studium zespołu gen. Tadeusza Kutrzeby. Wedle tych ustaleń, każdy niemal miesiąc działał, z punktu widzenia narastania dysproporcji militarnych Polski i Niemiec, negatywnie dla naszej strony. W przypadku aliantów zachodnich zaś, sytuacja (zwłaszcza Anglii) była odmienna.

To rozumowanie udzieliło się nie tylko elicie wojskowej, ale i przywództwu politycznemu, a płk Beck był też chyba szczególnie podatny na taką argumentację. Stąd owa nagle pobudzona twardość linii wobec Niemiec znajdowała silne oparcie w uzasadnionych opiniach wojska.

A przypomnieć należy, że silne też było przekonanie, iż Niemcy w obliczu konieczności konfrontacji zbrojnej z pewnością się cofną. Tak więc, choć gotowość Polski do podjęcia wojny była niewątpliwa, to wydaje się, że uważano ją za najlepszy środek prowadzący nie tylko do zachowania pokoju, ale i do uchronienia polskiej niezależności od Niemiec.

W rzeczywistości jednak, jak się miało okazać później, polskie decyzje podjęte w ciągu kilku kolejnych tygodni, od marca do maja 1939 roku, prowadziły właśnie do bardzo szybkiego wybuchu wojny. Kalkulacje polskie zawiodły, bowiem Hitler i niemieckie przywództwo uznali, że wobec nieuchronnej konfrontacji z Francją i z Anglią, likwidacja polskiego zagrożenia – wobec nieobliczalności polityki polskiej – jest fundamentem dla przyszłych działań. Jakkolwiek więc dyplomacja niemiecka jeszcze przez pewien czas miała dążyć do uspokojenia relacji z Polską, to jednak wydaje się, że mniej więcej w tym samym czasie Hitler dojrzał do decyzji o możliwości konfrontacji zbrojnej.

Można poczynić tu jeszcze istotną uwagę, że strona polska – całkowicie bezpodstawnie – liczyła na racjonalność Hitlera. Ten jednak, rozzuchwalony kolejnymi łatwymi sukcesami, pewien coraz lepszej zdolności bojowej swojej armii, uznał że konfrontacja z Polską będzie dla jego wojska, i w ogóle dla militaryzowanej od wielu lat Rzeszy, szczególnie poważnym wyzwaniem. Jeśli zaś – co Niemcy brali również poważnie pod uwagę – Polska ugnie się w obliczu nieuchronnej konfrontacji, to tym samym zostanie sprowadzona do roli niemieckiego wasala.

Obie strony znalazły się zatem w logice konfrontacji i obie były przekonane, że wojna może być dla nich lepszym rozwiązaniem niż kontynuowanie skomplikowanych potyczek dyplomatycznych. W tej logice konflikt zbrojny stawał się nieuchronny, ale przecież moment jego zaistnienia i jego uwarunkowania międzynarodowe nie były jeszcze przesądzone. O tym miały decydować kolejne miesiące.

Wydaje się, że konflikt ten nie musiał, mimo wszystko, dotykać Polski jako pierwszej, a już na pewno nie jako jedynej, w praktyce wyizolowanej ofiary. Do tego nieprzygotowanej do konfrontacji, nawet na miarę swoich skromnych możliwości. Nie musiał też z całą pewnością doprowadzić do tak szybkiego unicestwienia, z takim trudem odzyskanego i z mozołem odbudowywanego państwa.

Ambasador Lipski po rozmowie z Ribbentropem udał się ponownie do Warszawy. Jego przybycie nastąpiło praktycznie równocześnie z otrzymaniem w Warszawie wspomnianej brytyjskiej propozycji w sprawie wspólnej deklaracji czterech państw, o ich chęci wspólnego powstrzymania niemieckiej agresji. Jak się okazało, rację mieli Francuzi, którzy ostrzegali występujących z inicjatywą Brytyjczyków, że odpowiedź ministra Becka na tę inicjatywę będzie odmowna. Rzeczywiście jednak, deklaracja taka

nie mogła mieć istotnego znaczenia praktycznego, mogła natomiast jeszcze dodatkowo rozdrażnić Niemców. A to, jak słusznie uważał Beck, nie leżało w tym momencie w polskim interesie.

Była to jednak znakomita okazja, by spróbować wykorzystać inicjatywę angielską do wzmocnienia własnej pozycji wobec Hitlera w dalszej rozgrywce. Była to gra ryzykowna, ponieważ zbyt otwarte zbliżenie z Anglikami, a co za tym idzie i z Francją, musiało doprowadzić do odwrócenia uwagi Niemiec od ich przygotowań do ewentualnych działań na Zachodzie. Konsekwencją tego zaś musiało być znalezienie się Polski w sytuacji podobnej do sytuacji Czechosłowacji sprzed roku. Z jedną zasadniczą różnicą. Polacy byli bowiem absolutnie zdeterminowani, by walczyć, gdyby doszło do konfliktu.

23 marca 1939 roku min. Beck polecił polskiemu ambasadorowi w Londynie, Edwardowi Raczyńskiemu, formalnie zapytać rząd brytyjski, czy wobec szybkiej ewolucji sytuacji międzynarodowej i w tej perspektywie nieskuteczności w ocenie strony polskiej

> *multilateralnych negocjacji,* (...) *nie byłby gotów* [rząd brytyjski] *rozpatrzyć możności zawarcia z nami natychmiast bilateralnej umowy w duchu proponowanej deklaracji*[176].

Jakkolwiek rząd brytyjski uznał w tym momencie stanowisko Polski za „niezdecydowane"[177], to jednocześnie – podkreślając kluczowe znaczenie Polski i – mimo wszystko – w kontekście wcześniejszych, negatywnych doświadczeń, zachęcającą treść odpowiedzi Becka, postanowił podjąć zdecydowaną inicjatywę na rzecz przeorientowania dotychczasowego stanowiska Polski.

Jeszcze 27 marca 1939 roku, o godzinie 11.30, został wysłany z Londynu telegram do ambasadora brytyjskiego w Warszawie H. Kennarda, w którym zawarte były kolejne angielskie propozycje pod adresem Polski.

Tymczasem jednak miały miejsce dwa bardzo ważne fakty. 23 marca 1939 roku, pod wpływem rozwoju sytuacji na terenie destruowanej przez Niemców Czechosłowacji, władze Rzeczypospolitej zarządziły mobilizację alarmową części oddziałów wojskowych armii polskiej. W następstwie tej operacji zostały wzmocnione stany wszystkich wielkich jednostek

[176] Instrukcja min. Becka dla ambasadora Raczyńskiego w związku z brytyjskimi propozycjami z 21 marca 1939 udzielona 23 marca 1939 roku, *Sprawa polska*..., s. 14–15.

[177] PRO, CAB 23/98, Protokół posiedzenia gabinetu z 29 marca 1939 roku. „Poland however, made a very hesitant answer".

w graniczących z Niemcami Okręgach Korpusów. Dotyczyło to łącznie około dwudziestu dywizji piechoty i brygad kawalerii, a więc prawie połowy wszystkich polskich jednostek. Jednocześnie pełne stany wojenne osiągnęły trzy dywizje piechoty i brygada kawalerii w Okręgu w Brześciu nad Bugiem i jednostki te przesunięto w rejony nadgraniczne[178].

Już następnego dnia, 24 marca, informacja o częściowej mobilizacji armii polskiej została przekazana do Berlina przez niemieckiego ambasadora w Warszawie von Moltkego[179].

Dla Niemców rozwój wydarzeń, od rozmowy Ribbentropa z Lipskim 21 marca, musiał jednak mimo wszystko stanowić nie lada zaskoczenie. Mobilizacja poważnych sił polskich, i to w sytuacji, gdy sztab niemiecki nie prowadził – podkreślmy to z całą mocą – żadnych przygotowań do akcji zaczepnej przeciw Polsce, w połączeniu z informacjami o gwałtownych zabiegach dyplomatów brytyjskich na rzecz pozyskania sympatii Polski, stanowiły duży szok[180] w Berlinie.

Obawy Niemców potęgowała także wiedza o coraz intensywniejszych pracach polskiego Sztabu Głównego na odcinku skierowanym przeciw Niemcom. Z ich punktu widzenia mogło w tej sytuacji wydawać się logiczne, a właściwie pewne, że jeśli takie prace są prowadzone, to wobec zupełniej bierności Niemiec, muszą one po stronie polskiej mieć charakter zaczepny. Świadczyć o tym mogły przynajmniej trzy elementy.

Po pierwsze, być może najważniejsze, to fakt, że kształt granicy polsko-niemieckiej zmuszał niejako do inicjatywy ofensywnej. Obrona tej granicy, nie tylko jak ogólnie się przyjmuje dla strony polskiej, ale w takim samym stopniu dla strony niemieckiej, była niemal niemożliwa. Dla Niemców skrajnie niebezpieczne były możliwości niemal niczym nieskrępowanego działania jednostek polskich przeciw Prusom Wschodnim,

178 W. Stachiewicz, *Wierności...,* s. 433–434.

179 *Ibidem.* Szef polskiego Sztabu Głównego cieszył się wprawdzie, że rozpoznanie niemieckie nie było precyzyjne, ale nie ulega wątpliwości, iż fakt powyższy świadczy jednak o dużej orientacji Niemców w poczynaniach polskich władz wojskowych. W każdym razie wywiad niemiecki już następnego dnia, 24 marca 1939 roku, dysponował informacjami o trwających w polskim Sztabie Głównym przygotowaniach do wojny z Rzeszą i że przygotowania te mają charakter bardzo intensywny.

180 Dowodzi tego wstrzymanie przez Hitlera w ostatniej chwili instrukcji Ribbentropa dla von Moltkego z 23 marca 1939 roku. W instrukcji tej niemiecki minister, zapewne pod wpływem emocji wynikających z oszałamiającego sukcesu niemieckiego w związku z likwidacją Czechosłowacji i zajęciem Kłajpedy, bardzo stanowczo podkreślał, iż Gdańsk i autostrada są postulatami, które i tak zostaną zrealizowane i w tym kontekście straszył też możliwością zmiany stosunku Niemiec do Polski. Pisze o tym S. Żerko, *op.cit.,* 273.

Gdańskowi czy nawet ich części Górnego Śląska. Dużym zagrożeniem była też mała odległość między granicą Polski a Berlinem. Możliwości przeciwdziałania takim ewentualnym zaczepnym akcjom prewencyjnym ze strony Polski były zatem bardzo ograniczone. Obie strony były, jak się zatem zdaje, skazane na uderzenia wyprzedzające. Podjęcie w tym kontekście zarządzeń mobilizacyjnych, zwłaszcza zaś natychmiastowy transfer w pełni sformowanych jednostek – 20 Dywizji Piechoty (DP) i Nowogródzkiej Brygady Kawalerii (BK) – w okolice Modlina, mógł być przecież traktowany jako wstęp do wszczęcia polskiej akcji wojskowej w Prusach Wschodnich lub w Gdańsku.

Wrażenie to, po drugie, mogło być potęgowane faktem, że dowódcami armii na dwóch kluczowych, z punktu widzenia możliwych zagrożeń, kierunkach byli powszechnie uważani za najwybitniejszych polskich dowódców liniowych generałowie Kutrzeba i Bortnowski. Obaj znani byli ze swych nieprzeciętnych umiejętności w prowadzeniu działań o charakterze ofensywnym, co zresztą potwierdzić mieli już wkrótce, dowodząc w skrajnie niekorzystnych warunkach w największej bitwie kampanii wrześniowej – bitwie nad Bzurą. Bortnowski opromieniony był też świeżo błyskotliwą akcją na Śląsku Cieszyńskim. Nieprzypadkowo zatem objął dowództwo amii pomorskiej. Stąd było przecież najbliżej do Gdańska, stąd też najłatwiej było ugodzić w serce prowincji prusko-wschodniej. Kutrzeba zaś, jako dowódca Wyższej Szkoły Wojennej, słynął z przykładania, w prowadzonych w niej szkoleniach oficerów, największej wagi właśnie do wpajania swym wychowankom doktryny zdecydowanych działań ofensywnych.

Po trzecie wreszcie, Niemcom znany był od dawna fakt, że armia polska od lat 20., na wypadek z konfliktu z Niemcami, zawsze przygotowywana była w kierunku zdecydowanych działań zaczepnych. Do połowy lat 30. było to oczywiste ze względu na słabość armii niemieckiej, funkcjonującej w warunkach ograniczeń powersalskich. Ale później nie było danych, by zaobserwować zdecydowaną zmianę polskiej doktryny wojennej. Wynikało to, oczywiście, głównie z faktu, że wobec bardzo pozytywnej ewolucji stosunków polsko-niemieckich, niemal całość uwagi polskiego Sztabu Głównego od roku 1935 do wiosny 1939 roku była skoncentrowana na przygotowaniach do wojny ze Związkiem Sowieckim. Do tego problemu jeszcze wrócę.

Biorąc pod uwagę już choćby te trzy wymienione elementy, pamiętając o swoistej obsesji Hitlera na punkcie anglo-francuskiej polityki, jak to określał, „okrążenia" Niemiec, widzieć należy reakcję niemiecką na zaistniałą sytuację.

26 marca 1939 roku Ribbentrop rozmawiał przez półtorej godziny z ambasadorem Lipskim. Lipski po powrocie z Warszawy starał się o przyjęcie przez Hitlera, ale ten opuścił Berlin, chcąc uniknąć tego spotkania. Pragnął też zapewne pozostawić sobie możliwość manewru, w zależności od przebiegu rozmowy prowadzonej przez Ribbentropa.

Wydaje się, że intencje Hitlera w tym momencie najlepiej oddaje treść jego spotkania odbytego dzień wcześniej, 25 marca, z głównodowodzącym niemieckich wojsk lądowych gen. von Brauchitschem. Trzeba tu zauważyć, że rozmowa ta odbywała się zapewne w ścisłym związku z informacjami o polskich zarządzeniach mobilizacyjnych. Jak na te informacje zareagował Hitler?

Wskazywał on swemu rozmówcy, że nie należy dążyć do siłowego rozwiązania sprawy Gdańska, bo to może popchnąć Polskę do zbliżenia z Anglią. Możliwość rozwiązania militarnego w Wolnym Mieście Führer przewidywał jedynie w sytuacji, gdyby miało to służyć rządowi polskiemu jako uzasadnienie przed własną opinią publiczną. Rozwiązanie zaś militarne sprawy polskiej miało być kwestią przyszłości, pod warunkiem wszakże zaistnienia specjalnych okoliczności. Jeśli takowe się pojawią, będzie trzeba Polskę pobić tak, aby przestała się liczyć jako czynnik polityczny[181].

Treść tej rozmowy dowodzi przynajmniej dwóch rzeczy. Po pierwsze, w sposób niebudzący wątpliwości wykazuje, że przynajmniej do 25 marca 1939 roku Hitler nie zamierzał podejmować przeciw Polsce, w dającej się przewidzieć przyszłości, żadnych działań wojennych. Tej intencji nie zmienił nawet fakt, odbieranych w Niemczech na pewno jako groźne, polskich zarządzeń mobilizacyjnych i przygotowań wojennych sztabu, a także ruch wojsk polskich w kierunku granicy niemieckiej. W dalszym ciągu obowiązywały armię niemiecką tylko ogólne dyrektywy do przygotowań obronnych, wydane jeszcze w grudniu 1938 roku[182].

---

[181] Szerzej pisze o tym M. Zgórniak, *Europa w przededniu wojny. Sytuacja militarna w latach 1938–1939,* Kraków 1993, s. 238.

[182] Zob. uwagi T. Jurgi, *Wojna obronna Polski 1939*, Warszawa 1990, s. 138 i nast.

Po drugie, być może jeszcze ważniejsze, objawiona po raz kolejny polska stanowczość rzeczywiście w tym momencie zrobiła na Hitlerze ponownie silne wrażenie. Gotów on był w związku z tym nawet zrezygnować z dalszych nacisków w sprawie Gdańska, a tym bardziej w sprawie autostrady, o której w ogóle nie wspominał. Wskazuje to skądinąd, że problem autostrady był traktowany raczej jak element przetargowy. Sądzić zatem należy, że na tym etapie Hitler przypuszczał, iż osaczając Polskę z trzech stron, w nieodległej perspektywie złamie jej ducha oporu i osiągnie cel w postaci jej podporządkowania Niemcom, bez konieczności prowadzenia działań militarnych. Chciał więc chyba cierpliwie czekać, aż po stronie polskiej osłabnie zapał konfrontacyjny, a wtedy uda się uzgodnić zasady ściślejszego porozumienia sojuszniczego.

Tak więc Niemcy, którzy być może w grudniu i styczniu, a już na pewno w połowie marca, liczyli rzeczywiście, że wystarczy solidniej przycisnąć Becka, by ten uznał nowe realia[183], musieli z dużym zdziwieniem obserwować reakcje Polaków.

Panuje opinia, że uzgodnione jeszcze 7 stycznia 1939 roku na naradzie na Zamku[184] twarde stanowisko polskie okazało się na ówczesnym etapie skuteczne, bo pacyfikowało w jakimś sensie niemiecką presję w sprawie Gdańska. Wydaje się jednak, że nie było istotnego związku pomiędzy przebiegiem tej narady, a tym co się działo w końcu marca 1939 roku. W styczniu 1939 roku nie istniały bowiem żadne przesłanki skłaniające do utwardzenia polskiego stanowiska. Toczył się dialog na temat *Globallösung* w stosunkach polsko-niemieckich, strona polska oczekiwała też na wykonanie niemieckich obligacji dotyczących Słowacji. Można zatem przyjąć, że obecne także we wspomnieniach min. Becka, swoiste mitologizowanie znaczenia narady z 7 stycznia 1939 roku jest zabiegiem dokonanym *ex post*, już ze świadomością przebiegu późniejszych wydarzeń[185].

---

183 W. Pobóg-Malinowski, *op.cit.,* t. 3, s. 4.

184 W. Pobóg-Malinowski, *op.cit.,* t. 3, s. 4, przypis 10.

185 W sposób niepozostawiający najmniejszych wątpliwości dowodzi tego treść okólnika rozesłanego przez ministra spraw zagranicznych 10 stycznia 1939 roku do polskich placówek dyplomatycznych. Płk Beck pisał: „Rozmowy w Berchtesgaden i Monachium były pożyteczne dla sprawdzenia linii politycznej niemieckiej po kryzysie czeskim. (...) W polityce wschodniej poza tym w dalszym ciągu nastawienie wybitniej antyrosyjskie. Na czoło zainteresowań kanclerza wysuwają się sprawy kolonialne". [w:] *Polskie dokumenty dyplomatyczne 1939. Styczeń-sierpień,* Warszawa 2005, s. 17. Nie sposób przyjąć, że Beck mógłby w tym momencie ukrywać przed swoimi najbliższymi współpracownikami utratę obliczalności przez niemieckiego partnera. Wydaje się zatem w pełni uzasadnione w tym kontekście uznanie, że Beck – mimo

Podczas wspomnianej wcześniej rozmowy ambasadora Lipskiego z ministrem Ribbentropem 26 marca 1939 roku, widać było jednak wyraźnie zasadniczą zmianę tonacji we wzajemnych relacjach. Niemiecki minister – jak z naciskiem odnotowano w polskiej relacji ze spotkania – „przyjął [ambasadora] wyraźnie chłodno"[186]. Jednak jego wypowiedzi zanotowane przez Lipskiego są raczej świadectwem bezsilnej złości.

„Pod koniec rozmowy von Ribbentrop usiłował uzyskać wyjaśnienie, czy w wypadku uspokojenia opinii publicznej istniałaby jakakolwiek szansa, że propozycje eksterytorialnej autostrady i niemieckiej suwerenności nad Gdańskiem, mogłyby być podjęte przez rząd polski w niedalekiej przyszłości".

Postawił też „pytanie, dlaczego w Polsce panuje taka nieufność" wobec polityki Hitlera i Rzeszy. Tę ostatnią uwagę ambasador Lipski z pewnością poczynił w związku z kwestią słowacką, mając jednocześnie świadomość, że nie może wprost pisać o kontekście słowackim i złamanych wcześniejszych uzgodnieniach dotyczących podziału wpływów na obszarze Czechosłowacji.

Ambasador Lipski przekazał w odpowiedzi na wypowiedź Ribbentropa polskie memorandum, odrzucające niemieckie sugestie w sprawie Gdańska i autostrady, przedłożone mu ponownie 21 marca 1939 roku. Stanowisko polskie zawierało ponownie wcześniej już przedkładaną propozycję zastąpienia protektoratu Ligi Narodów nad Wolnym Miastem wspólnym protektoratem i gwarancjami polsko-niemieckimi.

Nie sposób oprzeć się wrażeniu, że w nowej sytuacji była to jednak koncepcja tym bardziej nieprzemyślana. Przecież wobec rysujących się problemów we wzajemnych relacjach oraz wobec podejmowanych własnych decyzji prowadzących w istocie do wojny, rezygnacja z międzynarodowych gwarancji – nawet stosunkowo miałkich – była co najmniej ryzykowna.

---

wielkiego rozczarowania klinczem w sprawie słowackiej – po powrocie ze spotkania z Hitlerem mimo wszystko dalej liczył na jakąś pozytywną ewolucję sytuacji wokół Słowacji i Gdańska. Natomiast podczas narady na Zamku usłyszał od Śmigłego-Rydza ultimatum, zobowiązujące go do definitywnego wyjaśnienia obu kwestii najdalej podczas styczniowej wizyty Ribbentropa w Warszawie. Dopiero *ex post* Beck niejako wpisał się w dominujący nurt narady, reinterpretując swoje ówczesne działania i nastroje.

[186] Raport ambasadora Lipskiego dla min. Becka na temat rozmowy z min. Ribbentropem, odbytej w Berlinie 26 marca 1939 roku, *Sprawa Polska...,* s. 15–18.

Niemniej i twarda postawa Lipskiego, i treść memorandum dopełniły wrażenia. Następnego dnia, 27 marca, min. Beck wezwał ambasadora von Moltkego, któremu oświadczył, że jakakolwiek akcja niemiecka w Gdańsku oznaczać będzie *casus belli,* choć jednocześnie zadeklarował gotowość dalszych rozmów w kwestiach spornych[187].

Polskie działania wojskowe i dyplomatyczne, niezależnie od dalszych zamiarów Niemców, musiały zrobić na nich silne wrażenie. Świadczy o tym kolejny fakt. Jeszcze 20 marca wiceminister spraw zagranicznych Rzeszy von Weizsäcker, będący reprezentantem bardzo silnie antypolskiego pruskiego lobby we władzach niemieckich (zwłaszcza tradycyjnie antypolskiego niemieckiego MSZ), spotkał się z prezydentem gdańskiego senatu Arthurem Greiserem. Greiser, oczekujący instrukcji w sprawie dalszych kroków w Gdańsku, idących w kierunku przygotowania się do włączenia do Rzeszy, usłyszał jednak, że nie należy tam organizować antypolskich demonstracji[188].

Przyjąć należy, że w obliczu planowanego złamania przez Niemców wcześniejszych ustaleń dotyczących Słowacji, zalecenie to miało na celu nie drażnić Polaków dodatkowymi problemami w Gdańsku. Niemniej podkreślić należy, że zalecenie to, mimo zmieniającej się sytuacji i eskalacji innych napięć, nie zostało wycofane przez wiele kolejnych tygodni.

Tak zatem ostatnie dni marca ukazały, że jakkolwiek polskie stanowisko było całkowicie nieproporcjonalne do skali ujawnionego zagrożenia, to jednak zademonstrowana stanowczość rzeczywiście wpłynęła przejściowo na postawę Hitlera. Jednak wydarzenia następnych kilku dni spowodowały radykalną zmianę sytuacji. Wydaje się, że wpływ na to miały przede wszystkim dwa czynniki.

Po pierwsze, strona polska nie dostrzegła chyba w zachowaniu Ribbentropa poważniejszego wahania. Minister Beck sądził zapewne, że trzeba zatem jeszcze bardziej Niemców „docisnąć", aby pozbawili się oni ostatecznie nie tylko złudzeń co do perspektyw załatwienia swych „sugestii", ale – i to przede wszystkim – perspektyw podporządkowania sobie Polski.

Po drugie, Brytyjczycy, nie będąc zupełnie zorientowani co do kierunku rozwoju stosunków polsko-niemieckich, ciągle oczekując na kolejne

[187] M. Zgórniak, *op.cit.,* s. 329.

[188] *Ibidem,* s. 327.

ruchy Niemiec[189], za wszelką cenę chcieli pozyskać dla swych kombinacji antyniemieckich Polskę. W tym właśnie momencie oczekiwania min. Becka, który chciał Niemcom dobitnie uświadomić, że Polska nie da się im zwasalizować, spotykały się z nadziejami Brytyjczyków. Jasne stało się, że obie strony miały pełną świadomość konieczności jak najszybszego dokonania takiego zbliżenia.

Brytyjczycy wiedzieli, że pozyskując Polskę, prędzej czy później właśnie na nią skierują uwagę Niemiec. W taktyce odwracania uwagi Hitlera i angażowania go w czasochłonne konflikty Polska jawiła się jako jeden z najatrakcyjniejszych elementów.

Jednocześnie jednak, przyjęte zwłaszcza w polskiej historiografii przekonanie, że ze strony Anglii była to z góry obliczona, cyniczna gra, na upadek Polski i powstanie w jego następstwie frontu niemiecko-sowieckiego nie znajduje, w moim najgłębszym przekonaniu, żadnych podstaw. Wprawdzie rzeczywiście nie było w Londynie złudzeń co do tego, jaki może być wynik ewentualnego polsko-niemieckiego konfliktu, liczono jednak, że rozprawa z Polską zabierze Niemcom wiele sił i czasu, a następnie bardzo zaangażuje ich potencjał w utrzymanie ewentualnych zdobyczy[190]. Sądzono też, że rozszerzenie układów sojuszniczych na Rumunię, Węgry, Grecję, Jugosławię czy Turcję na trwałe ukierunkuje Hitlera i tak go uwikła, że po upływie pewnego czasu Niemcy stracą możliwość prowadzenia wojny.

Oczywiście, doświadczenia z lat Wielkiej Wojny odgrywały w planach angielskich olbrzymią rolę i zakładano, że jeśli dojdzie do konfliktu, to będzie on miał podobny przebieg. Stąd próbowano w tych kalkulacjach także uwzględniać Rosję. Jednak nie ulega najmniejszej wątpliwości, że kierujący ówcześnie polityką brytyjską gabinet Chamberlaina był o wiele bardziej niż rządy francuskie sceptyczny co do możliwości wykorzystania Sowietów do czegoś więcej niż tylko werbalnego poparcia. Jednocześnie zaś robił wiele, by później nie nadawać ustaleniom z Sowietami formy układów obronnych.

---

189 Ciągle obawiano się uderzenia na Holandię lub Szwajcarię, ale też jakichś ewentualnych akcji niemieckich na Bałkanach, gdzie ambicje podbojów przejawiali również podnieceni afrykańskimi sukcesami Włosi.

190 PRO, CAB 23/98, Protokół posiedzenia gabinetu z 30 marca 1939 roku. Wypowiedź ministra obrony, który na podstawie danych sztabu brytyjskiego oceniał, że Niemcom zdławienie oporu Polski powinno zająć 2–3 miesiące.

27 marca 1939 roku w południe wysłano z Londynu do ambasadorów brytyjskich w Warszawie i Bukareszcie telegramy o tej samej treści. Zawierały one instrukcje do prowadzenia przez nich poufnych rokowań. Potwierdzając w nich zainteresowanie rządu angielskiego współpracą w próbach powstrzymania ekspansji niemieckiej wobec podobnie negatywnego stosunku i Polaków, i Rumunów do wciągania do szerszego bloku antyniemieckiego Rosji, już niemal we wstępie wskazywano, iż Londyn takie stanowisko obu państw przyjmuje i akceptuje. Podkreślano, że pozyskanie Polski do planowanego bloku antyhitlerowskiego jest konieczne, bowiem jest ona jedynym silnym państwem graniczącym z Niemcami na wschodzie, a jednocześnie graniczącym z Rumunią, która może być następnym celem ataku. Obaj ambasadorowie mieli zatem ustalić, czy Polacy i Rumuni są gotowi bronić się w razie agresji niemieckiej. Jeżeli odpowiedzi byłyby twierdzące, to ich zadaniem było zapewnienie obu rządów, że Anglia i Francja przyjdą im z pomocą w tej konfrontacji.

Najważniejszym elementem instrukcji było powiązanie powyższego zobowiązania z wzajemnym zobowiązaniem obu tych państw do pomocy Anglii i Francji, gdy te zostaną zaatakowane przez Niemcy albo „gdy znajdą się w wojnie z Niemcami, broniąc się przed ich agresją gdziekolwiek w Europie Zachodniej lub Jugosławii". Zakładano też, że nastąpi w nieodległej przyszłości dołączenie do tworzonego układu Turcji i Grecji.

W ostatnim punkcie wskazywano, że rząd brytyjski, przy zachowaniu poufności toczących się negocjacji, chciałby jednak uczynić publicznym fakt udzielenia swych gwarancji obu krajom. Jakkolwiek wskazywano tu na wewnętrzne konieczności konstytucyjne, to oczywiste było, że deklaracja taka spełnić miała zupełnie inną funkcję. Przeświadczona o istnieniu ścisłego sojuszu polsko-niemieckiego Europa miała tą drogą dowiedzieć się, że Anglia zdołała dokonać zasadniczego przegrupowania sił na kontynencie.

W konsekwencji, 31 marca 1939 premier brytyjski Chamberlain oświadczył w parlamencie, że:

> *na wypadek jakichkolwiek działań wojennych, mogących wyraźnie zagrozić niepodległości Polski i które by rząd polski uznał zatem za konieczne odeprzeć przy użyciu swych narodowych sił zbrojnych, rząd Jego Królewskiej Mości będzie się czuł zobowiązany do udzielenia rządowi polskiemu natychmiastowego poparcia będącego w jego mocy.*

Dodał też, że rząd francuski upoważnił go „do wyjaśnienia, że jego stanowisko w tej sprawie jest takie samo"[191].

W zasadzie bezwarunkowy i wyraźnie zarysowany zakres pomocy zawarty w tej deklaracji był czymś niezwykłym i niespotykanym w polityce brytyjskiej. Właściwie nigdy dotąd Londyn nie składał tak daleko idących, jednostronnych i bezwarunkowych zobowiązań, jednocześnie uzależniając się praktycznie w sprawie decyzji wojennych od stanowiska innego państwa. Do tego państwa, które w tym momencie nie było przecież nawet jego choćby formalnym sojusznikiem.

Jeśli zważyć, że w trwających równolegle od wielu miesięcy rozmowach pomiędzy sztabami angielskim i francuskim (a od kilku tygodni poszerzonych o przedstawicieli armii belgijskiej), ci sami Anglicy tygodniami rozważali niuanse semantyczne na temat możliwych sytuacji uzasadniających użycie ich sił zbrojnych, to interesująca nas deklaracja pokazuje, jak daleko sięgał poziom determinacji dyplomacji brytyjskiej, aby przeprowadzić Polskę do swojego obozu.

Wynikało to jednak z pełnego zrozumienia istoty ówczesnej sytuacji. Dotychczasowa współpraca polsko-niemiecka była kluczem do sukcesów Hitlera. Tych już osiągniętych i tych, które antycypowano, dzięki znajomości własnej słabości.

I Anglicy, i Francuzi nie mieli żadnej świadomości co do tego, że relacje polsko-niemieckie znalazły się w tym momencie w stanie krytycznym. Przeciwnie, zauważalna intensywność tych kontaktów na przełomie 1938/1939 roku, mogła niezorientowanym wręcz sugerować bliskość kolejnych, niewykluczone że wspólnych posunięć, na przykład wobec Rumunii czy gdzieś na zachodzie Europy. Zresztą bliskie związki Polski z Niemcami i z Rumunią mogły być swoistym ogniwem pośrednim, prowadzącym do uzyskania celu, na którym zależało Niemcom – gospodarczego wyzyskania Rumunii.

Wspólnym elementem łączącym te trzy kraje był poza tym niemal podobny stopień niechęci wobec Związku Sowieckiego. Taki solidny układ trójstronny dałby Niemcom zupełną swobodę działania na Bałkanach i w Europie Zachodniej. Z tego punktu widzenia szansa storpedowania takiego scenariusza zdawała się po prostu nie mieć ceny i stąd też niespotykana oferta brytyjska.

[191] Deklaracja premiera Chamberlaina w Izbie Gmin w sprawie gwarancji dla Polski z 31 marca 1939 roku, *Sprawa Polska...,* s. 18.

Na tym też tle widać wyraźnie, że Brytyjczycy nie prowadzili polityki obliczonej na rozbicie Polski i na przyszłe starcie niemiecko-sowieckie. Z pewnością nie byli bowiem w stanie wyobrazić sobie w tym momencie takiej kombinacji, która mogłaby doprowadzić do wybuchu wojny sowiecko-niemieckiej 22 czerwca 1941 roku, a zwłaszcza poprzedzających ją, miesięcy współpracy Stalina i Hitlera.

Wskazać tu można na dwa niezwykłej wagi dokumenty, które potwierdzają takie stanowisko. Podczas bardzo długiej dyskusji na posiedzeniu gabinetu, w przeddzień złożenia w parlamencie deklaracji, czyli 30 marca, podnoszono szereg obiekcji wobec proponowanego, praktycznie bezwarunkowego złożenia swego losu w ręce nielubianego, delikatnie rzecz ujmując, min. Becka. Wskazywano na brak jakichkolwiek wzajemnych gwarancji ze strony polskiej i na toczące się równolegle rozmowy polsko-niemieckie, których rezultat mógł przecież nie tylko ostatecznie przekreślić plany brytyjskie, ale wręcz je ośmieszyć wobec opinii światowej.

Z drugiej strony podkreślano, że sformułowana w taki sposób deklaracja może być odczytana przez Niemców jako prowokacyjna wobec nich. Mogło to skutkować skrajnym utrudnieniem dalszych kontaktów angielsko-niemieckich.

Wreszcie deklaracja ta, pozostawiając na uboczu sprawę Rumunii, nie załatwiała głównych w tym momencie obaw polityki brytyjskiej[192]. Obawy co do kierunku ewolucji negocjacji polsko-niemieckich zgłaszał w szczególności premier, wskazując, że od ich wyniku zależą losy brytyjskiej inicjatywy.

Bardzo ważnym i interesującym momentem dyskusji, zwłaszcza w perspektywie nieodległych już wydarzeń, było postawienie podczas tych obrad istotnego pytania dotyczącego Gdańska. Kwestia została wywołana wprost, zastanawiano się bowiem, jak odróżnić problem możliwego przejęcia przez Niemcy Gdańska od ataku na Polskę.

Według min. Halifaxa, trudno byłoby znaleźć w tej sprawie lepszy test niż decyzje Polski uznające, że atak godzi w jej niepodległość i musi go ona odeprzeć zbrojnie. Wobec wątpliwości wyrażonych przez niektórych ministrów, jednoznaczne i niepozostawiające żadnych wątpliwości stanowisko w tej sprawie zajął sam premier Chamberlain. Stwierdził mianowicie, że jeśli Polska uzna sprawę Gdańska za zamach na swą niepodległość i za powód do walki, to Anglia powinna jej przyjść z pomocą.

192 PRO, CAB, 23/98, Protokół posiedzenia gabinetu z 30 marca 1939 roku.

Powyższe stwierdzenia dowodzą jednoznacznie tego, jak wielka była determinacja brytyjska w dążeniu do pozyskania nowego sojusznika. Niestety, za kilka miesięcy, wskutek błędów popełnionych przez stronę polską, ta wyrażana w marcu 1939 roku gotowość do przyjmowania polskiego stanowiska w sprawie Gdańska za rozstrzygającą, niestety zniknęła.

Warto też wskazać, że punktem wyjścia dla tej decyzji był przygotowany w Foreign Office i przekazany członkom gabinetu 29 marca raport „o sytuacji europejskiej i polityce rządu Jego Królewskiej Mości"[193]. W części poświęconej Polsce uznawano, że głównym celem jej polityki było utrzymywanie równowagi w relacjach z Niemcami i z Rosją, starania o uzyskanie statusu wielkiego mocarstwa oraz próba zmontowania bloku państw bałtyckich i śródziemnomorskich dla zapobieżenia dominacji Niemiec i Rosji w tym obszarze.

Jednak, jak zauważono, unicestwienie Czechosłowacji i zajęcie Kłajpedy „podminowało" tę politykę i Polska, w opinii Foreign Office, musi obecnie „szybko wybrać" między stawianiem, wraz z innymi krajami, oporu Niemcom a porozumieniem z Niemcami bez gwarancji, że w przyszłości nie stanie się ofiarą ich ekspansji.

Widać wyraźnie, że Brytyjczycy niezwykle szybko i trafnie ocenili konsekwencje zmiany sytuacji na terenie Czechosłowacji dla pozycji Polski względem Niemiec. Nie ulegało ich wątpliwości, że objęcie niemieckim protektoratem Słowacji jest w gruncie rzeczy prostym krokiem do szybkiego podporządkowania sobie Rzeczypospolitej.

Pełne obaw i niepewności stanowisko brytyjskie potwierdza nierealność wzmiankowanych już przeze mnie wyżej opinii czy zarzutów o zawartej w deklaracji z 31 marca cynicznej kalkulacji Brytyjczyków, obliczonej na upadek Polski. Jest to stworzona wyraźnie *ex post,* wzmocniona goryczą późniejszych zawodów i pretensji, interpretacja, niemająca realnych podstaw w ówczesnych wydarzeniach. Wymyślenie takiej kombinacji w marcu 1939 roku wymagałoby u steru polityki brytyjskiej nie lada geniusza. A takiego Anglia, i nie tylko zresztą ona, po prostu nie miała.

Trzeba zauważyć, że gdyby to twierdzenie miało być prawdziwe, to Anglicy powinni zaprzestać w tym momencie wszelkich innych prób rozszerzenia koalicji antyniemieckiej. Jednocześnie, to logiczne, nie powinni podejmować żadnych starań na rzecz uniknięcia ewentualnego konfliktu wojennego, ponieważ to dopiero taki konflikt i nieunikniony upadek

[193] FO 371/22967, C 4319 – European situation and HMG's policy.

Polski w starciu z Niemcami otwierałby tę – rzekomo upragnioną – perspektywę starcia niemiecko-sowieckiego. Skoro jednak przez następne miesiące Anglicy gotowi byli szukać wszelkich możliwości uniknięcia wojny polsko-niemieckiej, ba!, byli stroną starającą się powstrzymać Polskę w jej determinacji do walki, to zarzuty o ich cynicznej kalkulacji są po prostu niezrozumiałe.

1 kwietnia 1939 roku niepokój Anglików musiał wzrosnąć jeszcze bardziej. W tym dniu, niewątpliwie pozostając pod silnym wrażeniem brytyjskiej deklaracji, Hitler wygłosił ważne przemówienie w bazie morskiej w Wilhelmshaven. W informacji przesłanej do Londynu z ambasady brytyjskiej z Berlina wskazywano na wyraźnie defensywne nastawienie Hitlera. Kanclerz nie ukrywał, że angielska próba okrążenia Niemiec doprowadzi do wojny. Znamienne było zauważenie przez Anglików tego, że w przemówieniu nie było właściwie mowy o Polsce, nie było też antypolskich wątków[194].

Reakcja Hitlera nie dziwi. Nie był on w tym momencie w stanie ustalić, czy inicjatywa angielska jest tylko rozpaczliwą próbą pozyskania sojusznika, który był dotąd jego bliskim aliantem, czy był to już wyraz ściślejszego porozumienia. Na atak na Anglię mógł sobie zatem pozwolić, na Polskę zaś jeszcze nie. Oznaczałoby to bowiem przyzwolenie na jej przejście na pozycje antyniemieckie, a co za tym idzie, zakwestionowanie możliwości realizacji założonych na najbliższy czas celów. Byłoby to także ostateczne przekreślenie ostatnich sześciu lat jego polityki polskiej, która dała mu przecież tyle korzyści. Chcąc nie chcąc, musiał zatem czekać na wyjaśnienie sytuacji.

W tym dniu najsilniejsze karty w ręku trzymał, mimo wszystko, min. Beck. Za trzy dni miał on rozpocząć rozmowy w Londynie, po drodze zaś mógł „zahaczyć" o Berlin. I Niemcy, i Anglicy czekali na jego decyzje.

Anglicy byli w tym momencie gotowi do najdalej idących zobowiązań na rzecz Polski i do pełnego zaangażowania się w tworzenie szerokiej, antyniemieckiej koalicji, w której, obok nich, fundamentem miała być właśnie Polska.

Niemcy, będąc pod wrażeniem inicjatywy brytyjskiej i twardej dotąd linii zaprezentowanej przez stronę polską, gotowi byli zapewne do gruntownego przemyślenia swej dotychczasowej taktyki. Jest charakterystyczne, że w obliczu polskiej mobilizacji wojskowej z 23 marca, w obliczu

194 FO 371/23153, C 4566, depesza z Berlina z 2 kwietnia.

trwających od tygodni intensywnych prac polskiego Sztabu Głównego nad planem wojny, wreszcie wobec anglo-francuskiej deklaracji, 3 kwietnia 1939 roku dowództwo niemieckich sił lądowych wydało wytyczne dotyczące planowania wojennego. W dokumencie tym pojawia się po raz pierwszy pojęcie „Fall Weiss"[195]. Kryptonim ten będzie oznaczał plan ataku na Polskę. Ale w tych wytycznych nie było żadnych instrukcji dotyczących akcji zaczepnych wobec Polski. Pojawiły się tam jedynie wskazówki, co do harmonogramu prac nad tym planem, bez określania jeszcze jego ostatecznego charakteru.

Warto w tym miejscu zatem zauważyć, że polski Sztab Główny już od kilku tygodni pracował intensywnie nad planem obrony przed agresją, której nikt nawet jeszcze po stronie niemieckiej nie tylko nie planował, ale nawet nie był w stanie przewidzieć jako choćby hipotetycznej ewentualności[196]. Porównując zaawansowanie polskich przygotowań wojennych z postawą niemiecką w tym okresie, nie możemy nie zauważyć zupełnej nieproporcjonalności podjętych po obu stronach działań.

Napisałem, że w tym momencie wszystkie niemal atuty w ręku miał min. Beck. Mimo fatalnej w skutkach postawy w okresie kryzysu austriackiego i czechosłowackiego, stał się on nagle osobą, której decyzje mogły istotnie zaważyć na losach Polski i Europy. Był to jednak czas, w którym potrzebne były szybkie i jednoznaczne rozstrzygnięcia.

Postawienie na Anglię oznaczało, prędzej czy później, wojnę z Niemcami. Ale stwarzało też wielką szansę na przekształcenie tej wojny w konflikt ogólnoeuropejski, z zaangażowaniem weń wielu podmiotów w koalicji antyniemieckiej. Nie ulega wątpliwości, że dyplomacja brytyjska była w stanie stworzyć taką właśnie, bardzo szeroką antyniemiecką koalicję. Taka decyzja wymagała szybkiego, pełnego skoordynowania polityki polskiej z polityką brytyjską i przejęcia wręcz inicjatywy, zwłaszcza w montowaniu bloku antyniemieckiego w Europie Środkowo-Wschodniej. Taki

---

195 *Polskie Siły Zbrojne w II wojnie światowej,* t. 1, *Kampania Wrześniowa,* cz. 1, *Polityczne i wojskowe położenie Polski przed wojną,* Londyn 1951, s. 427, (dalej: PSZ).

196 Skłaniałbym się jednak ku przekonaniu, że wspominane przez gen. Stachiewicza prace polskiego Sztabu Głównego mogły dotyczyć w pierwszej fazie pilnego przeanalizowania sytuacji wynikającej ze zmiany układu sił na terenie czechosłowackim oraz objęcia gwarancjami niemieckimi, a *de facto* protektoratem, Słowacji. Wspominałem już o daleko idących konsekwencjach strategicznych tych wydarzeń i z pewnością polski sztab musiał zająć się tym zagadnieniem. Nie można tu wykluczyć, że nowa sytuacja tym bardziej skłaniała do przemyślenia różnych wariantów, nie wyłączając prewencyjnych działań ofensywnych, co wyraźnie widać w wytycznych przekazanych inspektorom armii po 23 marca 1939 roku.

szeroki blok państw środkowoeuropejskich mógł skutecznie odstraszyć Hitlera od pomysłu toczenia wojny na wielu frontach. Musiał też działać powstrzymująco na agresywne plany Stalina względem tej części Europy.

Był też możliwy powrót do polityki współpracy z Niemcami. Oznaczało to zgodę na ich niemal nieograniczoną ekspansję w Europie, a i zapewne konieczność rezygnacji z pełnej samodzielności polityki polskiej. Mogło też oznaczać w dalszej konsekwencji nawet utratę pewnych terytoriów na rzecz Niemiec i konieczność wspólnego zaangażowania się z nimi i innymi państwami do antykomunistycznej krucjaty. Jednak odsuwało groźbę praktycznie samodzielnej konfrontacji z Niemcami.

Minister Beck wybrał jednak możliwość trzecią – z pewnością najgorszą. Postanowił grać na czas i kluczyć, trzymając w szachu obie strony. Nie rozumiał, niestety, że na taką grę ani czasu, ani miejsca już nie było. Czas prowadzenia przez Polskę całkowicie samodzielnej polityki bowiem już się skończył.

5.

Czy warto umierać za Gdańsk?

Brytyjczycy wiązali z wizytą min. Becka w Londynie wielkie nadzieje. Liczyli, że może ona doprowadzić do zasadniczej zmiany i zdynamizowania sytuacji w Europie, a w konsekwencji do odebrania Hitlerowi inicjatywy politycznej. Ale, mając świadomość ryzyka podjętej gry, żywili też głębokie obawy co do możliwego niepowodzenia swojej inicjatywy. Nie byli bowiem do końca pewni, czy Polska nie chce wyzyskać ich zaangażowania i daleko idących gwarancji wyłącznie do wzmocnienia swojej pozycji względem Niemiec. Rząd angielski miał świadomość, że dając Niemcom rok wcześniej zielone światło na załatwienie po ich myśli sprawy gdańskiej, doprowadzi prędzej czy później do rozerwania współpracy polsko-niemieckiej. Jednak w tamtym momencie nie miał żadnej wiedzy, że zakładany cel został już osiągnięty. Planowano raczej, że wizyta Becka ma służyć przekonaniu go do takiej reorientacji. Do głowy im nie przychodziło, że intensywne kontakty polsko-niemieckie choćby w marcu wiązały się właśnie z gwałtownym przejściem do fazy zamrożenia tych relacji.

Z tego właśnie wynikało ich ewidentne dążenie do uczynienia z Polski swego głównego, obok Francji, sojusznika na kontynencie. Sojusznika, który jednak nie ograniczy się tylko do werbalnej solidarności, ale podejmie, wykorzystując swe dotychczasowe osiągnięcia i pozycję w Europie Środkowo-Wschodniej, intensywne działania na rzecz współtworzenia z nimi szerokiej koalicji antyniemieckiej. Koalicji, której tworzenie – byli o tym przekonani – Polacy mieli wydatnie wesprzeć. W ich bowiem ocenie sytuacji, powstanie takiego bloku antyniemieckiego leżało w najbardziej żywotnym interesie Rzeczypospolitej.

To bowiem Polska w tych opiniach, dzięki wypracowanej przez lata pozycji w tej części kontynentu, mogła być spoiwem dużego bloku państw tzw. międzymorza, obejmującego Rumunię, Węgry, Bułgarię, Grecję, Jugosławię i Turcję[197]. Stworzenie takiego układu, ze wsparciem Anglii i Francji

[197] Niezwykle charakterystyczna jest treść raportu polskiego ambasadora w Bukareszcie Rogera Raczyńskiego z jego rozmowy z rumuńskim ministrem spraw zagranicznych Gafencu z 13 stycznia 1939 roku (zob. treść raportu [w:] *Polskie dokumenty dyplomatyczne. 1939 styczeń–sierpień,* Warszawa 2005, s. 23–28). Z rozmowy tej w sposób oczywisty wynika

i z udziałem Belgii i Holandii, było marzeniem Brytyjczyków. Uważali oni, że taka europejska koalicja z pewnością powstrzyma Hitlera, a Mussoliniego zmusi do ponownego przemyślenia pozycji Włoch. Wszystko to zaś miało być najskuteczniejszą zaporą nie tylko przed wybuchem wojny, ale również przed dalszą ekspansją Niemiec. I w tej perspektywie powstrzymanie Niemców w sprawie gdańskiej, i to po linii oczekiwań polskich, mogło być swoistym punktem zwrotnym w polityce europejskiej.

Taki szeroki blok mógł, w opinii Brytyjczyków, być bardzo skuteczną przeszkodą, nie tylko dla dalszej ekspansji Hitlera, ale i wobec ewentualnej agresji sowieckiej. Musiałby też, co oczywiste, działać uspokajająco na Mussoliniego, przejawiającego coraz większą agresywność w basenie Morza Śródziemnego. Warunkiem powodzenia tego planu, do którego przekonani byli już chyba wszyscy, łącznie z tradycyjnym niemieckim aliantem Bułgarią[198], było nakłonienie do niego także polskiego ministra.

Jednak wyniki rozmów z płk. Beckiem przyniosły Brytyjczykom bardzo głębokie rozczarowanie i – wręcz – zawód[199]. Czytając przedłożoną gabinetowi relację z tych rozmów, przygotowaną przez Lorda Halifaxa, nie sposób wyjść ze zdumienia. Odnosi się wrażenie, że do Londynu zawitał przedstawiciel omalże supermocarstwa, o którego względy zabiegał jakiś trzeciorzędny kraj.

To Brytyjczycy prosili Becka, by ten w imieniu Polski oświadczył, że zgadza się na podobne, jak zadeklarowane przez Chamberlaina 31 marca, gwarancje ze strony Polski dla Anglii. Obie strony, deklarując w tym punkcie wolę zawarcia trwałego traktatu regulującego ich stosunki, uznały wzajemność swych zobowiązań do pomocy w wypadku zagrożenia[200].

---

gotowość Rumunii do najdalej idącej kooperacji w Europie Środkowej, nawet zakładając różnorakie ustępstwa na rzecz Węgier, co było wyrazem wielkiej determinacji ówczesnych władz rumuńskich w dążeniu do uniknięcia podporządkowania Niemcom.

198 Skuteczność Brytyjczyków w montowaniu podobnych koalicji była w Europie dobrze znana, przynajmniej od czasów napoleońskich. Później potrafili w ten sposób powstrzymywać Rosjan w połowie XIX wieku czy Niemców i Austriaków w latach I wojny światowej. Nie było więc wątpliwości, co do ich skuteczności przy tego typu kombinacjach.

199 PRO, CAB 23/98, Protokół posiedzenia gabinetu z 5 kwietnia 1939 roku. Premier Chamberlain „prosił gabinet o zrozumienie, że rozmowy z płk. Beckiem były bez wątpienia niesatysfakcjonujące i nie okazały się tak spokojne jak tego oczekiwano".

200 Polsko-brytyjski komunikat o wizycie min. Becka w Londynie ukazał się z datą 6 kwietnia 1939 r., *Sprawa Polska*..., s. 19. 7 kwietnia został spisany protokół zawierający konkluzje z rozmów londyńskich min. Becka, podpisany przez amb. Raczyńskiego i wiceministra A. Cadogana z Foreign Office, *Diariusz*..., t. 4, s. 716–718.

Na tym jednak lista uzgodnień londyńskich w zasadzie się wyczerpała. Sprawy rozciągnięcia gwarancji i wynikających z nich oczywistych następstw, na wypadek niemieckiego ataku na Belgię, Holandię, Danię lub Szwajcarię, min. Beck – jak zapisał angielski protokolant – „nie podjął". Oświadczył jedynie, że podda tę kwestię pod decyzję Rządu polskiego[201].

Podobnie nie rozwinął podniesionej przez Anglików kwestii reakcji na zagrożenie Jugosławii, co było częścią problemu bałkańskiego. W najbardziej natomiast istotnym dla gospodarzy negocjacji w tamtym momencie punkcie, w sprawie Rumunii, min. Beck uznał ewentualne wspólne gwarancje polsko-brytyjskie dla tego kraju „za niepożądane" oraz stwierdził „że musi [ona] radzić sobie sama".

Polski minister ponownie też odrzucił wszelkie możliwości uwzględnienia w angielskich kombinacjach Rosji, choćby „jako dostawcy sprzętu wojennego". W jego opinii, jakiekolwiek rozwiązania tego rodzaju doprowadziłyby Niemców do eksplozji.

Można rozważać, na ile – z punktu widzenia min. Becka – ewentualne angażowanie się Polski w potencjalne ogniska konfliktów na kontynencie mogło naruszać równowagę w relacjach polsko-niemieckich. Wydaje się oczywiście, że zbyt szybkie i bezkrytyczne przyjęcie brytyjskich propozycji wcale nie uwiarygodniałoby Polski jako nowego sojusznika. Jednocześnie nie ulega wątpliwości, że w sposób ostateczny prowadziłoby do zniszczenia jakichkolwiek perspektyw kontynuowania gry z Niemcami, na czym jednak chyba ministrowi ciągle zależało.

Z pewnością niezrozumiałe jest jednak to, że skoro najważniejszym dążeniem min. Becka przez kilka poprzednich lat było doprowadzenie do zbudowania pozycji Polski jako europejskiego mocarstwa, to w momencie gdy właściwie dotarł do oczekiwanego przez siebie punktu, zupełnie nie rozumiał skali odpowiedzialności, jaka wynikała z takiej właśnie sytuacji. Do dzisiaj to dążenie polskiej polityki zagranicznej po 1926 roku bywa przedstawiane karykaturalnie jako nieuprawnione i niczym nieuzasadnione „prężenie muskułów". Oczywiście, głównie przez pryzmat przebiegu kampanii wrześniowej. Podnosi się, że było to dążenie na wyrost, że Polska nie miała szans, aby stać się realnie takim właśnie czynnikiem w polityce europejskiej.

[201] Skądinąd interesujące, czy podobnie jak w przypadku Niemców, Beck zakładał że Brytyjczycy rozumieją ów niuans, wynikający ze stosowania pojęcia „Rząd polski" w odniesieniu do polskich czynników decyzyjnych.

Kiedy jednak min. Beck rzeczywiście doprowadził Polskę do tego celu, kiedy fakt ten zaakceptowały ówczesne dwa światowe mocarstwa, okazało się, że on sam nie był w stanie przyjąć wynikających z tego konsekwencji i sprostać roli, do której aspirował.

Nie rozumieli tego również Anglicy, którzy z wielkim trudem oraz oporem różnych czynników wewnętrznych, w bezprecedensowy sposób włączyli Polskę do grona głównych rozgrywających polityki europejskiej. Jednak zamiast gotowego do współodpowiedzialności za Europę polskiego ministra zobaczyli kunktatora prowadzącego w niezrozumiały dla nich sposób, niedające się określić interesy.

Państwo aspirujące do roli mocarstwa europejskiego musiało angażować się w ewentualne konflikty na kontynencie, nawet gdyby, z punktu widzenia jego partykularnych interesów, można je było postrzegać jako egzotyczne. Okazało się, że w kluczowym momencie, kiedy światowe imperium zdecydowało się uznać Polskę jako swojego kluczowego obok Francji alianta w Europie, kiedy do tego objęło tego alianta najdalej idącymi zobowiązaniami ze swojej strony, Polska – powtórzmy to – objawiła się całkowicie niezdolna do podjęcia ciężaru odpowiedzialności, do której aspirowała.

Pułkownik Beck nie musiał, rzecz jasna, przedstawiać w Londynie precyzyjnych odpowiedzi na wszystkie propozycje brytyjskie. Ale też nie musiał w sposób brutalnie jednoznaczny i niepozostawiający żadnych wątpliwości kwestionować podstaw polityki brytyjskiej, będąc do tego w sytuacji petenta. Nawet w sytuacji, gdy Brytyjczycy nie mieli jeszcze świadomości, jaka była rzeczywiście nasza ówczesna sytuacja i stan relacji polsko-niemieckich.

Podkreślić też trzeba, że najbardziej ambarasujące dla strony brytyjskiej musiało być otwarte negowanie projektów brytyjskich nawet tam, gdzie leżało to w oczywistym interesie Polski. Można od biedy uznać, że w sprawach dotyczących ewentualnych działań niemieckich w Europie Zachodniej warto było zachowywać na tym etapie wstrzemięźliwość. Choć z drugiej strony, w sytuacji gdy Anglicy udzielali swoich najdalej idących gwarancji dla Polski, mieli prawo oczekiwać zrozumienia ich interesów na Zachodzie, zwłaszcza zaś konieczności utrzymania tam minimum równowagi.

Jednak już postawy w sprawie rumuńskiej nie sposób zrozumieć w żaden sposób. Silne związanie Rumunii, ciągle lawirującej po orbicie

niemieckiej, po fiasku zdominowania Słowacji, leżało w najgłębiej pojętym interesie Polski. Bez ściśle powiązanej z Polską Rumunii, po marcu 1939 roku, Polska nie mogła marzyć o jakimkolwiek efektywnym sojuszu z aliantami zachodnimi (choćby w kontekście uzyskania swobodnego dostępu do nieodzownego dla prowadzenia wojny zaopatrzenia wojennego), nie wspominając już o odcinku antysowieckim. Brutalne odrzucenie inicjatywy brytyjskiej w tym obszarze musiało w fundamentalnym stopniu podważać wiarygodność polskiego ministra w oczach Anglików.

Rezultatem głębokiego niezadowolenia strony angielskiej z przebiegu tych rozmów, wyrażonego przez premiera Chamberlaina na posiedzeniu gabinetu, była decyzja o kontynuowaniu starań na rzecz zmontowania szerokiej koalicji antyniemieckiej z krajami bałkańskimi, bałtyckimi i z... Rosją. Była to miara „sukcesu" polskiego ministra, który w ten sposób zmusił Chamberlaina do podjęcia działań w kierunku, który dotąd konsekwentnie odrzucał.

Tymczasem Beck uważał pobyt w Londynie za wielki sukces swój i Polski. W ślad za nim podobny pogląd przyjęła ówcześnie polska opinia publiczna, a do dziś przekazuje zdecydowana większość polskiej historiografii. Miał to być wyraz potwierdzenia pozycji Polski jako europejskiego mocarstwa. Rezultat był, niestety, wręcz odwrotny. Minister Beck, negując praktycznie wszystkie propozycje angielskie, utwierdzał Brytyjczyków w przekonaniu, że prowadzi z nimi jedynie jakąś, niezrozumiałą jeszcze dla nich w tym momencie, grę.

Czegoś się już jednak Anglicy chyba domyślali, bo postawili Beckowi wprost pytanie o sprawy Gdańska. Do tego wątku za chwilę wrócę.

Widoczna niechęć Becka do wsparcia angielskich wysiłków mogła być ostatecznie z ich punktu widzenia do pewnego stopnia zrozumiała, w świetle dobrych, jak oceniali jeszcze błędnie, stosunków polsko-niemieckich. Mogli przypuszczać, że Beck potrzebuje trochę czasu, aby przeorientować relacje z Niemcami. Gdyby polski minister choćby w ten sposób zdezorientował Anglików, ci uznaliby to za wyraz jego racjonalności. Nikt, nie wyłączając Brytyjczyków, nie oczekiwał od Becka, aby rzucał się on w ramiona Halifaxa i deklarował dozgonną wierność Polski. Oczekiwano jedynie zrozumienia własnych interesów Polski (stąd waga sprawy Rumunii) i zarysowania choćby schematu dochodzenia do realizacji brytyjskich koncepcji szerokiej koalicji. Zabrakło i jednego, i drugiego.

Jak zatem ocenić postawę polskiego ministra, który w zaledwie kilka dni wcześniej uznał, że niemiecki sąsiad „stracił na obliczalności"? Jeśli tak wtedy rzeczywiście oceniał, jeśli bez wątpienia, wskutek tych ocen, Polska uruchomiła cały swój potencjał, aby przygotować się do wojny z Niemcami, to jaki sens miało to kunktatorstwo wobec Brytyjczyków i ich propozycji? Czyżby min. Beck, szykujący już z marszałkiem swój kraj do wojny, uważał się za tak silnego, że pomoc kilku krajów europejskich, związanych węzłem koalicyjnym, była mu całkowicie niepotrzebna? Skoro koalicjantów w rodzaju Bułgarii czy Grecji szukały Anglia i Francja, światowe mocarstwa, to czy uwłaczało to powadze Polski mieć takich samych koalicjantów?

Mamy tu zresztą jeszcze jeden dowód absurdalności zarzutów pod adresem Brytyjczyków, suponujących, jakoby ich gwarancje były obliczone na zniszczenie Polski i przyszły konflikt sowiecko-niemiecki. Gdyby tak było, przyklasnęliby przecież postawie Becka w tych rozmowach, ten bowiem robił wszystko, by ograniczyć konflikt tylko do Polski, a tym samym w oczywisty sposób doprowadzić do stanięcia Niemiec *vis a vis* Rosji. To jednak nie Anglicy do tego doprowadzili. Doprowadzili do tego płk Beck oraz marszałek Śmigły-Rydz ze swoim otoczeniem.

Niechęć min. Becka do szerokiej koalicji wynikała z jego opacznego rozumienia koncepcji bezpieczeństwa zbiorowego i wielostronnych układów. W takim kontekście postrzegał on propozycje angielskie i zgodnie z dyspozycjami marszałka Piłsudskiego był im zdecydowanie wrogi.

Ale propozycje angielskie nie miały nic wspólnego z takimi pomysłami, które stanowiły przede wszystkim specjalność dyplomacji francuskiej. Przeciwnie, podobnie jak w przypadku doświadczeń sprzed Wielkiej Wojny, ich intencją było stworzenie szerokiej sieci umów dwustronnych. Porozumienia te, funkcjonujące na zasadzie domina, w przypadku agresji choćby na jeden z krajów będących w tej sieci, uruchamiałyby cały łańcuch reakcji, a w konsekwencji prowadziły do wybuchu konfliktu ogólnoeuropejskiego.

Anglicy liczyli, że takie rozwiązanie, sprawdzone właśnie w 1914 roku[202], będzie skutecznie wpływać na Niemców, gdzie nawiązywanie do analogii sprzed ćwierćwiecza było ciągle żywą przestrogą. O tym, że nawet sam

[202] Pamiętać należy, że Wielka Wojna rozpoczęła się od wypowiedzenia wojny Serbii przez Austro-Węgry. To w konsekwencji tego kolejne kraje trójprzymierza i trójporozumienia wypowiadały sobie wojnę, co doprowadziło właśnie do ogólnoeuropejskiej konfrontacji.

Hitler bał się takich koncepcji, nie wspominając o wyczulonej na tym punkcie niemieckiej opinii publicznej, nie trzeba nikogo przekonywać. Dlatego właśnie kanclerz stał się swoistym mistrzem w doprowadzaniu do lokalizowania planowanych przez siebie konfliktów i wyizolowywania swoich ofiar. Właśnie po to, aby nie dopuścić do powtórzenia sytuacji z 1914 roku i zmaterializowania się koncepcji, którą próbowali forsować od dłuższego czasu Anglicy.

Paradoksalnie polski minister reprezentował w tym momencie linię leżącą w najżywotniej pojętym interesie niemieckim. Z Niemcami chciał pozostać sam na sam, bez sojuszników w najbliższym otoczeniu, do tego będąc wystawionym wyłącznie na dobrą wolę alianta, do którego lojalności miał zastrzeżenia, wręcz niewiarę[203].

Zastanawiać musi w tym kontekście – o czym już wzmiankowałem – jego zdecydowana niechęć do poszerzenia dotychczasowego związku z Rumunią. Tu przecież ryzyko drażnienia Niemców było najmniejsze, nie musiało być zresztą propagandowo nagłaśniane, a jeśli już, to zawsze można było tworzyć wrażenie, że chodzi o zacieśnienie współpracy na odcinku antysowieckim. Korzyści wzajemnych gwarancji z Rumunią, w razie konfliktu z Niemcami, były dla Polski aż nadto oczywiste. Mając dziś wiedzę i konkretne doświadczenia z września 1939 roku, tłumaczenie tych korzyści wydaje się zbędne. Tym bardziej, że nie są one znane *ex post* – były oczywiste dla każdego, kto miał choć odrobinę zdrowego rozsądku i w 1939 roku.

W każdym razie, na progu spodziewanego konfliktu z Niemcami – do tego przecież w praktyce prowadziły decyzje władz RP z marca 1939 roku – sojusznik rumuński był jak najbardziej pożądany. Ryzyko zaś uwikłania Polski w konflikt, z powodu agresji Niemiec na Rumunię, nawet w opinii płka Becka było mniej niż znikome. Co więcej, przy polskich gwarancjach i przy polskiej współpracy z Węgrami, wdzięcznymi za pomoc w uzyskaniu Rusi Zakarpackiej, jakiekolwiek zakusy Niemiec na Rumunię nie mogły się zmaterializować. Zatem, dzięki temu, tradycyjna niechęć rumuńsko-węgierska została zneutralizowana swoistą wspólnotą interesów w odsunięciu groźby niemieckiej dominacji.

[203] Beck, inaczej niż Śmigły-Rydz i jego współpracownicy, nie miał praktycznie żadnych złudzeń co do realności ewentualnej francuskiej pomocy sojuszniczej. I chociaż późniejsze wydarzenia zweryfikowały słuszność jego stanowiska, to wcześniej, na etapie zmagań dyplomatycznych w kluczowym momencie, zdaje się że zapomniał o swoim w tej materii stanowisku.

Nie można w związku z tym przyjąć jako poważnego zastrzeżenia, że wzmocnienie naszych związków z Rumunią mogłoby odbić się negatywnie na stosunkach z Węgrami[204]. W obliczu coraz mocniejszych nacisków Niemiec na Węgry, właśnie układ Polski z Rumunią, wsparty gwarancjami angielskimi i francuskimi, tworzył przecież i dla Węgrów atrakcyjną alternatywę.

Nie sposób zatem pojąć, jakie były przyczyny tego, że kiedy wreszcie po kilku tygodniach niecierpliwego oczekiwania Brytyjczyków, min. Beck zdecydował się częściowo odpowiedzieć na ich oczekiwania, to uznał, że Polska jest skłonna udzielić gwarancji jedynie Belgii, Holandii oraz Danii. Mieliśmy zatem, zdaniem płka Becka i polskich decydentów, oczywisty interes w gwarantowaniu niepodległości Danii, Belgii i Holandii (co skądinąd nie miało przecież najmniejszego sensu militarnego[205], o politycznym nie wspominając), ale nie mieliśmy żadnego interesu wspierać niepodległość Rumunii. Nie sposób uznać, że w tym momencie płk Beck i sanacyjna elita realizowali w jakimkolwiek punkcie testament marszałka Piłsudskiego. Egzotyka tej polityki była wprost porażająca.

> *Swoją drogą trudno doprawdy zrozumieć to nastawienie elity sanacyjnej do Rumunii. Czy wynikało ono z jakiegoś rodzaju poczucia wyższości, lekceważenia dla wartości sojuszniczej tego kraju, czy z jakichś innych przesłanek? To wprost niepojęte, by tak strategicznego partnera, nawet jeśli uchodził za chwiejnego, potraktować w sytuacji tak wielkiej własnej potrzeby w taki sposób. Z drugiej strony łatwiej też zrozumieć nastawienie Rumunów do sanacyjnej elity we wrześniu 1939 roku. Możemy w tym postępowaniu znaleźć jakby częściową odpłatę, za znany im przecież stosunek Becka do ich kraju i w praktyce, wtłoczenie ich przez Polaków, w orbitę niemieckiego uzależnienia.*

Skutkiem tej postawy min. Becka było to, że Anglicy nie mogli traktować Polski jako swojego pierwszoplanowego sojusznika. Jest to wyraźnie

---

[204] Tego typu supozycje znalazły się w pisanych przez min. Becka z perspektywy czasu (ale wbrew oczywistym historycznym faktom, w tym własnym opracowaniom i dyspozycjom) pamiętnikach.

[205] Żaden z tych krajów, na wypadek agresywnych działań niemieckich, nie miał jakichkolwiek szans na skuteczną obronę, nawet z wykorzystaniem wsparcia francuskiego (w przypadku Belgii, bowiem Dania i Holandia efektywnego wsparcia francuskiego ani brytyjskiego uzyskać nie mogły). Potwierdziły to później wydarzenia roku 1940, kiedy, mimo osiągniętej przez aliantów gotowości, nie mogli oni w żaden sposób wesprzeć tych krajów. Jak więc płk Beck wyobrażał sobie gwarantowanie niepodległości tych krajów i czy naprawdę było to mniej drażniące i bardziej realne, wreszcie potrzebniejsze, niż podobne gwarancje dla Rumunii?

widoczne w wydarzeniach kolejnych tygodni. Anglikom trudno bowiem było zrozumieć i akceptować postawę, która skoncentrowana była tylko na przyjęciu określonych korzyści dla swego kraju, natomiast nie oferowała nic więcej z punktu widzenia szerszego bezpieczeństwa europejskiego. Uważali, że jeżeli ktoś aspiruje do pozycji europejskiego mocarstwa, to ciąży na nim też odpowiedzialność za coś więcej niż tylko własne granice.

Co więcej trudno im było w tym kontekście zrozumieć dotychczasową politykę Becka w obszarze międzymorza. Skoro dążył on do zorganizowania tych państw dla przeciwstawienia się presji niemieckiej i sowieckiej, to dlaczego w momencie, gdy zagrożenie taką presją stawało się więcej niż realne, zapominał o swych przyjaciołach? I to w sytuacji, gdy dla tej koncepcji miał pełną akceptację najważniejszych mocarstw europejskich.

Podczas tych rozmów stała się rzecz jeszcze gorsza. Rzecz, która – w mojej ocenie – zaważyć miała w sposób decydujący na tym, że już wkrótce Polska z kraju kluczowego dla polityki angielskiej stanie się dla niej po prostu dolegliwym petentem.

Podczas rozmów w Londynie Beck, jak wspominałem, został zapytany przez Halifaxa o problem Gdańska. Halifax, o czym Beck doskonale wiedział, był na tę kwestię wyjątkowo wyczulony, z uwagi na swoją wcześniejszą aktywność w tej sprawie (i to idącą w polskim interesie) na forum Ligi Narodów. Nadto, jak wspominałem, jeszcze jesienią 1938 roku Halifax, w imieniu rządu brytyjskiego, dał Hitlerowi w zasadzie wolną rękę w rozwiązaniu sprawy gdańskiej.

W odpowiedzi na to zainteresowanie lorda Halifaxa polski minister oświadczył, że jakkolwiek były na ten temat prowadzone polsko-niemieckie rozmowy, to nie były to jednak negocjacje formalne i żadnych żądań co do Gdańska Niemcy nie wysunęły.

W opinii brytyjskiego premiera, sformułowanej na podstawie rozmowy z Beckiem, polski minister nie przewidywał żadnych poważnych problemów z Niemcami w sprawie Gdańska – ani w najbliższej przyszłości, ani później. Minister Beck miał też uznać, że w opinii Niemiec, wojna z Polską to poważna sprawa i jedyne, co mogłoby ich to tego skłonić, to ewentualna współpraca Polski z Rosją[206].

Czytając te zapisy, można by się zastanowić, czy możliwe jest, aby min. Beck wypowiedział takie zdania. Nie ma jednak podstaw, by wątpić

[206] PRO, CAB 23/98, Protokół posiedzenia gabinetu z 5 kwietnia 1939 roku.

w prawdziwość angielskich relacji. Dlatego też nie sposób przejść obojętnie wobec tego fragmentu negocjacji.

Powstaje pytanie, czy płk Beck uważał, że ujawniając Brytyjczykom rzeczywisty stan negocjacji toczonych z Niemcami od stycznia 1938 roku, w tym momencie faktycznie już zerwanych, osłabi ich gotowość występowania jako sojusznika Polski. Jeśli tak było, to mylił się w swych założeniach bardzo. Był to właśnie ten moment, może jedyny, w którym Anglicy przyjęliby każde jego żądania gwarantowania nienaruszalności polskich interesów w Gdańsku. Nawet jeśli nigdy dotąd nie chcieli tego zrobić. Podobnie jak ponad rok wcześniej, Beck przespał najdogodniejszy czas do załatwienia sprawy Gdańska z Niemcami po linii najbardziej korzystnej dla Polski, tak podczas wizyty w Londynie nie wykorzystał szansy na to, aby uzyskać ostateczne gwarancje brytyjskie dla polskich interesów w Gdańsku, a tym samym na Pomorzu.

Co więcej, min. Beck powtórzmy to – kilkanaście dni wcześniej nie miał żadnych wątpliwości, że Niemcy przestali być obliczalni i w związku z tym asystował w uruchomieniu całej machiny wojennej Rzeczypospolitej. I w takiej sytuacji, wobec potencjalnego sojusznika, ba, od kilku dni gwaranta polskiej niepodległości, był nie tylko nieszczery. W sposób zupełnie niezrozumiały starał się w oczach Brytyjczyków wytworzyć wrażenie, że kompletnie bagatelizuje to zagadnienie. Jest to zupełnie nie do pojęcia, ale pozwala też zrozumieć, dlaczego już za kilka tygodni politycy zachodni niemal jak jeden mąż starali się przekonywać, że Gdańsk nie jest wart wojny.

Nawet jeśli przyjąć, iż intencją polskiego ministra nie było ostateczne występowanie przeciw Niemcom, co jednak kłóci się z marcowymi decyzjami władz Rzeczypospolitej, to mimo wszystko taka postawa w poufnych przecież negocjacjach jest całkowicie niezrozumiała. I właśnie ta postawa miała zaważyć fatalnie na dalszych relacjach polsko-angielskich.

Anglicy bowiem, generalnie zawiedzeni rezultatami toczonych rozmów, już za kilka dni doznali niemałego wstrząsu. Ujawnienie przez Hitlera (o czym szerzej za chwilę) jego żądań wobec Polski ukazało im rzeczywiste motywy zwrotu dokonanego przez płka Becka. W tym kontekście zrozumieli, jak pochopnie udzielili Polsce nazbyt daleko idących gwarancji. Odczytali bowiem całą sytuację jako wciągnięcie ich wyłącznie w nic nie znaczącą z ich punktu widzenia polsko-niemiecką rozgrywkę o Gdańsk. Odtąd więc ich uwaga skupić się miała na szukaniu sposobów wycofania

się z poczynionych zobowiązań, które w powyższym kontekście stawiały ich rzeczywiście w nie najlepszej sytuacji. I będzie się to działo w okresie, gdy Polsce właśnie owa pierwotna treść gwarancji będzie niezwykle potrzebna.

Ale jednocześnie nastąpiła rzecz jeszcze gorsza. Wydaje się, że ten niewątpliwy incydent, bo trudno to inaczej określić, spowodował utwierdzenie bardzo negatywnego wizerunku Becka wśród decydentów angielskich. Musieli oni *nolens volens* przyjąć opinie dyplomatów francuskich, obdarzających min. Becka jak najgorszymi ocenami. Za tym zaś szedł też, niestety, ich stosunek do Polski, który w tym momencie stał się nad Tamizą (podobnie jak nad Sekwaną) ewidentnie negatywny.

Był wreszcie jeszcze jeden, wielce negatywny skutek wizyty Becka. Odrzucenie angielskich propozycji zmuszało ich do podjęcia rozmów z Rosją. Musieli przyjąć stanowisko francuskie, od dawna sugerujące taki kierunek dalszych poszukiwań. Nie ulega jednak wątpliwości, że podjęcie przez min. Becka angielskiej inicjatywy wykluczyłoby istotny udział Sowietów w rozgrywkach dyplomatycznych następnych miesięcy.

Tym samym płk Beck, który przez tyle czasu skutecznie zabiegał o wyizolowanie Rosji z europejskich kombinacji dyplomatycznych, doprowadził do tego, że najważniejsi polscy alianci stali się jej petentami. Ten błąd ułatwi wkrótce Stalinowi możliwość podjęcia negocjacji z Hitlerem i szybkie porozumienie sowiecko-niemieckie, którego ofiarą padła Polska. Logika tych wydarzeń jest niestety nieubłagana.

Powrócić tu jednak trzeba do wątku, który min. Beck uczynił w swej polityce tak istotnym. Mowa tu oczywiście o owym „barometrze" – Gdańsku. Jest charakterystyczne, że minister, który twierdził, że jest to problem wielkiej wagi dla Polski, zupełnie nie potrafił znaleźć argumentów, by przekonać sojuszników do przelewania zań krwi swoich żołnierzy. Nie było argumentów, które udowodniłyby im, że Gdańsk jest sprawą „życiową" dla Polski, nie było żadnych propozycji rozwiązania niewątpliwego problemu, jakim był Gdańsk. Beck nie rozmawiał z Anglikami o Gdańsku także dlatego, że nie miał żadnej koncepcji rozwiązania tego zagadnienia na wypadek konfrontacji z Niemcami. Nie był w stanie powiedzieć Anglikom choćby tego, że jedynym rozstrzygnięciem sprawy Gdańska jest jego włączenie do Polski i przedstawić jakiejkolwiek, choćby naciąganej argumentacji. Nawet dla takiej koncepcji mógł w tym momencie pozyskać Anglików i Francuzów, a tym samym wpłynąć na dalszy bieg wypadków,

wytrącając Hitlerowi z ręki wiele argumentów. Milczał, bo przecież nie mógł im powiedzieć, że jedyną polską koncepcją w sprawie Gdańska jest wspólny nad nim protektorat polsko-niemiecki. W obliczu konfliktu z Niemcami, zgłoszenie tej formuły nowemu sojusznikowi musiałoby brzmieć jak anegdota.

To jednak, niestety, argumenty i racje Hitlera będą już za kilka tygodni jedynym punktem odniesienia dla naszych sojuszników. To Hitler ponownie po mistrzowsku utwierdzi Zachód w przekonaniu, że chodzi mu tylko o sprawy Gdańska i – nie mając praktycznie żadnej polskiej kontrargumentacji – poprowadzi do spółki ze Stalinem rozgrywkę izolującą Polskę i powodującą jej kompletne osamotnienie.

Tak zatem wizyta min. Becka była w istocie punktem zwrotnym dla polityki polskiej, ale punktem, dzięki któremu znaleźliśmy się na równi pochyłej prowadzącej do klęski. Wbrew odtrąbionemu propagandowo sukcesowi, wizyta ta była klęską polskiej dyplomacji. Oznaczała bowiem *de facto* ostateczne zerwanie dotychczasowej współpracy z Niemcami, nie balansowała tego uzyskaniem efektywnej współpracy z aliantami zachodnimi, w konsekwencji zaś zmuszała ich do rozmów z Sowietami, co w prostej linii doprowadzić miało do porozumienia sowiecko-niemieckiego w odniesieniu do Polski.

Patrząc z dzisiejszej perspektywy, trudno doprawdy zrozumieć przyczyny popełnienia przez min. Becka tak zatrważających błędów. I to w takiej ilości. Właściwie żaden z elementów jego wizyty nie przyniósł minimalnie pozytywnych rezultatów.

Gdzie leżały przyczyny tej klęski? Pamiętać należy, że min. Beck opuszczał Warszawę dosłownie kilka godzin po pogrzebie, po samobójczym postrzale płka Walerego Sławka[207]. Płk Sławek uchodził za jedną z głównych postaci obozu sanacyjnego. Jakkolwiek odsunięty od wpływów przez ekipę marszałka Śmigłego-Rydza oraz prezydenta Mościckiego, miał w dalszym ciągu istotny wpływ na wiele obszarów polityki państwowej. Pozostawał w bliskich relacjach z pułownikiem Beckiem, który nierzadko konsultował z nim najważniejsze decyzje. Jest możliwe, że dla ministra Becka śmierć płka Sławka była wielkim, przytłaczającym wstrząsem psychicznym i że właśnie to wydarzenie mogło zaważyć w znacznym stopniu na przebiegu londyńskiej wizyty.

[207] Płk Walery Sławek oddał samobójczy strzał 2 kwietnia ok. godz. 9 wieczorem, ale zmarł następnego dnia nad ranem.

Tymczasem jednak oficjalny komunikat po rozmowach londyńskich zdawał się sugerować daleko idące porozumienie angielsko-polskie. Stwierdzono w nim,

> *że oba kraje gotowe są zawrzeć układ o charakterze trwałym i wzajemnym, który by zastąpił obowiązujące obecnie, tymczasowe i jednostronne gwarancje udzielone przez rząd Jego Królewskiej Mości. P. Beck dał rządowi Jego Królewskiej Mości zapewnienie, że w toku zawierania trwałego układu rząd polski będzie się uważał za zobowiązany do udzielenia pomocy rządowi Jego Królewskiej Mości na tych samych warunkach, jakie są zawarte w czasowej gwarancji udzielonej już Polsce* (...) *gwarancja* (...) *i układ trwały nie będzie skierowany przeciw żadnemu innemu krajowi, lecz będzie miał wyłącznie zapewnienie Wielkiej Brytanii i Polsce wzajemnej pomocy w wypadku, gdyby niepodległość tych krajów została bezpośrednio lub pośrednio zagrożona*[208].

Jakkolwiek komunikat starał się podkreślać wybitnie defensywny charakter porozumienia, to jednocześnie zawarcie w nim zapisów o pośrednim zagrożeniu niepodległości obu krajów musiało tworzyć na zewnątrz wrażenie, że Polska wpisywała się właśnie w brytyjską politykę w całej pełni. Zakres pośredniego zagrożenia niepodległości Wielkiej Brytanii obejmować mógł bowiem potencjalnie każdą akcję, nie tylko zresztą Niemiec, na całym, olbrzymim obszarze imperium brytyjskiego.

Taka też formuła komunikatu przekreślała praktycznie możliwość dalszego negocjowania z Niemcami. Ci bowiem, o ile dotychczas nie musieli mieć ostatecznej pewności co do postawy Polski po jednostronnej deklaracji brytyjskiej, o tyle w tym momencie musieli pozbyć się ostatecznie wszelkich złudzeń. Polska przechodziła do obozu wroga, a w tej sytuacji innego wyrazu nabierały też dotychczasowe polskie przygotowania wojskowe.

Być może gdyby Niemcy znali dokładnie treść rozmów Becka w Londynie, ich wrażenie i dalsze decyzje byłyby inne. To jeszcze jeden przyczynek do postawy Becka w Londynie. Jego ostrożność, której celem było niedrażnienie Niemców, spowodowała nie tylko brak ustaleń z Anglikami, ale i przywiodła Hitlera do radykalnej zmiany planów. Nie ulega wątpliwości, że w konsekwencji treści zawartych w komunikacie kanclerz zadecydował, iż jego kolejną ofiarą stanie się właśnie Polska.

---

[208] Polsko-brytyjski komunikat o wizycie min. Becka w Londynie.

Ale nie doszło do tego od razu. Co więcej, pierwsze reakcje Niemców wobec Polski były jeszcze bardzo powściągliwe, a już zwłaszcza bardzo dalekie od przesądzenia o wojnie. Kilka dni później, 11 kwietnia 1939 roku, Hitler zaakceptował zapowiedziane wcześniej przez marszałka Keitela dyrektywy związane z „Fall Weiss". Pisał w nich:

> *stosunek Niemiec do Polski polega na unikaniu napięć, jeśli jednak Polska zachce swą opartą na podobnych założeniach politykę zmienić i zajmie wobec Rzeszy groźne stanowisko, wówczas musi dojść do ostatecznego rozrachunku*[209].

Gdyby do takiej sytuacji miało dojść, to zadaniem Niemiec będzie wyizolowanie Polski, przy założeniu wystąpienia wewnętrznych problemów we Francji, powściągliwości Anglii i neutralności Rosji.

Czyż nie jest zastanawiające, że w tak ważnym dokumencie, w tak poważnej sytuacji, nie ma jednak żadnych sugestii czy dążenia do wywołania konfliktu z Polską? Wojna z Polską może nastąpić tylko wtedy, gdy to ona zajmie „groźne stanowisko" wobec Rzeszy. Nawet zatem zasygnalizowana w komunikacie, bardzo pojemna formuła wspólnej akcji Polski, Anglii i Francji na wypadek ich pośredniego zagrożenia, wyrażona w komunikacie z rozmów londyńskich, nie została uznana natychmiast za przejaw owego groźnego dla Niemiec stanowiska.

Do tego zwraca uwagę fakt, że upłynęło wiele dni zanim Hitler w ogóle zareagował w sposób wojskowy już nie tylko na polską mobilizację alarmową, ale i na oskrzydlający go nowy sojusz polsko-angielsko-francuski. Czy był to tylko efekt doznanego szoku, czy niechęć do przyznania racji pruskim generałom i urzędnikom, ciągle kwestionującym politykę kanclerza względem Polski, czy może brak wiary w realność zagrożenia z tej strony? A może, mimo wszystko, Hitler ciągle wierzył w możliwość porozumienia się Polakami w kontekście wielkiej rozprawy z Sowietami?

Warto nadmienić, że uzupełnienia do tych dyrektyw Hitlera dla sztabu Wehrmachtu opracowywane były aż do 10 maja 1939 roku. Dopiero praktycznie od tej chwili możliwe było rozpoczęcie planowania szczegółów ewentualnej operacji przeciw Polsce. W praktyce prace te ruszyły w końcu maja 1939 roku. Jak nietrudno zauważyć, data ta pozostaje w ścisłym związku z nagłaśnianymi skutecznie przez polską propagandę

[209] Cyt. za: M. Zgórniak, *op.cit.*, s. 366.

spotkaniami międzysztabowymi polsko-francuskimi w Paryżu i polsko-angielskimi w Warszawie[210].

Wydaje się zatem, że to właśnie te fakty przesądziły ostatecznie o zmianie niemieckiego stosunku do Polski. I choć ostateczna decyzja o rozpoczęciu wojny zapadnie dopiero po porozumieniu ze Stalinem, to jednak praktyczne przygotowania do ewentualnej akcji militarnej w Polsce zostały uruchomione po skonkretyzowaniu się zagrożenia ze strony Polski, Francji i Anglii.

Warto w tym miejscu zwrócić uwagę na jeszcze jeden element. Wspomniana dyrektywa powstała na cztery miesiące przed wybuchem wojny. Termin 1 września 1939 roku podany tam został jako początkowy dla możliwej akcji zbrojnej przeciw Polsce. Trzeba było zatem jeszcze bardzo dużego wysiłku ze strony polskiej dyplomacji, aby wojna wybuchła w pierwszym, przewidywanym przez Niemców jako możliwy, terminie. I to min. Beckowi przy decydującym wsparciu marszałka Śmigłego-Rydza niestety się udało.

W świetle powyższego, kluczowe znaczenie miało wystąpienie Hitlera 29 kwietnia 1939 roku. Wystąpienie to, będące, wbrew dotychczasowej tradycji, całkowicie pozbawione antysowieckich akcentów, było poważnym ukłonem w stronę Stalina. Było też pierwszą próbą ze strony Hitlera przywrócenia stosunkom niemiecko-sowieckim takiego charakteru, jaki miały przed jego dojściem do władzy. Była to zatem prawdziwa odpowiedź Hitlera na zagrożenie, jakie, jego zdaniem, wynikało ze zbliżenia polsko-angielskiego. Dla polskiej dyplomacji ten właśnie element wystąpienia kanclerza winien być najbardziej doniosłym dzwonem alarmowym. Hitler sygnalizując możliwość powrotu do najgroźniejszego dla Polski kierunku polityki niemieckiej, wysyłał być może ostatni sygnał. Tu już nie było miejsca na żadne kunktatorstwo. Aby uniemożliwić skutki tego zwrotu, trzeba było albo bez żadnych już ograniczeń wejść w kooperację w kombinacjach brytyjskich, albo wracać do rydwanu niemieckiego, nawet za cenę zejścia do

[210] Rozmowy w Paryżu odbyły się 14–19 maja, w Warszawie zaś 23–30 maja. Zwłaszcza podpisanie protokołu w Paryżu, choć formalnie nie przesądzało w tym momencie niczego, to przecież mogło oznaczać dla każdej inicjatywy niemieckiej wielkie niebezpieczeństwo. Niemcy zapewne dość szybko zorientowali się przynajmniej ogólnie o treści ustaleń przyjętych w Paryżu, w związku z tym musieli podjąć działania zabezpieczające własne interesy. Nie mogli przecież zakładać, że strona polska przez następne trzy i pół miesiąca nie doprowadzi do uściślenia zobowiązań francuskich.

pozycji *junior partner*. Inne rozwiązania prowadzić musiały nieuchronnie do zniszczenia Polski wspólnym wysiłkiem Hitlera i Stalina.

Flirt Hitlera z Sowietami prowadzić miał bowiem do osiągnięcia przez Niemcy celu podstawowego. Na wypadek konieczności rozprawy z Polską doprowadzić miał do jej izolacji. Dlatego też, obok tego wyraźnego pozbawienia swego wystąpienia akcentów antysowieckich, Hitler wiele uwagi poświęcił zrelacjonowaniu swych dotychczasowych negocjacji z Polską w sprawie Gdańska i tranzytu do Prus Wschodnich[211].

Nagłaśniając sprawę Gdańska, liczył on oczywiście na to, że zdoła choćby częściowo przekonać opinię zachodnią do swego stanowiska i uzyska kolejny sukces, bez konieczności sięgania do rozwiązań wojennych. Nie mógł bowiem w tym momencie liczyć na to, że tak szybko uda mu się osiągnąć porozumienie ze Stalinem. I to pomimo, że jego oferta była, jak się zdaje, odpowiedzią na ukłon ze strony sowieckiego przywódcy.

Stalin bowiem, jeszcze 10 marca 1939 roku na zjeździe WKP(b), nie tylko ostro skrytykował państwa zachodnie, ale sugerował wręcz, że to przeciw nim skierowany był w istocie pakt antykominternowski. Jednocześnie wskazywał, że „zachodni podżegacze wojenni" dążą do wciągnięcia Związku Sowieckiego do wojny przeciw Niemcom, ale on do tego nie dopuści[212].

Rosjanie, podobnie jak Anglicy, byli bardzo zaniepokojeni intensywnością kontaktów polsko-niemieckich w początkach 1939 roku, których treści zupełnie nie znali. Kiedy jednak w styczniu 1939 roku Ribbentrop zawiesił wszelkie kontakty niemiecko-sowieckie i głośno mówił o chęci zerwania stosunków z Sowietami[213], Rosjanie mogli obawiać się jakiejś wspólnej akcji Polski, Niemiec, a może i Rumunii wobec nich. Stąd zapewne wynikła wspomniana inicjatywa Stalina, który miał świadomość skali zagrożenia takiego sojuszu w sytuacji, gdy pozbawił właśnie swój kraj niemal całkowicie zdolności obronnych[214].

---

[211] Przemówienie kanclerza Rzeszy Hitlera w Reichstagu 28 kwietnia 1939 roku, *Sprawa polska...,* s. 19–22.

[212] Pisze o tym J. Karski, *op.cit.,* s. 263–264.

[213] *Documents on German Foreign Policy 1919–1945,* Series D, Washington 1958 (dalej: DGFP), t. 4, s. 622–625.

[214] Jeszcze w początkach 1939 roku w Armii Czerwonej trwały – choć już nie na tak wielką skalę – zapoczątkowane kilka lat wcześniej czystki. Ich skutkiem było pozbawienie wojska sowieckiego praktycznie całego aparatu dowódczego, nawet na niższych szczeblach dowodzenia. Stalin wiedział, że jego armia potrzebuje jeszcze wielu miesięcy albo i lat, aby elementarnie

Na jego odpowiedź Hitler nie musiał czekać zbyt długo. Już 3 maja 1939 roku sowiecki przywódca odwołał z funkcji komisarza do spraw zagranicznych znanego z antyniemieckiego nastawienia Litwinowa (co także ważne w kontekście relacji sowiecko-niemieckich, był on pochodzenia żydowskiego), a zastąpił go znanym z kolei z proniemieckich sympatii Mołotowem.

Już w dwa dni później, 5 maja 1939 roku, urzędnicy sowieckiej ambasady w Berlinie sondowali, czy zmiana ta wpłynie korzystnie na stosunki sowiecko-niemieckie. W następnych dniach sowieccy dyplomaci w Berlinie, a Mołotow wobec niemieckiego ambasadora w Moskwie von Schullenburga, podkreślali konieczność poprawienia stosunków między obydwoma krajami.

Hitler wszakże, zapewne zdumiony ową szybkością i wręcz nachalnością Rosjan, zalecał swym dyplomatom ostrożność w tych kontaktach[215]. Do przełomu doszło w momencie, gdy Stalinowi udało się zwabić do Moskwy Anglików i Francuzów, szafując możliwością sojuszu antyniemieckiego. To podziałało mobilizująco na Hitlera i od czerwca podjął on grę, która doprowadziła do traktatu niemiecko-sowieckiego zawartego w Moskwie 23 sierpnia 1939 roku. W ten sposób osiągnął on swój cel w postaci wyizolowania Polski i to nie przy neutralności Sowietów, ale ich pełnym zaangażowaniu w akcję przeciw Polsce.

Potwierdza to zatem przypuszczenie, że decyzję o wyeliminowaniu Polski, jako czynnika rzutującego na sytuację Niemiec, Hitler podjął zapewne dopiero w drugiej połowie maja[216]. Określenie zaś momentu tej rozprawy nastąpiło w konsekwencji sfinalizowania sierpniowego porozumienia z Sowietami.

Dowodzi tego jeszcze jeden fakt, niezwykłej wręcz wagi. 2 maja 1939 roku wieczorem polski attaché wojskowy w Berlinie ppłk Antoni Szymański, podczas przyjęcia wydawanego przez szefa Kancelarii Rzeszy Hansa Lammersa, rozmawiał z adiutantem marszałka Göringa, gen. Karlem Bodenschatzem. Bodenschatz poinformował Szymańskiego o zdeterminowanym dążeniu Hitlera do włączenia Gdańska do Rzeszy oraz, co

odbudować swoje zdolności bojowe. Perspektywa konfliktu z połączonymi siłami Niemiec, Polski i Rumunii w 1939 lub 1940 roku musiała być dla niego i dla całego kierownictwa sowieckiego upiorną perspektywą.

[215] *Ibidem,* t. 6, s. 429, 536, 547, 558.

[216] Podobnie ocenia J. Karski, *op.cit.,* s. 232.

o wiele bardziej istotne, o możliwościach zawarcia sojuszu niemiecko-sowieckiego, w konsekwencji czego musiałoby dojść do kompletnej izolacji Polski[217].

Nie ulega najmniejszej wątpliwości, że odgrywający ciągle jeszcze rolę swoistego rzecznika Polski we władzach niemieckich Göring, podjął próbę uświadomienia czynnikom polskim, jak dalece posunąć się mogą Niemcy w sytuacji, gdyby Polska rzeczywiście zdecydowała się na ścisły sojusz z aliantami zachodnimi. Można spekulować, czy Göring działał na własną rękę, czy może – co w mojej ocenie jest bardziej wiarygodne – z inspiracji samego Hitlera. Niemniej sygnał dla Polski był bardzo czytelny – skoro Niemcy są gotowi na tak radykalną reorientację swojej polityki względem Sowietów, to Polska powinna natychmiast gruntownie rozważyć swoje stanowisko.

Jednocześnie potwierdza to, jak się zdaje, tezę, że dopiero brak jakiejkolwiek reakcji na ten sygnał[218] (może nawet celowo skierowany wprost do czynników wojskowych, wyczulonych na ewentualność wojny na dwóch frontach) przesądził, iż po kilku dniach Hitler ostatecznie zdecydował o przygotowaniu się do wojny z Polską.

Tymczasem w kwietniu 1939 roku min. Beck stracił jeszcze jedną okazję – bodaj ostatnią – aby wzmocnić pozycję Polski i zabezpieczyć ją solidniejszym, szerszym układem.

Równocześnie z wizytą min. Becka w Londynie, 6 kwietnia 1939 roku, Włochy napadły na Albanię i szybko podporządkowały ją sobie w kolejnych dniach. W opinii rządów angielskiego i francuskiego, stanowiło to dowód podjęcia przygotowań do niemiecko-włoskiej inwazji na Jugosławię, a następnie zaś na Rumunię i kolejne państwa bałkańskie[219]. Oznaczało to,

---

[217] Informacje o treści tej rozmowy oraz oceny Szymańskiego dotarły do Warszawy wieczorem następnego dnia kanałami wojskowymi. Nie jest jasne, czy istotny przekaz Bodenschatza został potraktowany poważnie w kierownictwie wojskowym i czy tę niezwykle ważką wiadomość przekazano Beckowi i MSZ. Wydaje się jednak, że podobnie jak znaczącą ilość ważnych informacji Szymańskiego, po prostu zlekceważono. Treść depeszy wraz z komentarzem autora (którego nie podzielam) oraz dość obszerna literatura przedmiotu dotycząca tego wydarzenia znajduje się w monografii: A. Woźny, *Niemieckie przygotowania...*, s. 271.

[218] Jako odpowiedź strony polskiej, Niemcy mogli odebrać słynne wystąpienie min. Becka w sejmie 5 maja 1939 roku. Niewykluczone, że Beck będąc w ogóle nieświadomym treści przekazu Göringa i Bodenschatza, zaprezentował niezwykle twarde stanowisko, Niemcy zaś sądzili, że jest to po prostu polska odpowiedź, na ich ostatnią próbę ratowania relacji polsko-niemieckich.

[219] PRO, CAB 23/98, Protokół z posiedzenia gabinetu z 8 kwietnia 1939 roku.

że uwaga polityki angielskiej znowu skupiła się na tym kluczowym militarnie obszarze, a co za tym idzie, znowu wzmogły się oczekiwania brytyjskie wobec Polski. Jednocześnie czyniło postawę Polski ponownie kluczową, z uwagi na możliwość urealnienia wsparcia ewentualnej koalicji dla państw bałkańskich.

Wyrazem tego była reakcja na akcję włoską na posiedzeniu gabinetu brytyjskiego 8 kwietnia 1939 roku. Lord Halifax ubolewał, że płk Beck ciągle opierał się koncepcji rozciągnięcia wspólnych gwarancji na Rumunię, zaś blok obronny państw bałkańskich z udziałem Rumunii, Turcji, Grecji i Jugosławii uważał za zbyt drażniący Węgrów.

Podobnie dwa dni później, 10 kwietnia 1939 roku, na kolejnym posiedzeniu gabinetu konstatowano z niepokojem brak polskiej reakcji na propozycje angielskie. Poirytowany już wyraźnie tą sytuacją premier Chamberlain polecił Komitetowi Spraw Zagranicznych gabinetu szukanie wszelkich możliwości zaasekurowania państw bałkańskich przed dalszymi krokami niemieckimi. Jednak ponownie stwierdzano, że bez pozytywnej postawy Polski znalezienie innych, efektywnych form pomocy dla Rumunii i pozostałych państw bałkańskich było praktycznie niemożliwe[220].

Z kolei 13 kwietnia 1939 roku Lord Halifax informował gabinet, że mimo jego osobistych ponagleń wobec ambasadora w Warszawie, które wysłał dwa dni wcześniej w celu wyjaśnienia pozycji polskich, oraz jego rozmowy z polskim ambasadorem w Londynie Raczyńskim (która odbyła się 12 kwietnia 1939 roku), ani w sprawie Rumunii, ani w sprawie gwarancji dla małych państw zachodnich na wypadek zaatakowania ich przez Niemcy, polskiej odpowiedzi ciągle nie było.

Tymczasem do udzielenia bezwarunkowych gwarancji Rumunii gotowa już była nawet Francja, taką samą chęć zgłosiła nieoczekiwanie Turcja. Zwłaszcza deklaracja Turcji, gotowej wziąć udział w szerszym bloku sojuszniczym państw bałkańskich, była bardzo ważna. Państwo to uchodziło bowiem tradycyjnie za bardziej sprzyjające polityce niemieckiej. Podkreślenia wymaga również fakt, że niemal codziennie swe usługi sojusznicze poprzez ambasadora Majskiego w Londynie oferował Związek Sowiecki[221]. Tylko odpowiedzi strony polskiej wciąż nie było.

---

220 PRO, CAB 23/98, Protokół z posiedzenia gabinetu z 10 kwietnia 1939 roku.

221 PRO, CAB 23/98, Protokół z posiedzenia gabinetu z 13 kwietnia 1939 roku. Ambasador sowiecki deklarował wobec Lorda Halifaxa, że jego kraj gotowy jest udzielić pomocy każdemu państwu, które będzie sobie tego życzyć.

Postawa min. Becka zapewne bardzo irytowała Anglików. Stąd też łatwiej zrozumieć ich późniejszą reakcję na wystąpienie Hitlera z 28 kwietnia 1939 roku. Musiała ona być w tej sytuacji jednoznacznie negatywna dla Polski, a podrażnieni Brytyjczycy uważali odtąd, że muszą dać solidną nauczkę igrającym z nimi – jak uważali – przez kilka tygodni Polakom.

Tymczasem 19 kwietnia 1939 roku Lord Halifax poinformował gabinet, że ze strony polskiej otrzymał wreszcie odpowiedź, iż wyraża ona zgodę na udzielenie pomocy Anglii, gdyby ta znalazła się w stanie wojny z Niemcami, w konsekwencji ich ataku na małe państwa w Europie Zachodniej[222]. Jednocześnie minister przekazał informację o spotkaniu płka Becka z rumuńskim ministrem spraw zagranicznych Gafencu, który zatrzymał się w Warszawie w drodze do Berlina.

W informacji przekazanej przez Gafencu Brytyjczykom, rumuński dyplomata wskazywał, że proponował Beckowi rozszerzenie sojuszu polsko-rumuńskiego na wypadek agresji niemieckiej. Jednak i jemu polski minister nie udzielił na tę sugestię żadnej odpowiedzi[223].

Można przyjąć, że okoliczności tego zdarzenia musiały w szczególny sposób dotknąć i Brytyjczyków, i Rumunów. Dla Gafencu jadącego do Berlina na rozmowy, po których mógł się przecież spodziewać najgorszego, ewentualne wsparcie ze strony Polski w obliczu presji niemieckiej mogło mieć rozstrzygające znaczenie. Rezerwa, z jaką się spotkał w Warszawie, musiała niewątpliwie rzutować na przyszłą postawę władz rumuńskich wobec polityków obozu rządzącego we wrześniu i w październiku 1939 roku.

Warto skądinąd w tym miejscu zauważyć, jak daleko sięgała gotowość do współpracy wśród państw bałkańskich, zagrożonych agresją niemiecką. Turcja, która miała wiele zatargów i nierozwiązanych kwestii terytorialnych z Bułgarią, robiła wszystko, aby planowany blok objął również to państwo. Sama Rumunia, dla pozyskania do projektowanego sojuszu tejże Bułgarii (uchodzącej za twardego alianta niemieckiego), gotowa była nawet do cesji spornych terytoriów na jej rzecz. Nie można wykluczyć, że w ówczesnej atmosferze, przy wsparciu brytyjskim, możliwe było również

[222] Warszawa poinformowała Londyn, że zgadza się na udzielenie gwarancji Belgii, Holandii i Danii 19 kwietnia 1939 roku.

[223] PRO, CAB 23/98, Protokół z posiedzenia gabinetu z 19 kwietnia 1939 roku. W protokole zapisano: „Col. Beck's reaction to this approach was not yet known, but was unlikely to be favourable".

przełamanie bardzo napiętych relacji rumuńsko-węgierskich, Węgry zaś nie zaprzepaściłyby okazji do znalezienia się w takim szerokim sojuszu.

Natomiast min. Beck, który dążył do uczynienia z Polski fundamentu bloku państw bałtyckich i bałkańskich, który chciał zbudować w oparciu o Polskę blok międzymorski jako trzon porządku w Europie Środkowej i podstawę jej mocarstwowej pozycji, w chwili gdy rozwój wypadków dawał na to historyczną szansę[224], do tego przy błogosławieństwie Wielkiej Brytanii i Francji, zgodził się na gwarancje dla Danii, a odmówił ich Rumunii. Rumunii, bez której jakikolwiek plan obrony przeciw Niemcom czy Rosji nie miał po prostu sensu.

Dzień 19 kwietnia 1939 roku był znamienny z jeszcze jednego powodu. W tym dniu bowiem rząd angielski otrzymał nieoficjalne informacje o tym, że uwaga Hitlera jest od pewnego czasu skupiona na Gdańsku. Wskazywano, że Niemcy planują drogą faktów dokonanych włączyć terytorium Wolnego Miasta do Rzeszy[225]. Halifax poinformował gabinet, że Polacy i Niemcy od dłuższego czasu toczyli w sprawie Gdańska negocjacje, ale nie było w nich postępu. Uzyskanie zaś brytyjskich gwarancji wyraźnie usztywniło w tych negocjacjach stanowisko Polski, która nie chciała przyjmować propozycji niemieckich.

Przekazanie tej informacji było bez wątpienia „przeciekiem kontrolowanym" ze strony niemieckiej. Świadczy o tym wskazanie i uwypuklenie w prowadzonych od kilku miesięcy negocjacjach polsko-niemieckich roli gwarancji udzielonych Polakom przez Brytyjczyków. Faktycznie bowiem, zamrożenie rozmów w kwestii gdańskiej nastąpiło właściwie 26 marca 1939 roku, a więc przed udzieleniem gwarancji przez Anglików.

Niemcy zatem rozpoczynali swoje manewry w celu wykazania, że chodzi im jedynie o uregulowanie oczywistych problemów i spraw spornych w Wolnym Mieście. A ponieważ do strony angielskiej nie przedostał się w tej sprawie żaden inny przekaz, zwłaszcza zaś naświetlenie ze strony najbardziej zainteresowanego, polskiego sojusznika, podchwycono od razu podrzucony przez Niemców tok rozumowania. Lord Halifax stwierdził mianowicie, że należy wpłynąć na rząd polski tak, aby w sprawach gdańskich wykazał wobec Niemców swą pełną gotowość do prowadzenia negocjacji. Było to zatem stanowisko diametralnie odmienne od tego,

[224] Nawet wroga wobec Polski przez cały okres międzywojenny Litwa w reakcji na aneksję Kłajpedy gotowa była zmienić swój dotychczasowy stosunek do Polski.

[225] *Ibidem*.

które reprezentował tenże sam min. Halifax i premier Chamberlain, jeszcze 30 marca 1939 roku oraz podczas kwietniowej wizyty polskiego ministra w Londynie. I w tym wypadku był to wyłącznie efekt błędów i zaniechań popełnionych przez min. Becka.

Niemcy zatem bardzo szybko osiągnęli oczekiwany przez siebie efekt. Wizyta min. Gafencu w Berlinie nie przyniosła jakichś dramatycznych symptomów i wykazała, że Niemcy nie mają w tym momencie planów zaatakowania czy podporządkowania sobie Rumuni. Rumuński minister udał się też do Londynu, gdzie podzielił się swym przekonaniem, że uwaga Hitlera jest skupiona wyłącznie na sprawie Gdańska i kolonii.

Był to dla Anglików drugi poważny sygnał świadczący o tym, że w rzeczywistości grozi im uwikłanie się w lokalny i niemający większego znaczenia dla sytuacji europejskiej konflikt polsko-niemiecki, powstały wyłącznie na tle rozbieżności obu tych państw wokół Gdańska. Potwierdzenie, które wywołało ciężki szok, przyszło 28 kwietnia 1939 roku, gdy Hitler w swoim przemówieniu ujawnił kulisy negocjacji polsko-niemieckich.

Warto tu poczynić jeszcze jedną uwagę, potwierdzającą wcześniejsze konstatacje. To właśnie fiasko ustaleń z min. Beckiem, tym razem na tle jego reakcji na następstwa włoskiej agresji w Albanii, pchnęło Anglików już bezpośrednio do rozmów z Sowietami. 14 kwietnia 1939 roku w konsekwencji coraz silniejszych nacisków francuskich na Chamberlaina, wysłana została do Moskwy propozycja podjęcia trójstronnych negocjacji. Tydzień później, 21 kwietnia 1939 roku, Stalin zaproponował negocjacje na rzecz zawarcia trójstronnego porozumienia w sprawie wzajemnej pomocy[226].

Uruchomiło to kilkumiesięczne pertraktacje, które fatalnie zaciążyły na pozycji Polski wobec aliantów i skrajnie osłabiły jej znaczenie w ich planach. Polska z podmiotu sojuszniczych ustaleń stała się ich przedmiotem, coraz bardziej irytującym sojuszników. Sojuszników, którzy jeszcze kilka tygodni wcześniej występowali w roli petentów Polski i min. Becka.

Co więcej, nowa sytuacja otworzyła też Stalinowi znakomitą sposobność do wykorzystania tych negocjacji do osiągnięcia upragnionego porozumienia z Niemcami. Oczywisty zaś opór Polski wobec sowieckiej oferty „pomocy" pozostał w świadomości aliantów i tak główną przyczyną niepowodzenia rokowań moskiewskich. To zaś musiało rzutować także na przyszłe oceny polskiego alianta już po wybuchu wojny.

[226] PRO, CAB 23/98, Protokół z posiedzenia gabinetu z 26 kwietnia 1939 roku.

Powtórzyć zatem należy raz jeszcze, że w pierwszej połowie kwietnia 1939 roku, min. Beck nie wykorzystał niezwykłej, wręcz historycznej koniunktury dla zbudowania rzeczywiście mocarstwowej pozycji Polski w Europie. To Polska mogła stać się współtwórcą i liderem szerokiej koalicji antyniemieckiej, a jednocześnie w sposób skuteczny wyłączyć z wszelkiego wpływu na sytuację w Europie Związek Sowiecki. Przeciw takiej koalicji Hitler nie odważyłby się rozpocząć wojny i musiałby czekać ponownie na sprzyjającą koniunkturę, aby realizować swoje cele. Z takich pozycji Polska rozmawiałaby również zupełnie inaczej z Niemcami.

Powróćmy do reakcji angielskich na wspomniane wystąpienie Hitlera. Stwierdziłem, iż treść zawartych w nim informacji wywołała nad Tamizą szok. Był on tym większy, że min. Beck podczas niedawnej wizyty w Londynie zapewniał ich, że żadnych istotnych problemów w relacjach polsko-niemieckich na tle Gdańska nie ma i nie przewiduje się ich w przyszłości. Tymczasem Hitler w sposób mistrzowski zaprezentował się jako strona dążąca do cywilizowanego rozwiązania sprawy gdańskiej, natomiast strona polska, nie mając żadnych realistycznych propozycji, w sposób niezrozumiały blokuje wszelkie możliwości porozumienia.

Konieczne jest tu ponowne przypomnienie, że Lord Halifax był osobą dobrze w kwestii gdańskiej zorientowaną. Jeszcze bowiem w ramach swojej misji w Lidze Narodów, niejednokrotnie był referentem tego zagadnienia. Zatem na tle swoich angielskich, ale i francuskich, kolegów, był z pewnością bardzo dobrze zaznajomiony z uwarunkowaniami problematyki Wolnego Miasta. Mógł zatem niemieckie propozycje, o których mówił Hitler, a które zakładały pełne poszanowanie polskich interesów gospodarczych w Gdańsku, traktować jako pozytywny sposób rozwiązania drażliwej kwestii.

Tymczasem kształt przyjętych przez Brytyjczyków zobowiązań wobec Polski powodował, że ich sytuacja stała się nie do pozazdroszczenia. Polska bowiem, uznając niemieckie dążenia w Gdańsku za zagrożenie – choćby pośrednie – swej niepodległości, mogła doprowadzić do ich zaangażowania wojennego na tym tle. W tym kontekście wypowiedzenie przez Hitlera traktatu morskiego było niemal zupełnie nieznaczącym epizodem. Tym bardziej, że w jego wystąpieniu dostrzegli oni dwa elementy. Po pierwsze, również zauważyli brak ataków na Sowietów i zorientowali się, że jest to próba odbudowy dawnych relacji niemiecko-sowieckich. Po drugie

dostrzegli dość wyraźną zachętę ze strony Hitlera do powrotu do stołu negocjacyjnego. Ze strony kanclerza były to znakomite pociągnięcia.

Lord Halifax dał wyraz swojej irytacji z powodu zaistniałej sytuacji na posiedzeniu gabinetu 3 maja 1939 roku. Podkreślił, iż jest

> *raczej zaniepokojony, że płk Beck będąc z wizytą w tym kraju* [*tj. w Anglii*], *nie przekazał nam szczegółów niemieckiej oferty w sprawie Gdańska.*

Podkreślił, że „byłoby niebezpieczne" gdyby Anglia znalazła się w sytuacji

> *gdzie zagadnienie pokoju lub wojny zależałoby wyłącznie od uznania Rządu Polskiego.*

Anglicy uświadomili sobie, że swe gwarancje kierują do kraju, który był prawdopodobnie kolejną ofiarą na szlaku niemieckich podbojów i sądzili, że zostali sprytnie wmanewrowani w taką sytuację przez min. Becka. Można przyjąć, że z ich punktu widzenia nie było problemem to, że mogą znaleźć się w stanie wojny z Niemcami – to właściwie przyjęli już do wiadomości i się z tym pogodzili. Problemem było jednak to, że powstała sytuacja w której to nie oni mieli decydować, kiedy i na jakich warunkach do tej wojny wejdą. Co więcej, to co jeszcze do niedawna traktowali zapewne jako nierealną hipotezę – a więc wojnę na tle polsko-niemieckiego zatargu o Gdańsk – stawało się bardzo realne.

Lord Halifax, widząc wynikające z tej sytuacji zagrożenia dla polityki brytyjskiej, wskazywał swoim kolegom drogę do odwrócenia pozycji, w której całość decyzji wojennych zależałaby wyłącznie od rządu polskiego. Przypominając dwa uwarunkowania brytyjskich gwarancji – rzeczywiste zagrożenie polskiej niepodległości oraz chęć Polski do jego zbrojnego odparcia – widział możliwość zachowania „własnej oceny takiej sytuacji".

Halifax, stojąc zatem na stanowisku utrzymania gwarancji dla Polski, uważał, że w zaistniałej sytuacji należy poprzez brytyjskiego ambasadora w Warszawie uświadomić rządowi polskiemu oczekiwania rządu angielskiego, iż będzie on odtąd w pełni informowany o rozwoju stosunków polsko-niemieckich i sam będzie również przekazywał informacje o swoich posunięciach odnośnie Niemiec. Jednocześnie sugerował, aby wpłynąć na płka Becka, by ten w swym planowanym na 5 maja 1939 roku wystąpieniu sejmowym, odnoszącym się przemówienia Hitlera,

> *nie zawarł żadnych nieodwołalnych decyzji przed skonsultowaniem ich z nami.*

Charakterystyczna była reakcja premiera Chamberlaina, który jeszcze kilka tygodni wcześniej nie miał żadnych wątpliwości co do tego, jak traktować niemiecką presję w sprawie gdańskiej. Tu, stwierdzając że ujawnienie przez Hitlera propozycji skierowanych do Polski, było szokiem dla angielskiej opinii publicznej w kontekście udzielonych Polsce daleko idących gwarancji podkreślał, iż

> *byłoby niepokojące, gdybyśmy pozostawili stronie polskiej decyzję o zaangażowaniu nas w wielką europejską wojnę.*

Jednocześnie wskazywał na trudności [sic!] w ocenie,

> *czy włączenie Gdańska do Rzeszy stwarza zagrożenie polskiej niepodległości*[227].

Wskazać należy, że tydzień później, na posiedzeniu gabinetu 10 maja 1939 roku, Lord Halifax wyraził przekonanie, iż już wkrótce, wzorem scenariusza czechosłowackiego, może dojść do gwałtownej eskalacji nacisków niemieckich w sprawie gdańskiej. W związku z tym informował, iż zalecił ambasadorowi w Warszawie wpłynąć na płka Becka, by Polska w razie stworzenia przez Niemców faktów dokonanych w Wolnym Mieście, starała się odpowiedzieć przede wszystkim bronią ekonomiczną, przenosząc swój handel do Gdyni. Sądził bowiem, że w ten sposób uzyskanoby czas na rozważenie decyzji o „nieodwołalnej akcji". Zauważył jednak, że jeśli Polacy zdecydują się wysłać do Gdańska swoje wojska, powstanie bardzo trudna sytuacja[228].

Ten opis ewolucji stanowiska angielskiego w ciągu zaledwie kilku tygodni po wizycie min. Becka w Londynie dowodzi, jak wielki błąd popełnił polski minister, zatajając wobec ciężko pozyskanego, kluczowego sojusznika choćby elementy swoich trwających od miesięcy negocjacji gdańskich. Próbując przemilczeć rzeczywiste problemy – tak jak je przecież oceniał na użytek krajowy – zaprzepaścił wielką szansę na uzyskanie od Anglików już wtedy deklaracji, że sprawę gdańską będą traktowali w taki sam sposób, jak traktował ją rząd polski. Oczywiście, mógł obawiać się, że Anglicy nie podzielą jego punktu widzenia i zaważy to na kształcie ich

[227] PRO, CAB 23/99, Protokół z posiedzenia gabinetu z 3 maja 1939 roku.

[228] PRO, CAB 23/99, Protokół z posiedzenia gabinetu z 10 maja 1939 roku.

gwarancji. Ale, czy spodziewając się rosnących problemów z Niemcami – w końcu ogłoszono już mobilizację alarmową i trwały przygotowania wojenne w polskim Sztabie Głównym – mógł sobie pozwolić na ukrywanie tych kwestii przed najważniejszym sojusznikiem? A może liczył na to, że Hitler nie ujawni swoich inicjatyw, poruszony angielskim wsparciem dla Polski, a sprawy wrócą do wcześniejszego stanu? Po co w takim razie uruchamiano całą machinę wojenną Rzeczypospolitej?

Powtórzyć wypada po raz kolejny, że postępowanie min. Becka na przełomie marca i kwietnia 1939 roku jest niezrozumiałe i niewytłumaczalne. Sprawia wrażenie działania przez człowieka, który kompletnie nie mógł się w tym momencie zdecydować na to, kogo traktować jak wroga, a kogo jak sojusznika.

Konsekwencje tych wahań były jak najbardziej fatalne. Oceniano go jako człowieka, który z jednej strony storpedował plan powołania szerokiej koalicji antyniemieckiej, z drugiej zaś strony usiłował nadużyć brytyjskiej gotowości do współpracy.

Najbliższe miesiące przyniosły realne skutki tych negatywnych ocen. Anglicy, którzy dostrzegli zmianę tonacji w relacjach sowiecko-niemieckich, zrozumieli, że muszą podjąć działania w celu niedopuszczenia do poważniejszego porozumienia Hitlera ze Stalinem. Jednocześnie przyjęli postawę pełnego dystansu wobec Polski, czego wyrazem był ich stosunek w sprawie polskiej prośby o kredyt na zakup wyposażenia wojskowego oraz, co jeszcze ważniejsze, niemal całkowita blokada możliwości konkretnych ustaleń sztabowych podczas dwóch spotkań z przedstawicielami ich dowództwa wojskowego – gen. Claytonem oraz gen. Ironsidem.

Zamiast tego, nasiliły się, podejmowane wspólnie z Francuzami, naciski na Polaków na wszczęcie negocjacji w sprawie Gdańska z Niemcami. Było to coś niezwykłego. Minister Beck, który jeszcze 2–3 miesiące wcześniej uznawany był obok Mussoliniego za najbliższego alianta Hitlera, teraz był zmuszany do negocjacji z nim przez jego największych wrogów. Była to całkowita klęska dotychczasowej polityki polskiego ministra spraw zagranicznych.

Józef Beck popełnił jeszcze jeden – niewybaczalny błąd. Nie dostrzegł, czy raczej zbagatelizował to, co dostrzegli i bardzo poważnie potraktowali Anglicy. Nie zareagował mianowicie na groźbę radykalnego zwrotu w stosunkach niemiecko-sowieckich. Jest to zdumiewające tym bardziej,

że to właśnie on, tak wyczulony na tę kwestię, nie wyciągnął z tego żadnych wniosków.

O tym, że Niemcy i Sowieci intensyfikowali w kolejnych tygodniach swoje kontakty, wiedzieli nie tylko Anglicy. Obserwowała to z niepokojem cała Europa. Niemal wszyscy usiłowali wyciągnąć z tego praktyczne wnioski.

Tylko strona polska wykazała niemal całkowity brak jakiejkolwiek inicjatywy, która mogłaby nie tyle nawet zmienić kierunek rozwoju wydarzeń, ale choćby go spowolnić. I nie chodzi tu oczywiście o podjęcie słanych za pośrednictwem Anglików i Francuzów w maju i w czerwcu 1939 roku pseudopropozycji sowieckich. Jest jednak zastanawiające, że w chwili rosnącego zagrożenia i ze Wschodu, i z Zachodu, min. Beck właściwie zrezygnował z samodzielnych działań polskiej dyplomacji zarówno wobec Niemiec, jak i wobec Sowietów. Oddał inicjatywę niemal całkowicie w ręce Anglików i Francuzów i czekał na wyniki ich poczynań licząc, że to oni zadbają o polskie interesy.

W tej sytuacji trudno się dziwić, że 17 września 1939 roku władze polskie wraz z płkiem Beckiem były kompletnie zaskoczone inwazją sowiecką, a do tego musiały słać parlamentariuszy do „krasnoarmiejców", aby dowiedzieć się, po co Sowieci wkroczyli do Polski.

Na tym tle warto też zauważyć, że generalnie między majem a wrześniem 1939 roku polska dyplomacja zachowywała się zastanawiająco pasywnie. Nie dostrzegamy jakichś zdecydowanych prób osłabienia bezpośredniego czy pośredniego rosnącej presji niemieckiej, brakowało jakichkolwiek reakcji dyplomatycznych na wyraźną powściągliwość sztabowców angielskich i – zwłaszcza – francuskich podczas negocjacji sztabowych, wreszcie nie było nawet prób pozyskiwania nowych, bądź bardziej zdeterminowanych do współdziałania sojuszników. Jeśli zważyć na fakt, że Hitler długo zwlekał z ostateczną decyzją o rozpoczęciu wojny z Polską, a dopiero gdy podpisał pakt w Moskwie radykalnie zaostrzył swoje stanowisko, to ten brak działań ze strony polskiej, to niemal wyłączne zdanie się na pośrednictwo aliantów w każdej sprawie, jest po prostu niezrozumiałe.

Tu jednak pojawia się pytanie zasadnicze. Czy stronie polskiej zależało na odwlekaniu wojny czy przeciwnie, dążyła ona do wojny jak najszybciej? Przypominam zatem, że jeden z najbardziej wpływowych przedstawicieli polskiej generalicji, gen. Tadeusz Kutrzeba, na przełomie 1937/1938 roku sformułował w obszernym studium na temat ewentualnego przyszłego

konfliktu polsko-niemieckiego opinię, iż biorąc pod uwagę tempo rozwoju niemieckich sił zbrojnych, im później nastąpi wojna, tym większą będą oni posiadali przewagę nad Polską[229]. Twierdził więc, że odwlekanie konfliktu działa na korzyść Niemiec.

Trudno precyzyjnie ocenić, w jakim stopniu opinie gen. Kutrzeby wpłynęły na realne działania czy zaniechania polskich władz politycznych i wojskowych w 1938 i 1939 roku. Wbrew jednak opinii autorów londyńskiego opracowania[230], wydaje się, że wpływ ten był bardzo duży. Jeśli bowiem w tej właśnie perspektywie spojrzeć na postępowanie min. Becka i władz polskich od zakończenia kryzysu czechosłowackiego, to wszystko nabiera dziwnego sensu. Owa twardość wobec Niemiec, tworzenie sytuacji w których wycofanie Hitlera musiało się kończyć jego spektakularną klęską, nieuzasadnione rozwojem wydarzeń przygotowania wojenne (skądinąd skrajnie nieefektywne), ów zastanawiający brak inicjatywy od maja 1939 roku, to wszystko tworzyło sytuację nieodwracalnie prowadzącą do wybuchu wojny.

To tłumaczy jednak tylko część zachowań i zaniechań min. Becka. Można w tej perspektywie zrozumieć meandry i wolty wobec Niemiec, ale żadną miarą nie tłumaczy to podobnych ruchów wobec Anglii. Przeciwnie, decydując się na wojnę z Niemcami, powinien on przecież dążyć do maksymalnego zabezpieczenia Polski. Tymczasem jego polityka wiosną 1939 roku była kompletnym zaprzeczeniem tego dążenia. W sytuacji gdy dla polskiej elity polityczno-wojskowej wynik ewentualnego samodzielnego starcia z Niemcami był podobno (jak deklarowali *ex post* jednym głosem) oczywisty, nie sposób tego zrozumieć żadną miarą.

---

229 *Polski czyn zbrojny w II wojnie światowej. Wojna obronna Polski 1939,* Warszawa 1979, s. 248, a także *PSZ,* s. 126–127. Gen. Kutrzeba wykazywał, że stosunek sił na korzyść Niemiec w 1939 roku będzie wynosił jak 2 do 1, zaś w 1940 roku będzie to już jak 3 do 1.

230 *PSZ*, s. 126–127.

6.

Zkrwawić... nieprzyjaciela, zyskać czas...

Wiele kwestii związanych z działaniami polskiej dyplomacji w interesującym nas okresie, jak starałem się to ukazać w poprzednich rozdziałach, pozostaje niejasnych czy wręcz bardzo trudno wytłumaczalnych. W znacznie większym stopniu dotyczy to jednak próby naświetlenia prac podejmowanych w polskim Sztabie Głównym, w związku ze spodziewanym konfliktem z Niemcami. Jest w dalszym ciągu wiele niewyjaśnionych, zagadkowych wręcz elementów, które mimo upływu lat ciągle pozostają nierozwiązane.

Problemy ze zrozumieniem logiki rozwoju sytuacji pojawiają się w tym wypadku już na etapie próby zrekonstruowania podstawowej chronologii wydarzeń związanych z powyższym zagadnieniem. Wynika to, w pierwszym rzędzie ze znikomej ilości zachowanej w polskich archiwach dokumentacji polskiego sztabu w interesujących nas obszarach. Dotyczy to zwłaszcza archiwaliów ilustrujących prace podejmowane w czasie pierwszych trzech miesięcy 1939 roku. Brakuje też rzetelnych, precyzyjnych wspomnień głównych współautorów ówczesnych wydarzeń. Właściwie, poza opracowaniem gen. Wacława Stachiewicza, żadnych poważnych wspomnień dotyczących pracy Sztabu Głównego w 1939 roku nie posiadamy.

Rozważania niniejsze należałoby rozpocząć od uwagi o charakterze zupełnie ogólnym. Obowiązkiem wszystkich ośrodków dowodzenia w każdym państwie jest systematyczne prowadzenie prac przygotowawczych do konfliktów, które – nawet w wypadku najlepszych stosunków z jakimś państwem w danym momencie – mogą w nieoczekiwany sposób się pojawić. Nikt i nic nie może z wojskowych zdjąć odpowiedzialności za zaniedbania w tej dziedzinie.

Z tego wynika zatem, w pierwszym rzędzie, permanentna aktywność wojskowych komórek planistycznych. To one, śledząc na bieżąco poczynania potencjalnych agresorów, muszą być w elementarnym zakresie przygotowane do stawiania czoła potencjalnym zagrożeniom.

Jeśli spojrzeć w tej perspektywie na prace polskiego Sztabu Głównego w latach poprzedzających wojnę, to muszą rodzić się jakieś wątpliwości, choć z pewnością cały czas monitorowane były różne zagrożenia i uwarunkowania ewolucji wewnętrznej Niemiec.

W stosunku do Niemiec weimarskich, przejawiających permanentną wrogość oraz wolę rewindykacji terytorialnych i agresji wobec Polski, opracowane zostały na początku lat 20. różne warianty wojskowych działań ofensywnych na obszarach: Prus Wschodnich, niemieckiej części Górnego Śląska i Śląska Opolskiego oraz niemieckiego Pomorza Szczecińskiego. Trzy warianty obejmowały albo łączne działanie na wszystkich trzech kierunkach, albo w początkowej fazie wojny akcję przeciw Prusom Wschodnim i Śląskowi, a później przeciw Pomorzu, i wreszcie działanie tylko przeciwko Prusom Wschodnim[231].

Ofensywny charakter tych opracowań nie mógł budzić żadnych wątpliwości czy kontrowersji. Do 1937 roku armia niemiecka, podporządkowana ograniczeniom wynikającym z postanowień wersalskich, nie mogła być uważana za poważnego przeciwnika dla Wojska Polskiego. Ukształtowanie zaś granicy polsko-niemieckiej, w istocie, zmuszało każdą ze stron do szukania w ewentualnym konflikcie wariantów ofensywnych, bowiem – co do zasady – obronę można było prowadzić w bardzo ograniczonym zakresie.

Co ważne dla naszych przyszłych rozważań, ograniczenie to dotyczyło w o wiele większym stopniu strony niemieckiej niż strony polskiej. Całkowite wyizolowanie enklawy pruskowschodniej, przy trudnościach komunikacyjnych i płytkości zasobów wojennych oraz ludzkich tej prowincji, czyniło możliwość obrony tego terytorium praktycznie nierealną. W taki sam sposób Niemcy pozostawali bezradni wobec jakiejkolwiek ewentualnej akcji polskiej w Gdańsku. Obszar śląski, z uwagi na jego wtłoczenie pomiędzy Polskę i Czechosłowację, militarnie także był prawie nie do obrony. Z podobnych wreszcie względów Niemcy nie byli w stanie skutecznie obronić znacznej części Pomorza Zachodniego. W końcu stolica ich państwa znajdowała się w niewielkiej odległości od granicy polskiej i mogła być bez większych przeszkód rażona przez polskie siły lotnicze.

To wszystko powodowało, że armia Niemiec weimarskich nie byłaby w stanie obronić swojego kraju przy ewentualnym ataku polskim. Ale i hitlerowski Wehrmacht, wydatnie już przebudowany i wzmocniony

[231] *PSZ*, s. 112.

u progu 1939 roku, miałby na wypadek wojny defensywnej z Polską olbrzymie problemy z utrzymaniem wszystkich odcinków. Niemcy z góry zakładali, że przynajmniej w pierwszej fazie wojny z Polską, będą musieli pogodzić się ze stratą Prus Wschodnich i zajęciem Gdańska, a skuteczna obrona Śląska i Pomorza Zachodniego były priorytetami trudnymi do realizacji.

Można zatem powiedzieć, że dowództwa armii polskiej i niemieckiej, na wypadek konfliktu pomiędzy obydwoma państwami, miały pełną świadomość olbrzymich ograniczeń w zakresie możliwości prowadzenia skutecznej obrony swojego terytorium. Tak więc strona polska obawiała się, że Niemcy mogą ograniczyć swoje działania do zajęcia Pomorza Gdańskiego, Gdańska, części Wielkopolski i Górnego Śląska i dla takich rozwiązań szukać później poparcia politycznego na Zachodzie. Jednak tak samo Niemcy zdawali sobie sprawę, że Polacy mogą zająć Prusy Wschodnie, Gdańsk, część Śląska czy część Pomorza i podobnie uzyskać sankcję polityczną Zachodu. Ta świadomość determinowała poczynania każdej ze stron na każdym etapie przygotowań planistycznych do działań wojennych.

Wracając do rozpoczętego wątku, wskazać należy, że w polskim Sztabie Głównym przygotowane zostały także „trzy studia o zamierzeniach skromniejszych" niż te wskazane wyżej[232].

Pierwszym był plan BAŁTYK, którego celem było poszerzenie dostępu do morza na obszarze Pomorza niemieckiego.

Drugim był plan PRUSY WSCHODNIE, który zakładał opanowanie Gdańska, ujścia Wisły i zachodniej części Prus Wschodnich.

Wreszcie trzeci to plan ŚLĄSK, którego celem było przejęcie obszaru przemysłowego w niemieckiej części Górnego Śląska[233].

Wspólnym założeniem wszystkich powyższych zamierzeń operacyjnych, zawartych w tych opracowaniach, było w pierwszym rzędzie skoordynowanie ich z ewentualną ofensywą francuską na froncie zachodnim. Zakładano również, że Niemcy nie będą w żadnym razie zdolne do jakichkolwiek działań zaczepnych[234].

---

[232] *PSZ*, s. 112.

[233] *PSZ*, s. 112–113.

[234] Traktat wersalski z jednej strony ograniczał liczbę niemieckiej armii do 100 000 żołnierzy, z drugiej strony zakazywał rozbudowy nowoczesnych wojsk lądowych, lotnictwa oraz marynarki wojennej.

Przyjmując zatem, że Niemcy nie będą zdolne do wojny ofensywnej przeciw Polsce, nie prowadzono po naszej stronie przez długi czas właściwie żadnych przygotowań o charakterze obronnym. Dowodzi to skądinąd, jak silna była w polskich elitach politycznych i wojskowych wiara w to, że Niemcy będą przestrzegać owych ograniczeń.

Nie skłaniały do podjęcia takich przygotowań nawet rozpoznawane przez polski wywiad, różnorodne formy omijania tych traktatowych ograniczeń. W szczególności Niemcy czynili to na bardzo różne sposoby, a więc m.in. poprzez doskonalenie systemu mobilizacyjnego oraz ukrytych form szkolenia wojskowego czy wreszcie rozwijanie – we współpracy ze Związkiem Sowieckim – broni pancernej i lotnictwa[235].

Trzeba tu zwrócić uwagę na to, że już przed wojną słusznie podkreślano, że polski potencjał gospodarczy (zwłaszcza potencjał polskiego przemysłu zbrojeniowego), w porównaniu z potencjałem niemieckim, był bardzo mały. Mimo wydatkowania olbrzymich środków z budżetu państwa[236] na potrzeby wojskowe, niemożliwe było sprostanie Niemcom czy Związkowi Sowieckiemu w ówczesnym „wyścigu zbrojeń". To fakt poza dyskusją[237]. Czy jednak usprawiedliwia, czy może obciąża, jeśli zważyć, że przy pełnej świadomości istnienia takiej sytuacji już ówcześnie, zaniedbano prace planistyczne w latach 30.?

Polskie kierownictwo państwowe na początku lat 30. założyło, że kraj nasz będzie musiał, w pierwszej kolejności, stawić czoła agresji sowieckiej. Było to – jak się okazało – błędne założenie, ale agresywność Związku Sowieckiego, niewyobrażalne zbrojenia podejmowane przez Sowietów

[235] Niemcy korzystali z pomocy sowieckiej zwłaszcza przy testowaniu nowej broni pancernej. Dzięki udostępnieniu sowieckich poligonów, które były poza jakąkolwiek kontrolą Ligi Narodów, Niemcy mogli nie tylko testować nowe rodzaje broni, ale również szkolić dużą ilość żołnierzy.

[236] *PSZ*, s. 205–207. Pamiętać należy, że w drugiej połowie lat 30. nakłady na wojsko obejmowały mniej więcej jedną trzecią wydatków całego budżetu państwa. W latach 1936–1939 wydatkowano łącznie ponad 12 mld zł. Zob. W. Stachiewicz, *Wierności...*, s. 317–318.

[237] Niezależnie wszakże od tej konstatacji wskazać należy, że polski wysiłek zbrojeniowy dał znaczący postęp w podniesieniu poziomu wyposażenia polskiej armii. Można się zgodzić z twierdzeniami, iż polscy politycy i sztabowcy, zakładając pierwszeństwo konfliktu ze Związkiem Sowieckim, początkowo skupili się na takiej reorganizacji armii i jej wyposażaniu w latach 1936–1938, aby była ona przede wszystkim przygotowana do konfrontacji z Sowietami. I wydaje się, że stan armii w 1939 roku był całkowicie dostateczny, aby skutecznie stawić czoła ewentualnej agresji sowieckiej. Zapewne kolejne fazy realizacji programu modernizacji i doposażenia armii doprowadziłyby ok. 1942 roku do sytuacji, w której możliwe byłoby skuteczne odparcie inwazji niemieckiej.

i rozbudowanie ich armii do gigantycznych rozmiarów, w pełni uzasadniały przecież intensywne przygotowania kraju do ewentualnej wojny na tym polu. To stalinowska Rosja reprezentowała agresywną ideologię walki o „wyzwolenie światowego proletariatu", forsowała niezwykły na owe czasy program zbrojeń, nie ukrywała też kompleksu i chęci rewanżu za upokarzającą klęskę 1920 roku. Pakt Ribbentrop–Mołotow i agresja z 17 września, a zwłaszcza jej oficjalne motywowanie ze strony sowieckiej, dowodzą tego, że zagrożenie to nie było tylko hipotetyczne. W kontekście polityki polskiej Hitlera w pierwszych latach jego rządów, można wręcz powiedzieć że było to całkowicie uzasadnione. Ostatecznie wskazać należy, iż agresja sowiecka na Polskę nastąpiła właściwie równolegle z agresją niemiecką, co utwierdza nas w przekonaniu, że wysiłki planistyczne oraz mobilizacyjne ukierunkowane na wschód były zasadne.

Zatem podnoszenie tego do rangi „grzechu głównego" polski przedwrześniowej, co z uporem godnym lepszej sprawy czyniła historiografia PRL-owska, jest zupełnie bezpodstawne.

Z tego punktu widzenia, próba dyskwalifikowania podjętych przez Sztab Główny prac planistycznych na wypadek wojny ze Związkiem Sowieckim, co było podstawowym zajęciem tej komórki w okresie od 1936 roku[238], przynajmniej do końca lutego 1939 roku[239], jest po prostu nieuczciwa. Twierdzenie to jednak nie może jednocześnie usprawiedliwiać zupełnego poniechania w tym czasie niemal wszystkich prac na odcinku niemieckim.

W moim przekonaniu bowiem, czynnikiem, który w olbrzymim stopniu determinował przebieg działań wojennych we wrześniu 1939 roku, był fakt kompletnego rozkładu aparatu państwowego i związana z tym zupełna dezorganizacja zaplecza walczących wojsk polskich. Destrukcja systemu łączności wojskowej i cywilnej, słabość systemu komunikacyjnego, niewydolność organizacyjna zaopatrzenia wojska, brak elementarnego zabezpieczenia porządku publicznego (zwłaszcza na szlakach komunikacyjnych) przez policję, bezładna, a często, paniczna i chaotyczna ewakuacja czy wręcz ucieczka urzędów administracji rządowej i samorządowej, to najpoważniejsze, aczkolwiek nie wszystkie niestety przejawy owego rozkładu aparatu państwowego.

---

238 Tak problem ten ujmuje w swoich wspomnieniach gen. Stachewicz i nie ma najmniejszego powodu, aby kwestionować prawdziwość jego relacji w tym obszarze.

239 *PSZ*, s. 109.

Last but non least, dochodzi do tego katalogu tragicznych zaniechań kompletny niemal chaos w funkcjonowaniu Sztabu Głównego w ciągu całej kampanii wrześniowej[240].

To wszystko składa się właśnie na ów czynnik, który – w mojej ocenie – miał rozstrzygający wpływ na przebieg działań wojennych we wrześniu 1939 roku po stronie polskiej. Polska bowiem nie była w stanie zniwelować niemieckiej przewagi w broni pancernej czy w lotnictwie, nie mogła nadrobić dysproporcji wobec niemieckiej artylerii. Mogła jednak, tocząc wojnę obronną na własnym terytorium, tak się do niej przygotować, żeby znacząco zniwelować techniczną przewagę wojsk niemieckich, dając jednocześnie własnym wojskom większe szanse w tej konfrontacji.

Przypomnę raz jeszcze, że zachodni planiści wojskowi (nie wyłączając niemieckich i sowieckich), pod wpływem doświadczeń z I wojny światowej, zakładali ówcześnie, iż aby skutecznie przełamać dobrze zorganizowaną obronę, konieczne jest osiągnięcie przez atakującego przewagi przynajmniej trzykrotnej. Dla standardów organizacji obrony brytyjskiej uznawano, że jej przełamanie wymaga przewagi pięciokrotnej[241].

---

[240] Problem ten wymagałby oddzielnego studium, ale konieczne jest tu jego zasygnalizowanie. 1 września 1939 roku Sztab Główny i Kwatera Naczelnego Wodza przeniosły się do nowych bunkrów przy ul. Rakowieckiej. Niestety, nie została ukończona budowa tych obiektów, a wśród ich najważniejszych braków pozostawał m.in. niewykończony system wentylacyjno-klimatyzacyjny. W tych podziemnych obiektach, w takich warunkach, podczas wielkich upałów, jakie panowały w pierwszych dniach września, pracowało łącznie kilkaset osób. Do tego nie do końca dopracowane zostały nowe zasady pracy sztabu i kwatery, co powodowało, że właściwie dopiero 5 września udało się opanować panujący w centralnym ośrodku dowodzenia chaos. Kiedy jednak to wreszcie nastąpiło i pojawiła się nadzieja, że centralny ośrodek dowodzenia zacznie funkcjonować prawidłowo, podjęta została najfatalniejsza w skutkach decyzja o przeniesieniu sztabu do Brześcia, przy jednoczesnym pozostawieniu jego części w Warszawie. Przez kolejne dni potęgowało to chaos decyzyjny i komunikacyjno-łącznościowy. Po kilku dniach, kiedy znowu całość sztabu i kwatery znalazła się w Brześciu, zadecydowano o dalszych przenosinach sfragmentaryzowanego ośrodka dowodzenia.

Wskazać trzeba, że ten fatalny stan rzeczy w decydujący sposób wpłynął na procesy decyzyjne, zarówno w odniesieniu do przebiegu walk na północnym odcinku frontu, jak i w odniesieniu do planowanej operacji – zwrotu zaczepnego gen. Kutrzeby. Można z pewnością stwierdzić, że te dwie kluczowe operacje przełomu pierwszej i drugiej dekady września mogły – gdyby Sztab Główny był w stanie efektywnie pracować – mieć olbrzymi wpływ na dalszy przebieg działań wojennych. Chaos i dezorganizacja sztabu spowodowały jednak, że w obu przypadkach zadecydowało to o niepowodzeniu tych działań, a w ślad za tym, o ostatecznym zawaleniu się polskiej obrony. W konsekwencji, sztabowi pozostawała już tylko bezładna, słabo skoordynowana ewakuacja na przedmoście rumuńskie, bez żadnej łączności z walczącymi armiami oraz wydawanie ogólnikowych, pozbawionych większego sensu dyrektyw.

[241] A. Taylor, *The Origins...,* s. 150 i nast. Jednak w tym wypadku owe standardy brytyjskie zakładały takie nasycenie bronią ciężką i wsparciem lotniczym, że owa pięciokrotna przewaga atakującego była założeniem całkowicie uzasadnionym.

Niemcy takiej przewagi nad Polską w 1939 roku nie posiadali. Spodziewali się, że osiągną ją najprędzej w 1941 roku, a co ciekawe, podobnie oceniał to we wzmiankowanym już wcześniej swoim kluczowym studium gen. Kutrzeba. To właśnie świadomość tych uwarunkowań dyktowała, w znacznym stopniu, poczynania dyplomatyczne stron w 1939 roku. Hitler zdecydował się na wojnę z Polską w najwcześniejszym zakładanym przez siebie terminie tylko dlatego, że osiągnął porozumienie ze Stalinem. Porozumienie uwzględniające współdziałanie armii sowieckiej w ataku na Polskę[242]. To właśnie ta umowa zbudowała taką przewagę agresorów, która musiała złamać Polskę. Bez zawarcia tego układu upłynęłoby z pewnością jeszcze wiele czasu, zanim Niemcy zaryzykowaliby uderzenie na Polskę.

Tymczasem, jeśli prześledzimy szczegółowo przebieg niemal każdej konfrontacji we wrześniowej kampanii 1939 roku, to dostrzeżemy, że wszędzie tam, gdzie jednostki polskie dysponowały pełnym i dobrze funkcjonującym zapleczem, skuteczną łącznością, gdy nie brakowało im amunicji, gdy walczyły na przygotowanych pozycjach, przewaga niemiecka była wydatnie niwelowana, a opór polski był niezwykle skuteczny. Wojska polskie przegrywały wtedy, gdy były wyczerpane dziesiątkami kilometrów marszów na kreślone w sztabie, wyimaginowane linie obronne, ścigając się na piechotę z niemieckimi czołgami i samochodami, bezustannie bombardowane przez niemieckie lotnictwo, gdy były pozbawione nie tylko amunicji, ale i środków transportowych, a nierzadko nawet żywności. Stając do walki w takim stanie, na przypadkowo obieranych pozycjach, wymęczone polskie pułki musiały przegrywać z kretesem.

Fundamentalny wpływ na taką sytuację miało niemal zupełne zaniechanie przygotowań obronnych – zwłaszcza planistycznych – na wypadek wojny z Niemcami, przez cały praktycznie okres międzywojenny. To właśnie na tym polu – dowodzi tego przebieg kampanii wrześniowej – porażka przekształciła się w klęskę. Polska bowiem mogła stawić Niemcom we wrześniu 1939 roku skuteczny opór, a w ten sposób zapobiec jednocześnie agresji sowieckiej. Sowieci bowiem nie zaryzykowaliby

[242] Było oczywiste, że wyznaczenie „linii demarkacyjnej" na terenach Rzeczypospolitej kreślącej „strefy wpływów" obu państw, co znalazło wyraz w stypulacjach tajnego „protokołu dodatkowego" do paktu o nieagresji między III Rzeszą a Związkiem Sowieckim z 23 sierpnia 1939 roku, było nie tylko zaproszeniem Sowietów do ataku na Polskę. Postanowienia te wręcz zmuszały armię sowiecką do działania w celu objęcia wyznaczonej linii, a to gwarantowało partycypację Sowietów w wojnie. W ten sposób oba państwa uzyskiwały niezbędną do swobody działania przewagę (niemożliwą do osiągnięcia przez każdego z osobna) nad Polakami.

swoich działań w sytuacji, gdyby wojska polskie skutecznie powstrzymały Wehrmacht na przygotowanych, dogodnych pozycjach obronnych.

Warto w tym miejscu przywołać wydarzenie z I wojny światowej. Podczas bitwy pod Marną w 1914 roku, Francuzi wykorzystali do przerzucenia swych wojsk nawet paryskie taksówki i dzięki temu niekonwencjonalnemu manewrowi, jak również szybkości jego wykonania, osiągnęli sukces, odpierając atak niemiecki. Tymczasem strona polska nie była we wrześniu zdolna nie tylko do podobnych niekonwencjonalnych działań, ale nawet do wsparcia swojej obrony. Nie była w stanie – niestety – podjąć, nawet minimalnie efektywnych działań, zabezpieczających elementarne potrzeby zaopatrzeniowe walczących z determinacją wojsk.

To na tej płaszczyźnie brak planu wojny okazał się rozstrzygający. Jest przy tym oczywiste, że plany ściśle operacyjne nigdy nie mogą być przygotowywane z nadmiernym wyprzedzeniem. Są one bowiem zawsze uwarunkowane stanem czy choćby rozpoznawanym a zmiennym przecież ustawieniem przeciwnika. Ponadto ich zarówno zbyt wczesne, jak i zbyt szczegółowe przygotowanie zawsze i wszędzie grozi możliwością ujawnienia ich treści przeciwnikowi. Wreszcie zbyt szczegółowe plany mogą prowadzić do zaniku samodzielnego myślenia i jakiejkolwiek inwencji przez dowódców wojskowych, a to na wojnie kończy się tragicznie.

Dla odmiany plany funkcjonowania zaplecza nie tylko mogą, ale wręcz muszą być opracowane z bardzo dużym wyprzedzeniem. I o ile jeszcze ich brak w kampaniach ofensywnych może być na różne sposoby niwelowany, to w kampaniach defensywnych, zwłaszcza z silniejszym przeciwnikiem, musi skrajnie zmniejszać własne możliwości. Mający inicjatywę przeciwnik, do tego – tak jak w przypadku armii niemieckiej – tradycyjnie bezwzględnie wykorzystujący właśnie ten element do prowadzenia rozstrzygających, skoncentrowanych uderzeń, otrzymywał w tym panującym po stronie polskiej chaosie bezcenną pomoc.

Polskie kierownictwo państwowe podjęło decyzję o wojnie z Niemcami na przełomie stycznia i lutego 1939 roku. Wojskowi planiści stosunkowo trafnie antycypowali zarówno poziom sił niemieckich, które będą zaangażowane przeciw Polsce, jak i podstawowe kierunki ich działania[243].

[243] Jakkolwiek polski wywiad ze stosunkowo dużą precyzją zidentyfikował gros jednostek niemieckich w ramach ich pokojowego O. de B., to jednak już w okresie niemieckiej mobilizacji okazało się, że „pogubił" wiele jednostek, zwłaszcza szybkich. Stąd, mimo generalnie dobrego rozeznania co do stanu sił niemieckich, nie udało się zlokalizować w granicach 20% sił niemieckich na ich pozycjach wyjściowych, zajętych przez nie już w dniach 23–26

W tym kontekście całkowicie niezrozumiałe pozostaje, dlaczego – mając tę wiedzę – nie wykorzystano w sposób maksymalnie efektywny półrocza poprzedzającego wybuch konfliktu do efektywnego przygotowania zaplecza dla mającej bronić kraju armii. A jeśli miano świadomość, że jest to czas zbyt krótki, aby owo zaplecze przygotować wystarczająco, dlaczego nie uczyniono wszystkiego, aby konflikt odwlec w czasie i to w sytuacji, gdy strona polska dysponowała odpowiednimi środkami dyplomatycznymi, aby cel taki osiągnąć?

Tak zatem, dla oceny polskiego kierownictwa państwowego w 1939 roku, fakt nieprzygotowania tej sfery funkcjonowania kraju na wypadek wojny ma znaczenie zasadnicze. Tym bardziej, że w interesującym nas okresie podobne prace były prowadzone z myślą o konflikcie ze Związkiem Sowieckim. Jeśli więc możemy mówić o nieprzygotowaniu do wojny z Niemcami, o tym, że decydowano się na nią w warunkach zupełnie improwizowanych, to właśnie na wskazany wyżej obszar trzeba zwrócić uwagę w pierwszym rzędzie.

Na przełomie 1935/1936 roku podjęte zostały w Sztabie Głównym prace, których celem było przeanalizowanie możliwych wariantów obrony państwa na wypadek agresji niemieckiej. Dokument ten pod nazwą *Studium Niemcy*, zachowany we fragmentach, ma dla naszych rozważań podwójne znaczenie.

Po pierwsze dlatego, że w przeciwieństwie do opracowań i planów z początków lat 20., nie miał on już charakteru ofensywnego. Zawarte w nim rozważania skoncentrowane były na analizie prowadzenia działań obronnych w obliczu możliwych przedsięwzięć agresywnych ze strony niemieckiej. Pokazuje on zatem pewien sposób rozumowania polskich sztabowców na tym etapie, co może być pomocne w spojrzeniu na prace podjęte w 1939 roku.

Po drugie dlatego, że choć sytuacja wyjściowa wskutek upadku Czechosłowacji w marcu 1939 roku była zupełnie inna niż na przełomie

sierpnia. Wspomniany, 12-godzinny okres mobilizacji jednostek szybkich, przy sprawnym systemie komunikacyjnym, uniemożliwiał uchwycenie ich ruchów w okresie rozlokowywania. Jednak zdumiewa to, że polski wywiad płytki, operujący w strefie przygranicznej, nie był w stanie uzupełnić tych braków pomiędzy 26 a 31 sierpnia. Wtedy Niemcy znajdowali się już całością swoich sił na pozycjach wyjściowych do ataku, a więc *de facto* całkowicie zdemaskowali swoje położenie. Nic jednak z tego nie wynikało dla ewentualnej korekty ustawienia jednostek polskich. Szerzej na ten temat zob. uwagi: A. Woźny, *op.cit.,* s. 302 i nast.

1935/1936 roku, to widać jednak wyraźnie pewne kalkulacje i rozwiązania, które wykorzystano w pracach późniejszych.

Zasadniczą różnicą, w stosunku do wszystkich wcześniejszych prac, było przyjęcie w 1936 roku założenia, że ciężar głównego zagrożenia ze strony armii niemieckiej nie będzie, jak dotąd, umiejscowiony wyłącznie w północnej części frontu – a więc na Pomorzu Zachodnim i w Prusach Wschodnich. W nowym opracowaniu przyjęto, i to jeszcze przed zajęciem przez Niemców Czechosłowacji, że możliwe jest przesunięcie części ciężaru frontu bardziej na południe, a więc na Śląsk. Polscy sztabowcy, dotąd konsekwentnie wykluczający możliwość efektywnego wykorzystania klina śląskiego do działań przeciw Polsce, na tym etapie dopuszczali już ewentualność jego ograniczonego wyzyskania w kampanii ofensywnej, choćby jako kierunku wspierającego główne uderzenia na północy.

Dostrzegając w tym kontekście słabość własnych pozycji obronnych, autorzy *Studium* wskazywali, iż dążeniem niemieckim będzie zamknięcie wojskom polskim możliwości schronienia się za linię Wisły i podejmowania stamtąd ewentualnych działań zaczepnych. Wskazywano też, „że siłą położenia [własnego] jest obszar kujawsko-wielkopolski, dzielący zasadniczo zgrupowanie niemieckie". To właśnie takie położenie miało stwarzać istotną szansę na wydatne osłabienie presji przeciwnika z Pomorza, jak i – zwłaszcza – ze Śląska.

Fundamentalnym ograniczeniem w prowadzeniu działań wojennych przez stronę polską po zachodniej stronie Wisły było istnienie w centralnej części kraju tylko dwóch przepraw kolejowych przez rzekę – w Warszawie i w Dęblinie. Co ważne, do 1939 roku stan w tym względzie się nie poprawił. Utrudniało to skrajnie przerzut sformowanych we wschodniej i centralnej części Polski wojsk, jak również dostarczanie zaopatrzenia jednostkom walczącym na zachodnim brzegu Wisły.

Polscy sztabowcy spodziewali się zatem głównego uderzenia z Prus Wschodnich na Warszawę, w celu wyizolowania jej jako centrum politycznego kraju, ale jednocześnie kluczowego ośrodka komunikacyjnego dla całego obszaru państwa. Przewidywano dalej, że powodzenie tego działania wraz z uderzeniami z Pomorza i Śląska stworzy Niemcom możliwość zamknięcia kleszczy okrążenia na tyłach wojsk polskich pomiędzy Warszawą i Łodzią. Przewidywano też atak na Górny Śląsk, w celu odcięcia go od reszty kraju i uniemożliwienia zasilania przezeń polskiej gospodarki, zwłaszcza zaś zaspokajania potrzeb wojennych kraju i walczącego wojska.

W rozdziale czwartym sformułowane zostały uwagi co do możliwych działań polskich. Znalazły się tam bardzo ważne spostrzeżenia. Wskazywano, że

> *ostatecznym celem działań polskich wspólnie z Francją, będzie ofensywa dla zniszczenia Niemiec. Musiałaby ona doprowadzić do zajęcia Berlina i mogłaby być prowadzona tylko równocześnie z decydującą ofensywą Francji.*

Powodzenie polskiego planu obronnego, który miał być jednak wieńczony rozstrzygającą ofensywą, uwarunkowane było:

– zdolnością do podtrzymania rozdziału sił niemieckich na wysokości klina wielkopolskiego,
– zdolnością do uderzenia na Prusy Wschodnie, nawet „przez uprzedzenie ich [tj. Niemców] ofensywy",
– wstrzymaniem sił niemieckich działających z Dolnego Śląska oraz
– zdolnością do utrzymania Górnego Śląska.

Jak już wskazywałem, rozbicie Czechosłowacji przez Niemców nie tylko fatalnie pogorszyło i tak skrajnie trudne do obrony położenie. Pozwoliło też – dzięki przejęciu nowoczesnego wyposażenia armii czechosłowackiej – znacząco zwiększyć siłę armii niemieckiej, zwłaszcza zaś jej jednostki szybkie oraz artylerię. Czyniło to w rezultacie pozycję Polski, w spodziewanym już wtedy konflikcie, bez porównania trudniejszą niż to oceniano jeszcze bardzo hipotetycznie w początkach 1936 roku.

Warto jednak powtórzyć, iż bardzo źle się stało, że zapoczątkowane w powyższym studium prace nad możliwościami odparcia zagrożenia niemieckiego zostały zaniechane. W szczególności zaś, że nie prowadzono prac dotyczących organizacji zaplecza przy zarysowanych niezwykle trafnie, spodziewanych wariantach działań niemieckich. Już tylko niezbędne przygotowanie systemu łączności, baz zaopatrzeniowych armii oraz zasad ewakuacji dla takiego scenariusza, w znacznym stopniu realizowanego przez Niemców w 1939 roku, dawałoby stronie polskiej olbrzymie wsparcie.

Tymczasem jednak, w związku z kryzysem czechosłowackim, latem 1938 roku szef Sztabu Głównego gen. Stachiewicz polecił referatowi „Zachód" w Oddziale III „przestudiować na nowo i opracować aktualną ocenę niemieckich sił zbrojnych"[244]. Autorzy londyńskiego opracowania

[244] *PSZ*, s. 257.

poświęconego kampanii wrześniowej uznali to działanie „jako wstępną pracę do planu zachodniego"[245].

Wydaje się jednak, że prace te, choć – co oczywiste – w dalszych przygotowaniach zostały wykorzystane, nie były z pewnością wstępem do prac nad takim planem, a interpretacja powyższa skonstruowana została *ex post*. Nic nie wskazuje na to, że pracom tym przyświecała idea przygotowania się na wypadek wojny z Niemcami. Bardziej prawdopodobne wydaje się, że prace te miały związek ze spodziewanymi już w polskim sztabie zmianami na terenie czechosłowackim, a więc uzyskaniem przez Niemców kontroli nad obszarem czeskim oraz zakładanym uzyskaniem kontroli nad obszarem słowackim przez Polskę i Węgry. Nie ulega bowiem wątpliwości, że wiedza, którą kierownictwo państwowe strony polskiej posiadało w tym zakresie przynajmniej od stycznia 1938 roku, a więc rozmów Becka z Hitlerem i Göringiem, musiała zostać przekazana również do wojskowego przepracowania.

Na ogół przyjmowano, że prace nad planem prowadzenia działań wojennych przeciw Niemcom w 1939 roku rozpoczęto prawdopodobnie na przełomie lutego i marca[246]. Jednak i w tym wypadku autorzy londyńskich *Polskich Sił Zbrojnych* wskazują, że „późną jesienią 1938 roku prace nad planem operacyjnym 'Z' zostały podjęte na nowo, przy uwzględnieniu nowej sytuacji"[247].

Podstawą powyższego twierdzenia jest fakt, iż wedle tego opracowania, w drugiej połowie lutego 1939 roku, Generalny Inspektor Sił Zbrojnych podał szefowi Sztabu Głównego do rozpracowania zasadnicze wytyczne dotyczące planu operacyjnego, które uwzględniały różne warianty rozmieszczenia sił własnych[248].

W związku z tym, 4 marca gen. Stachiewicz poinformował o rozpoczęciu prac na tym odcinku, a jednocześnie powołał trzy grupy robocze. Pierwsza, zajmująca się zagadnieniami mobilizacyjnymi zaplecza cywilnego,

---

245 *Ibidem*.

246 Gen. Stachiewicz wiąże wyraźnie koniec prac nad planem „W" skierowanym przeciwko agresji sowieckiej z płynnym przejściem sztabu do prac nad planem „Z". Wskazuje nawet, że niektórzy oficerowie sztabu pracujący nad planem „W" zostali oddelegowani na nowy odcinek jeszcze przed formalnym zakończeniem prac wschodnich. Z jego wspomnień wynika, że było to na przełomie lutego i marca 1939 roku W każdym razie na pewno przed rozpoczęciem przez Niemców akcji ostatecznej likwidacji Czechosłowacji.

247 *PSZ*, s. 260.

248 *PSZ*, zob. także T. Jurga, *op.cit.,* s. 165.

pracowała pod kierunkiem gen. Tadeusza Malinowskiego. Druga, zajmująca się problematyką operacyjną, kierowana była przez płka Józefa Jaklicza, a współpracowali z nim płk Stanisław Kopański i ppłk Andrzej Marecki. Wreszcie trzecią grupą, zajmującą się sprawami mobilizacyjnymi armii i kwatermistrzowskimi, kierował płk Józef Wiatr[249].

Wskazane wyżej niejasności dotyczące prac podjętych latem i jesienią 1938 roku powodują, że użyłem określenia „prawdopodobnie" w odniesieniu do działań rozpoczętych na przełomie lutego i marca. Problem tkwi w tym, że generalnie przyjmuje się, iż powodem zapoczątkowania tych prac było zarówno podjęcie przez Niemców akcji ostatecznej likwidacji Czechosłowacji, jak i przebieg spotkania (oraz płynące zeń wnioski), które 21 marca odbyli w Berlinie min. Ribbentrop i ambasador Lipski. Tych kilka tygodni różnicy nie jest – jakby się mogło wydawać – sprawą bez znaczenia. Do kwestii tej za chwilę powrócę.

W tym miejscu konieczne wydaje się bowiem poczynienie jeszcze jednej uwagi o charakterze generalnym. Mówiąc o pracach polskiego Sztabu Głównego i ich efektach, używając określenia „plan wojny", popełniamy pewną zasadniczą pomyłkę. Trzeba mieć świadomość, że nic takiego jak „plan wojny", w rozumieniu wojskowym tego terminu, po prostu nie powstało. Działania zaś podejmowane we wrześniu 1939 roku przez stronę polską miały może, poza pierwszymi trzema, maksymalnie czterema dniami, charakter całkowicie improwizowany i to niemal w każdym wymiarze.

W niezwykle cennym, powojennym opracowaniu dotyczącym interesującej nas kwestii, wykonanym bardzo rzetelnie dla Biura Historycznego Sztabu Głównego w Londynie przez mjra E. Ligulę[250], znajdujemy niezwykle interesujące uwagi dotyczące uwarunkowań tworzenia polskiego planu:

> *Sam plan, który był podstawą kampanii wrześniowej, nastręcza duże trudności w odtworzeniu go, bowiem różni się od tego co normalnie rozumiemy przez pojęcie planu. Został on mianowicie przygotowany w ostatecznej formie, równocześnie opracowany i wykonywany, narastając i przekształcając się częściowo przed i w samej kampanii. Nie ma on formy wykończonego elaboratu*

[249] *Wojna obronna Polski 1939. Wybór źródeł,* dok. nr 47 – Protokół odprawy nr 94 u szefa Sztabu Głównego, Warszawa 1968, s. 202.

[250] IS, A/50, E. Ligula, *Plan wojny.*

sztabowego rozbudowanego systematycznie przez dłuższy okres czasu przed wykonaniem, w którym siłą rzeczy zawarta byłaby całość zagadnienia. Takiego opracowanego planu wojny „Zachód", według wszelkich danych nie było. Według przyjętych poglądów, plan taki, zawierający we wstępie opis zasadniczych elementów położenia polityczno-wojskowego, ocenę tego położenia, winien był sformułować zasadniczy cel, który zamierzano osiągnąć i sam sposób przeprowadzenia działań. [Na tej podstawie powinny powstać] opracowania obejmujące:

– przygotowania, które musiały być wykonane konkretnie od razu,
– gotowe na papierze w sztabie i u wykonawcy,
– nastawienie myślowe czyli pomysły, których realizacja byłaby uwarunkowana zależnie od narastającego położenia.

Tak przyjęty plan w technicznym opracowaniu wymagający zazwyczaj długich lat pracy na wszystkich szczeblach hierarchii wojskowej i państwowej, różni się wyraźnie od pomysłu [podkreślenia moje – G.G.].

I dalej:

Nie wykorzystane od razu części planu zostają wpisane i podane do wiadomości tym wszystkim spośród wykonawców, którzy z racji swego udziału w realizacji muszą być zabezpieczeni przed wszelkiego rodzaju niespodziankami. Nie jest zatem istotą planu tylko przewidywanie nawet, jeśli jest oparte na trzeźwym rachunku. Tych samych cech można żądać i od pomysłu. Istotą planu jest opracowanie na zapas tego wszystkiego, co tylko da się wykonać, a następnie stałe jego sprawdzanie i kontrolowanie. Tak pojęty plan może być wykonywany nawet gdyby autorzy, bez względu na stanowisko śmiertelni, nie mogli wziąć udziału w jego realizacji. W tym świetle brak spisanych istotnych elementów naszego planu wojny z 1939 roku uzależniał całe kierownictwo działaniami od kilku osób, a może nawet tylko jednej osoby Naczelnego Wodza, co pomijając wszelkie inne względy (...) uzależniało los wojny i narodu od jednej lub kilku osób. Gdyby ich zabrakło, pozostawałyby tylko domysły[251][podkreślenie moje – G.G.].

[251] *Ibidem*, s. 3– 4.

Myślę, że te dwa dłuższe cytaty oddają istotę problemu. Skupiają się w nich, jak w soczewce, wszystkie zasadnicze problemy, jakie towarzyszyły przygotowaniom do wojny po stronie polskiej[252].

Tu jeszcze jedna uwaga. Polski sztab nie zdołał wypracować solidnego planu obrony w ciągu przynajmniej siedmiu miesięcy intensywnych prac. Tymczasem w o połowę krótszym okresie Niemcy przygotowali kompletny plan ataku na Polskę. Ten kontrast nie był jednak konsekwencją różnego potencjału intelektualnego czy mniejszych ogólnych umiejętności planowania wojskowego strony polskiej. W mojej ocenie wynikał on po prostu z tego, że Niemcy od początku swoich prac skoncentrowani byli wyłącznie na przygotowaniu planu ataku i to wedle jednej, wyraźnie określonej koncepcji. Tymczasem strona polska dokonała fundamentalnej zmiany charakteru swoich działań, przestawiając się z przygotowywanych latami projektów ofensywnych, na opracowywane czy raczej improwizowane plany obronno-zaczepne. Ponieważ reorientacja ta nastąpiła stosunkowo późno, skutkowało to ogólnie odczuwanym w praktyce brakiem odpowiedniego przygotowania do wojny o charakterze wyłącznie obronnym.

---

[252] Pewnym usprawiedliwieniem takiej sytuacji jest ogromna obawa generalnego inspektora oraz kierownictwa sztabu przed infiltracją tych prac przez wywiady niemiecki i sowiecki, a także – co ważne – francuski (który uważano za spenetrowany przez Sowietów). Wiemy już dzisiaj, że nie były to obawy pozbawione podstaw. I choć nie znamy dokładnie skali operacji niemieckich i sowieckich w polskim dowództwie, możemy jednak przyjąć, iż wniknęły one dość solidnie w polskie tajemnice sztabowe. Wystarczy tylko przywołać fakt, że sztab niemiecki był stosunkowo dobrze zorientowany w niuansach ustawienia i celów działania większości polskich jednostek. Dla przykładu, zadania 4 armii działającej na Pomorzu Gdańskim, określane w polskiej historiografii całkowicie błędnie jako ukierunkowane na jak najszybsze utorowanie drogi do Prus Wschodnich, w rzeczywistości obliczone były przede wszystkim na pozbawienie wojsk polskich możliwości uderzenia na tę prowincję po prawej stronie Wisły. Dlatego, po pierwsze, dążono do odcięcia Korpusu Interwencyjnego od Wisły (stąd założone spektakularnie kleszcze po zachodniej stronie Wisły, a w konsekwencji – to po drugie, uniemożliwienie GO „Wschód" gen. Bołtucia wykonanie zamierzonych działań ofensywnych, wskutek zupełnego odkrycia tyłów tej formacji od strony zachodniej. Gdyby Niemcom chodziło tylko o zapewnienie połączeń do Prus Wschodnich, to prosty rzut oka na mapę wskazuje, że ich działanie powinno nastąpić na północ od Chojnic i być skierowane na opłotki Wolnego Miasta oraz Malborka. Takie działanie niemieckie dowodzi rozeznania, co do celów i zadań armii „Toruń" oraz chęci ich jak najszybszego uniemożliwienia. Takiej wiedzy Niemcy nie mogli uzyskać tylko na skutek prostej analizy lokalizacji polskich oddziałów, co zresztą nastąpiło w ostatnich dniach sierpnia. Musieli zatem dysponować jakąś wiedzą operacyjną, z której wynikało że ciężar działania armii „Toruń" znajduje się – jak żądał marszałek a wdrażał to gen. Bortnowski – na prawym brzegu Wisły. To oznacza w sposób oczywisty, iż armia ta nie mogła mieć powierzonych zadań obronnych, co jest zgodne z zarysowywaną przeze mnie logiką wydarzeń.

Wróćmy w tym momencie do kwestii niejasnej i – jak się zdaje – dość zasadniczej. Wskazywałem, w ślad za wspomnieniami szefa Sztabu Głównego, że generalnie przyjmuje się, iż początki prac planistycznych w tej komórce na odcinku niemieckim wiązane są z następstwami zajęcia przez Niemców Pragi oraz ocenami treści rozmowy odbytej przez ministra Ribbentropa z ambasadorem Lipskim 21 marca 1939 roku[253]. W efekcie tych zdarzeń nastąpić miały zarządzenia mobilizacyjne i podjęte zostały prace sztabowe[254]. Gen. Stachiewicz, inaczej niż autorzy opracowania londyńskiego, datuje jednak te prace na drugą połowę lutego 1939 roku[255].

Bardziej prawdopodobny jest jednak, w moim przekonaniu, inny przebieg wypadków. Przyjąć należy, że po styczniowym spotkaniu Becka z Hitlerem oraz naradzie na Zamku polskie kierownictwo państwowe zgodziło się co do zasady, iż wobec zarysowujących się rozbieżności w relacjach z Niemcami oraz – jako to określano – wobec braku ich obliczalności, co do sposobu rozwiązania problemu czechosłowackiego, należy się poważnie liczyć z możliwością konfliktu zbrojnego.

O ile marszałek i premier reprezentowali w tym wypadku zapewne nurt bardziej radykalny, nastawiony na szybszą konfrontację zbrojną, o tyle prezydent i min. Beck dopuszczali jeszcze możliwości dalszego negocjowania z Niemcami. Jednak poważnym ograniczeniem w myśleniu wszystkich było owo wielokrotnie przywoływane przeświadczenie wyniesione z analiz autorstwa gen. Kutrzeby, iż czas działa na niekorzyść strony polskiej, pogłębiając dysproporcję militarną względem i Niemiec, i Sowietów. Jak pamiętamy również, ostatecznym weryfikatorem kierunków dalszego działania miała być styczniowa wizyta Ribbentropa w Warszawie oraz sposób załatwienia kwestii zakarpackiej i słowackiej. Od rezultatów tej wizyty uzależniano prawdopodobnie kierunki dalszych polskich działań.

---

253 W. Stachiewicz, *Wierności..., s.* 382.

254 W. Stachiewicz, *Wierności..., s.* 382. Zob. także: S. Kopański, *Wspomnienia wojenne 1939–1945,* Londyn 1961.

255 Według T. Jurgi, *Wojna obronna Polski...,* s. 165, na podstawie opracowania z 1938 roku, Generalny Inspektor wydał szefowi sztabu w drugiej połowie lutego 1939 roku „wytyczne dotyczące ogólnego podziału sił i zadań poszczególnych armii do szczegółowego opracowania sztabowego". Jurga opiera swoją relację na wspomnieniach Stachiewicza (W. Stachiewicz, *op.cit.,* s. 382) oraz na datowaniu na 4 marca 1939 roku narady ścisłego grona sztabowego, podczas której przekazane zostały ww. wytyczne marszałka (zob. *Wojna..., Wybór źródeł,* dok. nr 47, s. 202). Koresponduje to z przywoływanymi dalej zapiskami ppłka Mareckiego z 6 marca 1939 roku.

Ze wspomnień Henryka Grubera wiemy, iż już 9 lutego 1939 roku, podczas kolejnej narady kierownictwa państwowego pod formalnym kierownictwem prezydenta Mościckiego, marszałek Śmigły-Rydz

> *wprost oświadczył, że liczy się z możliwością wojny z Niemcami w najbliższych miesiącach i że fakt ten omawiał już z francuskim Sztabem Generalnym*[256].

Tenże Gruber wspomina również o podejmowanych przez Śmigłego-Rydza, w lutym 1939 roku, gwałtownych zabiegach wobec wicepremiera Kwiatkowskiego o zabezpieczenie dodatkowych setek milionów złotych w budżecie na potrzeby wojskowe. Z uwagi na ogólnie trudną sytuację budżetową państwa, przynajmniej do połowy marca kwestie te nie zostały załatwione[257].

Jedynie na marginesie można tu wspomnieć, że niewykluczone, iż marcowe decyzje o mobilizacji alarmowej były również pośrednią formą wymuszenia dodatkowych środków finansowych od Kwiatkowskiego. Jednak podkreślić trzeba, że konsekwencje finansowe i gospodarcze trwania państwa w wielomiesięcznym stanie mobilizacji wojskowej były katastrofalne. U progu wybuchu wojny gospodarka polska znajdowała się już w stanie ciężkiego kryzysu wynikającego z niezdolności do ponoszenia olbrzymich kosztów tej mobilizacji w tak długim okresie.

Wydaje się zatem, że idące w takim kierunku ustalenia kierownictwa państwowego były prostą konsekwencją założeń dalszego postępowania przyjętych podczas narady styczniowej oraz efektem fiaska, jakie, w ocenie zwłaszcza ośrodka wojskowego, przyniosła styczniowa wizyta Ribbentropa w Warszawie.

Co dodatkowo istotne, równolegle MSW, właśnie w początkach lutego 1939 roku, wydało szereg zarządzeń administracyjnych, dotkliwie godzących w mniejszość niemiecką na terenach nadgranicznych. Jedynie na marginesie wspomnieć można, że w tym czasie władze niemieckie postępowały dokładnie odwrotnie, nie tylko nie alarmując międzynarodowej opinii publicznej o dyskryminowaniu Niemców w Polsce, ale do tego konsekwentnie omijając wszelkie zadrażnienia z mniejszością polską w Niemczech.

---

256 H. Gruber, *Wspomnienia i uwagi*, t. 1, Londyn 1967, s. 384.

257 *Ibidem*.

W tym czasie sztab skoncentrowany był na pracach wykończeniowych planu „W". Ale w powyższym kontekście jest oczywiste, że dysponując już wstępnymi opracowaniami dotyczącymi planu „Z" z jesieni 1938 roku, marszałek z wąskim gronem współpracowników mógł już od przynajmniej połowy stycznia 1939 roku, a z pewnością od początku lutego 1939 roku, analizować różne warianty ewentualnych działań polskich[258].

W tym miejscu podkreślić należy raz jeszcze, że marszałek Śmigły-Rydz mógł na tym etapie prace te prowadzić w bardzo niewielkim, ściśle zakonspirowanym gronie współpracowników, nawet spoza ośrodka skupionego wokół swojego szefa sztabu. Tenże gen. Stachiewicz pośrednio to potwierdza, wskazując, że w drugiej połowie lutego 1939 roku otrzymał od marszałka zasadnicze wytyczne dotyczące planu operacyjnego, które uwzględniały różne warianty rozmieszczenia sił własnych. Zatem szef sztabu otrzymał opracowany już w poważnym, choć ogólnym zakresie, materiał wyjściowy do bardziej szczegółowego rozpracowania. Oznacza to w sposób niepozostawiający żadnej wątpliwości, że te „wytyczne", do tego „wielowariantowe", musiały być przedmiotem wcześniejszych prac jakiegoś innego grona oficerów, skupionych wokół marszałka. Zważywszy na odrębność organizacyjną grupy inspektorów armii i powiązanych z nimi oficerów sztabowych (tworzących trzony planowanych na wypadek wojny sztabów armii) od struktury Sztabu Głównego w ramach Generalnego Inspektoratu Sił Zbrojnych, nie jest to jednak sytuacja jakoś szczególnie zadziwiająca.

Można zatem w kontekście powyższych, cząstkowo znanych faktów przyjąć, iż zapewne jeszcze w styczniu, po wizycie Ribbentropa, ale niewykluczone, że już po styczniowej naradzie zamkowej, marszałek Śmigły-Rydz przynajmniej wraz z gen. Kutrzebą, gen. Bortnowskim, gen. Rómmlem oraz gen. Dębem-Biernackim oraz nieliczną grupą ich oficerów sztabowych, pracowali nad wytycznymi dotyczącymi planu operacyjnego, uwzględniającymi różne warianty rozmieszczenia sił własnych[259].

---

[258] Płk Marecki w swojej powojennej relacji (A. Grzywacz, *Relacja płka dypl. Andrzeja Mareckiego dla Komisji badawczej do spraw Klęski Wrześniowej,* „Zeszyty Historyczne", Paryż 1998, t. 123, s. 205), wskazuje, że w końcu lutego 1939 roku przystąpił do rozpracowania zadań armii na podstawie konkretnie przyjętej koncepcji wojny. Podczas odprawy sztabowej prowadzonej przez gen. Stachiewicza 4 marca 1939 roku ustalano już zasady podjęcia przez zespoły wykańczające plan „W" prac nad planem „Z", która to praca „miała iść prędzej niż poprzednia" (*Sprawozdanie adiutanta głównego naczelnego wodza płka dypl. Tadeusza Muennicha,* „Niepodległość", Warszawa 2002, t. LII, s. 136 i nast.).

[259] O bardzo częstych kontaktach marszałka Śmigłego-Rydza z gen. Dębem-Biernackim pisze we wspomnieniach gen. Stachiewicz (*op.cit.,* s. 196), potwierdzają je autorzy *Polskich Sił*

Nie popełnimy w związku z tym chyba większego błędu, jeśli przyjmiemy, że wspomniane wyżej prace sztabowe mogły obejmować przynajmniej trzy warianty rozwoju wydarzeń (a więc i warianty rozmieszczenia sił własnych):

– czynnej akcji polskiej na Słowacji, w celu zabezpieczenia tam polskich interesów,
– czynnej (choć zapewne ograniczonej) akcji polskiej przeciw Niemcom (przede wszystkim w Gdańsku i w Prusach Wschodnich) oraz
– zabezpieczenia się przed ewentualnymi czynnymi akcjami niemieckimi przeciw Polsce (przede wszystkim w Gdańsku, ale i w ograniczonym zakresie na innych odcinkach, np. na Pomorzu).

Prace te, siłą rzeczy ogólne w pierwszej fazie, nie musiały być ściśle dokumentowane, także ze względów bezpieczeństwa. Ale mogły również pozostawać niewidoczne, nawet dla oficerów Sztabu Głównego, włącznie z jego szefem, skoncentrowanych na wykańczaniu planu „W"[260]. Jeżeli przyjmiemy, że ok. 20 lutego gen. Stachiewicz otrzymał wytyczne dosyć szczegółowe, to o ile nie popełnił on tu błędu, ani celowo nie dezinformował (choć nie widać tu żadnego powodu, aby to robił), jest logicznym iż przygotowanie takich wytycznych musiało zająć właśnie około miesiąca. Potwierdzałoby to, że luźne prace podjęte po naradzie styczniowej zintensyfikowane zostały po wizycie Ribbentropa, a więc mniej więcej

Zbrojnych. O wykonywaniu specjalnych poruczeń marszałka w gorącym okresie marcowym (dokładnie 22 marca) przez gen. Bortnowskiego i gen. Rómmla, wizytujących obszar śląski, wspomina min. Szembek wracający tego dnia przez Śląsk z Włoch (*Dzienniki...*, t. 4, s. 526). Niewykluczone skądinąd, że przypadkowo Szembek potwierdza, iż w tym czasie wariant jakiejś akcji na Słowacji ciągle był przez polskie dowództwo poważnie rozważany. Jak bowiem tłumaczyć inaczej obecność obu generałów, którzy byli inspektorami armii w Toruniu i Łodzi, właśnie na Śląsku podlegającym inspektorowi krakowskiemu gen. Szyllingowi. Wspomnieć tylko należy, że niecały rok wcześniej Bortnowski równie niespodziewanie pojawił się na Śląsku, by objąć dowództwo grupy operacyjnej skierowanej do akcji zaolziańskiej. Analogie są aż nadto widoczne. O ścisłych i częstych kontaktach i spotkaniach w okresie styczeń–marzec (i później) marszałka z gen. Dębem-Biernackim, gen. Bortnowskim oraz gen. Rómmlem wspomina też adiutant marszałka płk Muennich.

[260] Oprócz względów bezpieczeństwa, które uznać należy za oczywiste (fałszywie brzmią tu tezy o „przewrażliwieniu" na tle zachowania tajemnicy wojskowej przez marszałka – akurat w tym zakresie była to postawa jak najbardziej słuszna), racjonalne było również nieobarczanie podstawowej części sztabu, skoncentrowanej na doprowadzeniu do końca prac nad planem „W", dodatkowym, rozpraszającym go wysiłkiem. Na tamtym etapie prac, z natury rzeczy bardzo ogólnych, nie było w żadnym razie takiej potrzeby. Nie trzeba się zatem w tym trybie pracy sztabowej, we wskazanym okresie, doszukiwać jakiejś patologii czy interpretować tego jako wyrazu niedojrzałości i braku profesjonalizmu.

w czasie narady zamkowej 9 lutego, a po kolejnych 3–4 tygodniach zaowocowały konkretnymi wytycznymi.

Dalej przynajmniej sama sekwencja wydarzeń jest już w miarę oczywista. Przepracowane w węższym gronie przez około dwa tygodnie wytyczne marszałka przekazano na odprawie 4 marca większemu gronu oficerów sztabu, a 5–6 marca (co wynika wprost z zachowanych zapisków ppłka Mareckiego) poszczególne grupy sztabowe pracowały już pełną parą.

Pozostaje pytanie – nad czym pracowano od przełomu lutego i marca? Wiąże się to z innymi pytaniami. Dlaczego we wspomnieniach Stachiewicza i gen. Kopańskiego czy w niepublikowanej relacji ppłk Mareckiego z 1942 roku nie zostały wspomniane bliższe szczegóły dotyczące treści i kierunków podjętych wtedy w generalnym inspektoracie prac?

Gen. Stachiewicz wspomina[261], że:

> *w trakcie opracowywania przez sztab wytycznych Generalnego Inspektora Sił Zbrojnych z lutego nastąpiło zajęcie Czechosłowacji* (*15 marca*), *postawienie przez Niemców znanych żądań Polsce* (*21 marca*) *oraz operacja niemiecka na Bałtyku, połączona z zajęciem Kłajpedy* (*21 marca*), *a grożąca równoczesnym zamachem na Gdańsk. Wypadki te z jednej strony zmieniały w znacznym stopniu założenia, na których oparł generalny inspektor swe wytyczne z lutego, z drugiej zaś zmuszały, z powodu bezpośredniego zagrożenia, do przyjęcia z miejsca gwałtownego tempa w konkretnych pracach i przygotowaniach wojennych tak sztabu jak i inspektorów armii* [podkreślenie moje – G.G.].

Czy doprawdy zajęcie Czech czy Kłajpedy były tak ważnymi w sensie operacyjnym wydarzeniami, że musiały w „znacznym stopniu" zmieniać wcześniejsze założenia? Były to bez wątpienia niezmiernie ważne fakty polityczne, ale z punktu widzenia wojskowego położenia Polski wobec Niemiec, wskazane wydarzenia żadnych, podkreślam to z całą mocą, żadnych zasadniczych zmian nie wnosiły[262]. Z punktu widzenia uwarunkowań

[261] W. Stachiewicz, *Wierności...*, s. 382. Zob. także: *PSZ*, s. 260.

[262] Oczywiście, ewentualne działania niemieckie ze Śląska mogły być jeszcze łatwiejsze dzięki uzyskaniu pełnej swobody w Czechach, ale przecież i przed marcem 1939 roku żadnych zagrożeń dla niemieckich operacji zaczepnych z terenu Śląska już nie było. A to właśnie istnienie tego – potencjalnego – ograniczenia po stronie niemieckiej miało relatywizować, w ocenach polskich sztabowców, znaczenie tego odcinka. Tak więc, przynajmniej od października 1938 roku, polscy sztabowcy **musieli** uwzględniać ten fakt w swoich pracach. I, jak się zdaje, uwzględniali, bo nieprzypadkowo prace wstępne w tym zakresie Stachiewicz odnotowuje właśnie w październiku 1938 roku. Zresztą, jak już wskazywałem, jeszcze opracowanie

sytuacji militarnej Polski względem Niemiec, zajęcie Kłajpedy było wydarzeniem całkowicie obojętnym. W przypadku Czechosłowacji sprawa wygląda na bardziej złożoną, jednak tylko pozornie. Do jesieni 1938 roku, zarówno strona polska jak i strona niemiecka w swoich opracowaniach planistycznych raczej zgodnie wykluczały możliwość wykorzystywania tzw. klina śląskiego do działań agresywnych strony niemieckiej. Dotyczyło to ewentualnych działań niemieckich przeciwko Polsce i Czechosłowacji. Niemcy zakładali bowiem, że nawet w przypadku najgorszych, wzajemnych relacji obu państw, te, będąc aliantami Francji, mogą zostać w sytuacji kryzysowej nakłonione do wspólnych działań przeciw nim. Obszarem tychże wspólnych działań, najdogodniejszym dla obu stron, a jednocześnie dającym największe szanse korzyści, a z punktu widzenia niemieckiego, niedających żadnych szans skutecznego przeciwstawienia się, był właśnie obszar śląski.

Po układzie monachijskim sytuacja uległa zasadniczej zmianie. Niemcy nie musieli się już w żaden sposób obawiać jakiegokolwiek zagrożenia ze strony czeskiej. Co oczywiste, obszar śląski z wielkiego obciążenia militarnego przekształcił się automatycznie w teren dający niezwykle korzystne perspektywy dla skutecznego oskrzydlenia Polski. Ewentualnym działaniom niemieckim przeciw Polsce ze Śląska nic już nie mogło zagrozić.

Tę fundamentalną zmianę dostrzegli od razu polscy sztabowcy. Dlatego tak wielkie znaczenie miała walka o podporządkowanie sobie Słowacji, co pozwalało w jakimś stopniu rekompensować skutki uzyskania przez Niemców swobody na Śląsku. I to właśnie dlatego, z powodu tej fundamentalnej zmiany, w październiku 1938 roku rozpoczęto, wspominane już wcześniej, studia sztabowe nad nową sytuacją. Ale też właśnie dlatego można przyjąć z całkowitą pewnością, że wkroczenie Niemców do Czech w marcu 1939 roku żadnej zmiany sytuacji militarnej nie przynosiło.

Kolejne negatywne zmiany w położeniu przyniosło przesądzenie podporządkowania Słowacji wyłącznie Niemcom. Ale przecież taki stan rzeczy został zadecydowany (i to raczej przez stronę polską, która odrzuciła mimo

---

z 1936 roku, a więc przygotowywane w warunkach pełnego istnienia Czechosłowacji, zakładało możliwość działania niemieckiego z kierunku śląskiego. Tym bardziej zatem po Monachium założenie to musiało stać się niemal stuprocentowo pewne. Natomiast nie dostrzegano przez długi czas skutków militarnych podporządkowania sobie przez Niemców Słowacji. Po stronie polskiej panowało przekonanie – i to się w marcu 1939 roku nie zmieniło – że z uwagi na uwarunkowania komunikacyjne Niemcy nie będą mogły efektywnie wykorzystać znaczącego wydłużenia polskiej linii obrony na południu.

wszystko korzystniejszą propozycję współprotektoratu z Niemcami nad Słowacją, zamiast samodzielnego protektoratu niemieckiego) dopiero po 23–24 marca. Tyle tylko, że wtedy wszystkie dyspozycje były już przez marszałka wydane, a ich treść jednoznacznie świadczy o tym, iż wtedy nie do końca uświadamiano sobie konsekwencje możliwych działań niemieckich ze Słowacji.

Niezależnie od tego wiemy na pewno, że polski wywiad wojskowy znał konkretne zamiary niemieckie względem Czech już około 10 marca, a polityczne cele Niemiec na tym obszarze były znane Polsce już od ponad roku.

Podkreślmy zatem raz jeszcze, że zasadniczą zmianą sytuacji, z punktu widzenia wojskowego dla strony polskiej, nie było ostateczne podporządkowanie sobie przez Niemców Czech, tylko ich protekcyjne wejście na teren słowacki. To mógł być realnie jedyny powód takiego stwierdzenia szefa sztabu w pisanych po latach wspomnieniach. Stachiewicz, wskazując, że nastąpiły zmiany w stosunku do wytycznych z lutego 1939 roku, jako jedyny ich powód oraz przyczynę radykalnej zmiany kierunku prac i ich tempa, mógł mieć na myśli wyłącznie, mimo wszystko ostatecznie zaskakujące dla strony polskiej, rozstrzygnięcia dotyczące Słowacji. Jednak, stojąc konsekwentnie na stanowisku przemilczania kwestii słowackiej przez pomajową elitę rządzącą w powojennych relacjach, próbował ten znamienny fakt zakamuflować dość naiwnym, zarówno z punktu widzenia politycznego, jak i militarnego, stwierdzeniem.

Dopiero zatem szok wywołany zarówno rozwojem sytuacji na południu, jak i złamaniem przez Niemców poczynionych uzgodnień, rzutował na wydanie przez marszałka po 15 marca „znacznie zmienionych założeń". I to był główny powód tej zmiany, skutkujący również ogłoszeniem mobilizacji alarmowej. Nie było bowiem realnej możliwości, aby w racjonalny sposób przejść do stanu wojennej organizacji wojska, w praktyce w kilkanaście godzin po rozmowie z Ribbentropem. Tylko, mając na uwadze tę sekwencję zdarzeń politycznych i wojskowych wokół Polski i ich praktyczne konsekwencje, możemy odczytać jakąś logikę w działaniach polskich dowódców.

Uzyskanie bowiem przez Niemców możliwości dostępu do terytorium Polski poprzez podporządkowaną sobie Słowację, choć zasadniczo nie zmieniało sytuacji obronnej w bliskiej perspektywie, w dalszej mogło ją znacząco

komplikować[263]. Stąd szef sztabu musiał odnotować ten fundamentalny fakt jednocześnie – podobnie jak właściwie wszyscy główni polscy aktorzy ówczesnych wydarzeń – pomijając kwestię wcześniejszych polskich oczekiwań co do Słowacji[264].

Czy jednak w świetle powyższych uwag można rozstrzygnąć wszystkie niejasności, a zwłaszcza ustalić, kiedy rzeczywiście rozpoczęto prace nad planem obrony przeciw Niemcom? Dlaczego tak silnie utkwił w pamięci wszystkim relacjonującym przełom związany z wkroczeniem Niemców do Pragi i rozmowa Ribbentropa z Lipskim? Dlaczego nie wiemy kompletnie nic o pracach wcześniejszych – jakie były ich założenia i cele?

Z przełomu 1938/1939 roku zachowała się pewna część dokumentacji byłego Sztabu Głównego, m.in. podstawowe dokumenty dotyczące Planu „W", ale nie ma niemal żadnych dokumentów dotyczących prac na odcinku zachodnim. Fakt wydania w drugiej połowie lutego 1939 roku przez marszałka Śmigłego-Rydza wytycznych do wyłącznie obronnego Planu „Z", niezależnie od powyższych uwag, nie zasługuje na wiarę jeszcze z jednego powodu. Jak można było wydawać jakieś wytyczne do obrony kraju, powołując się na określone fakty polityczne, skoro ich wydanie poprzedzało fakty podawane jako pretekst do tego działania? Oczywiście, można przygotowywać się do wojny przeciwko państwu, które wcale nie planuje w danym momencie nas atakować. Nie wytrzymuje jednak krytyki próba wykazania, że na przełomie stycznia i lutego 1939 roku, a więc wtedy, gdy w Inspektoracie Generalnym szykowano się już do wojny obronnej z Niemcami, ci podobnie szykowali się do wojny ofensywnej z nami. Nic takiego nie miało miejsca.

---

[263] Zagrożenie militarne ze strony samej Słowacji i jej armii nie było dla Polski właściwie żadnym problemem. Natomiast w jakiejś perspektywie dostrzegano możliwość wykorzystania terytorium Słowacji do operacji wojsk niemieckich przeciw Polsce, co było stosunkowo łatwe, dzięki ich obecności w Czechach. Mimo że połączenie kolejowe, dzięki zajęciu w 1938 roku węzła bohumińskiego, było praktycznie bardzo utrudnione, to jednak w perspektywie było oczywiste, że Niemcy zdołają – jeśli będzie taka potrzeba – przerzucić odpowiednią ilość swoich wojsk i wyposażenia do Słowacji.

[264] Notabene, potwierdza ten tok rozumowania fakt, że odpowiedzią polskich planistów na rosnące zagrożenie od strony słowackiej było powołanie armii „Karpaty". Nastąpiło to jednak dopiero 11 lipca 1939 roku. Oznacza to, że zmiana wytycznych lutowych przez marszałka nie była związana bezpośrednio z powstaniem zagrożenia militarnego od strony Słowacji, bo tu reakcja nastąpiła cztery miesiące później. Chodziło zatem o ogólną zmianę położenia na południu oraz zapewne generalną zmianę koncepcji ewentualnej konfrontacji z Niemcami.

Do tego, gdyby rzeczywiście chodziło o wytyczne do planu wojny obronnej z Niemcami, to dlaczego ukrywano to i w czasie wojny, i po jej zakończeniu? Jeśli prace nad planem obronnym rozpoczęto w następstwie wizyty, jaką w końcu stycznia 1939 roku złożył w Warszawie min. Ribbentrop, to dlaczego tak ważne i znaczące wydarzenie nie zostało wyartykułowane z całą mocą przez wszystkich, ważnych przecież aktorów, wspominających interesujący nas problem? Przecież świadczyłoby to bardzo dobrze o zdolności przewidywania ówczesnych decydentów cywilnych i wojskowych. Dowodziłoby to ich przenikliwości zdolności przewidywania.

Jednak żaden z nich, na czele z szefem sztabu, nie podkreślał później takiego faktu. Co więcej, wszyscy jakby solidarnie zapomnieli o tym, czym zajmowali się, jeszcze na wiele tygodni przed wkroczeniem Niemców do Pragi. Choć wydaje się logiczne, że to właśnie oni powinni wyraźnie eksponować swoją zapobiegliwość, iż już wtedy, przewidując niemiecką agresję, szykowali kraj do obrony.

Chciałbym tu zwrócić uwagę na pewien sygnalizowany już, bardzo – moim zdaniem – interesujący dokument. W londyńskim Instytucie Sikorskiego zachowały się dokumenty wytworzone przez jednego z głównych autorów podstawowych założeń operacyjnych Planu „Z", ppłka Andrzeja Mareckiego[265]. Rozpoczyna on swoje notatki zapisem z 6 marca, a więc dwa dni po, mającej niewątpliwie wielkie znaczenie, wspominanej przez gen. Stachiewicza naradzie sztabowej z 4 marca. Jednak, tak naprawdę, zapiski ppłka Mareckiego wskazują, że intensywne prace sztabowe trwały dopiero od 21 marca. Pod datą 6 marca znajdujemy wszakże zapisy informujące o istnieniu wariantu I i II, zaś pod datą 14 marca pojawia się zapis pt. *Projekty zadań dla Armii* oraz wariant IIIa[266].

Można oczywiście przyjąć, że przez ponad miesiąc (od drugiej połowy lutego do 21 marca), w obliczu zagrożenia wojennego, prace kluczowej komórki sztabowej polegały jedynie na obmyślaniu bardzo ogólnikowych

[265] IS, A. II 3/I, 1, *Ewidencja wykonanych prac ppłka A. Mareckiego.* Ten materiał znajduje się w dokumentacji prac sztabu z marca 1939 roku. Jest też w dokumentacji lutowej dokument z datą 10 lutego pt. *Plan prac nad rozwinięciem „Z"* z adnotacją, że w 1947 roku gen. Stachiewicz oświadczył, iż dokument ten przygotowano w lutym lub marcu 1939 roku (A, II. 2. 2). Potwierdza to w mojej ocenie w pełni poczynione wyżej spostrzeżenia.

[266] *Ibidem*. Według T. Jurgi, *Wojna obronna Polski...,* s. 165, na podstawie opracowania z 1938 roku, generalny inspektor wydał szefowi sztabu w drugiej połowie lutego 1939 roku „wytyczne dotyczące ogólnego podziału sił i zadań poszczególnych armii do szczegółowego opracowania sztabowego".

(bo przecież nieodnotowywanych w dokumentach) wariantów przyporządkowania wielkich jednostek poszczególnym armiom, które do tego nie zostały jeszcze powołane. A później, właściwie z dnia na dzień (bo odprawy dla inspektorów armii odbywały się 22 i 23 marca), pojawił się wariant ostateczny i dość szczegółowe zadania dla armii, a tempo z ospałego (w świetle zapisek Mareckiego) przeistoczyło się w ekspresowe. Trudno jednak w to uwierzyć. Albo zatem jakaś część notatek się nie zachowała, albo, co bardziej prawdopodobne, na wczesnym etapie swoich prac ich autor ciągle dbał o zachowanie najdalej idącej poufności.

Trudno też uwierzyć – jak wskazałem wyżej – w to, że informacje o treści rozmowy berlińskiej i „żądaniach niemieckich" dotarły do Warszawy tak szybko i tak szybko zostały przetworzone na decyzje władz państwowych, a w ślad za tym decyzje dowództwa polskiej armii, że jeszcze tego samego i następnego dnia przygotowano zmienione „w znacznym stopniu" założenia planu, a co więcej, zarządzono i rozpoczęto mobilizację alarmową.

Powraca jednak znowu pytanie: dlaczego, skoro prace sztabowe były prowadzone wcześniej, najważniejsze, zaangażowane w nie osoby nie ujawniły ich treści i przebiegu i uparcie twierdziły, że tak naprawdę zasadnicze prace rozpoczęto po 21 marca?

Jaki w związku z tym charakter miały działania sztabu przed 21 marca i dlaczego nie pozostał po nich niemal żaden ślad, a spowija je swoista zasłona milczenia?

Czy w końcu wierzyć mamy w to, że przynajmniej przez kilka tygodni grupa najważniejszych generałów Generalnego Inspektoratu oraz oficerów operacyjnych Sztabu Głównego w sytuacji prawdopodobnego – jak mówiono później – zagrożenia wojennego zajmowała się rozważaniem tego, czy dywizje piechoty z Kowla bądź Stanisławowa ustawić pod Mławą czy pod Rawiczem, nie posiadając przy tym jakiegoś poważniejszego zamysłu operacyjnego?

Jest wreszcie ciekawe to, że nie wiemy właściwie nic na temat tego, jaka koncepcja Śmigłego-Rydza stanowiła podstawę prac prowadzonych w obydwu, tak wyraźnie określonych i rozgraniczonych przez gen. Stachiewicza okresach. Co do pierwszego okresu, a więc do 21 marca, jak już to wskazałem, nie dysponujemy właściwie żadnymi danymi. Co do okresu późniejszego, także zdani jesteśmy jednak na domysły. Zarys owego wtórnego („znacznie" zmienionego) konceptu odczytać możemy w zachowanych,

wspomnianych wytycznych dla poszczególnych armii, powstałych (?) w dniach 21–23 marca oraz w wytycznych marszałka dla gen. Kasprzyckiego z początków maja. Logicznie rozumując, musiały one być znacząco różne od tych założeń i wytycznych, które powstawały przed połową marca 1939 roku (a więc zapoczątkowanych jeszcze w styczniu 1939 roku).

Aby spróbować rozwikłać ten problem, warto zwrócić uwagę na to, co w zapiskach ppłka Mareckiego jest chyba najważniejsze. Jakkolwiek tajemniczo i lakonicznie, odnotowuje on jednak w początku marca 1939 roku istnienie przynajmniej czterech wariantów zadań dla armii. Na tym bowiem etapie ewidentnie dzielono wielkie jednostki w hipotetycznych wariantach rozwoju wydarzeń, a więc wykonywano już bardzo zaawansowaną pracę sztabową wraz z ewentualnymi modyfikacjami systemu mobilizacyjnego, co było przedsięwzięciem o wielkiej doniosłości.

Nie ma żadnego logicznego uzasadnienia dla przyjęcia tezy, że w tym momencie istniały aż cztery warianty prowadzenia wyłącznie wojny obronnej z Niemcami. Co ciekawe, wejście do gry czwartego wariantu (IIIa) 14 marca mogłoby sugerować, iż było to działanie ściśle związane z uzyskaniem przez wywiad wojskowy informacji o planowanej niemieckiej akcji w Czechosłowacji i na Litwie. Mogłoby to oznaczać, że dotychczasowy wariant III, obejmujący zapewne działania w Gdańsku i w Prusach Wschodnich, otrzymał dodatkowe rozwinięcie uwzględniające możliwość działania na obszarze litewskim. Pozostawałoby to w logicznym związku z dynamicznie rozwijającą się sytuacją polityczną[267].

[267] W przywołanych wspomnieniach ppłka Mareckiego, opracowanych przez A. Grzywacza, odnajdujemy informację, że owe trzy warianty wyjściowe (a więc przed pojawieniem się wariantu 3a) polegały na: 1. natychmiastowej (prewencyjnej?) ofensywie polskiej na teren Prus Wschodnich (tu jako podstawy działania przewidywano obszar suwalski na wschodzie oraz rejon Grudziądza na zachodzie), 2. obronie z punktem ciężkości w okolicach Kutna (a więc powtórzenie wcześniejszych studiów z ograniczonym znaczeniem obszaru śląskiego) oraz 3. obronie wedle zasad ostatecznie przyjętych (wg Mareckiego) w kampanii wrześniowej. Przekaz ten jednak sprawia wrażenie skonstruowanego *ex post*, pod potrzeby zachowanej, choć niedającej się jednoznacznie zinterpretować dokumentacji sztabowej. Przyjmując jednak, że wariant drugi w tej wersji był także w istocie wariantem ofensywnym (bo przewidywał gwałtowne przeciwdziałanie polskie na obszar Prus Wschodnich, Śląska oraz Pomorza Środkowego (z Wielkopolski), nie odbiega to od moich wcześniejszych uwag. Być może Marecki relacjonował (z takich czy innych względów) stan już po wyeliminowaniu wariantu działania na Słowacji. Wskazać również trzeba, że w rzeczywistości jego sygnalizowany ogólnie wariant 2 stanowił podstawę rozwinięcia wariantu 3 (był z nim w istocie tożsamy, z tym że „wędrował" w nim odwód główny na południe), więc niewykluczone, że w ten sposób ppłk Marecki „przykrył" i wariant słowacki, i ewentualny zamiar litewski (o którym wprost mówił np. misji sztabu angielskiego w Warszawie gen. Stachiewicz). Wariant ten musiał być zatem opracowywany, skoro testowano go w rozmowach sztabowych z sojusznikiem.

Istnienie czterech wariantów ewentualnie planowanych działań strony polskiej zostało zdezaktualizowane rozwojem sytuacji na Słowacji i efektami rozmowy Lipskiego z Ribbentropem. Tu, w mojej ocenie, należy szukać też odnotowanej przez Stachiewicza radykalnej zmiany w kierunkach pracy sztabu (*Zmiana wytycznych marszałka z lutego w znacznym stopniu*). Od tej pory prace sztabu koncentrowały się już wyłącznie na przygotowaniu konfrontacji generalnej z Niemcami. Pomijano zatem wariant udziału w jakiejś akcji na Słowacji oraz ograniczony wariant gdańsko-pruskowschodni, z dodatkiem litewskiego. Pośrednio dowodzi tego fakt przygotowywania na nowo, w alarmowym trybie w sierpniu 1939 roku, wariantu gdańskiego z wydzieleniem Korpusu Interwencyjnego. Te prace nie nawiązywały do żadnej z dotychczasowych koncepcji-wariantu i w sposób oczywisty był całkowitą improwizacją po stronie polskiej[268].

Powyższe nie oznaczało jednak dokonania w tym momencie ostatecznego wyboru, czy konfrontacja z Niemcami odbędzie się w warunkach wyłącznego przyjęcia ich ewentualnego, pierwszego uderzenia, czy też strona polska nie zrezygnuje z wyprzedzającego uderzenia własnego i wyzyskania przewagi położenia strony atakującej. Tu dotykamy istoty kolejnego problemu – wyraźnej cezury w pracach polskiego sztabu przypadającej mniej więcej na okres maj–czerwiec, a może nawet lipiec 1939 roku.

Otóż nie ulega wątpliwości, że przyjęte ok. 20–22 marca ostateczne wytyczne do pracy Sztabu Głównego oraz sztabów powołanych armii, przekazane inspektorom armii na indywidualnie przeprowadzanych 22 i 23 marca 1939 roku naradach, oparte były na założeniu uderzenia wyprzedzającego, a następnie przerodziły się w krótkotrwałe założenie obronne wraz z szybkim przejściem do działania ofensywnego[269]. Niezależnie od tworzonych po wojnie przekazów i interpretacji, nie da się

[268] Podkreślić należy, że wszystkie dotychczasowe koncepcje polskie dotyczące jakichkolwiek działań ofensywnych na północy, zawsze w zachodnim obszarze tego odcinka, jako podstawę wyjściową przyjmowały okolice Grudziądza i Brodnicy. Polski atak miał być wyprowadzony po prawym brzegu Wisły w okolice Elbląga tak, aby pod osłoną Wisły dojść do Wolnego Miasta i ostatecznie zabezpieczyć od zachodu ewentualność jakiejkolwiek pomocy dla Prus Wschodnich ze strony niemieckiego Pomorza. Tak też sformułowano zadania dla armii „Toruń" i stąd też gen. Bortnowski z całym naciskiem podkreślał, że ciężar jego ugrupowania jest po wschodniej stronie Wisły. Wariant z Korpusem Interwencyjnym stanowił odejście od tej zawsze obecnej we wszystkich polskich planach zasady i lokalizował podstawę jego działania na zachodnim brzegu Wisły, do tego w całkowitym oderwaniu od ugrupowania głównego. Kompletna improwizacja przyjęta przy okazji przygotowywania tej koncepcji musiała doprowadzić do tragedii ugrupowania w pierwszych dniach wojny.

[269] Wykazuję to dalej, wskazując na powierzone poszczególnym armiom zadania.

w żaden sposób obronić teza, że zarówno podstawy planu, jak i przede wszystkim, będące ich wyrazem, ustawienie wyjściowe wojsk polskich, było wyrazem założenia prowadzenia wojny ściśle i wyłącznie obronnej. Dowodzi tego niezliczona ilość faktów.

Przede wszystkim wskazać tu należy na dwa, fundamentalne dla prawidłowej oceny interesującej nas kwestii, elementy. W pierwszym rzędzie chodzi tu o swoistą mitologię wokół pojęcia tzw. głównej pozycji obronnej. W drugim przypadku mówimy o związanym z tym pojęciem, sygnalizowanym już swoistym *exodusem* lokalizacyjnym Odwodu Głównego Naczelnego Wodza, zmaterializowanego w postaci Armii Odwodowej czy inaczej armii „Prusy", dowodzonej przez wspominanego gen. Dęba-Biernackiego.

W pisanych po wojnie wspomnieniach i analizach, bazujących przede wszystkim na przekazie gen. Stachiewicza oraz autorów *Polskich Sił Zbrojnych* podkreśla się, że podstawowym założeniem polskiego planu, który miał charakter obronny, było przyjęcie jako głównej pozycji obronnej linii wyznaczonej przez wypust suwalski, rzeki Biebrzę, Narew, Wisłę do Bydgoszczy, następnie linię jezior inowrocławskich, rzeki Wartę i Widawkę, rejon Częstochowy wraz z obszarem górnośląskim do Bielska, a stamtąd poprzez Pogórze Karpackie aż do granicy z Węgrami[270]. To, wedle założeń zawartych w relacji gen. Stachiewicza[271], właśnie ta linia miała stanowić fundament polskiej obrony[272].

Przeanalizujmy ten problem bardziej szczegółowo. Załóżmy wyjściowo, że w tym zakresie przekaz szefa sztabu jest prawdziwy i nie powstał *ex post*. Długość opisanej wyżej linii obronnej wynosiła ok. 1100 km. Było to bardzo dużo, jednakże o wiele mniej niż wynosiła cała linia granicy Polski z Niemcami i Słowacją (łącznie w granicach 2400 km). Do tego, zważywszy na wielkie nasycenie tej linii dogodnymi dla potrzeb prowadzenia obrony przeszkodami naturalnymi w postaci długich odcinków rzek czy gór (nawet w warunkach panującej w lecie 1939 roku suszy, skutkującej drastycznym obniżeniem poziomu rzek), dawało to niezłe perspektywy utrzymania tak wykreślonej pozycji siłami, którymi dysponowała

[270] T. Jurga, *op.cit.,* s. 167.

[271] W. Stachiewicz, *Wierności...,* s. 388–391.

[272] Ponadto, wedle autorów *PSZ*, celem tego planu była obrona strategicznie ważnych obszarów, przy zadaniu Niemcom jak największych strat, wykorzystanie odwodów do wykonania przeciwuderzeń zanim działania podejmą sprzymierzeni oraz po tym wystąpieniu podjęcie działań adekwatnych do powstałej sytuacji. *PSZ,* t. 1, cz. 1, s. 273.

polska armia. Blisko 50 wielkich jednostek dawało stosunkowo dobre nasycenie linii obronnej, a warunki terenowe neutralizowały znacząco niemiecką przewagę techniczną na lądzie.

Główna pozycja obronna nie była z pewnością Linią Maginota, ale i tak mogła stanowić dla wojsk niemieckich nieprzekraczalną barierę. Właściwie jedynym słabym punktem na tej linii był obszar częstochowski, pozbawiony poważniejszych przeszkód naturalnych (choć tereny Jury Krakowsko-Częstochowskiej także nie były wcale łatwe do sforsowania), poprzez który Niemcy mogli wyprowadzić uderzenie na Warszawę, a jednocześnie zamknąć w zachodniej części kraju gros sił polskich. Znaczenie tego rejonu wzrosło radykalnie, wskutek pojawienia się dla strony niemieckiej pełnej swobody wykorzystania dla swoich działań zaczepnych wspominanego już klina śląskiego.

Przyjmując zatem prawdziwość takiego założenia planistycznego, powinniśmy się spodziewać przede wszystkim tego, że właśnie na tej linii obrony znajdzie się zdecydowana większość sił polskich oraz że w sposób szczególny zostanie zabezpieczony wzmocnionymi siłami obszar na północ i na południe od Częstochowy. Przed tą linią pozostałyby głównie polskie brygady kawalerii, których celem byłoby, z jednej strony precyzyjne rozpoznanie sił i kierunków działania wojsk niemieckich oraz podejmowanie wszelkich prób maksymalnego opóźniania Niemców w ich marszach do pozycji głównej. Czas wywalczony przez ruchliwe jednostki kawalerii był potrzebny, aby ukończyć mobilizację wszystkich odwodów. Walorem takiego rozwiązania było także i to, że właśnie tylko te jednostki, a więc brygady kawalerii, były w stanie dotrzymać tempa niemieckim siłom szybkim w odchodzeniu do głównej pozycji obronnej.

O tym, że polskie brygady kawalerii były zdolne do skutecznego wykonania tych zadań, dowodzi choćby tylko bój Wołyńskiej Brygady Kawalerii pod Mokrą i jej, mimo poniesionych znacznych strat, skuteczne oderwanie się od przeciwnika. Przeciwnika, którego, mimo przytłaczającej przewagi, polska brygada potrafiła nie tylko poważnie spowolnić na głównym kierunku działania[273], ale i zadać mu poważne straty.

[273] Warto w tym miejscu podkreślić, wbrew wielu bezmyślnie upowszechnianym do dziś sądom, wręcz wykpiwającym ten rodzaj polskiej broni w 1939 roku, że polska brygada kawalerii była w istocie wielce wartościową i wysoce manewrową jednostką piechoty. Brygada kawalerii tylko wyjątkowo była przewidywana do walki konnej. Konie służyły przede wszystkim do szybkiego przemieszczania się wojska, które co do zasady walczyć miało jako spieszone. W warunkach terenowych panujących na ziemiach polskich, przy ciągle niewielkiej ilości dogodnych

Każdy sztabowiec, każdy dowódca, który traktowałby poważnie przyjęte założenie planistyczne oraz uznawałby kluczowe znaczenie głównej pozycji obronnej, musiałby, z całą pewnością, planując wyłącznie kampanię obronną, skoncentrować swoje jednostki w taki właśnie jak opisany wyżej sposób. Jak natomiast postąpił marszałek Śmigły? Na głównej pozycji obronnej znalazły się w praktyce jedynie ograniczone siły polskie. Przeanalizujmy to ważne zagadnienie.

Jedynym związkiem operacyjnym, który właściwie w całości pozostawał na głównej pozycji obronnej, była mająca marginalne znaczenie w działaniach defensywnych[274] SGO „Narew" (Suwalska i Podlaska Brygada Kawalerii (BK) oraz 18 i 33 Dywizje Piechoty (DP).

W przypadku armii „Modlin", wszystkie jej wielkie jednostki były oddalone od tej pozycji o kilkadziesiąt kilometrów (8 i 20 DP oraz Nowogródzka i Mazowiecka BK).

Z armii „Toruń" tylko 15 DP obsadzała obszar, który można uznać od biedy za odpowiadający pozycji głównej. 4 i 16 DP na prawym brzegu Wisły oraz 9 i 27 DP wraz z Pomorską BK na lewym brzegu Wisły, oddalone były od pozycji głównej odpowiednio kilkadziesiąt i ponad sto kilometrów.

Z armii „Poznań" wszystkie jednostki oddalone były po kilkadziesiąt kilometrów od głównej pozycji obronnej. Dotyczy to 14, 17, 25 i 26 DP oraz Wielkopolskiej i Podolskiej BK.

Na kluczowym fragmencie frontu, z oddziałów armii „Łódź", na pozycji tej znalazły się dwie wielkie jednostki – 10 DP oraz Kresowa BK. Pozostałe – 2, 28 i 30 DP oraz wspomniana Wołyńska BK – były również oddalone o kilkadziesiąt i ponad sto kilometrów od pozycji głównej.

Wreszcie, w przypadku armii „Kraków", w zasadzie wszystkie jednostki można uznać za zlokalizowane w pobliżu głównej pozycji (6, 7, 21, 23 i 35 DP oraz Krakowska BK i 10 Brygada Kawalerii Zmotoryzowanej).

Sumując, z 33 wielkich jednostek zmobilizowanych i rozlokowanych przed 1 września 1939 roku, aż 19 z nich było wysuniętych o przynajmniej kilkadziesiąt kilometrów, a w niektórych sytuacjach ponad sto kilometrów,

połączeń drogowych, odpornych na warunki atmosferyczne, taka forma organizacji wojska nie była żadnym anachronizmem. Jak dowiodły działania wojenne 1939 roku, polskie brygady kawalerii w zdecydowanej większości zdały dobrze egzamin. Były mobilne, szybkie, nadążały za przeciwnikiem, stawiały mu skuteczny opór. Ich jedynym mankamentem było niewystarczające w starciu z armią niemiecką nasycenie bronią artyleryjską i przeciwpancerną.

274 Warunki terenowe na odcinku SGO „Narew" powodowały, że oczekiwanie na tym kierunku jakiejkolwiek ofensywnej aktywności niemieckiej było właściwie wykluczone.

przed główną pozycję obronną. Z tych 19 wielkich jednostek, aż 15 było – na tle niemieckich jednostek szybkich – mało mobilnymi dywizjami piechoty. Z pozostałych 14 wielkich jednostek znajdujących się na tej pozycji, aż 11 znajdowało się na tej pozycji na skrajnych skrzydłach polskiego ugrupowania. Można zaryzykować twierdzenie, że było tak tylko dlatego, że na tych odcinkach, z uwagi na bliskość granicy, po prostu nie było już miejsca, aby wysunąć je jeszcze dalej.

Nie ma żadnego racjonalnego wytłumaczenia, dlaczego tak się stało, ale tylko jeśli przyjmujemy, że ustawienie jednostek polskich we wrześniu 1939 roku miało być realizacją założonego planu obronnego. Oczywiście, w realiach kampanii wrześniowej takie usytuowanie jednostek spowodowało to, że w pierwszych jej dniach opór sił polskich nie pozwolił Niemcom na istotne postępy. Ba, doprowadził nawet do dość zasadniczej rewizji ich wyjściowych planów.

Jednak po stawieniu tego początkowo wielkiego oporu większość polskich jednostek nie była już w stanie dotrzeć na zaplanowaną główną pozycję obronną. Osłabione w ciężkich walkach, wymęczone w długich i forsownych marszach odwrotowych nie były w stanie nadążyć za siłami niemieckimi. Na polskiej głównej pozycji obronnej Niemcy nie zastali właściwie żadnych, zdolnych do stawienia im skutecznego oporu sił polskich i mogli bez większych przeszkód kontynuować swoje działania. Z tego punktu widzenia można stwierdzić, że przyjęte nawet nie tyle założenie, ile sposób jego realizacji, okazało się kompletnym fiaskiem.

Uzasadnieniem i tak przecież solidnie wysuniętej linii głównej pozycji obronnej była – według gen. Stachiewicza – przede wszystkim chęć jak najdłuższego posiadania obszarów Wielkopolski i Śląska, których znaczenie dla utrzymania ekonomicznej kondycji państwa było kluczowe. Ponadto utrzymanie Wielkopolski miało mieć zasadniczy wpływ na rozdzielenie wojsk niemieckich, w którym widziano wielkie szanse dla polskich kontruderzeń. Nie ulega żadnej wątpliwości, że ta dość naiwna argumentacja została również skonstruowana *ex post*[275].

Rzecz jasna, i Górny Śląsk, i Wielkopolska stanowiły najbardziej rozwinięte gospodarczo rejony Polski, dysponowały również szerokim zapleczem mobilizacyjnym i bogatą infrastrukturą. Jednak próba sugerowania, że w warunkach rozpoczętej wojny z Niemcami, do tego wojny z założenia obronnej, będą istniały jakiekolwiek możliwości takiego

[275] W. Stachiewicz, *Wierności...*, s. 388.

wykorzystania potencjału tych obszarów, aby miało to wpływ na funkcjonowanie gospodarki wojennej Polski, razi naiwnością. Nie było żadnych szans, aby jakakolwiek ówczesna armia europejska nie tylko była w stanie zapewnić obronę tak wysuniętych obszarów, ale jeszcze do tego zagwarantować, w warunkach ewentualnie skutecznej obrony, funkcjonowanie gospodarki tych rejonów w sposób powiązany z ekonomiką kraju.

Innymi słowy, gen. Stachiewicz każe nam wierzyć, że istniały w założonym planie strategicznym możliwości obrony Górnego Śląska przy pomocy dwóch dywizji piechoty i skromnych fortyfikacji, a do tego normalnej nieprzerwanej pracy śląskich kopalni i śląskich hut, wywożenie węgla i stali do fabryk w COP-ie mimo niemieckiej przewagi w powietrzu, wreszcie spokojne funkcjonowanie polskiego aparatu mobilizacyjnego na tym obszarze. Naprawdę trudno przyjąć tę argumentację, i dziwi jedynie, że jest ona na poważnie powtarzana w niezliczonych publikacjach dotyczących interesującego nas zagadnienia.

Także siły polskie zgromadzone w Wielkopolsce nie były w stanie zapewnić realizacji podobnych celów. Bardziej wiarygodnie brzmi argument dotyczący konieczności zapewnienia, poprzez obecność wysuniętych polskich sił w Wielkopolsce, korzystnego dla naszych planów rozdzielenia wojsk niemieckich na Pomorzu i na Śląsku. Tyle tylko, że dla efektywnego wykorzystania tej sytuacji siły zgromadzone w Wielkopolsce w warunkach kampanii 1939 roku były po prostu zbyt małe. Poza tym, jaki sens miało owo rozdzielenie przy założeniu prowadzenia wojny o wyłącznie defensywnym charakterze?

Tu dotykamy drugiego z zasygnalizowanych problemów. Otóż w pierwotnych założeniach planowania zachodniego siły zgromadzone w Wielkopolsce, właśnie po to, aby uefektywnić ich pozycję, miały być wspierane przez Odwód Główny Naczelnego Wodza. Dlatego tenże odwód miał zostać skoncentrowany w okolicach Kutna. Tym samym siły wielkopolskie, wsparte potężnym odwodem, były w stanie nie tylko podważyć ewentualne działanie niemieckie z Pomorza, wesprzeć polskie jednostki broniące linii Wisły przed wojskami niemieckimi działającymi z Prus Wschodnich, ale również uniemożliwić ewentualne działania niemieckie z obszaru śląskiego, grożąc ich odkrytemu północnemu skrzydłu potężnym kontruderzeniem. I tak owo pierwotnie, podstawowe założenie utrzymywano właściwie do końca 1938 roku.

Z początkiem 1939 roku rozpoczęto jednak sukcesywne przesuwanie lokalizacji odwodu w kierunku południowym[276]. Była to oczywista konsekwencja zmiany sytuacji na obszarze czeskim, która otworzyła Niemcom możliwość właściwie nieskrępowanego wykorzystania Dolnego Śląska do działania przeciw Polsce. Odtąd południowy odcinek polskiej obrony (?) był systematycznie wzmacniany, a również Odwód Główny reorientowany był na działanie na tym obszarze.

W wytycznych marszałka z marca 1939 roku widzimy pierwsze przesunięcie rejonu koncentracji Odwodu Głównego z pierwotnie zakładanego obszaru Kutno–Warszawa na obszar Warszawa–Tomaszów Mazowiecki[277].

W czerwcu–lipcu 1939 roku nastąpiło kolejne przesunięcie rejonu koncentracji na południe, na obszar Tomaszów Mazowiecki–Kielce–Radom[278].

Wreszcie, już w sierpniu 1939 roku, zapadła decyzja, aby koncentrować odwód jeszcze bardziej na południe od wskazanego obszaru[279]. Jakkolwiek decyzja ta nie została wprowadzona w życie, to niestety, wdrażanie jej do wybuchu wojny spowodowało niemało kolejnych komplikacji związanych ze sformowaniem odwodu.

Odsuwanie rejonu koncentracji Odwodu Głównego coraz bardziej na południe obiektywnie osłabiało znaczenie pozycji wielkopolskiej. W istocie, wobec słabości zgromadzonych tam sił, zakładane ich wykorzystanie stawało się już właściwie całkowicie iluzoryczne. Tym bardziej zaś lokowanie ich jeszcze dalej od głównej pozycji obronnej. Zaś swoista wędrówka Odwodu Głównego świadczy o ewolucji podejścia generalnego inspektora i jego sztabowców do zasadniczych celów wojskowych.

Można wręcz stwierdzić, że im bardziej na południe przesuwany był rejon koncentracji odwodu, tym bardziej defensywny charakter przybierały prace polskiego sztabu. Jeszcze zatem w marcu ciągle zakładano, że ostatecznie rozstrzygający charakter w konfrontacji z Niemcami będą miały ofensywne działania podjęte z Wielkopolski w kierunku śląskim i/lub pomorskim, a Odwód Główny miał te działania przede wszystkim dla armii „Toruń" i „Modlin" oraz SGO „Narew" wesprzeć. Przesunięcia odwodu na południe dowodziły, że polscy sztabowcy dążą do wzmocnienia krytycznego punktu polskiej pozycji – obszaru częstochowskiego – oraz

[276] W. Stachiewicz, *Wierności...*, s. 396–397.

[277] T. Jurga, *Wojna obronna...*, s. 170.

[278] *Ibidem*, s. 177.

[279] *Ibidem*.

coraz wyraźniej rysującego się *pivota* armii krakowskiej. Odwód miał mieć wprawdzie ciągle wybitnie ofensywne nastawienie, ale swoją decydującą bitwę miał już stoczyć nie na ziemiach niemieckich, ale na ziemiach polskich.

Można założyć, że powstała wtedy nowa idea w polskim sztabie. Dostrzegając w czerwcu–lipcu rosnącą koncentrację uwagi niemieckiej na obszarze śląskim, zakładano – słusznie – że główny ciężar uderzenia niemieckiego wyjdzie z tego rejonu. Wydaje się, że powstał wtedy zamysł wciągnięcia Niemców w zastawioną pułapkę. Osłabiony maksymalnie styk armii „Łódź" i „Kraków" stanowił swoiste zaproszenie dla głównych sił niemieckich, aby kierowały się one tędy na Warszawę. Na rozpędzonych Niemców miało spaść od południa uderzenie potężnego odwodu, wspartego od północy działaniem armii łódzkiej. Ten drugi „cud nad Wisłą" miał otworzyć pozostałym siłom polskim drogę już bezpośrednio na teren niemiecki. To dlatego Śmigły-Rydz, wzorem Piłsudskiego, od początku planował, iż osobiście będzie prowadzić owo rozstrzygające uderzenie Armii Odwodowej[280].

Wskazać należy, że właśnie taki kierunek myślenia obecny był w przyjętym właściwie równocześnie planie „W"[281]. Tam, z uwagi na obiektywne uwarunkowania geograficzne, przyjęto warianty wprowadzenia, w ewentualnym konflikcie z Sowietami, atakujących ich wojsk w dwie pułapki. Kluczowym elementem sytuacji była rzeka Prypeć z jej bagnistym dorzeczem, dzieląca cały obszar operacyjny na dwie części. Ta geograficzna determinanta zbliżała sytuacje na froncie zachodnim (występ wielkopolski) i na froncie wschodnim (rzeka i dorzecze Prypeci). Z drugiej strony pozostawały, wskutek braku przeszkód terenowych, niemal całkowicie otwarte „korytarze" w bliskim sąsiedztwie północnym i południowym tego obszaru dorzecza Prypeci.

W północnej części frontu polskie ustawienie wyjściowe zostało zaplanowane w taki sposób, by ukierunkować marsz Sowietów „korytarzem"

[280] Tu też należy doszukiwać się z jednej strony wspominanych, bardzo częstych kontaktów marszałka Śmigłego-Rydza z gen. Dębem-Biernackim w miesiącach poprzedzających wybuch wojny. Z drugiej strony widać wyraźnie, że klęska armii „Prusy" spowodowała u polskiego Naczelnego Wodza nie tylko załamanie się wizji dalszego prowadzenia wojny, ale również niemały wstrząs psychiczny skutkujący fatalną decyzją opuszczenia Warszawy, a w praktyce zrezygnowania z efektywnego kierowania działaniami podległych sobie sił zbrojnych.

[281] Zob. szerzej na temat ogólnych myśli tych przygotowań: R. Szubański, *Plan operacyjny „Wschód"*, Warszawa 1993, s. 59–63.

wychodzącym od granicy polsko-sowieckiej wprost na linię Grodno–Białystok. Tam zgromadzony miał być w okolicach Grodna odwód armii rezerwowej „Lida". Siły tej armii, wraz z atakującymi od północy siłami armii „Baranowicze" (opóźniającej marsz sowiecki w tym korytarzu) i ewentualnie w miarę możliwości armii „Wilno", miały osaczyć siły sowieckie, odciąć je od wschodu od własnego zaplecza, zepchnąć na poleskie mokradła i tam zniszczyć[282].

Na południowym odcinku zaplanowano lustrzane odbicie tej operacji. Tu, poprzez korytarz wołyński, wojska sowieckie miały zostać skierowane w okolice na południe od Lwowa. Stamtąd armia rezerwowa „Lwów" wspierana od południa przez armię „Wołyń" oraz ewentualnie przez SGO „Polesie" miały wykonać podobne operacje jak po północnej stronie Prypeci[283].

Należy podkreślić, że założenia mobilizacyjne, przygotowane dla planu „W", zakładały, że armie odwodowe uzyskają pełną zdolność działania mniej więcej w szóstym dniu wojny. Przyjmowano więc, iż przy maksymalnym tempie marszu Sowietów w granicach 30 kilometrów dziennie, zmobilizowane wcześniej siły armii osłonowych zapewnią komfort mobilizacji i przygotowania kontruderzenia.

Kluczowe znaczenie miała mieć operacja na północ od Prypeci, bowiem obszar na południe, z uwagi na lepsze warunki terenowe, miał – jak zakładano – wytrzymać dłużej pierwotny napór sowiecki. Natomiast na północnym obszarze operacyjnym kluczowa rola przypaść miała w koordynacji całego zamierzenia osobiście marszałkowi Śmigłemu-Rydzowi i dowódcy armii „Wilno" gen. Dębowi-Biernackiemu.

Dodatkowo podkreślić należy w tym miejscu, że marszałek Śmigły-Rydz i gen. Dąb-Biernacki mieli praktyczne doświadczenie w realizacji podobnych założeń operacyjnych z okresu wojny 1920 roku. Wtedy, najpierw w ramach bitwy warszawskiej, kluczowe kontruderzenie znad Wieprza wykonywał – pod osobistą pieczą Naczelnego Wodza Józefa Piłsudskiego – Front Środkowy, dowodzony przez gen. Śmigłego-Rydza. W jego składzie bodaj najważniejsze zadanie przypadło 1 Dywizji Piechoty Legionów pod dowództwem płka Stefana Dęba-Biernackiego.

Następnie, podczas operacji niemeńskiej, kolejne kluczowe uderzenie wykonywała dowodzona przez gen. Śmigłego-Rydza 2 Armia. W jej składzie,

[282] *Ibidem,* s. 115–116.

[283] *Ibidem,* s. 113–115.

najważniejszy, rozstrzygający o powodzeniu operacji atak na Lidę, przeprowadzony został znowu przez 1 DP Legionów pod dowództwem płka Dęba-Biernackiego.

Znając powyższe uwarunkowania, czytelniejszy staje się plan polskich działań w 1939 roku. Zarówno doświadczenia roku 1920 jak i paralelnie przyjmowane rozwiązania operacyjne w sformalizowanym planie wschodnim, pokazują w sposób oczywisty drogę interpretacji nie tyle powojennych komentarzy o pracach planistycznych na Zachodzie, ile realnie podjętych decyzji, wyrażających się przede wszystkim w ustawieniu wojsk w ugrupowaniu wyjściowym.

Te dwa elementy dowodzą iluzoryczności pewnych koncepcji sformułowanych, jak sądzę, raczej po wojnie, a w czasie jej trwania pojawiających się w sposób improwizowany pod ciężarem prowadzonych działań. Tak widziałbym właśnie koncepcję głównej pozycji obronnej, która – dodatkowo – nie została, praktycznie na żadnym odcinku, przygotowana w jakikolwiek sposób do odparcia ataku. A przecież pół roku było aż nadto wystarczającym okresem do przygotowania minimalnie umocnionych pozycji na – rzekomo – głównej pozycji obronnej[284].

Niezależnie od uwag powyższych, wskazać można na jeszcze szereg kwestii drobniejszych, pokazujących przecież żelazną konsekwencję polskiego sztabu. Konsekwencję, której nie chcieli dostrzec powojenni komentatorzy i analitycy, doszukując się w pracy tego gremium jakichś niezrozumiałych posunięć.

Dla przykładu wskazać należy, że pojęcie tzw. ostatecznej linii obrony na Biebrzy–Narwi–Wiśle–Sanie ukształtowało się właściwie ok. 4–5 września, pod wpływem rozwoju wydarzeń na froncie. W żadnym razie nie było ono wynikiem wcześniej przyjętych założeń. Tak samo można oceniać powołanie Grupy Armii Warszawa oraz armii „Lublin", które miały osłaniać zarówno linię Wisły jak i Sanu. Improwizacja w tak ważnej kwestii dowodzi, że wcześniej żadne założenia obronne dla tych pozycji nie były przygotowywane. Także kolejne warianty obrony (pierwszy związany z utworzeniem frontów, wreszcie koncepcja „przedmościa rumuńskiego") powstawały

[284] Oczywiście nie chodzi tu o możliwość wzniesienia umocnień na wzór choćby fortyfikacji śląskich czy północnomazowieckich. Jednak nic nie stało na przeszkodzie, aby – zwłaszcza na najsłabszym odcinku w okolicach Częstochowy – w ciągu pół roku przygotować pozycje obronne na tyle silnie umocnione, że znacząco poprawiłoby to zdolności do utrzymania pozycji obronnych we wrześniu.

przecież w czasie przejazdów sztabowych kolumn transportowych i raczej dla uspokojenia własnego sumienia, a nie jako realizacja wcześniejszych, pogłębionych studiów, nad kolejnymi fazami obrony kraju i walki o czas.

Na tym tle rozważanie takich drobiazgów, jak brak dokładnych map sztabowych własnego terytorium, przy jednoczesnym posiadaniu dokładnych map terytorium przeciwnika, czy bezsensowne utrzymywanie przez wiele dni wartościowych jednostek na pozycjach wyjściowych, zamiast używania ich w walce i wsparciu bijących się dywizji, są tylko dodatkowym dowodem trwania w pierwotnych założeniach.

Tylko tak można tłumaczyć pozostawienie na głównym kierunku spodziewanego i rozpoznanego działania niemieckiego, gdzie skoncentrowanych zostało kilkanaście wielkich jednostek, w tym najbardziej wartościowe siły pancerne i siły szybkie, tylko osamotnionej 7 Dywizji Piechoty (wspieranej przez Krakowską Brygadę Kawalerii), z góry skazanej na rozjechanie przez Niemców. Tak się zresztą w praktyce stało, ale myliłby się ten, kto sądziłby, że ta słabość polskiej pozycji wynikała albo z kompletnego braku znajomości zamiarów i rejonów koncentracji niemieckiej, bądź jakiejś katastrofalnej głupoty polskich sztabowców.

Polskie rozpoznanie zamiarów i sił przeciwnika było praktycznie pełne[285], a polscy sztabowcy nie byli szaleńcami. Do tego mieli świadomość, że także Niemcy znają słabość polskiego ustawienia i będą chcieli to wykorzystać. Całkowicie potwierdza to tezę, że był to ze strony polskiej zabieg świadomy. Celem takiego ustawienia było stoczenie rozstrzygającej bitwy z głównymi siłami niemieckimi na wybranym przez siebie obszarze. Dokładnie na południe od Piotrkowa, przy założeniu użycia skoncentrowanych sił Armii Odwodowej i armii „Łódź".

To ta bitwa, stoczona – jak zakładano – na warunkach podyktowanych przez stronę polską, miała złamać główne zgrupowanie niemieckie, a w konsekwencji otworzyć możliwości działania, zwłaszcza armii „Poznań", przenosząc wojnę na terytorium niemieckie. To był, jak się zdaje, podstawowy zamiar Naczelnego Wodza, nad którym intensywnie pracowano przez pół roku. Zamiar istotnie zmodyfikowany w stosunku

[285] A. Woźny, *op.cit.*, s. 260 i nast. Autor wykazuje, że doniesienia polskiego wywiadu wojskowego dawały względnie pełny obraz niemieckiego O. de. B. oraz terminów i kierunków spodziewanych działań. Inna rzecz, że większość tych doniesień była po prostu bagatelizowana.

do pierwotnie zakładanej koncepcji jak najszybszego przeniesienia wojny na teren przeciwnika, w najbardziej dogodnych, wybranych kierunkach.

Nieracjonalne zaś z punktu widzenia potrzeb planu obronnego wysunięcie sił armii „Poznań", „Toruń" i „Modlin" daleko przed linię głównej pozycji obronnej jest zrozumiałe właśnie w tym kontekście. Po zwycięskim boju Armii Odwodowej i armii „Łódź", to one miały wykonać uderzenia na teren przeciwnika, realizując pierwotne zamierzenie Naczelnego Wodza. Dlatego pozostawiono je niedaleko granicy, bo stamtąd było najbliżej, by natychmiast razić wroga na jego terytorium.

Zarówno marszałek Śmigły-Rydz, jak i gen. Stachiewicz uświadomili sobie fakt, że nie będzie żadnych warunków do realizacji wariantu przejścia od obrony do skoncentrowanych kontruderzeń w celu przeniesienia walki na teren przeciwnika, zapewne dopiero 4–5 września, ale niewykluczone, że dopiero po klęsce Armii Odwodowej. To właśnie tłumaczy, dlaczego zmarnowanych zostało kilka kluczowych dni, podczas których czy to działania SGO „Narew" na rzecz armii „Modlin" czy armii „Poznań" na rzecz armii „Łódź", czy wreszcie aktywne działanie armii „Toruń" na dowolnym kierunku, mogły zasadniczo odmienić przebieg kampanii.

Tyle tylko, że – o czym będzie jeszcze mowa – te przykładowe działania nie mieściły się w założeniach przygotowanych w planach. Siły polskie miały uderzać na terytorium przeciwnika, a nie walczyć z nim na głębokich pozycjach wewnątrz kraju. Kiedy w sztabie zrozumiano, że wcześniejszych wariantów nie da się zrealizować, było już za późno na wykorzystanie świeżych jednostek do aktywnych i efektywnych działań na rzecz będących pod olbrzymią presją przeciwnika centralnych sił armii „Modlin" oraz armii „Łódź".

Wszystkie sformułowane wyżej uwagi dowodzą tego, że ustawienie wojsk polskich we wrześniu 1939 roku w żadnym razie nie było ustawieniem obronnym.

Szczególnie ważnym dowodem potwierdzającym powyższe spostrzeżenia jest przebieg i treść rozmów pomiędzy przedstawicielami sztabów polskiego i francuskiego oraz polskiego i angielskiego, w szczytowej fazie planowania wojennego.

Minister spraw wojskowych, gen. Kasprzycki, udając się na czele delegacji sztabowej na rozmowy z francuskim dowództwem wojskowym, otrzymał

instrukcje Śmigłego-Rydza[286]. Ujawniał on w nich Francuzom zarys polskiej koncepcji wojennej. Powstają pewne problemy z interpretacją przebiegu rokowań sztabowych w Paryżu. Logicznie należałoby przyjąć, że wytyczne udzielone przez generalnego inspektora były zasadniczo odmienne od lutowych dyspozycji przekazanych gen. Stachiewiczowi, skoro ten podkreślał, że po 21 marca zmieniły się one w „znacznym stopniu". Wydaje się też, że ze strony polskiej – skoro przygotowywała się, jak twierdzą autorzy wspomnień oraz historycy, do wojny obronnej – winno nastąpić wyraźne zaakcentowanie tej zmiany, bowiem do tej pory zawsze polskie założenia wojenne względem Niemiec były ofensywne. Takimi znali je Francuzi z niezliczonych spotkań formalnych i nieformalnych z polskimi sztabowcami od początku lat 20.

Otóż podstawowym przesłaniem, jakie miał rzekomo przekazać Francuzom gen. Kasprzycki, było podkreślenie, że polski plan wojny z Niemcami ma charakter defensywny[287]. Zachowane materiały dowodzą, iż marszałek przywiązywał szczególną wagę do zakomunikowania tego właśnie przekazu stronie francuskiej. Miało to jednak wyraźny kontekst polityczny. Chodziło w ówczesnej napiętej sytuacji międzynarodowej raczej o uspokojenie Francuzów, którzy obawiali się sprowokowania przez Polaków jakiejś nowej wersji wojny prewencyjnej.

Potwierdza to treść podpisanego w Paryżu protokołu. Wynika zeń jednoznacznie, że siły polskie miały działać defensywnie tylko w wypadku zaatakowania Polski przez Niemcy (co było raczej oczywiste), ale wyłącznie w pierwszej fazie wojny. W świetle wcześniejszych doświadczeń i relacji z Francuzami można odczytać tę właśnie stypulację jako wyraźną zapowiedź braku działań prewencyjnych ze strony polskiej i deklarację wyczekiwania na inicjatywę niemiecką.

W świetle wieloletnich doświadczeń była to oczywiście wielka zmiana polskiego podejścia, które zawsze charakteryzowało się dążeniem do działania prewencyjnego względem ewentualnego zagrożenia niemieckiego. Może zatem owa wielka zmiana nastawienia strony polskiej wyrażać się miała właśnie w tym aspekcie? Rzeczywiście, musiało tu bowiem chodzić o wielkiej wagi zmianę filozofii wojennej względem Niemiec. I tak rzeczywiście było, i to właśnie najlepiej tłumaczy także ów zwrot,

[286] *Instrukcja dla rozmów z francuskim Sztabem Generalnym* z 2 maja 1939 roku, [w:] W. Stachiewicz, W*iemości...*, s. 723–725.

[287] W. Stachiewicz, W*iemości...*, s. 723.

dokonany w marcu 1939 roku w polskim planowaniu, do którego właśnie podobnie wielką wagę (choć kamuflując to bałamutnymi argumentami) przywiązywał gen. Stachiewicz.

Wyprowadzanie jednak z przebiegu rozmów paryskich oraz podpisanego protokołu wniosku, że już w maju 1939 roku strona polska zadeklarowała prowadzenie z Niemcami wyłącznie wojny obronnej, nie wytrzymuje żadnej krytyki.

Wynika to *expresis verbis* z treści podpisanego 19 maja 1939 roku protokołu polsko-francuskiego. W pkt. II tego protokołu stwierdzono:

> *W* **pierwszej fazie wojny** *Polska zaangażuje całość swych sił w działaniach obronnych przeciwko Niemcom,* **przechodząc do działań ofensywnych gdy tylko okoliczności pozwolą**[288].

Tu dotykamy istoty, sposobu rozmieszczenia wojsk polskich we wrześniu 1939 roku. Jakkolwiek polskie dowództwo, zapewne z niemałym trudem, odeszło, pod wpływem kierunków rozwoju sytuacji międzynarodowej, od założenia ataku wyprzedzającego (prewencyjnego), jedynego dającego realne szanse sukcesu w tej wojnie, to nawet przyjmując wymuszony względami politycznymi wariant defensywny, traktowało go jako wyłącznie krótkotrwały i przejściowy. Tylko mając na względzie ten, fundamentalnej wagi *passus*, możemy zrozumieć istotny sens polskiego planu w 1939 roku. Nie był to plan wojny obronnej, był to plan wojny obronno-zaczepnej, z naciskiem na ten drugi człon. I zauważmy, że w treści tego ustalenia deklaracja o przejściu do działań ofensywnych jest właściwie całkowicie oderwana od jakiegokolwiek związku z ewentualnymi działaniami francuskimi (gdy tylko okoliczności pozwolą).

To dlatego więc wyimaginowana główna linia obronna pozostała prawie całkowicie nieobsadzona.

Dlatego też większość jednostek została wysunięta pod samą granicę. Tam miały one stoczyć bój spotkaniowy, powstrzymać atak niemiecki i przejść do zdecydowanej kontrofensywy.

To dlatego marszałek zabezpieczył skrzydła na pozycji obronnej, a w centrum wysunął nad granicę prawie wszystkie swoje siły. Po to, by być najbliżej terytorium wroga.

---

[288] *Protokół streszczający rozmowy przeprowadzone 15, 16 i 17 maja 1939 roku w Paryżu...*, [w:] W. Stachiewicz, *Wierności...*, s. 726–727.

To dlatego wojska polskie nie miały map swojego terytorium, ale doskonale orientowały się w terytorium niemieckim.

To dlatego polskie składy materiałowe, zaopatrujące wojsko, podsunięte zostały maksymalnie blisko do znajdujących się przy granicach wojsk. Tak blisko, że wystawiało to je na szybką utratę zasobów w warunkach niepowodzenia, co rzeczywiście się stało.

Dlatego nie przygotowano prawie żadnych wariantów ewakuacji urzędów, instytucji, przemysłu, ośrodków wojskowych etc. w głąb kraju, bo nie miały być ewakuowane.

Dlatego też polski sztab nie opracował żadnych wariantów wycofywania się poza główną pozycję obronną, dlatego odchodzenie poza nią odbywało się w warunkach kompletnego chaosu oraz całkowitej improwizacji ze strony sztabu Naczelnego Wodza oraz sztabów armii. Było tak, bowiem nie przewidywano takiej konieczności.

Dopiero późniejsza (zapewne dokonana w czerwcu–lipcu) chłodniejsza analiza sytuacji i mobilizacji niemieckiej oraz trzeźwiejsze spojrzenie na ewentualną pomoc aliantów spowodowały, że te założenia ulegały zmianie, choć przecież nie totalnej[289]. To zapewne w konsekwencji nowych przemyśleń i obserwacji powstał wcześniej nierozważany zamysł pułapki częstochowskiej, zrodziła się związana z tym koncepcja przesuwania odwodu na południe i stoczenia decydującej bitwy głębiej na terenie kraju.

Jednak w podstawowej swojej masie wojska pozostały na określonych wcześniej, pod kątem wyżej sformułowanych zadań, pozycjach[290]. Dopiero

[289] Jest charakterystyczne, że polski wywiad jeszcze w początkach 1939 roku szacował ewentualne niemieckie siły możliwe do zaangażowania przeciw Polsce na 51–52 wielkie jednostki (A. Woźny, *op.cit.*, s. 250). Kilka miesięcy później, u progu lata 1939 roku, te szacunki podniesiono już do 70–80 wielkich jednostek (T. Jurga, *op.cit.*, s. 166). Był to zatem skok radykalny, a w powiązaniu z okazanym w okresie kryzysu czechosłowackiego bardzo sprawnym systemem mobilizacyjnym oraz efektywnym systemem transportowym, musiało to znacząco wpływać na poglądy polskiego kierownictwa wojskowego. Wydaje się, że powyższe doniesienia wywiadu i oceny po kryzysie marcowym stanowiły niemałe zaskoczenie dla polskich sztabowców.

[290] Wyrazem pewnych zmian w sposobie myślenia polskiego było również to, że na przełomie czerwca i lipca wydano szereg dyspozycji, które można uznać za idące w kierunku wzmocnienia własnych pozycji obronnych. 15 czerwca wydano rozkaz do opracowania planu zniszczeń, a 24 czerwca rozkaz rozpoczęcia prac nad budową umocnień polowych, wreszcie w lipcu stworzono szerszy plan fortyfikacyjny (T. Jurga, *op.cit.*, s. 171–172). Ciśnie się na usta pytanie, czym zajmowały się przez trzy miesiące zarówno w pełni zmobilizowane i przerzucone ze wschodu dywizje piechoty stojące na pozycjach wyjściowych oraz dysponujące 2/3 składów pełnych dywizje wszystkich nadgranicznych okręgów korpusu. Wydaje się być logiczne, że skoro w marcu 1939 roku przeprowadzono mobilizację dla obrony kraju, to podstawowym

przyjęcie takiej tezy pozwala zrozumieć, dlaczego polski Sztab Główny przygotował taki wariant ustawienia naszych wojsk w obliczu niemieckiej agresji.

Warto w powyższym kontekście zwrócić uwagę na jeszcze jeden, jak sądzę, znamienny fakt. Powszechna opinia w Polsce roku 1939 głosiła pełne przekonanie, że jeśli dojdzie do wojny z Niemcami, to zakończy się ona bardzo szybko wkroczeniem wojsk polskich do Berlina. Działo się tak nie tylko na poziomie, stymulowanej skuteczną skądinąd propagandą obozu rządzącego, opinii tzw. przeciętnego obywatela. Niemal każdy polski wojskowy miał głębokie przekonanie, że ta wojna zakończy się – i to szybko – właśnie w Berlinie.

Polscy żołnierze i polscy sztabowcy w grach wojennych i hipotetycznych planach przez całe lata ćwiczyli zapamiętale warianty ofensywne. Taka też była polska doktryna wojenna. Zakładała tylko obronę wymuszoną, zawsze z celem jak najszybszego przejścia do kontrnatarcia. Takie nastawienie było oczywiste. Zarówno ukształtowanie polskich granic, jak i szczupłość środków, jakie można było skierować na tworzenie rozwiniętych systemów fortyfikacyjnych na miarę Linii Maginota czy choćby Linii Zygfryda, wreszcie brak możliwości prowadzenia obrony w oparciu o przeszkody naturalne, zmuszały do takiej właśnie filozofii.

Do tego dochodziły doświadczenia wojny 1920 roku, niezwykle silnie określające sposób myślenia polskich elit dowódczych. Jeszcze Piłsudski sformułował doktrynę wskazującą, że żołnierz polski nie potrafi bić się w obronie, również polscy dowódcy mają problemy ze skutecznym dowodzeniem w takich warunkach. Zupełnie przeciwstawne były doświadczenia z wszystkich kampanii ofensywnych wojny z bolszewikami. Dlatego uznawano, że armię trzeba budować i szkolić pod kątem takiego właśnie przygotowania.

Nie jest to żaden zarzut – to po prostu stwierdzenie faktu. Faktu zresztą charakterystycznego, właściwie dla każdej ówcześnie armii największych

zadaniem tych zmobilizowanych setek tysięcy żołnierzy powinno być przygotowywanie własnych pozycji obronnych. Trzy miesiące to szmat czasu, a więc na całej granicy powinny stać już w lecie niezbędne umocnienia do prowadzenia obrony. Tymczasem ani Sztab Główny, ani sztaby armii przez trzy miesiące nie robią nic, włącznie z planami zniszczeń, co już jest elementarzem obrony. Głupota? Oczywiście że nie. Do końca czerwca nikt tam nie myślał o obronie, więc tych prac nie prowadzono. To niezwykle silne potwierdzenie moich spostrzeżeń o charakterze planowania do końca czerwca 1939 roku.

państw europejskich, może poza armią francuską i kopiującą jej schemat działania armią czechosłowacką.

Przez cały okres międzywojenny, jak już wskazywałem, w odniesieniu do Niemiec obowiązywały koncepcje działań o wyłącznie ofensywnym charakterze. Obrony w jakiejkolwiek postaci, poza ogólnym *Studium NIEMCY*, po prostu nie przewidywano. Zresztą nawet we wspomnianym *Studium* jako ostateczny cel wskazywano jak najszybsze przejście od ewentualnej obrony do ataku, celem zniszczenia armii niemieckiej, a ostatecznie zajęcia („splantowania") Berlina.

Mając powyższe na uwadze, tym bardziej uprawnione wydaje się sformułowane wcześniej twierdzenie, że przynajmniej do 21 marca w polskim sztabie, niezależnie od analiz związanych z ewentualną akcją na Słowacji, rozpracowywano również jakiś zmodernizowany wariant wyprzedzającej akcji o charakterze zbliżonym do tzw. wojny prewencyjnej, którą w swoim czasie lansował Piłsudski. Przyjęcie takiego założenia w pracach polskiego sztabu do owego 21 marca rozstrzygałoby wiele istniejących niejasności i wątpliwości.

Jest jednak jeszcze jedna możliwość wytłumaczenia szczególnej tajemnicy polskich prac sztabowych. Wydaje się, że odpowiada ona najlepiej przebiegowi wydarzeń politycznych. Jeżeli przyjmiemy, że strona polska niecierpliwie oczekiwała na ostateczne rozwiązanie przez Niemców problemu czechosłowackiego, to polscy sztabowcy z całą pewnością prowadzili – przynajmniej od kryzysu monachijskiego – studia nad nową sytuacją na południowej granicy.

Wydaje się zatem, że wzmiankowana w wyżej wymienianych wspomnieniach i opracowaniach praca analityczna, rozpoczęta jeszcze w 1938 roku, odnosiła się do sytuacji pomonachijskiej. Wydaje się również, że z początkiem 1939 roku prace te mogły być związane z analizami sytuacji, w kontekście spodziewanego objęcia polskim protektoratem Słowacji. Można przyjąć, że do Sztabu Głównego dotarły wtedy od Śmigłego-Rydza informacje o spodziewanych w najbliższym okresie działaniach politycznych, których efektem będzie być może konieczność przeprowadzenia operacji na wzór akcji zaolziańskiej, tyle że tym razem na Słowacji.

Jeśli polskie przywództwo polityczne i wojskowe zaangażowane było na wiele miesięcy przed wydarzeniami marcowymi w praktyczne przygotowania do przejęcia kontroli nad Słowacją, to tym bardziej zrozumiały był szok, jakiego doznano w momencie, gdy Niemcy złamali swoje

zobowiązania względem Polski w odniesieniu do Słowacji. Zrozumiałe i oczywiste w tym kontekście staje się w konsekwencji gwałtowne przejście do nowego etapu prac sztabowych. Były to już jednak prace o zasadniczo odmiennym charakterze, co właśnie ogólnie odnotował po latach, kamuflując jednak istotę rzeczy, gen. Stachiewicz.

I w tym wypadku konieczne było późniejsze kamuflowanie prac dotyczących kierunku słowackiego. Z jednej strony, dosyć wąskie grono zorientowanych o sprawie piłsudczyków nie miało żadnego interesu, aby szerzej informować w zamierzeniu, które zakończyło się ich spektakularną klęską. Z drugiej strony, mieli oni również świadomość, że całe to przedsięwzięcie – w istocie rozbiór Słowacji – nie wystawiało im ogólnie biorąc pozytywnej opinii, więc solidarnie starali się je pokryć zasłoną szczelnego milczenia.

Nie jest moim celem charakteryzowanie dalszych, trwających aż do dnia wybuchu wojny, rzeczywiście intensywnych prac planistycznych polskiego sztabu. Chciałbym natomiast zatrzymać się nad kwestiami zasadniczymi, które opracowywane z dużym wysiłkiem założenia operacyjne czyniły praktycznie bezwartościowymi, już w momencie ich powstania.

Kwestią podstawową jest oczywiście przyjęcie założenia, że polski wysiłek obronny zostanie wsparty poczynaniami sojuszniczych armii francuskiej i angielskiej oraz – w konsekwencji – konstruowaniem ustawienia obronnego, pod przyszłe, określone w czasie, współdziałanie z sojusznikami. O tym, że takie założenie zostało przyjęte, świadczą relacje i wspomnienia czołowych postaci polskiego życia politycznego oraz wojskowego, na czele z cytowanym wielokrotnie szefem Sztabu Głównego gen. Stachiewiczem. To on wielokrotnie podkreślał przeświadczenie kierownictwa polityczno-wojskowego o rozstrzygającym dla jakichkolwiek polskich przedsięwzięć znaczeniu działań na Zachodzie.

Tu zatem pojawia się nowy problem. Rozmowy sztabowe polsko-francuskie były prowadzone w Paryżu w połowie maja 1939 roku. Jest zatem oczywiste, że nawet zmodyfikowane po 21 marca założenia operacyjne, sformułowane przez generalnego inspektora, musiały być w tym kontekście czystą hipotezą. Obowiązujące bowiem dotąd konwencje polsko-francuskie w nowych warunkach były zupełnie nieaktualne, z Anglią zaś żadnych porozumień nie było.

Czy zatem marszałek Śmigły-Rydz, prezentując swą wizję prowadzenia wojny przez Polskę w końcu marca 1939 roku, opierał ją wyłącznie na

samodzielnym polskim wysiłku, czy uwzględniał już jakieś wsparcie sojusznicze? Jeśli już w marcu planował swoje działania, zakładając współdziałanie francusko-angielskie, to jakimi dysponował realnymi przesłankami, aby poważnie uwzględniać je w swoich zamierzeniach? Czy zaproponowane i dyskutowane do końca maja 1939 roku z dowódcami armii założenia obronne były skonstruowane rzeczywiście pod kątem współdziałania z aliantami?

Nie ma żadnych dowodów na to, aby Śmigły-Rydz miał prawo do połowy maja 1939 roku uwzględniać w swoich planach dotyczących prowadzenia wojny jakiekolwiek, wynikające ze sformalizowanych umów, współdziałanie armii francuskiej. Nawet jeśli przyjąć nieformalne kontakty sztabowców obu stron czy współpracę kręgów wywiadowczych, z pewnością nie uprawniało to w żaden sposób do konstruowania planu wojny w oparciu o jakiekolwiek ustalenia.

Zatem jest w najwyższym stopniu oczywiste, że zasadnicze dyspozycje dla polskich dowódców armii, wydane 23 marca 1939 roku, żadną miarą nie mogły kłaść nacisku na to, że głównym celem prowadzonych przez nich działań ma być wytrwanie określonego czasu w obronie, tak aby doczekać działania sojuszników zachodnich.

Skądinąd wiadomo też, że również po wzmiankowanych rozmowach sztabowych nie odnotowano w polskich przygotowaniach operacyjnych właściwie żadnych zmian, które mogłyby być efektem choćby ustaleń poczynionych w protokole końcowym z tych rozmów. Wskazywałoby to zatem jednoznacznie, że jeszcze przed tymi rozmowami albo zakładano (tylko na jakiej podstawie?) określone zachowanie wojsk sojuszniczych, albo przyjęte polskie założenia walki z Niemcami w istocie abstrahowały zupełnie od możliwej współpracy z sojusznikami. W mojej ocenie realny jest tylko drugi człon powyższej alternatywy, bowiem, logicznie rzecz ujmując, innej możliwości nie było.

Jest to o tyle ciekawe, że rozmowy te, z punktu widzenia polskich oczekiwań, zakończyły się albo kompletnym – jak w przypadku Anglików – fiaskiem, albo połowicznym – jak z Francuzami – sukcesem. Sukcesem, z którego niekoniecznie, w wymiarze praktycznym, wiele musiało wynikać (o czym za chwilę).

Należy zatem przyjąć, że dopiero *ex post* stworzono swoistą presję na uznanie, iż cały plan skonstruowany był głównie z myślą o wytrwaniu niemieckiego naporu do momentu, w którym nastąpi uderzenie aliantów na

Zachodzie. W rzeczywistości nic takiego nie miało jednak miejsca, a powyższe twierdzenie dopiero później uznano za zasadnicze, wyłącznie po to, by zrelatywizować własne błędy.

Dotykamy tu kolejnego problemu. Wedle zgodnych, powojennych opinii, polscy sztabowcy mieli pełną świadomość niemożności skutecznego, samodzielnego przeciwstawienia się atakowi niemieckiemu. Stąd szukano współdziałania z aliantami i pod tym kątem konstruowano plany obrony tak, aby przetrwać pierwsze tygodnie wojny. Dopiero bowiem po upływie około trzech tygodni można było liczyć na działanie aliantów na taką skalę, która pozwoliłaby istotnie odciążyć stronę polską.

Jednak gdyby takie rozumowanie było prawdziwym odzwierciedleniem kierunków pracy polskiego sztabu, to 35 polskich dywizji piechoty, 1 września 1939 roku, stałoby na wspomnianej głównej pozycji obronnej, 11 brygad kawalerii operowałoby przed tą linią, opóźniając przeciwnika, a polski opór na wyznaczonej linii (przy poprawnym zabezpieczeniu okolic Częstochowy) trwałby bez większych problemów owe 3–4 tygodnie. Skoro bowiem w praktyce i tak trwał tyle czasu, to jest oczywiste, że na tak dogodnych pozycjach polskie jednostki wytrwałyby przynajmniej taki sam czas, bez żadnego problemu. Po podjęciu działań przez aliantów, Niemcy musieliby wycofać przynajmniej połowę swoich sił z Polski (albo i więcej). Z tymi, które pozostały, armia polska uporałaby się bez najmniejszego problemu. Wiemy jednak, że nasze wojsko nie było ustawione tak, aby zrealizować taki plan.

Ten zatem logicznie brzmiący wywód, jakoby sens naszych działań i planów zakładał właśnie współdziałanie z aliantami i ich aktywnością, nie ma, niestety, żadnego oparcia w rzeczywistych wydarzeniach ostatniego półrocza przed wybuchem wojny. Zauważyć bowiem należy, że ani koła wojskowe, ani kierownictwo państwowe nie dołożyły należytych starań, aby doprowadzić do podpisania dokumentów, które formalnie obligowałyby sojuszników do czynnego wykonania przyjętych zobowiązań.

Stąd założenia obrony skonstruowane – rzekomo – z uwzględnieniem spodziewanego współdziałania sojuszników musiały być czystą iluzją. Choć – jak wskazują przywołane wcześniej fakty – to wcale nie na nich się opierano, przygotowując plany działania. Przeciwnie, przygotowane plany odparcia agresji były całkowicie oderwane od ewentualnego wsparcia sojuszników, a z tego punktu widzenia były skazane na niepowodzenie.

Szczególne znaczenie miały tu, oczywiście, rozmowy paryskie. Było bowiem jasne, że realne wsparcie polskiego wysiłku obronnego nastąpić może tylko ze strony Francji dysponującej potężnymi siłami lądowymi. Z tego punktu widzenia Anglia pozostawała sojusznikiem raczej symbolicznym i uwidoczniło się to z całą ostrością podczas toczonych w Warszawie rozmów z obydwoma misjami brytyjskimi.

Przebieg rozmów paryskich, a zwłaszcza ich atmosfera, nie mogły, w moim przekonaniu, uważnemu ich uczestnikowi pozostawiać najmniejszych wątpliwości, co do rzeczywistego nastawienia strony francuskiej do współpracy z armią polską. W szczególności postawa głównego francuskiego rozmówcy, gen. Gamelin, była wyraźnym świadectwem niechęci do jakiegokolwiek czynnego współdziałania armii francuskiej ze stroną polską[291].

Efektem tych rozmów było podpisanie polsko-francuskiej konwencji wojskowej, którą potraktowano w Warszawie jako wielki sukces. Stało się tak, bowiem otrzymana została zgoda francuska na traktowanie niemieckiej akcji wobec Gdańska jako faktu o charakterze *casus foederis*. Oznaczało to, że w konwencji tej Francuzi przyjmowali stanowisko strony polskiej, w myśl którego każde niemieckie działanie zmieniające przemocą status Wolnego Miasta Gdańska miało być traktowane tak, jak agresja bezpośrednio na terytorium Polski. To zaś w konsekwencji uruchamiać miało sojusznicze działania wojenne.

Był to bez wątpienia negocjacyjny sukces, tym bardziej że przyjęcie takiego stanowiska przez Francję musiało oznaczać jego automatyczną akceptację przez Brytyjczyków. Być może to osiągnięcie ucieszyło polskich decydentów do tego stopnia, że zapomnieli dopilnować kwestii podstawowej. Warunkiem bowiem tego, by postanowienia konwencji mogły mieć skutek realny, czyli w istocie obligować armię francuską do działania przeciw Niemcom, było podpisanie specjalnego porozumienia politycznego przez rządy polski i francuski.

---

[291] Nie można oczywiście wykluczyć, że dowództwa francuskie, świadome uwarunkowań politycznych po własnej stronie, niechętne były formalizowaniu jakichś dalej idących, zobowiązujących dla siebie ustaleń. Z tego względu można dopuścić pogląd, że gen. Kasprzycki otrzymał jakiś rodzaj nieprotokołowanego oficerskiego słowa honoru, co do ewentualnych działań francuskich na korzyść armii polskiej. Jednak budowanie całej koncepcji potencjalnej obrony na takich podstawach, w kontekście niedawnych doświadczeń czechosłowackich, gdzie Francuzi mieli nawet sformalizowane ustalenia, nie może być uznane za przejaw szczególnej odpowiedzialności.

I protokół taki został podpisany, tyle tylko że stało się to 4 września 1939 roku. Pojawiają się tu zatem dwie, zupełnie zasadnicze kwestie.

Po pierwsze, nasuwa się pytanie, czym zajmowała się przez trzy miesiące polska dyplomacja, która nie doprowadziła do sfinalizowania tej, podstawowej – w aspekcie wojny, do której się przygotowywano – kwestii? Dlaczego Beck oraz Śmigły-Rydz, w sytuacji gdy znany był im z paryskich rozmów sceptycyzm francuskich wojskowych do akcji wspierającej Polskę (o postawie francuskiej opinii już przez grzeczność nie wspominając), nie uczynili praktycznie nic, by sprawę doprowadzić do końca? Czyżby uważali, że konkretne porozumienia są mniej wartościowe niż spis intencji, których wyrazem była konwencja paryska?

I kwestia druga. Czy wobec powyższego stanu faktycznego, uprawnione było po stronie polskiej oczekiwanie na francuskie współdziałanie wojskowe w jakimś konkretnym, dającym się w sposób względnie pewny zdefiniować, momencie?

Wydaje się, że jeśli taka postawa rzeczywiście występowała, to graniczyłaby po prostu z naiwnością. Przede wszystkim dlatego, że podczas rozmów paryskich ustalono jedynie ramowe zasady ewentualnego francuskiego współdziałania.

Najważniejszym, z punktu widzenia polskich potrzeb, ustaleniem było przyjęcie, że działania zaczepne głównych sił francuskiej armii lądowej przeciw Niemcom rozpoczną się w piętnastym dniu od daty ogłoszenia mobilizacji powszechnej. Zgoda na uzależnienie akcji ofensywnej na froncie zachodnim od czynnika, na który strona polska nie miała żadnego wpływu i którego żadną miarą, nawet w bardzo ogólnym przybliżeniu, nie można było określić, a takim czynnikiem był moment ogłoszenia mobilizacji powszechnej, była wyrazem wielkiej nieroztropności. Tym bardziej, że nie było żadnych uzgodnień co do tego, iż ewentualny wybuch wojny polsko-niemieckiej musiał skutkować automatycznie formalnym zaistnieniem stanu wojny pomiędzy Niemcami a Francją, co mogłoby też ewentualnie skutkować szybko ogłoszoną mobilizacją powszechną. Oczywiście można sobie było też wyobrazić kolejność odwrotną, a więc ogłoszenie mobilizacji powszechnej przed formalnym zaistnieniem stanu wojny. Tym bardziej jednak, przyjmowanie tak nieokreślonego czynnika, jako przesłanki precyzyjnego planowania wojennego, nie mogło mieć po prostu miejsca.

A zatem na podstawie tak skonstruowanego zapisu, nawet gdyby został on odpowiednio wcześnie doprecyzowany w sygnalizowanym protokole dodatkowym, strona polska nie mogła planować, z minimalną choćby gwarancją pewności, jakiegokolwiek hipotetycznego momentu rozpoczęcia akcji francuskiej.

Ani więc na etapie planowania działań obronnych, ani w momencie wybuchu konfliktu, polski Sztab Główny nie miał żadnych podstaw do tego, by wyczekiwać, że w konkretnym momencie spodziewanego konfliktu nastąpi odciążenie na froncie zachodnim. Co więcej, podczas rozmów paryskich poprzestano jedynie na bardzo ogólnikowych uzgodnieniach dotyczących zasad ewentualnego współdziałania.

Zastanawiać zatem musi, że polskie dowództwo wojskowe, znając niechętne nastawienie Francuzów do akcji zaczepnej wspierającej front polski, nie spróbowało w ciągu kolejnych trzech miesięcy podjąć działań, które doprowadziłyby do uzgodnienia precyzyjnych zasad współpracy z armią francuską. Czy można wnosić z tego, że takie uzgodnienie uważali oni za zbędne?

Powyższe konstatacje dowodzą jednak z cała mocą, że polski plan o rzekomo wyłącznie obronnym charakterze, przygotowany z myślą o wojnie z Niemcami, nie uwzględniał precyzyjnego założenia, do którego momentu nasze wojska będą musiały samodzielnie stawiać czoła agresorowi. Skoro bowiem zakładano – jak głoszono po wojnie – walkę o czas, to konieczne było choćby względnie jasne określenie tego czasu oczekiwania. I, oczywiście, odpowiednie ustawienie wojska, najlepiej na omawianej głównej pozycji obronnej, która dawała znaczne gwarancje wytrzymania przez przynajmniej 3–4 tygodnie ofensywy niemieckiej. Konieczne stałoby się precyzyjne określenie, w takim planie ściśle obronnym, kolejnych faz działania wojsk polskich tak, aby zsynchronizować je z działaniami francuskimi. Skoro jednak ci nie mieli żadnej chęci, aby podjąć działania zaczepne, ani nie określili jasno kiedy ewentualnie mogłyby one nastąpić, to nie było w konsekwencji do czego dopasowywać polskich planów działań obronnych, planów walki o czas.

Jest rzeczą zdumiewającą, że mając świadomość fatalnego położenia wyjściowego, głębokiej dysproporcji sił w stosunku do Niemiec, zakładając niemożność samodzielnego stawienia najeźdźcy skutecznego i rozstrzygającego oporu, wiedząc wreszcie, że tylko przy solidnym wsparciu, zwłaszcza ze strony Francji, będzie jakakolwiek szansa, by tej wojny nie

przegrać, postępowano i planowano w sposób zupełnie oderwany od tych oczywistości.

Wreszcie w tym kontekście możemy też ocenić, jak puste, pozbawione podstaw było wyrażane przeświadczenie, że 14 września losy wojny się odwrócą, bowiem sojusznicy rozpoczną ofensywę i jak tym bardziej bezpodstawne były żale, zwłaszcza przywództwa sanacyjnego, że złamane zostały jakieś, bliżej nieznane, ustalenia sojusznicze.

Rzecz jasna, przyjęty jednak w rzeczywistości plan uwzględniał właśnie te uwarunkowania. Dlatego nie był planem obronnym, bowiem polscy sztabowcy mieli pełną świadomość, że na żadną pomoc Francuzów nie mogą liczyć. Wiedząc o tym, stworzyli inny plan, umożliwiający jak najszybsze przejście do działań ofensywnych, po ewentualnej agresji niemieckiej. Rezygnując z dotychczas dominującej koncepcji wojny prewencyjnej, którą pod naciskiem Brytyjczyków wykluczano ze względów politycznych, usiłowano przyjąć inne założenia. Przyjęto zatem plan – powtórzmy to – w którym zwabiano gros sił niemieckich w zastawioną w okolicach Częstochowy pułapkę. To tam armia polska chciała stoczyć główną bitwę z największymi siłami nieprzyjaciela, a zakładane zwycięstwo w tym starciu następnie otwierać miało drogę do działania ofensywnego na terenie przeciwnika, na najbardziej dogodnych dla strony polskiej kierunkach. Zakładając konieczność pełnego sformowania Armii Odwodowej w mobilizacji powszechnej, przyjmowano że do tej bitwy dojdzie ok. 7–8 dnia wojny, a istotnym wsparciem będzie dla sił Odwodu Głównego sprawnie wycofująca się armia „Łódź".

W tej perspektywie oskarżenia sojuszników o bierność, próby obciążenia ich odpowiedzialnością za przebieg kampanii wrześniowej, brzmią po prostu fałszywie. Nawet jeśli jest prawdą, że zdecydowane działanie Francji i Anglii we wrześniu 1939 roku mogło doprowadzić, może nie tyle do całkowitej klęski Niemiec, ale przynajmniej do utrzymania *status quo ante*, to jednak strona polska w pierwszym rzędzie zaniedbała, przynajmniej od strony formalnej, dopilnowania tego, by tę oczywistość przekształcić w fakty.

Dowodem potwierdzającym powyższe konstatacje jest choćby pobieżna analiza polskiego planu, z której wynika, że z pewnością nie został on skonstruowany z myślą o współdziałaniu z aliantami.

Wydaje się, że najwięcej o interesującym nas zagadnieniu mówią nam wspomnienia gen. Stachiewicza, bez wątpienia jednego z głównych twórców założeń wojennych w 1939 roku. Pisze on następujące słowa:

> *Generalny Inspektor wychodził z założenia, że wobec przygniatającej przewagi sił i położenia, jaką nieprzyjaciel będzie miał nad nami, nie będziemy mieli żadnych szans złamania ofensywy jego głównych sił samodzielnie ani obroną stałą, ani manewrem prowadzącym do bitwy decydującej. Dążenie do tego mogłoby doprowadzić do natychmiastowej klęski. Zatrzymać ofensywę niemiecką będziemy mogli dopiero, gdy nastąpi zmiana niekorzystnego stosunku sił, związana z odciążeniem naszego frontu na Zachodzie. Działania nasze do tej chwili miały więc mieć charakter walki o czas, walki o przetrwanie.*

I dalej:

> *Walka o czas mogła być, w naszych warunkach tylko strategicznym opóźnianiem, w którym tak opory frontalne jak i przeciwuderzenia, nie miałyby na celu załamania ofensywy nieprzyjaciela, a jedynie hamowanie jego posuwania się tak, by zachowując zdolność do dalszych działań i zapewniając sobie połączenia z sojusznikami przez Rumunię, dotrwać do czasu odciążenia naszego frontu. Rozstrzygnięcie mogło zapaść tylko na froncie zachodnim. Działania na terenie Polski mogły mieć w stosunku do niego znaczenie pomocnicze.*

Te bardzo słuszne uwagi i założenia nie były jednak – jak to wykazano – elementami polskiego planowania w 1939 roku. Spostrzeżenia gen. Stachiewicza musimy przyjmować jako ewidentnie sformułowane *ex post*. Nie było bowiem żadnych realnych podstaw, by zakładać zdolność do działania armii francuskiej na rzecz armii polskiej, w jakimkolwiek, wyraźnie określonym momencie. Zatem słuszne w warunkach planu ściśle obronnego pojęcie „walki o czas" nie było ówcześnie w żaden sposób sprecyzowane. Nie było w żadnym jego elemencie określone, jak długo na zajętych pozycjach obronnych miały wytrwać poszczególne armie, na jakie kolejne linie oporu miały – w celu uratowania czasu – schodzić. Skoro bowiem Francuzi żadnych precyzyjnych parametrów swojego działania nie określili, nie było do czego odnosić polskich planów. Nie jest też prawdą stwierdzenie, że polski plan zakładał niemożność przeprowadzenia „manewru, prowadzącego do bitwy decydującej". Było dokładnie

odwrotnie – cały plan oraz całe myślenie Naczelnego Wodza skoncentrowane było właśnie na doprowadzeniu i przeprowadzeniu w następstwie określonych manewrów decydującej bitwy w okolicach Piotrkowa Trybunalskiego. Plan ten został zrealizowany, tyle tylko, że wobec nieukończenia mobilizacji Armii Odwodowej, ograniczenia jej sił oraz potwornych błędów gen. Rómmla i armii „Łódź", wynik bitwy był odwrotny od zakładanego. Jak silne było skoncentrowanie się polskiego dowództwa na doprowadzeniu i przeprowadzeniu tego właśnie starcia, świadczy fakt, że po klęsce pod Piotrkowem i Tomaszowem (5 i 6 września) marszałek Śmigły-Rydz w praktyce całkowicie oderwał się od realnego kierowania podległymi sobie wojskami.

Gen. Stachiewicz konsekwentnie usiłował po wojnie bronić zarówno dobrego imienia Naczelnego Wodza, swojego sztabu, jak i przyjętych, planów. Wraz z gronem współpracowników stworzył nośną teorię, przedstawiającą logicznie polski plan wojny jako związany z oczekiwaniem na działanie sojuszników. Ten kierunek myślenia i analizy przyjęto po wojnie niemal powszechnie w polskiej historiografii. W ten sposób udało się stworzyć jedną z najbardziej efektownych mistyfikacji w polskiej historii. Nie miało to jednak nic wspólnego z rzeczywistością polskich przygotowań wojennych w 1939 roku.

W tej perspektywie powtórzyć trzeba dwie kwestie już wspominane. Skoro, jak twierdzi gen. Stachiewicz, uznawano za oczywiste, że rozstrzygnięcie wojny może nastąpić tylko na Zachodzie, to dlaczego nie znalazło to wyrazu w dyplomatycznym dopilnowaniu porozumień z aliantami w taki sposób, by nie było żadnych wątpliwości, co do ich postawy w razie konfliktu? I dlaczego polski sztab nie podjął żadnej próby, realnego skoordynowania swych planów obronnych z przygotowaniami francuskimi?

Pojawił się tu także wątek rumuński jako istotny dla utrzymania zdolności obronnych, z uwagi na konieczność dostarczania do Polski zaopatrzenia wojennego spoza kraju. Wspominałem już i o tym, jak zupełnie niezrozumiały opór min. Becka w tej kwestii pozbawił Polskę możliwości rozszerzenia zobowiązań rumuńskich na wypadek konfliktu z Niemcami, przez co we wrześniu 1939 roku doszło do wielu niekorzystnych dla Rzeczypospolitej komplikacji.

Ale bez wątpienia najbardziej interesujący w tym miejscu wątek, to wskazywanie przez gen. Stachiewicza założenia, że starcie z Niemcami miało być „walką o czas". Odwołuje się on, dla wyjaśnienia istoty tego pojęcia,

do opracowania gen. Kutrzeby, analizującego w swej pracy o wyprawie kijowskiej to właśnie zagadnienie. Cytuje on następujące spostrzeżenia:

> *Walka o czas musi być prowadzona oględnie, spokojnie, z ideą przewodnią opóźniania marszu przeciwnika, robienia mu wszelkich trudności w pochodzie. Operacja ta może i powinna korzystać ze wszystkich nadarzających się okazji, aby spowodować częściowe klęski nieprzyjaciela przez uderzenia skierowane na poszczególne części przeciwnika, które na skutek trudności terenowych, czy zawsze zdarzających się błędów taktycznych, znajdą się w sytuacji narażającej na uderzenie. Lecz nie musi się szukać pełnego zwycięstwa, gdyż wystarczy zupełnie powstrzymywanie nieprzyjaciela, powodujące stałe niszczenie jego sił... jest to walka o czas, a nie walka o teren lub zwycięstwo. Można i trzeba umieć walczyć o czas, tak samo, jak trzeba umieć walczyć o zwycięstwo.*

Jeśli spojrzeć w tej perspektywie na omówione wcześniej szerzej ustawienie sił polskich, przyjęte przez Śmigłego-Rydza we wrześniu 1939 roku, to zauważymy, że było ono w istocie zupełnym zaprzeczeniem powyższych założeń. Było też dokładnym zaprzeczeniem założeń przedstawionych w wypowiedzi gen. Stachiewicza i – powtórzymy to raz jeszcze – nie dawało żadnych szans skutecznej „walki o czas".

Konieczne jest jeszcze rozważenie jednego, niezwykłej wagi aspektu polskich przygotowań wojennych w 1939 roku. Był on szczęśliwym zrządzeniem losu, wynikającym w sposób jednoznaczny z wahania Hitlera, będącego następstwem podpisania 25 sierpnia 1939 polsko-brytyjskiego traktatu sojuszniczego. W konsekwencji uzyskania informacji o zawarciu tego porozumienia, Hitler w ostatniej chwili odwołał, zaplanowane pierwotnie na świt 26 sierpnia 1939 roku, uderzenie niemieckie na Polskę.

Jest rzeczą zdumiewającą, że przez kilkadziesiąt lat nie rozważano tego, jak mogłaby przebiegać kampania sierpniowa, gdyby do ataku doszło w planowanym terminie. Drugą, niezwykle ważną kwestią jest to, czy strona polska rozpoznała w związku z tym położenie wyjściowe wojsk niemieckich i jakie wyciągnęła z tego wnioski.

Co do kwestii pierwszej wiemy, że polski wywiad przynajmniej od połowy lipca obserwował postępującą koncentrację wojsk niemieckich i generalnie prawidłowo monitorował ruch jednostek niemieckich do pozycji wyjściowych w obszarze nadgranicznym[292]. Jak wspomina gen. Stachiewicz,

[292] Zob. wcześniejsze uwagi w przypisie 9.

22 sierpnia 1939 roku intensywność niemieckiej koncentracji w obszarze nadgranicznym była już tak duża, że szef sztabu uznał za stosowne, aby natychmiast reagować. Co bowiem istotne, „od kwietnia do sierpnia nie przeprowadzono mobilizacji żadnej nowej pełnej jednostki"[293].

Dlatego gen. Stachiewicz – wedle swojej relacji – wieczorem 22 sierpnia zameldował się u generalnego inspektora, „aby uzyskać decyzję natychmiastowego zarządzenia mobilizacji wszystkich jednostek alarmowych. Konferencja trwała 6 godzin. W rezultacie Generalny Inspektor Sił Zbrojnych postanowił przeprowadzić kolejnymi etapami mobilizację całości wojska, odkładaną codziennie mniej więcej od 15 sierpnia ze względu na naciski sojuszników"[294].

Jest to niezwykle ważny przekaz, dowodzi on bowiem, że w polskim dowództwie od połowy sierpnia istniało przeświadczenie o narastającym niebezpieczeństwie agresji, chociaż zachowane dokumenty wywiadowcze polskiego sztabu nie potwierdzają do końca tej sekwencji zdarzeń[295].

Niemniej zauważmy, że na cztery dni przed jej zaplanowanym terminem działania nie było po stronie polskiej żadnej, pewnej informacji o dacie potencjalnego ataku niemieckiego. I to pomimo, że wedle wcześniejszych o kilka miesięcy dość pewnych informacji, Niemcy planowali zacząć wojnę na przełomie sierpnia i września[296].

Na marginesie zauważyć można, że właśnie ten przekaz jest kolejnym, twardym zaprzeczeniem tezy, jakoby już w marcu, czy może nawet wcześniej, polskie dowództwo rozpoczęło prace nad odparciem niemieckiego zagrożenia. Skoro zaczęło się ono materializować już w sposób aż nadto widoczny, bo przez koncentrację wojsk niemieckich na pozycjach wyjściowych do ataku, to fakt ten zupełnie przeoczono.

---

293 W. Stachiewicz, *Wierności...*, s. 439.

294 *Ibidem,* s. 447.

295 Poza przekazem gen. Stachiewicza nie mamy praktycznie żadnego innego, który potwierdzałby przeprowadzenie takiej narady, a już zwłaszcza o takiej treści przekazów szefa sztabu. Przeciwnie, zachowany materiał informacyjny Oddziału II dowodzi, że zarówno 23 sierpnia, jak i w kolejnych dniach diagnozowano sytuację w obszarze przygranicznym jako względnie stabilną. Żadnych alarmujących ostrzeżeń, z których wynikałoby, że przeciwnik osiągnął pełną gotowość do działania ofensywnego, nie odebrano. Skąd zatem szef sztabu mógłby czerpać wiedzę o tych kwestiach, które sygnalizował podobno marszałkowi, tego nie wiemy. Zob. szerzej o tych aspektach pracy II Oddziału A. Woźny, *op.cit.,* s. 290 i nast.

296 Polski *attaché* wojskowy ppłk Szymański alarmował jeszcze w końcu marca 1939 roku, że należy liczyć się z ewentualnością działań niemieckich na przełomie sierpnia i września 1939 roku, później różne informacje potwierdzały tę dość wczesną konstatację. Zob. szerzej A. Woźny, *op.cit.,* s. 258–259 i nast.

Zauważmy bowiem, że przecież szef sztabu nie wspomina w swojej relacji o zajęciu pozycji wyjściowych przez Niemców do agresji, a jedynie o wzmożeniu transportów ich wojsk w kierunku granicy. Jeszcze bardziej zdumiewająca była reakcja Naczelnego Wodza, który dopiero po 6-godzinnej konferencji dał się przekonać do mobilizacji swoich jednostek kolejnymi etapami. Potwierdza to kompletny brak rozpoznania powagi zaistniałej sytuacji w polskim dowództwie.

W konsekwencji opisywanej narady, 23 sierpnia rozpoczęła się kolejna faza mobilizacji alarmowej. W jej efekcie, na zaplanowanych pozycjach 1 września 1939 roku, znalazło się gros polskich sił – 27 pełnych i 4 niepełne dywizje piechoty, wszystkie brygady kawalerii oraz brygada pancerno-motorowa, a także całość pozostałych sił.

Tyle tylko, że o świcie 26 sierpnia, a więc w dacie pierwotnie planowanego ataku, 18 pełnych dywizji piechoty i 2 niepełne oraz 7 brygad kawalerii znajdowało się albo w transportach dojazdowych, albo w wyładowaniach, albo – w najlepszym razie – w domarszu do wyznaczonych pozycji.

Jest zatem najzupełniej oczywiste, że gdyby Hitler nie odwołał swojego rozkazu, całości sił niemieckich stawić czoła mogło o świcie 26 sierpnia 1939 roku jedynie 9 dywizji piechoty pełnych, 2 niepełne dywizje piechoty, 7 brygad kawalerii oraz brygada pancerno-motorowa. Nietrudno wyobrazić sobie, jak skończyłaby się kampania sierpniowa w takich warunkach. Decyzja Hitlera powstrzymująca atak w jakimś sensie uratowała ekipę sanacyjną przed kompletną kompromitacją.

Ale jest też drugi aspekt tej sprawy. W nocy z 25 na 26 sierpnia 1939 roku wszystkie siły niemieckie przeznaczone do ataku na Polskę zajęły ostateczne pozycje wyjściowe. Milionowa armia niemiecka znalazła się w bezpośrednim sąsiedztwie granicy polskiej. Stacjonowało tam 2000 czołgów, kilka tysięcy pojazdów mechanicznych, blisko 10 000 armat. Zajmowały te pozycje przez kolejnych pięć dni, co wywoływało olbrzymi niepokój w dowództwie niemieckim. Niemieccy sztabowcy byli świadomi tego, że dokonuje się właśnie pełne ujawnienie przeciwnikowi własnych rejonów koncentracji, a co za tym idzie, demaskuje to w znacznym stopniu najważniejsze kierunki planowanego działania. To było wydarzenie bez precedensu i oznaczało, zakładając że strona polska chciała się bronić, uzyskanie olbrzymiego bonusu. Można było przez te kilka dni dokonać bardzo istotnych korekt we własnym ustawieniu, zwłaszcza na najsłabiej bronionym odcinku – na południe i na północ od Częstochowy. Odcinku

kluczowym dla powodzenia planu, jeśli byłby on rzeczywiście planem obronnym. Było to tym prostsze, że i tak większość wojsk znajdowała się w przewozach i dojściach, a więc nie musiało to ani dezorganizować położenia, ani specjalnie dekonspirować naszych ruchów wojsk.

Tymczasem nie nastąpiła żadna korekta polskiego ustawienia. Polskie dowództwo nie zareagowało w żaden sposób na ustawienie rozpoznanego przeciwnika. Nie było nim zaskoczone, przyjmowało je z dużym spokojem[297] i oczekiwało na realizację założonego, omówionego już szerzej, własnego konceptu.

Wydaje się, że właśnie opisane fakty ostatecznie potwierdzają poczynione wcześniej uwagi.

[297] Jest charakterystyczne, że polskie dowództwo nie było zaskoczone w żaden sposób jakimkolwiek działaniem niemieckim 1 września (może poza głównym kierunkiem uderzenia na lewym brzegu Wisły na Pomorzu). Przyjęło z całkowitym spokojem wszystkie informacje o kierunkach działań niemieckich, co dowodzi, że wszystko rozwijało się zgodnie z oczekiwaniami naszych sztabowców.

7.

Słońce wschodzi...

O świcie 1 września 1939 roku, do polskiego Sztabu Głównego zaczęły napływać meldunki o ataku bądź aktywności niemieckich sił zbrojnych, na niemal wszystkich odcinkach granicy polsko-niemieckiej[298]. Nie było żadnej wątpliwości co do tego, że zaczęła się wojna.

Natychmiast ogłoszono w całym kraju stan wyjątkowy, a następnie stan wojenny[299]. Generalny Inspektor Sił Zbrojnych powołany został przez prezydenta RP na stanowisko Naczelnego Wodza, a jednocześnie na następcę prezydenta RP[300]. Tym samym Sztab Główny stał się Sztabem Naczelnego Wodza i jako taki, stanowiąc część Kwatery Naczelnego Wodza, przeniósł się (zarówno personalnie jak i materialnie) do przygotowanych stanowisk dowodzenia. Były to nowo wybudowane bunkry przy ul. Rakowieckiej[301].

Jednak już na tym etapie zaznaczyły się pierwsze problemy organizacyjne, które – jak się zdaje – miały bardzo ważkie znaczenie, z punktu widzenia jakości i sprawności pracy głównego ośrodka dowodzenia. Samo

---

[298] Pierwsze meldunki odebrał mający tej nocy dyżur w Sztabie Głównym szef Wydziału Sytuacyjnego Oddziału II ppłk Leopold Okulicki. To on powiadomił o rozpoczęciu działań wojennych przez Niemców szefa sztabu gen. Stachiewicza oraz Generalnego Inspektora marszałka Śmigłego-Rydza.

[299] Najpierw w godzinach rannych Rada Ministrów wprowadziła na całym terenie Rzeczypospolitej stan wyjątkowy (DzU RP z 1939 r., nr 85, poz. 542), a kilka godzin później prezydent RP ogłosił na całym obszarze państwa stan wojenny (DzU RP z 1939 r., nr 86, poz. 544). Tym samym weszła w życie regulująca ten stan nadzwyczajny ustawa o stanie wojennym z czerwca 1939 roku (DzU RP z 1939 r., nr 57, poz. 366), którą opracowano w ramach trwających od początku roku przygotowań wojennych. Częściowo obowiązywały też przepisy o stanie wyjątkowym z 1937 roku.

[300] Funkcję następcy prezydenta RP wprowadziła na czas wojenny konstytucja kwietniowa. Zgodnie z jej postanowieniami, następca – na wypadek opróżnienia urzędu Prezydenta RP wskutek różnych okoliczności wojennych – stawał się automatycznie, po zaprzysiężeniu, kolejnym prezydentem. Mechanizm ten miał zapewnić w każdych warunkach niezakłóconą ciągłość funkcjonowania najważniejszej instytucji władzy państwowej pod rządami konstytucji kwietniowej. Samo kierowanie siłami zbrojnymi opierało się o przepisy dekretu prezydenta RP z 1 września 1939 roku o sprawowaniu zwierzchnictwa nad Siłami Zbrojnymi, o organizacji Naczelnych Władz wojskowych i o komisarzach cywilnych – od chwili mianowania Naczelnego Wodza (DzU RP z 1939 r., nr 86, poz. 543).

[301] T. Kmiecik, *Sztab Generalny Wojska Polskiego 1918–1939. Udział w wojnach o granice i funkcjonowanie w warunkach zagrożenia państwa,* Warszawa 2012, s. 348.

formowanie Kwatery Naczelnego Wodza (liczącej ponad 800 osób) przebiegało wyjątkowo ślamazarnie i zakończone zostało dopiero 5 września[302]. Kiedy wreszcie udało się osiągnąć normalny poziom personalny i organizacyjny dowództwa polskiej armii, przepracowało ono w tym stanie praktycznie tylko jeden dzień.

W związku z rozwojem sytuacji na froncie, już 7 września Naczelny Wódz podjął bowiem decyzję o ewakuowaniu kwatery i sztabu do Brześcia nad Bugiem[303]. W Warszawie, w głównym ośrodku dowodzenia, na kilka dni pozostał jeszcze gen. Stachiewicz z częścią sztabu, aby utrzymać łączność z walczącymi jednostkami. Reszta rozpoczęła, w praktyce trwającą kolejne dziesięć dni, niemal nieustanną wędrówkę po Polsce.

Dodatkowo wskazać trzeba (co już sygnalizowałem wcześniej), że bunkry przy ul. Rakowieckiej nie zostały w praktyce ukończone. Przede wszystkim nie uruchomiono w pełni sprawnego systemu wentylacyjno-klimatyzacyjnego[304]. Nawet w normalnych warunkach pogodowych września, praca tak potężnego zespołu kilkuset ludzi, w pozbawionych sprawnego dopływu powietrza i nieodpowiednio schłodzonych pomieszczeniach, musiałaby stanowić wielki problem. W panujących, zwłaszcza w pierwszej części września 1939 roku, upałach praca w Kwaterze Głównej musiała stanowić dla wszystkich istny koszmar.

Jeśli dodamy do tego szereg innych uwarunkowań, jak choćby permanentne już od początku wojny kłopoty w łączności z dowódcami armii i problemy z własnym rozpoznaniem lotniczym ruchów przeciwnika, otrzymamy obraz niemal kompletnego sparaliżowania polskiego centralnego ośrodka dowodzenia. Musi to bardzo dziwić, biorąc pod uwagę, że na stopę wojenną Śmigły-Rydz przestawił swój sztab właściwie ponad pół roku wcześniej. Był to z pewnością okres wystarczający, ażeby dobrze przygotować funkcjonowanie kluczowego ośrodka dowodzenia armii polskiej.

---

302 *Ibidem*, s. 346.

303 Marszałek, będąc pod wrażeniem klęski gen. Dęba-Biernackiego pod Piotrkowem, wiedząc o prących na Warszawę czołgach XVI Korpusu, postanowił o ewakuacji, obawiając się, że Niemcy mogą zająć stolicę z marszu. Był to absurd, a brak zimnej krwi i niezdolność dokonania spokojnej oceny sytuacji spowodowały bezsensowną decyzję o opuszczeniu centralnego ośrodka dowodzenia. Już 9 września okazało się, że zagrożenie Warszawy było iluzoryczne, a stolica była dobrze przygotowana do obrony. Rozpoczynała się bitwa pod Kutnem, decydowały się losy frontu północnego i południowego, oddziały polskie potrzebowały sprawnego dowodzenia. Takie możliwe było tylko z Warszawy, a Naczelny Wódz nie zdecydował się powrócić tam z Brześcia. Negatywne skutki tego posunięcia były daleko posunięte.

304 T. Kmiecik, *op.cit.*, s. 348.

W świetle wskazanych faktów, oczywiste i w pewnym sensie zrozumiałe stają się liczne błędy w rozkazodawstwie ze strony Naczelnego Wodza, w okresie pierwszej dekady wojny. Permanentny brak rozpoznania działań przeciwnika, wiedzy, co do stanu i położenia własnego ugrupowania, spóźnione rozkazy, brak informacji o ich wykonaniu, uleganie nastrojom i emocjom dowódców armii, bez rozeznania co do stopnia ich oderwania od rzeczywistości frontowej (*vide* z jednej strony przesadzone optymizmem oceny gen. Rómmla, z drugiej zaś katastroficzne oceny gen. Szyllinga), to wszystko, i jeszcze wiele innych czynników, wprowadzało wielki chaos w działania własnych wojsk.

Jakkolwiek sytuacja taka zdeterminowała znacząco przebieg działań wojennych, zwłaszcza zaś zburzyła przygotowane plany działań strony polskiej, to – w mojej ocenie – nie musiała jeszcze mimo wszystko ostatecznie rozstrzygać o wyniku kampanii. Dopiero – jak to postaram się wykazać – absurdalna decyzja ewakuacyjna Naczelnego Wodza i jego sztabu do Brześcia, opóźnienie rozpoczęcia bitwy oraz następnie niewykorzystanie szans stworzonych w pierwszej fazie bitwy pod Kutnem, tragiczne błędy w dowodzeniu na odcinku północnym frontu oraz kompletny niemal rozkład dowodzenia na odcinku karpackim, skutkowały w praktyce utratą możliwości dalszego prowadzenia wojny.

W mojej ocenie bowiem, ani przebieg bitwy granicznej, ani niepowodzenia na centralnym odcinku frontu, ani nawet niezdolność utrzymania pozycji karpackich w pierwszym okresie wojny, nie musiały prowadzić do definitywnej klęski. Natomiast właśnie wtedy, gdy konieczne było sprawne i zdecydowane dowodzenie ze szczebla centralnego, zabrakło ośrodka, który był w stanie spełnić tę przywódczą rolę. Niestety, marszałek Śmigły-Rydz zamiast koncentrować się na kierowaniu działaniami własnych wojsk, podążał za Prezydentem RP wyłącznie, jak się zdaje, po to, aby zagwarantować sobie przejęcie urzędu na wypadek rezygnacji prof. Ignacego Mościckiego[305].

[305] Szczególnie symptomatyczny fakt przytacza W. Pobóg-Malinowski, *op.cit.*, t. 3, s. 53. Wskazuje on, że Śmigły-Rydz najpierw nie pozwolił, aby Beck opuścił Warszawę wraz z prezydentem Mościckim oraz z korpusem dyplomatycznym. Następnie zaś, na kolejnych etapach ewakuacji sztabu, osobiście pilnował („na jego stanowcze życzenie"), aby Beck nie przedostał się samodzielnie do prezydenta. Dowodzi to, jak silnie obawiał się Naczelny Wódz tego, że prezydent może jednak dokonać zmiany osoby następcy. Wydaje się niestety, że problem ten w znaczący sposób odrywał Śmigłego-Rydza od koncentracji nad dowodzeniem podległymi sobie armiami.

Na jeszcze dwa elementy trzeba – zanim przejdę do bardziej szczegółowych rozważań – zwrócić uwagę.

Pierwszy, to obsada stanowisk dowódców poszczególnych armii. Nie popełnimy w zasadzie większego błędu, jeśli przyjmiemy, że właściwie poza gen. Tadeuszem Kutrzebą, każdy z nich – najdelikatniej rzecz ujmując – zawiódł.

Wspólną cechą wszystkich dowódców armii w 1939 roku było to, że bardzo szybko stracili kontakt z podległymi sobie, wielkimi jednostkami oraz związkami operacyjnymi. Niezależnie od wzmiankowanego już niejednokrotnie, fatalnego stanu przygotowania łączności całej armii polskiej, co wynikało również z niedostatków łączności Sztabu Naczelnego Wodza z poszczególnymi armiami, jest niepojęte, że także dowódcy armii nie byli w stanie stworzyć skutecznego systemu porozumiewania się z podległymi sobie jednostkami. Można sobie wyobrazić, że w konsekwencji dokonanych zniszczeń sieci telekomunikacyjnej, utraty szyfrów oraz niemieckiej przewagi w powietrzu, Sztab Naczelnego Wodza miał trudności z porozumiewaniem się z dowództwami armii oddalonymi o setki kilometrów. Jak jednak możliwe było utracenie zdolności porozumiewania się przez sztaby armii ze sztabami dywizji, brygad czy grup operacyjnych, będącymi w zasięgu kilkunastu czy kilkudziesięciu kilometrów, tego żadną miarą zrozumieć nie można[306]. A przecież niezliczone błędy polskich wojsk wynikały w pierwszym rzędzie właśnie z elementarnego braku rozpoznania sytuacji własnej i sytuacji oraz zamiarów przeciwnika, a także paraliżu łączności.

Dodatkowo, przyjęty przez Naczelnego Wodza model zakazu kontaktów pomiędzy dowódcami sąsiadujących armii i związków operacyjnych[307], musiał prowadzić do tragicznego chaosu. Wystarczy wskazać przykładowo na fakt, że na odcinku północnym frontu połączone siły SGO „Narew", GO „Wyszków" oraz armii „Modlin" przeważały nad siłami przeciwnika nacierającymi na kierunku mławskim[308]. Dopiero po zaangażowaniu się

[306] Wzorcowym wręcz przykładem pozostaje tu gen. Rómmel, który oddalony w swojej kwaterze, niemal całkowicie stracił kontakt z podległymi sobie wielkimi jednostkami, a następnie wykorzystując przypadkowy, powietrzny atak, opuścił znane swoim podkomendnym miejsce dowodzenia i bez przekazywania jakichkolwiek informacji o nowym miejscu postoju, po prostu porzucił swoją armię.

[307] *Wojna obronna Polski 1939,* s. 301.

[308] Na tym odcinku nieprzyjaciel dysponował czterema dywizjami piechoty, dywizją pancerną i brygadą kawalerii, skoncentrowanymi na małej przestrzeni z odkrytymi obydwoma

po stronie niemieckiej Korpusu gen. Guderiana, przewiezionego z Pomorza, Niemcy uzyskali przewagę, ale stało się to 8–9 września. Tymczasem siły polskie, wyizolowane od siebie, nieposiadające wzajemnych kontaktów, były kolejno atakowane przez część niemieckiej 3 armii, która mimo swojej obiektywnej słabości, całkowicie zdominowała sytuację na całym północnym teatrze działań.

Ani gen. Wincenty Kowalski, ani gen. Emil Przedrzymirski-Krukowicz, ani wreszcie gen. Czesław Młot-Fijałkowski, nie byli w stanie nie tylko skoordynować działań tych trzech związków operacyjnych (nawet wtedy gdy już uzyskali formalne uprawnienia), ale wręcz tracili kontakt z podległymi sobie dywizjami i brygadami kawalerii.

Histeryczne załamanie gen. Władysława Bortnowskiego w pierwszych dniach wojny zostało najlepiej ocenione przez bohaterskiego gen. Mariana Bołtucia, który jeszcze w trakcie działań na Pomorzu nie szczędził swojemu przełożonemu jak najgorszych ocen. Bezsensowne utracenie wartościowych jednostek w korytarzu może nie obciążało Bortnowskiego bezpośrednio[309], jednak wywołało to u niego dramatyczne załamanie nerwowe, a w konsekwencji utratę związku z rzeczywistością frontową. Późniejsze problemy we współpracy i komunikacji z gen. Kutrzebą, praktyczna niezdolność do jakiejkolwiek inicjatywy w okresie bitwy pod Kutnem dopełniają tylko tej oceny. A przecież po operacji cieszyńskiej gen. Bortnowski uchodził za wschodzącą gwiazdę polskiej generalicji.

Generał Juliusz Rómmel zapisał się zapewne najgorzej z dowódców armii. Jego całkowicie oderwane od rzeczywistości oceny sytuacji z pierwszych

skrzydłami. Armia „Modlin" dysponowała dwoma dywizjami piechoty oraz dwoma brygadami kawalerii. Jednak stojąca na całkowicie odkrytym niemieckim lewym skrzydle, a 2–3 września właściwie już na tyłach niemieckiej armii SGO „Narew", dysponowała dwoma dywizjami piechoty i dwoma brygadami kawalerii, zaś dodatkowo koncentrowały się w pierwszych dniach wojny w tym rejonie trzy dywizje piechoty. Łącznie zatem na tym odcinku frontu strona polska dysponowała 7 dywizjami piechoty i czterema brygadami kawalerii.

309 Formalnie przyporządkowany gen. Bortnowskiemu Korpus Interwencyjny nie był jego pomysłem i, oczywiście, stanowił raczej demonstrację polityczną. Niemniej po rozformowaniu korpusu 30 sierpnia utracono prawie dwa dni, podczas których możliwe było przegrupowanie dwu dywizji piechoty tak, aby nie groziło im odcięcie wskutek ataku niemieckiego. Bortnowski, któremu zadysponowano najpierw jedną z tych dywizji, a później wskutek niemożności przegrupowania drugiej wedle założeń Naczelnego Wodza także i tę dywizję, nie kwapił się z ich przemieszczeniem. Notabene i w tym wypadku potwierdza to tezę, że pozostawiając *de facto* bez większych zmian obie te jednostki w takim oddaleniu od pozycji głównej, dowódca armii zakładał ich szybkie ofensywne wykorzystanie albo dla wsparcia swojego planowanego głównego uderzenia po wschodnim brzegu Wisły, albo dla wsparcia ewentualnego działania armii „Poznań" na Pomorzu Zachodnim. Logicznie bowiem rzecz ujmując, tkwienie tych jednostek w korytarzu dla ugrupowania obronnego żadnego sensu nie miało.

dni wojny boleśnie dezinformowały Naczelnego Wodza. Niezdolność do współdziałania z dowódcą Armii Odwodowej, wręcz dezinformowanie go o postępach przeciwnika, stało się bezpośrednią przyczyną klęski pod Piotrkowem. Paniczne porzucenie armii w następstwie zbombardowania sztabu, a zwłaszcza późniejsze pokrętne tłumaczenia tego faktu, stanowiły już przesłankę do sądu polowego. Jako dowódca armii „Warszawa" Rómmel ponosi wielką odpowiedzialność za brak koordynacji i współdziałania swoich jednostek z armią „Poznań" i „Toruń" oraz częścią swojej porzuconej armii „Łódź" w kluczowym okresie bitwy po Kutnem. To współdziałanie czterech związków mogło przyczynić się do znaczącego sukcesu operacyjnego i niewykluczone, że poważnie zmienić losy wojny. Gen. Rómmel jednak nie tylko w sposób w pełni świadomy odmówił współdziałania, skazując dobrze rokujące natarcie na niepowodzenie. Dodatkowo utrudniał wspieranie tej operacji przez gen. Stachiewicza. Dopełnieniem tego skrajnie negatywnego dorobku jest skandaliczny rozkaz Rómmla, nakazujący traktować napadające na Polskę wojska sowieckie jak alianta.

Gen. Antoni Szylling nie był w stanie opanować swoich emocji w początkowej fazie działań, a jego wyolbrzymione, paniczne wręcz relacje, spowodowały przedwczesne, radykalne zmiany w przyjętym planie działania przez Śmigłego-Rydza. Brak poczucia realizmu w postrzeganiu rzeczywistej sytuacji przez dowódcę armii „Kraków", i to wbrew postawie swoich dowódców grup operacyjnych, mających dobre rozeznanie sytuacji, spowodował niepotrzebne skoncentrowanie niemal całej uwagi Sztabu Naczelnego Wodza w pierwszych dniach wojny na planowaniu manewrów odwrotowych armii polskiej. Gen. Szyling, nie dostrzegając realnie prawdziwych zagrożeń, tracąc kontakt ze swoimi dowódcami, był kreatorem pierwszego, poważnego chaosu w polskim dowodzeniu wojną.

Generał Kazimierz Fabrycy w sposób jak najbardziej fatalny dowodził działaniami na Podkarpaciu. I w jego przypadku brak kontaktu z podległymi jednostkami, niezdolność do wykorzystania znaczących sił własnych do skutecznego zabezpieczenia pozycji obronnych, całkowita niezdolność do opanowania chaosu komunikacyjnego oraz transferów swoich jednostek, w bardzo skądinąd dogodnych dla tej obrony warunkach terenowych, wystawiają mu jak najgorszą notę.

Wreszcie gen. Stanisław Dąb-Biernacki, jako dowódca Armii Odwodowej, również nie sprostał wymogom sytuacji. Wprawdzie szereg ocen

formułowanych pod jego adresem było przesadzonych[310], a klęska w bitwie pod Piotrkowem była ewidentnie konsekwencją postawy gen. Rómmla, to jednak raziła niezdolność gen. Biernackiego do racjonalnej oceny sytuacji. Nie rozumiał on po prostu, że w zaistniałych 5–6 września warunkach, bezkrytyczne zrealizowanie postawionego mu przez Naczelnego Wodza przed wojną zadania, a więc przeprowadzenie rozstrzygającej bitwy z głównym ugrupowaniem ofensywnym wroga, nie było wykonalne. Już choćby tylko dlatego, że nie dysponował on w tym momencie nawet połową przewidzianych pierwotnie do wykonania tego zadania sił, zaś przeciwnik był silniejszy niż zakładano w polskich założeniach. Bezmyślne rzucenie w beznadziejne natarcie nie do końca przygotowanych dywizji było po prostu szaleństwem.

Takie oceny dotyczą również znacznej części dowódców związków operacyjnych i wielkich jednostek. Niestety, do wyjątków należeli dowódcy, którzy wykazali się odpornością psychiczną, siłą charakteru, inicjatywą oraz realnym rozeznaniem o stanie podległych sobie sił. Być może obowiązująca doktryna wojenna Rzeczypospolitej, koncentrująca się na przygotowywaniu się do działań zaczepnych, powodowała ową niezdolność do radzenia sobie w zaistniałej we wrześniu 1939 roku sytuacji. Marszałek Piłsudski, na podstawie doświadczeń z wojny 1920 roku, wskazywał bezustannie, że polscy dowódcy w zdecydowanej większości, fatalnie ówcześnie zawodzili, działając obronnie. Odpowiedzią na to było szkolenie kładące zdecydowany nacisk na umiejętność działania ofensywnego. Skutki tego okazały się jednak fatalne. Polscy dowódcy w 1939 roku byli po prostu niezdolni do prowadzenia skutecznej obrony, wedle przyjętych przez Naczelnego Wodza, skorygowanych w stosunku do pierwotnych założeń.

Drugi problem to pewna narosła latami mitologia wokół niemieckiej przewagi uzbrojenia, zwłaszcza w broni pancernej. Utrwalony, powszechny pogląd polskiej historiografii podkreśla przygniatającą przewagę armii

[310] Pamiętać należy, że z gen. Dęba-Biernackiego uczyniono we Francji i później w Anglii niemal dyżurnego „chłopca do bicia". Jego silnie ukierunkowana przeciw gen. Sikorskiemu działalność spowodowała maksymalne wyolbrzymianie jego rzeczywistych, ale i urojonych błędów. Przerysowane negatywnie oceny pokutują w znacznym stopniu do dziś, a gen. Rómmel, pupil powojennych władz komunistycznych, jest ciągle głównym punktem odniesienia dla tych ocen. To wyjątkowo niesprawiedliwe z punktu widzenia rzetelnej oceny bitwy piotrkowskiej. Dodać też zresztą trzeba, że wielką winę za rezultat tego starcia ponosił Śmigły-Rydz, który miał dostatecznie wiele czasu, aby ślepo oddanego mu dowódcę Armii Odwodowej, gotowego wykonać każde zadania zlecone mu przez Naczelnego Wodza, sprowadzić na ziemię i wydać bardziej realistyczne, dostosowane do rzeczywistej sytuacji rozkazy.

niemieckiej i wmawia, że przy ówczesnej przewadze niemieckiej nie było możliwości skutecznego stawienia oporu przeciwnikowi.

Przyjrzyjmy się więc owemu – jak się przyjmuje – rozstrzygającemu czynnikowi, a więc wojskom pancernym.

Niemcy do ataku na Polskę rzucili ok. 2000 czołgów. Zdecydowana większość z nich, ponad 80%, były to czołgi PzKfwG I i II, a tylko ok. 15% czołgi PzKfwG III i IV (reszta to adaptowane czołgi czeskie w parametrach modeli I i II). Prześledźmy, jakie były podstawowe parametry techniczno-bojowe tych wozów.

Model I (ok. 900 wozów) charakteryzował się słabym pancerzem, na uzbrojeniu posiadał dwa karabiny maszynowe kalibru 7,92 mm. Jego zasięg wynosił w warunkach walki w Polsce maksymalnie ok. 70–80 kilometrów (zużywał, tak jak wszystkie inne modele, ponad 100 litrów paliwa na 100 kilometrów, co przy pojemności baków oraz przy wysokim spalaniu w walce w terenie i manewrowaniu nie pozwalało na uzyskanie w praktyce większego zasięgu niż w granicach 50 km). Były to czołgi mocno awaryjne, nie radziły sobie na polskich drogach, zwłaszcza przy podmokłym podłożu (podobnie zresztą i pozostałe modele). Ich siła ognia była niewielka, zaś odporność na ogień przeciwnika bardzo znikoma. Pocisk kalibru 7,92 mm przebijał bez żadnych problemów pancerz tego czołgu z odległości 300 metrów.

Modele pozostałe miały generalnie podobne parametry. Dysponowały większą siłą ognia (maksymalnie jednak była to armata kalibru 20 mm), trochę większym zasięgiem (ale raczej teoretycznym, bowiem w walce również uzyskiwały maksymalnie w granicach 50 km), ale wszystkie miały bardzo słabe pancerze i nie radziły sobie z polskimi drogami, wykazując dużą awaryjność. Model II znajdował się na wyposażeniu jednostek niemieckich w ilości ok. 900 sztuk.

Modele III i IV jako czołgi średnie (łącznie w granicach 300 sztuk) były wyłącznie na wyposażeniu 1 i 4 Dywizji Pancernej w XVI Korpusie, działającym ze Śląska. Te czołgi charakteryzowały się jednak również niewielką odpornością na ogień polskiej broni przeciwpancernej. Były natomiast trochę szybsze, miały trzyosobową załogę, posiadały większą niż poprzednie typy siłę ognia.

Jakimi środkami zwalczania nieprzyjacielskiej broni pancernej dysponowały oddziały polskie? Wydaje się że można zaryzykować twierdzenie, iż więcej niż wystarczającymi.

Podstawowa na wyposażeniu polskiej armii armata przeciwpancerna, czyli polsko-szwedzki Bofors wz. 37, była działem o kalibrze 37 mm, o zasięgu ponad 7 km i możliwości oddania 10 strzałów na minutę. Oznacza to, że w warunkach polowych czołg jadący z szybkością maksymalną ok. 15 km/h[311] mógł zostać ostrzelany na odcinku 1 km ok. 40 razy. Żaden z czterech modeli niemieckich czołgów nie miał, w przypadku trafienia pociskiem wystrzelonym z tej armaty, żadnych szans na przetrwanie i ulegał prawie całkowitemu zniszczeniu. Takich armat polskie oddziały posiadały 1200. Właściwie dwa celne strzały każdej z tych armat rozwiązywały całkowicie problem niemieckiej broni pancernej.

Drugą podstawową bronią przeciwpancerną polskiej armii były karabiny przeciwpancerne wz. 35 o kalibrze 7,92. Te polskie „rusznice", były świetną konstrukcją. Ich pociski bez problemu przebijały pancerz każdego niemieckiego czołgu z odległości 300 metrów (była ta konsekwencja bardzo dużej szybkości początkowej pocisku). Były one w stanie skutecznie unieszkodliwić każdy typ niemieckiego czołgu. Takich karabinów postawiono do dyspozycji polskich oddziałów w granicach 3500 sztuk.

Łącznie zatem z armatami przeciwpancernymi, polskie oddziały dysponowały 4700 sztukami broni zdolnej do całkowitego niszczenia niemieckich czołgów. Oznacza to, że gdyby tylko co druga sztuka tylko raz celnie trafiła niemiecki czołg, Niemcy straciliby wszystkie swoje wozy.

Dodajmy jednak do tego blisko 20 000 sztuk świetnych polskich RKM Browning wz. 28 o kalibrze 7,92, prawie 6000 sztuk LKM Maxim wz. 08/13 o podobnym kalibrze, ponad 700 RKM Bergmann wz. 15, także kaliber 7,92 oraz łącznie prawie 20 000 sztuk CKM czterech rodzajów: Maxim wz. 08, Maxim wz. 10/28, Hotchkiss wz. 14 oraz najlepszy polski Browning wz. 30 (było ich ok. 8000), wszystkie o kalibrze 7,92. Było to więc blisko 47 000 sztuk ciężkiej broni automatycznej, która ogniem ciągłym. z odległości w granicach 300 metrów, skutecznie niszczyła każdy czołg niemiecki.

Polska armia w 1939 roku, wbrew upowszechnionym mitom, była znakomicie wyposażona w środki walki z niemiecką bronią pancerną. Inaczej niż w ugruntowanych, całkowicie ahistorycznych twierdzeniach, niemieckie czołgi nie powinny mieć żadnych szans w starciu z ponad 50 000 ziejących

[311] Podaję tu prędkość maksymalną, osiągalną w warunkach terenowych, i to – co ważne – dobrych warunkach. W standardowych warunkach kampanii wrześniowej czołgi niemieckie poruszały się w polu bitwy jeszcze dużo wolniej. Oznacza to, że były wystawione dłużej na ewentualny skuteczny ostrzał polskiej broni przeciwpancernej.

ogniem luf polskich armat i karabinów. Niewyobrażalnym mitem jest wmawianie przez dziesięciolecia, że władze polskie nie zapewniły armii wystarczających środków walki z niemieckimi czołgami[312]. Było zupełnie inaczej, a olbrzymi wysiłek zbrojeniowy państwa polskiego dał naszej armii wystarczające środki do zwalczania zarówno niemieckiej, jak i sowieckiej broni pancernej. Nadto jest najzupełniej oczywiste, że odpowiednie komórki polskiego kierownictwa wojskowego, zarówno w Sztabie Głównym jak i w Ministerstwie Spraw Wojskowych, miały wszechstronne rozeznanie zarówno co do stanu niemieckiej broni pancernej, jak i sposobów jej użycia w ewentualnym konflikcie[313].

Przeanalizujmy teraz drugi aspekt istotny dla oceny działania niemieckich sił pancernych we wrześniu 1939 roku. Chodzi tu o szybkość ich przemieszczania się podczas kampanii.

Za najbardziej spektakularny i symptomatyczny może być z pewnością uważany marsz XVI Korpusu (ze wspomnianymi, najlepiej wyposażonymi w nowoczesne czołgi, 1 i 4 Dywizją Pancerną w składzie). Wkroczył on do Polski w okolicach Wielunia, a wieczorem 5 września dotarł w okolice Piotrkowa. Przebył w ciągu 5 dni ok. 90 km a więc mniej więcej 18 km dziennie. W tym czasie stoczył zacięty bój pod Mokrą, który nieznacznie wstrzymał jego marsz. Kolejne dni również upływały pod znakiem walk z opóźniającymi marsz siłami polskimi[314]. Po boju pod Piotrkowem, ruszył już praktycznie bez żadnych przeszkód po dobrej – jak na warunki polskie – drodze do Warszawy, nieniepokojony właściwie przez żadne polskie jednostki. Dotarł tam 9 września, kiedy usiłował z marszu zająć stolicę. Przez trzy i pół dnia przebył ok. 140 km, a więc pokonywał dziennie jakieś 33 kilometry.

Już tylko to zestawienie dowodzi dwóch prostych prawd. Po pierwsze, nawet niezbyt intensywny opór polski (trzeba pamiętać że pod Mokrą

[312] W o wiele większym stopniu uwagi te dotyczą czołgów sowieckich. Dominujące na uzbrojeniu armii sowieckiej czołgi T-26 i T-28 miały pancerze jeszcze słabsze niż czołgi niemieckie, więc wszystkie środki obrony przeciwpancernej armii polskiej były aż nadto dostateczne do ich skutecznego niszczenia. Ponadto czołgi sowieckie były jeszcze bardziej awaryjne niż niemieckie. W kampanii wrześniowej w walkach z rozbitymi jednostkami polskimi sowieci stracili ok. 20 czołgów, a wskutek awarii ponad 300. Jeszcze większe straty ponosili w wojnie z Finlandią w trudnych warunkach zimowych. Wreszcie, po ataku niemieckim, gros sowieckich czołgów zostało utraconych wskutek awarii i niemożności ich użytkowania.

[313] Zob. szerzej na ten temat uwagi A. Woźny, *op.cit.,* s. 177–178 oraz 182–189.

[314] Ściślej jedna z dywizji pancernych toczyła ustawiczne walki, druga poruszała się bez napotykania na polski opór. Jednak oczekiwała ona na sąsiadkę, więc marsz korpusu był generalnie równomierny.

walczyła z przeciwnikiem dysponującym przytłaczającą przewagą właściwie tylko osamotniona polska brygada kawalerii) spowalniał niemiecki marsz niemal dwukrotnie. Po drugie, nawet poruszając się bez napotykania na polski opór, Niemcy nie rozwijali jakichś nadzwyczajnych prędkości. Mimo wszystko zachowywali wielką ostrożność, obawiając się polskich działań. Dlatego ich jednostki szybkie oczekiwały za podążającą za nimi piechotą. Ponadto ich marsz warunkowany był dostawami paliwa, a przy dużej awaryjności sprzętu, także zużycie ropy było bardzo wysokie.

Dwa Korpusy 10 Armii, operujące na południe od XVI Korpusu, XIV i IV, dotarły 8 września pod Iłżę, gdzie stoczyły dwudniowy bój z południowym zgrupowaniem Armii Odwodowej. Poruszały się, generalnie nieniepokojone oporem polskich oddziałów, w tempie ok. 21 km dziennie. Dwa wysunięte jeszcze bardziej na południe Korpusy 10 Armii – XV i VII – nie natrafiając właściwie na żaden zorganizowany opór na swej drodze, omijając wycofujące się siły gen. Szylinga, dotarły w okolice Sandomierza i Baranowa w tempie ok. 28 km dziennie.

Oba Korpusy 8 Armii – X i XIII – znalazły się w okolicach Strykowa, gdzie spadło na nie natarcie armii „Poznań", 9 września. Docierając w ten rejon, walcząc stosunkowo intensywnie z jednostkami armii „Łódź", armia niemiecka poruszała się w tempie ok. 15 km dziennie.

XIX Korpus z 4 Armii, dowodzony przez gen. Guderiana, swój spektakularny marsz przez pomorski korytarz, nie natrafiając na większy opór wojsk polskich, prowadził w tempie ok. 25 km dziennie. Następnie przerzucony do Prus Wschodnich wykonał rajd do Brześcia nad Bugiem, który osiągnął 14–15 września. Nie napotykając na żaden opór, pokonał ten dystans w tempie ok. 28 km dziennie.

I jeszcze dwa korpusy południowej 14 Armii. XXII Korpus pokonywał przestrzeń w średnim tempie ok. 15 km dziennie, przez wiele dni walcząc z różnymi oddziałami armii „Kraków" oraz armii „Karpaty". W podobnym tempie poruszał się XVIII Korpus, operujący na najbardziej południowym odcinku frontu.

Reasumując, można stwierdzić, że w przypadku pojawienia się ze strony polskiej jakiegokolwiek oporu, maksymalne tempo, w jakim przemieszczały się wojska niemieckie w 1939 roku, wynosiło średnio 15 km dziennie. Kiedy nie natrafiały na opór, tempo to wzrastało dwukrotnie. Najszybszy rajd

wykonał XVI Korpus, prąc po bitwie pod Piotrkowem na Warszawę w tempie ok. 33 km dziennie[315].

Jesteśmy przyzwyczajeni do bezreleksyjnego uznawania, że kampania 1939 roku była „wojną błyskawiczną", wygraną dzięki nadzwyczajnemu tempu rozwijanemu przez niemieckie wojska pancerne i motorowe. Tak w istocie wmówiła to nam propaganda niemiecka, choć średnie tempo poruszania się wojsk niemieckich w Polsce w 1939 roku nie było dużo wyższe od tempa marszów armii niemieckich w czasie I wojny światowej (oczywiście, poza sytuacjami, w których fronty po prostu „zastygały"). Także na tle tego, w jakim tempie działały wojska niemieckie w kampanii letniej 1940 roku (Belgia, Holandia, Francja) czy w lecie 1941 oraz 1942 roku w Związku Sowieckim, było to tempo iście żółwie.

Trzeba sobie bowiem uświadomić fakt, że 33 km dziennie, a więc tempo najszybszego marszu XVI Korpusu, to jest tempo równe jednodniowemu przemarszowi przeciętnej polskiej pieszej pielgrzymki na Jasną Górę, jest dostosowane do możliwości maszerowania najstarszych jej uczestników. Oznacza to, że we wrześniu 1939 roku, przeciętna polska dywizja piechoty była w stanie przemieszczać się szybciej po znanym sobie terenie niż niemieckie jednostki szybkie. I tak się działo, a oddziały polskie wykonywały imponujące tempem i odległością (inna rzecz, że w większości pozbawione operacyjnego sensu) marsze, nierzadko wyprzedzając Niemców[316]. I to pomimo, że przeszkadzało im w tym niemieckie lotnictwo oraz chaotycznie przemieszczające się tłumy uchodźców.

---

[315] Odpowiadało to w pełni założeniom przyjętym przez polskich sztabowców w pracach nad planem „W", o czym wiemy z zachowanych nielicznych dokumentów (zob. szerzej: R. Szubański, *Plan Operacyjny „Wschód"*, Warszawa 1994). Można przypuszczać, że podobne wytyczne przyjęto, oceniając możliwości postępu sił szybkich armii niemieckiej w pracach nad planem „Z". W oparciu o te założenia konstruowano zwłaszcza plany mobilizacyjne i transportowe. Polskie plany i ich realizacja we wrześniu 1939 roku pokazują, że właśnie dokładnie w takich parametrach czasowych oceniano zdolność do maksymalnych postępów armii niemieckiej. Faktycznie, w tej perspektywie przesunięcie mobilizacji powszechnej o kilkadziesiąt godzin skutkowało zwłaszcza ich brakiem dla pełnego sformowania obu części Armii Odwodowej, a tym samym niezdolnością do wykonania podstawowego planu przyjętego przez polski sztab.

[316] Pamiętać tu należy, że sam marsz niemieckich czołgów mógł być szybszy, ale przesuwanie olbrzymiego zaplecza logistycznego wielkiej niemieckiej jednostki pancernej wymagało zupełnie nieporównywalnego czasu. Czołgi musiały zatem czekać za swoim zapleczem, zwłaszcza zaś za dowozem paliwa oraz warsztatami, bowiem bez tego wsparcia mogły stać się łatwym łupem przeciwnika. Nawet jeśli strona polska rzadko wykorzystywała te uwarunkowania, to jednak Niemcy zachowywali daleko idącą ostrożność, stąd też to wolne tempo. Warto dodać, że po doświadczeniach w kampanii polskiej oraz w 1940 roku, Niemcy zmienili organizację swoich wojsk pancernych, wydatnie zmniejszając ilość czołgów, a tym samym radykalnie zwiększając

Warto też dodać, że po stronie polskiej istniała pełna świadomość co do tego, jaka jest ówczesna, niemiecka doktryna wykorzystania wojsk pancerno-motorowych[317]. Polski sztab miał pełną wiedzę o stanie nieprzyjacielskich wojsk szybkich, ich wyposażeniu, rozmieszczeniu, preferowanym sposobie użycia[318]. Niemcy – inaczej niż doktryna francuska[319], którą przedkładano w Polsce – przyjmowali konieczność tworzenia dużych zgrupowań jednostek szybkich oraz wykorzystywania ich do wykonywania decydujących przełamań frontów oraz niszczenia zgrupowań przeciwnika[320]. Nie mogło więc być mowy o jakimkolwiek zaskoczeniu działaniami niemieckimi, w tym działaniami niemieckiej broni pancernej.

Warto jeszcze chwilę uwagi poświęcić kwestii niemieckiej przewagi w lotnictwie. Oczywiście poza dyskusją pozostaje tu fakt, że przewaga niemiecka była w tym obszarze przytłaczająca i ani lotnictwo polskie, ani polska obrona przeciwlotnicza, nie były w stanie skutecznie jej neutralizować. Pozostaje natomiast kwestią otwartą ocena, co realnie z tej przewagi wynikało dla przebiegu kampanii.

Największą skuteczność niemieckie lotnictwo osiągnęło na dwóch obszarach – dezorganizacji polskiego systemu komunikacyjnego (zwłaszcza kolejowego) oraz budowania psychozy strachu. Bezpośrednie skutki ataków lotniczych dla przebiegu działań wojskowych były jednak dość ograniczone. Zarówno bombowce nurkujące, jak i zwłaszcza pozostałe lotnictwo bombowe (dokonujące ataków z większych wysokości), z uwagi na znikomą celność bombardowań na polu walki nie wyrządzały poważniejszych strat oddziałom polskim. Dotyczy to także ataków na polskie kolumny marszowe.

---

mobilność i szybkość marszu dywizji pancernych. Towarzyszyło temu także radykalne zmniejszenie zaplecza logistycznego dywizji, co wpłynęło na efektywność poruszania się. Przyniosło to nad wyraz dobre efekty w początkowej fazie wojny niemiecko-sowieckiej i imponujące tempo poruszania się tych jednostek. Dopiero wtedy była to prawdziwa wojna błyskawiczna.

317 A. Woźny, *op.cit.*

318 *Ibidem.*

319 Francuzi nie zakładali tworzenia wielkich jednostek pancernych, a czołgi przydzielone do dywizji piechoty były traktowane wyłącznie jako broń wsparcia piechoty, a nie samodzielne związki taktyczne, a tym bardziej operacyjne.

320 Trzeba jednak dodać, że i po stronie polskiej zachodziła stopniowa ewolucja koncepcji używania wojsk pancerno-motorowych w zwartych ugrupowaniach. Wyrazem tego było sformowanie 10 Brygady Kawalerii Zmotoryzowanej oraz 2 Warszawskiej Brygady Pancerno-Motorowej (której proces organizowania nie został ostatecznie zakończony przed wybuchem wojny).

Rozstrzygające jednak było psychologiczne oddziaływanie wszechobecnych samolotów wroga, ostrzeliwanie przez nie wojska i cywilów bronią pokładową. W ten sposób samoloty niemieckie wywoływały panikę i tworzyły niewyobrażalny chaos, nad którym nie potrafiono racjonalnie zapanować. Ten brak odporności na te właśnie, uboczne w istocie, skutki przewagi w powietrzu miał bardzo poważny wpływ na przebieg działań.

Natomiast dużą przewagę na polu walki uzyskiwali Niemcy dzięki swojemu sposobowi użycia artylerii. Niezależnie od ilościowej dominacji w tym zakresie, ich doktryna zmasowanego, skoncentrowanego użycia tej broni zapewniała realną przewagę na polu bitwy wojskom niemieckim. Obserwujemy to właściwie w każdej wrześniowej konfrontacji. Niemcy, nawet w warunkach nieznacznej wyższości swoich sił, uzyskiwali sukcesy właśnie dzięki umiejętności zmasowanego rażenia sił polskich przez torującą piechocie skutecznie drogę artylerii[321]. W tym wypadku, rozproszenie polskiej artylerii powodowało słabość jej wsparcia dla polskiej obrony. Niemiecka przewaga w tym zakresie była naprawdę rozstrzygająca w przebiegu każdej praktycznie bitwy wrześniowej.

Reasumując, istotnie o przewadze niemieckiej decydowała unikalna w ówczesnych warunkach doktryna koncentrowania swoich maksymalnych sił na głównych odcinkach przełamania, a następnie zdeterminowanego wykorzystywania tych przełamań przez siły szybkie, dla dezorganizowania całego ugrupowania przeciwnika głębokimi penetracjami. Już od połowy lat 30. armia niemiecka zaprzestała w praktyce ćwiczeń nad wariantami prowadzenia obrony, na rzecz doskonalenia współdziałania różnych rodzajów broni w natarciu. Polski sztab był na bieżąco o tym informowany[322]. W ocenach jednego z głównych autorów polskiego planu wojny, ówcześnie jeszcze mjra Mareckiego, jesienią 1937 roku, Niemcy mieli w swoich działaniach ofensywnych zwrócić uwagę na wybór głównego punktu ciężkości własnego działania zaczepnego oraz poszukiwanie miejsca, gdzie nieprzyjaciel jest najsłabszy. Tam mieli koncentrować gros swoich sił i poszukiwać decydującego rozstrzygnięcia[323].

---

[321] O niemieckich zasadach wykorzystania artylerii, znanych polskim sztabowcom, zob. A. Woźny, *op.cit.*, s. 180–181.

[322] *Ibidem*, s. 175–176.

[323] *Ibidem,* s. 176. Były to skądinąd adaptowane do ówczesnych warunków, wcześniej podobnie formułowane założenia von Clausewitza.

W pierwszych kilku dniach wojny obserwujemy niezwykłą wręcz po stronie niemieckiej inicjatywę dowódców poszczególnych armii i korpusów, w zakresie poszukiwania takich punktów przełamania, a następnie dokonywania własnych przegrupowań w celu uzyskiwania opisanych wyżej celów. To właśnie dzięki tej umiejętności pozytywnej improwizacji działania ugrupowania własnego, w zależności od rozwoju wydarzeń na polu walki i niemal niczym nieograniczanej inicjatywie dowódców szczebla taktycznego, Niemcy uzyskali, nad chaotycznie dowodzoną (a właściwie niedowodzoną) armią polską, przewagę rozstrzygającą.

Wszystkie poczynione dotychczas obserwacje wyraźnie potwierdzają wcześniejsze tezy wskazujące na to, że zamiarem polskiego dowództwa w kampanii wrześniowej nie była bynajmniej obrona i walka o czas. Wojsko Polskie dysponowało wszelkimi możliwościami, by skutecznie bronić, mającej z tego punktu widzenia doskonałe właściwości, głównej pozycji obronnej. Uwarunkowania naturalne tej linii na zdecydowanej większości jej długości, w połączeniu ze słabością stanu polskich dróg (co skutecznie ograniczało wartość niemieckich sił pancerno-motorowych, nawet w warunkach ówczesnej suszy) i – zwłaszcza – siłą ognia armii polskiej, dawało, mimo wszystko, znakomite warunki do skutecznej walki o czas. Jednak siły polskie, wysunięte na głównych odcinkach daleko przed tę rzekomą główną linię obronną nie były w stanie osiągnąć jej w taki sposób, aby po wycofaniu się utrzymać całość głównej pozycji obronnej.

Można zatem przyjąć ostatecznie, że z wielorakich rozterek Śmigłego-Rydza i polskiego sztabu, wyszła koncepcja walki, która była niespójna, a w konsekwencji niemożliwa do realizacji. Wysunięcie gros sił polskiej armii poza pozycję główną może być wytłumaczone jedynie w kategoriach nie dającego się przezwyciężyć dążenia do jak najszybszego przeniesienia walki na teren przeciwnika. Położenie wyjściowe armii „Modlin", „Toruń", „Poznań" i „Łódź" oraz SGO „Narew" dowodzi w sposób jednoznaczny, że z pozycji nadgranicznych miały one atakować wroga[324]. Tylko armia

[324] Notabene musi budzić uznanie, że armia „Modlin", na przygotowywanych w praktyce dwa miesiące pozycjach, była w stanie stawić tak potężny i w sumie skuteczny opór 3 Armii niemieckiej. Podobnie, mimo wszystko, działania poszczególnych jednostek armii „Łódź" na słabo przygotowanych pozycjach obronnych zasługują na najwyższy szacunek. Dowodzą jednocześnie, jak skuteczny mógł być polski opór na głównej pozycji obronnej, gdyby przygotowywano ją do obrony od marca 1939 roku. I dodać należy, że powstrzymanie Niemców na tej linii nie tylko nie wykluczało, ale wręcz zwiększało szansę wyprowadzenia skutecznych kontruderzeń przez spokojnie zmobilizowane i dostatecznie przygotowane do walki polskie siły odwodowe.

„Kraków" miała zadania defensywne, a słynny jej *pivot* miał działać bez wątpienia w dwie strony, a więc być osią manewru obronnego, ale w tym samym stopniu manewru zaczepnego.

Losy polskiej kontrofensywy miały rozstrzygnąć się pod Piotrkowem, w decydującej bitwie z głównym zgrupowaniem wroga. Pierwotnie zakładano, że główny odwód armii zatrzyma niemieckie uderzenie w boju spotkaniowym, co pozwoli przejść do zdecydowanego kontruderzenia na całym froncie zachodnim i północnym. Taki był plan marszałka i wbrew upowszechnianym mitom, wszyscy dowódcy armii znali to podstawowe zamierzenie Naczelnego Wodza. Polska armia przygotowana była do wykonania takiej właśnie operacji, zarówno pod względem planistycznym, organizacyjnym, jak i logistycznym, a do tego jej wyposażenie było w pełni wystarczające do wykonania takiego zadania.

Natomiast ani armia, ani kraj, ani Naczelny Wódz i jego sztab nie byli przygotowani na wypadek niepowodzenia tego planu. Już w pierwszych dniach wojny ujawniona skala nacisku niemieckiego stawiała pod znakiem zapytania możliwości zrealizowania przyjętych założeń wyjściowych. Niemcy w istocie zaabsorbowali większość polskich sił w takim stopniu, że wykonanie zadań ofensywnych było raczej niemożliwe. Dotyczyło to w szczególności armii „Modlin", „Toruń" i „Łódź". Jedynie armia „Poznań" oraz SGO „Narew" utrzymywały jeszcze zdolność do ewentualnych działań aktywnych.

Jest rzeczą niezmiernie charakterystyczną, że 3–4 września, kiedy w Sztabie NW istniała już świadomość, że armie „Modlin", „Toruń" i „Łódź" nie będą w stanie wykonać postawionych im zadań ofensywnych, ciągle zwlekano z korektą zadań dla armii „Poznań" i SGO „Narew". Na północnym obszarze działań grupy „Narew" oraz „Wyszków" otrzymywały sprzeczne dyspozycje, choć ich skoncentrowane użycie przeciwko skrzydłu i od pewnego momentu także tyłom całkowicie odkrytej 3 Armii niemieckiej, mogło doprowadzić do zdecydowanego rozstrzygnięcia na korzyść polską. Tymczasem sztab ciągle się wahał, bowiem nie pozbył się definitywnie wizji ataku na Prusy Wschodnie[325], co było od początku głównym zadaniem całego zgrupowania północnego armii polskiej.

[325] Zauważmy, że siły GO „Wyszków" oddalone były od przeciwnika o jeden dzień marszu. Zajęcie pozycji wyjściowych do ataku na skrzydło 3 Armii było zatem zadaniem wykonalnym w krótkim czasie. Grupa mogła uzyskać wsparcie trzech stojących biernie przez wiele dni brygad kawalerii: Nowogródzkiej, Podlaskiej i Suwalskiej. Ich przesunięcie do pozycji wyjściowych do skoncentrowanego ataku mogło się dokonać również w ciągu jednego dnia. Tym

Jeszcze wyraźniej widać to w przypadku armii poznańskiej. Generał Kutrzeba natychmiast, dzięki własnym obserwacjom, ale i intuicji, zorientował się w trudnym położeniu południowego sąsiada. Toteż nieustannie naciskał Naczelnego Wodza o pozwolenie na wykonanie zwrotu zaczepnego, na kompletnie odkryte skrzydło 8 Armii. To ewentualne uderzenie, nawet biorąc pod uwagę niewielkie siły, jakie mogły być zaangażowane w pierwszej fazie[326], musiało zdecydowanie poprawić pozycję armii „Łódź", dając jej szansę na spokojniejsze objęcie przygotowanych pozycji na Warcie i Widawce. Miało to zresztą kluczowe znaczenie – pokazały to kolejne dni – dla przebiegu rozstrzygającego przecież w polskich planach starcia pod Piotrkowem i Tomaszowem Mazowieckim.

Jednak i w tym wypadku Naczelny Wódz odwlekał zgodę w imię „realizacji innych zamiarów". Jakich? Chodziło z pewnością o zachowanie zdolności tej armii, do wykonania uderzenia na teren niemiecki, zapewne natychmiast po zwycięskiej bitwie pod Piotrkowem. Do tego zaś zadania Naczelnemu Wodzowi potrzebna była cała, nienaruszona niczym, armia „Poznań", która mogła razić przeciwnika zarówno na kierunku śląskim, jak i środkowopomorskim.

Wbrew zatem upowszechnionym poglądom, postępowanie polskiego dowództwa w pierwszych dniach wojny cechowała żelazna konsekwencja i dążenie do zrealizowania przyjętego planu wojny. Mylą się ci liczni komentatorzy, którzy suponują irracjonalne, pozbawione strategicznych wizji polecenia sztabu, którzy także rozważają przyczyny poniechania różnych, wydawałoby się oczywistych działań przeciwko nacierającym Niemcom. I to nawet tam, gdzie korzyści, z punktu widzenia prowadzonej obrony, były aż nadto oczywiste.

---

samym przynajmniej pięć wielkich polskich jednostek mogło zaatakować 3 Armię z obu skrzydeł i na dodatek od tyłu. W takim wielkim kotle armia niemiecka zostałaby starta z powierzchni, nawet bez potrzeby używania reszty sił SGO „Narew" czy aktywnego zaangażowania poważnie naruszonych sił armii „Modlin". Po tym zwycięstwie droga do Prus stałaby w pełni otworem. Jednak tej szansy polski sztab nie dostrzegł, a poszczególni dowódcy polscy na tym obszarze nie mieli żadnego pojęcia o tym, co mają robić oraz z kim i gdzie mają walczyć.

[326] W praktyce gen. Kutrzeba mógł użyć tylko jednej dywizji piechoty. Jednak przy skoordynowaniu jego działania z działaniami armii „Łódź", nawet takie dość wątłe uderzenie odegrałoby wielką rolę w „walce o czas". Z pewnością bowiem musiało znacząco spowolnić nacisk 8 Armii na armię „Łódź" na jej północnym odcinku, co dałoby jej szansę zajęcia stanowisk na głównej pozycji obronnej, ale również lepiej przygotować się do starcia pod Piotrkowem, we współdziałaniu z Armią Odwodową.

Do 6 września realizowano po stronie polskiej, z maksymalnie możliwą w istniejących warunkach żelazną dyscypliną, przyjęty plan wojny. Plan znany wszystkim, najważniejszym aktorom po polskiej stronie, w tym dowódcom armii. Po 6 września rozkazodawstwo ze strony polskiego Sztabu NW w zasadzie się skończyło. Właśnie dlatego, że nie było żadnego planu na wypadek klęski pod Piotrkowem. Tu tkwił największy problem strony polskiej, bowiem po tym wydarzeniu zdana ona była wyłącznie na całkowitą improwizację.

Można oczywiście zrozumieć, że nie przygotowano aż tak dalece negatywnych scenariuszy prowadzenia wojny, ale przecież w żadnym razie nie zwalniało to dowództwa armii od dalszych, racjonalnych, choć siłą rzeczy improwizowanych, działań. Przede wszystkim chodziło o działania racjonalne, nienarażające walczących jednostek na konieczność realizowania jakichś wyimaginowanych, w rzeczywistości niewykonalnych zadań. Niestety, po 6 września działania polskiego sztabu, a właściwie Naczelnego Wodza, straciły cechy racjonalności. Choć wojna nie była jeszcze przegrana.

Jakkolwiek po klęsce tomaszowskiej oraz iłżeckiej i po rozbiciu Armii Odwodowej, Niemcy uzyskali niemal nieograniczoną swobodę dostępu do Warszawy oraz do całej środkowej Wisły, nie przesądzało to jeszcze w żadnym razie definitywnie o wyniku wojny. Takie przeświadczenie mieli sami Niemcy, którzy właśnie w tym samym czasie uświadomili sobie, że ich podstawowe zamiary nie zostały bynajmniej zrealizowane[327].

Niemcom przede wszystkim nie udało się, tak jak zakładali, zamknąć w zachodniej Polsce gros sił polskich. Nie udało się też rozstrzygnąć wojny na zachodnim brzegu Wisły, a to było ich podstawowym zadaniem. Większość sił polskich utrzymywała – w ich ocenie – ciągle zdolność

[327] Podstawowym zamiarem niemieckim było szybkie rozbicie całości sił polskich na obszarze na zachód od Wisły. 5–6 września Niemcy mieli świadomość, że zamiar ten nie powiódł się, bowiem siły polskie, w większości unikając decydujących starć, odchodziły konsekwentnie na Wisłę, do tego obserwowano transfer wielu wielkich jednostek na jej zachodni brzeg. Niemcy spodziewali się zatem, że dojdzie do rozstrzygającej bitwy na zachód od Wisły i dlatego ich główne dowództwo uznało, że będzie kontynuować operacje na zachód od Wisły w celu ostatecznego zniszczenia głównych sił polskich. Działania poza linię Narwi–Wisły–Sanu traktowane były jako pomocnicze, w celu zdezorganizowania systemu zaopatrzenia i uzupełnienia wojsk polskich oraz uniemożliwienia stworzenia im na tej linii ewentualnej stałej obrony (zob. szerzej na ten temat uwagi T. Jurgi, *op.cit.,* s. 335–338). Takie dyspozycje sdawały polskim działaniom obronnym, o ile podejmowano by je z sensem i zdecydowaniem, wielkie szanse. Niestety, wspomniany paraliż centralnego dowództwa wykluczał możliwość wykorzystania powstałej szansy.

do stawiania poważnego oporu. Niemcy zaniepokojeni byli przynajmniej trzema czynnikami: możliwymi, choćby ograniczonymi działaniami francuskimi (które musiały absorbować nie tylko ich wszelkie odwody, ale wręcz zmuszały ich do wycofania części wojsk z Polski), koniecznością przenoszenia działań wojennych za Wisłę, a więc na tereny, które zgodnie z paktem z 23 sierpnia 1939 roku stanowiły strefę wpływów sowieckich, wreszcie dużymi stratami materiałowymi, wysokim zużyciem amunicji oraz, zwłaszcza, paliw. Przedłużenie kampanii do okresu, w którym mogły nastąpić deszcze, powodować musiało daleko idące niwelowanie ich przewagi w powietrzu oraz ograniczenie możliwości wykorzystania sił pancerno-motorowych. Stąd podejmowane w tym momencie przez niemieckich sztabowców decyzje kładły nacisk na jak najszybsze wyizolowywanie oraz likwidowanie poszczególnych zgrupowań polskich[328].

Z punktu widzenia dowództwa polskiego, kluczowe pozostawały na początku drugiego tygodnia wojny przynajmniej trzy kwestie. Utrzymanie Warszawy (nie tylko jako centralnego ośrodka politycznego, ale przede wszystkim kluczowego węzła komunikacyjnego) oraz środkowej Wisły. To akurat było zadaniem stosunkowo nietrudnym. Organizowanie tej obrony trwało praktycznie już od 3 września[329] i przez tydzień, kiedy do tych pozycji docierały niemieckie czołówki, na ogół dobrze przygotowano się do stawienia im skutecznego oporu (*vide* bohaterska obrona Ochoty).

Kwestią drugą pozostawało utrzymanie frontu północnego, o ile nie na Narwii, to w najgorszym razie na Bugu. Było to zadanie fundamentalne z punktu widzenia utrzymania Warszawy i środkowej Wisły, ale także dla swobodnego korzystania z zaplecza w Polsce północno-wschodniej. Tu także warunki terenowe dawały stronie polskiej olbrzymie atuty.

Wreszcie kwestią trzecią było utrzymanie pozycji na południu, w najgorszym razie na Sanie. I w tym wypadku chodziło zarówno o ochronę pozycji centralnych, ale i o zachowanie swobody komunikacji z Polską południowo-wschodnią oraz mającą strategiczne znaczenie komunikacją poprzez Rumunię i Węgry z aliantami. Na tym obszarze, znowu zarówno

328 T. Jurga, *op.cit.*

329 3 września minister spraw wojskowych gen. Kasprzycki powołał gen. Waleriana Czunę na dowódcę armii „Warszawa". Armia zabezpieczyć miała zachodnie przedmoście Warszawy oraz środkową Wisłę przed możliwą penetracją wysuniętych oddziałów niemieckich. W praktyce do pierwszego kontaktu armii z wojskami niemieckimi doszło we wzmiankowanym starciu na Ochocie 8 września. Tego też dnia dla obrony całego tego obszaru utworzono Grupę Armii Warszawa, której dowództwo objął gen. Rómmel.

warunki terenowe, jak i stan już zmobilizowanych i ciągle mobilizowanych polskich jednostek, pozwalały dobrze zorganizować obronę.

Pozostawała jeszcze ważna kwestia losów znaczących sił polskich, będących ciągle na zachodnim brzegu Wisły. Oprócz właściwie nietkniętej walkami armii „Poznań", dochodzącej do siebie po początkowych perturbacjach armii „Toruń", uratowanej pod dowództwem gen. Thomme znacznej części armii „Łódź", schodziły również do Wisły poważne siły armii „Kraków", absorbujące po drodze pozostałości Armii Odwodowej. Była to ponad połowa bijących się z Niemcami sił polskich, która wymagała racjonalnego dowodzenia, ukierunkowanego na jakiś wyraźny, strategiczny cel.

Obraz wydarzeń 6–10 września 1939 roku, zwłaszcza zaś analiza działania oraz sposobu dowodzenia polskiego Naczelnego Wodza i jego sztabu pokazują, że klęska wrześniowa zrodziła się właśnie w tych dniach i to przede wszystkim, wskutek fatalnej postawy Śmigłego-Rydza. Była ona bezpośrednim następstwem całkowicie nieracjonalnej, w istocie zgubnej decyzji o przeniesieniu centralnego ośrodka dowodzenia do Brześcia.

Miejsce dowodzenia w Brześciu było niemal całkowicie nieprzygotowane do podołania temu zadaniu pod względem logistycznym, zwłaszcza łącznościowym. Próby nawiązywania łączności z dowódcami armii podejmowane właśnie stamtąd, nie przynosiły dobrych rezultatów. Równolegle rezydująca ciągle w Warszawie pod kierunkiem gen. Stachiewicza część Sztabu NW w praktyce pozostawała w podobnie sporadycznej łączności z ośrodkiem w Brześciu. Gros informacji z terenu spływało cały czas do Warszawy, bo łączność, nawet uszkodzona, najlepiej nawiązywana była właśnie ze stolicą. Jednak ośrodki warszawski i brzeski Sztabu NW, posiadały różne informacje i wychodziły z nich rozbieżne dyspozycje. Nadto gen. Stachiewicz obawiał się podejmowania samodzielnych decyzji, zwlekał z rozkazami, oczekując na wykrystalizowanie się stanowiska Śmigłego-Rydza. W konsekwencji prowadziło to do opóźniania kluczowych decyzji, bądź wręcz wydawania sprzecznych dyspozycji.

Wreszcie wskazać trzeba, że pozbawiony elementarnej wiedzy o sytuacji na poszczególnych odcinkach marszałek, podjął w Brześciu próbę stworzenia radykalnie nowej koncepcji obronnej. Zamiast skoncentrować się maksymalnie na utrzymaniu najdogodniejszej linii obrony, a więc linii Narew (ew. Bug)–Wisła–San, powstała koncepcja głębokiego cofnięcia się

do Polski południowo-wschodniej. Plan ten rozwinięto w różne fazy, aż do skoncentrowania obrony na tzw. przedmościu rumuńskim[330].

W ślad za tymi, być może nieźle wyglądającymi na mapie, ale całkowicie oderwanymi od rzeczywistości projekcjami sztabowców, Naczelny Wódz rozpoczął wysyłać chaotyczne polecenia do kogo się da. Dowódcy bijących się polskich jednostek dowiadywali się z nich, że zamiast walczyć z Niemcami, mają co sił maszerować setki kilometrów. Po to, by zająć wyimaginowane na mapach linie obronne.

Skala szkód wyrządzonych tym pomysłem była porażająca. Marszałek doprowadził, realizując ten zamiar, do zawalenia się obrony na odcinku północnym, spowodował całkowity niemal brak zainteresowania rozwojem sytuacji w bitwie pod Kutnem, doprowadził do opuszczenia pozycji na Wiśle, wreszcie spowodował niekontrolowany odwrót na odcinku południowym.

To właśnie ten szalony pomysł marszałka i jego otoczenia, podjęty w Brześciu (aż ciśnie się uwaga, że brak gen. Stachiewicza był akurat w tym wypadku rozstrzygający), ostatecznie zrujnował jakiekolwiek szanse dalszego, racjonalnego polskiego oporu. Marszałek zarządził po prostu wyścigi polskiej piechoty z niemieckimi czołgami. Trzeba oddać hołd polskim dowódcom, że w tych zawodach, mimo skrajnego zmęczenia, dotrzymywali tempa Niemcom. Jednak zająć pozycji tak, aby być zdolnym do ich obrony, wymęczeni polscy piechurzy już nie byli w stanie. Po wielu przemaszerowanych bez sensu kilometrów nie mieli po prostu siły dalej się bić.

Przeanalizujmy teraz bliżej poszczególne, wymienione wyżej elementy, destruujące ostatecznie polską obronę.

Na odcinku północnym pierwszy kryzys zarysował się w momencie, gdy Niemcom udało się zdobyć przyczółek na Narwi w okolicach Różana.

Jak wiadomo, bój na odcinku północnym, przez pierwsze cztery dni września, toczył się na wysuniętych daleko poza główną linię obronną

[330] Plany Naczelnego Wodza ewoluowały, nie nadążając jednak za rozwojem wydarzeń. Najpierw powstała koncepcja oparcia obrony o: tereny Polesia, Brześć, Wieprz, Wisłę i San, następnie Polesie, Brześć, Bug i obszar podkarpacki. Jednak chaotycznie docierające informacje o osiąganiu przez Niemców jakichś elementów planowanej pozycji skutkowało reaktywną zmianą koncepcji. Ostatecznie pomysł przedmościa miał, jak się zdaje – przez głębokość tego odejścia – zabezpieczyć hipotetycznie trwałość tej pozycji. Czy jednak ktokolwiek w sztabie wierzył, że jest to koncepcja choćby minimalnie realna, to rzecz wątpliwa. W moim odczuciu chodziło tu raczej o tworzenie wrażenia panowania nad chaosem niż o jakiekolwiek poważne rozwiązania.

pozycjach w okolicach Mławy i Rzęgnowa. Oddziały, przede wszystkim 20 i, w mniejszym stopniu, 8 DP stawiły trzonowi 3 Armii niemieckiej twardy opór. Jednak 4 września wieczorem, po rozbiciu wycofującej się dotąd względnie składnie 20 DP pod Glinojeckiem, reszta sił armii „Modlin" dotarła w końcu na pozycję główną na linii Bugo–Narwi i Wisły, z trzonem swej pozycji osadzonym na twierdzy kazuńskiej.

Niemcy, którzy mieli już świadomość, że ich planowane szybkie przełamanie sił polskich na odcinku mławskim, a następnie wyjście na tyły wojsk polskich na południowy brzeg Wisły w okolicach Wyszogrodu i odcięcie ich od możliwości odwrotu na Warszawę, jest już całkowicie nierealne, dokonali radykalnej zmiany planu. Zamiast kierować się dalej za resztkami armii „Modlin" na południe, zwrócili swoje natarcie na wschód, dążąc przede wszystkim do zniszczenia znaczących sił polskich na swoim całkowicie dotąd odkrytym (i wrażliwym na ewentualne polskie kontrnatarcie) lewym skrzydle. Dążeniem było już w tym momencie wyjście za linię Narwii, a następnie dokonanie ponownego zwrotu na południe, celem wyizolowania Warszawy na wschodnim brzegu Wisły od zaplecza w Polsce północno-wschodniej.

Co istotne, tego niemieckiego zamiaru nie przewidziano ani w polskim Sztabie NW, ani w sztabach armii „Modlin" (jej dowódca przekazywał do Warszawy alarmistyczne meldunki, że za chwilę utraci pozycję mławską pod dalszym naporem przeciwnika) czy GO „Wyszków" i SGO „Narew". Oddziały tych dwóch stojących dotąd właściwie całkowicie biernie związków liczyły łącznie 7 wielkich jednostek (pięć dywizji piechoty oraz dwie brygady kawalerii). 4–5 września ukończyły rozładowywanie dywizje skierowane do dyspozycji GO „Wyszków" z ostatniej fazy mobilizacji.

Te siły mogły z powodzeniem stawiać czoło 3 Armii (liczącej siedem wielkich jednostek, w tym jedną pancerną). Do tego pamiętać należy, że Niemcy ponieśli jeszcze cięższe straty, forsując obronę armii „Modlin", niż ta właśnie armia. Dowództwo niemieckie, zdając sobie sprawę z tej trudnej dla siebie sytuacji na odcinku północnym, podjęło decyzję o natychmiastowym wzmocnieniu sił 3 Armii. Przerzucone miały być więc jednostki XIX Korpusu gen. Guderiana, który w praktyce zakończył 3–4 września działania na Pomorzu. Dołączenie sił Guderiana wydatnie wzmacniało potencjał niemiecki, zwłaszcza z uwagi na wzmocnienie sił szybkich, jego zdolności ofensywne. Ale wcale nie przesądzało o wyniku starcia. Korpus Guderiana, mimo sprawnej operacji transportowej, wszedł do walki

dopiero 7 września, a wskutek heroicznego polskiego oporu na odcinku Wizny, zaplanowane głębokie działania oskrzydlające w kierunku na Brześć mógł podjąć dopiero 10 września.

Jednak – jak wspomniałem – żaden polski sztab, nawet na poziomie wielkiej jednostki, nie był w stanie przez wiele dni prawidłowo odczytać zamiarów niemieckich. Także rozpoznanie wywiadowcze, mimo docierających wiadomości dających podstawy do odczytywania ruchów wojsk niemieckich, wywoływały w polskich dowództwach jedynie pozbawione większego sensu spekulacje. Z obserwacji sposobu funkcjonowania Sztabu NW wynika jednoznacznie, że Śmigły-Rydz nie wykazywał właściwie w ogóle zainteresowania odcinkiem północnym. Koncentrował swoją uwagę, przede wszystkim, na sytuacji armii „Kraków" oraz przygotowaniu do bitwy pod Piotrkowem. Gen. Stachiewicz zaś, nie będąc w stanie zdecydować się na jakikolwiek stały scenariusz działania (*vide* wysyłanie sprzecznych rozkazów do GO „Wyszków" w sprawie ewentualnego zwrotu zaczepnego na rzecz armii „Modlin" i wynikający z tego kompletny chaos czy późniejsze przesuwanie dowództwa odcinka północnego pomiędzy generałami), przyjął najfatalniejszą w skutkach taktykę wyczekiwania[331].

Nieniepokojeni zaś w żaden sposób Niemcy z 3 Armii, 5 września pojawili się pod Różanem, gdzie zastali ledwie dwa bataliony polskiej piechoty, z bardzo słabą artylerią. Wieczorem tego dnia doszło po stronie polskiej do festiwalu pomyłek, który skutkował tragicznymi konsekwencjami. Tu wskazać trzeba, że mimo słabości sił polskich w tym rejonie, były one i tak

[331] Ściślej, 4 września gen. Stachiewicz zdołał, jak się zdaje, przekonać marszałka do uderzenia na skrzydło 3 Armii przez siły grupy „Wyszków" i wydał stosowne rozkazy, włącznie z poleceniem przegrupowania tkwiących całkowicie bezczynnie wysuniętych jednostek SGO „Narew" na kluczowe pozycje *vide* przesunięcie w końcu z „worka" suwalskiego Suwalskiej BK. Tyle tylko, że rozkazy te były spóźnione, bo Niemców na nakazanych kierunkach uderzenia o świcie 5 września już po prostu nie było. Generał Kowalski, po ustaleniu tego faktu w nocy 4–5 września, odwołał natarcie i rozpoczął przygotowania do kolejnego ataku jeszcze bardziej na południe, z okolic Pułtuska. Tyle tylko, że tam Niemców również już nie było. Przygotowując w mozole to spóźnione o przynajmniej 3 dni działanie, polscy dowódcy nie dostrzegli, że Niemcy podeszli pod przeprawę w Różanie. Oddziały szykujące się od kilku dni do ofensywy, nie były – co oczywiste – przygotowane do obrony tego odcinka Narwi. Do tego 41 DP, która miała osłaniać ten kierunek, zgodnie z nową dyspozycją opuściła swoje względnie przygotowane pozycje, udając się na południe, w celu szykowania się do natarcia w próżnię. Ponadto, gen. Młot-Fijałkowski z niewiadomych powodów zbagatelizował szybką realizację poleceń gen. Stachiewicza. Jego jednostki, w momencie gdy Niemcy rozpoczynali swoje kolejne działania w celu sforsowania Narwii, zamiast już ich bronić, znajdowały się w drodze na pozycje, które już wkrótce trafiły w ręce przeciwnika. W końcu dodajmy, że wejście do walki korpusu Guderiana było dla strony polskiej całkowitym, zupełnie nieoczekiwanym wydarzeniem.

wystarczające do tego, aby przynajmniej przez 1–2 dni skutecznie powstrzymywać Niemców[332].

Najpierw zatem Sztab NW odciążył gen. Kowalskiego i podporządkował odcinek Różana gen. Fijałkowskiemu. Ten wydał w związku z tym polecenie dowódcy 41 DP gen. Piekarskiemu obrony Narwii w całym tym rejonie. Gen. Piekarski realizował jednak już wcześniejszy zamiar gen. Kowalskiego, który nakazał jego dywizji zajęcie pozycji wyjściowych do natarcia w okolicach Pułtuska. Ponaglany przez gen. Kowalskiego, by jak najszybciej zejść na tę pozycję, wieczorem 5 września nakazał obsadzie odcinka Różan opuścić obronę przeprawy i dołączyć do swoich sił. Rozumowanie gen. Piekarskiego było nawet dość logiczne – skoro atak ma wyjść z Pułtuska, to po co utrzymywać niemający w tym kontekście żadnego znaczenia obszar obrony przedmościa Różan. Przeciwnie, Niemcy zachęceni otwarciem przeprawy zbagatelizują zagrożenie wytworzone na ich południowej flance. Oczywiście, o posunięciach gen. Piekarskiego nie wiedział nic odpowiedzialny za przeprawę od kilku godzin gen. Fijałkowski. Ten ponaglał teraz 33 DP, aby jak najszybciej wzmocniła ten odcinek, zapominając, że gdyby nakazał to zrobić dzień wcześniej, zgodnie z rozkazem gen. Stachiewicza, sprawa byłaby już załatwiona. Nie trzeba dodawać, że o tym chaosie w mającym kluczowe znaczenie odcinku polskiej głównej pozycji obronnej nie było żadnej świadomości w Sztabie NW. Tam szykowano się właśnie do rozstrzygającej bitwy piotrkowskiej.

Na szczęście wątłe polskie oddziały trzymały jeszcze wschodni brzeg Narwi, a 6 września o świcie pod Różan zaczęły napływać jednostki 33 i 1 DP. Do wieczora 6 września udawało się utrzymać napór przeciwnika, który siłami dwóch dywizji piechoty, dywizji pancernej oraz brygady kawalerii napierał na ciągle słabe siły polskie. Dopiero w nocy oddziały kawalerii niemieckiej zdołały zdobyć przyczółek po polskiej stronie rzeki. Tymczasem napływające polskie jednostki, już z zawróconą 41 DP, zaczęły kontratakować. Niestety, polskie działania nie były w żaden sposób skoordynowane. Mimo że siły pod wieczór 6 września były po obu stronach prawie wyrównane, brak myśli przewodniej w działaniach polskich spowodował, iż Niemcy w nocy umocnili swoje zdobycze na wschodnim brzegu Narwii.

[332] Pozycja pod Różanem nie była wprawdzie tak silnie umocniona jak rejon Wizny, ale było tam i tak dość solidne nasycenie schronów i punktów oporu. Biorąc to pod uwagę, uwzględniając, że siły polskie były tu silniejsze niż te pod Wizną a niemieckie wyraźnie słabsze, wytrwanie na tych pozycjach przynajmniej do wieczora 6 września, a może i dzień dłużej, było całkowicie realne.

W nocnej rozmowie z gen. Fijałkowskim, Naczelny Wódz, który z niemieckiego radia dowiedział się o zdobyciu przez nich Różana, zrozumiał grozę sytuacji. Oczekiwał przywrócenia głównej pozycji obronnej na Narwi, ale poza patetycznymi frazesami nie był w stanie zarysować jakiejś spójnej wizji działania i dowodzenia na całym obszarze północnym. Niedługo po wydaniu ogólnie słusznych poleceń i apeli, marszałek wyruszył w drogę do Brześcia. Sprawami odcinka północnego miał się zająć ponownie za kilka dni. Niestety.

Tymczasem Niemcy równolegle rozpoczęli próbę zdobycia przeprawy w Pułtusku, gdzie gen. Kowalski, nieświadomy rozwoju wydarzeń w swoim bliskim sąsiedztwie, ciągle szykował zaplanowane kontruderzenie. Żeby było jasne – Pułtusk i Różan dzieli odległość 32 km. Z Pułtuska do rejonu umocnionego Modlina jest jakieś 35 km. Oprócz Mazowieckiej Brygady Kawalerii, będącej w dobrym stanie, znajdowały się tam reorganizowane już pozostałe siły armii „Modlin", nieniepokojone żadnym naciskiem przeciwnika.

Nawet w warunkach słabej łączności radiowej trudno sobie wyobrazić, aby stłoczone na takiej przestrzeni oddziały polskie i ich dowódcy nie byli w stanie skoordynować swoich działań. Ciągle też te skoncentrowane na niewielkim przecież obszarze siły polskie przeważały nad aktywnie działającą 3 Armią. Niestety, inaczej niż po stronie niemieckiej, polskie jednostki nie miały wyraźnie nakreślonego przez dowództwo naczelne celu działania (czy bronić głównej pozycji obronnej czy kontratakować „odkrytego" przeciwnika) ani jednolitego, panującego nad sytuacją, ośrodka dyspozycyjnego.

Dlatego 6 września Niemcy, nacierając pod Pułtuskiem siłami wzmocnionej jednej dywizji piechoty, osiągnęli wielki sukces, mimo że walczyli właściwie z dwoma polskimi dywizjami piechoty (1 DP i znaczna część 41 DP) oraz Mazowiecką BK. Zanim szykujące się właściwie od trzech dni do uderzenia siły polskie zorientowały się w sytuacji, Niemcy sforsowali Narew poniżej i powyżej Pułtuska. W konsekwencji, 7 września obrona Narwi w tym rejonie straciła sens. Niemcy umocnili swoje pozycje na wschodnim brzegu rzeki i rozpoczęli marsz na oddalony o ok. 30 km od Pułtuska i Różana Wyszków.

Obrona tego przejścia na Bugu miała fundamentalne znaczenie dla dalszego oporu polskiego. W panującym chaosie, wobec faktu, że 7 i 8 września Naczelny Wódz zajmował się podróżą do Brześcia a następnie instalowaniem tam części sztabu, zaś gen. Stachiewicz (skądinąd słusznie)

usiłował stworzyć warunki do osiągnięcia sukcesu planowanego uderzenia gen. Kutrzeby (o czym szerzej dalej), inicjatywę na tym obszarze przejął gen. Kowalski. Widząc groźbę utraty przeprawy oraz zamknięcia w widłach Bugo-Narwii znaczących sił polskich, gen. Kowalski nakazał im wszystkim odwrót na Bug. Podjął też działania, aby zabezpieczyć przeprawę w Wyszkowie – jedyne miejsce, gdzie całość jednostek polskich mogła swobodnie i z całym zapleczem przejść na drugą stronę tej rzeki. Gen. Kowalski miał świadomość, że ten manewr oznacza wystawienie na odcięcie przez Niemców pozostałych sił polskich stojących na Narwi powyżej Ostrołęki. Oddziały gen. Fijałkowskiego dopiero 7 września weszły właściwie w styczność z ciągle słabymi siłami 3 Armii. To te jednostki dotarły pod Wiznę 7 września i rozpoczęły chaotyczny, odparty przez załogę odcinka atak.

Jednak obawy gen. Kowalskiego były bezpodstawne. Nacierający na jego siły Niemcy nie mieli zamiaru zwracać się ku północy, by wyjść na tył sił gen. Fijałkowskiego. Tam docierał już XIX Korpus, który miał przełamać polską obronę na tym odcinku Narwi. Obronę, która, wobec wydarzeń w rejonie Pułtusk–Różan, nie miała już rzeczywiście strategicznie żadnego sensu.

Niemcy dążyli zatem w tym momencie do uchwycenia przejść na Bugu, zarówno atakiem od strony zachodniej na Wyszków, jak i od północy na wschód od Wyszkowa, po przełamaniu polskiej obrony na tym odcinku Narwi. I tym razem ponownie zamiary niemieckie nie zostały prawidłowo zinterpretowane przez polskich dowódców. W tym wypadku rolę jak najfatalniejszą odegrał znowu Naczelny Wódz.

Generał Kowalski miał świadomość, że jeśli sprawnie wycofa się na linię Bugu, będzie w stanie utrzymać tę pozycję do momentu, aż wojska gen. Fijałkowskiego zejdą z pozycji na Narwi. Mimo niskich stanów wód, 3 Armia była jednak również mocno wymęczona walkami i marszami, jej siły szybkie (poza Korpusem Guderiana) nie miały już wielkiej wartości, nawet zatem Bug wysmuklony letnią suszą z powodzeniem mógł powstrzymać ich marsz na wiele dni. Dlatego gen. Kowalski, w uzgodnieniu z gen. Stachiewiczem, z którym miał kontakt, rozpoczął właśnie organizowanie obrony linii Bugu i szerzej odcinka północnego.

Niestety, uciekający z Warszawy do Brześcia marszałek Śmigły-Rydz miał sporo czasu do przemyśleń i po dotarciu na miejsce zaczął realizować nowy koncept obronny. Zasadzał się on na atrakcyjnie wyglądającej

na mapie idei oparcia obrony, idąc od południa, na Sanie, następnie środkowej Wiśle, Wieprzu po Brześć i dalej o linię Prypeci i bagien poleskich. Ewentualnie zakładano opuszczenie środkowej Wisły i oparcie obrony na linii Bugu od Brześcia do południowych źródeł tej rzeki i dalej Pogórza Karpackiego.

Teoretycznie pomysł był niezły, a wytyczona linia dawała pewne szanse skutecznego zatrzymania wymęczonych coraz bardziej nieustannym natarciem Niemców. Dodać tu też należy, że marszałek musiał niewątpliwie odwoływać się do pomysłów płka Mareckiego, który wiele miesięcy wcześniej sygnalizował taki właśnie kierunek zwijania polskiej obrony na obszar południowo-wschodni państwa[333].

Były jednak przynajmniej trzy słabe punkty realizacji tej koncepcji, które czyniły ją w praktyce niemożliwą do realizacji w punkcie wyjścia. Otóż, wskutek zaniedbań marszałka, wynikających z ewakuacyjnego chaosu, był on właściwie całkowicie pozbawiony realnej wiedzy co do tego, co rzeczywiście dzieje się na wszystkich frontach. Nie miał zatem świadomości, że zarówno utrzymanie linii Sanu, jak i środkowej Wisły, było już w tym momencie mocno zagrożone. Bez tej wiedzy jakiekolwiek planowania były – najdelikatniej rzecz ujmując – ryzykowne.

Po drugie, aby plan mógł być elementarnie realny, konieczne było posiadanie przynajmniej w pobliżu tej linii jakichś świeżych jednostek, które nawet w przypadku dojścia Niemców, mogły wytrzymać ich napór do momentu zejścia sił głównych. Sił takich jednak w swojej dyspozycji Naczelny Wódz nie miał. Skoro od 2–3 września z trudem organizowano, w o niebo lepszych warunkach mobilizacyjnych, zadanie utworzenia obrony środkowej Wisły, to po upływie kolejnych dni było to już zadanie praktycznie niewykonalne. Przede wszystkim jednak – i to po trzecie – z uwagi na kompletny brak realnego zaplecza w zakresie wyposażenia dla ewentualnie mobilizowanych wojsk. Większość zasobów materiałowych dla wojska, w tym przede wszystkim amunicja oraz broń ciężka, zgromadzona została w centralnych magazynach usytuowanych niedaleko od położenia wyjściowego armii polskiej. Wskazywałem, że jest to jeden z dowodów identyfikujących wyraźnie podstawowe założenia kampanii przyjęte przez polski sztab. Niemniej, w warunkach próby realizacji nowego wariantu obrony, siły polskie pozbawione były swobody zarówno walki, jak i działań mobilizacyjnych, z uwagi na brak na wyznaczonym

[333] T. Jurga, *op.cit.*, s.

do obrony obszarze dostatecznych rezerw broni ciężkiej oraz amunicji (zorganizowanie zaplecza aprowizacyjnego nie było już tak wielkim problemem). Ponadto wskazać trzeba, że również warunki komunikacyjne na tym obszarze, nie były atutem dla ewentualnej polskiej obrony.

Zakładając nawet jakąś hipotetyczną możliwość ominięcia tych problemów (np. nagły zwrot nastawienia sojuszników, podjęcie ograniczonych działań na Zachodzie skutkujące wydatnym ograniczeniem sił niemieckich czy uruchomienie zaopatrzenia wojennego dla Polski przez Rumunię), aby myśleć o realnym wykonaniu tej koncepcji, konieczne były przynajmniej dwie rzeczy. Przede wszystkim odzyskanie przez Naczelnego Wodza pozycji rzeczywiście dowodzącego swoimi wojskami. Do tego konieczna była przynajmniej odbudowa sprawnego ośrodka sztabowego w Brześciu i przywrócenie elementarnej łączności z walczącymi wojskami. Było to tym bardziej logiczne, że skoro postanowiono na rzecz nowej koncepcji obrony całkowicie poświęcić Warszawę, to należało też jak najszybciej zlikwidować dwoistość pracy Sztabu NW. Tym bardziej, że łączność warszawskiej i brzeskiej części Sztabu też mocno szwankowała. Nic takiego jednak się nie wydarzyło. Rozpoczął się, krótki już tym razem, okres całkowitego dezorganizowania polskiej obrony przez dwa ośrodki sztabowe.

Wreszcie, generalnie słuszna koncepcja zorganizowania dowodzenia poprzez trzy dowództwa frontów, co było konsekwencją przyjęcia nowego założenia obronnego, winna była zostać zmaterializowana jako pierwszy element realizacji planu. Chodziło przecież o to, by uporządkować bijące się w coraz większym chaosie, wywołanym problemami organizacyjnymi i łącznościowymi Sztabu NW, własne wojska. Takie decyzje mogły zapaść już najpóźniej 8 września i z pewnością uchroniłoby to nasze wojska od wielu tragedii, zaś Naczelnemu Wodzowi znacząco ułatwiłoby dowodzenie. Tymczasem stosowne w tym zakresie rozkazy wydane zostały, nie wiedzieć czemu, dopiero 10–11 września. Było to już, niestety, za późno, aby uzyskać choćby niewielkie, pozytywne efekty tego ruchu.

Dodać też trzeba, że aby nową ideę marszałka, nigdy wcześniej w żadnej postaci nierozważaną w szerszym gronie dowódczym Wojska Polskiego (a co dopiero mówić o jakimkolwiek, choćby teoretycznym ćwiczeniu wariantów czy planów realizacji) konieczny był czas. Niewykluczone, że uzyskanie 7–10 dni na dopracowanie koncepcji, odbudowanie łączności, scalenie sztabu, uporządkowanie mobilizowanych chaotycznie jednostek, elementarne odbudowanie możliwości komunikacyjnych, przy rosnących

obiektywnie trudnościach niemieckich, dałoby jakąś szansę realizacji tego, nawet zmodyfikowanego, założenia strategicznego.

Paradoksalnie, uzyskanie tego czasu stało się możliwe. Wystarczyło tylko rzeczywiście skoncentrować się na dowodzeniu wojskiem, a nie rozważaniu, kiedy i w jakich okolicznościach prezydent złoży urząd i czy następca prezydenta będzie miał warunki do jego przejęcia.

Mając świadomość tej potrzeby zdobycia czasu, marszałek Śmigły-Rydz ostatecznie zaakceptował koncepcję zwrotu zaczepnego gen. Kutrzeby. Zauważył w nim szansę na uzyskanie oddechu przy organizowaniu ewentualnej obrony w części środkowej planowanej linii obrony. Nie zrobił jednak nic, aby dobrze zapowiadającą się i początkowo odnoszącą znaczące sukcesy akcję, odpowiednio wzmocnić i wykorzystać. Choćby poprzez – znowu – odpowiednie skoncentrowanie dowodzenia na większym obszarze operacyjnym, co wykluczałoby sabotaż działania gen. Kutrzeby przez gen. Rómmla czy brak zaangażowania części armii „Łódź". Marszałek, zamiast uzgodnić realnie działanie gen. Kutrzeby z sąsiadami, wyznaczył mu absurdalnie nierealny cel operacji (atak w kierunku na... Radom), a następnie, gdy zorientował się, że mimo wszystko uzyskał zamierzony efekt, a więc osłabienie nacisku Niemców w całym obszarze środkowej Wisły, natychmiast stracił zainteresowanie dalszym rozwojem wypadków.

Jeszcze gorzej kolejna „walka o czas" wyglądała na kluczowym, północnym odcinku frontu. Kiedy gen. Kowalski z niemałym trudem zmontował zabezpieczenie linii Bugu oraz przejścia pod Wyszkowem, którym uchodziły z zagrożonych pozycji oddziały polskie, a na północnym odcinku Narwi siły polskie odpierały już na dobrze przygotowanych, umocnionych pozycjach ciągle jeszcze niemrawe ataki niemieckie, marszałek Śmigły-Rydz odzyskał – na nieszczęście – nagłe zainteresowanie tym obszarem walki. Już 8 września zaczął na wszystkie możliwe sposoby monitować kogo się tylko dało, aby natychmiast opuścić linię Narwi. Splot wydarzeń był znowu fatalny. Stało się to w momencie, gdy do pozycji polskich dotarł wreszcie Korpus Guderiana. Obrona tych pozycji jak najdłużej leżała w najbardziej oczywistym interesie całości ugrupowania polskiego i wręcz warunkowała jakąkolwiek realność nowego planu obrony. Powstrzymanie Niemców dawało czas na odcinku północnym, bowiem 3 Armia nie miała już sił, aby samodzielnie sforsować Bug i wyjść na tyły wojsk polskich. Tylko wsparcie korpusu pancernego mogło otworzyć jej dalszą drogę. Aby zatem bronić linii Bugu, zyskać w ten sposób czas na

zejście całej SGO „Narew" i wydatne wzmocnienie tego odcinka, wreszcie dać czas na organizowanie się Sztabu NW w Brześciu i odbudowę systemu dowodzenia, powstrzymanie Guderiana na linii Narwii było zadaniem w sposób najbardziej oczywisty fundamentalnym.

Tymczasem Naczelny Wódz, któremu, na nieszczęście, udało się odzyskać cząstkowo łączność z terenem na tym niestety odcinku, przez cały dzień 8 września podejmował nadludzkie wysiłki, aby tę polską redutę zdemontować. Kiedy widzący oczywistą absurdalność tych poleceń polscy dowódcy sabotowali ich wykonywanie, Naczelny Wódz wymusił wręcz na dowódcy odcinka fortecznego ppłku Tabaczyńskim w bezpośredniej rozmowie [sic !], aby ten zdjął ich obsadę. Pomijając już żałosność sytuacji, w której Naczelny Wódz wydaje bezpośrednie polecenia zachowującym trzeźwość umysłu i oceny sytuacji oficerom takiego szczebla, podkreślić trzeba, że z punktu widzenia ogólnych celów i planów Naczelnego Wodza, odejście tych niewielkich oddziałów fortecznych w celu realizacji innych, rzekomo ważniejszych zadań, nie miało żadnego sensu. Zamiast zatem zatroszczyć się o to, by sprawnie zorganizować obronę Bugu przynajmniej na pewien czas, konieczny do realizacji swych zamiarów, Naczelny Wódz pół dnia ganiał za ppłkiem Tabaczyńskim, aby ten wycofał się ze swoimi dwoma batalionami ze świetnie przygotowanych do obrony pozycji. Spuentujmy to tylko w ten sposób – skoro niewielki oddział forteczny kapitana Raginisa, który nie opuścił umocnień pod Wizną, wstrzymał marsz korpusu Guderiana na dwa dni, to można sobie tylko wyobrazić, ile czasu zajęłoby Niemcom sforsowanie pełnej obrony tego odcinka Narwi.

Te dwa dni dały i tak wiele. Naczelny Wódz mógł bowiem spokojnie przygotować sobie drogi dalszej ucieczki na południe oraz kolejne plany pilnowania prezydenta, aby tenże przypadkiem nie mianował nikogo innego swoim następcą. Do niczego innego marszałek tego heroicznego oporu garstki bohaterów pod Wizną wyzyskać już nie zdołał[334].

Co więcej, najwyraźniej podniecony odzyskaną inicjatywą w dowodzeniu choćby na niewielkim odcinku, poszedł jeszcze dalej. Dążąc do skoncentrowania w Polsce południowo-wschodniej maksymalnej ilości oddziałów, Naczelny Wódz postanowił natychmiast zwinąć obronę Bugu

[334] Podobnie heroiczny bój z niemiecką 10 Dywizją Pancerną stoczył w okolicach Łomży i Nowogrodu osamotniony na tej pozycji 33 Pułk Piechoty. I ten wysiłek, dający wiele bezcennego czasu, Naczelny Wódz całkowicie zmarnotrawił.

i ściągnąć oddziały GO „Wyszków" i SGO „Narew" przynajmniej za Wieprz. Rozpocząć się miał w ten sposób wyścig polskiej piechoty z niemieckimi czołgami, przerywany od czasu do czasu mniejszymi bądź poważniejszymi starciami. Wycieńczone oddziały polskie skończą realizację tego bezmyślnego polecenia w bitwie pod Tomaszowem Lubelskim. Mimo porażającej wręcz absurdalności tego, w praktyce ostatniego, wywołującego realne skutki rozkazu Śmigłego-Rydza, dowódcy i żołnierze obu grup operacyjnych zapisali wspaniałą kartę walki z Niemcami. Szkoda że ich niewyobrażalne poświęcenie złożone zostało na ołtarzu próżnych ambicji.

Generał Kowalski, chcąc nie chcąc, wykonał rozkaz Naczelnego Wodza. Tym bardziej, że ten, dla realizacji tego chorego zamierzenia, wręcz wysłał osobistego wysłannika. Major Napieralski miał na miejscu przypilnować, aby przypadkiem już tym razem generał nie kontestował szalonych poleceń. Tym bardziej że równolegle, pozbawiony łączności z podejmującym jakieś karkołomne decyzje Sztabem NW, jego szef, gen. Stachiewicz, czynił w porozumieniu z gen. Kowalskim nadludzkie wysiłki, aby utrzymać właśnie linię Bugu[335].

Dlaczego opuszczenie Wyszkowa miało tak daleko idące skutki? Pułkownik Napieralski zaczął wydawać polecenia pierwszym jednostkom obsadzającym linię Bugu pod wieczór 9 września. Od świtu oddziały armii „Poznań" z powodzeniem walczyły, odrzucając kompletnie zaskoczone dywizje 8 Armii. Mimo narzucenia gen. Kutrzebie absurdalnego celu natarcia, wzmocnione zregenerowanymi siłami armii „Toruń" i znaczną częścią sił armii „Łódź" dowodzonymi przez gen. Thomme, jednostki nacierające mogły mieć możliwość doprowadzenia do znaczącego przesilenia w centralnym obszarze walki.

Przypomnieć tu wypada, że w podobnie trudnej sytuacji w 1920 roku, śmiałe uderzenie Józefa Piłsudskiego całkowicie odmieniło losy uznawanej powszechnie za przesądzoną wojny z bolszewikami. Niemcy cały czas obawiali się podobnych zwrotów zaczepnych ze strony polskiej. Przypomnieć należy jeszcze raz, że kiedy 4–5 września ich naczelne dowództwo

[335] Nie ma chyba nic bardziej przygnębiającego niż lektura tego fragmentu opracowania gen. W. Stachiewicza, w której opisuje on swoją irytację po przybyciu do Brześcia, na wieść o wydaniu przez Naczelnego Wodza polecenia opuszczenia Wyszkowa. Ten do bólu lojalny wobec swojego byłego zwierzchnika oficer, w ledwo zawoalowany sposób oddaje w tym miejscu skalę swojego oburzenia, ale też nie ukrywa, że ta właśnie decyzja właściwie zrujnowała ostatecznie wszelkie dalsze, racjonalne wysiłki w zakresie prowadzenia wojny.

OKH dokonywało modyfikacji założeń prowadzonej wojny, odrzucono śmiałe propozycje gen. von Rundstedta, który zalecał uderzenia w głębokie zaplecze sił polskich. Dziś wiemy, że Rundstedt miał rację, a gdyby przyjęto jego propozycje, kampania skończyłaby się jeszcze bardziej porażającą klęską Polski. Jednak dowództwo Wehrmachtu, kierując się nadzwyczajną ostrożnością, wybrało drogę systematycznego niszczenia wojsk polskich na obszarze na zachód od Wisły, a działania w głąb ugrupowania polskiego za Narew i San potraktowało jako dezorganizujące polski opór uzupełnienie.

Stąd, kiedy nastąpił, w sumie oczekiwany przez Niemców, polski decydujący kontratak (nie mieli oni świadomości, że pierwotnie planowanym po stronie polskiej atakiem o takim charakterze miała być operacja piotrkowska, z którą poradzili sobie bez większego trudu), zrewidowało to ponownie wszystkie plany niemieckie. Kiedy Niemcy uświadomili sobie możliwą skalę polskiego kontruderzenia (około 15 wielkich jednostek, nie licząc współdziałania sił zgromadzonych w rejonie Warszawy i Modlina, których stanu nie znali), natychmiast w praktyce powstrzymali działania 10 Armii, której niemal cały potencjał został skierowany na wsparcie śmiertelnie zagrożonej 8 Armii. Także bezczynna od wielu dni 4 Armia, osłabiona na rzecz 3 Armii, została poderwana do aktywnych działań, zwłaszcza poprzez przejście na południowy brzeg Wisły.

O ile niemieckie dowództwo potraktowało tę sytuację ze śmiertelną powagą i podjęło natychmiast wszelkie możliwe działania, aby przynajmniej zrównoważyć siły polskie i nie dopuścić ich do osiągnięcia poważniejszych postępów, o tyle po stronie polskiej rozpoczął się jakiś zupełnie niewyobrażalny chaos. Oto, zainstalowany wreszcie w Brześciu, Naczelny Wódz wykazuje kompletny brak zainteresowania rozstrzygającą operacją wojenną, a poświęca czas na wyrysowywanie na mapie jakichś egzotycznych planów obronnych, do tego rozwijając kolejne ich warianty zejścia na oddalone o setki kilometrów od głównego teatru działań, wymyślone dopiero co „przedmoście rumuńskie". Poświęca czas na planowanie obrony na owym przedmościu, a nie interesuje się tym, co się dzieje na przedmościu Stolicy swojego kraju. Poświęca czas na tłumaczenie ppłkowi Tabaczyńskiemu, aby ten wycofał się z dwoma batalionami fortecznymi ze świetnie umocnionych pozycji nad Narwią (bo chce ich użyć do obrony „przedmościa rumuńskiego" ponad tysiąc kilometrów dalej?), ale nie ma

czasu na poszukanie kontaktu z gen. Kutrzebą czy gen. Rómmlem. Wreszcie zadaje ostateczny cios własnej armii, zmuszając do opuszczenia linii Bugu jednostki gen. Kowalskiego, by maszerowały bez sensu setki kilometrów do wyimaginowanej na mapie kolejnej linii obrony.

Kiedy wymęczone i niezdolne w praktyce do sforsowania Bugu oddziały 3 Armii otrzymały w prezencie od polskiego Naczelnego Wodza spokojne przejście na zaplecze Warszawy, został przesądzony los bitwy pod Kutnem. Zanim zdążyła się ona rozwinąć, zanim Niemcy zdołali przerzucić swoje wojska, o jej losie zdecydował swoim rozkazem Naczelny Wódz.

Nieniepokojona dotąd w żaden sposób od wschodu Warszawa znalazła się bowiem natychmiast w strefie bezpośredniego zagrożenia. Wyszków od centrum Warszawy dzieliło 55 km, ale do opłotków Warszawy było stamtąd tylko niecałe 40 km. Utworzona dzień wcześniej Grupa Armii Warszawa skupiała do wieczora 9 września całą swoją uwagę na działaniach na zachodnim brzegu Wisły. Obecny ciągle w Warszawie gen. Stachiewicz zapewniał, iż obrona Bugu jest stabilna, więc uwaga dowódcy armii w Warszawie gen. Rómmla winna być skoncentrowana na podjęciu aktywnych działań na rzecz uderzenia gen. Kutrzeby. Jedynym elementem, który należało tu dopracować, było zapewnienie współdziałania ze strony gen. Thomme, którego silna grupa operacyjna maszerowała w momencie uderzenia wojsk armii poznańskiej na Niemców, jakieś 25 km od terenu walki. Zawrócenie tych wojsk, zmierzających do Modlina, wydawało się zadaniem prostym, a ich udział w bitwie, wraz z choćby aktywnym wiązaniem pod Warszawą sił 10 Armii, stwarzał wielkie szanse dla działania pod Kutnem.

Generał Rómmel nie chciał jednak w żaden sposób wesprzeć działania armii poznańskiej, a jeszcze bardziej nie chciał, aby włączyć do tego działania porzuconą przez siebie armię łódzką. Jednak do poranka 10 września, nie miał żadnego pretekstu, by tak uczynić. Wydawało się, że sytuacja zmusi go do współdziałania z atakującymi wojskami polskimi. Ale wtedy okazało się, że pojawiło się zagrożenie na wschodnim brzegu Wisły. Gen. Rómmel natychmiast porzucił jakiekolwiek próby działania na zachodnim brzegu rzeki, wskazując – w pewnym sensie słusznie – na konieczność zabezpieczenia Warszawy od wschodu. Jeśli dodamy do tego, że rozkazy ewakuacyjne Naczelnego Wodza dla oddziałów GO „Wyszków" i SGO „Narew", wskazujące jakieś absurdalne trasy przemarszów, skutecznie rozbijały te

grupy na wyizolowane, błąkające się po lasach oddziały, to dociera do nas porażająca skala konsekwencji tego ostatniego rozkazu Śmigłego-Rydza.

Nieniepokojeni w żaden sposób spod Warszawy i od strony jednostek znajdujących się na wschodnim brzegu Wisły (które w przypadku utrzymania Bugu również mogły istotnie wiązać oddziały 10 Armii) Niemcy spokojnie koncentrowali przez kolejne dni siły, które mogły w końcu przeważyć szalę konfrontacji z osłabionym (także spokojnym odejściem gen. Thomme do Modlina) w ciągłym, wielodniowym boju zgrupowaniem Kutrzeby.

Być może bitwa pod Kutnem nie rozstrzygnęłaby wojny 1939 roku tak, jak miało to miejsce w 1920 roku. Gdyby jednak utrzymana została zarówno obrona Narwi, jak i linia obrony na Bugu, w ślad za tym w bitwie pod Kutnem wzięłyby udział również oddziały armii „Łódź" i armii „Warszawa", szanse na jej inny przebieg byłyby przeogromne. Niemcom nie starczyłyby do korzystnego dla siebie rozstrzygnięcia siły zdruzgotanej uderzeniem z czterech stron 8 Armii oraz ściągane fragmentami oddziały 10 Armii. Siły 4 Armii również nie byłyby w stanie przeważyć dostatecznie szali bitwy, z olbrzymim zgrupowaniem polskim. Niemcy musieliby posiłkować się siłami 14 Armii, bo jakiekolwiek osłabienie swoich sił na północy groziłoby, w ich przekonaniu, nieuchronnym atakiem polskim na Prusy Wschodnie. Zapędzona najdalej na wschód 14 Armia, w przypadku niepowodzenia w bitwie na zachód od Wisły, znalazłaby się w tragicznym potrzasku. Jest oczywiste, że jej powstrzymanie, a nawet cofnięcie, celem wsparcia 10 Armii na przedpolu Warszawy, byłoby najzupełniej konieczne i oczywiste. Nawet gdyby ostatecznie wojska gen. Kutrzeby przegrały tę konfrontację, to marszałek Śmigły-Rydz otrzymałby czas, aby skutecznie przywrócić polską linię obrony przynajmniej na linii Bugu–Wisły–Sanu. A więc w dużo lepszym położeniu niż planował to sobie podczas ucieczki z Warszawy. Nie mam najmniejszej wątpliwości, że taką szansę dostrzegłby i wykorzystałby marszałek Józef Piłsudski.

Dodać też trzeba, że Niemcy, około 14 września, zaczęli ostrożnie wycofywać z Polski i przerzucać na Zachód część swoich sił. Przedłużenie oporu Polski wynikało właśnie z tego częściowego osłabienia wojsk niemieckich, ale też ich zmęczenia fizycznego i zużycia materiałowego. Eskalacja bitwy pod Kutnem, skuteczny opór na linii Narwi i Bugu, a wraz z nimi jeszcze większe straty niemieckie i konieczność absorbowania jeszcze większych sił, choćby na tych teatrach, wykluczając szanse ich

użycia w ewentualnych walkach na Zachodzie, były dodatkowymi czynnikami działającymi na rzecz strony polskiej.

Paradoksalnie zatem, mimo poniesionych w pierwszym tygodniu wojny ciężkich niepowodzeń, mimo zawalenia się pierwotnego planu prowadzenia wojny, 9 września Naczelny Wódz otrzymał wielką szansę. Choćby zdobycia tego, co podkreślał – rzekomo – wobec swoich podwładnych u progu wojny: zdobycia czasu. Niezbędnego do uruchomienia rzekomego wsparcia sojuszniczego[336]. A z pewnością czasu, który wydatnie przedłużyłby kampanię i z pewnością postawiłby Niemców (ale też Sowietów) w o wiele trudniejszym położeniu. Tego daru wciskającego się w jego ręce też nie potrafił przyjąć i rozsądnie nim gospodarzyć.

Rozstrzygająca katastrofa na odcinku północnym sprokurowana została przez Naczelnego Wodza, który zaczął – bez oglądania się na uwarunkowania – realizować wymyślony naprędce koncept nowej strategii obronnej. Obrońcy marszałka mogliby powiedzieć, że mógł się przecież pomylić, zajmował się frontem północnym przez okres kampanii rzadko, toteż pomyłka mogła się zdarzyć. Przyjrzyjmy się zatem, jak marszałek dowodził polskim wojskami na obszarze południowym. Tam od pierwszego dnia wojny koncentrowała się bezpośrednio cała jego uwaga, tam niemal za rękę wiódł swoich nominatów na kluczowe stanowiska – gen. Szylinga oraz gen. Fabrycego.

Wydaje się, że nie ma specjalnie powodu, aby poddawać jakiejś szczególnej analizie rażącą niekompetencję, niezdolność do trzeźwej oceny sytuacji własnej i przeciwnika, zgubne uleganie emocjom przez dowódcę armii „Kraków". Jego najbardziej fatalna postawa doprowadziła nie tylko do całkowicie niepotrzebnego odwrotu, z niezagrożonych działaniem niemieckich pozycji obu części jego armii, ale dodatkowo wprowadziła katastrofalny chaos w polskie dowodzenie. Marszałek Śmigły-Rydz przez pierwsze cztery dni wojny koncentrował swoją uwagę przede wszystkim na – prezentowanej mu skądinąd nieprawdziwie – sytuacji tej armii. W oparciu o te oceny dokonał niepotrzebnej rewizji całego założenia operacyjnego, a zapewne też z tego powodu nie wziął bezpośredniego udziału

[336] Na marginesie dodać należy, że podejmujący 12 września w Abbeville decyzję o zaniechaniu jakichkolwiek działań przeciw Niemcom Francuzi i Anglicy pozostawali zapewne pod wpływem tych wszystkich, bardzo przygnębiających informacji z Polski. Można jednak wyobrazić sobie, jaką trudność sprawiłoby im podejmowanie podobnej decyzji, gdyby sytuacja w Polsce rozwijała się w tym momencie inaczej.

w planowanym starciu generalnym w okolicach Piotrkowa. Po nieudanej próbie zmontowania frontu swojej armii na rzekach Nida–Dunajec, gen. Szyling przez ponad tydzień spokojnie maszerował wzdłuż Wisły wraz z północną częścią zgrupowania krakowskiego. Niemal nieniepokojony, 12 września przeszedł za Wisłę z kilkoma świeżo wyglądającymi wielkimi jednostkami, bardzo radując tym Naczelnego Wodza. Przez ten tydzień gen. Szylingowi w ogóle nie przyszło do głowy zainteresowanie się tym, co się dzieje na południe od niego, gdzie ciężko walczyła m.in. druga część jego armii, czy na północ od niego, gdzie Niemcy spokojnie dobijali południowe zgrupowanie Armii Odwodowej.

Generał Fabrycy przystąpił do wojny na czele armii, która nie miała praktycznych możliwości stawienia czoła regularnym wojskom niemieckim. Zgrupowanie armii „Karpaty" złożone było głównie z jednostek KOP (przeznaczonych i szkolonych do zupełnie innych działań) oraz batalionów i brygad Obrony Narodowej. Skutecznie stawiać czoła świetnie wyszkolonym dywizjom górskim oraz pancernym przeciwnika, przy praktycznym braku broni ciężkiej, armia ta szans nie miała. O ile ze Słowakami w tym stanie rzeczy można było walczyć z sukcesem, Niemcom podołać już nie było można. To są fakty bezdyskusyjne i za to gen. Fabrycemu zarzutów czynić żadną miarą nie można. Tak jednak było na początku wojny.

Rozstrzygający chaos na tym odcinku zafundowała znowu opieszałość Sztabu NW. Dla wzmocnienia południowych pozycji armii „Kraków" i „Karpaty" Naczelny Wódz zadysponował m.in. 11 i 24 DP mobilizowane w ostatniej fazie we wschodniej Małopolsce. Ich dojazd po linii kolejowej Lwów–Kraków miał być sprawny, ale systematyczne bombardowania niemieckie znacząco spowolniły transport tych jednostek. Niemniej ok. 4 września obie znajdowały się już w rejonie, który w zależności od chłodnej oceny sytuacji, winien stanowić punkt podparcia polskiej obrony. Zgodnie z dyspozycją Naczelnego Wodza, południowe zgrupowanie armii „Kraków" miało obsadzić linię Dunajca, którą od południa miał zabezpieczać gen. Fabrycy. Na Dunajec wycofywała się więc GO „Boruta", a w rejonie Tarnowa znalazły się pierwsze wyładowywane oddziały 11 DP. Mimo problemów komunikacyjnych w rejonie tym znalazły się również transporty części 24 DP. Dojeżdżały wreszcie niezwykle pożądane dywizjony artylerii. Niestety, ponieważ do armii „Karpaty" nie dostarczono odpowiednich szyfrów, nie można było przystąpić przez kilkadziesiąt godzin

do wyładowywania większości jednostek. Zamiast zatem budować skuteczną linię obrony na Dunajcu, składającą się z dwóch świeżych dywizji piechoty i silnej już artylerii i spokojnie czekać na wzmocnienie obrony przez wycofujące się siły GO „Boruta", szukano możliwości rozszyfrowania transportów. Tymczasem pogłębiał się chaos na linii kolejowej, wynikający z natłoku transportów ewakuacyjnych, blokujących dojazd pozostałych jednostek mających wzmocnić obronę odcinków południowych.

7 września stało się oczywiste, że wobec agresywnych działań niemieckich oraz chaosu po stronie polskiej, linii Dunajca nie da się utrzymać. Wtedy Sztab NW oraz gen. Fabrycy, który – wobec zaniknięcia kontaktu z gen. Szylingiem – w praktyce przejął wieczorem 6 września dowodzenie na odcinku południowym utworzoną armią „Małopolska", zadysponował budowę linii obrony na Wisłoce. Ponieważ w tym czasie, większość 11 DP zaczęto wyładowywać w okolicach Wisłoki, rozkazano tym jednostkom marsz w kierunku Dunajca. Z kolei 24 DP, w większości obsadzająca już Dunajec, zamiast czekać na przybycie 11 DP oraz docierającej już po ciężkim marszu GO „Boruta", rozpoczęła wycofywanie się na rzekę Wisłok[337]. Jednocześnie obsadzające Dunajec i Wisłokę na południu oddziały KOP, ON i brygady górskie nie były w stanie bez broni ciężkiej powstrzymać prących sił 1 i 2 Dywizji Górskiej. Uratowanie linii Wisłoki stało się więc nierealne, wobec czego gen. Fabrycy nakazał wycofanie na linię Wisłoka. Miotane bezustannie 11 i 24 DP nie były w stanie w tych warunkach stawić czoła XXII Korpusowi Pancernemu, który dotarł do Wisłoka, a następnie parł już dalej w kierunku na Rzeszów i nieodległego Sanu. Resztki GO „Boruta", nie mogąc nadążyć za wycofującymi się w coraz większym chaosie dwoma dywizjami polskimi, ponosiły coraz większe straty w walkach z postępującymi równolegle Niemcami.

8 września Niemcy dotarli do Wisłoka w okolicach Rzeszowa, gdzie obrona opierała się na jednostkach 10 brygady kawalerii zmotoryzowanej. Jednak i tej linii obrony nie udało się utrzymać. Kluczowym zadaniem dla zgrupowania południowego – zgodnie z wytycznymi Naczelnego Wodza

[337] GO „Boruta" dotarła nad Wisłok wieczorem 6 września, ale z uwagi na zmęczenie jej dowódca zdecydował, że przeprawianie na wschodni brzeg rzeki nastąpi rankiem następnego dnia. Tymczasem obsadzająca linię rzeki 24 DP nocą z 6 na 7 września odeszła na Wisłokę. Postawiło to grupę gen. Spiechowicza w bardzo trudnym położeniu wobec ponownie nacierających Niemców i doprowadziło do wielu niepotrzebnych strat. Przekraczające bowiem rzekę jednostki polskie były kolejno atakowane przez niemieckie siły pancerne. W praktyce, 7 września, grupa została zniszczona jako licząca się jednostka operacyjna.

stało się zatem utrzymanie linii Sanu. W tym zakresie ani pierwotna koncepcja głównej pozycji obronnej, ani zmodyfikowany plan obrony w Polsce południowo-wschodniej, nie zmieniły się. Można było od biedy przyjąć, że dotychczasowe walki, nawet prowadzone w chaosie, miały na celu jedynie opóźnianie przeciwnika. W jakimś sensie było to prawdą, choć niepotrzebnie wytracono bardzo wartościowe jednostki GO Spiechowicza.

Niemniej na linii Sanu, naprzeciw XXII Korpusu oraz dywizji górskich, koncentrowano już wycofujące się oddziały 11 i 24 DP, zmierzały tam też 38 DP oraz tzw. grupa grodzieńska w sile dywizji piechoty. Wraz ze schodzącą brygadą płka Maczka, oddziałami armii „Karpaty" oraz resztkami grupy Spiechowicza, były to siły wystarczające do utrzymania linii rzeki przed atakami XXII Korpusu niemieckiego oraz dywizji górskich.

Niemcy, również wyczerpani ciężkimi, codziennymi walkami w trudnych warunkach, parli z dwóch kierunków na Lwów. 10 września uchwycili pierwsze przyczółki na wschodniej stronie Sanu. W tym momencie gen. Fabrycy usiłował zmontować kontruderzenie siłami 38 DP oraz większości 11 DP tak, aby zgodnie z żądaniem marszałka Śmigłego-Rydza wyrzucić Niemców z powrotem za San. Jednak pomiędzy gen. Fabrycym a przybyłym tego dnia na miejsce wysłannikiem Naczelnego Wodza gen. Kazimierzem Sosnkowskim doszło do kontrowersji. Sosnkowski, który następnego dnia miał objąć dowództwo Frontu Południowego, był niezadowolony z opieszałości działań Fabrycego, zupełnie inaczej widział też kierunki uderzenia. Do tego gen. Fabrycy dążył do przeniesienia swego sztabu do Lwowa, co kwestionował (i słusznie) gen. Sosnkowski uznając, że będzie to miejsce zbyt odległe i niedające swobody dowodzenia. Spór nie został rozstrzygnięty, ale gen. Fabrycy, nie bacząc na stanowisko Sosnkowskiego, jeszcze około południa udał się w drogę do Lwowa. We Lwowie dowódca armii „Małopolska" do wieczora właściwie pozorował jakieś przeorganizowanie położenia swoich jednostek do ciągle szykowanego kontruderzenia, jednak do późnego wieczora żadne dyspozycje nie zostały wydane. Niemniej gen. Fabrycy zapewniał Sztab NW, że najpóźniej rano 11 września podejmie działania, by Niemców za San odrzucić. Nic takiego się nie stało. Sztab NW rano 11 września miał już świadomość tego, że utracony został bezpowrotnie czas na zorganizowanie przeciwnatarcia na kluczowym obecnie odcinku frontu. Próbując ratować sytuację, powierzono gen. Sosnkowskiemu dowództwo Frontu Południowego. Jednak było to już działanie mocno spóźnione.

Ten kolejny okres chaosu nie mógł dobrze wpłynąć na sytuację wojsk polskich. Niemcy umocnili się na swoich pozycjach i podjęli dalsze działania, agresywnie wbijając się pomiędzy próbujące organizować obronę na Sanie, ciągle liczne oddziały polskie. Po wydarzeniach 11–12 września było już oczywiste, że i ten odcinek obrony jest fikcją. Oznaczało to zawalenie się całej, wymyślonej podczas ucieczki z Warszawy, nowej koncepcji obrony.

W konsekwencji był to moment, w którym zapadła w Sztabie NW decyzja jeszcze gorsza. Oto bowiem uznano, że od tej chwili opór może być kontynuowany właściwie jedynie na przedmościu rumuńskim. I zgodnie z tą koncepcją narzucono walczącym ciągle polskim oddziałom kompletnie absurdalne zalecenia maszerowania już nie dziesiątków czy setek kilometrów, ale niemal tysiąca kilometrów. Tymczasem, nawet jeszcze 12 września i później, armia polska biła się heroicznie, a jej dowódcy ciągle oczekiwali na jakieś rozsądne, mające szansę realizacji rozkazy. Wreszcie jakąś perspektywę tej obrony, która nadawała sens ich działaniom i usprawiedliwiała poświęcenie żołnierzy. Niestety, nic takiego ze Sztabu NW do walczących jednostek już nie płynęło. W kolejnych dniach chaos pogłębiał się, a do 17 września nie wypracowano w polskim dowództwie żadnej racjonalnej koncepcji kontynuowania oporu, poza pozbawioną jakiegokolwiek sensu ideą skoncentrowania oporu na przedmościu rumuńskim.

Kampania została przegrana zatem już 11–12 września, ale nie tyle wskutek jakiejś nadzwyczajnej skuteczności działania Niemców, ile w konsekwencji tragicznych błędów popełnionych przez głównodowodzącego siłami polskimi marszałka Śmigłego-Rydza. Trudno powiedzieć, czy nasi francuscy i angielscy alianci, uchwalając na konferencji w Abbeville 12 września 1939 roku decyzję o niepodejmowaniu w praktyce żadnych działań wojennych na rzecz wspomożenia polskiego wysiłku obronnego, dysponowali już precyzyjną wiedzą o powyższych faktach. Zapewne jednak wiedzieli stosunkowo dużo. Koincydencja szeregu wydarzeń jest bowiem porażająca. Z pewnością musieli oni już mieć świadomość, że polskie dowództwo kompletnie nie panuje nad sytuacją oraz nie ma rozeznania w położeniu własnych wojsk i że realizuje kompletnie oderwaną od rzeczywistości koncepcję obrony na przedmościu rumuńskim. Trzeźwa ocena sytuacji nakazywała wręcz nieangażowanie się w takiej sytuacji w walkę. Nie ulega też najmniejszej wątpliwości, że wiedza o tej decyzji aliantów była ostatecznym argumentem skłaniającym Stalina do napaści na Polskę.

Można sobie jednak wyobrazić, że skuteczna realizacja omówionych wyżej zadań – a więc obrony Narwi–Bugu, utrzymania środkowej Wisły, utrzymania Sanu oraz maksymalnego wyzyskania sił walczących pod Kutnem – postawiłaby ich w zupełnie innej sytuacji. Nie byłoby proste znalezienie wymówki dla swej pasywności. Przeciwnie, aktywne działanie francuskie miałoby rzeczywiście rozstrzygający charakter. Przy takim też rozwoju wydarzeń Stalin nigdy nie zdecydowałby się na atak na Polskę, która skutecznie odpierała niemiecki napór.

Fatalna postawa Śmigłego-Rydza polegała nie na opuszczeniu kraju w obliczu agresji sowieckiej 17 września (i przy okazji wydaniu kompromitującego rozkazu o niestrzelaniu do Sowietów). Pomiędzy 6 a 10 września, a więc wtedy gdy polscy żołnierze i polscy generałowie najbardziej potrzebowali siły charakteru swojego wodza, tenże bardziej pilnował ministra Becka i prezydenta Mościckiego, aby ci nie pozbawili go upragnionej prezydentury. Było to zachowanie niewybaczalne, a konsekwencje tej postawy były w najwyższym stopniu tragiczne. Pozbawiły bowiem ostatecznie wszelkich szans na skuteczne stawienie oporu Niemcom i to w sytuacji, gdy agresorzy coraz bardziej obawiali się o powodzenie swojej operacji. Ostatecznie doprowadziło do upadku polskiej obrony i ponownego rozbicia, z takim trudem odzyskanego państwa.

Zakończenie

Minister Józef Beck, podobnie jak Józef Piłsudski, nie miał złudzeń co do tego, że położona między dwoma, niekryjącymi aspiracji do przewodzenia światu imperializmami – niemieckim i sowieckim – Polska, prędzej czy później skazana jest na starcie z nimi. Chcąc temu spodziewanemu nieszczęściu zapobiec, przez wiele lat usiłował montować blok państw położonych w Europie Środkowej i w basenie Bałtyku. Sądził, nie bez racji, że zorganizowane w ten sposób tzw. międzymorze będzie stanowić skuteczną przeciwwagę dla niemieckich planów ponownego podporządkowania sobie krajów Europy Środkowej. Jednocześnie miała to być także skuteczna zapora przeciw sowieckim planom eksportu rewolucji na zachód Europy.

Realizacji tego planu przeszkadzało jednak wiele problemów. Przede wszystkich głębokie różnice między Polską a Czechosłowacją. Oba kraje uważały się wzajemnie za najsłabsze ogniwo porządku powersalskiego w Europie i za niezdolne w dłuższej perspektywie do przetrwania. Nienawidzili się i pogardzali sobą wzajemnie ich przywódcy. Dzielił też je stosunek do komunistycznej Rosji i fakt, że Czechosłowacja uchodziła za swoisty przyczółek sowiecki w Europie Środkowej.

Kolejnym problemem była niemożność przełamania animozji przede wszystkim pomiędzy Węgrami a Rumunią i Jugosławią. Mimo że Polska akurat ze wszystkimi tymi krajami miała relacje bardzo dobre, nie była w stanie tych barier przełamać. Tu także natrafiała na dość skuteczną antywęgierską alternatywę forsowaną przez Czechosłowację, która z sukcesem montowała Małą Ententę wraz z Jugosławią i Rumunią.

W basenie Bałtyku zaś największą przeszkodą w realizacji zamierzeń Becka była niemożność przezwyciężania olbrzymich różnić pomiędzy Polską a Litwą, co stawiało starania polityki polskiej w tym obszarze pod znakiem zapytania.

Kryzys czechosłowacki roku 1938, a następnie wydarzenia z marca i kwietnia 1939 roku, dały Beckowi dwukrotnie wielką możliwość – wymarzoną wręcz koniunkturę – by te zamierzenia zrealizować. Czynnikiem, który w tym momencie działał też zdecydowanie na korzyść Polski, było

zaangażowanie Anglii w próbę skonstruowania w Europie Środkowej szerokiego bloku antyniemieckiego. Miało to wielkie znaczenie, bowiem wspomniane dążenia Polski odbierane były przez jej sąsiadów z pewną obawą, jako wyraz chęci zdominowania ich czy wręcz podporządkowania sobie. Działanie czynnika angielskiego, jako w pewnym sensie inicjatora tej konstrukcji, ale też swoistego gwaranta, zdejmowało z Polski ciężar takich podejrzeń.

W tym kontekście postawa ministra Becka w tych dwóch okresach musi budzić najwyższe zdumienie. Wydaje się niepojęte, że tej tak oczywistej koniunktury on, jakże wytrawny polityk, nie potrafił wykorzystać dla trwałego wzmocnienia Polski i uczynienia olbrzymiego kroku w kierunku zrealizowania swych zamierzeń. Tymczasem w istocie antyczechosłowacka polityka jesienią 1938 roku, jak również brak jakichkolwiek usiłowań w kierunku nawiązania realnego kontaktu z Brytyjczykami w tym czasie, przekreśliły pierwszą, znakomitą sposobność powstania sojuszu. Później błędne stanowisko wobec propozycji angielskich z początku kwietnia 1939 roku oraz niechęć do angażowania się w szersze konstrukcje obronne doprowadziły nie tylko do zburzenia dotychczasowej polityki polskiej, ale i do jej pełnego wyizolowania od partnerów, na których tak bardzo przecież liczono. Jest do dziś niezrozumiałe, dlaczego tak się stało.

Te zabiegi polskiej polityki były z najwyższym niepokojem obserwowane i w Berlinie, i w Moskwie. Dla Niemiec zorganizowanie krajów Europy Środkowej, i to przez Anglików, mogło oznaczać praktycznie przekreślenie wszelkich planów ekspansji w Europie. Stawały się one bowiem krajem okrążonym przez współpracujących ze sobą ściśle sojuszników, gotowych do zdecydowanej rozprawy z ich wszelkimi agresywnymi poczynaniami.

Dla Związku Sowieckiego stanowiło zaś stworzenie skutecznej bariery odgraniczającej od Europy i uniemożliwiającej „rewolucyjny pochód". Stąd oba kraje, na różne sposoby, dążyły do storpedowania tych planów. Niestety, to postawa Becka we wskazanych dwu krytycznych momentach zadecydowała o niepowodzeniu tej wielkiej idei.

Jednak obecnie i przed wojną, i po wojnie przeświadczenie, że stało się tak dlatego, iż Beck reprezentował stanowisko proniemieckie czy był wręcz niemieckim agentem, jest po prostu absurdem. Polityka niemiecka ministra Becka, a wcześniej Piłsudskiego, nie wynikała z sympatii do Niemiec

czy Hitlera, a była jedynie logiczną odpowiedzią na zupełne porzucenie Polski przez jej zachodnich sojuszników, zwłaszcza Francję. Kiedy polityka ta zaczęła, z punktu widzenia polskich interesów, przynosić niespodziewane pozytywne rezultaty, było oczywiste, że starano się te korzyści systematycznie powiększać. Punktem krytycznym był kryzys austriacki. Poparcie Polski dla akcji niemieckiej i brak zainteresowania jej rezultatami okazały się fatalnym błędem. Doprowadziło to bowiem do gwałtownej zmiany strategicznego położenia Niemiec (zwłaszcza wobec Czechosłowacji) i do wzmocnienia aliansu Hitlera z Mussolinim. W tym momencie polityka polska przekroczyła pewien punkt krytyczny, poza którym rozzuchwalone sukcesami Niemcy musiały prędzej czy później zwrócić swą uwagę na Polskę.

Niemcy w 1938 i niemal do maja 1939 roku nie zakładały w żadnych swych planach wojny z Polską. Przeciwnie, Polska była im potrzebna do realizacji zamiarów Hitlera. Jego podstawowym celem w tym czasie było doprowadzenie do rozprawy z Francją i z Anglią. Chodziło nie tylko o wyeliminowanie głównych konkurentów w Europie, ale przede wszystkim o przejęcie ich imperiów kolonialnych. Kolonie i ich zasoby surowcowe były bowiem Niemcom bezwzględnie potrzebne do dalszego rozwoju ich przemysłowej machiny, a w ślad za tym ich potęgi wojskowej. Bez dostępu do źródeł surowcowych nie było możliwe utrzymanie dynamiki ekonomicznej państwa niemieckiego.

Rozprawa na Zachodzie miała też przygotować Niemcy do rozbicia Związku Sowieckiego, który był celem kolejnym. Podbicie Rosji było nie tylko wyzwaniem ideologicznym, związanym z chęcią zniszczenia komunizmu, ale także sposobnością do zdobycia upragnionej przestrzeni życiowej.

Cele te mogły być zrealizowane tylko przy założeniu pozytywnej postawy Polski. Hitler pamiętał ciągle o doświadczeniach Wielkiej Wojny i miał świadomość, że Francja i Anglia, w obliczu zagrożenia, będą szukać współpracy ze Związkiem Sowieckim, nie bacząc na żadne różnice ideologiczne. Takiemu sojuszowi Niemcy nie były w stanie sprostać. Stąd Polska miała pełnić rolę bariery przed sowieckim zaangażowaniem na rzecz Zachodu w pierwszej fazie, w drugiej zaś – stać się cennym sojusznikiem w rozprawie z Rosją.

Po sukcesie odniesionym kosztem Czechosłowacji Niemcy uznali, że konieczne jest ściślejsze podporządkowanie sobie Polski, co wykluczać

miało jej jakiekolwiek związki z państwami zachodnimi, zwłaszcza z Francją. Z tego punktu widzenia należy oceniać niemieckie inicjatywy wobec Polski na przełomie 1938/1939 roku.

W tym kontekście brytyjska inicjatywa z końca marca i podjęcie jej przez Polskę, ale zwłaszcza rozmowy sztabowe, które czyniły realną groźbę wojny na dwa fronty, spowodowały zmianę nastawienia Hitlera. Na przełomie kwietnia i maja uznał on, że Polskę trzeba będzie w bliżej nieokreślonej przyszłości po prostu wyeliminować. Termin uzależniał od maksymalnie dla Niemiec pozytywnej koniunktury, a że takiej wydawało się nie być w dającej się przewidzieć przyszłości, przeto i czas rozprawy z Polską nie był określony. Dopiero inicjatywa sowiecka, poparta sprytnym szantażem w postaci rozmów w Moskwie z udziałem przedstawicieli Anglii i Francji, popchnęły Hitlera do sojuszu ze Związkiem Sowieckim.

Ale zanim się to stało, polityka polska straciła, jak się zdaje, jeszcze wiele możliwości uniknięcia konfliktu. Można chyba bez błędu przyjąć, że do końca lipca 1939 roku istniały jeszcze szanse odsunięcia widma wojny z Niemcami. Tyle tylko, że w tym okresie trzeba byłoby zapłacić za to znacznie już wyższą cenę.

Warto jednak w tym miejscu zastanowić się, czy rację miał Beck, gdy w swym słynnym – bez wątpienia najlepszym w karierze – wystąpieniu mówił:

> *Pokój jest rzeczą cenną i pożądaną. Nasza generacja, skrwawiona w wojnach, na pewno na pokój zasługuje. Ale pokój, jak prawie wszystkie sprawy tego świata, ma swoją cenę wysoką, ale wymierną. My w Polsce nie znamy pojęcia pokoju za wszelką cenę. Jest jedna tylko rzecz w życiu ludzi, narodów i państw, która jest bezcenna. Tą rzeczą jest honor.*

Czy patrząc na tę wypowiedź z perspektywy polskich doświadczeń następnych lat, uznać ją można za słuszną? Przypomnę tu wcześniejsze stwierdzenie. Polska straciła w latach wojny ponad 6 milionów obywateli i takich strat nie poniósł żaden inny kraj w Europie. Miliony Polaków znalazły się po wojnie poza granicami Polski. Polska straciła ponad połowę swego terytorium państwowego, a rządy okupacyjne doprowadziły kraj do ekonomicznej ruiny. Zbrodnicze reżimy okupacyjne doprowadziły do likwidacji niemal całej polskiej elity intelektualnej. Polska utraciła na

sześćdziesiąt lat niepodległy byt. Tyle, w dużym skrócie, kosztowało Polskę zachowanie honoru.

Wspomniany we wstępie J. Łojek był bodaj jedynym polskim historykiem, który odważył się postawić problem ewentualnego przyjęcia przez Polskę opcji proniemieckiej czy wręcz nawet czasowego uzależnienia Polski od Niemiec. Pisał on:

> *Po Monachium było zapewne jedno tylko wyjście, mogące zapewnić Polsce lepszy los niż ten, jaki ją spotkał w latach 1939–1945: natychmiastowe przystąpienie do paktu antykominternowskiego i powolne, jak najbardziej opóźnianie, ale realne wejście w przejściowy alians z Hitlerem, nawet za cenę korektur granicznych i pewnego ograniczenia na jakiś czas samodzielności polskiej polityki zagranicznej, przy jednoczesnym znacznym rozluźnieniu stosunków z Francją, a w sferze ideowej przy bardzo znacznym wzmocnieniu roli doktryny „prometejskiej". Jest oczywiste, że jeszcze przez pewien czas można było ustępować Hitlerowi stosunkowo tanim kosztem. Gdańsk mógł przestać być „wolnym miastem", a euforia z powodu włączenia tego miasta i portu do Rzeszy dałaby co najmniej kilka miesięcy, jeżeli nie rok pokoju, przy czym Polska, poza porażką prestiżową, nie poniosłaby żadnej istotnej straty. Można było ustąpić potem w kwestii eksterytorialnej autostrady przez „korytarz", który to projekt był przecież początkowo pomysłem polskim z końca lat 20., gdy mnożące się konflikty graniczne zaczęły skłaniać Warszawę do jakiegoś wyjścia z sytuacji.* (...) *Oczywiście, trzeba było się liczyć z dalszymi ustępstwami, może na Górnym Śląsku, może na Pomorzu... najlepiej rozkładając ustępstwa na małe raty.* (...) *Chodziłoby o doczekanie chwili, gdy alianci staliby się stroną konfliktu silniejszą od Niemiec, przy jednoczesnym przetrwaniu najniebezpieczniejszego okresu u boku Niemiec i przy wspólnym z Niemcami unicestwieniu stalinowskiej Rosji, aby alianci stracili na długo wszelką możliwość szukania kiedykolwiek w Moskwie liczącego się sprzymierzeńca.*

Tezy J. Łojka stoją w wyraźnej sprzeczności w stosunku do dominującej w Polsce tendencji prezentowania dramatycznych wydarzeń 1939 roku. Widać tu, jak wielkim obciążeniem były i są wydarzenia lat 1939–1945 – niemiecka polityka wobec Polski i Polaków w tym okresie i, przede wszystkim, „dokonania" Hitlera w tym czasie. To wszystko narzucało i ciągle narzuca wykluczanie wszelkich spekulacji na temat możliwości podjęcia

w 1939 roku niemieckich sugestii oraz ewentualnych następstw przyjęcia takiej postawy. Zaprezentowany przez Łojka hipotetyczny rozwój wydarzeń został w ogóle przemilczany. A szkoda. Wydaje się, że mamy prawo, właśnie z perspektywy gigantycznych strat, jakie w następstwie dokonanego w 1939 roku wyboru poniósł Naród Polski, takie rozważania podjąć.

Podzielając w dużej mierze wywody Łojka, chciałbym zwrócić uwagę na jeszcze kilka elementów.

Państwa, które przez niemal cały okres wojny były sojusznikami Rzeszy – Włochy, Rumunia, Węgry, Bułgaria czy Finlandia – uniknęły poważnych strat ludnościowych i materialnych. Ich powojenny los był w najgorszym zaś razie porównywalny z Polską, by wskazać tu Węgry, Rumunię czy Bułgarię. Jak na aliantów Hitlera skończyli nie gorzej niż my, dumni z tego, że pierwsi stawiliśmy mu opór.

Przyznać trzeba, że gdyby rzeczywiście w 1939 roku, nawet za cenę bolesnych koncesji, Polska znalazła się w sojuszu z Niemcami, losy Europy i świata z pewnością potoczyłyby się inaczej. Nie miejsce tu też, by toczyć rozważania, czy status sojusznika Hitlera dawał mimo wszystko więcej swobody, zwłaszcza wewnętrznej, niż pozostawanie przez blisko pół wieku pod dominacją sowiecką. Wydaje się jednak – a dowodzą tego losy trzech wspomnianych państw Europy Środkowej – że o wiele lepsza była ich sytuacja w ramach sojuszu antykominternowskiego, niż w ramach bloku sowieckiego.

Pojawiają się też spekulacje, że wejście do bloku hitlerowskiego, wobec oczywistej jego klęski w starciu z Rosją wspartą przez Zachód, nieuchronnie prowadziłoby do włączenia Polski jako republiki w skład Związku Sowieckiego. To zaś oznaczałoby likwidację nawet formalnej niepodległości państwowej. I tu jednak nie sposób nie zauważyć, że państwa bałtyckie, włączone przez Sowietów w 1940 roku, czy nawet niemająca tradycji niepodległości Ukraina uzyskały niepodległość ledwie kilkanaście miesięcy po Polsce w 1990 i 1991 roku.

Trzeba więc powrócić do kwestii postawionej przez Becka. Kwestii honoru. Wydaje się, że płk Beck traktował tę kwestię nie jako zgrabny i chwytający serca slogan propagandowy, który miał mu zapewnić upragnione zaufanie społeczne, ale jako fundament swej polityki. Był zatem w ówczesnej Europie swoistym Don Kichotem walczącym w wiatrakami, czyli z politykami, którzy w sposób cyniczny, niecofający się przed żadnym

kłamstwem czy intrygą, dążyli do najlepszego zabezpieczenia interesów swych krajów.

Była zatem postawa Becka z pewnością szlachetna – ale czy mądra? Czyż mając świadomość, z kim ma do czynienia, jak „partnerzy" w ówczesnych grach dyplomatycznych realizowali swe interesy, miał on prawo przyjmować postawę, która mogła, a w konsekwencji sprowadziła na Polskę i Polaków niewyobrażalne nieszczęścia? I czy w tym kontekście mamy dziś prawo ciągle twierdzić, że ówczesna polityka polska skazana była jedynie na te manewry, które podejmował Beck? Z pewnością nie!

Wojny z Niemcami, a wojny na dwa fronty już z całą pewnością, można było uniknąć, choćby za cenę pewnych ustępstw. Bez żadnych nawet ustępstw można było wybuch wojny odłożyć w czasie na wiele miesięcy, a może i lat... Tak się jednak nie stało, bo polska elita rządząca – zwłaszcza koła wojskowe – była przekonana, moim zdaniem absolutnie błędnie, że czas działa na korzyść Niemiec, a dysproporcja sił militarnych spowoduje, iż odwlekanie konfliktu pogarszać będzie systematycznie sytuację Polski.

Jestem też przekonany – mimo powojennych twierdzeń elity wojskowej o jej przeświadczeniu, iż starcia z Niemcami nie można było – że dominowały jednak ówcześnie zupełnie inne nastroje. Dowodzi tego fakt, iż w 1939 roku armia polska nie została ukierunkowana na prowadzenie długotrwałej obrony. Przeciwnie, jej ustawienie miało zapewnić zdolność do szybkiego podjęcia działań zaczepnych. Dopiero po klęsce w kampanii wrześniowej stworzono obraz, z którego miało wynikać owo przeświadczenie o niemożności stawienia skutecznego oporu Niemcom. Akcja sowiecka zaś okazała się dodatkowym usprawiedliwieniem fatalnych błędów popełnionych i przed wybuchem wojny, i w trakcie tragicznego września.

Podsumowując, raz jeszcze odwołam się do słów Łojka:

> *W Polsce przełomu 1938/1939 roku nie było ani w sferach rządowych,*
> *ani w obrębie opozycji, żadnego autorytetu politycznego, który świadom powagi sytuacji i rzeczywistej groźby w najbliższej przyszłości – mógłby spowodować* (...) *radykalną reorientację polskiej polityki zagranicznej.* (...) *Marszałek* [*J. Piłsudski*] *nie żył już od czterech lat, a wśród jego następców i politycznych spadkobierców żaden nie dysponował ani talentem politycznym, orientacją i przenikliwością, ani też autorytetem – mówiąc po*

prostu: charyzmatem – niezbędnym dla podjęcia tego rodzaju próby ocalenia Rzeczypospolitej w chwili zbliżającej się katastrofy.

Odzyskana z takim wielkim trudem, wysiłkiem tylu pokoleń Polaków, niepodległa Rzeczpospolita została lekkomyślnie wystawiona na próbę, której nie mogła stawić czoła.

Warto jeszcze pokusić się o kilka wniosków dotyczących aspektów wojskowych kampanii wrześniowej.

Jak starałem się wykazać, Wojsko Polskie we wrześniu 1939 roku nie zajęło pozycji, które można by uznać za przygotowane do prowadzenia obrony. Wysunięte trzonem swoich sił poza tzw. główną pozycję obronną, skoncentrowane było na uzyskaniu jak najszybciej możliwości przejścia do działania ofensywnego.

Nie jest prawdziwy uparcie powtarzany slogan, że polscy dowódcy armii i wielkich jednostek nie znali zamiarów Naczelnego Wodza. Znali te zamiary i wszyscy byli doskonale zorientowani, iż celem głównym w rozpoczętej wojnie było, po pierwszym boju spotkaniowym z Niemcami, przejść do działań ofensywnych, z ich przeniesieniem na terytorium przeciwnika.

W sposób oczywisty też, stworzona w polskim ugrupowaniu obronnym luka w rejonie Częstochowy, nie była wynikiem jakiegoś zaniedbania czy wręcz niezrozumiałej głupoty polskiego sztabu. Niezależnie od stopnia precyzji rozpoznania sił niemieckich skoncentrowanych w „worku" śląskim, dla polskich sztabowców przynajmniej od marca 1939 roku oczywiste było, że to stamtąd właśnie wyjdzie główne uderzenie niemieckie.

W mojej ocenie, owa słabość polskiego ugrupowania w rejonie częstochowskim, właściwie nawet nieukrywana przed przeciwnikiem, była świadomym zaproszeniem wroga do działania na tym kierunku. Celem tego było doprowadzenie do decydującej bitwy na wybranym przez stronę polską terenie. I w tym wypadku nie może zatem być mowy o popełnianiu przez polski sztab jakichkolwiek błędów, a już tym bardziej o braku planu czy nieznajomości tego planu przez najważniejszych dowódców armii. Ten plan znali wszyscy ci dowódcy, którzy wraz z marszałkiem mieli być głównymi aktorami zaplanowanej bitwy piotrkowskiej – a więc gen. Dąb-Biernacki, gen. Rómmel i w jakiejś mierze gen. Kutrzeba oraz gen. Szylling. Naprawdę nie było żadnej potrzeby zaznajamiania szerszego grona dowódców o tym zamierzeniu.

Wojsko Polskie we wrześniu 1939 roku było zapewne najsilniejszą armią, jaką dysponowała Polska w całej swojej historii. Nie zapominając

o obiektywnych jego słabościach można stwierdzić, że wbrew upowszechnionym acz bezpodstawnym poglądom, było ono dobrze przygotowane do stawienia w 1939 roku czoła zarówno Niemcom, jak i Związkowi Sowieckiemu. Oczywiście każdemu z osobna, bowiem wobec połączonego działania obu tych wrogów, szans nie miała ówcześnie żadna armia na świecie.

Jest też oczywiste, że wojskowi obserwujący rosnącą siłę armii obu przeciwników, zakładając iż przewaga Niemiec i Związku Sowieckiego nad Wojskiem Polskim, począwszy od połowy 1940 roku, przekroczy trzykrotność uznali, że trzeba doprowadzić do konfrontacji zbrojnej przed tą datą. W ocenach wszystkich ówczesnych strategów, właśnie uzyskanie takiej przewagi pozwalało stronie agresywnej, prowadzić konfrontację z dużą pewnością osiągnięcia zwycięstwa. To pozwala zrozumieć, dlaczego to strona polska wiosną 1939 roku w praktyce zaniechała starań o uniknięcie wojny bądź odwleczenie jej w czasie.

Nie jest też prawdą, że polscy dowódcy armii i wielkich jednostek nie zostali wtajemniczeni przez Naczelnego Wodza i jego sztab w kolejne, spodziewane fazy kampanii. Zwłaszcza zaś, że nie znali kolejnych pozycji ugrupowania obronnego oraz nie przygotowali swojego zaplecza do konsekwentnego odchodzenia na upatrzone uprzednio stanowiska. Nie wynikało to w żadnym razie z faktu, iżby polskie dowództwo ukrywało te elementy przed swoimi podwładnymi. Po prostu tych faz wojny w ogóle w sztabie nie przygotowywano, zakładano bowiem, że najdalej po tygodniu, może dwóch, wojna przeniesie się na teren przeciwnika.

Dlatego właśnie główne siły polskie wysunięto daleko poza główną pozycję obroną.

Dlatego właśnie główne punkty zaopatrzenia wojsk znalazły się niemal w zasięgu przeciwnika.

Dlatego właśnie nie przygotowano planów ewakuacji instytucji, fabryk, ludności z terenów położonych przed główną pozycją obronną.

Dlatego właśnie system komunikacyjny na czas wojny skonstruowano z myślą o działaniu w warunkach dojazdów w bliskie zaplecze frontu.

Dlatego właśnie system łączności zbudowano z myślą o działaniu w warunkach szybkiego przejścia na teren przeciwnika.

Dlatego właśnie, w realnych warunkach kampanii, gdy po 4–5 dniach konieczne było gwałtowne zrewidowanie przyjętych założeń prowadzenia wojny, powstał niewyobrażalny chaos po stronie polskiej. Ani Naczelne Dowództwo, ani dowództwa armii i wielkich jednostek, ani zaplecze nie

były przygotowane na taki rozwój wydarzeń i konieczna była pełna improwizacja. Niestety, ta improwizacja się nie powiodła.

Stało się tak dlatego, że stronie polskiej przyszło stawić czoło prawdopodobnie najlepiej zorganizowanej ówcześnie na świecie armii. Niemcy nie wygrali bowiem kampanii wrześniowej dzięki przewadze w broni pancernej, lotnictwie, artylerii, ilości piechoty czy lepiej funkcjonującej łączności. Niemcy wygrali tę wojnę dlatego, że posiadali perfekcyjnie zorganizowany system dowodzenia centralnego, z jednoczesną decentralizacją decyzji operacyjno-taktycznych na niższe szczeble. Posiadali dowódców potrafiących w tym systemie dowodzenia wykazywać się wielką samodzielnością i inwencją działania. Wreszcie zbudowali niesłychanie skuteczną doktrynę działań ofensywnych, przy skoncentrowanym użyciu wszelkich sił własnych na wybranych, wąskich odcinkach, a w ten sposób pozwalającą przełamywać rozstrzygająco ugrupowanie przeciwnika. Wytworzyli przewagę, której nie była w stanie sprostać nie tylko obiektywnie słabsza armia polska. Do połowy 1943 roku, a więc do momentu uzyskania nad Niemcami druzgocącej przewagi przez połączone siły aliantów, Niemcom nie była w stanie sprostać, dzięki tej niezwykle skutecznej doktrynie wojennej, żadna armia na świecie.

Mimo to, Wojsko Polskie było w stanie walczyć z Niemcami dłużej, a nawet – być może – dotrwać do momentu, kiedy zwłaszcza armia francuska byłaby zmuszona do podjęcia choćby ograniczonych działań na froncie zachodnim. Sądzę, że gdyby bitwa pod Kutnem zaczęła się przynajmniej dwa dni wcześniej, gdyby nie doszło do załamania frontu północnego, gdyby wreszcie udało się siłom polskim utrzymać na południu przynajmniej linię Sanu, nie tylko nie doszłoby do agresji sowieckiej, ale również alianci musieliby zająć aktywniejsze pozycje. Zmusiłoby to Niemców do wycofania z Polski sił na tyle istotnych, że ograniczyłoby to radykalnie ich możliwości działania w Polsce. Losy kampanii i wojny potoczyłyby się zupełnie inaczej.

Nie stało się tak nie z powodu przewagi niemieckiej, ale wyłącznie na skutek pozbawionej podstaw decyzji Naczelnego Wodza o opuszczeniu Warszawy. Wywołany tym chaos w dowodzeniu i dezorganizacja armii polskiej spowodowały, że w decydującym momencie wojny zabrakło właśnie tego, co najważniejsze – skutecznego kierowania operacjami polskich jednostek. Skutków tej fatalnej postawy Rydza-Śmigłego nic już nie mogło zniwelować.

Niezależnie od tego podkreślić trzeba, że to właśnie armia polska stawiła najskuteczniejszy opór armii niemieckiej w czasie II wojny światowej. Dopóki Niemcy utrzymywali inicjatywę strategiczną, żadna inna armia nie potrafiła przeciwstawić się ich perfekcyjnej sztuce prowadzenia wojny z taką skutecznością, jak Wojsko Polskie w 1939 roku.

Pamiętajmy bowiem, że dopiero inwazja sowiecka definitywnie przesądziła o wyniku kampanii wrześniowej. Nawet w ówczesnych, skrajnie trudnych dla strony polskiej warunkach uzyskanie przez Niemców samodzielnie rozstrzygającego zwycięstwa do końca września 1939 roku, nie byłoby z pewnością możliwe. Musimy uwzględnić fakt, że straty w tej kampanii ponosiła nie tylko strona polska. Stopień wykorzystania zapasów, wyeksploatowania sprzętu oraz zmęczenia wojsk po stronie niemieckiej pod koniec drugiej dekady września był tak wielki, że stawiał pod znakiem zapytania skuteczność kolejnych operacji niemieckich. Sowiecka pomoc okazała się więc być ratunkiem w niezwykle i nieoczekiwanie dla Niemców komplikującej się sytuacji. Jednak gdyby armii polskiej udało się utrzymać obronę na linii Bug–Wisła–San do połowy września, Niemcy pomocy sowieckiej zapewne by nie uzyskali.

Powtórzmy zatem raz jeszcze – ostateczne losy kampanii i wojny mogłyby wtedy wyglądać zupełnie inaczej.

Bibliografia

Spośród niezwykle bogatej literatury przedmiotu w niniejszej nocie prezentuję jedynie najważniejsze publikacje wykorzystane w niniejszej pracy.

Adamthwaite A., *France and the Coming of the Second World War 1936–1939,* Londyn 1977.

Aster S., *1039. Them making of the Second World War,* Londyn 1973.

Batowski H., *Agonia pokoju i początek wojny, sierpień–wrzesień 1939,* Poznań 1984.

Batowski H., *Europa zmierza ku przepaści*, Poznań 1977.

Batowski H., *Rok 1938 – dwie agresje hitlerowskie,* Poznań 1985.

Beck J., *Ostatni raport,* Warszawa 1987.

Beck J., *Polska polityka zagraniczna 1926–1932* (w opracowaniu A. Cienciały), Paryż 1990.

Beck J., *Przemówienia, deklaracje, wywiady 1931–1939,* Warszawa 1939.

Bell P. M. H., *The Origins of the Second World War in Europe,* Londyn–Nowy Jork 1986.

Burckhardt C. J., *Moja misja w Gdańsku 1937–1939,* Warszawa 1970.

Chalupczak H., *II Rzeczpospolita a mniejszość niemiecka,* Poznań 1992.

Cienciała A. M., *Poland and the Western Powers 1938–1939,* Londyn–Toronto 1968.

Dąbrowski D., *Rzeczpospolita Polska wobec kwestii Rusi Zakarpackiej* (*Podkarpackiej*) *1938–1939,* Toruń 2007.

Diariusz i teki Jana Szembeka, t. 1, Londyn 1964; t. 2, Londyn 1965; t. 3, Londyn 1969.

Dieter-Müller R., *Wspólny wróg. Hitlerowskie Niemcy i Polska przeciw Związkowi Sowieckiemu*, Warszawa 2013.

Documents on German Foreign Policy 1919–1945, Series D, Washington 1958.

Dokumenty i materiały do historii stosunków polsko-radzieckich, t. 4, Warszawa 1967; t. 7, Warszawa 1973.

Dopierała B., *Gdańska polityka Józefa Becka,* Poznań 1967.

Gruber H., *Wspomnienia i uwagi,* t. 1, Londyn 1967.

Grzywacz A., *Relacja płka dypl. Andrzeja Mareckiego dla Komisji badawczej do spraw Klęski Wrześniowej,* „Zeszyty Historyczne", Paryż 1998, t. 123.

*Historii dyplomacji polskie*j, t. 4, Warszawa 1995.

Jackiewicz H., *Brytyjskie gwarancje dla Polski w 1939 roku,* Olsztyn 1979.

Jurga T., *Wojna obronna Polski 1939*, Warszawa 1990.

Karski J., *Wielkie mocarstwa wobec Polski 1919–1945. Od Wersalu do Jałty,* Lublin 1998.

Kopański S., *Wspomnienia wojenne 1939–1945,* Londyn 1961.

Kornat M., *Polityka zagraniczna Polski 1938–1939,* Gdańsk 2012.

Kulski W., Potulicki M., *Współczesna Europa polityczna. Zbiór umów międzynarodowych 1919–1939,* Kraków–Warszawa 1939.

Landau Z., Tomaszewski J., *Monachium 1938. Polskie dokumenty dyplomatyczne*, Warszawa 1985.

Łossowski P., *Dyplomacja Drugiej Rzeczpospolitej,* Warszawa 1992.

Mazur Z., *Pakt Czterech,* Poznań 1979.

Mikos S., *Wolne Miasto Gdańsk a Liga Narodów 1920–1939,* Gdańsk 1979.

Neville P., *Hitler and Appeasement. The British Attempt to Prevent the Second World War,* Nowy Jork 2006.

Piszczatowski T., *Anglia a Polska 1914–1939 w świetle dokumentów brytyjskich,* Warszawa 1975.

Pobóg-Malinowski W., *Najnowsza historia polityczna Polski 1864–1945,* t. 2, 1918–1938, Londyn 1956–1960.

Pobóg-Malinowski W., *Najnowsza historia polityczna Polski 1864–1945,* t. 3, 1939–1945, Londyn 1956–1960.

Polska w polityce międzynarodowej (*1939–1945*). *Zbiór dokumentów 1939,* Warszawa 1980.

Polski czyn zbrojny w II wojnie światowej. Wojna obronna Polski 1939, Warszawa 1979.

Polskie dokumenty dyplomatyczne. 1939 styczeń–sierpień, Warszawa 2005.

Polskie Siły Zbrojne w II wojnie światowej, t. 1, *Kampania Wrześniowa.* Część 1. *Polityczne i wojskowe położenie Polski przed wojną,* Londyn 1951.

Raczyński E., *W sojuszniczym Londynie,* Londyn 1997.

Rzepniewski A., *Wojsko Polskie wobec perspektywy zagrożenia wojennego 13 maja 1935–31 sierpnia 1939,* Warszawa 1992.

Shirer W. L., *The Rise and Fall of the Reich. A History of the Nazi Germany*, Nowy Jork 1960.

Sprawa polska w czasie drugiej wojny światowej na arenie międzynarodowej. Zbiór dokumentów, Warszawa 1965.

Stachiewicz W., *Pisma, t. 2,* „Zeszyty Historyczne", Paryż 1979, t. 50.

Stachiewicz W., *Wierności dochować żołnierskiej. Przygotowania wojenne w Polsce 1935–1939 oraz kampania 1939 w relacjach i rozważaniach szefa Sztabu Głównego i szefa Sztabu Naczelnego Wodza,* Warszawa 1998.

Taylor A., *The Origins of the Second World War,* Londyn 1991.

Torzecki R., *Kwestia ukraińska w polityce III Rzeszy* (*1933–1945*), Warszawa 1972.

Wojciechowski M., *Stosunki polsko-niemieckie 1933–1938,* Poznań 1980.

Wojna obronna Polski 1939. Wybór źródeł, Warszawa 1968.

Woźny A., *Niemieckie przygotowania do wojny z Polską w ocenach polskich naczelnych władz wojskowych w latach 1933–1939,* Warszawa 2002.

Zgórniak M., *Europa w przededniu wojny. Sytuacja militarna w latach 1938–1939,* Kraków 1993.

Żerko S., *Stosunki polsko-niemieckie 1938–1939,* Poznań 1998.

Indeksy

Indeks nazwisk

B

Batowski H. 5, 54, 89

Beck J. 6, 8, 9, 13, 15–26 35–55, 59–71, 73–96, 98, 99, 101, 104–112, 114–116, 118, 120–132, 136–139, 142, 144–159, 161, 164–174, 186, 190, 222, 226, 233, 270–272, 274, 276, 277

Benes E. 32–36, 47, 49

Bodenschatz K. 163, 164

Bołtuć M. 189, 235

Bonnet G. 54, 67

Bortnowski W. 68, 134, 189, 192, 193, 201, 235

Brauchitsch W. von 135

Bregman A. 43

C

Chamberlain N. 32, 48, 102, 103, 110, 114, 139, 140, 141, 142, 148, 151, 165, 168, 171

Chodacki M. 94

Clayton B. 172

Czuma W. 249

D

Dąb-Biernacki S. 192, 193, 202, 208, 209, 210, 232, 236, 237, 278

Daladier E. 54

Dieter-Müller R. 119

Dopierała B. 40

Duff-Cooper A. 50,–52, 130

E

Eden A. 48

F

Fabrycy K. 236, 265–268

Franco F. 14, 114

G

Gafencu G. 147, 166, 168

Gamelin M. 221

Gawlina J. 61

Goebbels J. 23

Göring H. 29, 36–42, 49, 55, 61–63, 104, 163, 164, 186

Guderian H. 235, 241, 252, 253, 256, 259, 260

Greiser A. 94, 138

Gruber H. 191

Grzywacz A. 192, 200

H

Halifax lord 32, 37, 39, 48, 52, 54, 98, 114, 142, 148, 151, 155, 165–171

Henderson N. 28

Hitler A. 7, 10, 15, 16, 19, 21, 22, 23, 26, 27, 28, 29, 30, 31–44, 48–50, 57–66, 70, 71, 78–90, 92, 93, 95–101, 103, 104, 106, 107, 109, 112–114, 118, 119, 121, 123–125, 127, 128, 131–133, 135–139, 141, 142, 144, 146–148, 153, 155–164, 166–174, 179, 181, 186, 190, 227, 229, 273–277

Hore-Belisha L. 112

J

Jackiewicz H. 65

Jaklicz J. 187

Jurga T. 135, 186, 190, 198, 202, 207, 215, 248, 249, 257

K

Karski J. 22, 37, 67, 162, 163

Kasprzycki T. 20, 35, 200, 212, 213, 221, 249

Keitel W. 160

Kennard H. 52, 107, 112, 132

Kmiecik T. 209, 210

Kopański S. 187, 190, 194
Kornat M. 60, 61
Kowalski W. 235, 253–256, 259, 261, 263
Kowalski W. T. 60, 76, 91
Kulski W. 67
Kutrzeba T. 130, 134, 173, 174, 180, 181, 190, 192, 227, 234, 235, 247, 256, 259, 261, 263, 264, 278
Kwiatkowski E. 72, 74, 84, 191

L

Lammers H. 163
Landau Z. 61
Ligula E. 187
Lipski J. 122, 29–31, 36, 37, 55, 60–63, 65, 68–70, 76–80, 82, 92, 93, 96, 104, 110, 111, 115, 117–121, 128, 131, 133, 135, 137, 138, 187, 190, 197, 201
Litwinow M. 163

Ł

Łojek J. 7, 275–277
Łukaszewicz J. 54

M

Maczek S. 243
Malinowski T. 167
Marecki A. 91, 192, 194, 198–200, 244, 257
Majski I. 165
Michulec R. 7
Miedziński B. 69
Młot-Fijałkowski Cz. 235, 253–256
Moltke H. A. von 79, 80, 104–106, 133, 138
Mołotow W. 163, 179
Mościcki I. 71, 72–74, 84, 89, 105, 120, 158, 191, 233, 270
Mussolini B. 14, 26, 29, 40, 43, 46, 48, 57, 62, 148, 172, 273

N

Neurath K. 29, 36
Noël L. 19, 21

O

Okulicki L. 231

P

Papée K. 105
Piekarski W. 254
Piłsudski J. 13, 16, 17, 18, 22, 24, 35, 47, 55, 65, 69, 72, 73, 93, 122, 152, 154, 208, 209, 216, 217, 237, 261, 264, 271, 272, 277
Pobóg-Malinowski W. 672, 74, 89, 90, 105, 136, 233
Potulicki M. 67
Prystor A. 73
Przedrzymirski-Krukowicz E. 235
Putin W. 6

R

Raczyński E. 51, 132, 148, 165
Raczyński R. 147
Raginis W. 260
Ribbentrop J. von 6, 43, 60, 61, 63, 65, 66, 68, 69, 70, 75–82, 86, 88–95, 99, 104, 110, 111, 115, 117–119, 121, 128, 131, 133, 135, 137, 138, 162, 179, 187, 190–193, 196–198, 201
Roosevelt F. D. 22
Rómmel J. 192, 193, 226, 233–237, 249, 259, 263, 27
Rundstedt G. 262

S

Salmonowicz S. 11
Schullenburg F. W. 163
Schuschnigg K. 40, 49
Shirer W. L. 29
Sikorski W. 35, 237
Sławek W. 9, 72–75, 84, 158
Sławoj-Składkowski F. 72, 89
Sosnkowski K. 268
Spiechowicz M. 267, 268
Stachiewicz W. 91, 119, 120, 133, 145, 175, 178, 185, 186, 190, 192–194, 196, 198, 200–202, 205–207, 212–214, 218, 225–228, 231, 232, 236, 250, 251, 253–256, 261, 263

Stalin J. W. 27, 28, 43, 44, 98, 142, 146, 157, 158, 161–163, 168, 172, 181, 269, 270
Szembek J. 19, 51, 79, 82, 91, 94, 96, 110, 127, 193
Szeremietiew R. 6, 11
Szubański R. 208, 242
Szyling A. 236, 241, 265, 266, 267
Szymański A. 163, 164, 228

Ś

Śmigły-Rydz E. 8, 9, 18, 20, 35, 36, 43, 47, 68, 69, 71–75, 79, 84, 89, 90, 95, 107–110, 120, 121, 127, 137, 152, 153, 158, 161, 191, 192, 197, 199, 208, 209, 212, 213, 217–219, 222, 226, 227, 231–233, 236, 237, 245, 250, 253, 256, 259, 261, 264, 265, 268–270, 280

T

Tabaczyński T. 260, 262
Taylor A. 22, 23, 30, 37, 43, 48, 49, 180
Thomme W. 250, 261, 263, 264
Tiso J. 101, 102, 104, 106, 107
Tomaszewski J. 61

W

Weizsäcker R. 138
Wiatr J. 187
Wołoszyn A. 102
Woźny A. 104, 105, 108, 164, 183, 211, 215, 228, 240, 243, 244

Z

Zalewski A. 13
Zgórniak M. 135, 138, 160
Zychowicz P. 6, 7
Żerko S. 5, 13, 22, 27, 65, 78, 81, 89, 133

Indeks instytucji

IV Korpus 241
VII Korpus 241
X Korpus 241
XIII Korpus 241
XIV Korpus 241
XV Korpus 241
XVI Korpus 232, 238, 240, 241, 242
XVIII Korpus 241
XIX Korpus 241, 252, 256
XXII Korpus 241, 267, 268

A

Armia „Baranowicze" 209
Armia „Modlin" 204, 207, 212, 234, 245, 246, 252, 253, 255
Armia „Karpaty" 197, 241, 266, 268
Armia „Kraków" 204, 208, 236, 241, 246, 250, 253, 265, 266
Armia „Lublin" 210
Armia „Łódź" 204, 208, 211, 212, 224, 226, 236, 241, 245–247, 250, 259, 261, 264,
Armia „Małopolska" 267, 268
Armia Odwodowa „Prusy" 202, 208, 211, 212, 224, 226, 236, 237, 241, 242, 247, 248, 250, 266
Armia „Poznań" 204, 211, 212, 235, 236, 241, 245, 246, 247, 250, 261
Armia Rezerwowa „Lida" 209
Armia Rezerwowa „Lwów" 209
Armia „Toruń" 189, 201, 204, 207, 212, 236, 245, 246, 250, 261
Armia „Warszawa" 236, 249, 264
Armia „Wilno" 209
Armia „Wołyń" 209

B

BBWR 73

D

Duce 14, 100

F

Fundacja Lanckorońskich 11

Foreign Office 52, 143, 148

Front Środkowy 209

Front Południowy 268

G

Generalny Inspektor Sił Zbrojnych **36, 120, 190,** 194, 225, 228, 231

Generalny Inspektorat Sił Zbrojnych **89, 186,** 192, 197, 199

GO „Boruta" 266, 267

GO „Wyszków" 234, 246, 252, 253, 261, 263

Grupa Armii Warszawa 210, 249, 263

I

Izba Gmin 102, 141

K

Katolicki Uniwersytet Lubelski 11

Komintern 14

Komisja Spraw Zagranicznych Sejmu 16

Korpus Interwencyjny 189, 201, 235

Korpus Ochrony Pogranicza (KOP) 266, 267

L

Liga Narodów 20, 24, 26, 39, 41, 67, 76, 77, 79, 94, 123, 125, 137, 155, 169, 178,

Linia Maginota 57, 97, 203, 216

Linia Zygfryda 97, 216

M

Marszałek Sejmu 72

Marszałek Senatu 72

Ministerstwo Spraw Wojskowych 218, 240,

Ministerstwo Spraw Zagranicznych 41, 60, 61, 62, 65, 76, 79, 80, 127

N

Naczelny Wódz 180, 188, 202, 206, 208, 209, 232, 233, 246, 247, 251, 255–257, 260, 262, 263, 265, 266

O

Obóz Zjednoczenia Narodowego 69, 73, 74

P

Pakt Czterech (Oś) 14, 64

Prezydent RP 71–73, 231, 233,

Reichstag 40, 92, 162

S

Sąd Najwyższy 72

Sejm 69

Senat 69

SGO „Narew" 204, 207, 212, 234, 245, 246, 252, 253, 260, 261, 263

SGO „Polesie" 209

Sztab Główny (NW) 18, 45, 91, 98, 104, 120, 133, 134, 145, 172, 175–177, 179, 180, 183, 185–187, 190, 192, 193, 197, 199, 201, 216–218, 223, 231, 240, 246, 248, 250, 252–254, 258, 260, 261, 266–269,

W

Wehrmacht 86, 160, 176, 182, 262,

Wydawnictwo Bellona 6

Wyższa Szkoła Wojenna 134

Zgromadzenie Elektorów 72, 73, 84

Indeks geograficzny

A

Adis Abeba 14

Abisynia (Etiopia) 14, 26

Afryka 48, 100

Afryka Północna 14

Afryka Zachodnia 14

Albania 164, 168

Austria 23, 32–34, 37–41, 45, 46, 48, 49, 59, 64, 83, 87, 110, 117, 120, 124

B

Bałtyk 44, 124, 126, 194, 271

Baranów 241

Belgia 25, 57, 58, 97, 98, 100, 112, 148, 149, 154, 166, 242

Berchtesgaden 32, 40, 82, 93, 98, 115, 128, 136

Berlin 17, 22, 28, 29, 33, 36, 37, 79, 93, 94, 97, 101, 104, 106, 111, 133–135, 137, 144, 163, 166, 168, 185, 187, 216, 217, 272

Białystok 209

Biebrza 202, 210

Bogumin 59, 60, 66

Bratysława 102, 105, 107

Brodnica 201

Brześć n. Bugiem 133, 180, 232, 233, 241, 250, 251, 253, 255–258, 260–262

Budapeszt 93

Bug 249–252, 255–257, 259–261, 263, 264, 270, 281

Bukareszt 140, 147

Bukowina 44

Bułgaria 114, 147, 148, 152, 166, 276

Bydgoszcz 202

Bzura 134

C

Chojnice 189

Czechosłowacja 13, 16, 19, 23, 25, 30–37, 39–41, 44–49, 51, 53, 57–60, 83, 84, 87, 89, 91, 92, 96, 101–104, 106, 107, 112, 113, 115, 117, 120, 128, 132, 133, 137, 143, 176, 183–187, 194, 195, 200, 271, 273

Częstochowa 202, 203, 210, 220, 224, 229, 278

D

Dania 112, 149, 154, 166, 167

Dęblin 184

E

Egipt 98, 114

Elbląg 201

Europa 6, 13–16, 20, 21, 24, 25, 30, 33, 34, 37, 43, 44, 47, 49, 50, 53, 55, 57, 59, 60, 67, 83, 84, 89, 98, 99, 101, 104, 110, 112–114, 117, 119, 121, 124, 125, 127–130, 135, 140, 141, 145–148, 150, 166, 167, 169, 173, 271–274, 276

F

Finlandia 240, 276

Francja 14, 15, 17–21, 25, 26, 29–35, 37, 39, 49, 54, 57, 67, 97, 98, 100, 108, 110, 112, 113, 123, 131, 132, 140, 147, 150, 152, 160, 161, 165, 167, 185, 195, 221–224, 237, 242, 273–275

G

Gdańsk (Wolne Miasto) 24, 36, 37, 39, 40–42, 44, 46, 49, 53, 55, 57, 60–65, 67, 69–71, 75–83, 85, 86, 88, 89, 91, 94, 95, 101, 104, 108, 109, 111, 116, 121–127, 133–138, 142, 143, 147, 151, 155–158, 162, 163, 167–172, 176, 177, 189, 193, 194, 200, 201, 221, 275

Gdynia 50, 126, 171

Gibraltar 14

Grecja 50, 113, 139, 140, 147, 152, 165

Grodno 209

Grudziądz 200, 201

H

Hiszpania 13, 14, 30, 98, 114

Holandia 25, 57, 58, 98, 100, 112, 139, 148, 149, 154, 166, 242

J

Japonia 14, 27, 64

Jugosławia 19, 25, 50, 139, 140, 147, 149, 164, 165, 271

K

Kanał La Manche 58

Kanał Sueski 14

Kielce 207

Kłajpeda (Memel) 59, 101, 103, 109, 118, 124, 128, 133, 143, 167, 194, 195

Kowel 199

Kraków 266

Kutno 200, 206, 207, 232, 233, 235, 236, 251, 263, 264, 270, 280

L

Lida 210

Litwa 16, 59, 74, 103, 108, 109, 117, 163, 167, 200, 271

Locarno 13, 19, 21

Londyn 11, 14, 48, 51, 54, 96, 99, 102, 108, 112, 114, 132, 139–141, 144, 147, 148, 150, 151, 155, 156, 159, 164–166, 168, 169, 171, 187

Lwów 209, 266, 268

M

Malbork 189

Małopolska Wsch. 266

Mława 199, 252

Modlin 134, 255, 263, 264

Mokra 203, 240

Mołdawia 44

Monachium 67, 96, 136, 195, 275

Morawy 103

Moskwa 17, 163, 168, 173, 272, 274, 275

Morze Śródziemne 13, 25, 98, 148

N

Nadrenia 15, 18, 19, 21, 23, 31, 41, 124

Narew 202, 248–256, 259, 260, 262, 264, 270

Nida 266

Niemcy 9, 10, 13–19, 21–27, 30–33, 35, 37, 38, 40–55, 57–68, 70, 71, 74–109, 111–121, 123–136, 138–149, 151–153, 155–162, 164–178, 181–187, 189–191, 193–198, 200–203, 205, 207, 208, 211, 213, 214, 216, 217, 219–223, 226, 228, 229, 231, 232, 235, 238, 239, 241–257, 259–270, 273–281

Norymberga 61

O

Ostrołęka 256

P

Palestyna 64, 99

Paryż 19, 21, 54, 97, 99, 161, 213, 218

Piemont 58, 64, 85

Piotrków Tryb. 211, 226, 232, 236, 237, 240, 242, 246–248, 253, 266

Pomorze 24, 36, 44, 49, 53, 63, 65, 75, 95, 101, 108, 109, 123, 176, 177, 184, 189, 193, 200, 201, 206, 230, 235, 252, 275

Polesie 251

Polska 5, 7–10, 13, 15–26, 30–47, 49–55, 57–72, 75–93, 95–97, 99, 101–105, 107–115, 117, 119–144, 146–174, 176–182, 184–186, 189, 191, 193–196, 201, 203, 205–207, 213–216, 218, 220–222, 225, 226, 227, 229, 232, 236, 238, 240, 242, 243, 248, 249, 251, 252, 258, 260, 262, 264, 265, 268–278, 280, 255

Praga 34, 103, 190, 197, 198

Prypeć 208, 209,257,

Prusy Wschodnie 62–64, 81, 101, 108, 109, 123, 133, 134, 162, 176, 177, 184, 185, 189, 193, 200, 201, 206, 241, 246, 247, 264,

Pułtusk 253–256

R

Radom 207, 259

Rawicz 199

Różan 251, 253–256

Rumunia 19, 50, 58, 102, 112, 113, 115, 139–142, 147, 148–151, 153, 154, 162, 164–168, 225, 249, 258, 271, 276,

Ruś Zakarpacka 41, 58, 59, 64, 84–87, 93, 95, 96, 102, 119, 153

Rzeszów 267
Rzym 15, 48

S

Salo 29
San 210, 248–251, 257, 262, 264, 267–270, 280, 281
Sandomierz 241
Słowacja 32, 41–46, 53, 54, 58, 59, 70, 85–90, 92, 76–80, 102–107, 111, 117, 120, 121, 136, 138, 143, 145, 151, 193, 195–197, 200–202, 217, 218
Stanisławów 199
Sudety 25, 33, 41, 124
Szwajcaria 25, 100, 112, 139, 149
Szwecja 25

Ś

Śląsk 65, 108, 117, 134, 176, 177, 184, 185, 193–195, 200, 205–207, 238, 275
Śląsk Cieszyński (Zaolzie) 32, 34, 35, 38, 43,45, 47, 53, 59, 68, 74, 122, 128, 134,

T

Tarnów 266
Tomaszów Lub. 261
Tomaszów Maz. 207, 226, 247,
Toruń 193
Turcja 25, 50, 112, 113, 139, 140, 147, 165, 166
Tyrol (Górna Adyga) 23, 40, 41, 46, 62, 64

U

Ukraina 58, 80, 92, 276
USA(Stany Zjednoczone) 25, 27, 51,

W

Warta 202, 247
Warszawa 21, 36, 40, 43, 52, 79, 81, 82, 90–94, 96, 99, 106, 110, 111, 115, 117, 119, 120, 129, 131–133, 135, 137, 140, 158, 161, 164–166, 170, 171, 180, 184, 190, 191, 198, 199, 200, 203, 207, 208, 210, 221, 232, 233, 240, 242, 243, 248–250, 252, 256, 258, 262, 263, 264, 269, 275, 28
Waszyngton 25
Westerplatte 6
Węgry 19, 23, 25, 33, 41, 45, 50, 53, 58, 59, 64, 84, 85, 87, 89, 103, 107, 112, 113, 139, 147, 148, 153, 154, 167, 186, 202, 249, 271, 276,
Widawka 202, 247
Wiedeń 103
Wielka Brytania (Anglia) 10, 13, 14, 15, 16, 18, 19, 22, 25, 26, 27, 34, 37, 39, 42, 47, 48, 52–54, 57, 58, 78, 97–100, 108, 112, 113, 122, 129–131, 135, 139, 140, 142–145, 147, 148, 152, 159–161, 166, 167, 170, 174, 218, 221, 224, 237, 272–274,
Wielkopolska 44, 65, 177, 200, 204–207
Wieluń 240
Wieprz 209, 251, 257, 261
Wilhelmshaven 144
Wisła 19, 68, 177, 184, 189, 201, 202, 204, 206, 208, 210, 230, 235, 248–252, 257, 259, 262–264, 266, 270, 281
Wisłok 267
Wisłoka 267
Wizna 253, 254, 256, 260
Włochy 13, 14, 15, 18, 23, 25, 26, 30, 40, 48, 49, 57, 64, 114, 148, 164, 193, 276

Z

Zagłębie Saary 15
ZSRS (Zw. Sowiecki, Rosja) 14, 17–19, 23, 27, 33, 34, 39, 49, 58, 64, 80, 81, 98, 110, 112, 115, 119, 122, 134, 139, 140, 141, 143, 149–152, 155, 157, 160, 162, 165, 167, 169, 178, 179, 181, 183, 271, 273, 275, 276, 145, 148, 149, 151, 160, 161, 164, 219, 242, 247–250, 252, 253, 272–274, 276, 279,